PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 143.

ROK PIĘTNASTY. — TOM LVII.

STYCZEŃ, LUTY, MARZEC.

1898.

KRAKÓW.
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
1898.

CO TO SĄ ŚREDNIE WIEKI[1].

Niema wyrazu, któregoby definicya powszechniejszą cieszyła się zgodą, niż nazwa średnich wieków. Średnie wieki, mówią nam jednomyślnie, są epoką przejściową między starożytnością a nowożytnymi czasami. Takie określenie dają wszystkie słowniki i wszystkie encyklopedye, wszystkie podręczniki i wszystkie kompendya[2]. Nie wymagajcie innego od uczonych mediewistów, jakkolwiek najrozmaitsze są ich kąty widzenia w ocenieniu wieków średnich, jednomyślni są co do ich określenia. Wszyscy odpowiadają z zgodnością, którąby trudno znaleść w innej materyi, że wieki średnie są epoką przejściową.

A któreż to są dwa krańce, między którymi te wieki średnie rozciągają swą erę przejściową — olbrzymi nawias tysiąca lat? Są to dwie wielkie cywilizacye, jakie znała ludzkość i stara

[1] Odczyt miany na fryburskim kongresie uczonych katolickich, o którym pisaliśmy w *Przeglądzie Powszechnym* z r. 1897 (październik str. 146). Autor, profesor Uniw. w Liège, badacz historyi wieków średnich, znany z znakomitego dzieła *Les origines de la civilisation moderne,* łaskawie użyczył tego odczytu, jeszcze niepublikowanego, naszemu pismu.

[2] „Moyen âge, nom donné en histoire à la periode qui s'étend entre les temps anciens et les temps modernes". Bouillet, *Dictionnaire d'hist. et de géogr. s. v. moyen âge.*

„La période dite du moyen âge, qui forme la transition entre l'âge ancien et l'âge moderne". Lavisse-Rambaud, *Histoire générale,* t. I, str. 1.

„Mittelalter, der grosse Zeitraum der Geschichte, welcher zwischen dem klassischen Alterthum und der neueren Zeit liegt". *Meyers Konversations-Lexikon* t. XI, str. 689, s. v. *Mittelalter.*

i nowożytna. Stara grecko-rzymska z wspaniałą jednością świata, złączonego w pokoju rzymskim — nowożytna z nieskończoną rozmaitością narodowych ugrupowań i nieprzebranem bogactwem intelektualnych objawów. Dwa światy zarówno wielkie, zarówno zdumiewające.

Między obydwoma zaś odgraniczone wyraźnie od jednego i od drugiego, długie pasmo tych 10 wieków, w czasie których cywilizacya starożytna już umarła, a nowożytna jeszcze się nie narodziła. Jest to pas ciemności, oddzielający wielki dzień świata grecko-rzymskiego od dnia Odrodzenia. W ten sposób — zauważyć to warto — sama definicya wieków średnich stawia je poza cywilizacyą i z góry je skazuje na to, żeby niczem innem nie były, tylko jak się mówi: nocą tysiąca lat.

Idźmy dalej i starajmy się uchwycić istotny charakter sformułowanej w ten sposób opozycyi między pojęciem wieków średnich a pojęciem cywilizacyi. Jakież to są w gruncie te dwie cywilizacye, między któremi wieki średnie rozciągają swą ciemną przesłonę? Pierwsza, jak wiemy, to cywilizacya pogańska. Mając za podstawę niewolnictwo, a za klucz sklepienia cezaryzm, zachowuje ona wszystkie radości życia dla małej liczby wybranych, których jeszcze poniża użyciem zmysłowem, nie będąc zdolną zadośćczynić wyższym duszy ludzkiej aspiracyom, resztę zaś ludzkości skazuje na niewolę. A druga, nowożytna, jakaż ona jest? Iście nie cywilizacya chrześcijańska, bo ta nie zaczynałaby się pewnie od końca wieków średnich, skoro te ostatnie ideą chrześcijańską były nasycone. Jest to więc chyba ta, która reaguje przeciwko chrześcijańskiemu ideałowi, a budzi z popiołów przeszłości ducha pogańskiego, daje za kodeks państwu cezaryzm, a jednostce poszukiwanie uciech. Jest to więc znowu cywilizacya pogańska. Jeżeli wieki średnie są epoką przejściową, to chyba dlatego, że między pierwszą a drugą epoką tej cywilizacyi dały zakwitnąć ideałowi chrześcijańskiemu, ideałowi umartwienia i ubóstwa. Ale starożytność powstaje z grobu, bierze znowu w posiadanie świat, zamyka nawias otwarty przez wieki średnie, a otwiera na nowo erę wielkich postępów ludzkości. Chrystyanizm był tylko eklipsą cywilizacyi; eklipsa ta

się skończyła i na jej miejsce występuje duch wolnych poszukiwań naukowych i szerokich używań estetycznych. Odrodzenie w zasadzie położyło koniec chrystyanizmowi. Cywilizacya, poganizm, odrodzenie, są to synonimy, podobnie jak synonimami są barbarzyństwo, chrystyanizm, wieki średnie.

Jak widać, definicya średnich wieków, jaką przyjmujemy bez kontroli, jest definicyą o podwójnem denku; ma ona większą doniosłość, niżby się zdawać mogło na pierwszy rzut oka. Nie mówię, że ona oznacza to wszystko w umyśle wszystkich, którzy jej używają, ani że samo słowo, ile razy je kto wymawia, wywywołuje ten szereg pojęć, należących istotnie do jego sensu. Często tak bywa, że wyrazy, których używamy, są tylko konwencyonalnemi formułkami, których sensu nie zgłębiamy, i które znaczą w naszych ustach coś zupełnie przeciwnego swej etymologii. Mimo to, w danym przypadku, słowo wpłynęło na ideę. Słowo to zdaje się przedstawiać sens, niedający się inaczej pojąć, jak przez opozycyę między wiekami średnimi a dwoma światami, które one przedzielają. Trzeba było koniecznie wyobrazić sobie jako barbarzyńskie to społeczeństwo, którego nie można inaczej pomyśleć, jak wyróżniając je od dwu jedynie znanych cywilizacyj. Nieuchronnie było się skłonnym uważać je ryczałtem za dzikie, grubiańskie, omamiane przez chytrych księży, ciemne, nieinteligentne, brudne, poddające się wszelkim gwałtom, albo je popełniające, niezdolne wyrobić w sobie ducha publicznego, niezdolne wznieść się do wielkich idei ojczyzny, postępu, sprawiedliwości społecznej, życia umysłowego.

Stąd ta nieprzebrana moc ciemnych legend, które dla ludzi wieków poprzedzających i nawet dla wielu ludzi naszego stulecia, są wszystkiem, co wiedzą z historyi wieków średnich. Wystawmy sobie, jaką ideę miał o tej epoce encyklopedysta z przed stu laty, albo jaką ma jeszcze dzisiaj spóźniony jakiś wolteryanin. Nic ohydniejszego być nie może, nad ten obraz. Oto panowanie chrystyanizmu zaczyna się od pożaru biblioteki aleksandryjskiej, który niszczy duchową ojcowiznę ludzkości, a kończy się stosami Inkwizycyi, palącymi tych, którzy nad odtworzeniem tej ojcowizny pracują. Między tymi dwoma pożarami,

w złowrogiem półświetle, czerwonem od tych płomieni, a przyćmionem od dymów, przesuwa się szereg ponurych obrazów, które ściągnąć powinny na wieki średnie pogardę wszystkich przyjaciół ludzkości. Co za widok! Oto jeden z soborów roztrząsa poważnie kwestyę, czy kobiety mają duszę; a oto kobieta, chyba dla pomszczenia swej płci i zmistyfikowania niegrzecznego episkopatu, wspina się potajemnie na Piotrową stolicę. Po takim skandalu stolica ta pracuje jeszcze usilniej nad fabrykowaniem fałszywych dokumentów [1]. Zfabrykowawszy w VIII. wieku fałszywą donacyę cesarza Konstantyna, zmyśla w wieku IX. cały zbiór fałszywych Dekretaliów, które opierają jej powagę na kłamstwie. W spólnictwie z panującymi Kościół zbydlęca ludy; pozwala bez protestu wykonywać przez wieki ohydne „prawo pana", które ledwo wymienić można w przyzwoitem towarzystwie; nie oburza się, kiedy panowie z powrotem z polowania każą rozpruwać brzuchy swych poddanych, by w nich nogi ogrzewać [2]. W niemem pogrążona osłupieniu ludność w ten sposób traktowana, jedną już tylko ma nadzieję, tj. „straszliwą nadzieję dnia ostatecznego" [3]: oczekuje końca świata na rok 1000 i dziwuje się, gdy pierwszego dnia tego feralnego roku znajduje jeszcze świat na swych posadach. Bezmyślną igraszką chciwego i fanatycznego kleru, ludność ta daje się przezeń wodzić na rzezie dalekiego Wschodu, skąd przynosi jako jedyną swych wysiłków nagrodę, zarazę trądu [4]. Ale i ta straszna klęska nie zdoła jej nauczyć ochędóstwa; zostaje ona pogrążona w wstręt-

---

[1] Patrz jeszcze Lavisse i Rambaud, *Histoire générale* t. I, str. 305: „Podczas gdy papiestwo szamoce się wśród trudności, jakie mu stworzyła władza doczesna, równocześnie fabrykuje ono jej tytuły; posiadając rzecz faktycznie, chce sobie jeszcze do niej wytworzyć prawo".

[2] Girault de Saint-Fargeau, *Dictionnaire géographique, historique* etc. *de toutes les communes de France.* Paris 1848, t. II, str. 656. Dzieło publikowane z polecenia ministra spraw wewnętrznych i ministra oświaty.

[3] Michelet, *Histoire de France.*

[4] „Chrześcijanie założywszy nowe królestwa, które krótko trwały, wyludniwszy świat, spustoszywszy ziemię, popełniwszy tyle zbrodni, tyle wielkich i tyle podłych czynów, nic w końcu nie odnoszą jak tylko trąd, jako rezultat swych przedsięwzięć". *Dictionnaire encyclopédique, s. v. lèpre.*

nych brudach, jak długo trwają te nieszczęsne średnie wieki. Nie było, powiada Michelet, kąpieli przez 1000 lat![1] Na domiar nie było żadnej z tych pociech, jakie życie umysłowe dać może; nie było nauki, nie było szkół, bo w interesie Kościoła leżało podtrzymywać nieuctwo; nie było sztuki, okrom tych pomników, które podobno przychodzą nam od Arabów, a których barbarzyństwo trafnie napiętnowano, nazywając je gotyckimi[2]. Nie było poezyi — tak twierdzi Boileau, i tak dziś jeszcze naucza tych, którzy mają szczęście kształcić się w retoryce pod jego egidą — poezya narodzić się nie mogła aż Villon „rozplątał zawiłą sztukę starych pisarzy romancy", a teatr był „dla naszych nabożnych przodków przyjemnością nieznaną"... „Nareszcie Malherbe przyszedł!" A nietylko Malherbe, lecz i Erazm, i Luter, i inni humaniści i reformatorowie przyszli i wprowadzili znowu naszych przodków na starożytną drogę cywilizacyi!

Takie są średnie wieki w legendzie. Niezawodnie wiele już dzielniejszych umysłów zerwało z legendą, i wyłomy, jakie katoliccy uczeni zrobili w tych przez wieki utrzymywanych niedorzecznościach, zatwierdzone zostały i przez uczonych, którzy nic wspólnego z naszą wiarą nie mają. Ale takie sprostowania szczegółowe, nawet kiedy te szczegóły są ważne, nie mogą zreformować fałszywego pojęcia, jakie sobie wyrobiono o średnich

---

[1] Michelet l. c.

[2] „*A.* Czy znasz architekturę naszych kościołów, którą nazywają gotycką?

„*B.* Tak, znam ją; wszędzie ją spotkać można.

„*A.* Czyś nie zauważył tych rozet, tych punkcików, tych małych ozdóbek przerywanych, bez ciągłości rysunku, słowem tych wszystkich fraszek, jakiemi jest przepełniona? Jest to w architekturze to samo, co antitezy i gry słów w wymowie. Architektura grecka jest daleko prostsza, ornamenta dopuszcza tylko majestatyczne i naturalne; wszystko, co w niej widać, jest wielkie, proporcyonalne, na swojem miejscu. Architektura ta, którą nazywają gotycką, przyszła nam od Arabów. Duchy to były bardzo żywe, a nie mając ani reguł, ani kultury, musiały popaść w fałszywe subtelności. Stąd ten zły gust, jaki pokazali we wszystkiem; byli sofistami w rozumowaniu, miłośnikami ozdóbek w architekturze, twórcami punktów w poezyi i w wymowie. Wszystko to jest płodem jednego ducha". Fénélon, *Dialogues sur l'éloquence.* (Oeuvres de Fénélon, Didot 1861, t. II, str. 678).

wiekach, póki utrzymywać się będzie ten konwencyonalny pogląd na nie, jako na nawias między dwoma okresami cywilizacyi. Ponieważ błąd ten rodzi się i utrzymuje ciągle przez definicyę, dlatego ją samą chcę zaczepić i pokazać, jak dalece ona jest zwodniczą i bezpodstawną.

Zwracam najprzód uwagę na to, że definicya ta jest czysto słowną: „Wieki średnie są pośrednimi wiekami“ — oto wszystko, czego nas uczy, a to, przyznać trzeba, jest niewiele. Czy to jednak odpowiada myśli tych, którzy pierwotnie to słowo stworzyli? Żadną miarą. W pierwotnem swojem znaczeniu słowo to wyrażało zupełnie co innego niż dzisiaj, a zastosowane po naszemu do owych dziesięciu wieków, jest ono pomyłką i mistyfikacyą. Zaraz tego dowiodę.

Historya jest nauką względnie nową; niedawno dopiero zdobyła ona metodę sobie właściwą i wydzieliła się z filologii, z którą była zlana jeszcze w XVI. wieku. Wyrozumieć więc można, że historycy, przyszedłszy po filologach, zapożyczyli od nich ich słownictwo i przenieśli w zakres swej nauki wyrazy, które przechodząc tę granicę, traciły znaczenie. Słowo, którem się obecnie zajmujemy, jest pouczającym przykładem, jakie niekorzyści wyniknąć mogą z podobnych zapożyczań. Filologowie, badając rozwój języka łacińskiego od jego początku aż do swego czasu, skonstatowali w nim kilka okresów i dali każdemu imię. Pierwszy okres był łaciny klasycznej: kiedy powstawały arcydzieła klasycznej literatury, kiedy językiem tym mówiły wszystkie ludy, uczestniczące w cywilizacyi Rzymu. Drugi okres był łaciny barbarzyńskiej: kiedy cywilizacya rzymska ginęła na Zachodzie, ustępując miejsca ludom germańskim, obcym jej duchowi, które jednak mięszały się wszędzie z ludami rzymskimi i uczyły się po trochu łaciny, ale przekształcając ją każdy po swojemu, tak dalece, że wytworzyły się języki nowe. W końcu przyszedł okres, w którym te języki neołacińskie, dostatecznie wyrobione, same już służyły ludom, a łacina pozostawiona uczonym, żyła jedynie w książkach, czyli przeszła w stan języka martwego.

Z tych trzech okresów, pierwszy według powszechnego

uznania rozciągał się od początku państwa rzymskiego aż do Konstantyna W.; bo za jego mianowicie czasów barbarzyńcy zaczęli masami zalegać państwo, aby mu służyć na razie, a w końcu go opanować. Drugi okres ciągnął się aż do Karola W., bo w tym czasie język łaciński, wpadłszy w posiadanie barbarzyńców, stał się narzędziem ich kultury i organem ich pojęć ogólnych aż do chwili, kiedy się narodziły języki nowożytne. Trzeci okres datował się od zgonu Karola W., kiedy się rodziły języki nowożytne; słyszano pierwsze ich kwilenia w Przysiędze Strasburskiej i niebawem wszystkie neołacińskie języki jedne po drugich się wyłaniały.

Każdemu z tych trzech okresów języka łacińskiego filologowie dali nazwę, która oznaczała jego miejsce w rozwoju języka. Pierwszy został nazwany naturalnie wiekiem wysokim, drugi wiekiem średnim, trzeci wiekiem nizkim albo najniższym. „Wiek średni“ więc według swojej etymologii i swego pierwotnego znaczenia oznaczał po prostu okres łaciny, ciągnący się od Konstantyna do Karola W. Takie a nie inne znaczenie ma to słowo i tak je jeszcze rozumiał Ducange, kiedy sławnemu swemu dykcyonarzowi dawał tytuł *Glossarium mediae et infimae latinitatis.*

Jakoż i historycy, którzy, jak powiedziałem, zapożyczyli z początku słownictwo od filologów, nie zmienili z początku szerokości nazwy wieku średniego, gdy ją przenieśli na pole historyografii. Dla nich także, bez żadnej innej racyi, jak zachowanie przyjętego u filologów zwyczaju, wieki średnie, historyczne i polityczne, ciągnęły się od Konstantyna do Karola W.; cały zaś czas następujący określał się u nich nazwą *aetas infima*, co mybyśmy nazwali „okresem nowożytnym“.

Ale właśnie w chwili, kiedy historya modelowała w ten sposób swoje wyrazy na wyrazach filologii, humaniści rozszerzali znacznie granice, które byli dali swemu „wiekowi średniemu“. Uważając, że od XVI. wieku łacina przez nich, jak im się zdawało, odrodzona, powróciła pod ich piórem do pierwotnej czystości, zaczęli upatrywać w dobie sobie współczesnej nowy czwarty okres łaciny, okres jej odrodzenia. Drugi zaś i trzeci okres, które zarówno czasy upadku języka łacińskiego

mieściły, jednakową napiętnowali pogardą i objęli jedną nazwą wieku średniego. W taki sposób wiek średni łaciny liczył się od schyłku państwa rzymskiego za Konstantyna aż do Odrodzenia.

Tym razem jeszcze historycy poszli w ślad filologów. Jak ci ostatni uważali dziesięć wieków chrystyanizmu jako wtrącone pod względem rozwoju języka łacińskiego — kwestya, o której zresztą bardzo różne można mieć zdania — podobnie i historycy niefortunnym instynktem naśladowczym przyzwyczaili się uważać te dziesięć wieków jako wtrącone pod względem rozwoju cywilizacyi. Zapożyczenie słownictwa pociągnęło za sobą zapożyczenie punktu widzenia i pomieszanie pojęć wynikło z pomieszania wyrazów.

Takim to sposobem słowo „średnie wieki“ w dzisiejszem rozumieniu zdołało przemycić się do języka historyografii, nie mogąc wylegitymować swego pochodzenia, ponieważ pochodziło z konfuzyi. Dodać można, że nie na historyków właściwych spada za to odpowiedzialność, ale głównie na pedagogów. Potrzeba klasyfikowania, tworzenia kategoryi jest poniekąd znamieniem ludzi szkoły; to też właśnie profesor, Krzysztof Keller, bardziej znany pod zlatynizowanem nazwiskiem Cellarius, pierwszy wprowadził to słowo w tytuł jednego ze swoich podręczników szkolnych z r. 1688[1]. Inny człowiek szkoły, Loescher, znowu go użył w podręczniku niemieckim r. 1728[2]; odtąd nazwa ta utrzymała się w słownictwie szkolnem, a wsiąkała powoli w język literacki. Zaczęło się to dopiero w połowie XVIII. wieku. A jeszcze zauważyć trzeba, że wielcy pisarze tej epoki, Francuzi i Niemcy, rzadko tylko tego słowa używają i nie bez pewnego wahania[3]. Akademia francuska dopiero w szóstem wy-

---

[1] Chr. Cellarii, *Historia Medii Aevi, a temporibus Constantini Magni ad Constantinopolim a Turcis captam deducta.* Jena 1688.

[2] *Die Historie der mitteleren Zeiten, als ein Licht aus der Finsterniss vorgestellet* von Val. Ernst Löscher, Leipzig 1725.

Można też czytać z korzyścią o tej kwestyi terminologii O. Lorenza, *Die Geschichtswissenschaft in Hauptrichtungen und Aufgaben kritisch erörtet.* Berlin 1886.

[3] „Mąż, który w tych nieokrzesanych czasach, które nazywają wiekami średnimi, zasłużył się rodzajowi ludzkiemu, był to może papież Ale-

daniu swego słownika, z r. 1835, dała mu miejsce w urzędowym poczcie języka [1].

Uwagi dotychczasowe odjęły, jak sądzę, główny punkt oparcia utartej definicyi średnich wieków. Powie kto może, że definicya mimo to stoi, i że bądź z pomocą bądź bez pomocy etymologii, określa się słusznie średnie wieki, jako epokę przejściową. Na to odpowiadamy, że tak wcale nie jest i że historya stanowczo temu zaprzecza. Nietylko epoka ta nie jest przejściową między cywilizacyą starożytną a cywilizacyą nowożytną, ale jest ona początkiem cywilizacyi nowożytnej. Nietylko nie trzeba tej ostatniej datować od Odrodzenia, ale przeciwnie trzeba uznać, że ona wypływa z chrystyanizmu, że jej kolebka ma być szukana jak najbliżej Betleemskiego żłóbka. Zaczyna się ona wtedy, kiedy po zapadnięciu się pogańskiej cywilizacyi Rzymu stało się możliwem budować na jej gruzach społeczeństwa nowe, których nie materyał, ale pierwiastek był chrześcijański. Społeczeństwa te stoją dziś jeszcze na podwalinie, którą wtedy otrzymały, tj. na podwalinie chrześcijańskiej etyki. Rosły te społeczeństwa przez wieki, które nazywają średnimi, ukształtowały się w wiekach, które nazywają nowożytnymi. Jesteśmy istotnie dziedzicami wieków średnich, a nie jak nam mówią, synami Grecyi i Rzymu. Zwichnięto tak dalece nasze pojęcia pod tym względem, kiedyśmy byli w szkołach, że prawda tak oczywista wymaga dowodu.

Otóż dowód ten dajemy.

Wszystko, co społeczeństwo nowożytne posiada trwałego i płodnego, czy to w zakresie pojęć czy instytucyj, wszystko to zapuszcza swe korzenie w owe tajemnicze pokłady tych pierw-

---

ksander III.“. Voltaire, *Essai sur les moeurs*, ch. 27. Wieland pisze *mittlere Zeiten*, Goethe używa zarówno *Mittelalter* i *Mittelzeit*.

[1] Pierwszych pięć wydań Słownika akad. franc. zawierają przy słowie „Wieki średnie“, artykuł następujący: „On appelle autheurs du moyen âge, les autheurs qui ont écrit depuis la décadence de l'empire romain jusque vers le dixième siècle ou environ“.

Dopiero w szóstem wydaniu z r. 1835 czyta się „Moyen âge, le temps que s'est écoulé depuis la chute de l'empire romain en 475, jusqu'à la prise de Constantinople par Mahomed en 1453“.

szych wieków chrześcijańskich. Wieki średnie rozłamały rzymską jedność świata i postawiły na jej miejscu narodowości nowożytne. Narodowości te żyją wciąż, i wiek XX., podobnie jak XIX., nie będzie miał szczytniejszego zadania jak pracować nad ich pomyślnością i utrzymaniem dobrych między niemi stosunków. Wieki średnie stworzyły języki nowożytne, którymi wyrugowały powoli łacinę; języki te żyją i dziś w naszych ustach, i owszem zdobyły za dni naszych doniosłość idealną, jakiej nie miały nigdy. Wieki średnie wiarę chrześcijańską przyjęły z miłością, walczyły za nią na wszystkich polach i wszelką bronią: czyż ta wiara nie jest jeszcze dziś królową świata? A czy jest poza nią, poza chrześcijańskim poglądem na świat, inny pogląd, któryby się był wcielił w równie majestatyczny ustrój jak Kościół, i któryby się mógł szczycić równą płodnością? Wieki średnie urzeczywistniły papiestwo, najbardziej poważaną instytucyę na świecie: a czy dziś papiestwo spadło z tego piedestalu? gdzież jest potęga wyższa od niego? Wieki średnie wprowadziły w życie odróżnienie zakresu duchownego od doczesnego; wielka ta zasada, wypływająca z ewangelicznego słowa, wznowiła ducha politycznego i społecznego w cywilizowanym świecie. Wieki średnie ufundowały monarchię konstytucyjną i rządy reprezentacyjne: dwie rzeczy nieznane starożytności, a które ludy nowożytne uważają za niezbędne politycznej egzystencyi warunki. Pod cieniem tych wolności publicznych, zagwarantowanych kontraktem między panującym a podwładnymi, wieki średnie dały zakwitnąć wszystkim formom stowarzyszeń, począwszy od gminy aż do rzemieślniczego cechu, i przekazały nam wzory, ku którym po tylu rewolucyach nieustannie się zwracamy. Sztuka wieków średnich stała się na nowo naszą; tę nazwę gotyckiej, którą nadano jej architekturze, aby ją upośledzić, my jej dajemy jako tytuł chwały i czerpiemy natchnienie z jej dzieł, któremi poprzednicy nasi tylko pogardzać umieli. Poezya wieków średnich narodowa, którą prawodawcy Parnasu chełpliwie ignorowali, zajmuje w naszych studyach, w naszej sympatyi i uwielbieniu, coraz szersze miejsce, i od dawna już Roland z Roncevaux zastąpił Achillesa w wyobraźni tej młodzieży, która śpiewa i która

marzy. Wszystko, jednem słowem: nasza wiara religijna i pojęcia nasze polityczne, narodowość nasza i nasz język, nasza estetyka i nasza ekonomia społeczna, wszystko jest nam wspólne z wiekami średnimi, a oddziela nas od starożytności. Jesteśmy dziedzicami wieków średnich; ich dzieło prowadzimy dalej, a nie dzieło Odrodzenia. A jeśli jest wogóle epoka, którąby zasługiwała na nazwę średnich wieków w etymologicznem znaczeniu tego słowa, nie jestże to właśnie epoka Odrodzenia, ta która naprawdę otworzyła w historyi ludów nowożytnych nawias, dziś już zamknięty albo blizki zamknięcia. Czyż bogowie, którym się kłaniało Odrodzenie, nie są już strąceni z ołtarzy i czy nie oddalamy się od ideałów Odrodzenia, jak najdalej możemy? Nie chcemy już absolutyzmu królewskiego, ani centralizacyi, która za nim idzie; odpychamy ze wstrętem sławną zasadę XVI. w.: *Cuius regio eius religio*, która jest tylko przetłumaczeniem wyroku Ulpiana: *Quod principi placuit, legis habet vigorem.* W zakresie sztuki i literatury zerwaliśmy stanowczo z klasycyzmem, powracamy do tradycyj narodowych, do źródeł natchnienia ludowego i chrześcijańskiego. A tę pogańską koncepcyę życia, która kazała duszy grawitować około dwu biegunów: uciechy i chwały, duch nowożytny odepchnął ją także; wskazuje on pobudkę do wysiłków człowieka w poczuciu solidarności ludzkiej i bezinteresownej miłości społecznego postępu.

Pod tymi wszystkimi względami podajemy rękę przodkom naszym z wieków średnich, po nad głowami Odrodzenia, i wracamy na drogi, z których nas ono wyprowadziło. Czy to znaczy, że reagując przeciw jednej skrajności, wpadamy w drugą, że zaprzeczamy Odrodzeniu dobrodziejstw, jakie przyniosło, i wyrzucamy ze skarbca cywilizacyi wniesioną przezeń cząstkę? Żadną miarą. Ludzkość niema prawa okaleczać się w ten sposób i ma obowiązek przyjmować z wdzięcznością każde dzieło, które przyczynia się do spotęgowania jej intelektualnych i moralnych sił. Odrodzenie zaś było jednem z najświetniejszych zjawisk intelektualnych, jakie zajaśniały w historyi; takie roztoczyło bogactwo geniuszu, tak ogromnie widnokrąg nasz rozszerzyło, że zawsze zasługiwać będzie z tego tytułu na podziw i wdzięcz-

ność przyszłości. Ale zauważyć trzeba, że pod tym względem Odrodzenie nie było wcale rewolucyą ani zmartwychwstaniem, jak jego nazwa zdaje się wskazywać; było ono tylko kulminacyjnym punktem wiekowego rozwoju, którym średniowiecze, wydobywając się z powijaków dzieciństwa, kosztem wielkiej odwagi i energii dochodziło do sfery promiennej. Toć przecież średniowieczne społeczeństwo, co po całych wiekach mężnych prób i macań, zdołało wreszcie zdobyć najcenniejsze dobra; ono przebyło przylądek Burz, odkryło nowy świat, wymyśliło druk, odgrzebało zakopane skarby cywilizacyi starożytnej. Był to wszechstronny rozkwit społeczny, którego humanizm był tylko jednym z objawów; było to radośne zakwitnięcie potężnej rośliny; ale zanim ta roślina w ostatnim ku światłu wysiłku roztoczyć mogła całe swe bogactwo, jakie musiało być parcie soków, jaka cierpliwa a ukryta praca wegetacyi! By jeden przytoczyć przykład: droga do Indyj nie została odkrytą jednym rzutem; chcąc skreślić historyę tej wielkiej zdobyczy, trzebaby opowiedzieć, jakiemi skromnemi próbami żeglugi nadbrzeżnej Portugalczycy odważyli się najprzód zbadać wybrzeża Afryki, i jaka suma energii, nauki i śmiałości musiała się skapitalizować, zanim jednemu genialnemu człowiekowi mogło przyjść na myśl, żeby się puścić odważnie wskróś bezbrzeżnego oceanu! A co się tyczy samego humanizmu, czy nie widać, jak on się nawiązuje do średniowiecza nieprzerwanym łańcuchem, który od Mikołaja V. sięga wstecz do Petrarki, od Petrarki do Danta, a od Danta do Karola W., bez żadnej przerwy literackiej tradycyi, w nauce klasyków, i bez przerwy namiętnej miłości, z jaką ta nauka była uprawiana? Uważane pod tym kątem Odrodzenie jest więc także średniowieczem, jest córą i dziedziczką poprzednich wieków, a nie jakąś obcą, przychodzącą rzucić na rynek europejskich ludów skarby jakiegoś odnalezionego świata. Jest niezawodnie w Odrodzeniu coś nowego, czego wieki średnie nie znały, a to, powtarzam, jest to czysto pogańskie pojęcie życia, które Odrodzenie w pewne sfery literackie wprowadziło; ale pierwiastek ten poroniony został, niby szczep nieudany na potężnym pniu; a to, co z Odrodzenia pozostało żywem, to są pierwiastki, któ-

rymi się ono nawiązuje do tradycyi katolickiej i ludowej wieków średnich.

Z tego, cośmy dopiero powiedzieli, już można wnosić, że nie należymy do tych (jeżeli są tacy), którzy sądzą, iż średnie wieki zrealizowały ideał społeczeństwa i że postęp naszego wieku zależeć powinien na cofaniu się ku nim. Tak nie jest. Wolno wprawdzie, tak narodom jak jednostkom, obracać się z rzewnem wspomnieniem ku wesołym latom swego dzieciństwa, ale to nie znaczy, że chcą znowu stać się dziećmi; średniowiecze jest epoką naszych lat młodych; wspominamy je z upodobaniem jako wiek pacholęcy, zdrowy i tęgi, który nie skarłowaciał w ciemnościach i nie zgnił w zepsutej atmosferze, ale wyrósł śmiało na wolnem powietrzu i słońcu, i przekazał nam tę silną konstytucyę, jaką się cieszy dzisiejsze społeczeństwo. Chlubić się tą ostatnią, jest to oddawać hołd bogatej krwi, jaką nam przekazali przodkowie nasi z wieków średnich.

Z tem wszystkiem należy uznać, że te wieki miały wady właściwe każdemu dziecięctwu. Temperament owego czasu grzeszył nadmiarem zapalczywości i brakiem karności, który przejawiał się często w wyskokach gwałtownych; niedość ujarzmiona barbarya przejawia się w nim nawet w najpiękniejszych chwilach, tak w prywatnem, jak i w publicznem życiu. Uwodziła naszych ojców zbyt często wyobraźnia, zbyt często byli igraszką idealizmu tak bezwzględnego, że zdaje się niekiedy, jakoby żyli we śnie. Niedość ufali rozumowi, powtarzali zbyt chętnie: *magister dixit*, i poddawali się zbyt łatwo powagom umysłowym, które zasługiwały pewnie na szacunek, ale które też nieraz nie dawały im myśleć własnym rozumem.

Mieli oni zresztą za mało doświadczenia, aby ocenić należycie cywilizacyę, jaką posiadali; z naiwnością nieomal tragiczną wymieniali swe skarby za fałszywą monetę najrozmaitszych nowatorów. Wady te są ciężkie; myśmy się ich po części po zbyli w przeciągu wieków, nabywając może inne, nie lepsze od tych; ale, powtarzam raz jeszcze, te wieki średnie z tymi przymiotami i temi wadami, to my sami jesteśmy, tacy jacyśmy byli ongi, tacy jakimi po części dziś jeszcze jesteśmy, gdy czerpiemy

natchnienie z Ewangelii a nie z Digestu, gdy wolimy Wielką Chartę niż *Legem regiam*, gdy rozumiemy lepiej pieśń Rolanda niż Iliadę i modlimy się chętniej w Sainte Chapelle niż w Partenonie. Gdybym miał zdefiniować społeczeństwo nowożytne, powiedziałbym, że jest to społeczeństwo średnich wieków, dorosłe do wieku dojrzałego.

To mnie przywodzi do konkluzyi.

Właściwie mówiąc, niema średnich wieków. Nazwa ta prowizoryczna, której słowniki przyszłości znać nie będą, nie oznacza nic innego, jak młodość świata nowożytnego. W złotym łańcuchu, który wszystkie wieki chrześcijańskie wiąże, niema przerwy ciągłości, a wszystko, co należy do pierwiastków naszej cywilizacyi, tryska z niewyczerpanych źródeł życia, otwartych przez chrystyanizm przed dziewiętnastoma wiekami. Niema średnich wieków; jest tylko społeczeństwo nowożytne, identyczne sobie od swego początku — a ono jest córą ewangelii. W tem znaczeniu uznaję chętnie z historykiem angielskim Freemanem, że linie graniczne, zakreślone przez chronologiczne rachunki, wartość mają tylko formalną i pedagogiczną, gdyż każdy okres zawarty już jest w poprzedzającym i odnajduje się także w następnym. Dodaję jednak zaraz, że ta reguła podlega jednemu, a transcendentalnemu wyjątkowi: jest jedna linia szczytowa dzieląca na dwa skłony dzieje ludzkości, ta linia, na której wznosi się kalwaryjski krzyż. Dlaczego? Dlatego, że z tego punktu rozbrzmiało drugie *fiat lux* drugiej kreacyi, z tego punktu spłynęło na świat nowe prawo nowej cywilizacyi, to *mandatum novum*, które sam Chrystus tak nazwał. W dniu, w którym powiedziano człowiekowi: „Kochaj Boga nadewszystko, i bliźniego jak siebie dla Boga“ — obywatelowi: „oddaj Bogu, co boskiego, a cesarzowi, co cesarskiego“ — państwu: „Szukajcie najprzód królestwa Bożego i jego sprawiedliwości“ — w dniu tym powstała nowa etyka, nowe prawo publiczne, nowy społeczny ideał. Rzucone w łono ludzkości, niby ferment tajemniczy, to słowo twórcze przerabiało ją i przenikało. Wszystkie pędy sprawiedliwości i miłości, jakie wiek po wieku w jej łonie się jawią, są tylko owocem tej przedziwnej fermentacyi. „Podobne

jest królestwo niebieskie kwasowi, który wziąwszy niewiasta zakryła we trzy miary mąki, aż wszystka skwaśniała“ [1].

Od tego dnia, w którym chrystyanizm dał w rękę ludzkości kompas i wskazał jej gwiazdę polarną, zaczyna się dla tej ludzkości życie, które warto żyć, i którego stary wieszcz miał, jak się zdaje, ciemne przeczucie, gdy na portyku nowego świata wypisywał ten wielki wiersz:

Magnus ab integro saeclorum nascitur ordo...

Wtedy rozpoczyna się uroczysty pochód wieków chrześcijańskich, które idą za krzyżem ku ideałowi:

Vexilla Regis prodeunt,
Fulget crucis mysterium.

I od kiedy się narodziło to społeczeństwo chrześcijańskie, pracuje ono z rozmaitem powodzeniem nad zrealizowaniem tego niebotycznego ideału. Średnie wieki rozpoczęły dzieło, wieki zwane nowożytnymi szły za nimi, nasz czas prowadzi dalej dzieło jednych i drugich, i przekaże je, nie skończone, wiekom przyszłym. Bo budowla cywilizacyi chrześcijańskiej podobna jest do tych wspaniałych katedr gotyckich, których genialni architekci plan tylko skreślić zdołali i fundamenta położyć, a radości patrzenia na zrealizowanie swego dzieła nie mieli za życia. Przychodziły nowe pokolenia, pracowały dalej nad gmachem z miłością, wlewając weń, co miały talentu, bogactwa; czasem współzawodniczyły genialnością z natchnionym mistrzem, czasem znów przysłaniały linie architektoniczne profuzyą kwiatów rodzących się z ich podziwu; czasem wreszcie zdradzały oschłością i dziwactwem swych robót przesilenie, jakie idea chrześcijańska w ich sztuce przechodziła; skąd wiekowy pomnik nosi na sobie ślady wszystkich przejściowych upodobań estetycznych. A zdarzały się też w długim ciągu pokoleń chwile, w których zmęczenie ubezwładniało ręce, zwątpienie paraliżowało odwagę, i materyały drzemały u stóp budowli — tak dalece, iż legenda się wmieszała, twierdząc, jak w Kolonii, że pomnik nigdy skoń-

[1] Mat., XIII, 33.

czony nie będzie, bo dyabeł nie da... A przecież ten koloński gmach jest dziś skończony i króluje w niebieskiem przestworzu.

Alter Uhu, dir zum Trotze,
Dir und deinen Lästerzungen! [1]

Będzie z gmachem cywilizacyi katolickiej tak, jak z czcigodną świątynią kolońską. I nad nim pracowały ręce najrozmaitsze i talenta najprzeciwniejsze; i w jego budowli były czasy zastoju, w których rodziły się legendy złowrogie; i on też widzi nowe zastępy robotników, wspinających się po jego ścianach i pracujących nad wzniesieniem coraz wyżej jego cudnego szczytu. I my, panowie, mamy szczęście należeć do tych zastępów, a jakkolwiek mały kamień ociosujemy, znajdzie on pewnie swoje miejsce i użytek, bo ociosujemy go według planu, jaki „Mistrz dzieła“ pozostawił.

Jeszcze słowo dodam. Pracując nad ukończeniem świątyni cywilizacyi, nie będziemy się zrażać tym różnorodnym duchem ozdób zewnętrznych, pochodzącym z odmian mody i gustu robotników, którzy niższe piętra stawiali; uszanujemy rozmaitość symboliczną tej pracy wiekowej, pomnąc, że jeśli piękność gmachu wymaga jedności stylu, jest jednak piękność wyższego rzędu, wynikająca z kontrastów zlanych i zharmonizowanych w niewysłowionym majestacie domu Bożego. Gdy gmach będzie skończony, będzie tak piękny, że zachwyci oczy najbardziej uprzedzone, będzie tak wielki, że pomieści wszystkie ludy ziemi, będzie tak wysoki, że umysły najśmielsze uczują się w nim swobodne. Zapuści on swe podwaliny aż do ostatnich głębin ludzkości i wzniesie aż pod niebiosa szczyt, na którym błyszczeć będzie zwycięski znak krzyża.

Godfryd Kurth.

[1] F. Weber, *Dreizehnlinden.*

WALKA RASOWO-EKONOMICZNA W POZNAŃSKIEM.

(Ciąg dalszy).

II.

Społeczeństwo polskie wobec ucisku niemieckiego.

Rzadko kiedy dostało się społeczeństwo mniej przygotowane pod władzę jakiegoś zdobywcy, niż społeczeństwo wielkopolskie, przechodząc w kleszcze rządu pruskiego. Oczywiście trudno wierzyć tendencyjnym elukubracyom w rodzaju p. Maksa Beheima-Schwarzbacha *Der Netzedistrict zur Zeit der ersten Theilung Polens* i t. p., opisującym w najczarniejszych barwach barbarzyńskie społeczeństwo polskie li tylko, by udowodnić tezę, że dzięki wyłącznie pruskim rządom *blüht neues Leben auf den Ruinen;* niemniej przeto stan faktyczny ludności wielkopolskiej z końcem zeszłego wieku nie w różowych przedstawia się barwach. Szlachta zepsuta dwuwiekową anarchią polityczną, pod względem ekonomicznym znarowiona łaską królewską w postaci starostw lub księżym chlebem tj. zasiłkami spokrewnionych bogatych dostojników duchownych, a w końcu nawet zaprzedająca się w części obcym dworom, przedstawia się jako czynnik ekonomiczny na pozór potężny, bo władający całą ziemią, lecz w gruncie rzeczy mało odporny. Mieszczaństwo zawisłe od szlachty, przeważnie niezasobne, zajmuje się wprawdzie rękodzielnictwem, lecz bardzo prymitywnem i dlatego szuka zarobku pobocznego w rolnictwie. Lepszy przemysł, jak sukiennictwo, handel większy

znajdowały się w rękach Żydów i Niemców. Materyałem roboczym był tylko chłop, gnieciony pańszczyzną i poddaństwem, obojętny na to, co się działo wokoło niego. Szlachtę więc wyzuć powoli z ziemi, chłopa i małomieszczaństwo pozyskać dla idei pruskiej — oto cel na pozór łatwy do osiągnięcia, jaki stawił sobie od razu rząd pruski.

I przyznać trzeba, że pod względem ekonomicznym ułatwiała szlachta rządowi zadanie, nie troszcząc się wiele o utrzymanie swej ziemi, nie troszcząc się o ekonomiczną swą przyszłość, spodziewając się natomiast lepszego dla siebie zwrotu w przewrotach politycznych, które w końcu zeszłego i początku obecnego wieku wstrząsały kontynentem europejskim. Wszystko się składało, aby te nadzieje utwierdzić, wzmocnić i ustawicznie żywić. Proszę pomyśleć sobie rozbiór z r. 1772, konstytucyę trzeciego maja, powstanie wielkopolskie Henryka Dąbrowskiego z r. 1794, następnie powstanie legionów, zwycięstwa Napoleona, pogrom Prusaków w r. 1807, Księstwo Warszawskie, wreszcie powstania z r. 1831, 1848 a nawet 1863, a zrozumiemy poniekąd to zapatrzenie się społeczeństwa poznańskiego w stronę polityczną, to zaniedbywanie interesów ekonomicznych, wyzyskiwane ustawicznie i konsekwentnie przez rząd. A kiedy przyszło oprzytomnienie, wtedy sztucznie podtrzymywać to wrzenie polityczne, tak korzystne dla interesów pruskich, usiłuje policya pruska w osobie Baerensprunga. Zasadzka się nie udała społeczeństwo ostrożniejsze zaczyna się oryentować, wzmacniać swe pozycye ekonomiczne; wtedy zrzuca się już maskę bezstronności i wypowiada się otwartą wojnę ekonomiczną w postaci stomilionowego funduszu. To mając na pamięci, zrozumiemy tę niesłychaną klęskę ekonomiczną tj. stratę blizko 6 milionów mórg magdeburskich w ciągu jednego stulecia, z tego blizko $4^1/_2$ miliona mórg wielkiej, $1^1/_2$ miliona mniejszej posiadłości.

Z drugiej strony trudno nie przyznać, że społeczeństwo poznańskie dostało się w ręce rządu bardzo mądrego i rozumnego, w kuratelę społeczeństwa o wiek lub dwa wieki dalej posuniętego, niż polskie. Wrogi był rząd zwłaszcza dla stanu szlacheckiego, duchowieństwa i inteligencyi, ale był rząd najwzo-

rowszy pod względem administracyi, wymiaru sprawiedliwości. Zaprowadzono ład i porządek, budowano znakomite gościńce, kanały, gęstą sieć kolejową. Uregulowano najwcześniej sprawę uwłaszczenia włościan, uregulowano ją rozumnie, postarano się rychło o oświatę ludu, tępiono energicznie i sprężyście lichwę, stworzono od dawna tańszy kredyt t. zw. Bank kredytowy ziemski: „landszaftę“. Wzorowe gospodarstwa niemieckie były wzorami dla polskich, tędzy gospodarze niemieccy, wielcy czy mali, byli nauczycielami dla polskich. Podniósł się przemysł i rękodzielnictwo polskie, wzorując się na niemieckiem. Tych zasług rządu pruskiego i społeczeństwa niemieckiego ukrywać nie myślimy, naturalnie z tem zastrzeżeniem, że nie dla pięknych oczu Polaków starano się o podniesienie kultury w Poznańskiem, lecz dla większej wydatności ziemi tej pod względem podatkowym. Koniec końcem wrogą, twardą, ciężką, ale bądź co bądź do pewnego stopnia pod względem materyalnym korzystną przechodzi społeczeństwo poznańskie szkołę pod rządem pruskim i tej to okoliczności zawdzięcza, że mimo wszystko, pod wieloma względami przewyższa współziomków swych pod innymi zaborami, zwłaszcza zaś w dziedzinie ekonomicznego postępu.

Na tem tle ogólnych uwag wypada nam skreślić teraz pojedyncze warstwy społeczeństwa polskiego w Poznańskiem, naturalnie w najogólniejszym zarysie, zważyć ich zdobycze i klęski na polu ekonomicznem i reasumować ostateczny *facit* lub *debet* z tej zaciekłej walki, jaką toczyć muszą.

Od pierwszej chwili z największą energią wytężono siły przeciw przedniej warstwie narodu tj. szlachcie, jako narodowo najwięcej uświadomionemu, ekonomicznie najsilniejszemu stanowi. Wszak *feriunt summos fulgura montes.* Nie dziw, że tutaj bój najzażartszy, że *celsae graviore casu decidunt turres,* że w tym przednim poczcie największe klęski są do zanotowania. Dziś ogólny obszar polskiej własności większej wynosi tylko około $2^1/_2$ miliona mórg magdeburskich, z tego jest własności kościelnej 61.580 mórg; reszta jest własnością prywatną w ręku 665 właścicieli. Rodzin 62 (277 właścicieli) posiada przeszło po 10.000 mórg, a mianowicie: przeszło 100.000 mórg Żółtowscy

i Skórzewscy, przeszło 90.000 mórg Mielżyńscy, przeszło 70.000 mórg Kwileccy, Raczyńscy i Radziwiłłowie, przeszło 60.000 mórg Czarneccy, przeszło 50.000 mórg Zamoyscy i Chłapowscy, przeszło 40.000 mórg Bnińscy, Taczanowscy, Potuliccy i Mycielscy, przeszło 30.000 mórg Moszczeńscy, Potoccy, Potworowscy i Czapscy, przeszło 20.000 mórg Łąccy, Sułkowscy, Chełmiccy, Wężykowie, Czartoryscy, Ponińscy, Szułdrzyńscy, Kęszyccy, Gąsiorowscy, Sczanieccy, Szembekowie, Radolińscy, Gajewscy, Sikorscy, Stablewscy, Mieczkowscy, Karśniccy i Dzieduszyccy, przeszło 10.000 Połczyńscy, Szołdrscy, Turnowie, Kurnatowscy, Skrzydlewscy, Modlibowscy, Zakrzewscy, Chrzanowscy, Morawscy, Żychlińscy, Mańkowscy, Działyńscy, Koczorowscy, Grudzińscy, Donimirscy, Chełkowscy, Kościelscy, Mliccy, Ślascy, Zabłoccy, Bruscy, Ogińscy, Hulewicze, Lipscy, Działowscy, Biegańscy i Sierakowscy [1]. Na każdą rodzinę przypada w przecięciu po 27.000 mórg, a na każdego właściciela po 6.580 mórg. Pozostały obszar 982.111 mórg rozdziela się na 388 właścicieli, czyli przypada w przecięciu na każdego po 2.530 mórg. Ogólne przecięcie wynosi na każdego właściciela po 4.800 mórg.

Oto stan majątkowy szlachty polskiej w Poznańskiem w chwili obecnej. Stan, ogółem biorąc, niewesoły — jeżeli się zważy owe $4^1/_2$ miliona mórg posiadłości większej w ręku niemieckim — dla jednostki ze względu na obszar przeciętnie na nią przypadający nie niekorzystny, gdyby był stały, a nie zmieniał się ustawicznie na niekorzyść naszą. Własność ziemską polską możnaby porównać z wyspą Helgoland, otoczoną falami niemieckiego morza, bez przerwy wystawioną na ich burzące działanie. Co rok fala niemiecka urywa bezpowrotnie strzęp polskiej ziemi. Rokrocznie kurczy się ziemia ojczysta o kilkadziesiąt czy kilkanaście lub przynajmniej kilka tysięcy hektarów. Rok 1897 jest

[1] Powyższy spis pochodzi z r. 1895, dlatego tu i owdzie np. przy Kościelskich, Mielżyńskich zaszły pewne zmiany; Działyńskich i Radolińskich, jednych z powodu zrzeczenia się majątku na rzecz Czartoryskich, drugich z powodu zniemczenia należałoby usunąć z powyższego spisu. Ogółem biorąc jednak, spis powyższy odpowiada i dziś jeszcze rzeczywistemu stanowi posiadania naszej szlachty.

bardzo korzystny dla nas; wszak wielcy właściciele ziemscy, Polacy, jak np. hr. Stefan Kwilecki z Dobrojewa wykupili około 1.400—1.500 hekt. ziemi [1], mimo to w ciągu 9 miesięcy b. r. już przeszło 2.500 hekt. przeszło w ręce niemieckie. Niema prawie miesiąca, by podobnych hiobowych wieści nie słyszało lub nie czytało się. Nie dziw, że ogarnia zwątpienie. Od jednego z najzamożniejszych ziemian usłyszałem, bawiąc w jego domu, Kasandrowe słowa: „Dziś majątek mój nie obdłużony, za kilkanaście lat jednak dziedzicem będzie tu prawdopodobnie Niemiec".

Ziemiaństwo wielkopolskie jest przedmiotem nieustannych pocisków ze strony pewnych organów nietylko miejscowej, ale i zamiejscowej prasy; zarzucają mu niedołęstwo, lekkomyślność i marnotrawstwo, życie nad stan, a przedewszystkiem zanik poczucia obowiązków obywatelskich. Niezawodnie są tacy, których ten surowy sąd słusznie dotyka; zdaniem mojem, na jeszcze surowszy, na wzgardę całego społeczeństwa zasługują ci, którzy bez potrzeby, dla wygody lub dla zysku ułatwiają wrogowi działalność skierowaną na naszą zagładę. To epigonowie nieodrodni dawnych przedawczyków. Na szczęście, tych moralnych bankrutów na palcach policzyć można. Więcej jest już takich, którzy lekkomyślnie, bez rachunku żyją nad stan, póki komornik i wierzyciele nie zakołatają do bram, a wtedy naturalnie najwięcej dający jest zbawicielem, oczywiście w postaci komisyi kolonizacyjnej, Landbanku hakatystycznego lub jakiego bankiera niemieckiego. I ten typ jest dziś na wymarciu, choć sporadycznie, dzięki atawizmowi, on zawsze się odradza. Głównie atoli kryzys ekonomiczna, spadek cen zboża i innych płodów rolnych, zastój, trapiący od całego już szeregu lat rolnictwo europejskie, dający się z samej natury rzeczy najgroźniej we znaki okolicom o przeważającej wielkiej własności ziemskiej, jest przyczyną bankructwa nietylko naszych ziemian. Wszak tak renomowani z powodu swej sprężystości, oszczędności i in-

[1] W ostatniej chwili tj. w październiku 1897 r. donoszą nam z Poznańskiego, że pp. Skrzydlewski i Józef Moszczeński wykupili z rąk niemieckich dobra Golina obszaru 4 125 morgów magdeburski około 1.000 hkt).

teligencyi rolnicy niemieccy w największej liczbie wypadków znajdują się w daleko krytyczniejszem położeniu ekonomicznem, niż ich towarzysze niedoli, Polacy. Chwilę tę materyalnego upadku i ściśle złączonego z nim moralnego przygnębienia bardzo znacznej liczby wielkich właścicieli ziemskich, uznał rząd pruski z inicyatywy ks. Bismarka za stosowną do zgermanizowania kresów wschodnich za pomocą dobrowolnego wywłaszczenia z ziemi Polaków. Komisya kolonizacyjna na brak klientów, ofiarujących jej swą ziemię, jakeśmy wyżej widzieli, uskarżać się nie miała potrzeby. Piętnując ze wzgardą tych, którzy bez potrzeby ojczystą ziemię oddawali wrogowi za garść złota, potępiając bezwzględnie tych, którzy dzięki swej lekkomyślności ją skurczyli, czyż mamy rzucić także kamień potępienia na tych, co stojąc nad samym brzegiem materyalnej ruiny, ratowali się sprzedażą swej ojcowizny na rzecz komisyi, która wyłącznie prawie nabywa majątki, a w każdym razie płaci najwyższe ceny? Wszak bez tej korzystnej sprzedaży, która im zapewniała kilkanaście lub kilkadziesiąt tysięcy marek funduszu, czekałaby ich subhasta i kij żebraczy. Tonący i brzytwy się chwyta. Natomiast nie możemy pominąć milczeniem tych okoliczności, dzięki którym nasi ziemianie sami poniekąd gotują tę ruinę majątkową, która germanizacyi ułatwia zadanie. Przedewszystkiem większość zbankrutowanej szlachty naszej, rekrutuje się z tych, którzy po prostu nie poznali *signa temporis* tj. przełomu ekonomicznego i nie umieli się doń zastosować. Inne były warunki życia około r. 1870, kiedy zboże płaciło inaczej, kiedy wełna tyle przynosiła dochodu, robotnik był tyle tańszy, a podatki nie tak wyśrubowane. Kto nie był finansowo silnym i mimo zmienionych zupełnie warunków nie zmienił trybu życia, oczywiście musiał ekonomicznie ginąć, nie będąc wcale utracyuszem lub marnotrawcą. Tak samo dzieci właściciela majątku, dzieląc się mieniem ojcowskiem, potrzebują tylko tak samo żyć jak rodzice, by żyć nad stan i byt swój materyalny podkopać. Otóż w wychowaniu dzieci złem lub nieodpowiedniem, zdaniem mojem, tkwi przyczyna większej części ruin materyalnych. Zbyt wygodne, miękkie, papinkowate wychowanie synów stwarza pokole-

nie słabe, nieodporne na zmiany losu. Wielu z tych popsutych pieszczochów nawet nie kończy gimnazyum, choć ma warunki materyalne po temu, część zadawalnia się tylko świadectwem jednorocznej służby. Ci, którzy ukończą szkoły średnie, zamiast przygotować się gruntownie do zawodu agronomicznego, teoretycznie i praktycznie, niejednokrotnie marnują czas na uniwersytetach, bawiąc się w najlepszym razie w studya filozoficzne, prawnicze, bardzo chwalebne, ale tylko jako dodatek do agronomicznych, przysposabiających w pierwszym rzędzie do obowiązków stanu. Jeżeli zaś po takim krótkim pobycie uniwersyteckim, choćby nie hulaszczym, bez egzaminu, a choćby z egzaminem, młodzieniec wróci na zagon ojczysty, ożeni się i zacznie gospodarować, to nie dziw, że jest oddany na łaskę i niełaskę oficyalistów, nie zawsze sumiennych; nie dziw, że nie może wytrzymać konkurencyi z właścicielem niemieckim, który jest z reguły agronomem i to wykształconym, dzielnym agronomem. Ten sam brak przygotowania do trudnych, coraz trudniejszych obowiązków stanu jeszcze w wyższym stopniu uwydatnia się w wychowaniu żeńskiem. Córka obywatela wychowana przez guwernantki, może w zakładzie jakimś drezdeńskim, wrocławskim, a choćby krakowskim, nauczyła się poprawnie mówić po francusku, niemiecku, ba! angielsku nawet, ale gospodarstwa domowego niewiele. Szkoda, że idee piękne i wzniosłe hrabiny Zamoyskiej tak mało znajdują uznania właśnie w sferach obywatelstwa poznańskiego, które jeżeli jakie, oszczędnych, rządnych, rozumnych pań i gospodyń potrzebuje. Pod względem wychowania dzieci jeszcze jest wiele do zrobienia, choć przyznajemy, że i na tem polu zaznacza się zwrot ku lepszemu.

Agronom właściciel, Niemiec, mając rodzinę liczniejszą, ma rozległe pole dla zapewnienia swym dzieciom przyszłości. Czy karyera wojskowa, czy dyplomatyczna, czy administracyjna, czy sądowa, stoi junkrom na oścież otwarta. Mając byt odpowiedni stanowi zapewniony, nie potrzebuje się syn niemieckiego ziemianina na ojcowską fortunę oglądać, nie domaga się działów lub spłat, rujnujących majątek rodzinny. Polak wykluczony jest od wszelkich beneficyj rządowych — to prawda, lecz czyż młodzi

Polacy tylko na roli muszą szukać chleba? Przyznajemy, że w nowszych czasach mamy dzielnych lekarzy, adwokatów i duchownych, rekrutujących się ze sfer szlacheckich, sądzimy, że liczba ich mogłaby być znaczniejszą, daleko znaczniejszą ze względu na interes społeczeństwa i ziemiaństwa samego. Natomiast tak ważne i tak lukratywne pole przemysłu i handlu jest całkiem prawie przez młodzież szlachecką niewyzyskane. U nas chwyta się szlachcic przemysłu lub handlu wtedy, kiedy zbankrutował na wsi i resztą uratowanego kapitału chce zarobić na utrzymanie. Oczywiście nie znając się na interesie, który zakłada, nie wdrożony do niego, traci resztę kapitału i staje się ciężarem swej rodziny lub znajomych. A jednak, jeżeli jakie pole, to to właśnie mogłoby z wielką, bardzo wielką korzyścią przez synów szlacheckich być wyzyskane. Mogą się odpowiednio wykształcić w szkołach i akademiach handlowych, czy techniczno-przemysłowych, mają kapitalik do rozpoczęcia jakiegoś interesu, zatem wszystko to, co dorobkiewicze ze sfer niższych dopiero zdobyć sobie z największym trudem muszą, a jednak większe zakłady fabryczne, większe handle, przynoszące znacznie większe zyski niż rola, są w ręku obcych. Czyżby parowych cegielni, kaflarni i t. p. ceramicznych zakładów, tak ważnych dla ziemiaństwa samego, nie mogło być więcej w ręku polskiem, nie jak to ostatnia wystawa prowincyonalna w Poznaniu okazała? Czyżby syn obywatela, przygotowany na kupca, nie mógł na większą skalę prowadzić handlu zbożowego? Czyżby nie mógł założyć fabryki cykoryi i pobierać tych zysków, które ciągną dziś magdeburscy fabrykanci? Pod tym względem nasza szlachta wiele mogłaby się nauczyć od szlachty angielskiej, która nie znając wstrętu do przemysłu i handlu, z tych źródeł każe czerpać zwłaszcza młodszym synom środki do utrzymania, najstarszemu przekazując majątek rodowy. Tylko w ten sposób regulując sprawę spadku majątkowego, zdoła się średnia własność szlachecka ochronić od ruiny, a przyczynić do wytworzenia zdrowego i zasobnego patrycyatu przemysłowo-handlowego po miastach i inteligencyi niezawisłej od rządu.

Piękny i naśladowania godny przykład poświęcenia w spra-

wie ratowania ziemi ojczystej dała niedawno pewna rodzina obywatelska w powiecie pleszewskim. Odziedziczywszy zniszczony długoletnią dzierżawą majątek ziemski, matka z kilkorgiem dzieci zrzekli się wszelkich doń pretensyi na rzecz najstarszego ze synów. Stosunki powyższego majątku były jednak tak zawikłane, że nowy właściciel nie widział innego sposobu wyjścia, jak sprzedaż tego majątku, i gotów już był odstąpić go po spłaceniu długów za 60.000 mk. lub za roczną rentę 3.600 mk. zamożnemu, sąsiedniemu obywatelowi, Polakowi. Ten jednakże udał się do Ziemstwa Kredytowego Poznańskiego, przekonał się, że na majątek rzeczony można zaciągnąć znaczną jeszcze pożyczkę, i nie przyjmując korzystnej bądź co bądź dla siebie oferty, dopomógł właścicielowi do uratowania kilku tysięcy morgów ziemi polskiej. Na takie jednak wyjątkowe objawy rodzinnej i sąsiedzkiej bezinteresowności społeczeństwo liczyć nie może i w celu uratowania topniejącej wielkiej własności polskiej należałoby się chwycić jedynie racyonalnego środka, tj. tworzenia jak największej ilości ordynacyi, tem więcej, że to środek pod zaborem pruskim nietrudny do przeprowadzenia. Wedle określeń pruskiego prawa ziemskiego [1] może założyć ordynacyę każdy właściciel ziemski, który się wykaże dochodem pewnym i stałym *minimum* 7.500 mk. Taka ordynacya powstaje przez sankcyę sądu. Ordynacye, mające więcej jak 30.000 mk. dochodu, potrzebują sankcyi cesarskiej. Stempel wynosi 3% od wartości. O ile mi wiadomo, Polacy pod względem zakładania ordynacyi nie natrafiali nigdy dotąd na trudności u rządu albo u cesarza. Odstrasza tylko procedura zakładania ordynacyi dość nudna i żmudna: bardzo dokładne taksy majątkowe, drobnostkowe regulacye hipotek, dokładne statuta, określające kwestye obdłużenia ordynacyi i t. d. Że Polacy dotychczas nie mają pod tym względem trudności, dowodzą w tym i w przeszłym roku pozakładane wielkie ordynacye u Potockich na Bendlewie i Dakowach, Łąckich na Posadowie i Lwówku. Oprócz tego pracuje się obecnie nad założeniem jeszcze dwóch ordynacyi, któ-

[1] *Preuss. Landrecht,* II. Theil, Titel 4, Abschnitt 1—6, § 1—22 b.

rych atoli przed czasem wymieniać nie można. Ordynacye polskie w Księstwie mi znane są: majorat Niegolewskich w Niegolewie, fideikomis Kwileckich na Kwilczu, majoraty Kwileckich na Wróblewie, Sułkowskich na Rydzynie, Radziwiłłów na Antoninie, Skórzewskich na Czerniejewie, Taczanowskich na Taczanowie, Twardowskich na Kobelnikach, Czapskich-Hutten w Smogulcu, Potulickich w Próchnowie, Raczyńskich w Obrzycku, Czartoryskich na Gołuchowie.

Jest to właściwością słowiańskiej rasy — twierdzi pewien niemiecki uczony — że nie umie wyzyskać siły ludzkiej i dlatego zbyt wiele tej siły niepotrzebnie zużywa. Chodzi tu o bardzo liczny personał służbowy po dworach polskich, gdzie widzimy użytych tylko do posług osobistych właściciela i jego rodziny: kucharza, kamerdynera, lokaja, ogrodowego, stangreta, forysia, gospodynię, garderobiankę, panny służące, pokojówki, dziewki i t. d. i t. d. Wprawdzie piszą z Poznańskiego do *Ruchu katolickiego*, że „zniknęły dawne, liczne, dworskie czeladzie i kredensowe darmozjady", że „po zachodniemu urządzona służba zdumiewa ilością pracy, logicznie skupionej w jednym ręku" [1]. Czy wszędzie atoli tę potrzebną reformę przeprowadzono? Czy wobec trudnych warunków i drogiej służby, nie przydałoby się w tej mierze jeszcze więcej zachodniej, francuskiej oszczędności? Z drugiej strony dość często się daje spostrzec przesada w przeciwnym kierunku, chęć robienia oszczędności kosztem robotnika i urzędników gospodarczych, przyczem oczywiście właściciel wychodzi, jak Zabłocki na mydle. Podczas gdy właściciel Niemiec z reguły urzędników swych, zawsze prawie Niemców, płaci dobrze, darzy zaufaniem i rzadziej zmienia, wielu jeszcze właścicieli Polaków zmieniają co chwila swych urzędników, starają się o jak najtańszych, zwłaszcza nieżonatych i w ten sposób powierzają gospodarstwo ludziom niepewnym, wątpliwej uczciwości, i narażają się bezwarunkowo na straty daleko większe, niż zyskują na małej płacy, dawanej urzędnikom. Stąd wyrobiła się nawet u niektórych ziemian naszych zupełnie fałszywa opinia o nieudolności i niesu-

[1] „Z Poznańskiego", fejleton z 15 października i następne.

mienności urzędników gospodarczych Polaków w przeciwieństwie do agronomów Niemców, którzy dlatego tylko są sumienniejsi, że mając o wiele więcej stanowisk do wyboru, nie potrzebują tak tanio swej pracy właścicielowi sprzedawać. To samo odnosi się do wyrobników dominialnych. Z prawdziwym bólem nieraz musi się słyszeć od rataja lub fornala, że wolą u Niemców służyć, gdyż ten daje mu większą zapłatę i lepszą ordynaryę, a nie zboże zmieszane z plewami, jakie polscy panowie dają. Byłoby atoli niesprawiedliwością odnosić to do ogółu polskich właścicieli. Cały szereg wzorowych dominii polskich posiada dobrze płatną, wierną i sumienną administracyę i odznacza się ojcowską iście troskliwością około dobra służby dworskiej, że wspomnę tylko hr. Żółtowskich z Godurowa i Niechanowa, pana Czorbę z Krajewic, ks. Zyg. Czartoryskiego z Rokosowa i t. d. Oczywiście nic na tem nie tracą.

Długi czas Niemcy natrząsali się z t. zw. polskiego gospodarstwa, dziś nawet najzaciętsi nasi wrogowie, nawet hakatyści przyznać muszą, że „do wyjątków należy już to, co się nazywa *polnische Wirtschaft*“; że przeciwnie „dość często spotkać się można z polskiemi gospodarstwami wzorowemi, jak np. w Zbrudzewie u Skrzydlewskich“ [1]. Obok wielu innych okoliczności zasługę niemałą około tego rozwoju agrykultury polskiej ma bez wątpienia Centralne Towarzystwo gospodarcze w W. Ks. Poznańskiem, obejmujące cały szereg filialnych, do których nasze ziemiaństwo należy.

Prezesem i duszą rzeczonego Towarzystwa jest tak renomowany agronom, jak hr. Żółtowski z Niechanowa, w którego majątkach praktycznie się wykształcił i kształci cały szereg ziemian z pod rosyjskiego i austryackiego zaboru. O znaczeniu rzeczonego Towarzystwa dla naszego rolnictwa daje jasny obraz sprawozdanie z jego ostatniego walnego zebrania w dniach 9, 10 i 11 marca 1896 r. [2]. Wszystkie najdonioslejsze dla Księstwa

[1] Fink, *Kampf um die Ostmark*. Str. 168 i 270.

[2] „Rocznik walnego zebrania Centr. Tow. gospodar. w W. Ks. Poznań.“ 1895.

kwestye nietylko agrarne, lecz wogóle ekonomiczno-społeczne były tu poruszone, i to w sposób bardzo gruntowny i rozumny, czy w formie referatów, czy pogadanek. Referaty lub pogadanki, jak: „O korzyściach orki parowej“, „O pługu Oliwer Sulky“, „O skuteczności szczepienia lymfą Pasteura przeciw czerwonce u świń“ i t. p. świadczą, jak dalece uwzględnia gospodarstwo nasze wynalazki techniczne i odkrycia naukowe, a z drugiej strony referaty, jak np.: „Torf w użyciu na podściół“ lub „Czy przy obecnych nizkich cenach produktów rolnych nie na leżałoby wycofać się z uprawy ziem piaszczystych o lichem poglebiu“ dowodzą, że liczy się ono nietylko z warunkami krajowymi, lecz także stosunkami i konjunkturami ekomicznemi danej chwili. Uwzględniając wszystkie gałęzie wielkiego gospodarstwa postępowego, Towarzystwo Centralne otacza opieką nadto kółka rolnicze włościańskie, o których poniżej będzie mowa, Centralne Towarzystwo ogrodnicze i tak ważną instytucyę, jaką jest Spółka melioracyjna w Poznaniu.

Spółka powyższa jest to instytucya techniczno-finansowa, która podejmuje się zakładania spółek wodnych (spółek drenarskich i t. p.), przeprowadza odnośne korespondencye z władzami i instytucyami, udzielającemi pożyczek amortyzujących się. Spółka melioracyjna wykonuje wszystkie prace przedwstępne, jakoteż podejmuje się wykonania wszystkich robót w zakres melioracyi roli i łąk wchodzącycch, udziela bezinteresownie objaśnień i rad, tyczących się wyżej wymienionych zajęć. Powstała ona przed kilku laty, założona przez ś. p. St. Orłowskiego, nie mając wzorów ani w kraju, ani zagranicą, to też wytworzyć należało całkiem nowe formy organizacyi i z wielką energią zwalczać przeszkody tak w kierunku technicznym, jak i finansowym. Pomimo braku sił technicznych pozyskano uzdolnionych techników melioracyjnych, wytworzono regimenty pracowników z przedsiębiorcami sumiennymi i fachowo uzdolnionymi na czele, trudności finansowe pokonano dzięki kredytowi, pozyskanemu w banku Związku spół. zarobkowych, a dalej przez wytworzenie własnych kapitałów na prawie akcyjnem. Z końcem roku 1896 udziały członków wynosiły 55.000 mk. Ułatwia zadanie Spółce

prawodawstwo niemieckie, ponieważ państwo występuje w roli poręczyciela amortyzującej się pożyczki na koszta melioracyi, przeto pożyczająca instytucya ma wszelką pewność odebrania pożyczonej sumy i z powodu tego procent jest tani. Nadto składki właścicieli pól meliorowanych, tworzących Spółkę drenarską, na opłacenie procentów i kwoty amortyzacyjnej stoją pod względem prawnym na równi z ciężarami publicznymi i podatkami, a w razie subhasty tych gruntów pretensye Spółki drenarskiej za raty zaległe mają pierwszeństwo przed wszystkiemi nawet zahipotekowanemi pretensyami. Dziś na czele tej instytucyi stoją pp. Kazimierz Chłapowski z Kopaszewa, Stefan hr. Kwilecki z Dobrojewa i Karol Motty z Poznania. Prezesem Rady nadzorczej jest J. hr. Mielżyński z Iwna, zastępcą prezesa dr. Kusztelan, dyrektor Banku z Poznania, naczelnym inżynierem Stefan Tomaszewski. Doniosłość tej spółki, robiącej świetne interesa, najlepiej oświetlą następujące cyfry: Wartość wykonanych przez nią robót drenarskich wraz z rowami i rurkami przedstawia w 1891—92 r. 243.379 mk., w r. 1893 244.913 mk.. w 1894 r. 207.772 mk., w r. 1895 166.731 mk., w r. 1896 196.978 mk. Drenowano zaś nietylko pola orne, mniej łąki, w wielkich posiadłościach ziemskich, ale i na probostwach i posiadłościach mniejszych chłopskich, umożliwiając tem samem coraz intenzywniejsze i racyonalniejsze gospodarstwo na ziemi naszej [1].

Wobec tego czyż można jeszcze powiedzieć, że szlachta nasza niczego się nie nauczyła? Najzaciętsi wrogowie polscy, a zwłaszcza szlachty polskiej, ze zgrzytem zębów przyznają, „że z polskiej arystokracyi wielka liczba agronomów kształci się w akademiach rolniczych niemieckich i wzbogacona wiedzą powraca do praktyki rolniczej, podczas gdy synów niemieckich arystokratów, kształcących się na agronomów na palcach policzyć można“ [2]. Być może, że w tym jęku pangermańskim jest nieco umyślnej przesady, to fakt jednak, że i ziemiaństwo nasze

[1] I.—V. Sprawozdanie. Bilans Spółki Melioracyjnej w Poznaniu za r. 1892—96.

[2] *Die deutsche Ostmark. Aktenstücke u. Beiträge zur Polenfrage. Hg. vom All-Deutschen Verbande.* Berlin 1894.

zaczyna budzić respekt w hakatystach i pangermanach, co niewątpliwie dobrym jest znakiem. Lepszym znakiem jest bezwątpienia ta okoliczność, że daleko mniej w ostatnich 2 latach sprzedano ziemi Komisyi kolonizacyjnej i że są widoki, iż kurczenie się ziemi ojczystej ustawać będzie, skoro pozostałe obywatelstwo polskie ekonomicznie stoi na daleko pewniejszych nogach niż dawniej, daleko sumienniej pracuje na glebie ojczystej, daleko oszczędniej żyje. Zapomniała nasza szlachta przeważnie hulaszczych zabawach za granicą, czy w resursie poznańskiej [1], zapomniała kosztownych festynów dla popisu, zapomniała życia bez rachunku, jednem słowem, nauczyła się dużo, a zapomniała wiele, zapomniała przedewszystkiem swej buty, zarozumiałości wobec innych warstw, do których z kolei przejść nam wypada.

„Miejski stan średni jest słabą stroną Polaków“ — oświadczył do deputacyi Niemców poznańskich w Warcinie 16 października 1894 r. ks. Bismark. Ale nawet zwolennicy „żelaznego księcia“ wyznać muszą, że orzeczenie to nie jest słuszne w obecnej chwili i polega na nieznajomości istotnego stanu rzeczy. Miasta w Poznańskiem nie są bynajmniej tak niemieckie, jak mniemano. Na 136 miast w Poznańskiem tylko coś w 60 Niemcy stanowią większość, w 70 są w mniejszości. W 39 miastach jest więcej niż 80% Polaków. Do tych najbardziej polskich miast należą między innemi: Odalanów, Czempiń, Kościan Krzywiń, Grabów, Mikstat, Ostrzeszów, Gostyń, Krobia, Piaski, Września, Nowe Miasto (nad Wartą), Żerków, Powidz, Witkowo, Pleszew, Pobiedziska, Zaniemyśl, Środa, Rogowo, Żnin, Borek Koźmin, Pogorzela. W 23 miastach tworzą Polacy 70—80% mieszkańców. Do nich należą: Bnin, Dolsk, Kurnik, Mosina, Śrem, Grodzisk, Opalenica, Ostrów, Kruszwica, Strzelno, Wągrowiec, Gębice, Mogilno, Trzemeszno i Szamotuły. Miast 5 ma 60—70%

[1] Oburzenie powszechne, jakie wywołał w ostatnich dniach sporadyczny wypadek karciarstwa, zakończonego samobójstwem ogranej ofiary, wśród prasy i społeczeństwa jest dowodem zdrowej reakcyi przeciw tej u nas dawniej tak pospolitej chorobie. *Dziennik Poznański* nr. 255.

Polaków: Gniezno, Kłecko, Dobrzyca, Kobylin i Gniewków. Następujących 7 miast ma 50—60% Polaków: Barcin, Kcynia, Szubin, Dubin, Miejska Górka, Jutrosin i Poznań. W ostatniem mieście, stolicy kraju, jest na 34.500 Niemców 35.000 Polaków. Do miast najbardziej zniemczonych należą: Wschowa, 27% Polaków, Leszno z 15% ludności polskiej, Międzyrzecz, Piła, Trzciel, Wolsztyn, Międzychód, Bydgoszcz (25% Polaków), Kargowa, Babimost, Rawicz, Zduny i wogóle miasta na pograniczu Ślązka, Brandeburgii i Pomorza. Należy dalej zwrócić uwagę, że wśród 8 miast prowincyi, liczących więcej niż 10.000 mieszkańców, 4 do przeważnie zniemczonych należą tj. Bydgoszcz, Piła, Leszno, Rawicz, pozostałe 4: Poznań, Gniezno, Inowrocław i Krotoszyn 40—50% Niemców wykazują. Na 18 miast, liczących więcej niż 5.000 mieszkańców, 8 jest przeważnie niemieckich. Zatem tylko małe lub mniejsze miasteczka mają charakter przeważnie polski, większe charakter niemiecki lub mieszany. Dalej należy zauważyć, że pod względem ekonomicznym nie liczba, lecz dobrobyt mieszkańców decyduje, że zatem Polacy wszędzie przez proletaryat głównie reprezentowani, nie przedstawiają się wszędzie, jako czynnik ekonomicznie poważny. Z drugiej strony nie należy zapominać, że żywioł niemiecki (pominąwszy 40.000 Żydów w Poznańskiem) jest przeważnie przez stan urzędniczy reprezentowany, stan, chociaż pod względem ekonomicznym przeciętnie dostatnio uposażony, to jednak bierny i bynajmniej nie decydujący o zaludnieniu kraju, gdyż w razie zmian politycznych nie tylko zewnętrznych, ale nawet i wewnętrznych łatwo może ustąpić z pola. Tej to okoliczności przypisać należy, że miasta, jak Poznań, Bydgoszcz i wogóle większe miasta, jako centra władz rządowych, tak znaczny procent ludności niemieckiej posiadają. Ważniejszą bez porównania jest ta okoliczność, że owe 40.000 Żydów reprezentują najzasobniejszy i najsilniejszy czynnik ekonomiczny, trzymający w ręku swym wielki handel i wielki przemysł, posiadają kapitały — a czują się jako Niemcy i żywiołowi niemieckiemu dają na polu ekonomicznem niewątpliwie przewagę.

Z tem wszystkiem trudno zaprzeczyć, że przemysł polski i handel ustawicznie się podnosi, wzrasta i że z coraz większym sukcesem wytrzymuje konkurencyę z żydowsko-niemieckim handlem i przemysłem. Kto znał nasze miasta i miasteczka przed 30 laty i porówna stan ich ówczesny z dzisiejszym, ten nie może nie przyznać, że się w nich, bardzo wiele na naszą korzyść zmieniło. Poważna firma polska handlowa była w małych miasteczkach rzadkością, a i w miastach większych, jak w Poznaniu, tych firm było nie wiele. Podobnie w rękodzielnictwie najlepiej płatne rzemiosła i najlepsze firmy były w ręku niemieckim. Dziś rzeczy mają się odwrotnie: rękodzielnictwo jest przeważnie polskie, a handel do połowy polski.

Kilka przykładów, zacytowanych nawet przez hakatystycznych pisarzy, najlepiej to unaoczni. W Inowrocławiu było w r. 1895 szesnaście niemieckich, a 2 polskie handle towarów kolonialnych; dziś obok 7 niemieckich jest 10 handli polskich, prócz tego 3 drogerye [1]. Przedsiębiorstwo budowlane było w r. 1885 całkiem w ręku niemieckim, dziś wedle Finka jest 6, wedle Jaworskiego 3 budowniczych Polaków; wśród piekarzy nie było w r. 1885 żadnego Polaka, 15 Niemców natomiast, dziś między 28 piekarzami jest 8 Polaków. Fryzyerów było w r. 1885 trzech, z nich jeden Polak; dziś na 10 fryzyerów jest 8 Polaków. Lekarz przed 12 laty był jeden, dziś jest ich 5. Miasto Wągrowiec liczy dziś około 5.500 mieszkańców, od r. 1885 powiększyła się ludność mniej więcej o 1000 osób, z tego $^3/_4$ przypada na Polaków. Jakkolwiek przyrost ten odnosi się do robotników, to jednak przemysłowców polskich liczba w ostatnich 15 latach pomnożyła się o połowę, niemieckich przemysłowców ubyła piąta część. W Ujściu jest dziś około 2.500 mieszkańców, z tych 1.700 Polaków, podczas gdy przed 25 laty Polacy mieli stanowić połowę ludności. W Szamotułach w ciągu jednego miesiąca r. b. pięć domów w najlepszem położeniu przeszło z rąk niemieckich w polskie.

---

[1] Fink, *Kampf um die Ostmark* podaje: über 20 polnische Kolonialwaarengeschäfte. Piszący powołuje się na Jaworskiego „Książkę adresową handlu i przemysłu polskiego“, aczkolwiek nie całkiem dokładną, jednakże pewniejszą od cyfr podanych przez hakatystycznych poręczycieli.

W Śremie przed 30 laty było wielu przemysłowców niemieckich, sklepy w rynku były przeważnie w ręku żydowsko-niemieckim, dziś tylko jeden zegarmistrz i aptekarz mają swe firmy w rynku, z innych przemysłowców tylko 1 kowal jest Niemcem. Od roku 1865 ludność niemiecka w Śremie stale się pomniejsza, czego dowodem księgi metryczne. Wedle nich:

urodziło	się r.	1865	Niemców	protestantów	102,	umarło	82.
„	„ „	1875	„	„	71,	„	40.
„	„ „	1885	„	„	59,	„	40.
„	„ „	1895	„	„	47,	„	35.

Podobny ubytek wśród stale osiadłych Niemców da się skonstatować także w Gostyniu i innych miastach naszych. W Krotoszynie przed 20 laty było zaledwie 5 firm polskich w rynku. Dziś jest ich piętnaście. Leszno, należące do miast bardzo zniemczałych, liczy wedle książki adresowej handlu i przem. pol. 4 handle towarów kolonialnych, wogóle 27 firm przemysłowych; okrzyczany za wyłącznie niemieckie miasto Wolsztyn, w którem na 3236 mieszkańców ma być rzekomo zaledwie 100 Polaków [1]. posiadał firm przemysłowych polskich przed 2 laty 60. Nawet taki Rawicz, gdzie przed 20 laty była jedna lub dwie firmy polskie, liczy dziś ogółem 21 przemysłowców polskich. Z drugiej strony nie możemy zaprzeczyć, że niektóre miasteczka przybierają chrakter więcej niemiecki, do takich należy np. Opalenica i Jarocin. W pierwszem mieście cukrownia niemiecka jest tego przyczyną. W Jarocinie powiększenie stacyi kolejowej i wyniesienie miasta do godności miasta powiatowego przed kilkunastu laty wzmocniło personal urzędniczy i żywioł niemiecki. Firm handlowych i przemysłowych niemieckich i tu nie przybyło wiele, natomiast stwierdzić musimy, że wszystkie bardzo korzystne dla dzierżawców restauracye kolejowe są monopolem niemieckim.

W polskim ręku są przeważnie nowo powstałe drogerye; aż nadto mamy handlów towarami kolonialnymi, tak iż wytwo-

[1] Finke, *Der Kampf um die Ostmark*. Str. 262,

rzyła się w tej gałęzi handlowej niezdrowa konkurencya w niektórych miejscowościach; w polskim ręku są najlepsze winiarnie; dosyć mamy destylacyi, restauracyi, oberż i hoteli nawet; natomiast przydałoby się znacznie więcej handlów towarami krótkimi, galanteryjnymi i łokciowymi, które dotąd jeszcze są przeważnie w rękach żydowskich; za mało jest również handlów żelaza, choć przyznać trzeba, że w ostatnich czasach polskich firm w tym dziale wiele przybyło; za mało jest również handlów tak ważnym artykułem, jakim są węgle, drzewo opałowe, budulcowe. Przybyło znacznie handlów cygar. Handel trzodą chlewną, gęsiami, bydłem i końmi prowadzą z upodobaniem mieszkańcy pewnych miejscowości np. Kobylina, Czerniejewa, Gostynia, Krotoszyna, Lwówka, Opalenicy, Poniecu, Mieściska, Stęszewa, i robią ogółem biorąc, dobre interesa, a niejeden dorabia się znacznej, jak na nasze stosunki, fortuny. Z zadowoleniem należy skonstatować, że tak ważny u nas handel zbożowy zaczyna przechodzić w ręce polskie. Firm zbożowych 49 w 25 miejscowościach posiadamy obecnie; daleko nam jednak dotego, aby w każdem z 136 miast i miasteczek odbiorcą zboża od chłopa i dziedzica polskiego była firma polska.

Co do przemysłu fabrycznego, to wyrób narzędzi rolniczych i machin jest dosyć licznie przez Polaków reprezentowany. Obecnie jest w księstwie 18 takich fabryk w rękach polskich, a wśród nich renomowana za granicą nawet fabryka machin, kotlarnia i lejarnia H. Cegielskiego. Około 10 cegielni parowych dalej 29 młynów parowych, fabryka jedna większa przyborów gorzelnianych, 4 fabryki wyrobów mosiężnych i miedzianych, 12 fabryk mniejszych cygar, 1 tutek, 1 waty, 1 musztardy i kilkadziesiąt innych tym podobnych zakładów mniejszych — oto wszystko, czem się pod względem przemysłu fabrycznego pochlubić możem. Nie wiele to jest — przemysł nasz fabryczny dopiero w powijakach; dużo na tem polu jest do zrobienia. Nie mamy fabryki zapałek, cykoryi, wyrobów ceramicznych, większych garbarni i t. d., wogóle całego szeregu produktów, za które obcym płacimy grube pieniądze, a które przy dobrej

woli i nieco większej przedsiębiorczości sami dobrze produkować moglibyśmy.

Co do rękodzielnictwa, to w całej pełni narodowemi zajęciami nazwaćby można szewstwo i krawiectwo. Mimo to po części te właśnie zawody nie opłacają się, a wśród szewców naszych i krawców wielka panuje nieraz bieda. Znam miasteczka zapadłe, gdzie np. szewcy porzucają rzemiosło i jako prości robotnicy „w świecie“ więcej zarabiają, niż „przy kopycie“. Oczywiście są to przeważnie rękodzielnicy starej daty, którzy nie stosując się do nowszych wymagań, niezdolni są wytrzymać konkurencyi z wyrobami obcymi. Zdolni majstrowie i oszczędni w tych gałęziach właśnie dorabiają się często znacznej fortuny, a po części mają wcale przyzwoite utrzymanie 4.000—6.000 mk. i więcej. To samo można powiedzieć o dosyć licznie reprezentowanych przez Polaków rzemiosłach, jak rzeźnictwo, stolarstwo, piekarstwo, młynarstwo, siodlarstwo. Kowali jest Polaków dosyć, natomiast zamało stosunkowo ślusarzy, maszynistów i murarzy Nie wyzyskany jest wcale przemysł drzewny, choć w kraju, obfitującym w znaczne lasy, wyroby zabawek z drzewa, koszykarstwo i t. p. zajęcia sowicieby się opłacić mogły i powinny. Również ogrodnictwo, sadownictwo, pszczelnictwo wraz z zawisłą od tych zajęć fabrykacyą win owocowych i miodosytnictwem nie jest dostatecznie przez nas wyzyskane. Przemysł nasz rękodzielniczy mógłby się podnieść i wydoskonalić przez szkoły fachowe, ale to już od rządu zależy, rząd zaś pruski, jak wiadomo, o podniesienie przemysłu polskiego zbytnio się nie troszczy.

Z pewnem niezadowoleniem, zazdrością i obawą śledzą nasi najserdeczniejsi rozwój przemysłu polskiego i szukają jego przyczyn. „Nietylko w Poznaniu — pisze *Leipziger Tageblatt* pod d. 20 września 1894 r.[1] — ale i w licznych mniejszych miasteczkach polsko-niemieckich Zachodnich Prus i W. Ks. Poznańskiego liczba tęgich polskich kupców i rzemieślników naocznie wzrosła... Podczas gdy dawniej polski przemysłowiec z powodu życia nad stan i małego kapitału zakładowego nie miał wielkiego znacze-

[1] *Alldeutsche Blätter* nr. 43, str. 178.

nia, obecnie polski kupiec z powodu większej ruchliwości i skromnego sposobu życia, szybko się podnosi i z powodzeniem wytrzymuje konkurencyę z kupcem niemieckim. Że polskie mieszczaństwo się tak podniosło, zawdzięcza to niemieckiej szkole, przykładowi niemieckiej pilności, dzielności i wytrwałości i znakomitej administracyi niemieckich władz. Także i polskie Towarzystwo imienia Marcinkowskiego ku wspieraniu uczącej się młodzieży, które ma na celu wytworzenie dzielnego stanu średniego, wielce się przyczyniło, aby przygotować dla ludu polskiego dzielnych przodowników w licznych polskich lekarzach, aptekarzach, technikach, urzędnikach, księżach i nauczycielach". Nie wchodząc w bliższą krytykę przytoczonych przez pióro niemieckie przyczyn rozwoju przemysłu polskiego, przyznając im nawet do pewnego stopnia słuszność, mniemamy atoli, że ich głębiej szukać należy w ogólnych prawach socyologicznych. Jeżeli się rozwój prawidłowy jakiegoś zdrowego organizmu tamuje w jakimś punkcie, to ten rozwój tem silniej na innym punkcie się objawia. Dzięki polityce szowinistyczno-eksterminacyjnej znajduje się społeczeństwo nasze na prokrustowem łożu. Wyklucza się je od urzędów wyższych i niższych, wyzuwa się je dzięki przemocy ekonomicznej z ziemi — nie dziw, że chcąc żyć, bojkotowana ludność szuka tam zarobku, gdzie jeszcze może, tj. w przemyśle. Nietylko tam go szuka przemysłowiec i jego dzieci; mając inne pola zamknięte, szuka go tam szlachcic i jego rodzina, nie mogąc się utrzymać na wsi; szuka go wreszcie zdolniejszy chłopski syn, pragnąc się wybić wyżej w hierarchii społecznej. Oczywiście nie każdy zarobek ten znajduje w równej mierze, znaleść go jednak może, jeżeli tylko chce energicznie i bierze się rozumnie do rzeczy. Przemysł bowiem dotychczas u nas, powiedzmy sobie szczerze prawdę, wcale a wcale nie był wyzyskany przez nas — był wyzyskany tylko przez Żydów i Niemców. Pierwsi wskutek konkurencyi Polaków zaczynają emigrować — ubyło ich 18.000 od r. 1880 — ostatni mając wygodne umieszczenie w różnych dykasteryach urzędniczych, nie kwapią się do zawodów niepewnych i trudnych, jakimi jest mały przemysł i handel. „Rękodzielnicy niemieccy

w niektórych miastach mogą dostać na naukę prawie tylko polskich uczniów, niemieccy rodzice wolą swe dzieci na pisarków kształcić, by następnie gdzieś przy jakim urzędzie mogły się przyczepić“ [1] i na obrońców zagrożonej rzekomo niemieckości tanim kosztem wyróść. Zresztą dobry i zręczny rękodzielnik niemiecki szuka szczęścia nie w jakiemś miasteczku poznańskiem lub samym Poznaniu, lecz we Wrocławiu, Berlinie, Hamburgu i t. d. W Poznańskiem pozostałe jednostki nie dziw, że w porównaniu z Polakami nie zawsze wytrzymują konkurencyę [2]. Zbyteczne forytowanie niemieckiego żywiołu przez rząd, robi ten żywioł wygodniejszym i mniej zahartowanym w twardej walce o byt. Długo wyzyskiwany lud polski ocknął się nareszcie ze swej osławionej bierności, a ocknął się nie tyle wskutek przykładu niemieckiego i wskutek cywilizacyjnej działalności rządu niemieckiego, ile raczej wskutek coraz brutalniejszego ucisku niemieckiego, wskutek zagrożonej egzystencyi ekonomicznej przy dotychczasowym trybie życia. Dowodem tego okoliczność, iż rozrost polonizmu datuje się właśnie od chwili, kiedy rozpoczęła się eksterminacyjna walka przeciw niemu ze strony żelaznego kanclerza. Antypolska polityka ks. Bismarka dała bodźca do wytworzenia przemysłu polskiego i polskiego stanu średniego. Środki wyjątkowe przeciw Polakom uchwalone i praktykowane w dziedzinie ekonomicznej czy politycznej, hakatyzm i jego okrzyki teutońskie *ausrotten,* rozwój tego przemysłu i mieszczaństwa niezmiernie ułatwiają. Polak staje się przedsiębiorczym, oszczędnym i zaradnym, ba! co najważniejsza, staje się więcej solidarnym tylko dzięki pangermańskiej bucie i zachłanności. Daleko wszakże przemysłowcowi naszemu do doskonałości, jeszcze nie umie np. na większą skalę łączyć swych kapitałów celem zakładania większych spółek handlowych, jeszcze uważa przemysł jako zawód przejściowy, służący tylko do zrobienia majątku; jeszcze wielu, uciuławszy kapitalik w jakiemś przemysłowem zajęciu, zamiast tym kapitalikiem interes rozszerzyć i prze-

[1] Fink l. c. 233/4, 277.
[2] Tenże, str. 234 i 269.

kazać ten rozszerzony interes swym dzieciom, szuka dla siebie i dzieci niby zaszczytniejszego zajęcia, na którem nieraz majątek traci. Brak rzetelności w wykonaniu roboty i wygórowane ceny psują jeszcze wielu rękodzielnikom naszym reputacyę i odstręczają odbiorców. Jednem słowem w mieszczaństwie naszem mieści się wielki kapitał narodowy, na razie atoli tylko jednostki, coraz liczniejsze wprawdzie, przynoszą należyte procenta. Ważną rolę w rozwoju ekonomicznym naszego mieszczaństwa, jako kierownicy, odgrywa nieliczna wprawdzie, ale w części doborowa inteligencya polska, złożona z księży, lekarzy, adwokatów, aptekarzy i t. d. Nieliczna jest, bo aby wybić się na wyżyny akademickiego wykształcenia, na to potrzebuje Polak i pieniędzy z powodu znacznych kosztów utrzymania w gimnazyach i uniwersytetach, i większych zdolności z powodu przeszkód, jakie język niemiecki i antypolski kierunek w szkołach średnich stawia naszej młodzieży.

Pierwsze trudności usunąć ma na celu nieocenione Towarzystwo imienia Marcinkowskiego, które nietylko o wykształcenie inteligencyi, ale ostatnimi czasy także i dzielnych przemysłowców się stara. Tylko najzdolniejsza młodzież polska przedostaje się przez 9-letnie szkoły średnie, przez ścisłe egzamina maturyczne i dalsze egzamina państwowe, nie dziw więc, że nasza inteligencya z prawdziwych talentów się składa, jak o tem z ironią mówią hakatyści[1]. Duchownych Polaków w W. Księstwie Poznańskiem jest 414, Niemców 114, z tego 23 Polaków i 9 Niemców przypada na wyższe duchowieństwo, 331 Polaków, 90 Niemców na proboszczy, 10 Polaków, a 5 Niemców na wikarych. Jest więc 21% duchownych Niemców, podczas gdy Niemcy katolicy stanowią w Poznańskiem zaledwie 10% wszystkich katolików. O znaczeniu duchowieństwa na wsiach pod względem ekonomicznym i wogóle pod względem narodowym, pomówimy poniżej, tutaj tylko chcemy wspomnieć, że duchowieństwo stanowi najliczniejszą część naszej inteligencyi i że jemu lwia część pracy i wpływu na rozwój warstw miejskich czy wiejskich przy-

[1] Fink, str. 240.

padła w udziale. Lekarzy Polaków jest obecnie około 180 i 10 lekarzy-dentystów w 98 miejscowościach na 487 lekarzy wogóle w Poznańskiem, zatem nie całkiem 40% ogólnej liczby, podczas gdy stosunkowo do liczby ogólnej Polaków powinnoby być ich co najmniej 60%. Gorszy stosunek oczywiście panuje pod względem narodowym w stanie adwokackim, albowiem tylko około 40 adwokatów Polaków posiadamy, a z tych tylko 24 otrzymało tyle ważny notaryat. To samo odnosi się do aptekarzy, których jest 38, weterynarzy, których jest zaledwie 6-ciu w całem Księstwie. — Oto skromne cyfry naszej inteligencyi, a jednak ta inteligencya polska kością w gardle stoi Niemcom nie tyle z powodu konkurencyi w tych zawodach — pod tym względem Niemcy są *beati possidentes* — lecz z powodu ich wpływu społeczno-socyalnego. Czy wpływ ten zawsze jest dodatni, nie możemy powiedzieć; stwierdzić to tylko możemy, że niejednokrotnie spory osobiste między przedstawicielami inteligencyi naszej, zazdrość, ambicyjki, z drugiej strony opieszałość, wiele sprawie polskiej szkodziły i szkodzą, i że między tem, co rzeczywiście zrobiła nasza inteligencya, a tem, co zrobić mogła i powinna, jest jeszcze wielki odstęp.

Główną zasługą inteligencyi naszej jest organizowanie licznych Towarzystw i Spółek polskich, wśród których w sprawach ekonomicznych zwłaszcza Towarzystwa przemysłowe i Spółki zarobkowo-gospodarcze czyli Banki ludowe na szczególniejszą zasługują uwagę.

Co do Towarzystw przemysłowych, to istnieje ich około 100 w 89 miejscowościach Księstwa Poznańskiego. Prezesami a w każdym razie duszą ożywczą tychże są przeważnie księża, lekarze lub ktoś z inteligencyi. Towarzystwa te wytknęły sobie potrójne zadanie: pouczanie wzajemne, podniesienie przemysłu i skromną zabawę w obrębie Towarzystwa. Często bardzo spotkać się można ze zdaniem, że Towarzystwa przemysłowe główny cel istnienia upatrują tylko w urządzeniu zabaw najrozmaitszego rodzaju. Jest to najpierw ogólnik i jako taki z natury nie wszędzie uzasadniony. Trudno powtóre o wartości Towarzystw coś stanowczego orzec, zwłaszcza o wydatnej działalności tychże na polu

ekonomicznem, nie znając ich poszczególnie, tem więcej, że rozwój ich jest w pierwszym rzędzie zawisły od gorliwości i roztropności każdorazowego kierownika. To fakt, że choć bezpośrednio Towarzystwa przemysłowe na polepszenie bytu materyalnego swych członków nie wpływają, wszakże pośrednio prawie wszystkie przyczyniają się w większej lub mniejszej mierze do poprawy stosunków materyalnych. Choćby ta okoliczność, że prezes towarzystwa jest zwykle członkiem zarządu lub innym dygnitarzem przy banku ludowym i jako taki może członkowi towarzystwa ułatwić kredyt w danym wypadku, wielkiej jest doniosłości w życiu małomiejskiem. Niewątpliwie to osobiste stykanie się inteligencyi i przedstawicieli instytucyj kredytowych z warstwą rzemieślniczą i przemysłową wielce się przyczyniło do wykształcenia i rozwoju naszego mieszczaństwa, z drugiej strony trudności niemałe nastręcza fakt, że członkowie towarzystwa rekrutują się z różnych zawodów przemysłowych. Trudno żądać od prezesa, aby w tych wszystkich gałęziach miał fachowe wiadomości i mógł służyć światłą radą, a jeszcze trudniej, by członkowie wszyscy radzili nad podniesieniem jakiejś specyalnej gałęzi przemysłu. Z tych względów wielkiej wagi dla rozwoju przemysłu polskiego jest zorganizowanie Centralnego związku towarzystw przemysłowych, któryby umożliwił nietylko ogólne zjazdy i wiece przemysłowe, ale i specyalne przedstawicieli pojedynczych rzemiosł i zawodów, a tem samem pogłębienie i rozszerzenie fachowych wiadomości. Doniosłość takiej centralizacyi nie została jeszcze zrozumianą przez poszczególne koła; obecnie na 120 towarzystw przemysłowych w Prusach Zachodnich i W. Ks. Poznańskiem tylko 30 do Centralnego Związku należy, tuszymy jednak, że prędzej czy później do tej centralizacyi organicznej naszych Towarzystw przemysłowych przyjść musi, a wtedy działalność pojedynczych kół i pod względem ekonomicznym stanie się wydatniejszą.

(Dok. nast.).

Wielkopolanin.

Z NANSENEM „PRZEZ LODY I NOC“ [1].

I.

Najnowsza z poetycznych hypotez umieszcza raj ziemski wokoło północnego bieguna; tu pono rosły wtedy palmy i lotusy, śpiewały cudne ptaszęta. Aż nagle człowiek zgrzeszył, i wraz przestało tryskać źródło życia, mroźna powłoka lodu zdusiła w śmiertelnym uścisku wszystko, co nuciło i kwitło. Z dawnego miejsca rozkoszy pozostał siny trup lądu, trupem morza oblany, a ponad nimi jaskrawa zorza północna, rzekłbyś łuna tego, co znikło, i nadzieja tego, co będzie.

Pomysł mglisty bardzo, ale ładny, wyrosły z potrzeby wytłumaczenia sobie dziwnego czaru, który z niezwalczoną potęgą w te ponure strefy ludzi przyciąga. Z nim rymują wyobrażenia naszych ojców to o podbiegunowej żyznej krainie, to o wolnem, lazurowem morzu, ukrytem w pierścieniu lodowców. Ale niestety!... I raj, i piękna kraina, i wolne morze muszą zniknąć przed rzeczywistością, zniknąć nawet z dziedziny mrzonek. Za to w ich miejsce wstępuje częściowe chociaż urzeczywistnienie skandynawskiego podania o straszliwej otchłani Ginungagap, z której miał się wyłonić świat i przez którą wiodła droga do

[1] Szkic ten oparty jest głównie na pamiętniku Nansena p. t. „Przez lody i noc“ w wydaniu niemieckiem (*In Nacht und Eis.* Die Norwegische Polarexpedition 1893 - 1896. Von Fridtjof Nansen, mit einem Beitrag von Kapitän Sverdrup. 207 Abbildungen, 8 Chromotafeln und 4 Karten. II. Bände. Leipzig. Brockhaus. 1897) oraz na paru innych pracach piśmiennych i ustnych informacyach.

północnego Hadesu — Helheim, królestwa śmierci. Tak wierzyli niegdyś Wikingowie; wierzyli w groźne olbrzymy, trzymające straż nad otchłanią, a przecież jedni po drugich ruszali na północ. Dzika odwaga i żądza przygód, a w późniejszych czasach potrzeba nowego pola działania dla zbytniej liczby niespokojnych głów, zapędzały ich coraz dalej i dalej „przez śniegi i noc". Już w IX. w. dzielny Othar przybył na dwór Alfreda W., aby stąd wybrać się na koniec świata, zobaczyć, jak daleko ziemia ciągnie się ku północy, czy niema jakiego lądu poza oceanem? Alfred W. musiał go zrozumieć, on, który sam zwiedzał wybrzeża Bałtyku i szczegółowy opis ujścia Wisły zostawił. Po Otharze Harald Hardraade, „doświadczony" król Norwegczyków puścił się z flotą, „aby zmierzyć przestrzeń północnych mórz, a ciemności jednak roztoczyły się między nim a znikającym światem tak, że zmuszony zawrócić bieg swych okrętów — ledwie zdołał uniknąć niezgłębionej otchłani". Tak pisze Adam z Bremy. Wieluż jednak ich było, podobnych Haraldowi żeglarzy, którzy historyka nie mieli! Toż zanim inne narody odważyły się płynąć w dal, opuszczając pobliże lądu, Normanie przebywali Atlantyk, odkrywali Islandyę i Groenlandyę, przerzynali się w szerz i wzdłuż, walcząc w otwartych łodziach z wichrem, z prądami i lodem. Odkrywszy ląd zakładali nań kolonie, jak np. król norwegski, Eryk Czerwony, w Groenlandyi r. 983 uczynił, co nie jednę już przypadkową, ale liczne spowodowało wyprawy. Mało kto dziś pamięta, że zachodnia część Groenlandyi tworzyła niegdyś prowincyę podzieloną na dwa okręgi, że wchodziła w skład unii kalmarskiej i po r. 1378 posiadała własnego rezydującego na miejscu biskupa. W tym czasie mniej więcej rozpoczęły się napady Eskimosów, które w ciągu XV. w. zniszczyły zupełnie kolonie; jeszcze w r. 1448 papież Mikołaj V. wołał po raz ostatni o pomoc chrześcijan dla Groenlandczyków. Sama Norwegia nie była już wstanie obronienia owocu swych trudów: zbyt silnych miała sąsiadów i zbyt burzliwe stronnictwa, a rycerska buta jej synów nie umiała otrząsnąć się z pazurów niemieckiej Hanzy, toczącej zwolna jej ciało.

Zresztą zakładanie kolonij na zamarzłych przylądkach nie

było złotodajnym celem, prozaiczną metą, zakreśloną zazwyczaj najbardziej romantycznym wyprawom. Kupcom chodziło o znalezienie drogi handlowej przez północ do Chin; to też już od początku XVI. wieku tworzyły się ku temu w Anglii kompanie. W 1517 r. na rozkaz Henryka VIII. Sebastyan Cabot wyjeżdżał na północny zachód, po nim Chancellor puszczał się na wschód i odkrywał północną Moskwę, podczas gdy odkryci przezeń Moskale jeździli już swobodnie po morzu Białem lub przez morze Karyjskie dopływali do ujścia sybirskich rzek. Odtąd takich wypraw handlowo-badawczych możnaby w Anglii, Danii, Hollandyi, Rosyi, Szwecyi i Ameryce po kilkadziesiąt wyliczyć. Bywało, że jak np. z Franklinem jeden okręt ginął, a potem wysyłano za nim kilkanaście innych statków, które wprawdzie nie zawsze znajdowały zgubę, ale odkrywały nieznane zakąty morza i lądu. Niektóre dosięgały głębokiej północy; tak np. Amerykanin Kane dotarł na saniach z Groenlandyi do 82° 30′ szerokości półn. W końcu, gdy usiłowania przebrnięcia morzem na północ od Ameryki okazały się bezowocnemi, a droga morska w stronę Sybiru zbyt uciążliwą, musiano zaniechać cele handlowe. Wtedy poszukiwania zwróciły się ku estetyczniejszym celom, tj. że umysły trochę awanturnicze, pożerane gorączką czynu, nie mając już praktycznego pozoru dla kolorowania swych wypraw, zaprzęgły się w służbę nauki. Za główne zadanie postawiono sobie dotarcie do północnego bieguna.

Rozpoczęły się tedy znowu szalone wyprawy czterema odrębnymi szlakami: jeden wiódł przez Smithsund, drugi przestrzenią morską między Groenlandyą a Szpicbergiem, trzeci wedle nieodkrytego jeszcze Franz-Josephlandu, czwarty przez cieśninę Behringa. Wiele te drogi wodne widziały ludzkiego cierpienia, to chyba Bóg jeden policzy; nam, profanom, żal prawie tylu nadludzkich wysileń woli, cierpliwości, wytrwania i bohaterskiej odwagi, zużytych na to, aby zaspokoić naszą ciekawość, aby dodać po jednym rozdziale więcej do dzieł o kosmografii, geografii i hydrografii, po jednej kartce do zoologii i botaniki. Ale w tych rzeczach niema dyskusyi; są ludzie, którym Opatrzność przeznacza od kolebki kierunek życia, których filisterskie rozu-

mowania rozsądku wstrzymać nie mogą, tak samo, jak nie wstrzymają wiatru lub biegu chmur. Ale jaka ich za ciężkie znoje czeka zapłata? *Le prix est dans la course*[1] — odpowiedziałby ks. Lacordaire.

Najwięcej owych ludzkich wysiłków objawiło się na Smithsundzie; tędy pchali się głównie Amerykanie, wyobraziwszy sobie, że już znaleźli otwarte morze polarne, rozciągające się bez końca w stronę północy. Wszystkie wyprawy jednak oparły się o masy lodowe, płynące ku południowi. Najważniejszą była kosztowna wyprawa angielska admirała Nares i Kommadora Markham, którzy dotarłszy na saniach z szalonym trudem do 83° 20′, musieli zawrócić, unosząc przekonanie, że na tej drodze cel osiągnąć się nie da. Wszakże nie dano za wygraną. Podczas ekspedycyi Greely w latach 1881—84 Lockwood dostał się aż do 83° 24′, kędy jeszcze nikt nie był dotarł, lecz i ten musiał próżno powrócić. Dla ułatwienia poszukiwań rząd kanadyjski założył był sześć stacyj nad zatoką i cieśniną Hudsońską, te jednak nie zdołały się utrzymać. Nie lepiej powodziło się między Groenlandyą a Szpicbergiem, którędy już w r. 1607 Hudson spodziewał się trafić pod biegun; w istocie dostawszy się w ciepły prąd, biegnący wzdłuż zachodniego wybrzeża Szpicbergu, dotarł 83° 23′ szer., ale nie więcej. Później (1827) Edward Pearry napróżno szukał szczęścia tą samą drogą, ze wszystkich jeszcze najlepszą... Ze swej strony Niemcy, podnieceni zapałem Petermana, jęli słać jednę wyprawę za drugą. Z tych najgłośniejsza (1869—70) pod wodzą Koldwey'a, prowadzona najsamprzód wodą a następnie saniami po śniegach Groenlandyi, utknęła już na 77°, a z dwóch swych statków straciła parowiec „Hansa", zdruzgotany wśród lodów. W tymże samym roku Th. v. Heuglin i Hr. Waldburg-Zeil odkrywali König-Karl-Land, przepłynąwszy na wschód od Szpicbergu.

Tu, od strony wschodu przestrzeń lodowego oceanu pozostała najdłużej nietkniętą, droga bowiem przedstawiała się jeszcze trudniejszą. Towarzystwo geograficzne rosyjskie pracowało wpraw-

[1] „Nagroda tkwi w samym biegu".

dzie pilnie nad zbadaniem wybrzeża Nowej Zemli, również jak i północnej części Syberyi, łodzie rybackie snuły się wzdłuż brzegów, ale podbiegunowe wyprawy niechętnie puszczały się na te morza. Przecież w r. 1872—74 Austryacy Payer i Weyprecht spróbowali tędy się przedrzeć. Lód uwięził ich już za Nową Zemlą i niósł w pożądanym kierunku, aż dotarli do Franz-Joseph-Land. Kry zdruzgotały im okręt, a szkorbut załodze ich straszne zgotował tortury; oni jednak wrócili cało, sporządziwszy, o ile mogli, mapy odkrytych ziem, do których w następnych latach w celu bliższego zbadania udać się mieli kolejno Anglicy Leigh-Smith i Jackson. Ten ostatni bawił tam w latach 1895 i 1896 z całą drużyną uczonych.

Jeszcze mniej wypraw zaczynało swą podróż od cieśniny Behringa. Pierwszym, który tą drogą przejechał, był w r. 1776 słynny admirał Cook; ostatnim — dzielny kapitan Delong, który uwiązłszy ze statkiem „Jeanette“ wśród skalistej grupy wysp Nowosybirskich, zginął straszną, powolną śmiercią z całą niemal swoją załogą. Jego wyprawa wszakże — choć tak wcześnie wstrzymana — miała wywrzeć wielki wpływ na następne podróże. W liście zostawionym dla Gordona-Bennet, na którego koszt ekspedycya jechała, Delong tłumaczył, iż obrał drogę na cieśninę Behringa, gwoli t. zw. Japońskiego prądu. Mniemał bowiem, iż ten ciepły strumień morski, roztapiając po drodze lodowe kry poniesie go daleko na północ, kto wie, może do samego bieguna. Polujący na wieloryby żeglarze zapewniali, że za każdym razem, co łodzie ich tutaj w lodzie uwięzły, zawsze były ku północy wleczone.

Dziwnie brzmią te wyniki badań, spisane ręką człowieka, widzącego przed sobą nieuchronną śmierć; stają się rozrzewniającemi, gdy się czyta, że tenże sam człowiek prawie już konający z głodu, odmawiał jeszcze z resztą towarzyszy nabożeństwo niedzielne. Nie żal prawie jego męki, bo się wie, że mu ją Pan Bóg sowicie nagrodził. Po tak strasznym przykładzie jednak mogło się zdawać, iż się i najśmielszy badacz zastanowi przed rozpoczęciem polarnej podróży; stało się jednak przeciwnie: jak męczeństwo rodzi prozelitów, tak niebezpieczeństwo rodzi

junaków. Podczas, gdy Delong konał na swej krze lodowej, w Norwegii dorastał nowy podróżnik, mający o krok olbrzymi posunąć naprzód dzieło swych poprzedników: był nim Fridtjof Nansen, ur. 10 paźdz. 1861 w okolicach Chrystyanii.

Kwestya atawizmu fizycznego i umysłowego niejednę już w ostatnim dziesiątku lat wznieciła dyskusyę, niejednej mniej lub więcej moralnej powieści służyła za temat. Zaprzeczyć się nie da, iż oglądając stare rodzinne obrazy z przed 200 lub 300 lat, odnajduje się nieraz pod stalą zbroi lub upudrowanym włosem uderzające podobieństwo z żyjącym potomkiem rodu. Można również w ten sposób odnaleść i moralne typy, powtarzające się po paru wiekach z uwzględnieniem tylko różnicy wykształcenia i okoliczności. Fridtjof Nansen posiadał takiego antenata. Temu trzysta lat żył w Norwegii Hans Nansen, człowiek żelaznej woli i nieustraszonego męstwa, zarazem uczony, żeglarz, handlarz i polityk, który podniósł imię swojej rodziny na widownię publiczną, a jako owoc swej pracy zostawił potomności dzieło pod tytułem *Compendium Cosmographicum*, z którego pomimo postępów nauki, jeszcze w początku tego wieku czerpali światło żeglarze. Przymioty, jakie zdobiły pradziada, odbiły się za dni naszych w prawnuku; taż sama energia i wytrwałość, taż sama odwaga niemal bezmyślna i dziecinna, tenże sam wewnętrzny ogień, pchający bezprzestannie do czynu. Do tych rysów dodać należy przezorność i zmysł praktyczny Skandynawcom właściwy, wielki zapas wesołości, i — o ile sądzić można — dobroci. Rodzice jego zrozumieli od razu, iż mają do czynienia z naturą wyjątkową: ojciec był dość rozumnym, aby jej nie przytłumić ani dać się skrzywić, matka zaś — jest tradycyonalnym typem matek wielkich ludzi. Mówią o niej, iż geniusz syna jest istotnie jej dziełem, że to ona nadała kształt szlachetnej glinie, którą jej Bóg powierzył, że jej przy ogniu własnego serca nadała hart i moc. Czy w tych pochwałach niema trochę konwencyonalnej maniery, lub też czy sama miłość synowska nie odziewa postaci matczynej w przesadne blaski — powiedzieć trudno. Dość, że Nansen ceniony od kolebki przez rodziców, nieco wyśmiewany przez rodzeństwo, a przez wielu kolegów

szkolnych mieniony półgłówkiem, zakończył w 21 roku życia nauki z patentem doktorskim, poczem natychmiast puścił się (1882) w podróż po oceanie Północnym. Za powrotem rozpoczął studya zoologiczne, nie mógł jednak długo usiedzieć w spokoju. Już w zimie 1884—1885 r. widzimy go zwiedzającego północne góry Norwegii, a w maju 1888 wyjeżdżającego do Groenlandyi ze starszym o kilka lat od siebie kapitanem okrętu Sverdrupem. Celem ich było przebycie ze wschodu na zachód południowej części tej krainy, czego nikt jeszcze nie był uczynił. Kazali się tedy powieść na 65° 30′ szerokości, że jednak dostęp do lądu był w tych stronach jak zwykle zawalony przez mnogie kry, przeto wysiedli na lód w nadziei, że przechodząc lub przeprawiając się z kry na krę, uda im się brzegu dosięgnąć. Tymczasem owa przeprawa zajęła im dni dwanaście, gdy zaś dostali lądu spostrzegli, że kry ciągnąc zwolna ku południowi uniosły ich o 400 kilometrów w stronę przylądka Farewell. Nansen przebył Groenland, przekonał się, że wnętrze kraju jest lodem i śniegiem pokryte, a w rok po wyjeździe, 30 maja 1889, stanął z powrotem w Chrystyanii.

Ta podróż stała się punktem zwrotnym w jego życiu, podobnie jak i w pojęciach kosmograficznych całego świata. Fakt ciągnienia lodowców ku południowi z biegunowej ławicy przybyłych, spotykanie u wschodnich groenlandzkich wybrzeży drzew pochodzących z Syberyi, co więcej odnalezienie tamże szczątków ze statku Jeanette, zatoniętego wśród skał Nowosybirskich, a bardziej jeszcze wskazówki zawarte w przedśmiertnem piśmie kapitana Delong — to wszystko doprowadziło go do wniosku, że między oceanem Północnym Azyatyckim a tymże oceanem Amerykańskim istnieje prąd wodny przepływający w okolicach bieguna. Z tego prądu skorzystać, aby przez niezbadane dotąd strefy dostać się z jednej półkuli na drugą, stało się myślą przewodnią Nansena. Utwierdziło go w niej zdanie prof. Mohn'a, dyrektora meteorologicznego zakładu w Chrystyanii i autora kilku poważnych dzieł[1]; ono też niewątpliwie wpłynęło na zbli-

[1] *Température de la mer entre l'Irlande, l'Ecosse et la Norvège* (wyd. Chrystyania 1870), *Oversigt over Norges klimatologi* (ibid), *Grundzüge der Me-*

żenie do siebie tych dwóch ludzi, służących nauce — starszy rozumem a młodszy wszystkiemi siłami umysłu i ciała.

Pierwszym wyrazem dumań i spostrzeżeń Nansena, był w lutym r. 1890 na zebraniu Towarzystwa Geograficznego w Chrystyanii wygłoszony odczyt. Dowodził w nim w słowach jasnych a prostych, jako poprzednie wyprawy chybiły celu dlatego, że się nie właściwą kierowały drogą, wyrażał przekonanie, że istnieje prąd morski, idący od cieśniny Behringa przez Lodowate morze sybirskie i przepływający gdzieś pomiędzy Franz-Josephlandem a biegunem do Atlantyku, ku wschodnim wybrzeżom Groenlandyi. Hipotezę tę raczej niż twierdzenie, popierał kierunkiem lodowców wędrujących regularnie od Syberyi na północ, a następnie w pobliżu Groenlandyi partych gwałtownie ku południowi, oraz częstem pojawianiem się na tych wschodnio-północnych amerykańskich wybrzeżach drzew i przedmiotów, widocznie z Azyi przyniesionych przez fale. Nadto utrzymywał, że jednym z powodów wielkich cierpień i utrudnienia pochodu dawnych podróżników było, że gdy im przyszło opuścić okręt, używali ciężkich sań i łodzi, które musieli za sobą włóczyć po lodzie, podczas gdy można było zastąpić łódź kajakiem a obok lekkich sanek pod rzeczy, sunąć samemu na norwegskich nartach *(ski)* [1], jakich on sam z powodzeniem używał podczas swej Groenlandzkiej wyprawy. Ciepły prąd płynący z Behringa miał w jego myśli wzbogacać się po drodze słodką wodą rzek syberyjskich, a następnie łączyć z odnogą Golfstromu, idącą wzdłuż północnych brzegów Norwegii na wschód ku Nowej Zemli. Nawet i bez Golfstromu i Behringskiego prądu przypływ rzek azyatyckich i europejskich do Lodowatego oceanu jest sam przez się ogromny, nie licząc opadów zwiększonych olbrzymią masą ciepłego powietrza, przychodzącego z południa i wchłoniętego przez nizką temperaturę północy. O wielkiej domieszce wód

teorologie (1887) — Henryk Mohn. To ostatnie uchodzi za główne dzieło Mohna.

[1] Wyraz narty równie dogodny jak poprawny, używany jest potocznie w Warszawie, i chyba jedno zamiłowanie do wyrażeń egzotycznych przeszkadza jego rozpowszechnieniu po reszcie Polski.

słodkich świadczy choćby tylko szczupły procent soli, zawarty w falach Polarnego morza. Dalszych wywodów i dowodów Nansena nie będziemy powtarzać; dość że wyraził nadzieję, iż dojechawszy na północ od wysp Nowosybirskich, dostanie się do owego prądu, gdzie obrawszy dogodne miejsce, przyczepi swój statek do jakiej wielkiej kry, da się spokojnie zamknąć wśród lodu i będzie czekał cierpliwie, aż go sam prąd wraz z lodami posunie na północ, a potem przez biegun na południe ku wschodniej części Groenlandyi. O płynących masach lodowych pouczało już w XII. wieku napisane *Kongs-Skug Sjo (Speculum regale)* najważniejsze z średnich wieków pozostałe norwegskie dzieło[1]. Znać w niem większą znajomość północnych stref, niż się nią pochwalić mógł niejeden późniejszy geograf: „Skoro się już przebyło całą przestrzeń dzikich wód, spotyka się na morzu tak wielkie masy lodu, jakich niema na całym świecie. Niektóre z tych kawałów wydają się tak płaskie, jakby wprost na morzu zamarzły; bywają grube na 4 lub 5 łokci i tak daleko w morze sięgają, że nieraz potrzeba czterech lub więcej dni drogi, aby po nich na ląd się dostać. Tych lodów jednak więcej jest na północ i wschód, niż na zachód i południe od lądu... Dziwne to są lody. Czasami leżą zupełnie nieruchome, poprzerzynane szerokiemi szczelinami lub fiordami; czasem znów ruch ich jest tak szybki i rwiący, iż dorówna rączości statkom, dobrym wiatrem pędzonym. Kry jednak płyną zarówno z wiatrem jak pod wiatr“...

Nie dziw, że słowa te potwierdzające jego własne spostrzeżenia, uderzyły mocno Nansena, który je w opisie swej podróży przytacza. Dla niego ta podróż była już rzeczą postanowioną; należało mu wszakże przekonać drugich chcąc uzyskać potrzebne środki. Rozpoczęły się dysputy *pro* i *contra* uczonych

[1] Dzieło to przypisywane przez niektórych królowi Swerrenowi lub też na rozkaz jego napisane przez jednego z norwegskich baronów Eindrida Unge, składało się z czterech części: O duchowieństwie, o rolnictwie, o dworzanach i o kupcach. Dwie pierwsze księgi niestety zaginęły. Król Swerren kazał podobnie opatowi z Thingeyre (w Irlandyi) Carl Jonsen napisać dzieje swego panowania. Dzieło bardzo cenione.

i podróżników; zasięgano zdania Nordenskjölda, który niedawno dokazał był tylekroć w dawnych wiekach próbowanej sztuki tj. przejechał przez morze Karyjskie ponad Syberyą aż do cieśniny Behringa. Pomimo licznej opozycyi szala przeważyła się wreszcie na rzecz Nansena: można było rozpocząć zbieranie pieniędzy, a potrzeba ich było wiele. Szczęściem dla niego Nansen nie był Polakiem — u nas bowiem ogólno-ludzkie cele nie mają miru i bywają uważane za antypatryotyczny zbytek. Ziomkowie zaś jego nie zasłonili się ani nienormalnem stanowiskiem kraju, niedawno jeszcze zmuszonego do powolnego wywalczania autonomii od obcego, przemocą narzuconego rządu, ani ubóstwem swej czarodziejskiej, lecz niepłodnej ziemi. Wprawdzie impuls przyszedł im z góry. Król Oskar, którego tam nie zawsze identyfikują z nienawidzoną Szwecyą i czynią mu niekiedy zaszczyt zwania go „królem norwegskim" — król Oskar tedy wystąpił z datkiem 20.000 koron, a nadto zaproponował na Stortingu grubsze subsydyum. Wniosek został przyjęty — pomimo że od króla pochodził: sejm uchwalił 200.000 kor., na resztę wyrachowanych 62.000 złożyło się kilku prywatnych ludzi po 7.000, 5.000 i 1000, jeden nawet Antoni Honen dorównał w hojności królowi, ofiarując 20.000[1], baron Oskar Dickson, obiecał koszta oświetlenia elektrycznego zapłacić.

Rozpoczęto przygotowania. U innych podróżników trwały one po kilka miesięcy, u Nansena zaś lat — dziewięć! Doskonałość tych przygotowań jest jedną z najważniejszych i najciekawszych stron całej wyprawy. Nie darmo zostały wykonane przez Skandynawców tj. przez ludzi zarazem najprostszych, najpraktyczniejszych i rzec śmiało można najprawdziwiej cywilizowanych z całego świata. Charakterystyczną ich cechą jest, że na każdym kroku biorą z cywilizacyi to jedynie, co w niej jest dobrem a nawet estetycznem. Aż zazdrość może brać, nie już nas, których w końcu przeszłego wieku zepchnięto umyślnie, dla politycznych celów z osiągniętego stopnia oświaty — ale inne

[1] Nansen odwdzięczył mu się nadaniem jego nazwiska jednej z nowo odkrytych wysp.

szczęśliwsze ludy środkowej Europy, widząc o ile ich pod niejednym względem przewyższyli skromni, zamknięci w sobie Szwedzi lub biedni norwegscy górale. Toż nawet Hammerfest, najbardziej na północ wysunięty gród europejski, oświetlony jest elektrycznie. Wogóle elektryczność zda się stworzoną umyślnie dla pociechy mieszkańców owych stref w czasie długich ciemności zimowych. Nie dziw też, że jej nie zaniedbano dla wyprawy Nansena.

Budowa statku była najważniejszą rzeczą w oczach Nansena, to też wystudyował ją przez całe lata i zrobił w swoim rodzaju arcydzieło. Szło nadewszystko o to, aby statek mógł się oprzeć szalonemu ciśnieniu lodów, które już tyle statków zdruzgotały. Wykonanie powierzono znanemu dobrze norwegskiemu przedsiębiorcy, Colinowi Archer. Ten wykończał jeden model po drugim, aż wreszcie po licznych zmianach i poprawkach, dozwolono mu przystąpić na prawdę do dzieła. Nansenowi nie chodziło o szybkość biegu ani podatność dla żagli, tem mniej o piękność zewnętrzną. Okręt musiał być krótki, aby się módz między lodowcami wywijać i jak najmniej dla zewnętrznych ciśnień przedstawiać pola; przód, tył i spód mieć zaokrąglony a ściany absolutnie gładkie — słowem wyglądać jak rozkrojona przez pół skorupa od jajka. Całe jajko zaś miało być stosunkowo niewielkie: mieć wszystkiego 530—800 ton zanurzenia, długości 34 metr. na 10 szerokości, z trzema masztami o bardzo lekkim systemie lin i ożaglowaniu i maszynie parowej o sile 220 koni, mogącej w pogodny czas jechać do 7 mil morskich na godzinę. Szkielet statku dano dębowy, na nim płyty żelazne o 3—4 cm. oddzielone od drewna pokładem trocin i smoły; na żelazie znów trzy powłoki dębowe, jedna na 7 cm., druga na 10 a trzecia sprowadzona z Greenheart, t. zw. skóra lodowa przyczepiona w taki sposób, iż nawet gdyby przez tarcie lodu zupełnie została obłupaną, kadłub statku pozostałby w całości. Na wewnątrz znowu powłoka na 10—20 cm. kilkakroć posmarowana terem: całe ściany zatem na 70—80 cm. grubości, powiązane pomiędzy sobą w poprzek okrętu istną siecią belek i szyn żelaznych. Budowa taka różniła się od używanych dotąd na wyprawy polarne szczu-

płością rozmiarów a zwłaszcza ożaglowania, i nie dziw: dawniejsi podróżnicy liczyli na wiatr a Nansen na prądy. Ważną też stroną było urządzenie wewnętrzne; to też owe ściany statku już na 80 cm. grube, opatrzono jeszcze oponami z pilśni napuszczonej terem, potem dano warstwę korka, a na niej ścianę jodłową, następnie znów pilśń, na pilśni linoleum [1], a w końcu jeszcze deski jodłowe. Część mieszkalna złożona z sześciu kajut i „salonu", to jest obszernej izby, służącej za wspólną jadalnię i pracownię, lepiej jeszcze była od boku a nadto między sobą izolowana, kolejnemi warstwami, na które składały się: powietrze, pilśń, jedlina, linoleum, włósie z reniferów, jedlina, linoleum, powietrze i znowu jedlina. W salonie na grubej podłodze było 17 cm. korku, druga podłoga i dywan z linoleum; u góry — grube potrójne szkło.

Zapasy żywności składały się z różnorodnych konserwów mięsnych i rybnych, z jarzyn, ziemniaków, chleba szwedzkiego [2], sucharów i mąki na świeże pieczywo, ogromnej ilości masła i większej jeszcze masy słodyczy: konfitur, kompotów, suszonych owoców, pierników, migdałów i soków. Te ostatnie miały wraz z piwem (obliczonem na pół roku) zastępować wino i wódkę; oprócz bowiem kilkunastu, prywatnie przez członków załogi zakupionych butelek nie było ani kropli wina, wódki, koniaku, ani żadnego alkoholu wpośród zapasów północnej wyprawy. Że zaś wyprawa ta jest dotąd chyba jedyną, której uczestnicy uszli szkorbutu, a więc — Towarzystwa wstrzemięźliwości górą! Tylko że na stałym lądzie, gdzie niemasz okrętowego rygoru, trudno jest wytłumaczyć zziębniętemu, aby się chwilowo nie rozgrzał... Był i pokarm dla myśli: mnóstwo książek i rycin, niemniej jak i instrumenta muzyczne. O innych instrumentach astronomicznych i meteorologicznych,

[1] Linoleum *(Korkteppich)* rodzaj pilśni robionej z tłoczonych resztek korku wymięszanych ze starym olejem lnianym i rozcieranych na grubem płótnie. Linoleum bywa często używanem do opatrzenia środka łodzi.

[2] Rodzaj macy z żytniej mąki pieczonej jednak z solą i anyżem. Taki chleb, powszechnie do stołu używany w Szwecyi i Norwegii może się przechować przez długie miesiące. W Malmö wyrabiają go też z pszennej mąki — ze świeżem masłem jest po prostu wyborny.

nie licząc wszelkich narzędzi należących do nautyki oraz do rzemiosł różnego rodzaju, nie potrzeba chyba zapewniać, że były liczne i najlepszego wyrobu.

Zanim to wszystko stanęło gotowe, minęły, jak mówiliśmy, lata, w ciągu których Fridtjof Nansen ożenił się i został ojcem córeczki, Liv, którą często w pamiętniku swoim wymienia. Nie wiedzieć komu z dwojga bardziej się dziwić, czy mężowi, który tak nadludzkie poniósł trudy dla zbadania północnych prądów, czy żonę, której moc ducha starczyła na oczekiwanie? Prawda, że poślubiając Nansena, wiedziała o jego zamiarach i sama okrętowi, który go miał ponieść, nadała imię Fram czyli naprzód, wylewając nań kielich szampana a zatem bez zbytecznych rozczuleń... Nie ona przeto, ani miłość dziecka, ale gorsza od nich zapora zagroziła wyprawie: koszta przewyższyły o wiele projektowany bilans. Sam statek mający kosztować 150.000, kosztował 250.000 koron! Trzeba znów było zapukać do ofiarności krajowej i kraj raz jeszcze odpowiedział przychylnie. Storting uchwalił nowe 80.000, nadto popłynęły składki ze wszystkich miast, miasteczek i wiosek Norwegii, najuboższe osiedle wśród skał i lasów zwieszone, swój grosz wdowi złożyło. Sam Nansen poświęcił w znacznej części swoje rodzinne mienie na pokrycie reszty deficytu 6.000 koron[1]. Za to w czasie jego podróży żona jego zmuszona była dawać koncerta na utrzymanie dziecka i swoje. Niedość na tych biedach: ze wszech stron świata dochodziły listy zniechęcające, ostrzegające o straszliwych niebezpieczeństwach podróży; liczba ich podwoiła się, gdy dzień wyjazdu został ogłoszony. Prawda, że i zachęty nie brakło, a tej najobficiej czerpał Nansen z ust prof. Mohna; ten najwięcej z pomiędzy uczonych zajęty był podróżą, dopomagał w przygotowaniach, kierował... Byli i inni poza granicami kraju: baron Ewald Toll z Petersburga, wyjeżdżający do Syberyi w celach naukowych, podjął się zakupna psów cugowych i wysłania tychże nad cieśninę Jugorską, kędy je Nansen miał zabrać w przejeździe, nadto sam pojechał na Nowosybirskie wyspy (co samo

[1] Całość kosztów wyniosła 444.339 koron, 36 öre.

przez się było wyprawą nielada), aby tam na trzech punktach złożyć zapasy żywności, mogące służyć wyprawie w razie nieszczęścia. Za psy i zapasy jednak zapłacił nie on, ale kupiec Mikołaj Kelch.

Pozostawało już tylko złożenie załogi, zaczem liczniejsze już od przestróg jęły napływać prośby kandydatów wszelkiego języka i wieku. Nansen nie chciał ich mieć więcej nad 12, młodych, moralnie i fizycznie tęgich, inteligentnych i... Norwegczyków. Wierny towarzysz wyprawy groenlandzkiej, kapitan Otto Sverdrup miał objąć dowództwo okrętu: piękna to męzka postać o ciemnym zaroście i cienkich, ściągłych rysach, wykwintna niemal i głęboko myśląca. Według portretów Sverdrup wygląda niemal na zachodniego rycerza, podczas gdy Nansen ze swym wybujałym wzrostem, jasnym włosem i wyzywającem spojrzeniem patrzy raczej — nawet zdaniem znajomych — na stepowego junaka. Jego stepem atoli są lodowe pustynie... Porucznikiem, *de facto* Sverdrupa a częstokroć zastępcą został 25-letni *premier lieutenant* marynarki wojskowej, Sigurd Scott-Hansen, obejmujący tytularnie tylko tekę badań meteorologicznych, prawdziwy typ oficera morskiego, wysmukły, zwinny i widocznie nerwowy, syn pastora z Chrystyanii i... zaręczony. Lekarzem 27-letni doktorant medycyny, Henryk Blessing, także syn pastora, pełen fantazyi i wesołych konceptów. Sternikiem Jacobsen, syn marynarza i sam od dzieciństwa tłukący się po wszystkich oceanach, obznajomiony zarówno z wodami Nowej Zelandyi, jak i lodami północy. „Stolnikiem" i kucharzem poczciwy Adolf Juell, równie sumienny i umiejętny przy patelni i rądlach, jak nim był przedtem przy kilkoletniem kierowaniu łodziami. Dwóch maszynistów Amundsen i Laos Pettersen — pierwszy politykujący nawet na 84° szer.; drugi koloryzant *à la* Zagłoba, pełen zawsze dykteryjek, przepowiedni i dobrego humoru. Dalej harpuniarz Hendriksen, żeglarz doświadczony, skoro już raz rozbił się z okrętem przy Nowej Zemli; Ivar Nordahl, mający głównie pieczę nad przyrządami elektrycznymi; Bentsen, długoletni sternik na Oceanie lodowym, zamówiony w samą godzinę wyjazdu, a nakoniec Hjalmar Johansen, porucznik rezerwy w wojsku lą-

dowem. Ten ostatni, świeżo wyszły z akademii wojskowej, tak gwałtownie pragnął jechać na biegun, że mimo wyższego wykształcenia przyjął w braku innego, miejsce palacza. Nakoniec Mogstadt jeden z najużyteczniejszych uczestników podróży, umiejący wszystko od naprawy zegarków do pielęgnowania psów — nie marynarz wprawdzie, tylko patentowany leśniczy, a co gorsza, od pięciu lat dozorca w szpitalu obłąkanych! Teraz znów szczęście Nansena, że nie był Francuzem, gdyż przeciwnicy jego, mieniący wyprawę szaleństwem, byliby stroili żarty z obecności Mogstadta na „Framie“.

Rzecz godna uwagi, że wśród załogi nie było ani jednego prostego majtka, ale sami ludzie w fachu swoim, a niektórzy ogólnie wykształceni, że stół i czytelnia były wspólne, jak również i cięższe roboty, w których sam Nansen brał udział, że słowem, prócz Sverdrupa i chwilowo Scott-Hansena wszyscy byli sobie równi, nie najemnicy, ale współuczestnicy podróży. Nie potrzeba zapewniać, że Johansen przyjęty jako palacz bywał najczęściej zastępowany w tej pracy a sam służył za asystenta przy próbach meteorologicznych. Dodać tylko należy, iż nie licząc samego Nansena, siedmiu z jego towarzyszy było żonatych — w razie nieszczęścia byłoby 27 sierót zostało...

Na dzień wyjazdu obrano uroczystość św. Jana (1893) — dzień drogi każdemu na skandynawskim półwyspie, obchodzony w wielu miejscowościach paleniem podobnych naszym sobótek, a wszędzie weselem, zabawą i śpiewem. Noc św. Jana zazwyczaj spędzaną bywa bezsennie na dworze — prawdopodobnie i w domu Nansena tej nocy nie spano. Ranek był pochmurny i dżdżysty, a żal pożegnania tłumił na chwilę zapał w sercach odjeżdżających. Co się działo w duszach tych, którzy pozostali, aż strach pomyśleć; o takich cierpieniach historya milczy, wolno jednak zapytać po cichu, czy odkrycie martwych, podbiegunowych wysep opłaci choć połowę łez, które z ich powodu spłynęły? Zmierzono istotnie głębokości mórz, ale któż sobie zadał pracę zgłębienia otchłani bólu ojców, matek i żon? Zaprawdę chwałę nauki, podobnie jak chwałę wojny przychodzi okupywać zbyt drogo! Księża, wojskowi i podróżnicy powinni nie

mieć związków rodzinnych. Rozumiano to dobrze ongi, gdy zaprzysięgli Normanie i za ich pono przykładem powstali Siczowi Kozacy, wyrzekli się małżeństwa. Nansen podobno przed wyjazdem podpisał własny akt rozwodu, ażeby żona mogła być wolną w razie, gdyby on zaginął bez wieści; fakt ten jednak można zapisać tylko z zastrzeżeniem, niemając o nim pewnych wiadomości.

„Fram" zatem wyruszył z Chrystyanii dnia 25 czerwca 1893 r. wśród mgły i deszczu, Colin Archer był na pokładzie kierując sam ruchami okrętu — chciał swoje wypieszczone dzieło wywieść z długiej zatoki na pełne morze. Pożegnano go salwami z dział. Po nim objął komendę Scot-Hansen, Sverdrupa bowiem miano wziąść dopiero po drodze. Przez dwa dni żegluga szła pomyślnie wzdłuż brzegów. Wieczorem jednak dnia 27, gdy Nansen ze swym młodym porucznikiem zabawiał się spokojnie gawędą w kajucie, drzwi rozwarły się nagle i fala morska niespodziewana ani nieproszona stoczyła się do stóp siedzących.

„Wybiegliśmy na pokład — pisze Nansen. Statek ciskany był jak kawał drzewa; bałwany wpadały z obu stron przez poręczę — ludzie jeden po drugim powychodzili na górę. Patrzałem z obawą na cienkie podpory podtrzymujące szalupy — te bowiem gdyby puściły, byłyby zerwały za sobą część ożaglowania. Rzeczy poczęły niewesoło wyglądać, gdy 25 pustych beczek przymocowanych na pokładzie odczepiło się i zaczęło gwałtownie jeździć po nim napełniając się wodą. Gorzej jeszcze było, gdy w ślad za niemi stosy zapasowego, surowego lub obciosanego drzewa poszły w podobny taniec, grożąc coraz to mocniej zrzuceniem szalup. Mieliśmy przykrą chwilę. Chwycony nagle chorobą morską stałem na moście komendy, nie wiedząc dobrze, gdzie się obrócić; z jednej strony musiałem co chwila składać morskim bóstwom ofiarę, a z drugiej patrzeć z najżywszym niepokojem na załogę, usiłującą na przodzie statku ochronić, co się dało od zguby. Czasami widziałem tylko gmatwaninę bałwanów, latających desek, ludzkich rąk, nóg i próżnych beczek. Tu zielona fala rzucała którego o ziemię tak, że aż piana wkoło niego tryskała, ówdzie drudzy w obawie przygniecenia nóg skakali po-

przez wirujące baryłki i belki. Żaden z nich nie miał chyba suchej nitki na sobie...

„Była chwila, gdzie „Fram“ zanurzył się całym przodem, fale zaś biły ponad podniesiony tył statku...

„Nie śmieliśmy z powodu mgły zbliżyć się do lądu, trzeba nam było tedy kierować się wciąż ku pełnemu morzu, aż wreszcie nad ranem powietrze się wyczyściło“...

Dnia 1 lipca w piękną pogodę dojechali do Bergen. Dawna stolica norwegskiego handlu, w średnich wiekach potężna i czynna, uczestnicząca w Hanzie i wojująca z nią, a teraz zawsze ludna i ruchliwa, zawsze urocza i ze szczytu swoich gór królująca nad morzem, przyjęła podróżników z niesłychanym zapałem. Cała ludność wybiegła na brzegi, port roił się od łódek; salwy, muzyka, okrzyki, flagi, cały arsenał publicznych uroczystości! Nansena uczczono bankietem, kazano mu wygłosić odczyt, poczem nowe nastąpiły owacye, aż mu wstyd było, że go tak chwalą przedwcześnie. „Jeszcze dotąd nic nie zrobiłem — pisze w dzienniku — a nuż się wyprawa nie uda?“... Wprawdzie nietylko w Bergen ale wszędzie, gdzie się po drodze zbliżali do lądu, prosty lud tłoczył się ciekawie i przychylnie witał; raz uderzyła ich postać starej kobiety, stojącej samotnie na wybrzeżu skały i ślącej im w dal pożegnanie. „Oni to nas wysyłają — pisał Nansen — z pewną trwogą przychodzi myśleć o przyszłości. Żaden z nich dobrze nie wie, na co dał pieniądze. Może posłyszeli, że chodzi o jakieś chwalebne przedsięwzięcie; ale jakim jest jego cel, jaka korzyść? — Czyż to nie jest rodzajem oszustwa? — A jednak oczy ich biegną za statkiem i może przez krótką chwilę przed myślą ich majaczy jakiś nowy, niepochwytny świat; może ich rwie uczucie tęsknoty za czemś nieznanem a dziwnem...“

W Bejan pod Drontheimem wsiadł Sverdrup, a wraz z nim dwie olbrzymie skrzynie zapasów lekarskich — dar aptekarza Bruun'a z Drontheimu. 12 lipca zatrzymali się w Tromsö dla nabrania węgla, lapońskich kożuchów, futrzanych reniferowych butów, zwanych komagen, butów fińskich i t. p. Tu czekało ich zimne przyjęcie: gwałtowny wicher z zawieją śnieżną. Nazajutrz

góry, pola i dachy były białe, jak w styczniu. I nie dziw — toż bywają lata, gdzie w Tromsö na św. Jana odprawiają się wyścigi na nartach! Z Tromsö przebywszy Nordkap a raczej Magerö wśród nowej burzy morskiej, dnia 19 lipca stanęli w Vardö, witani podobnie jak w Bergen salwami, mnóstwem flag i muzyką. Tu miała nastąpić ostateczna toaleta Framu, wysłanie ostatnich depesz i pożegnanie z kilku przyjaciółmi, pozostałymi dotąd na statku. Tylko sekretarz Nansena, Christofersen, miał mu towarzyszyć aż do cieśniny Jugorskiej.

Ostatniej nocy (21 lipca) wszyscy spali na statku; jeden Nansen siedział i pisał czekając na sekretarza, który w mieście wyprawiał depesze i listy. O 3-ciej wstał, poszedł zbudzić Sverdrupa i paru innych z załogi. Wyciągnęli cicho kotwicę; wkoło nich panowało milczenie, port drzemał i miasto drzemało. Tylko rybak jakiś nawpół zbudzony wychylił głowę z poza brzegów swej łódki i patrzał za odjeżdżającymi. Na kutterze cłowym stał człowiek z wędką i łowił o tak niezwykłej porze... Okręt oddalił się; przez chwilę słońce przedarło się przez chmury oświecając domy, maszty i twardą ziemię wybrzeża. A potem wszystko utonęło w mgle.

II.

Wśród ciągłej mgły, jakoby ptak wśród chmur, jechał „Fram" — „Naprzód", przez cztery długie dni. Piątego dopiero zrobiło się jasno tak, że między lazurami nieba i lazurem wody zdało się, że cały świat był z szafiru. Dopływali właśnie do Nowej Zemli i już sposobili strzelby na dzikie gęsi wybrzeża, gdy z południ.wschodu nadciągła mgławica i stanęła pomiędzy nimi a światem. Skręcili tedy kierując się ku cieśninie Jugorskiej, że jednak mieli wiatr przeciw sobie, musieli używając pary i żagli przez kilka dni szybować wśród mglistych obłoków. „O ta uparta, nieskończona mgła północnych mórz!... Gdy tak okryje wodę i niebo, gdy dzień po dniu nie widzi się nic prócz szarej, mokrej zasłony chmur, zaprawdę potrzeba całej siły ducha, aby się nie dać przygnębić w jej zimnym uścisku. Mgła osiada na linach,

i kapie po całym pokładzie, osiada na odzieniu i przesiąka je, osiada na umyśle, na sercu“...

Już 27 lipca wieczorem nie wyjechawszy z mgły, natrafili na pierwsze lody, zrazu małe kry, potem większe, które jednak przebyli z łatwością. Za to nazajutrz z rana zbudzono Nansena donosząc, że przed okrętem leży gruby i stary lód. Z poza mgły nie było widać końca lodowej przestrzeni. Dla „Framu“ rozpoczęła się pierwsza próba; trzeba było z natężeniem uwagi i siły przebijać się przez masę luźnej kry, omijać grubsze kawały — wszystko to wśród mgły, czyniącej każdy ruch niebezpiecznym. Godziny mijały, lód stawał się coraz gęstszym i już poczynano myśleć o odwrocie, gdy mgła zrzedniała i wolne morze ukazało się od strony wschodu. Strasznie ciężką w takich przejściach jest praca sternika; „Fram“ wprawdzie z próby wyszedł zwycięsko, uwijając się jak węgórz na prawo i lewo — ale cóż będzie dalej, jeśli już tutaj lód staje zaporą. Nazajutrz (29 lipca) pod wieczór, minąwszy kilka wysepek, zbliżyli się do cieśniny Jugorskiej i poczęli wypatrywać lądu. Patrzeli długo, aż wreszcie blade kontury wyspy Wajgacz zarysowały się na lewo, prawie na równi z morzem. Nieco poniżej ku południowi ukazał się stały ląd, a pomiędzy nim i wyspą cieśnina — wejście do olbrzymiego kontynentu Azyi.

Wjechali w otwór. Woda była płytka, po obu stronach nizkie, skaliste brzegi, warstwy kamienne, ułożone pionowo, znać pierwotnie proste, ale dziś jakby pokrzywione, zgniecione, pogięte. Ponad nimi zaś powierzchnia gładka, rzekłbyś wyszlifowana. Człowiek poruszający się na niej, po dzikich tundrach i zielonych stepach, ani domyśla się jak strasznych walk i przewrotów ślady kryją się w tej podwalinie głazów. Niegdyś doliny i szczyty, przemocą fal zmiecione i uniesione w głąb, a w ich miejscu płaszczyzna bez końca. Pierwszym objawem ludzkiego życia, jaki spotkali u brzegu, była dziurawa norwegska łódź; dalej na południowej stronie tyka z czerwoną flagą a za nią zabudowania i namioty — osada Samojedów, Chabarowa. Zaledwie spostrzeżono obecność „Framu“, wnet zjawił się na pokładzie mąż wielce pokaźny, Aleksander Trontheim (Moskal pochodzenia

norwegskiego), który tu od pewnego czasu już czekał z przyprowadzoną z pod Uralu gromadą 34 psów. Za nim przybyli kupcy moskiewscy, wspaniałe figury o długich brodach, sięgające futrzanemi czapami do połowy masztów. Handlują oni pilnie z krajowcami nabywając od nich skóry focze i niedźwiedzie w zamian za gorzałkę i oczywiście wyzyskują ich do szpiku kości. Za kupcami znów przyszli Samojedzi, od których poczciwych, szerokich twarzy zaroiło się wnet na okręcie. Dobry to lud choć rozpaczliwie leniwy, gdy chodzi o inną robotę jak paszenie reniferów po tundrach; szkoda go na kacapską wódkę, ponad którą nie zna rozkoszy. Większość ich należy do starowierców; nie muszą być jednak bardzo zakamieniali, skoro w dzień św. Eliasza — zapewne prażnik — przypadły w kilka dni po przybyciu „Framu", ludność cała poszła nasamprzód na chwilę do nowej cerkwi a następnie do starej, gdzie pop prawosławny za cenę dwóch rubli starowiercom odprawił nabożeństwo. Samojedzi zebrali się byli z dalekich stron w strojach odświętnych, o krzyczących barwach, kobiety w fałdzistych, „kilkopiętrowych" spódnicach, z ogromnemi warkoczami przeplatanemi wielką ilością wstążek. Przed południem wyglądało to bardzo pięknie, wkrótce jednak po nabożeństwie nie było już ani jednej trzeźwej duszy w całej Chabarowie. Wieczór upłynął wśród dzikiego gwaru, nazajutrz zaś wszystko spało jak kłody. Nie mogąc nająć ludzi do ładowania węgla, musieli podróżnicy nie wyjąwszy nikogo, pracy tej osobiście dokonać.

Upolowawszy nieco ptactwa na wyspie Wajgacz i spróbowawszy zaprządz psy, co się nieświetnie udało, gdyż zobaczywszy jakiegoś obcego kundla, cały zaprząg rzucił się z wściekłością na niego i ledwie siłą kijów i pięści dał się umitygować — Nansen i jego towarzysze wrócili na okręt. Tu już musieli pożegnać się z Christofersenem, który miał ich ostatnie pozdrowienia powieść do kraju. Psy uwiązano na pokładzie, gdzie zrazu nieproszone a ogłuszające dawały koncerta. Były między nimi śliczne psy olśniewającej białości, o długim włosie, sterczących uszach i łagodnych, sympatycznych fizyognomiach pomimo śpiczastych pysków. Inne były podobne do lisów, u in-

nych znów spadające uszy zdradzały przymieszkę krwi europejskiej. Na pożywienie dla nich był osobny ładunek suszonych ryb i pieczywa.

O północy z 4 na 5 sierpnia ruszono w drogę. Mgła była tak gęsta, a przejazd cieśniny pełny mielizn i skał tak niebezpieczny, że Nansen puścił się naprzód w łodzi, ze Scott-Hansenem, czyniąc urząd rotmana. Scott-Hansen stał na przodzie z liną mierząc głębokość dochodzącą ledwie od 7—10 metrów, Nansen u tyłu sterował; Framu przez mgłę nie widzieli nawet za sobą. Naraz maszyna barkassy[1] stanęła: podczas gdy doń Nansen dolewał benzyny, niespodziewana fala wstrząsnęła łodzią rozlewając benzynę. W jednej chwili tył łodzi stanął w płomieniach, ubranie Nansena również skropione olejem zaczęło się palić. Poskoczył na przód, aby ogień na sobie ugasić, potem wróciwszy na tył porwał naczynie z płonącą benzyną i nie bacząc na własne palce, wylał ją do morza, aż cała przestrzeń wodna rozgorzała wokoło. Następnie chwycił czerpak i jął wodą napełniać łódkę wiele się dało. Po chwili wszystko było skończone. Z Framu musiała cała awantura brzydko wyglądać; ludzie stali już w pogotowiu z linami i ratunkowymi pasami.

Niedługo potem wydostali się z cieśniny; mgła była tak dalece zrzedniała, iż mogli rozeznać po bokach płaski ląd, przed sobą morze a w dali masę płynącej kry. Około 4-tej zrana (4 sierpnia) wypłynęli na groźne morze Karyjskie: „Jeżeli szczęśliwie przebędę Karyjskie morze i opłynę przylądek Czeliuskin — mawiał przed wyjazdem Nansen — to już najgorsza część drogi będzie przebyta“...

W istocie obawa nie była daremną. W półtorej godziny potem byli już u brzegu lodów. Wyglądały tak gęste, że przejazd wprost wydał się niebezpiecznym: można było ugrzęznąć, a na to było zawcześnie. Poczęli tedy lawirować to bliżej, to dalej od lądu, zdala już miarkując stan wody i lądu według koloru nieba, jak to zwykli czynić północni żeglarze. „Biały lód bowiem rzuca jasny odblask na niebo i tam, gdzie się znajdują

[1] Parowa łódź pędzona naftą lub benzyną, po niemiecku *Dampfbarkasse.*

wielkie przestrzenie lodowe firmament przybiera barwę białawą; ponad wodą zaś bywa błękitny lub ciemny". Głębokość morza nie przenosiła 20 metrów, a ponad morzem zwieszała się, jak zawsze, mgła. Dnia 6 sierpnia wylądowali na półwyspie Jalmal, ziemi płaskiej, pustej, milczącej, ożywionej tylko gdzieniegdzie świegotem morskiego ptactwa i jaskrawą barwą niziutkich kwiatów, rosnących gęsto wśród trawy. Złotawe maki polne, białe i niebieskie dziewięcioraiki, niezapominajki i brusznice, rozkwitają za pierwszym cieplejszym promieniem, nie czekając, aż śnieg wkoło stopnieje. Dziwną jest szczodrość ręki Stwórzyciela, rozsiewająca piękno tam nawet, gdzie go żadne oko ludzkie nie dojrzy! A przecież i tu byli ludzie: nazajutrz przypłynęła na półwysep łódka z czterema Samojedami, mieszkańcy Framu ugościli ich rozmawiając z nimi na migi: były to ostatnie istoty ludzkie, które mieli oglądać w czasie podróży.

Dnia 10 sierpnia wypłynęli znów na morze Karyjskie, tym razem mając wolną niemal przestrzeń wodną przed sobą, za to wiatr i prąd przeciw sobie, co ich znów do szybowania zmusiło. Sonda spuszczana w wodę wykazywała wszędzie prawie dno płytkie z lodowcami leżącymi u spodu. Lawirując tak odkryli nieznaną na mapach wysepkę, którą Nansen ochrzcił nazwiskiem Sverdrupa, potem spotkali jednę z wysp Kamiennych i zauważyli na jej stromem, skalistem wybrzeżu linie wykazujące, o ile dawniej morze wyżej sięgało. Czy ląd się podniósł, czy wody opadły? Dość, że objawy podobnych zmian często się znachodzą na brzegach Syberyi. Nieco dalej ukazały się naznaczone już na mapie Nordenskjölda wyspy Kjelmann, pełne zwierzyny północnych stref. Zdala już sposobiono strzelby. W istocie, zaledwie ląd ukazał się bliżej, sternik Jacobsen zawołał, że widzi renifera na brzegu. Pospieszono spuścić szalupę i najgorętsi z myśliwych, a między nimi Nansen i Sverdrup, wysiedli na ląd. Zwierzyna była czujna i rącza, polowanie zatem trwało długo a gonitwa po gliniastym gruncie nie mogła się do przyjemności zaliczać. Nemrodzi jednak promienieli — nietylko bowiem dwa renifery, ale i dwa niedźwiedzie zupełnie niespodziewane padły pod ich strzałami. Oczywiście padły na różnych a oddalonych

od siebie punktach, teraz więc zachodziła trudność zabrania zwierzyny. Rozćwiertowawszy niedźwiedzie i podzieliwszy między siebie wyborowe kawałki, myśliwi niosąc je powrócili na brzeg. Podczas jednak gdy polowali, przyszedł był przypływ i trzeba było brodzić głęboko, aby się dostać do łodzi pełnej już wody i piasku, nadto trzeba było zgłodniałym łowić pływające kawałki chleba, jedyną przekąskę zabraną na drogę! Oczyściwszy jako tako łódź, wyruszyli ku miejscu, gdzie byli zostawili renifery; wylądowanie jednak okazało się z powodu płaskości brzegów wprost niepodobnem, zaczem Nansen rezygnując choć z żalem z kilku dobrych pieczeni, kazał skierować łódź nazad do Framu. Ale i tu łatwiej było powiedzieć aniżeli wykonać. Jechali bez żagli, a „była to — pisze Nansen — najbardziej męcząca robota wiosłami, jakiej w życiu zaznałem. Zrazu szło nam dość dobrze pomimo przeciwnego wiatru; wkrótce jednak wicher się wzmógł; jedna fala po drugiej zwalała się na nas. Po niesłychanych wysiłkach dotarliśmy przecież dość blizko. Dodawałem jak mogłem otuchy wioślarzom, przedstawiając im, że jeszcze kilka silnych uderzeń a dostaniemy gorącej herbaty — kreśliłem najponętniejsze obrazy. Istotnie byliśmy wyczerpani, pracowaliśmy jednak tęgo, pomimo, że nas każdy bałwan przemaczał do nitki — wyjeżdżając w taką pogodę nikt nie pomyślał o nieprzemakalnych odzieniach.

„Mimo wszystko, niepodobnem nam było łódź naprzód posunąć. Prócz wiatru i przypływu mieliśmy teraz przeciw sobie i silny prąd. Robiliśmy wiosłami tak mocno, iż się zdało, że nam palce pękną — wszystko napróżno. Co najwięcej mogliśmy się utrzymać o tyle, aby się nie cofać. Irytującem było widzieć statek, tak blizko a nie módz dojechać... Spróbowaliśmy powrócić nieco ku lądowi i z innej strony spróbować, zaledwie jednak dojechaliśmy bliżej, chwycił nas znowu prąd i pchał z wiatrem w tył. Raz i drugi powtórzyliśmy ten manewr z tym samym skutkiem. Z Framu rzucili nam boję[1] — gdyby się do niej

[1] Beczkę z kotwicą, służącą w portach do przymocowania okrętów

dostać, sprawa byłaby wygraną. Ale nie — i to było niepodobnem.

„Muszę przyznać, żeśmy nie błogosławili tych, co na statku zostali. Czemuż, do krocset tysięcy, żaden się nie ruszył, aby nam przyjść w pomoc? Czemuż chociaż nie podnieśli kotwicy, aby się do nas zbliżyć?... Jeszcze jedno straszne wysilenie! Wytężyliśmy wszystkie siły, każdy muszkuł ciała, aby beczkę dosięgnąć; w tej chwili jednak ujrzeliśmy z rozpaczą, iż ją odciągają napowrót. Rozgoryczeni oddaliliśmy się znów i znów powrócili, ale nie było ani boji, ani żywej duszy na pokładzie. Jęliśmy z wściekłością wołać o boję, ryczeliśmy jak dzikie bestye, ryczeliśmy i wyli. Nareszcie przybiegli na tył okrętu i boję napowrót ku nam spuścili. Wiosłowaliśmy ostatkami sił... Nareszcie łódź posunęła się trochę, po chwili znów o parę łokci. Jeszcze raz, jeszcze jeden wysiłek! Mocno, mocno, tak dobrze! Już zaraz będzie!... Już jest!...

„Dopiero z pokładu pojęliśmy istotny stan rzeczy; u stóp okrętu prąd leciał jak rozhukany potok; prąd zatem a pod nim mielizna nie dozwalały Framowi się ruszyć“.

Nansen przyznaje, iż byliby mogli powrócić na ląd i poczekać na odpływ, ale że tego uczynić nie chcieli dla głodu i przemoczonego ubrania. I tak przypłacił w nocy zmęczenie swoje gorączką. Był to dopiero początek podróży — z czasem przestali na takie s z c z e g ó ł y uważać.

Nazajutrz chcieli wyruszyć, ale płytkość wody, wiatr i ów silny prąd co kroku zatrzymywały statek; trzeba było znów rzucić kotwicę. Nansen zmęczony położył się spać, a gdy się zbudził (23 sierpnia) zastał dokoła zimę. Lekki, puszysty śnieg obielał rejsy, wciskał się pomiędzy węzły lin, osłaniał i rozweselał ponurość pustego lądu. Pod wieczór z wiatru zrobił się wicher i wstrząsał masztami Framu. Nad ranem przycichł nieco, a z nim i prąd się zmniejszył. Przy pomocy wszystkiej pary i całej siły maszyny ruszono naprzód. Przez następne dnie trzeba było szybować, gdyż „jak zwykle“ wiatr był przeciwny, mgła gęsta, a woda płytka. Szybując odkryto kilka grup skalistych wysepek, które kolejno chrzczono: Scott-Hansen, Mark-

nam[1], Tillo Ringnes i Mohn. Posuwano się wciąż na wschód a bardziej jeszcze na północ, kierując się tylko bussolą. Od prawej strony, o ile sądzić można było przez mgłę, zdawał się ciągle być stały ląd czyli też wielkie podłużne wyspy, obramowane szerokim pasem lodowym. Raz Nansen kazał na tym lodzie zaczerpać słodkiej wody, powstałej ze stopniałego śniegu w zagłębieniu kry — kra jednak, jak im się zdało, musiała komunikować z jakiemś podwodnem źródłem, w miarę bowiem jak czerpano, przybywało wody w zagłębieniu. Wkrótce wykryto prawdziwą przyczynę zjawiska, i to niezbyt przyjemną, gdyż pochód Framu został parękroć wstrzymany przez t. zw. martwą wodę *(Todtwasser)*, która nie jest czem innem jak napływem słodkich wód na słone. Te ostatnie, o wiele cięższe, zostają na spodzie; słodkie zaś suwają się na ich powierzchni, jakoby na twardej podstawie, poruszane okrętem kołyszą nim, tworząc wysokie bałwany i trzymając go prawie na miejscu.

Tymczasem ławica lodu przy lądzie stawała się coraz szerszą; w końcu zaparła zupełnie drogę na północ i Fram oparty o krawędź musiał czekać na lepszą chwilę. Ukazujące się lisy, niedźwiedzie i niezliczona moc fok przerywały nudy oczekiwania; zresztą Nansen powiada słusznie, że balsam cierpliwości jest środkiem lekarskim najpotrzebniejszym w czasie podróży polarnej. Wśród nudów nadszedł był wrzesień; śnieg całkowicie pokrywał ziemię, ptaki odleciały na południe, jednę tylko osieroconą gęś spotkano siedzącą smutnie na lodzie... Dnia 3 września Fram spróbował puścić się znów całą siłą pary, walcząc z m a r t w ą w o d ą i dążąc w stronę południa w poszukiwaniu jakiego przejścia wolnego. Kry jednak stawały się coraz grubsze, mgła była coraz gęstsza, mapy poprzednich żeglarzy nakreślone w lecie, całkiem już o tej porze niezdatne. Zdawało się, że już chyba przyjdzie w tej pustyni zimować, a to znaczyło o cały jeden rok podróż przedłużyć. Na dobitek Nansen polując na foki, upuścił w morze swą najlepszą strzelbę... Znajdowali się,

[1] Admirał Markham, prezes Geogr. Tow. w Londynie; generał Tillo, geograf rosyjski; Ringnes, członek komitetu wyprawy.

o ile mogli sądzić, w pobliżu półwyspu i u południowego wejścia cieśniny Tajmiru. Trwało tak trzy dni; 6 września, w rocznicę ślubu Nansena, niebo wypogodziło się, a że poprzednio wicher zmiótł był trochę kry od północy, postanowiono szczęścia spróbować. I w istocie udało się. Korzystając z każdego przesmyka, przedzierając się przez cieńsze kry, lawirując między wysepkami a potem wzdłuż stałego lądu, Fram posuwał się w upragnionym północno-wschodnim kierunku. Morze wszędzie było płytkie, miejscami zabarwione gliniastym mułem, widocznie przez rzekę jakąś zniesionym. Wybrzeża były płaskie i zupełnie puste, w oddali za to widać było bielejące wzgórza, niemal łańcuch gór. Nansen wysiadł raz na ląd, ale dojrzał tylko tropy lisów i reniferów — ludzi w tej części Sybiru zupełnie niema. Dnia 10 wieczorem przy jasnej pogodzie i otwartem morzu, zabielał wreszcie przed oczami żeglarzy długi a cienki pas ziemi: był to przylądek Czeliuskin, najbardziej na północ wysunięty punkt Azyi zachodniej. Zachód rumienił się jeszcze złotym odblaskiem, w powietrzu i na wodzie była cisza; na niebie jedna tylko błyszczała gwiazda wprost nad końcem lądu, jakby nań swem światłem wskazywać chciała. Około 4-tej zrana, gdy okręt wysokości przylądka dosięgał, rozległ się wśród zamarłej pustyni armatni strzał. W tejże chwili ukazało się słońce. W salonie Framu brzmiały wesołe toasty na cześć tego pierwszego zwycięstwa.

Żeglarze wysiedli na ląd szukając napróżno znaku, zatkniętego przez Nordenskjölda; musiały go zwiać zawieruchy; zatoki zaś i fiordy przezeń odrysowane, były obecnie zamarzłe i prawie nieznaczne. Za to serca norwegskich górali cieszyły się na widok pięknych gór, ciągnących się ku wschodowi i zakończonych nagle spadzistym stokiem ponad nieprzejrzanym obszarem równiny. Lecz i tu niedługo bawili. Przez dwa następne dni jechali jeszcze wzdłuż lądu, mając po jednej stronie błękit morza, poprzerzynany białością kry, a po drugiej błękit oddalających się gór. Dnia 12 września harpuniarz Hendriksen, zbudził Nansena wieścią o morsach, leżących w pobliżu okrętu. Po chwili obaj wraz z Juellem, strzelbami i harpunami siedzieli już w łodzi i zwolna

okrążali zwierzynę. Powietrze było czyste i ciche, tak że zdala słychać było ciężkie sapanie zwierząt. Myśliwi usiłowali trzymać się pod wiatr, jeden z morsów bowiem, snać oficyalnie stojący na straży, co chwila podnosił łeb patrząc w ich stronę. Wtedy Juell przestawał wiosłować i dopiero, gdy mors się odwrócił, jechali dalej. Nansen stał z tyłu ze strzelbą, Hendriksen na przodzie z harpunem.

„Morsy — opowiada Nansen — leżały na niewielkiej krze, jedne na drugich, pomieszane stare z młodemi. Od czasu do czasu jedna z „dam“ wachlowała ogonem swoje olbrzymie cielsko, poczem znów kładła się spokojnie na bok albo na grzbiet. ‚Oj! co tu mięsa!‘ — szeptał Juell, kucharz okrętowy. Zbliżaliśmy się coraz ostrożniej. Trzymałem w pogotowiu strzelbę. Hendriksen silnie uchwycił rękojeść harpuna. W chwili, gdy łódka uderzyła o krę, wstał, harpun zaświstał w powietrzu, trafił jednak nazbyt wysoko, to też odbity o twardą skórę, prześliznął się po grzbietach. Teraz przecież towarzystwo ożywiło się. Dziesięć czy dwanaście ogromnych, szpetnych łbów podniosło się nagle ku nam, góry mięsa obróciły się z niepojętą szybkością i z głuchem szczekaniem przyszły kołysząc się na krawędź lodu. Był to imponujący widok. Spiesznie podniosłem strzelbę i palnąłem w jeden z największych łbów. Morsy poruszyły się; trafiony zwierz padł głową naprzód do wody. Drugą kulą ugodziłem innego; ten również przewrócił się i po chwili stoczył do morza. W ślad za nim wskoczyły wszystkie, aż woda zaszumiała wokoło i wysoko trysnęła w górę“.

„Wkrótce jednak wypłynęły znów wkoło szalupy, co łeb to kolosalniejszy i brzydszy; młode tuż za matkami. Stały w wodzie wyprostowane, szczekając i hałasując, aż dudniało w powietrzu; rzucały się ku nam naprzód, potem na bok, potem prostowały się na nowo i zaczynały szczekać. Następnie znów przewracały się i z wielkim pluskiem znikały pod wodą, na to, aby po chwili na powierzchnię powrócić. Woda pieniła się i kotłowała; milczący świat lodów zawrzał na chwilę szalonym wirem. Lada chwila spodziewaliśmy się widzieć jeden albo dwa kły przebijające nam łódkę; sądziliśmy, że co najmniej będziemy

rzuceni w powietrze. Tymczasem jednak hałas trwał a nam nic się nie działo. Począłem tedy znowu wybierać sobie ofiary; postrzelone nie przestawały szczekać, choć im posoka ciekła z nozdrzy i pyska. Jeszcze jeden strzał — tym razem zwierz obalił się i spłynął po wierzchu; po nim padł drugi i również nie poszedł pod wodę. Hendriksen rzucił harpun i oba przyciągnął ku łodzi... Podczas gdyśmy nasz łup uprowadzali na inną krę, morsy towarzyszyły nam jeszcze czas jakiś, ale nie było już po co strzelać, gdyż nie bylibyśmy mogli więcej jak dwóch powlec ze sobą. Wkrótce nadjechał Fram i zabrał nas w dalszą drogę wzdłuż brzegów"...

Brzegi te górzyste acz już niższe od przylądku Czeliuskin, przypominały niektóre miejscowości Norwegii. I tu ląd widocznie niegdyś przez kataklizmy przechodził, morze bowiem było dziwnie płytkie, niekiedy na 7 metrów, nigdy ponad 13. Lodowce za to rzedniały, od wschodu słychać było przeciągły huk rozbujałych fal; widocznie czuć już było napływ ogromnej masy ciepłych wód, idących od ujścia Leny. Wszystko szło po myśli, jedno tylko poczynało zastanawiać Nansena: tu już powinien był się objawiać prąd z południowego wschodu na północ — kry jednak płynęły sobie swobodnie i wyglądały grubsze i starsze, niż według jego hipotezy być się im należało. Czyżby im drogę na północ jaki ląd nieznany zapierał?... Co tam było a raczej czego nie było, o tem mieli się podróżni wkrótce przekonać; Tram bowiem opuściwszy ląd azyatycki, kierował się wprost na północny wschód, ku wyspom Nowosybirskim. Morze miał wolne od lodów, czas miękki a prąd... przeciwny. Na wyspach oczekiwały na nich przysposobione przez barona Toll zapasy; Nansen wszakże nie chciał tracić drogiego czasu. Toż cały Ocean Polarny zdał się stać przed nim otworem... Zatem nie wylądowując wcale, na wysokości wyspy Bielkow skręcili już prosto na północ. Żegluga szła coraz łatwiej, na statku umysły były w podniesieniu radosnem: „Ani się domyślają w domu, że my tu po otwartem morzu jedziemy sobie jak w dym wprost do północnego bieguna!" — chwalił się 18 września Hendriksen. Nansen i Sverdrup udawali, że niezupełnie podzielają tę śmiałą nadzieję

w rzeczywistości jednak rozpierała im serce. Dzień 19 przeszedł równie pomyślnie; wieczorem zauważono na wodzie lekką fosforescencyę — można sobie było wystawić, że się jest gdzieś na południu...

„Jakże gorzko zostałem z marzeń moich zbudzony! — pisał nazajutrz Nansen. — W chwili, gdym około 11-tej przed południem cieszył się właśnie, żeśmy niemal do 78° szer. dotarli, uczułem nagle wstrząśnienie statku. Wybiegłem: przedemną rozciągała się powierzchnia lodu długa i zwarta, i połyskiwała przez mgłę“.

(C. d. n.).

T. W.

SŁOWO O GENEZIE I CHRONOLOGII KAZAŃ SEJMOWYCH.

Jedną z nierozjaśnionych kwestyj literackich jest geneza Kazań sejmowych Skargi. Wiemy na pewno, że wyszły one drukiem pod koniec roku 1600 wraz z kazaniami o siedmiu sakramentach — na to godzą się wszyscy. Turowski, wydając je w r. 1857, powiada w przedmowie, że ma przed sobą egzemplarz tego wydania, doskonale dochowany, z takim tytułem: „Kazania o Siedmiu Sakramentach Kościoła Ś. katolickiego. Do których są przydane Kazania Przygodne, o rozmaitych nabożeństwach wedle czasu, których jest wypisany na przodku regestr. Czynione i napisane od X. Piotra Skargi *Societatis Iesu*. W Krakowie. W drukarniey Andrzeja Piotrkowczyka. Roku Pańskiego 1600". Otóż w wydaniu tem między kazaniami przygodnemi znajdują się kazania sejmowe. Zresztą wynika to z treści przedmowy do tego dzieła, pisanej przez autora: „Na ten czas — powiada on — mając trochę czasu y uprożnienia za onym wtórem y krótkiem odjechaniem W. K. M. do Szwecyi y za pilniejszem wykradzeniem się od ludzi: napisałem z pomocy Boskiej drugie kazania, w którycheś W. K. M. słuchał o Sakramenciech, y te którem przygodne nazwał, nabożeństwom rozmaitym ludzkim, wedle czasu służące, które W. K. M. za kolędę i nowe lato oddaję... W ten wiek przeszły, to jest w te sto lat, które minęły, patrzyliśmy z wielkiem utrapieniem naszym na rozerwanie Kościoła Bożego... Dayże Boże ten rok święty, i ine po nim idące, lepsze

i szczęśliwsze... y ten Seym, który się tegoż roku zjedzie, obróć Boże na pociechę naszę y W. K. M.“.

Widzimy więc, że życzenia te są na rok 1601, skoro powiada: „w te 100 lat (a nie w te 99 lat), które minęły. W tymże roku 1601 odbył się sejm walny. Wyszło zatem dzieło to pod koniec r. 1600, skoro egzemplarz jego oddaje autor królowi „za kolędę i nowe lato“ roku następnego. Prócz tej szczupłej wiadomości żadnej innej o powstaniu Kazań sejmowych nie mamy. Dziwna to rzecz, zwłaszcza że tyle innych, nawet drobnych wiemy o Skardze szczegółów.

Profesor Tarnowski, zastanawiając się nad genezą tych kazań, tak powiada: „Nasze osobiste nie zdanie nawet, ale wrażenie jest, że ten potok wymowy nie mógł lać się długo a po trochu i na lata rozkładać, że kazania ciągnęły się przez lat i sejmów parę, co najwięcej może przez jeden sejm tylko: a jeżeli tak, to prawdopodobnie był nim sejm inkwizycyjny, jako najburzliwszy, najbardziej zasadniczo niebezpieczny ze wszystkich w tym okresie czasu. Ale znowu gdyby tak było, to dlaczego byłby je mowca aż po ośmiu latach ogłosił. Może być, że sejm inkwizycyjny dopiero naprowadził go na tę myśl i drogę i że kazania rozpoczęły się dopiero po roku 1592“ [1].

Zgadzamy się zupełnie na tę uwagę, że w powstaniu kazań nie mogły zachodzić znaczniejsze przerwy. Dowodzi tego i potok wymowy, który się nie mógł lać długo, ale dowodzi także i ścisły związek treści, jaki istnieje między poszczególnemi kazaniami, co już wykazano zestawieniem ich osnowy [2].

Czyby jednak nie można oznaczyć bliżej i pewniej daty powstania tych kazań?

Oprócz łączności i ścisłego następstwa treści znajdują się także często wśród samego tekstu słowa, któremi kaznodzieja zaznacza związek jużto z kazaniem poprzedniem, już też z następnem. Czytamy np. w trzeciem kazaniu: „Katolicy, jeśli się powadzą, kapłani je i ołtarz pogodzą, od którego heretycy uciekli,

[1] „Pisarze polityczni XVI. wieku“, tom II. str. 40..

[2] Dr. Michał Bobrzyński: „Kazania sejmowe Skargi“. Odczyt. Kraków 1860.

żadnego na niezgody sędziego i jednacza mieć nie chcąc, o czem się na przyszłem kazaniu da P. Bóg nauczy". Zapowiada temi słowy autor kazanie czwarte. Nieco niżej w temże kazaniu napisano: „Nakoniec takie grzechy między nami w tem królestwie jawne i skryte panują — o których się w innem kazaniu mówić da P. Bóg będzie — i t. d." W tych znowu wyrazach wskazuje na kazanie ostatnie. W czwartem napotykamy, co następuje: „a jako sama katolicka wiara świeckie królestwa zatrzymawa i szczęścia ich pomnaża, na drugiem kazaniu dali P. Bóg usłyszycie". I rzeczywiście na ten temat jest opracowane kazanie piąte. Szóste kazanie wiąże się z poprzedzającem takiemi słowy: „Mówiliśmy o pierwszej chorobie rzeczypospolitej na serce, już o drugiej za pomocą Bożą mówmy, która jest na głowę, to jest o królewskiej władzy osłabionej i nadwątlonej". Pozostaje nam już tylko siódme do nawiązania go z innemi. Otóż i ono łączy się z drugiemi, jako traktującemi o chorobach królestwa i to zaraz na początku: „Jest ‚i' ona choroba królestw, dla której umierać i ginąć muszą... prawa i statuty złe a niesprawiedliwe".

Nie pozwala więc wątpić ta łączność i zwięzłość treści wszystkich kazań sejmowych, wykazana słowy autora, żeby pomiędzy wygłoszeniem lub napisaniem jednego a drugiego mogła zajść jaka dłuższa przerwa, zwłaszcza tak długa, żeby aż lata całe pomiędzy powstaniem jednego a drugiego na różnych sejmach upłynąć miały.

Wypływa stąd oczywiście, że Skarga, przystępując do wygłoszenia, a zwłaszcza do napisania kazań, miał plan całości ułożony i obmyślony.

Twierdzą niektórzy[1], że kazanie piąte wygłosił Skarga w Prusach, i w ogromnym są kłopocie, jak sobie to wytłumaczyć, skoro ani śladu niema, żeby tam odbywał się sejm jakikolwiek. Wychodzą oni z tych słów wymienionego kazania: „A oni (heretycy) wszędzie „i tu w Prusiech", skoro moc nad wiernemi wzięli, wnetże je z urzędu składać, łupić... poczęli". Zaszła tu jednak niezawodnie pomyłka drukarska i zamiast „i tu

[1] Np. Rychcicki.

w Prusiech", miało być „i tu i w Prusiech"; niezbitym tego dowodem są słowa tegoż kazania, kilka stron przedtem: „Wnet gdzie mogą (heretycy) odejmują katolikom kościoły... Co pokazują przykłady w każdem państwie i mieście, gdzie rządy swe mają, ‚i tu u nas i w Prusiech', i w miastach i państwach heretyckich".

Zachodzi teraz pytanie, na którym sejmie kazania były mówione?

Prof. Tarnowski przypuszcza, jakoby je Skarga wygłosił na sejmie inkwizycyjnym w r. 1592. Mniemaniu temu sprzeciwiają się jednak wskazówki samych kazań. Tak np. w kazaniu o monarchii mówi autor: „Kila dni obierając marszałka, a raz, pomię, pułtrzecie niedziele na tem trwając czas tracili, gdy ich Król J. M. z radami swemi teskliwie i z utratą dobrego czasu czekać musiał". Osławiony ten wybór marszałka, który był powodem wzburzenia u wielu lepiej myślących, miał miejsce w r. 1593, a więc w rok po sejmie inkwizycyjnym. Tak o nim pisze Niemcewicz w „Dziejach panowania Zygmunta III." [1], opierając się na dyaryuszu tego sejmu [2]: „Przez ośmnaście dni (w sam raz „pułtrzecie niedziele") trwały spory nad wyborem marszałka; wybór ten padł nakoniec na Mikołaja Daniłowicza..." A jeżeli nadto uwzględnimy te słowa: „a raz, pomię", musimy przyznać że zdanie to było wyrzeczone po znacznym upływie czasu od wymienionego sejmu, i gdyby były wypowiedziane zaraz na pierwszym sejmie następnym w r. 1595 lub na drugim w r. 1596, inaczej niezawodnie byłby się mowca wyraził, nie zaś: „a raz, pomię"; byłby np. powiedział: a na ostatnim lub na przedostatnim sejmie pułtrzecie niedziele na tem trwając, czas tracili i t. d.

Zresztą inna jeszcze okoliczność wskazuje, że kazania sejmowe nie były miane ani przed rokiem 1595, ani też na sejmie tegoż roku.

W piątem kazaniu takie spotykamy zdanie: „Katolicka nauka, i wiara, bogobojność i cnoty z niej idące między ludźmi szczepi, a heretyctwo i nauka barzo cnoty suszy i korzeń ich

[1] T. I, str. 262. [2] Tamże w przypisku.

podcina, o czem się w ‚inych' kazaniach już pisało". Wiemy zaś, że jedyne „ine kazania", jakie przed r. 1600 był napisał i wydał i na które mógł się powoływać, były Kazania na niedziele i święta, wydane w r. 1595. W tychto kazaniach rzeczywiście poświęca autor pierwszą połowę jednego kazania na wykazanie błędów i złości heretyków, a w drugiej części kazania daje przepiękne katolikom nauki moralne.

Na pomienionym sejmie w r. 1595 postanowiono drugi na rok następny; sejm ten, lubo według zapowiedni miał trwać tylko dwa tygodnie [1], przeciągnął się znacznie, bo od 26 marca aż do 8 maja [2]. Chodziło tu o przymierze z domem rakuzkim i innymi katolickimi książętami przeciwko Turkom. Narady w tym względzie spełzły na niczem; sprawę odroczono do przyszłego sejmu, a nad innemi ważniejszemi, do których przeprowadzenia mógłby był Skarga stosować swoje kazania sejmowe, wcale niemal się nie zastanawiano. W tym zresztą roku 1596 przemawiał na słynnym synodzie w Brześciu i zanadto był zajęty Unią, żeby miał czas na dokonanie tak znakomitego dzieła, jakiem są rzeczone kazania.

W ks. Wielewickiego historyi *Domus Professae* pod r. 1597 [3] czytamy: „Comitiis Regni Generalibus, quae superiori anno (1596) propter solam de armis contra Turcam sociandis cum principibus christianis deliberationem indicta erant, datum initium 10 Februarii et ad 23 Martii durarunt, nihil tamen in iis est conclusum, et nullae extant horum comitiorum constitutiones". Porównajmy te słowa z następującem miejscem kazania sejmowego VI.: „Bierzem przykład z tych kila przeszłych sejmów, na których nic się dobrego w tak wielkich i nagłych Rzeczypospolitej potrzebach stanowić nie mogło. Panowie posłowie wszystko rozporzą abo swemi głowami, abo cudzemi, tajemnemi, dając się użyć, na co komu potrzeba, zdrowia i całości i dochowania Rzeczypospolitej odstępując. Na tym „tegorocznym" sejmie z sro-

[1] *Volumina legum.* II, 355.

[2] Ks. Wielewicki, *Diarium Domus Professae S. I. Cracov.* 1579—1599, str. 214.

[3] Tamże, str. 234.

motą i wielkiem niebezpieczeństwem wszystkiego królestwa nas wszystkich odbieżeli, protestując się, iż na żadną rzecz, ani dobrą, ani napotrzebniejszą nie zezwalają". Wiedząc zaś, że sejm roku 1597 był jedyny w okresie od r. 1588 do r. 1600, na którym wcale nic nie uchwalono i po którym żadnych nie pozostało konstytucyj [1], tudzież, że na sejmie w następnym r. 1598 wcale już sprawy tureckiej nie wznawiano, bo chodziło tu jedynie o zezwolenie Zygmuntowi na wyjazd do Szwecyi: musimy przyznać, że przytoczone Skargi słowa odnoszą się do sejmu z r. 1597, a nie do innego [2].

Opierając się tedy na tem słowie Skargi „tegorocznym", twierdzimy, że Kazania sejmowe w tej postaci, w jakiej do nas doszły, powstały w r. 1597. Stąd i inny jeszcze ważny wniosek. Skoro autor wyraża się tutaj: „na tym ‚tegorocznym' sejmie nas odbieżeli", a w kazaniu III.: „doznaliście ‚i tego roku' co wam i ojczyźnie waszej pomogło", tedy mówi czy pisze on o rzeczy już dokonanej, tj. mówi czy pisze już po sejmie, a więc nie były wygłoszone na nim, lecz powstały bezpośrednio po nim, w tym samym roku. A ponieważ w r. 1597 nie było drugiego sejmu, na którymby je był mowca wypowiedział, w takim razie, wykazawszy poprzednio ścisły związek między wszystkiemi kazaniami sejmowemi, możemy twierdzić o nich, że w tej formie i porządku na żadnym sejmie przed ogłoszeniem ich drukiem wypowiedziane nie były.

Twierdząc atoli, że Kazania sejmowe w obecnej swej po-

[1] W *Volumina legum* niema ani wzmianki o tym sejmie.

[2] Przytoczymy tu jeszcze dwa cytaty, z których sami dla braku potrzebnych dzieł skorzystać nie mogliśmy, ale które może będzie mógł sprawdzić ktoś inny. Pierwszy napotykamy w kazaniu VIII.: „do tego przyszło iż ten, co ojca własnego zabił, na tym przeszłym sejmie bez karania, mając wolny czas do schronienia się, został"; drugi w kazaniu V.: „W Węgrzech, gdzie wszystko heretycy w wojsku z ministry swymi na Turki idą, prędko przegrywają. I teraz, jako słyszym, gdy im ‚roku przeszłego' wielkie już do wygrania P. Bóg w samej bitwie otwierał... oni bluźniąc przeczystą Pannę mało już nie bitwę przegrali". Co do ostatniego zdania, to podówczas ustawiczne były zaczepki między Turkami a Węgrami, bliższe tylko okoliczności jakoto wzywanie imienia Jezus, a bluźnienie Najświętszej Pannie ukarane klęską, mogłoby być dobrą wskazówką.

staci i porządku powstały w r. 1597, bynajmniej nie utrzymujemy, jakoby już przedtem Skarga nie był przemawiał do narodu w myśl tych kazań, owszem już od r. 1588, kiedy został kaznodzieją królewskim, szerzy on swe zbawcze zasady i nawołuje naród do poprawy. Pracę swą w pierwszych siedmiu latach zawodu tak sam opisuje w przedmowie do Kazań na niedziele i święta: „I do rady i senatu jego i do rycerstwa jego i do domu i sług jego i na sejmach i zjazdach, odprawowałem Panie Zbawicielu poselstwo Twoje: upominałem, aby obie matce swoje, Kościół i ojczyznę, w jednym końcu złączone, wiernie i uprzejmie miłowali: aby ich kacerstwy nie rozróżniali a niezgody między nie nie siali, którą się obiedwie zabijają. Aby wierną radę dawali, na samo się dobro pospolite oglądając, a domy i prywaty swoje dla niego radzi tracąc, gdyby tego potrzeba. Aby pany króle swoje na wzór przodków swoich wiernie czcili i onym posłuszeństwo oddawali i o ich się niecześć gniewali i szemrania się wszelakiego o nich strzegli; aby uprzejmość i całość serca między sobą zachowali; aby wolnością swoją nie ginęli, a niewolej obcych panów na się nie przywodzili. Wołałem na nie, Panie, aby na niewierność, mężobójstwa, cudzołóstwa, kazirodztwa, lichwy, wydzierania, najazdy i inne srogie grzechy, lepsze prawa i prędszą sprawiedliwość znaleźli, a zmazaną krwią i krzywdami kościołów i ubogich i uciążeniem poddanych, ziemię swoją oczyściali: aby hardości, zbytków i próżnych utrat w jedwabiach i winie, i rozkoszach zaniechali a dostatek swój na obronę Rzeczypospolitej i ojczyzny miłej, na ubogie i na kościoły obracali. Groziłem im jakoś rozkazał gniewem twoim, zgubą i pożarciem ich od nieprzyjaciół, i opustoszeniem i przeniesieniem królestwa ich do innych narodów. Ukazowałem, jako pogański miecz nad nimi wisi, który sąsiedzkie zdrowia i majętności pożera: aby się przykłady srogości twej ukarali, a o większych grzechach swoich, które tejże sprawiedliwości nie ujdą, myślili i z nich powstawali...

„Nie wiem czem się dzieje, iż im poselstwo twoje i wołanie moje nie pomaga; do pokuty rzadki bardzo powstaje; twarda rola strudziła wołu starego a pracy na niej w dobrem

żniwie nie znać. Chytre ryby od sieci twej uciekają, pojmać się nie dają"...

Widzimy z rzewnego tego zeznania, że żarliwy patryota ciągle i bez przerwy pracował nad dobrem kraju tak, iż temi samemi słowy, które położył w przedmowie do Kazań na niedziele i święta, charakteryzuje się również i streszcza cała działalność reszty życia jego; można je tak dobrze zastosować do wydanych w pięć lat później Kazań sejmowych, jak do Wzywania do pokuty, które wydał po latach piętnastu.

W samych już Kazaniach na niedziele i święta, napotykamy wiele myśli takich samych, jakie później snuł w Kazaniach sejmowych. Obrona religii katolickiej przed herezyami, umieszczona w kazaniach czwartem i piątem, jest jakby nicią czerwoną w kazaniach niedzielnych. Jak wspaniałe jest np. kazanie na niedzielę V. po Trzech Królach, w którem mówi o „złych synach i plewidle kąkolu", tudzież o „zachowaniu się z kąkolem, gdy się do plewidła zaspało". Kazanie to wcale nie ustępuje wymienionym sejmowym, owszem, wznioślejsze tu natchnienie niż tam w owych dwu, najmniej świetnych, gdzie znać dowody nieco sofistyczne.

Ciekawem jest również i ważnem kazanie na niedzielę drugą postu o pokucie. Z tego zwłaszcza względu, że było wypowiedziane w czasie sejmu w r. 1595 [1]: „Teraz zwłaszcza, gdyście się na ten sejm zjechali..." Dwa szczególniej ustępy są prawie dosłownie te same, co w Sejmowych; pierwszy taki sam, jaki napotykamy w kazaniu sejmowem piątem, a drugi podobny do ustępu w kazaniu pierwszem. Oto są:

---

[1] Skarga zaczął pisać Kazania na niedziele i święta w sierpniu 1593, a wydał je w r. 1595, także w sierpniu, bo po przedmowie do tych kazań umieszcza datę 1 sierpnia 1595 r. (Inaczej utrzymuje prof. St. Tarnowski w „Pisarzach politycznych XVI. wieku", t. II, str. 400, mówiąc, że Skarga ofiarował egzemplarz tych Kazań królowi na kolędę już 1 stycznia 1595 r.) Kazanie na niedzielę II. postu nie mogło być wygłoszone w r. 1593, bo sejm przypadł zapóźno, od 4 maja do 16 czerwca. W r. 1594 sejmu nie było. Dopiero w r. 1595 trwał sejm przez czas postu od 6 lutego do 21 marca. Wielkanoc przypadała tego roku 26 marca, a więc niedziela II. postu 19 lutego w dzień sejmu jedenasty.

„Słusznie i my z Eliaszem żałować się przed Panem Bogiem dzisiejszych tych czasów możem, mówiąc: ‚Zjęła mię żałość i gniew o chwałę twoją Panie; bo odstąpili przymierza twego, ołtarze twoje popsowali, Proroki twoje mieczem pozabijali i samem został i jeszcze i mnie na śmierć szukają'. Bo na tak wiele ludzi heretyckich i odstępników od wiary i przymierza, które z Panem Bogiem i Kościołem jego uczynili patrzym; tak wiele zwojowanych Kościołów i ołtarzów liczym; tak ciężkie na Kościół Boży prześladowanie od nich powstało, iż nam z onym Mathatyaszem i z tym Eliaszem prosić przychodzi, abyśmy na to nie patrzyli a śmiercią tej żałości zbyli. Chcemy-li co u Pana Boga uprosić, aby nam króle i proroki a kapłany swoje, nawrócenie i naprawy Kościoła swego wzbudził z gorącą miłością ku chwale jego i pośćmy i trudźmy ciała nasze".

„Teraz zwłaszcza, gdyście się na ten sejm zjechali, jako wodzowie ludu Bożego, jako świece ich ciemności, jako opiekunowie sieroctwa ich, jako mistrzowie prostych i którzy o sobie radzić nie umieją, wam je Pan Bóg zlecił, wam majętności ich i zdrowia poruczył, abyście je do sprawiedliwości przyprawowali i w dobrej obronie od tego poganina Turczyna zatrzymali. Na to, jako Mojżeszowi, rady wam z nieba i rozumu wielkiego potrzeba na tak trudny rozmysł i wielkie korony wszystkiej niebezpieczeństwo. Słusznie się Panu Bogu w poście ukazać macie, jeśli lud swój i ojczyznę najmilszą miłujecie".

Następne kazanie na trzecią niedzielę postu o grzechu przeciw Duchowi św. też prawdopodobnie wygłosił Skarga wobec sejmu, jeśli uwzględni się to, że było wypowiedziane zaraz w następną niedzielę, jak niemniej i to, że jest tu mowa o sprawach dotyczących publicznego dobra narodu. Napotykamy te same niemal ustępy, co w sejmowych, czy to kiedy mowa o zgodzie domowej, czy też o innowiercach.

Nadto w kazaniu na niedzielę II. po Wielkiejnocy spotykamy się z ustępem, w którym Skarga zachwala „jednorządztwo czyli monarchię". Dowodząc, że w Kościele jedna tylko ma być owczarnia i jeden pasterz, tak się między innemi wyraża o monarchii wogóle: „Ten sposób rządzenia wszystek świat pochwala

i rozumy i nauki wszystkich filozofów i polityków pogańskich na to się zgadzają i przykłady na niebie i na ziemi, starego Kościoła, to ukazują, iż najlepszy rząd jest gdzie jeden wszystkiem władnie. Tego się tylo ludzie w takiem rządzeniu obawiają, aby on jeden głupim a złym nie był, żeby Rzeczypospolitej złym rozumem nie zawiódł, aby mocy onej na tyrańskwo nie użył i zabiegają temu ludzie, kładąc na pany prawa, i radę im, bez którejby nic nie czynili, przydają". Widać więc, że jest za monarchią i żeby rad widział w Polsce władzę królewską mocniejszą i sprężystszą, ale nie mówi tu tego wyraźnie i nie stosuje do stanu rzeczy w kraju, jak to uczynił dopiero w Kazaniach Sejmowych.

Podobnież jest wiele innych myśli w Kazaniach niedzielnych tych samych, co w Sejmowych jak np. o zbytkach szlachty, o uciskaniu biednych, o lichwie i t. p.; miejsc jednak poszczególnych nie przytaczamy, ażeby rzeczy nie przewłóczyć. Jest to dowodem, że Skarga dawno widział złe, zagrażające ojczyźnie i ciągle występował przeciw niemu, tak na sejmach jak wobec dworu królewskiego; najdobitniejszy jednak dał wyraz nawoływaniu swemu w Kazaniach sejmowych.

Co do kazania o monarchii, to ono zdaje się zawierać zasady, jakich Skarga przed r. 1600 albo wcale nie głosił, albo też lekko tylko ich dotykał, jak np. we wspomnianem kazaniu na niedzielę II. po Wielkiejnocy. Tak każe nam sądzić okoliczność, że dopiero po ogłoszeniu drukiem Kazań sejmowych, zaczęto występować przeciw ks. Skardze, jako popierającemu *absolutum dominium*, zwłaszcza podczas rokoszu Zebrzydowskiego, kiedy to tłumaczył się on z tego zarzutu w Wiślicy, bo przecież byłoby to miało miejsce prędzej, gdyby mowca był wygłosił kiedykolwiek kazanie o monarchii w czasie sejmu z tą siłą i wymową, jaką jest nacechowane. Co ważniejsza, nie wydrukowano tego kazania w wydaniu drugiem r. 1610. Przyczyna tego, nigdzie nie jest wyrażona, ale któż, znając charakter Skargi może wątpić, że były do tego poważne powody. (Najprawdopodobniej posłuszeństwo zakonne).

Przeważnie jednak Kazania sejmowe są streszczeniem całej

działalności Skargi. W nich to zebrał on wszystkie myśli, jakie kiedykolwiek był dotąd wypowiedział do narodu, czy to w czasie sejmów, czy też wśród innych okoliczności. Ostateczną pobudką był mu do napisania tych kazań całkiem chybiony sejm w r. 1597, po którym[1] zaraz wziął się do dzieła i wywiązał się z niego iście po mistrzowsku. Prawda, że „na kila już dwadzieścia sejmów patrzał“[2], że, jak powiada Birkowski, „ośmnaście sejmów walnych oświecał kazaniami swemi“, lecz w nich rozwijał on tylko myśli, zawarte w Kazaniach sejmowych. Tem też tłumaczy się i to, że więcej kazań mianych na sejmach drukiem nie wydał. Zresztą sam Skarga przyznaje, że wszystko, co tylko uważał za stosowne do wykorzenienia złego w Polsce, przedstawił ludowi w Kazaniach sejmowych.

Oto mija właśnie 300 lat od czasu powstania tego dzieła i nie od rzeczy nam się wydawało przypomnieć je polskiemu ogółowi.

B. Szulc.

---

[1] Trwał on od 10 lutego do 23 marca.

[2] Słowa są Skargi we Wzywaniu do pokuty.

DUCHOWIEŃSTWO A KWESTYA SOCYALNA.

Ruch katolicko-socyalny, który w początkach miał tylko tu i owdzie nielicznych zwolenników, w ostatnich czasach ogarnął prawie wszystkie kraje Europy i z dnia na dzień potężnie się wzmaga. W Anglii, we Francyi, w Belgii, w Niemczech, we Włoszech i w Austryi powstały wielkie partye katolickie, które jasno wytknęły sobie za cel: pracować w duchu chrześcijańskich zasad nad rozwiązaniem kwestyi socyalnej, Z początku głosiciele tych idei nie zbyt dobrego doznawali przyjęcia i u swoich i u obcych. Socyalni demokraci — w dziwnej zgodzie ze swoimi zaprzysiężonymi wrogami, liberałami — żądali i żądają, by katolicy, jako katolicy, a przedewszystkiem księża nie mieszali się w sprawy socyalne. Religia — powiadają — to rzecz prywatna. Z księży zaś chcą zrobić puszczyków, co się gnieżdżą tylko w starych murach i kryją po wieżach kościelnych. Niech się tam modlą, niech nabożeństwa odprawiają, ale wara im do spraw społecznych — to nie ich pole działania. I między katolikami nie brak takich, co niechętnem i podejrzliwem okiem patrzyli na nowy ruch socyalny w Kościele. Encyklika papieska o kwestyi robotniczej rozwiała wprawdzie przesądy wielu katolików dobrej woli, ale mimo to spora ich liczba trzyma się jeszcze zdala od tego ruchu, śledząc z nietajoną obawą wszystkie jego postępy. Katolików biorących czynny udział w tym ruchu uważają za ludzi może nie złej woli, ale bądź co bądź za nowatorów, nie bardzo dla Kościoła bezpiecznych. Ruch ten wy-

daje im się tylko oportunistycznem zastosowaniem się do rewolucyjnych postępów ducha XIX. wieku — tylko ustępstwem na rzecz socyalizmu. Aby odeprzeć te zarzuty, dobrej sprawie niezmiernie szkodliwe, przewódcy stronnictw katolicko-socyalnych, zachęceni słowami Leona XIII. i światłą jego nauką, w licznych mowach, rozprawach i dziełach zaczęli bronić praw Kościoła do kwestyi socyalnej i wynikającego stąd obowiązku wszystkich katolików, a przedewszystkiem księży: brania czynnego udziału w tym ruchu, który za dni naszych świat ogarnia.

Ponieważ i w naszym kraju ruch katolicko-socyalny się wzmaga, zdawało nam się na czasie, by choć w głównych zarysach zasadniczą tę kwestyę przedstawić. W wywodach naszych mamy przed oczyma stanowisko całego Kościoła i wszystkich wogóle katolików wobec kwestyi socyalnej; uwzględniamy jednak w szczególniejszy sposób socyalne zadanie księży dlatego, że przeciw niemu najczęściej się powstaje i że wyłuszczenie socyalnych obowiązków duchowieństwa najdobitniej wykazuje obowiązki każdego katolika w ważnej tej sprawie.

Możnaby bez wątpienia znaleść znakomite rozwiązanie tej kwestyi w historyi kościelnej. Właśnie w tych dniach wyszło dzieło, które na podstawie źródeł kreśli bardzo szeroką i niezmiernie doniosłą działalność socyalną Kościoła w pierwszych trzech wiekach aż do Konstantyna[1]. Ta działalność rozwinęła się jeszcze skuteczniej od czasów, kiedy religia chrześcijańska swobodnie się mogła rozszerzać po państwie rzymskiem i nieść oświatę wraz z dobrobytem materyalnym między dzikie ludy pogańskie.

Inną jednak wybraliśmy drogę, naszemu celowi może bardziej odpowiednią. Cała akcya Kościoła ma swe najgłębsze uzasadnienie w dogmatach wiary. W tę więc stronę zwróciliśmy uwagę i usiłowaliśmy z samej nauki kościelnej wydobyć te prawdy, z których socyalna praca Kościoła się wyłoniła i w których znajduje się klucz do jej należytego zrozumienia i usprawiedliwienia.

[1] *L' Economia sociale cristiana avanti Costantino.* Umberto Benigni Genua, Gio Frassicomo e Scotti, 1897.

I.

Jeden z głównych zarzutów, podnoszonych przeciwko współudziałowi księży w pracy socyalnej, posłuży nam zaraz na wstępie do jasnego zaznaczenia naszego stanowiska. Powiadają, że dawniej księża pilnowali kościoła, słowo Boże głosili, strapionych pocieszali świętymi sakramentami — i było z tem i księżom i całemu społeczeństwu dobrze. Nowa gorączka, którą się duchowieństwo zaraża, zajmowania się sprawami społecznemi, rozmaitymi, nie wiedzieć jakimi wiecami i stowarzyszeniami, odciąga księży od głównego ich obowiązku, czego następstwem może być tylko uszczerbek godności kapłańskiej, krzywda wiernych i szkody niepomierne dla całego Kościoła. Kapłan z ustanowienia boskiego ma być, jak mówi Apostoł, szafarzem łask bożych, głosząc słowo zbawienia i udzielając św. sakramentów, nie zaś agitatorem socyalnym.

Niektórzy odpowiadają na ten zarzut, że w istocie praca w kościele jest głównym księdza obowiązkiem, ale że przewrotność naszych stosunków społecznych zmusza go obecnie do wdawania się i w sprawy socyalne. Praca na polu społecznem przedstawia się im jako pewne *malum necessarium*, które księdza o tyle tylko może zająć, o ile mu nie przeszkadza w głównych jego obowiązkach. Odpowiedź ta wcale nas nie zadawalnia. Trzeba koniecznie w kwestyi socyalnej rozróżniać dwie zupełnie od siebie odrębne rzeczy: kwestyę polityczną i kwestyę społeczną. W kwestyach politycznych ksiądz, będąc obywatelem jak każdy inny, ma bez wątpienia prawo uczestniczyć: są nawet wypadki, w których ksiądz, jako ksiądz, w imieniu Kościoła, obowiązany jest wdać się w te sprawy. Biskupi kanadyjscy we wspaniałym swym liście okólnym z 22 września r. 1875 trafnie zaznaczyli, że „bywają kwestye polityczne, tyczące się zbawienia dusz; bądź to, że wchodzą w zakres nauki wiary i obyczajów, bądź to, że się odnoszą do wolności, niezależności lub egzystencyi Kościoła, choćby tylko pod względem doczesnym... W takich wypadkach księża i biskupi po sprawiedliwości mogą, a nawet

obowiązani są w sumieniu zabrać głos“ [1]. Zwyczajnie jednak ksiądz oddaje się polityce jako obywatel, a nie z obowiązku i w charakterze kapłańskim. Polityka bowiem zajmuje się formą rządu, bada, jaki rząd w danych warunkach jest lepszy, wskazuje drogi do utrzymania pokoju i dobrobytu w państwie. W świeckie te sprawy religia katolicka się nie wdaje — oby tylko polityka nie gwałciła praw przyrodzonych i nadprzyrodzonych człowieka.

Inaczej zupełnie rzecz się ma w sprawach społecznych. Kwestya socyalna zajmuje się sprawiedliwem uporządkowaniem ustroju społeczeństwa, niezależnie od formy rządu; sama z siebie nic nie ma wspólnego z polityką [2]. Stąd stanowisko księdza wobec niej jest zupełnie inne. Znakomicie je oznaczył mgr Radini-Tedeschi w mowie na wiecu katolickim w Fiesole w. r. 1896:

„Trzeba koniecznie — powiada — żeby ksiądz wziął udział w życiu socyalnem. Jego misya obejmuje wszystkie formy życia ludzkiego, tak jak je wszystkie obejmuje prawda, której on jest organem, wiara, której on jest tłumaczem, moralność, której on jest obrońcą. Jemu przypadła misya jak najbardziej socyalna, a obowiązkiem jego jest za cenę największych wysiłków, największych ofiar tak współdziałać w życiu socyalnem, żeby był jego duszą i jego formą, wprowadzając Chrystusa w to życie“.

W myśl powyższych uwag sądzimy, że obowiązek socyalny księdza żadną miarą nie wyrósł z wyjątkowych okoliczności czasu; nie jest on nowością, ani dodatkiem do głównych obowiązków kapłańskich, ale wynika z samej natury posłannictwa Kościoła i kapłaństwa. Ciasne pojęcie o zadaniu kapłana katolickiego, które sprawia, że chcemy go zamknąć w murach kościelnych, przypomina mimowoli zasady Józefińskie i im podobne, według których ksiądz miał być prostym urzędnikiem, przeznaczonym do spraw kultu religijnego. Ale z bożej instytucyi i z tradycyi nieprzerwanej Kościoła zadanie księdza nie

[1] Cały list w *Stimmen a. M. Laach.* T. IX, str. 573. Zob. *Trid.* sess. 4, c. 1. de Ref. — Kur. IV. i V. z r. 1891 ks. biskupa Łobosa.

[2] Goyau, *Autour du catholicisme social.* 1897. Str. 167. — Scheicher, *Der Klerus u. die soc. Frage.* 1897.

zamyka się w ciasnych ramach służby urzędowej, ono ogarnia wszystko, co się tyczy zbawienia dusz i szerzenia chwały bożej. Ci więc z nas, którzy z taką gorliwością rzucają się dzisiaj w straszny wir walk społecznych, nie sprzeniewierzają się swemu powołaniu, nie wprowadzają do Kościoła nowych zwyczajów, ale śmiało opierać się mogą na zasadach wiary i na wiekowych tradycyach. Nie oni są nowatorami, ale raczej ci, coby Kościół, duchowieństwo i wiernych chcieli odciągnąć od tego pola i wstrzymać w pracy socyalnej.

Uzasadnimy nieco bliżej powyższe twierdzenie.

II.

W właściwym zakresie religii leżą dobra duchowe, a cel, do którego ona człowieka kieruje, jest nadziemski. Bezpośrednie zajmowanie się doczesnem szczęściem i dobrobytem ludzi należy do państwa. Religia katolicka stosuje się najzupełniej — o wiele doskonalej, niż inne religie — do tych zasad rozumowych. Posłannictwo Kościoła i kapłanów pojmuje jako dalszy ciąg posłannictwa Chrystusowego i dlatego w pierwszym rzędzie ma cel czysto duchowy, by oświecać ludzi nauką Chrystusową i wzmacniając ich Jego łaską, zabezpieczyć im żywot wieczny. To jest, to było i będzie zawsze głównem zadaniem Kościoła katolickiego. Słowami tylekroć powtarzanemi: idźcie i nauczajcie wszystkie narody — Chrystus jasno wytknął zadanie Kościoła i w szczególności kapłana na tym świecie. Przeciwnicy socyalnej działalności Kościoła powołują się właśnie na te słowa i przypominają przedewszystkiem księżom, aby w ich myśl zajęli się katechizacyą ludu i pouczaniem go z ambony, a nie wdawali się w sprawy socyalne. I myśmy wybrali te słowa jako punkt wyjścia dla naszych rozumowań, gdyż niemi najdobitniej wykazać można zadanie socyalne duchowieństwa. Jeżeli głoszenie słowa bożego jest pierwszorzędnym obowiązkiem księdza, to powinien się z niego wywiązać z wszelką sumiennością i usilnie starać się o to, by nauka jego nie była bez skutku, lecz wsiąkała do serc wiernych i tam głębokie zapuszczała korzenie. Nigdy jednak tego nie osiągnie, jeżeli się nie zastosuje do spo-

sobu myślenia ludzi, jeżeli nie uwzględni istniejących chwilowo prądów, jeżeli nie wybierze za przedmiot swych nauk przedewszystkiem tych prawd wiary, które są najbardziej zaczepiane, najczęściej potwarzane. Oprócz wykładu pozytywnej nauki, trzeba także zbijać powstające błędy, by wierni nie wpadli w sidła fałszu i sami zdolni byli obronić prawdę przed kłamstwem i sofismami. W ten sposób apostołowie pojmowali słowa: *docete omnes gentes*. Pierwsze dwa listy św. Pawła, które do nas doszły, powstały właśnie skutkiem błędnych mniemań Tesalończyków o przyjściu Chrystusa. Św. Jan zwalczał doktrynę gnostyków, św. Mateusz pisał apologię Chrystusa na podstawie ksiąg żydowskich. Po apostołach widzimy Ojców Kościoła zajmujących się naukami i błędami swoich czasów, a im który z nich był wybitniejszy, tem większe spostrzegamy w jego naukach ustnych i dziełach zrozumienie chwilowych potrzeb czasu. Jak postępowymi — powiedziałby może ktoś: jak liberalnymi byli taki św. Augustyn lub taki św. Tomasz z Akwinu! A czy wiara i Kościół w Polsce zawdzięczałby tyle wielkiemu naszemu Skardze, gdyby się nie był ciągle zwracał słowem i piórem przeciwko błędom i zboczeniom swego wieku na tylu różnych dziedzinach?! Jest to zaszczytna i miła spuścizna, a zarazem święty obowiązek dzisiejszego kapłana trzymać się tej samej taktyki, pracować w duchu wielkich ojców. Przy schyłku XIX. wieku niema właściwie herezyi, ale jedna kwestya umysły wszystkich zajmuje i wszystkie inne kwestye pochłania — to kwestya socyalna. Proudhon w „Wyznaniach rewolucyonisty“, napisał dziwne te słowa: „Jest to uderzające, że na dnie naszej polityki zawsze znajdujemy teologię“. Z wiele większem prawem zastosować można te słowa do sprawy socyalnej. Religia katolicka udoskonalając we wszystkiem prawo przyrodzone, spotęgowała także węzły łączące całą ludzkość w rozmaite społeczeństwa, a wszystkie społeczeństwa w jednę wielką rodzinę. Aby wykazać społeczny wpływ Kościoła, wystarczyłoby przypomnieć uporządkowanie stosunków małżeńskich przez religię katolicką. Nierozerwalność małżeństwa jest dogmatem Kościoła; samo małżeństwo — podwalina i pierwowzór każdego społeczeństwa — sakramentem,

do którego, według nauki Kościoła, nikt prócz niego samego prawa rościć sobie nie może. Stąd też ani ksiądz, ani katolik żaden milczećby nie mógł, widząc powstające teorye społeczne, któreby chciały znieść, albo jakkolwiek modyfikować chrześcijańskie pojęcie rodziny. A przecież dogmat o sakramencie małżeństwa nie jest jedynym dogmatem społecznym Kościoła; Kościół katolicki ma swoją naukę społeczną wspaniałą, potężną, wszystko ogarniającą, wszystko w zarodku zawierającą. Byle ją tylko zastosować w życiu, zupełnie bez wszelkiej obłudy, zdolną jest ona uszczęśliwić całe społeczeństwo, i doprowadzić wszystkie klasy — żadnej nie wyjmując — do największego możliwie rozkwitu i dobrobytu.

A naprzód wedle nauki Kościoła istnieje między ludźmi solidarność najzupełniejsza. Dogmat ten solidarności według nauki Kościoła o grzechu pierworodnym, krwawemi literami zapisał się w dziejach ludzkości. Ale nietylko w tem się ta istotna solidarność objawia, że grzech pierworodny równie na nas wszystkich cięży, na bogaczu i nędzarzu — Kościół uczy, że wszyscy tworzymy jedno ciało, w którem rozmaite wprawdzie są członki, jedne wybitniejsze, drugie mniej wybitne, między wszystkimi jednak istnieje najściślejsza łączność i komunikacya dóbr, tak, że cierpienie jednego członka jest cierpieniem wszystkich innych, a korzyści jednego wszystkim na dobro wychodzą. Naturalnym wynikiem tej solidarności jest powinność miłości powszechnej i obowiązek wzajemnego wspierania się. Ta solidarność ma swój potężny wyraz w codziennej modlitwie chrześcijańskiej, która nietylko jest modlitwą, ale też wyrazem pragnień i dążności chrześcijanina, kodeksem całego jego życia. Założyciel religii, który się każe modlić „Ojcze nasz“, który ani razu w jedynej modlitwie, którą nam zostawił, nie dał miejsca egoistycznemu „ja“, ten już przez to samo uczynił z religii swojej pierwszorzędny czynnik społeczny. W chrześcijańskiej nauce niema wcale owego zimnego, niezależnego „ja“, oderwanego od wszystkich innych ludzi, o którem marzył liberalizm. Nasza religia każe nam widzieć w drugich jak gdyby cząstkę własnej istoty i chce, abyśmy wszyscy bez różnicy nawzajem sobie służyli.

W pierwszych wiekach chrześcijaństwa ten dogmat o świętych obcowaniu i powszechnej miłości wyrównał wszystkie głęboko zakorzenione różnice między Żydem a pogardzonym przez niego cudzoziemcem, między Rzymianinem a barbarzyńcą; był nawet w stanie wypełnić przepaść między panem a niewolnikiem.

Czy dzisiaj dogmat ten utracił coś ze swej siły? Czy nie jest już zdolen dokonać podobnych przemian w spoganiałem społeczeństwie? Owszem; nic on nie stracił z tej zdolności i siły, tylko w praktyce poszedł w zupełne prawie zapomnienie, zwłaszcza pod jednym bardzo ważnym względem. Pojęcie jedności i łączności wzajemnej, zawarte w nauce katolickiej o świętych obcowaniu, bierzemy zazwyczaj jednostronnie. Odnosimy je prawie wyłącznie do życia zagrobowego lub do naszych ze świętymi stosunków, a zapominamy, że pierwszem polem, na którem ta nauka zastosowanie znaleść powinna, to życie niniejsze i ludzie na tym świecie żyjący. Tutaj zadzierzgają się pierwsze węzły owego łańcucha miłości i jedności; wstawiennictwo świętych jest tylko dalszem jego ogniwem.

I czyimże będzie obowiązkiem, jeśli nie Kościoła i jego kapłanów przypominać te wielkie prawdy społeczne nauki katolickiej i czynnie starać się o to, aby one znowu zapanowały nad światem?! To też Leon XIII. we wszystkich encyklikach i listach o kwestyi socyalnej nieustannie wskazuje na ideał miłości chrześcijańskiej, który ma być urzeczywistniony już w tem życiu, a z którego wypłynąć mają zbawcze źródła dla całego społeczeństwa. Aby jednak owa miłość wydała te zbawienne owoce, trzeba koniecznie głęboko wniknąć w jej istotę i zastosować ją do szczegółowych potrzeb czasu.

Miłość chrześcijańska nie jest uczuciową teoryą altruistyczną, oderwaną od dogmatu; jest ona wypływem objawionych prawd nauki Chrystusowej i według myśli Założyciela naszej wiary, winna być odblaskiem najwznioślejszego dogmatu o Trójcy Najświętszej, gdzie istotna odrębność osób łączy się w najwyższej jedności natury. Zatem idzie, że chrześcijańska miłość bliźniego wcale nie usuwa różnic w społeczności ludzkiej. Nauka chrześcijańska nietylko toleruje te różnice, jako zło, wy-

nikające z zepsutej natury ludzkiej, któremu na tym świecie przy najlepszej woli poradzić nie można, ale owszem naucza, że nawet w idealnem społeczeństwie, które w niebie będzie urzeczywistnione, różnice trwać będą. Dlatego na pierwszem miejscu miłość chrześcijańska każe szanować słuszne[1] prawa drugich osób czy stanów; jest to najniższem wymaganiem i jakby podstawą miłości. Szacunek teoretyczny i praktyczny dla praw drugiego nazywamy zwykle sprawiedliwością, ale trzeba się wystrzegać, by różnica słów nie była nam okazyą do rozdzielenia rzeczy, byśmy nie sądzili, że miłość bez sprawiedliwości istnieć może.

Powiedziałem wyżej, że trzeba szanować prawa innych stanów. W zamęcie, jaki teraz panuje, mógłby ktoś wystawić sobie jako rzecz pożądaną i dobrą, by przynajmniej wszelka różnica stanów została zniesioną, jako przeszkoda do powszechnej miłości. Zapewne, że miłości chrześcijańskiej sprzeciwiają się kastowe odgraniczenia, jakie *de iure* istnieją u ludów indyjskich, a jakie *de facto* istnieją i istnieć będą wszędzie, gdziekolwiek pewna klasa ludzi, wybiwszy się nad poziom reszty ludzi, zapomina o Bogu i obowiązkach względem współbraci. Tam jednak, gdzie prawa chrześcijańskiej miłości są w poszanowaniu, różnica stanów nie jest przeszkodą, ale pomocą do wzajemnej łączności, jako istotny wynik ludzkiej natury. W religii katolickiej dogmatem jest, iż stan kapłański jest stanem odrębnym, mającym swoje prawa i obowiązki, którymi się nawet z innymi wiernymi podzielić nie może. A przecież religia chrześcijańska ogłosiła światu nieznane przedtem braterstwo powszechne, a najwyższy jej kapłan nazywa się i jest „sługą sług Bożych".

Miłość chrześcijańska każe szanować prawa drugiego, oddając każdemu, co mu się należy. W naszych czasach, gdzie kwestya materyalna z taką siłą się narzuca, ważną przedewszystkiem jest rzeczą, by wszystkie warstwy społeczne przejęły się jasnemi pojęciami o prywatnej własności, oświeconemi światłem

[1] Dodaliśmy to słowo „słuszne" dla uniknięcia nieporozumień; według nauki chrześcijańskiej o prawie, którą św. Tomasz jasno wyłożył, prawo przestaje być prawem, w chwili, w którejby się stało niesłusznem.

wiary, inaczej bowiem bardzo łatwo przyjść może do naruszenia praw drugiego. Siódme przykazanie mówi: nie kradnij. Stany posiadające skarżą się często, że w ludzie niema dobrego zrozumienia tego przykazania. To być może; ale nie wiem, czy nawzajem wśród klasy posiadającej nie spaczyło się w równym stopniu pojęcie chrześcijańskie własności pod wpływem zasad pogańskich, liberalnych i zasady *de iure abutendi*. Zasady kolektywizmu, jakie socyalizm szerzyć usiłuje między klasami nieposiadającemi, sprzeciwiają się prawu własności, a stąd są niesprawiedliwe. Ale równie wielkiem naruszeniem praw drugich jest egoistyczne i okrutne pojęcie własności, własności bez obowiązków moralnych [1]. Według nauki chrześcijańskiej solidarności istnieje pomimo prywatnej własności pewien komunizm w zakresie dóbr materyalnych, polegający na tem, że posiadający, z tego samego tytułu, że posiada, ma pewne względem społeczeństwa obowiązki, a każdy znów członek społeczeństwa ma prawo do zaspokojenia potrzeb życiowych w odpowiedni naturze ludzkiej sposób. Socyalna demokracya egzageruje to prawo i fałszywe stąd wnioski wyciąga, przez co, choć nie wprost, to przecież psychologiczną siłą rzeczy do buntu pobudza — ale możliwość nadużycia zasady nie znosi jeszcze jej istoty. Niebezpieczeństwo, które może grozić klasom posiadającym w społeczeństwie, gdzieby się zebrały wielkie masy zgłodniałych ludzi obok nielicznych opływających w materyalny dobrobyt, to niebezpieczeństwo rzeczywiście istnieje, ale nie wynika ono z powyższej zasady, lecz tylko z niesprawiedliwego, niechrześcijańskiego ustroju takiego społeczeństwa. Ani się pomyśleć nie da gmina, miasto, państwo, w któremby chrześcijańskie zasady były w powszechnem poważaniu, a mimo tego obok siebie żyli bogaci i ubodzy w takiem położeniu, żeby ci ostatni brać musieli z mienia pierwszych, aby zaspokoić swe konieczne potrzeby. Jeżeli nam powyższe niebezpieczeństwo grozi, jest to znakiem nieomylnym, że w teraźniejszem społeczeństwie odstąpiono od zasad chrześcijańskich. Nie brak zapewne i dzisiaj ludzi bogatych,

[1] Słowa mgr. d'Hulsta na wiecu kat. w r. 1887.

prawdziwie po chrześcijańsku hojnych dla ubogich. Ale to zjawisko nie jest niestety powszechne: wielka część posiadających ma rzeczywiście fałszywe pojęcie o własności. A niedość na tem — cały teraźniejszy system kapitalistyczny gwałci zasady miłości i sprawiedliwości chrześcijańskiej. Czytamy w rezolucyach powziętych przez Związek dla nauk socyalnych w Fryburgu w r. 1887: „System kapitalistyczny opiera się na idei produktywności kapitału lub pieniędzy, na uważaniu pieniędzy za powszechny i najwyższy pierwiastek produktywny, zawsze wydający owoce... Nie zawsze trzeba powstawać przeciwko tej lub owej czynności, lecz system sam jest lichwiarski i to w swej istocie, gdyż całkowicie polega na zysku, płynącym z wartości nieproduktywnych“. Nie tu miejsce wykazywać prawdziwość tych słów; wyszły one z grona mężów poważnych, do których należał między innymi kard. Mermillod i Decurtins, i dlatego powinny przynajmniej pobudzić do zastanowienia. Musimy jednak zwrócić uwagę na to, jak właśnie kwestya o procentach i lichwie znakomicie charakteryzuje stanowisko Kościoła w kwestyach ekonomicznych. Nigdy Kościół nie przeszkadzał wzrostowi ogólnego dobrobytu i sumiennemu powiększaniu majątku prywatnych osób, a przecież w imię boskiego swego posłannictwa, w imię miłości ubogich i sprawiedliwości, najsurowiej występował zawsze przeciw lichwie. Rozumiejąc przez lichwę ciągnięcie zysków z dóbr nieproduktywnych, bez żadnej pracy, bez żadnego nakładu i ryzyka [1], nie pozwalał Kościół w dawniejszych czasach brać w zwyczajnych warunkach procentu od pożyczanych pieniędzy. Później pod wpływem zmienionych stosunków ekonomicznych Kościół w kwestyi procentowej nieco łagodniej występował i procenta od kapitału tolerował w pewnych granicach [2]. Ale w czasach oświeconego liberalizmu nikt się nie troszczył o postawione w tej mierze przez Kościół granice. Operacye pieniężne, jako jedyne źródło dochodu, coraz bardziej się wzmagały, aż wreszcie

[1] Bulla *„Inter multiplices“*, in conc. Lat. V. 1515 edita. Denzinger n. 623.

[2] Zbiór odpowiedzi Stolicy św. w tej materyi w *Collectio Lacensis conciliorum*, vol. VI, col. 667.

doprowadziły do opłakanych społecznych stosunków, w jakich żyjemy. Kościół nie schlebia bezprawnym przewrotom; jest on konserwatywny, nie chce ciągłych zmian, przeciwnie chce zachowania tego, co jest prawdą niezmienną. Ale właśnie ten konserwatyzm Kościoła żąda zmiany stosunków; stosunków, których Kościół nie stworzył, lecz które mają pierwsze swe źródło w buncie przeciw władzy kościelnej i Bogu. Nie chcemy przez to powiedzieć, żeby było zadaniem religii katolickiej tworzyć nowe teorye ekonomiczne; stwierdzamy tylko jej obowiązek czuwania nad tem, aby na żadnem polu życia publicznego i prywatnego nie deptano zasad chrześcijańskich; gdzie je zaś podeptano, tam w pierwszym rzędzie księża mają powinność podnieść głos, bezwzględnie potępić zło i żądać naprawy. Swoją nauką o solidarności, miłości i sprawiedliwości Kościół jest w stanie przekształcić społeczeństwo, ale trzeba tę naukę odpowiednio do usposobienia umysłów głosić, by była zrozumianą i przyjętą.

Nie mówiliśmy o społecznem znaczeniu innych dogmatów, jak np. o wierze w życie zagrobowe, o odpowiedzialności za każdy uczynek, słowem, o dogmatach, które pierwszorzędnie i najsilniej wpływają na umoralnienie jednostki, a skutkiem tego i społeczeństwa. Moralność była zawsze kwestyą niezmiernie doniosłą dla dobra ogółu, więc i dzisiaj o nią usilnie starać się trzeba. Dla gruntownego jednak usunięcia zepsucia obyczajów trzeba przedewszystkiem zwrócić uwagę na źródło, skąd ono wypłynęło. Dzisiejsze wzburzenie namiętności nie ma głównego źródła w nieobyczajności; przyczyn jego szukać należy raczej w podeptaniu fudamentalnych zasad solidarności i miłości chrześcijańskiej, opartych na nadnaturalnej godności człowieka [1]. Hr. de Mun, twórca katolicko-socyalnej partyi we Francyi, trafnie powiada: „Bezwątpienia i przedtem panowały nędza, głód i ucisk, przedtem także istniały cierpienia — ale to, co w dzisiejszem położeniu zgoła jest nowe, to to, że w naszych socyalnych stosunkach Bóg nic nie znaczy, że ludzie już nie mają współ-

[1] Zob. enc. *Rerum nocarum*; nadto referat ks. Kopycińskiego na wiecu kat. w Krakowie, str. 471.

nych interesów, ale każdy się stara tylko o swą własną osobę“ [1].

Obowiązek katolika i księdza zajmowania się sprawami socyalnemi jeszcze konkretniej się pokazuje, jeżeli się bierze na uwagę dążności najruchliwszej partyi socyalnej, która sama się ochrzciła mianem „socyalnej demokracyi“. Wszyscy katolicy, nawet ci, co w poglądach swych są najradykalniejsi, zgadzają się najzupełniej w tem, że socyalna demokracya jest nietylko partyą społeczno-polityczną, ale sektą antychrześcijańską [2]. Zasłużony na polu pracy socyalnej wydawca *Kolońskiej korespondencyi*, dr. Oberdörffer, nazywa socyalną demokracyę najpotężniejszym i najstraszliwszym wrogiem ludzkości. „Przez to staje się ona tak straszną, że jest najradykalniejszą z radykalnych partyj, które może kiedykolwiek były na świecie: radykalną w naukach, radykalną w dążnościach, radykalną w środkach. Zasadniczo chce usunąć naukę chrystyanizmu i porządek świata, oparty na jego zasadach“ [3]. W walce przeciw takim wrogom księża przodować powinni. Niepodobna jednak podołać temu zadaniu, niepodobna skutecznie zwalczać teoryj fałszywych bez dokładnego obznajomienia się jużto z niemi samemi, jużto z odnośną nauką Kościoła, przystosowaną do potrzeb czasu. To też ruch katolicko-socyalny wziął swój początek właśnie od zgłębiania kościelnej nauki społecznej [4]. Okrzyczany przez liberałów *Syllabus* Piusa IX. był fundamentem, na którym hr. de Mun rozpoczął pierwsze swe prace społeczne. A związek fryburski pisze w pierwszym swym adresie do kardynała Mermillod: „Filozofia św. Tomasza, którą najwyższe słowo papieża do czci przywróciło, w szczególniejszy sposób udziela światła naszym pracom“. Nauka i nadal musi zostać fundamentem socyalnej pracy księży — nauka polegająca na zgłębianiu wiary i na obznajamianiu się z obecnymi stosunkami społecznymi i ze systemami, które chcą złemu zaradzić. Do tego niekoniecznie potrzeba kilko-

[1] Cyt. Lehmkuhl, *Die sociale Noth u. der kirchliche Einfluss.* p. 51.
[2] Scheicher l. c.
[3] *Kölner Korrespondenz*, 1893 nr. 1—4, str. 34.
[4] Grégoire, *Le pape, les catholiques et la question sociale*, str. 32.

letnich obszernych kursów. Mimo braku czasu kleryk w dość szczupłej nawet liczbie wykładów może nabyć w seminaryum najniezbędniejszych na tem polu wiadomości, do którychby sam później może nigdy nie doszedł, albo przynajmniej nie bez wielkiego trudu.

Zadanie księdza wobec socyalizmu nie polega tylko na ryczałtowem jego potępianiu. Ojcowie teraźniejszego socyalizmu głosem, który wstrząsnął świat cały, pierwsi powstali przeciw zgubnemu liberalizmowi i przez to mimowoli przysłużyli się i Kościołowi [1]. Socyaliści mają często słuszność nietylko w faktach i nadużyciach, które cytują, ale także w zasadniczych zarzutach, jakie podnoszą przeciwko teraźniejszej gospodarce. Nie mówię tego, by im pochlebiać. Łatwo bowiem wykazać można, że wszystko, co mają dobrego, chrystyanizmowi zawdzięczają. Nigdyby zasady teraźniejszego socyalizmu nie były powstały w społeczeństwie pogańskiem — na to potrzeba było gruntu przesiąkniętego przynajmniej teoretycznemi zasadami religii miłości, a sami socyaliści choć od wiary odstąpili, przecież czują, że silne węzły z Chrystusem ich łączą, i dlatego chełpią się Nim, jakgdyby pierwszym swoim poprzednikiem. Chcieliśmy tylko z naciskiem zaznaczyć, że socyaliści nie zawsze są w błędzie. Łatwo zrozumieć, że dla rozróżnienia fałszu od prawdy w socyalizmie, trzeba znać jego zasady; inaczej można ogromnie zaszkodzić dobrej sprawie. Jako przykład posłużyć może kler francuski, który choć wzorowy pod względem dyscypliny kościelnej, przez pewien jednak fałszywy ascetyzm, dość długi czas zdaleka się trzymał od wielkich prądów społecznych. Skutkiem tego, gdy zewsząd pismem i słowem wrogowie Kościoła zaczęli lud bałamucić, ksiądz nie miał dostatecznego wpływu, by go ochronić od złudzeń i odstępstwa od wiary: ksiądz nie rozumiał doli prostego ludu, lud nie rozumiał księdza... i tak wielu od Kościoła i prawdy się oddaliło. W wielu częściach środkowej i południowej Francyi lud pogrążony jest w najgorszym indyferentyzmie.

[1] Grégoire, l. c. str. 245. — Ketteler, *Die Arbeiterfrage u. das Christenthum*. 1890.

Ksiądz, który bez znajomości przedmiotu występuje do walki przeciw socyalizmowi, może łatwo potępić słuszne i sprawiedliwe jego wywody, i wyrobić w słuchaczach przekonanie, że osobiście fałszywe zapatrywanie księdza, jest zdaniem Kościoła. Stąd powstanie w sercach ludzi niechęć i nieufność do tej wiary, która potępia słuszne nawet wymagania. Lepiej doprawdy spokojnie przypatrywać się ogniowi, aniżeli, zamiast gasić go wodą, dokładać doń paliwa i dolewać oliwy.

W wielu seminaryach austryackich, we wszystkich niemieckich i francuskich biskupi otworzyli już katedry dla nauk socyalnych. W r. 1888 biskupi belgijscy kazali uczyć w seminaryach ekonomii politycznej, jako uzupełnienia teologii moralnej, by wypełnić w ten sposób luki w starych traktatach *de iustitia et iure* i *de contractibus*. — Są to tylko odgłosy ciągłych nawoływań Ojca św., by księża się zajęli pracą socyalną [1].

I w naszym kraju zachęty Ojca św. przyniosły dość już znaczne owoce. I tak: w Poznańskiem, mimo niezwykle ciężkich warunków, utrudniających swobodny rozwój prac Kościoła, akcya jednak katolicko-socyalna, za przykładem katolików na zachodzie, postępuje naprzód. Arcybiskup gorąco zaleca duchowieństwu pracę nad ludem, także poza Kościołem, w myśl encykliki Ojca św. Owocem tej pracy jest wzrastająca liczba stowarzyszeń robotników katolickich. Na Ślązku kardynał Kopp już w r. 1890 w liście z 3 lutego ostrzegał duchowieństwo, by nie stało na uboczu walki socyalnej i nie pozwoliło odebrać sobie „przewodnictwa tam, gdzie chodzi o najwyższe dobra... ludzkości". Sądząc, że duchowieństwo zgodnie z nim uważa za rzecz prawie niemożliwą pozyskanie robotników dla Kościoła, bez wejścia z nimi w styczność poza Kościołem, daje kardynał pewne w tej mierze wskazówki. Poleca pracę w stowarzyszeniach, która jednak nie ma się ograniczać na samo tylko kierownictwo duchowne; „w naszych czasach trzeba robotników pouczać także

[1] Zob. enc. *Rerum novarum:* list Leona XIII. do biskupa z Kolonii 20 kwietnia 1890; list do bisk. belgijskich z 10 lipca 1895; przemowę Ojca św. do przeszłorocznej pielgrzymki robotników francuskich (*Association cath.* t. II) i niezliczone listy i mowy jego prywatne i publiczne.

o stosunkach ziemskich, o obecnem położeniu materyalnem, o widokach i nadziejach na przyszłość"; ksiądz, między innemi musi się też postarać o „gruntowną znajomość socyalnych ustaw państwa" [1]. I u nas nie brak haseł i wskazówek z góry. Jak wiadomo, książe-biskup krakowski wspiera swą powagą i zaszczyca swą obecnością stowarzyszenia robotników katolickich, a duchowieństwo do opiekowania się niemi usilnie zachęca. Ks. biskup Łobos wydał już dwie kurendy „O współudziale kleru w pracy nad rozwiązaniem kwestyi socyalnej" [2], a w jego seminaryum są osobne wykłady socyologiczne. W dyecezyach przemyskiej i lwowskiej duchowieństwo również gorliwie do pracy socyalnej się zabiera, z uznaniem i błogosławieństwem swych pasterzy. W seminaryum przemyskiem odbywają się też wykłady socyologii, a we Lwowie ks. arcybiskup zamierza jeszcze wprowadzić kurs praktycznej socyologii w seminaryum, oprócz wykładów na uniwersytecie [3]. — Jakie znaczenie gr.-kat. episkopat i podległe mu duchowieństwo pracy socyalnej przypisują, najlepiej z tego widać, że w ostatnim synodzie osobny ustęp jej poświęcono.

III.

Z wszystkiego, cośmy dotąd powiedzieli, zdaje się jasno wynikać, że ksiądz w naszych czasach nie może po prostu godnie spełnić swego zadania, o ile ono obejmuje sprawę zbawienia dusz, jeżeli nie będzie uwzględniał kwestyi socyalnej, która z tem zadaniem najściślej jest złączona. Nie trzeba jednak sądzić, „że Kościół tak wyłącznie zajęty jest troską o dusze, iżby zaniedbywał rzeczy, tyczących się życia doczesnego, przedewszystkiem, co do najemnych robotników, chce on i żąda, aby wyszli z dzisiejszego nędznego stanu i doszli do lepszych warunków bytu" [4].

Duchowe uszlachetnienie i umoralnienie przyczynia się

---

[1] List z 8 marca 1890.

[2] 1 stycznia i 20 października 1896.

[3] Trzy lata temu ks. arcybiskup wydał list okólny o kwestyi socyalnej.

[4] Enc. *Rerum novarum.*

w znacznej mierze także do ulepszenia bytu materyalnego, ale religia chrześcijańska, najbardziej ludzka, najbardziej zastosowana do potrzeb i pragnień całego człowieka — ta religia ma też troskę wprost o dobro doczesne. Ona każe nam codziennie prosić Boga o chleb powszedni, nietylko dla nas samych i nam najbliższych, ale dla wszystkich bez wyjątku, wkładając na nas tem samem obowiązek starania się wedle sił i możności o doczesne utrzymanie drugich. Jest to w naturze chrześcijańskiej modlitwy, że wynikać ma z niej gotowość współpracowania w tym kierunku, który treścią modlitwy jest wskazany i podnieta do natężenia wszystkich sił, aby osiągnąć rzecz, o którą Boga prosimy.

Dlatego też Boski Arcykapłan religii naszej — wzór i ideał każdego kapłana — niezliczone w swem życiu dał dowody głębokiego współczucia z nędzą ludzką. Pierwszy cud, jaki uczynił, to miał na celu, aby ludzi uczciwych wyratować nie z czarnej nędzy, ale z przykrego kłopotu materyalnego. Uzdrawiał ludzi często nawet nieproszony, jakby serce jego znieść nie mogło widoku fizycznej nędzy, którejby z pomocą nie spieszył. Rozpłakał się na widok smutku Marty, gdy brat jej umarł, a żal go zebrał nad rzeszą zgłodniałą, o której przecież wiedział, że dobrowolnie z pragnienia słowa Bożego, nie chcąc nic utracić z jego nauki, cierpi ten głód. Apostołowie, wstępując w ślady Chrystusa, jak najtroskliwiej zajmują się ubogimi, starają się zaspokajać wszystkie ich potrzeby. Materyalne potrzeby wiernych tak im leżały na sercu, że troska o nie zaczęła już pochłaniać cały ich czas i odrywać ich od głoszenia słowa Bożego. Dlatego ustanawiają osobny urząd opieki nad potrzebującymi i powierzają ten urząd dyakonom. A mimo to wśród największych nawet prac apostolskich pamiętają jeszcze sami o chlebie powszednim dla swych wiernych, urządzają na wielką skalę składki dla uboższej braci i ujmują się gorąco za niewolnikami i za uciśnionymi. Ksiądz nie powinien być chyba bardziej oderwanym od ziemi, ani bardziej duchownym od Apostołów i od samego Syna Bożego [1]. Na widok gwałtownie szerzącej się nę-

[1] Goyau l. c. str. 131.

dzy ma z obowiązku kapłańskiego spieszyć na pomoc, o ile tylko to jest w jego możności.

Bardzo silną pobudką do zapobiegania materyalnej nędzy będzie też wzgląd i na to, że często tą jedynie drogą trafić można do serc ubogich. Wszyscy ludźmi jesteśmy — materyalna nędza, wszelkiego rodzaju fizyczne cierpienia bardzo nam dokuczają, całkiem zaprzątają duszę, serce i wszystkie myśli nasze. Z doświadczenia wiemy, że kiedy coś nam bardzo dolega, to trudno nam odwracać myśli w inną stronę. Wtenczas mimowoli tylko tych chętnie słuchamy, którzy nam pokazują serce, którzy wchodzą w nasze położenie, niem się zajmują i dają nam dowody szczerej chęci pomagania nam według sił [1].

Posłannictwo księdza sięga do wszystkich klas bez różnicy, a mimo to Chrystus Pan chciał, aby głoszenie Ewangelii ubogim było cechą Boskiej jego nauki. Nie są to zakusy demokratycznej rewolucyi duchowieństwa, ale jest to cel jasno wytknięty pracom apostolskim księży, by się przedewszystkiem stanem ubogich zajmowali. „Kościół tryumf swój święcić będzie, kiedy się spotka z ludem“ — mawiał wielki Pius IX. [2]. „Sama natura — powiada Leon XIII. — domaga się tego, abyśmy zawsze gotowi byli do niesienia pomocy wszędzie, gdzie smutni pociechy, słabi opieki, nieszczęśliwi ulgi potrzebują“ [3]. Bogaci, jeżeli chcą, łatwo znajdą i czas i środki, by się udać do księdza. Nie tak ubodzy, których praca i troski doczesne często zupełnie pochłaniają i nie pozwalają im prawie myśleć o zaspokojeniu potrzeb duszy. Jest też głęboka racya psychologiczna, dlaczego właśnie Kościół katolicki łatwiej trafić może ze swą nauką do serc ludzi ubogich aniżeli bogatych. Bogaty naturalnie się przywiązuje do swych dóbr, wszystkie jego myśli w nich się koncentrują, a jeżeli już się odwrócił od Boga, to jedyną drogą, by go znowu pozyskać, jest oderwanie go od tego, w czem się miłuje. Przeciwnie, mając do czynienia z ubogimi, nie potrzeba ze stanowiska religii katolickiej z góry potępiać najgorętszych ich pra-

[1] O. Weiss, *Linzer Quartalschrift*, 1893, str. 219.

[2] „La Chiesa trionferà, quando s'incontrerà col popolo“.

[3] List Leona XIII. do Decurtins'a z 6 sierpnia 1893.

gnień, które się obracają około polepszenia doli doczesnej Owszem, można przyznać im, że pragnienia te — byleby tylko nie były wyłączne — są sprawiedliwe; że z drugiej strony bez religii nie mogą się skutecznej naprawy społecznego ustroju spodziewać. Socyalna demokracya przedewszystkiem przez to masy od Kościoła oderwała, że przedstawiała im Kościół jako instytucyę obojętną na ich nędze, niezdolną do niesienia im ulgi, co więcej, nawet stojącą po stronie tych. co ubogich uciskają [1]. Ku sobie zaś przyciągnął socyalizm te masy, okazując im serce współczujące z biedą, która ich gniecie, i obiecując im pomoc. Tej samej taktyki trzymać się trzeba w obronie prawdy. Słowem i czynem trzeba ludziom dowieść, że religia katolicka zawsze współczuła z doczesną biedą ludzi i skutecznie jej zapobiegała środkami sięgającymi do samego źródła złego. „Dość przypomnieć, co uczynił Kościół dla zniesienia niewolnictwa, tego haniebnego zabytku pogańskich czasów. Z tego samego, że Kościół własnemi siłami zdołał wyplenić tę hańbę rodu ludzkiego, tak głęboko zakorzenioną, wnosić można, ile jest on w stanie uczynić, aby pracujące klasy podnieść z niedoli, w którą je wtrącił dzisiejszy ustrój społeczny“ [2]. Przypomnieć też należy jak wielkie, nieraz prawie heroiczne siły daje wiara do największych materyalnych ofiar dla dobra drugich. — Tą drogą postępując, wnet się przekonamy, jak silnie wpływ wiary na lud spotężnieje.

Ważną również pobudką dla księży i wogóle katolików do zajmowania się dobrem doczesnem drugich, są zgubne skutki, jakie zarówno zbytnie bogactwo, jak i zbytnia nędza wywierają na dusze. Mamy wprawdzie i świętych królów i świętych żebraków, a przecież pewna, że najlepszym warunkiem moralności jest średni dobrobyt. — Że zbytnie bogactwa są przeszkodą do osiągnięcia ostatecznego celu, przy tem nie warto zatrzymywać się dłużej, gdyż sam Chrystus wyraził tę prawdę w surowych i dosadnych słowach. Mniej się jednak mówi i myśli o tem, że

[1] Zob. list hr. de Mun do ks. Lemire, 25 listop. 1892.
[2] List Leona XIII. do Decurtins'a.

i nędza staje się bardzo łatwo przeszkodą życia chrześcijańskiego i moralności. Ona przygniata duszę do ziemi, zmuszając ją ciągle o tem tylko myśleć, jakby zaspokoić konieczne potrzeby życia. Ona podcina i osłabia, nieraz uniemożliwia życie rodzinne. Ona jest okazyą do niezliczonych grzechów. Jakżeż moralność istnieć może bez cudów heroizmu tam, gdzie w ciasnym pokoju mieszka kilka rodzin razem z starszemi i młodszemi dziećmi. Narzekamy na pijaństwo biedaków, ale często i tego nałogu nędza ich nauczyła. Jak się tu dziwić, że dziczeje serce, które od młodości dobrego słowa nigdy nie usłyszało, nigdy się nie spotkało z współczuciem, nigdy nie miało czasu i sposobności, by wzmocnić i pocieszyć się prawdami religii. Nader trafnie ks. Perreyre nazywał nędzę i głód „ponurymi przyjaciółmi złych myśli i zamiarów".

Ale po cóż — powie może ktoś — rozszerzać się nad obowiązkiem wspierania biednych i współczucia z nimi? Obowiązek miłosierdzia chrześcijańskiego jest bez wątpienia pewny — z niego jednak nie płynie jeszcze konsekwencya, że ksiądz ma się wdawać w kwestyę socyalną.

W odpowiedzi na ten zarzut, musimy zaznaczyć, że jesteśmy przeciwnego zdania. Zdaje nam się, że obowiązek kapłański zajmowania się sprawami socyalnemi wynika wprost z obowiązku miłości i miłosierdzia chrześcijańskiego względem biednych i opuszczonych. Tego samego zdania był „wielki biskup robotników" Ketteler, który chcąc się usprawiedliwić, dlaczego w kwestyi socyalnej głos jako biskup zabiera, powołał się nie na co innego, tylko na święty obowiązek miłosierdzia, który biskupów w szczególniejszy sposób wiąże. „Mam — powiada — nietylko prawo, ale i obowiązek śledzić z żywem zajęciem interesa i sprawy stanu robotniczego, wyrobić sobie o nich sąd i wypowiedzieć go według okoliczności publicznie. Urząd biskupi nietylko nie wyklucza mnie od tego, lecz jest raczej szczególnem do tego zobowiązaniem. Kiedy byłem święcony na biskupa, Kościół zanim mi udzielił święceń i władzy biskupiej, postawił mi między innemi pytanie: ‚Chcesz okazywać miłość i miłosierdzie ubogim, obcym i wszystkim potrzebującym dla imienia

Pańskiego?' — Odpowiedziałem: ‚Chcę!'" — Tak myślał wielki biskup. Podobne jednak zobowiązanie, choć nie w tej formie, przyjmuje na siebie każdy kapłan; jest on obowiązany więcej niż kto inny, do czynienia miłosierdzia ubogim. Dawnemi czasy może wystarczało czynić to miłosierdzie drogą jałmużny; dzisiaj stosunki się zmieniły. Teraźniejszy stan rzeczy dąży, jakeśmy wspomnieli, do coraz większego skupienia kapitału w rękach małej garstki posiadających. Liczba potrzebujących wsparcia staje się tak wielką, że ich potrzebom drogą jałmużny nastarczyć nie można. Zresztą, gdyby nawet znaleźli się bogaci katolicy, którzyby chcieli i byli w stanie rozdać majątki na jałmużnę ubogim, toby im jeszcze skutecznej pomocy nie przynieśli; rzuciliby tylko pieniądze na pastwę żarłocznemu kapitalizmowi, który wkrótce wszystkoby pochłonął. Nie godzi się też zapominać, że jałmużna z natury swojej zawsze była przeznaczoną tylko dla chorych, dla kalek ubogich i dla tych, co przez wyjątkowe stosunki, czy to z własnej winy, czy skutkiem bezwinnych nieszczęść wpadli w nędzę; nigdy zaś nie miała ona być źródłem utrzymania dla ludzi silnych i zdrowych. Silni i zdrowi powinni pracować i pracą zdobywać sobie środki, do utrzymania życia potrzebne. Dzisiaj żąda się od nich pracy, ale za tę pracę nie daje się tego, do czego mają naturalne, a przez religię zatwierdzone prawo. Jest to ciężki wyzysk i krzywda. Jałmużna nie jest i dzisiaj wykluczona; dawać ją trzeba tym, którzy pracować nie mogą — miłosierdzie jednak chrześcijańskie, a jeszcze bardziej kapłańskie, ma za dni naszych ważniejsze i szersze pole działania: ono powinno się starać przedewszystkiem o zniesienie tego wyzysku, jakiego się dopuszcza wielki kapitał na wielkich masach pracujących, o polepszenie warunków bytu dla tych, co pracować mogą i chcą, a mimo ciężkiej pracy nie mają co jeść i w co się odziać. Tego miłosierdzia i Chrystus i Kościół i lud od księdza wymagają. — A więc wymagają i zajmowania się kwestyą socyalną.

Pod koniec chciałbym jeszcze lekko dotknąć dwu zarzutów. Wszędzie, gdzie rozwinęła się nieco silniejsza akcya kato-

licko-socyalna, dawały się zaraz słyszeć z pewnych stron głosy obawy, że katolicy, biorący udział w tej akcyi, odstępują od dawnych konserwatywnych tradycyj Kościoła, a okazują zbytnią pobłażliwość dla socyalizmu. Zarzut to bardzo ciężki! Pierwsi bez żadnych wahań i dwuznaczności zgadzamy się na to, że jakiekolwiek ustępstwo, choćby najmniejsze, od zasad byłoby dla katolickiej akcyi socyalnej zgubnem; otwierałoby drogę nie do zwycięstwa, ale do większego jeszcze rozstroju, w końcu do zupełnego upadku. Przyznajemy też chętnie, że wprowadzanie w życie i działanie Kościoła pewnych nowości, które się wydają niezawarte w kościelnej nauce i tradycyach, słusznie wywołuje podejrzenia i budzi nieufność. Co więcej — nie przeczymy, że między tymi, co walczą pod hasłami katolicko- lub chrześcijańsko-socyalnem, nie brak i takich, którzy pod tym względem nie są bez winy. Przedewszystkiem dla ludzi młodych, gorącego serca, a nie dość ugruntowanych w wierze i mało obznajomionych z jej duchem i wiekową tradycyą, istnieje na polu pracy socyalnej pewne niebezpieczeństwo wpadnięcia w błędy. Ale z tego wszystkiego żadną jeszcze miarą nie wynika, żeby ta praca sama w sobie miała być z zasadniczego stanowiska złą. Wszyscy wybitni zwolennicy katolicko-socyalnej partyi głośno oświadczają, że między socyalizmem a Kościołem o pogodzeniu mowy być nie może. I dlatego wogóle nie przyjmują i z oburzeniem odrzucają nazwy: „socyalista chrześcijański“, „chrześcijański socyalizm“. Wyraz „socyalizm“ ma już swoje powszechnie przyjęte znaczenie; wiąże się, jak hr. de Mun powiada, z absolutną negacyą praw bożych i z proklamacyą bezgranicznych praw stworzenia. Żadną więc miarą nie wypada, aby katolicy tę nazwę od nieprzejednanych swych przeciwników przyjmowali. Bardzo do rzeczy są tu znakomite słowa kardynała Manninga, zwrócone do tych, którzy mu zarzucali socyalizm. „Nazywają mnie — powiada — socyalistą, ale nie mają słuszności. Jestem zwolennikiem organizacyi socyalnej, a nie socyalizmu. Wszystko, co jest socyalne, jest dobre. Ale między s o c y a l n e m a s o c y a l i z m e m taka zachodzi różnica, jak między r a c y o n a l-

nem a racyonalizmem... Socyalizm chrześcijański jest niemożliwy".

Ale oponenci nie dają mimo to za wygraną. Chcąc utrzymać swój zarzut, wskazują na to, że z mów i pism księży, lub wogóle t. zw. działaczy katolicko-socyalnych korzystać mogą i rzeczywiście korzystają socyaliści celem popierania swoich błędnych i zgubnych teoryj; co więcej, zdarza się nawet, że socyaliści wywodom katolików socyalnych wprost przyklaskują. Cóż z tego — pytam się — wynika? To jedno, że w niektórych punktach i dążnościach oba obozy się zgadzają. Ale czyż godzi się dla tego odstępować od prawdy, że cząstkę tej prawdy znajduje się u przeciwnika?! Toby było wprost niedorzecznością. Starajmy się tylko o jaknajściślejsze zespolenie z Kościołem: wewnętrzne z jego nauką wiary, zewnętrzne z jego organami, przez które Duch św. naucza i rządy dusz sprawuje — a jeśli mimo to spostrzeżemy, że socyaliści w pewnych punktach z nami się zgadzają, cieszmy się z tego i korzystajmy z tych punktów łącznych, by ich przeciągnąć na stronę prawdy, która jest w naszym obozie. Miłość prawdy wymaga, byśmy gotowi byli przyznać słuszność i socyalistom tam, gdzie słuszność mają, potępiając równocześnie z odwagą i otwartością ich błędy.

Drugi zarzut, na który chcemy odpowiedzieć, tyczy się tylko naszego kraju. Powiadają, że u nas niema t. zw. czwartego stanu, ponieważ niema wielkiego przemysłu i fabryk. Niema też miejsca dla socyalizmu, bo właściwi kapitaliści u nas nie istnieją. Nawoływanie do akcyi socyalnej jest po prostu nierozważnem i płytkiem naśladowaniem Zachodu; przenoszeniem haseł i dążności, uzasadnionych za granicą, na grunt całkiem odmienny i niewłaściwy. Akcya ta przedewszystkiem jest bezcelową, bo niema u nas przeciw komu walczyć: jest nadto niebezpieczną, bo wnieść może łatwo w niższe warstwy nienawiść ku wyższym i roznamiętnienie, które jak zaraza ogarnęło czwarty stan w Europie środkowej i zachodniej.

Niestety! Spóźnione to obawy! Niema się już co lękać, by katolicka akcya nie wniosła przypadkiem w kraj nasz zachodniej zarazy. To już przecie fakt spełniony. Postarali się o to

i z podziwienia godną wytrwałością starają się jeszcze ciągle socyaliści! Jest i nieprzyjaciel, przeciw któremu katolicy chcą wyruszyć do boju — ten sam u nas, co i wszędzie, tylko że się jeszcze nie pokazał w tak groźnej postaci, jak gdzieindziej. Nie nasza to zapewne wina, ale przeczyć przecież nie możemy, że nasze stosunki ekonomiczne, tak samo jak gdzieindziej, opierają się na systemie liberalno-kapitalistycznym, który sam w sobie jest złym i od katolików zwalczanym być musi. A zresztą czyż nie widzimy i u nas skutków tego systemu? Czy nie dostrzegamy, że u nas źle i coraz gorzej, że proletaryat rośnie, że drobny rzemieślnik ledwo dyszy, że przedział między posiadającymi a ubogimi staje się coraz większy, że w niższych warstwach niezdrowy ferment już wre?!

Jeszcze przed siedmiu laty ówcześni administratorowie dyecezyi gnieźnieńsko-poznańskiej: ks. biskup E. Likowski i ks. kanonik Kraus przestrzegali duchowieństwo przed zwykłemi u nas złudzeniami we wspólnym okólniku: „Nie łudźmy się — tak pisali — że w naszych stronach, gdzie miasta mniej niż na Zachodzie ludne i fabryk mało, niebezpieczeństwo ze strony przewrotnych zasad socyalistycznych nam nie grozi... Złe jest u nas wprawdzie sporadyczne i dopiero w zarodku, ale dlatego właśnie z większą nadzieją pomyślnego skutku możemy przystąpić do wykorzenienia go, aniżeli gdzieindziej“.—Łudziliśmy się dość długo; czas już, by umysłem wolnym od przesądów, sercem szerokiem i otwartem przypatrzeć się położeniu obecnemu, spojrzeć w oko socyalizmowi, zrozumieć zadanie Kościoła i obowiązek każdego katolika i wreszcie energicznie zabrać się do dzieła.

Żeby ta praca mogła być skuteczną, na pewnych i bezpiecznych podstawach opartą, koniecznem jest, by na jej czele stanął Kościół i kapłani, jako duchowni jej przywódcy.

Niepodobna, by energiczna na tem polu praca nie była uwieńczona pomyślnym skutkiem. Świetna hierarchiczna organizacya Kościoła, oparta na fundamencie boskim, jest jak gdyby stworzona do ułatwienia pracy socyalnej. Naszą rzeczą jest korzystać z tej organizacyi. Duchowieństwo katolickie złączone

z biskupami i papieżem, jak sieć olbrzymia, wielką część świata pokrywa, ma wszędzie dostęp do chaty i pałacu, do serc ubogich i bogatych. Trzeba tylko jedności i łączności w postępowaniu. Leży nawet w interesie jednostki zrzec się pewnych prywatnych dążności i dostosować się do sposobu widzenia i działania drugich we wszystkiem, co nie narusza istotnych zasad, jeśli to jest koniecznem do zachowania jedności. Rozproszonemi siłami mimo największego natężenia mało co zdziałamy przeciwko zjednoczonemu socyalizmowi: zjednoczonemu zaś duchowieństwu nie wiem, jaka siła oprzećby się zdołała. Jak wielcy bohaterzy idei chrześcijańskiej nie odcinali się od świata zewnętrznego, nie zachowywali się tylko biernie wobec zgubnych dla Kościoła prądów, tak i w naszych czasach powinni księża wstępnym bojem na nieprzyjaciela uderzyć, ufni w siłę odwiecznej prawdy; powinni rzucić się w sam wir walki, dzierżąc wysoko sztandar nietylko miłości chrześcijańskiej, ale i sprawiedliwości[1]. Może nas nie myli przeczucie, że z pośród tych, co dzielnie dotrzymają placu na polu walki socyalnej, wybierze kiedyś Kościół najdzielniejszych i zaliczy ich w poczet tych, których przez uroczyste swe orzeczenie stawia za wzór dla potomnych wieków, na chwałę swej mądrości i potęgi.

Ks. Wł. Ledóchowski.

[1] O miłości chrześcijańskiej i jej stosunku do dzisiejszej kwestyi socyalnej spotykamy nieraz dość błędne pojęcia u niektórych katolickich pisarzy. Zob. między innemi pracę hr. d' Haussonville, członka Akad. franc. *Socialisme et charité.* 1896.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Zycie Juliusza Słowackiego na tle współczesnej epoki (1809—1849). Biografia psychologiczna. *Ferdynand Hösick.* Kraków 1896. T. I, str. XII, 622, t. II, str. 366, t. III, str. 520. W 8-ce.

Objętość dzieła budzi respekt. Dotychczas nie mieliśmy monografii takich rozmiarów o żadnym z poetów. „Żywot Adama Mickiewicza“ przez syna okazałby się mniejszym po odtrąceniu materyałów; a jednak Władysław Mickiewicz gromadził je przez lat kilkadziesiąt. Nasz autor utworzył księgę o 1520 stronach dużej oktawy a drobnego druku przez 4 lata czyli 1460 dni, to znaczy: pisał stronicę z okładem dziennie nie powieści, lecz pracy naukowej, do której trzeba źródła przejrzeć, krytycznie je ocenić, ułożyć — i ukończywszy przygotowania — pisać. Śmiało można powiedzieć, że p. Hösick bez tchu tworzył swoje dzieło.

Taka pracowitość chlubnie świadczy o autorze i dobrze uprzedza czytelnika. Nim do lektury przystąpi, zadaje sobie tenże pytanie, czego wymagałby od życiorysu poety. Tytuł książki głosi: „życie na tle współczesnej epoki“ i „biografia psychologiczna“. Czegóż sobie więcej życzyć? Pierwsza połowa brzmi jak u prof. Małeckiego, za to druga jest nową i mówi niemało. „Psychologiczna“ — to oznacza rozwój umysłowy, rozwój począwszy od dziecka, coraz większy i piękniejszy: nowe wyobrażenia i pojęcia w umyśle się mnożą, poeta się kształci, bogaci zasób wiedzy, wyrabia charakter, podnosi się moralnie, krystalizuje swe poglądy na świat, na życie, na zagadnienia trapiące ludz-

kość i ojczyznę; jako mąż dojrzały i sercem i charakterem i umysłem sieje światło naokół, krzepi i podnosi zwątlałe pośród ucisku narodowego dusze — jest i światłem i ciepłem dla emigracyi. Ja rozumiem, że można roztoczyć szczegółowy obraz takiego rozwoju duszy ludzkiej, jeśli się ma obfitość materyału, rozumiem nawet, że można było uczynić to z życiem Słowackiego od r. 1830—1849 wobec masy nowych źródeł i listów do matki. Ale jak u licha poradził sobie autor z latami 1809—1830?

Wszak to więcej, niż połowa życia, a w rozwoju umysłowym połowa nie byle jakiej wagi, gdyż obejmuje szkoły, umiwersytet i początki pracy twórczej. Ale źródeł do tego okresu nader mało, współczesnej korespondencyi brak, „Pamiętnik“ tylko w urywkach, „Godzina myśli“ daje mgliste zarysy, jakże tu radzić sobie, gdy się kreśli „psychologiczną biografię?“ P. Hösick musiał czuć tę trudność, skoro latom 1809—1830 poświęcił tylko 380 stronnic, drugiej zaś połowie (1830—1849) niemal trzy razy tyle; musiał czuć niezawodnie, skoro np. na 190 rozdziałków księgi pierwszej, jak to widać z dyspozycyi, 120 zajmuje się czem innem, a tylko 70 samym poetą. A jednak p. Hösick poradził sobie w tym braku źródeł dowcipnie, choć nie naukowo. Oto ponieważ poeta później na emigracyi pisząc do matki przypomniał sobie nieraz lata dzieciństwa i młodości, ponieważ w poematach odtwarzał czy to stosunki czy osoby, biograf więc wyzyskał te przypomnienia, jako źródło. O ile chodzi o same fakta, — nie mam nic przeciw temu; ale drobne rysy wizerunku duchowego w pamięci zacierają się z biegiem lat i pod wpływem nowych wrażeń. W „Godzinie myśli“ mówi poeta o swej miłości ku Śniadeckiej, że słowa jej „we wspomnieniach dziecka zlane dały dźwięki podobne do miłości zeznanej wyrazu“. Tymczasem w istocie — miłości zeznanej zgoła pomiędzy nimi nie było. A jeśli poeta w 1835 r. pisze „o uczuciu rozwijającej się nadziei i słodkiej melancholii“, z jakiem niegdyś „suwał się po wileńskich posadzkach“, jakże tu wiedzieć... że to wspomnienie odnosi się do karnawału z r. 1825, jak chce p. Hösick? Musielibyśmy chyba posiadać jakiś prawdomierz, któryby nam wskazał, czy i o ile reminiscencya poety odpowiadała rzeczywistości. Źródła tedy rozstrzygają o naukowej wartości „biografii psychologicznej“ w pierwszych okresach życia. Zresztą mimo wszystkiego tę część opracował p. Hösick dokładnie, nawet zajmująco. Prof. Małecki zamknął opis jej na 40 stronicach, p. Hösick dał nam dziesięć razy tyle, nie dziw, że o dzieciństwie poety dowiadujemy się tylu nowych

szczegółów, że charakter D-ra Becu i udział jego w sprawie Nowosilcowa po raz pierwszy tak wyczerpująco zbadany i stanowczo rozstrzygnięty, że śmierć ojczyma poety opisana starannie i zajmująco. Wogóle w tej części pod względem statystycznym robota p. Hösicka jest dobra: np. daty życia, daty dzieł i drobnych i najdrobniejszych podane z niemałą ścisłością. Oznacza je zresztą zgodnie z Małeckim, różniąc się w określeniu czasu powstania „Mindowe'go". Miał go napisać poeta nie w listopadzie 1829 r. [1], lecz we wrześniu tego roku [2], tak samo zaś „Bieleckiego" nie w Warszawie, lecz na Wołyniu w 1830 [3]. Obszernie w końcu zastanawia się nad powodami nagłego wyjazdu poety z Warszawy i wbrew prof. Małeckiemu stanowczy klucz do rozwiązania tej kwestyi widzi w słowach listu z 1832 r.: „wszystko mnie znudziło, musiałem wszystko porzucić, jak waryat gonić za urojoną nieśmiertelnością" [4]. Wiemy, że prof. Małecki nie pomiją milczeniem tych zmian duchowych poety, ani znudzenia, ani niepokoju o jutro, ani żądzy sławy [5]; ale jako bezpośrednią przyczynę wymienia stosunek do Lelewela i broszurę „Nowosilcow w Wilnie". Chwila wyjazdu jest ważną w życiu poety i słusznie p. Hösick usiłował ją. o ile mógł, oświetlić. Niestety, nie usunął nawet z pomocą prof. Tretiaka wątpliwości co do przyczyn wyjazdu i nie obalił twierdzenia prof. Małeckiego o wpływie broszury Lelewela. Uczyniłby to, gdyby był wykazał niezbicie, że Słowacki przed wyjazdem nie znał broszury i znać jej nie mógł. Wyjechał on 8 marca 1831 r. Broszura — wedle prof. Małeckiego — wyszła w jednym z pierwszych trzech miesięcy t. r. Mogła się ukazać — mówi p. Hösick — 9 marca, więc „roztropniejby było — daje ironiczną naukę — ze strony p. Małeckiego, gdyby był powiedział, że wyszła w jednym z pierwszych dwóch miesięcy". Nie czuje tego p. Hösick, że tak jak mogła się ukazać 9 marca, tak mogła się też ukazać 7 marca, a wtedy twierdzenie prof. Małeckiego o trzech miesiącach nie straci siły, zwłaszcza że Słowacki widocznie w pośpiechu wyjeżdżał, skoro się nie wyprzedał. A że czytał broszurę Lelewela i był zażalony na niego, świadczy list X. Felińskiego, niesłusznie w uwagi wsunięty, świadczy też i nie-

[1] Małecki, „Jul. Słowacki", 1881. I, 121.
[2] Hösick. t. I, str. 327.
[3] L. c. I, 340.
[4] L. c. I, 383.
[5] Ob. t. I, str. 39—40.

chęć poety do Lelewela, nieraz uwydatniona w listach do matki. P. Hösick ostro i niegrzecznie nazywa „absolutną nieprawdą“ twierdzenie prof. Małeckiego, że Nowosilcow o Lelewelu pisze „z namiętną niechęcią i gryzącem szyderstwem“. Ale p. Hösick nie wszystkie ustępy z korespondencyi o Lelewelu przytoczył i źle je wytłumaczył. Dnia 25 marca 1832 pisze Słowacki: „Kłaniałem się kutasom u butów (Lelewelowi), które mile to przyjęły. Wy je uwielbiacie, szczęśliwi! Nie wiecie, co to jest bliższe poznanie ludzi. Jest to *le prophète voilé de Karaphan*“. Czego to dowodzi — woła w tryumfie p. Hösick. Oto, że jeszcze w marcu ani Słowacki, ani jego rodzina nie wiedzieli, że autorem „Nowosilcowa w Wilnie“ był Lelewel. Za pozwoleniem — wniosek idzie za daleko. To dowodzi tylko, że rodzina nie wiedziała, a mogłoby dowodzić, że Słowacki wiedział, bo ze zdania jego wieje oczywista niechęć ku Lelewelowi. A z tego zdania np., pominiętego przez p. Hösicka, czy nie wieje?

„Oto Joaś — pisze Słowacki 7 listopada 1834 — co chodził z kutasami u butów aż do r. 1827 Chr. P., został profesorem w Brukselli, profesorem historyi, i spokojny sobie na przyszłość, znów będzie zbierał numizmata i ususzy się, jak kwiatek między książkami. Oto drugi z naszych, pan Adam, zamiast profesury, pojął w małżeństwo córkę muzyczki Szymanowskiej. Widać, że to był dawny romans jeszcze w stolicy zaczęty; nie wiem, którą to Marysię capnął“ [1]. Gdybym chciał lekko snuć wnioski i domysły, to mógłbym powiedzieć, że samo zestawienie tych dwóch ludzi, „umiejących sobie radzić“ — jak się wyraża poeta — wiele mówi, boć jeden przyczynił się do wyjazdu jego z Warszawy, drugi z Paryża. Ale o to mniejsza; to pewna, że odjąwszy w wyrażeniu prof. Małeckiego o stosunku poety do Lelewela dwa wyrazy — „namiętną“ i „gryzącem“ — resztę można aprobować, bo niechęć ku Lelewelowi tchnie z tych słów ironią i zgryźliwym sarkazmem zaprawionych [2].

Zatem w sprawie wyjazdu poety z Warszawy dwa główne argumenta nie straciły swego znaczenia: mógł czytać broszurę „Nowosilcow w Wilnie“, żywił niechęć ku Lelewelowi, co potwierdza tylekroć cytowany przez p. Hösicka, jako wiarygodne źródło, list X. Felińskiego.

---

[1] Ob. w dziele Hösicka co do wyjazdu Słow. z Warszawy uwagi w t. I, str. 377—379, 381 i 385—6.

[2] Ob. Listy do matki, Lwów 1875, str. 160, t. I.

W drugiej połowie dzieła, obejmującej 19 lat życia a opisanej w dwóch tomach, najlepiej przedstawiony przez p. Hösicka okres podróży na wschód, i końcowe lata. Piękny i taki bogaty w charakterystyczne rysy zbiór listów do matki, nader sumienny przegląd czasopism, broszur i ulotnych świstków emigracyjnych, znajomość dzieł poety i tego, co dotąd czy o dziełach czy o życiu napisano, — wszystko to dało możność p. Hösickowi wypełnienia szkicu portretowego mnogością rysów, a że p. Hösick przytem posiada miły talent gawędziarski, przeto te ustępy z życia, w których się poeta z ludźmi nie kłóci, wypadły najlepiej. Niestety we wspomnianym okresie podobnych lat niewiele, a stąd płyną dla biografa trudności, jeśli się uweźmie napisać biografię „psychologiczną“ i jeśli nadto „nie znając poetyczniejszego życia“ zapragnie wpoić w czytelnika przekonanie, że ono jest istotnie najpoetyczniejsze pod słońcem [1]. P. Hösick wobec tych trudności okazał się małym: pracowitość tu nie wystarczyła, talent gawędziarski raczej bruździł, niż pomagał, a biografia psychologiczna nastrzępiła się taką masą miejsc wątpliwych, naciągniętych, uchybiających mimowoli a bez potrzeby poecie, umyślnie zaś i również bez potrzeby innym. walczących o ten wiatr, co wieje, — taką masą sprzeczności, zdań naiwnych. przypuszczeń i domysłów niepopartych dowodami, twierdzeń niekrytycznych, że czytelnik, dotychczas pobłażliwy, nawet zdający sobie sprawę z zalet dzieła, im dalej brnie w tę gęstwinę, gdzie z powodu drzew lasu nie widać, tem bardziej w swem przekonaniu o wartości dzieła chwiać się poczyna, aż w końcu do szczętu utraca zaufanie i wiarę w słowa biografa. Nasuwający się najpierw zarzut jest ten: autor chciał dać obraz poetyczny, a zrobił karykaturę. Aby ten zarzut zrozumieć, trzeba z góry uczynić jednę uwagę o głównem źródle p. Hösicka — listach do matki. Słowacki stosunkowo mało w nich pisze o swym rozwoju umysłowym, o swych projektach, planach dzieł, pomysłach poetycznych, o zapatrywaniach społecznych czy politycznych, a natomiast bardzo dużo o swem życiu towarzyskiem, codziennych zatrudnieniach, o miłościach i miłostkach. Są to szczere, idealnie piękne listy nie poety do swego krytyka, lecz dziecka do matki. Dają one wyobrażenie, jakim był synem Słowacki, zresztą jakież było jego codzienne życie zewnętrzne, ale nie mówią nam prawie nic, jakim był np. obywatelem i synem ojczyzny. Jeżeli tedy zechcemy na ich podstawie utworzyć wizerunek psychologiczny, mu-

[1] Hösick, l. c. wstęp. IV.

simy się liczyć z tą krytyczną uwagą i nie zapełniać tego wizerunku zdawkową monetą codziennych drobiazgów życia, gdyż zamiast biografii będzie to mikrografia ducha. Liczył się z tem prof. Małecki, nie liczył się p. Hösick — i napisał istotnie mikrografię duchowości Słowackiego. I tak trudno o człowieka, któryby się tak często nudził, jak Słowacki w książce p. Hösicka [1]. Nudzi go powstanie, nudzi droga za granicę, nudzi Szwajcarya, Grecya, nudzą rozprawy, towarzystwo — i mniej się nudzić zaczyna dopiero po swem powtórnem zjechaniu na stały pobyt do Paryża. Z nudów w 1832 szaleje dla młodych Francuzek, z nudów przepędza noce waryackie w towarzystwie bulwarowych Lais, wraca do domu o 9 rano z rozigranymi i prawie drżącymi zmysłami, ulega coraz jakiejś „nowej Fornarinie“, a wszystko to — z nudów. Już to prawda, że miłostki w życiu Słowackiego, oświetlonem przez p. Hösicka, zajmują poważne miejsce. Nie wiadomo, dla czego p. Hösick tak skwapliwie chwyta każdą wzmiankę poety o kobiecie, ażeby w lot urobić romans. Gdziekolwiek się znajduje — w Dreźnie, Londynie, Paryżu, Genewie, Florencyi, Sorrento, na Wschodzie — wszędzie widzimy w pogoni za nim kobiety. Myśmy znali tylko Korę, Eglantynę, Maryę Wodzińską — dawniej; teraz są tu dziesiątki o znanych i nieznanych obliczach; spotyka je Słowacki na cmentarzu Père Lachaise, w hotelach, pensyonatach, na ulicach, u przyjaciół; są w tym orszaku księżne np. Surviliers we Florencyi, są i służące np. właścicielka różowego groszku u Zienkowicza (I, str. 520 i dalsze). A zachowanie się poety wobec tego natłoku i pędu niewiast ku niemu? Budzi ono liczne wątpliwości i niezawsze można je nazwać poprawnem. Weźmy np. Korę. Poeta nie zaniedbywał najdrobniejszej okazyi, ażeby ją „obłąkiwać“, a kiedy już ją rozkochał ostatecznie, zaczął czułości przeplatać drwinkami, w czem prawdziwie „szatańską“ znajdował przyjemność, bo mścił się na jednej za to wszystko, co kiedykolwiek od wietrznic ucierpiał. Jakież to jest bezdennie małe i czy warto pisać i rozpisywać się o tem na trzydziestu stronicach! (I, 584—616). Wszakże to jest złośliwa obłuda, jak obłudą jest np. że Słowacki prawi Odyńcowi komplementy o Izorze, a myśli co innego zgoła (I, 295), jak obłudą jest, jeżeli pozornie przezwyciężył swą nienawiść ku Mickiewiczowi, w duszy zaś nienawidził go z całego serca (I, 561). Jeżeli do tych rysów ciągłego nudzenia się, zalotnictwa, obłudy, dodamy

[1] Ob. t. I, str. 298, 303, 383, 384, 469, 479, 481, 534; II, str. 125, 142—143, 190, 205 i t. d.

powszechnie znany rys dumy, jeżeli dodamy zazdrość, jaka w nim kipiała ku Mickiewiczowi i innym, jeżeli dodamy skrytość, o którą go w tak wysokim stopniu posądza p. Hösick (ob. II, 88—89), a nadto tę łatwość, z jaką on sam był w stanie źle pisać o bliźnich, to nie otrzymamy jasnego portretu. Była w tem prawie, żebym powiedział, fatalność, że Słowacki pozostawił w pismach takie złośliwe rysy o ludziach, z którymi żył bliżej lub którym nawet coś zawdzięczał. Niemcewicz, Czartoryski, Krasiński, Bobrowa, Eglantyna, wszystkim dostały się cięgi w dziełach poety. Prawda, że — jak p. Hösick mówi (III, 206) — wrodzone poczucie delikatności nie pozwalało mu ogłaszać drukiem krzywdy, jaką wyrządził przyjaznym duszom. Czy ono było w samej rzeczy wrodzone, to pytanie, skoro mu pozwalało piętnować w pismach swych przyjaciół. To może wystarczy na stwierdzenie faktu, że p. Hösick utworzył mikrografię ducha poety; a ktoby jeszcze miał wątpliwość, niech przeczyta stronę 117 i 118, (t. III) niech się wmyśli w etyczną wartość tego rozumowania, jakie p. Hösick insynuuje Słowackiemu, rozumowania, którem poeta stwierdza w swem sercu wiarę i miłość, ale spółcześnie zionie nienawiścią i zazdrością. Tym jednym wywodem — *quasi* psychologicznym — obniża biograf charakter swego bohatera dowolnie i bez racyi. Niech mi p. Hösick wierzy, że drobiazgi życia pisarzy naszych w historyi literatury mają o tyle racyę, o ile wyjaśniają genezę pomysłów twórczych. Myśmy zresztą skandalików i plotecek z ich życia nie ciekawi tak, jak nie mamy ochoty kijem rozgrzebywać śmietniska w przypuszczeniu, że tam może znajdziemy uryańską perłę. Że to byli ludzie z błędami i ułomnościami, o tem nikt z nas nie wątpi, ale jak nieprzyzwoitą jest rzeczą odkrywać publicznie nagość nie tylko swego przyjaciela, lecz i obcego człowieka, tak tem mniej przyzwoitą jest odsłaniać lilipucie strony wielkiego ducha i wystawiać je pod pręgierz publicznego urągowiska.

Takie obniżenie charakteru poety nie było zresztą zamiarem biografa — i owszem zbyt często się zdarza, że biograf podwyższyć go pragnie kosztem niesympatycznych dlań ludzi.

Niemcewicza, który Słowackiemu dziękował za przysłane poezye — dodając, że „odczytywanie ich z wielką dlań było połączone przyjemnością“ — posądza o fałsz, podejrzewając bez powodu, że poezyi zgoła nie przeczytał [1].

[1] I, 535.

O Odyńcu, jako o poecie, autorze Wspomnień i Listów z podróży, wyraża się zawsze (np. I, 110) z lekceważeniem, czegobym mu zresztą za grzech nie poczytał, gdyby nie posiłkował się tem źródłem, o ile mu potrzebne do celu. Na podstawie „Wspomnień“ np. rzuca cień na charakter Mickiewicza, utrzymując, że tenże bywał często w domu prof. Becu, że nie przestał tam bywać po scenie z prof. Śniadeckim, choć „poprzysiągł w duchu zemstę temu domowi“ (I, 109), że bywał nawet po opuszczeniu więzienia u Bazylianów, choć wiedział o roli, jaką w śledztwie odegrał prof. Becu. (I, 134). Wprawdzie tu już źródła nie cytuje, i słusznie, bo też ani Odyniec we „Wspomnieniach“ ani Chmielowski i Wł. Mickiewicz w swych dziełach wcale nie mówią[1] o tem, ale p. Hösickowi potrzebne to było do zwiększenia winy Mickiewicza, popełnionej w 3 części „Dziadów“, gdzie Dr. Becu ginie od pioruna za swe stosunki z Nowosilcowem. Pisząc o tem (I, 552) dodaje biograf: „taki sposób przedstawienia człowieka, w którego domu bywało się i z którego żoną i rodziną było się w zażyłych stosunkach, był co najmniej niegodnym wielkiego poety“. Otóż te „zażyłe stosunki“ istniały tylko w wyobraźni p. Hösicka, który znów tak strasznie seryo nie patrzy na winę Mickiewicza, jak to nam usiłuje okazać. Wszakże nazywa D-ra Becu „ulubieńcem Nowosilcowa“ (I, 547), wszakże go nieraz potępia, a z końcowego zabicia Balladyny piorunem wnosi, że nawet Słowacki sam jeden w rodzinie zapatrywał się krytycznie na śmierć ojczyma, uważając ją, jako karę za występki (I, 138). Stądby logicznie wypływało, że nie miał się za co bardzo dąsać na Mickiewicza, skoro podzielał jego zdanie. Zresztą w taki dowolny sposób p. Hösick wiele razy pragnie zmniejszyć Mickiewicza, acz najczęściej bezskutecznie; nie będę tu rozpatrywał tych wszystkich ironicznych i uszczypliwych zdań, słówek i półsłówek, wymierzonych przeciw Mickiewiczowi; ani on sam, ani jego wielbiciele ówcześni nie lękają się wywodów, usilnie przez p. Hösicka naciągniętych ku ich poniżeniu.

Eustachego Januszkiewicza czyni p. Hösick odpowiedzialnym za „Improwizatorów“, gdyż list jego w 1879 r. w „Rocznikach hist.-lit. Towarzystwa“ ogłoszony, a pisany bezpośrednio po uczcie r. 1840, podobny do tego artykułu tak, jak gdyby nie mogło mieć miejsca to, co przypuszcza Władysław Mickiewicz, że zapewne ktoś wtajemniczony w osnowę listu nadużył zaufania i ułożył artykuł.

[1] Chmielowski mówi, że bywał tylko „przed uwięzieniem“ (I, 309)

Czyni Januszkiewicza oszustem (I, 476), z powodu drobnej sprawy medalu pamiątkowego wytacza mu proces kryminalny (I, 565—571) i rozwodzi się nad tym drobiazgiem, przyczem cięgi dostają się i Mickiewiczowi i Januszkiewiczowi, tylko Słowacki wychodzi ze sprawy z aplauzem i chlubą. Że Słowacki posądzał nieraz, zwłaszcza w czasie swego pobytu w Genewie, Januszkiewicza o wyzyskiwanie, to jeszcze nie racya, aby go Januszkiewicz istotnie wyzyskiwał. Poeta nie chciał może bardzo przed matką ubolewać na niepowodzenie swoich utworów i chętnie kładł winę na księgarza i księgarzy (III, 12) [1]. Relacye ludzi, którzy znali Januszkiewicza, są dlań pochlebne, sam Słowacki w swoim wierszu „do księgarza“ pisze o nim przyjaźnie, a te listy ścigające poetę z upomnieniami do pracy, do pisania i drukowania — nie uwłaczają również księgarzowi. Posądzeń Słowackiego zresztą bardzo seryo brać nie będzie ten, kto wie, że Słowacki czasem niesłusznie podejrzewał. Nieznajomy kapitan, który się opóźniał z doręczeniem listu „łajdak, pewnie dla zatrzymania kilku groszy nie wypełnił zlecenia“, Zenon Brzozowski nie doręczył listu — więc „zdrajca“ i lepiej się nie spuszczać na „panów Zenonów“, księgarze oszuści, Mickiewicz „niby“ nie wiedział o Improwizatorach itd.

Jednym z tych, co źle wyszli na sądzie Słowackiego i p. Hösicka jest J. B. Zaleski. Że go Słowacki „zawsze cenił najmniej z całego parnasu polskiego“ — to, znając stosunki ówczesne, możemy mu darować, jak nie potrzebujemy się godzić na stronniczy sąd Mickiewicza — dyametralnie powyższemu przeciwny. Ale że p. Hösick pisze: „wszystko, co w krytyce swej o Zaleskim mówi Słowacki, jest świętą prawdą“ (III. 211) — to nader dziwne. A Słowacki zarzuca mu błędy gramatyczne, „niezręczności studenta, piszącego wierszyki“, ciągłe uty-

[1] P. Hösick na str. 494 t. 1. stara się wbrew twierdzeniom Januszkiewicza i samego Słowackiego wykazać rachunkiem księgarskim, że pierwsze dwa tomy i trzeci tom poezyi rozeszły się szeroko i szybko. Dowód niefortunny, a nieco podstępny, gdyż p. Hösick przytacza sumy 1547 fr., jakie za dwa tomy pobrał Słowacki i twierdzi, że to dużo. Nie mówi jednak, że ceny książek były 10 razy większe od dzisiejszych. Dwa tomiki dzieł Słowackiego kosztowały 18 złp. t. z. 10 fr. Słowacki tedy sprzedał sto kilkadziesiąt egzemplarzy zaledwie. Emigrantów było 7000. Ma tedy słuszność Januszkiewicz, że się mało rozchodziły. „Anhelli“ np. kosztował 3 fr., „Balladyna“ 5 fr., „Pan Tadeusz“ 20 złp. Jeżeli Januszkiewicz nawet i sprzedał w ciągu kilku dni 3 tomu poezyi za 300 fr., to znaczy, że sprzedał ich zapewne z 50 egzemplarzy.

skiwania na ludzi itd. I toż ma być sąd, „na który dzisiaj godzą się prawie wszyscy krytycy?“

Niech p. Hösick raczy wziąć do rąk np. Siemieńskiego: Portrety (Poznań 1865 str. 476 i d.), Chmielowskiego: Studya (Kraków 1886, str. 390 i d.), Spasowicza: Literaturę (Kraków 1891, str. 276), Bądzkiewicza: Kornel Ujejski (Kraków 1893, str. 143) itd., a znajdzie niezawodnie oceny, które to „prawie“ każą mu bardzo rozszerzyć i zmodyfikują niewątpliwie sąd Słowackiego. Ten „ciągle utyskujący na ludzi“ poeta, to prędzej sam Słowacki, Zaleski zaś — jak mówi Spasowicz — „maluje uczucia wesołe, tkliwe, dodatnią, wdzięczną stronę przedmiotów, które wieszcza jego muza umie przenosić w dziedzinę sztuki z niezrównaną żywością barw i ruchliwością“. Spotyka się nawet zdanie, że Słowacki swoją mistrzowską formę w części Zaleskiemu zawdzięczał, a to ujemne zdanie Słowackiego o Zaleskim może wypadałoby przypisać zarówno należeniu słowika ukraińskiego do plejady mickiewiczowskiej, jak i temu, że „Duch od Stepu“ uzyskał sobie u współczesnych rozgłos i uważany był, lubo niesłusznie — za jeden z najprzedniejszych okazów fantazyi wogóle. Widzieliśmy już, że sąd p. Hösicka nie dorósł do miary krytycznego sądu. W zbieraniu materyału panuje u niego dowolność najzupełniejsza, dochodząca czasem do niemożliwości. Mniejsza o to, że biograf bez wszelkiej krytyki bierze wszystko z „Listów do matki“, choć wie, że poeta niekiedy zmieniał relacyę[1], to gorsza, że odgaduje całe kompleksy myśli u poety, a to odgadywanie wrażeń lub myśli posuwa zbyt daleko. Do najciekawszych należy np. domysł, co zawierał list Ludwiki Śniadeckiej do poety[2], albo też kompozycya na temat „prawie“[3], albo inna z powodu francuskiego dramatu[4] i t. p. Niekiedy za pomocą odpowiednich dodatków[5] zmienia źródło, z którego czerpie, — niekiedy znów pomija szczegóły, któreby mówiły niekorzystnie o poecie. Tak. np. w liście z dnia 20 października 1831 pisze poeta: „W domu, gdzie mieszkałem w Anglii, jednej nocy obudził mię sen okropny: było to 16 sierpnia i zdawało mi się, że należę do zaburzeń“. Stąd wynika, że jedną z przyczyn wyjazdu z Warszawy był strach, ale to p. Hösick, tak skrzętnie notujący wszystko — po

[1] Ob. I, str. 522, uw. 1, 605 uw.

[2] I. 517. [3] I, 528. [4] I, 540.

[5] Ob. t. II, str. 34. t. II, 10, Listy do M. str. 36, a p. Hösick t. I, 373—375.

mija; albo np. Słowacki tyle razy żali się na sąd Mickiewicza, jakoby poezye jego były podobne do wspaniałej gotyckiej świątyni, w której Boga niema, a przecież sam o nich orzekł jota w jotę to samo w „Godzinie myśli“ (w. 300: — „Wszystkie czucia skarby“... do w. 307: „i gmach budował niedowiarstwem ciemny“), ale p. Hösick o tem zamilczał, choć wiedział z pewnością.

Kiedyindziej znów, chcąc ubarwić wrażenie natury na Słowackiego, szuka opisów jej u podróżników dzisiejszych. Stąd opisy podróży po Wschodzie Weissenhofa, Bartscha lub Sienkiewicza mają dać miarę wrażeń Słowackiego. P. Hösick nie zdaje sobie sprawy, że inaczej człowiek z jednego pokolenia patrzy na naturę, inaczej z drugiego. Co Weissenhofa bardzo zajmowało w Grecyi, na to Słowacki może wcale uwagi nie zwracał — i odwrotnie. Jeszcze gorzej jest, gdy p. Hösick całe stronice wspomnień o Lenormand odpisuje z notatki pisemka francuskiego *Gil Blas'a*, streszczonego w „Kuryerze warszawskim“ w 1893 roku. Wspomnienie to nie miało zapewne pretensyi dostania się do naukowego dzieła i nie podało czasu, z którego pochodzi opis umeblowania mieszkania panny Lenormand. Tymczasem p. Hösick wszystko odniósł do chwili wizyty Słowackiego u niej. Już to czasami natrętność wyobraźni biografa poprostu i dziwi i gniewa i bawi w końcu czytelnika, który ani przypuszcza, że tu, w dziele o Słowackim, spotka się z Burckhardem, Sienkiewiczem, Zolą, Daudetem, Sarą Bernhardt, Renanem, a nawet z p. Kazimierzem Tetmajerem, przyjacielem p. Hösicka. Te wstawki nawiasowe o ludziach i rzeczach — zgoła subjektywne, są niekiedy rozkosznie naiwne i mogą ubawić nie wiem jak nasępioną duszę. I tak np. trzy razy na stronicy powtarza biograf: „bo jest pewna poezya w takim dworku, przy którym rosną dwie topole“. (I, 20) Albo np. „kobieta piękna (a tem samem nie pozbawiona praw do życia)“ (II, 9)[1] i wiele, wiele t. p. Do tych ubarwień należą też epitety, dawane różnym ludziom. Osiński jest „taki“ lub „drewniany“, Dmochowski — „wielki rabin krytyki“ (I, 331), Odyniec — to *Vasari* poetów romantycznych, Mickiewicz zaś *Condivi* i t. p.

Wszystko to są usterki z pośpiechu wynikłe, z tej gorączkowej chęci drukowania dzieła niestarannie wykończonego, nieuważnie zredagowanego. Do rażących usterek w tym względzie należą liczne sprzeczności, często na blizkich obok siebie kartach położone. Podam tylko parę przykładów.

[1] Por. też II, 45, 48, 54, 55, 81, 88 i inne.

W biografii ze stycznia r. 1838 pisze p. Hösick, że Słowacki dowiedział się dopiero teraz o małżeństwie Maryi Wodzińskiej z Chopinem, tymczasem pisał dawniej, że się o tem dowiedział w 1836 r. we wrześniu [1]. Na str. 169 (III t.) mówi o Janie Koźmianie, że należał do nielicznej garstki ludzi, przychylnie usposobionych dla Słowackiego, a na str. 170 pisze, że artykuł jego o Beniowskim miał za zadanie „zdyskredytować" poetę. Na str. 213 (III) utrzymuje, że „niewiele jest w poezyach Zaleskiego wierszy, któreby sens gramatyczny miały", na następnej stronie zaś twierdzi, że „wszędy sensu domyśleć się można". Raz powiada, że 50 egzemplarzy swoich poezyi posłał Odyńcowi do Drezna (I, 495), drugi raz twierdzi, że Odyńcowi nic nie posłał, tylko Todwenowi (I, 399) [2]. Takie usterki świadczą tylko o tem, że autor zbyt pośpiesznie puścił w świat dzieło. Świadczy o tem i styl — zresztą giętki i płynny — ale nie wolny od rażących błędów językowych. Wyrażenia „wyciągnąć wniosek", „zabawa tańcująca", takaż „herbatka", „sawantka przesadzona", „kobieta, którą się pożądało" (I 476), „do których grawitował" (I, 479), „cieszył się na krytykę" (I, 482, 575), „był dobrze z kimś" (I, 535) itd. — takie wyrażenia spotyka się niestety dość często, a nierzadko budowa zdań bywa zawiłą, niedbałą, jedne i te same wyrazy raz po raz się powtarzają [3], jednem słowem, dzięki tej nagłości, z jaką p. Hösick posłał swe dzieło na półki księgarskie, wyszło ono w świat z kuźni autora niedoskonałe i ułomne.

„Bądź pewna — uspokajał raz Słowacki swą matkę — że moja biografia będzie kiedyś zupełnie szlachetną" [4].

Przeczuwał wiele i nieraz — ale w tych słowach nie przewidział „biografii psychologicznej" p. Hösicka. Pomimo usiłowań nie zmniejsza ona ani o włos wartości znakomitej pracy prof. Małeckiego. Wprowadza co prawda niezliczoną ilość drobiazgów w opis życia, ale pod tym względem nie wyczerpuje materyału nawet Listów. Dzieło to pracowicie, w niektórych partyach pięknie wykończone, pozostawia tysiąc szczegółów z życia wątpliwych, tysiąc objaśnionych wadliwie.

---

[1] Por. II, t., str. 235 i str. 249.

[2] Na str. 405 Słowacki mówi, że Bobrową poznał w Dreźnie, na str. 406, t. I, że mógł ją znać jeszcze w Krzemieńcu, a na str. 288, t. III w uwadze, że znajomość Słowackiego z Bobrową datuje się od r. 1840.

[3] Ob. np. zdania na str. 349, t. II (dół), str. 480, t. I, str. 537, t. I (dół), str. 473, t. I.

[4] L. do M. t. II, str. 97.

Zdaje mi się, że zyskałoby na zmniejszeniu do jednej trzeciej i pod względem naukowej wartości i pod względem interesu dla czytelnika. Tak jak jest — nuży i męczy nawet cierpliwego czytelnika, który autorowi nie może — dobiegłszy do ostatnich kartek — przyznać tytułu „prawdziwie dobrego“ pisarza, czego się p Hösick domaga, lecz musi pozostawić i nadal miano „fejletonisty“.

Antoni Mazanowski.

Dzieje Ślązka, ozdobione licznymi obrazkami. Napisał *dr. Feliks Koneczny.* Bytom, G. S. Nakładem i czcionkami wydawnictwa *Katolika*, 1897. Str. 506 i V.

Możnaby się sprzeczać z autorem o tytuł. Książkę jego nazwalibyśmy nie: Dziejami Ślązka, ale raczej: Dziejami narodu polskiego, opowiedzianemi dla Ślązaków. W istocie rzeczy jednak jest to kwestya podrzędna. Bibliografia prac polskich, dotyczących Ślązka, wygodnie pomieściłby się dała na paru stronicach, spis dzieł niemieckich wymagałby sporego tomu. Skorośmy to pole — jak tyle innych — dobrowolnie odstąpili Niemcom, nic dziwnego, że Ślązk, jego przeszłość i teraźniejszy stan, dla wykształconego nawet czytelnika polskiego jest jeszcze jakoby *terra incognita.* Kto więc dla uzupełnienia swej wiedzy w tym kierunku weźmie do rąk książkę dr-a Konecznego, znajdzie w niej dużo rzeczy o Ślązku nowych i wdzięcznym autorowi za jego trudy pozostanie, mimo tego, iż ściśle biorąc, w dwóch trzecich częściach jest to historya Rzeczypospolitej polskiej, a w jednej trzeciej tylko historya Ślązka. Lud zaś ślązki, dla którego dzieło to w pierwszym rzędzie jest przeznaczonem, z przyjemnością wybiegnie myślą poza granice ściślejszej swojej ojczyzny, a przypatrując się politycznemu, kulturalnemu i cywilizacyjnemu rozwojowi swych współbraci, utwierdzi się w przekonaniu, że łączność jego z resztą narodu podtrzymywały i podtrzymują nietylko język i wiara, ale wiele więcej czynników.

W krótkim wstępie wykłada autor obowiązek zaznajomienia się z ojczystą historyą i pożytki stąd płynące, a czyni to tak jasno, poprostu, z takiem ciepłem i zapałem, iż od pierwszej chwili zjednać sobie musi zaufanie i baczną uwagę czytelnika. Następnie wkracza wprost *in medias res.*

Z chaosu geograficzno-etnograficznego nie rychło wynurzyła się, jako jestestwo samoistne i odrębną nazwę zyskała ziemia, dopływami Odry zroszona, przez nie, jakby przez poboczne żebra, z głównym pacierzem wodnym, w jednę całość połączona. Chwilą narodzin Ślązka,

a raczej chwilą, kiedy jego miano chrzestne w źródłach zapisano, jest wiek IX. i X. Tak zwany geograf bawarski wymienia plemię, które nazywa *Sleenzane*, w sposób niedozwalający ani na moment jeden wątpić, że myśli o mieszkańcach nadodrzańskich. Ditmar zaś kilkakrotnie wspomina *pagus Silensis* lub *Cilensis*, którego identyczność ze Ślązkiem udowadnia wzmianka o *urbs Glogoua*. W tym to czasie miała już ziemia ta ludność niechybnie słowiańską, lechicką. W poprzednim okresie spowity jest Ślązk mgłą gęstą, której w zupełności rozwiać nie zdołały dotąd badania uczonych, oparte na bogatych nawet wykopaliskach przedhistorycznych. Słusznie postąpił sobie autor, że nie bawiąc się w marne domysły zaczął historyę Ślązka, stwierdzając tylko fakt, że z chwilą, kiedy już ziemię tę bierze historya w swoją opiekę, mieszkał tu lud słowiański, będący odłamem Polan, osiadłych nad średnią Wartą, których część szukając sobie sadyb przestronniejszych, zajęła w czasach zamierzchłych najpierw prawy brzeg Odry w dorzeczu Widawy, następnie przeprawiwszy się na brzeg lewy, osiadła nad rzeką Ślęzą, od której przybrała nazwę Ślęzan, później Ślązaków. Stąd w ciągu kilku pokoleń rozpostarli się Ślęzanie dalej na północ i południe i zajęli cały prawie Ślązk dzisiejszy. Szkoda, że autor mówiąc o tem osadnictwie lechickiem na Ślązku, nie skorzystał ze sposobności i w ogólnym przynajmniej zarysie nie skreślił natury kraju, który bądź co bądź na znacznej swej przestrzeni, niemałe przedstawia różnice. Krótki opis geograficzny Ślązka dawnego byłby tem pożądańszy, że w czasach nowszych, wiele okolic wskutek działalności człowieka licznym i wcale znacznym uległo zmianom, że wreszcie, co ważniejsza, przyrodzone warunki Ślązka bardzo jasno tłómaczą niekiedy rolę, jaką ziemia ta w stosunku do reszty Polski odgrywała. Tu też może lepiej odrazu było zaznaczyć, a nie urywkowo dopiero w toku dalszym opowiadania, że pojęcie geograficzne Ślązka w różnych czasach było różne że Księstwo opawskie i ziemia kładska właściwie nie są ślązkiemi ziemiami, że Bytom i Pszczyna długo były uważane za część Małopolski; księstwo oświecimskie i zatorskie należały do Ślązka, podobnież północno-zachodni skrawek Węgier, gdzie do dzisiejszego dnia jeszcze żyje lud ślązko polski.

Praca apostolska śś. Cyryla i Metodego, których uczniowie bezsprzecznie i na Ślązku nauczali, owoców trwałych tu nie wydała. Mimo to poświęca autor działalności apostołów słowiańskich sporo miejsca i słusznie, bo kult ich na Ślązku po dziś dzień bardzo jest żywy. Dopiero w 100 lat później przyjął Ślązk razem z Wielkopolską

światło wiary prawdziwej, razem też wszedł w skład dyecezyi poznańskiej. W ten sposób zacieśniła się jeszcze bardziej łączność z Wielkopolską. Politycznie bowiem, zdaniem autora, należał Ślązk do państwa Mieszkowego, który go już po ojcu miał odziedziczyć. Bez zastrzeżeń przyjąć tego za pewne nie można. Sprawa ta łączy się na wszelki wypadek z przynależnością Krakowa do państwa Mieszka I. Dr. Koneczny twierdzi nawet, że Mieszko Morawę zdobył i do Polski przyłączył i podziela zdanie Kętrzyńskiego [1], jakoby książe ów dzierżył Małopolskę z Krakowem, co się jednak na podstawie źródeł utrzymać nie da. Raczej trzeba się przychylić ku temu, że Kraków za Mieszka był w ręku Czechów, a wobec tego nietylko nie może być mowy o zdobyciu Morawy, ale nawet część Ślązka — co najmniej dzisiejszą ziemię cieszyńską — wypadnie z państwa Mieszkowego wykreślić [2]. Faktem natomiast pozostanie, że już za Mieszka I. przyszło do starcia się pomiędzy Czechami a Polską, a polem walki (czy i celem, nie wiadomo) był Ślązk.

Za Bolesława Chrobrego zaczyna się dla Ślązka okres ważnych zmian i wypadków. Z pobytem św. Wojciecha na Ślązku, który niechybnie tą drogą śpieszył na dwór Bolesława, łączą się tylko legendy o założeniu kościołów w Cieszynie, Bytomiu, Opolu, w czem jednak niema prawdy; z pamięcią jego dostojnych przyjaciół łączy się natomiast fakt dla Ślązka niezmiernie doniosły, t. j. utworzenie biskupstwa wrocławskiego, podległego metropolii gnieźnieńskiej. Najściślej w dobie pierwszych Piastów z Polską złączony, najwybitniejszą też w tym czasie Ślązk odgrywa rolę. Uogólniając fakta i szczegóły przez autora opowiedziane, możnaby znaczenie Ślązka w owej epoce w ten sposób scharakteryzować, iż był on za Bolesławów wrotami na szerszy świat, gościńcem na Zachód, równocześnie jednak i obroną od Zachodu. Droga na zdobycie Łużyc, Miśnii, Czech, ścieliła się Bolesławowi Chrobremu przez Ślązk. Gdy znów chodziło o obronę państwa, bronili go pierwsi Piastowie z murów grodów nadodrzańskich, lub przez zasieki na brodach czynione. Takto Odra równocześnie łączyła Polskę z Zachodem i od niego dzieliła.

Z r. 1138, z testamentem Bolesława Krzywoustego, nastaje dla Ślązka nowy okres. Dzieląc Polskę na 4 dzielnice, przyłączył ten książe Ślązk do dzielnicy senioralnej, jak gdyby ją chciał silniejszym

---

[1] „Biskupstwo i klasztory polskie“ w X. i XI. wieku.

[2] Vinc. Prasek, *Dějiny knižestvi Těšinskeho,* p. 14 i sq.

jeszcze, niż inne dzielnice, węzłem spoić z tronem wielkoksiążęcym; niestety, proces odpadania ziemi ślązkiej od pnia ojczystego, zaczyna się już w niewiele lat później i postępuje coraz szybszym krokiem. Już r. 1163 pod synami Władysława II rozrywa się ściślejsza łączność z Krakowem. Pierwszymi książętami dzielnicowymi na Ślązku są: Bolesław Wysoki, ks. wrocławski, i Mieczysław, ks. raciborski. Niebawem poczyna się Ślązk coraz bardziej rozpadać. W tym drugim okresie, kiedy z śmiercią Krzywoustego legła w grobie expansywna siła Polski, w okresie „Polski w podziałach" coraz jaskrawiej występuje jej podział na część zachodnią, pod wodzą książąt ślązkich, i wschodnią, pod wodzą małopolskich. Władysławowicze mieszają się wprawdzie do walk o tron krakowski, a więc o zwierzchnictwo nad innemi dzielnicami (chwilowo nawet je osiągają), mimo to zarysowuje się coraz większa przepaść między Ślązkiem a resztą Polski. Ślązk się niemczy. Książęta jego lgną ku Niemcom, przyjmują obce obyczaje i język, sprowadzają kolonistów. Osadzanie wsi na prawie niemieckiem rozwijające się na Ślązku już za Bolesława Wysokiego, coraz pospieszniejsze przybiera tempo za jego syna Henryka Brodatego, a zwłaszcza po najeździe Tatarów i kończy się przyduszeniem i upośledzeniem żywiołu rodzimego. A jednak w tym tak smutnym okresie, w pierwszej połowie XIII. wieku jest Ślązk jakoby nauczycielem Polski i twórcą nowych ideałów na polu ekonomicznem i kulturalnem. Przywilej dla miasta Środy stał się jako prawo średzkie normą dla ustaw kolonizacyjnych w całej Polsce. W licznych dokumentach lokacyjnych mamy niezbite dowody, że ze Ślązka brała Polska wzór w procesie swego przeobrażania się wewnętrznego. Nawet miary długości bywają brane z Głogowa, Krosna, Wrocławia.

W drugiej połowie XIII. wieku przechodzi Ślązk zwolna ale nieustannie w ręce czeskie, aż w końcu r. 1335 Kazimierz Wielki zrzeka się swych praw do tej ziemi dla ratowania Kujaw i Pomorza. Nadarza się jeszcze za Jagiełły, w czasie zaburzeń husyckich, sposobność odzyskania Ślązka, ale nieskorzystano z niej w Polsce, lękając się zarzutu kacerstwa. Historya ślązka wchodzi już w zakres historyi bądź Czech, bądź Austryi (r. 1526), bądź też Prus i Austryi (r. 1742). Dosyć szeroko roztacza ją autor przed oczyma czytelnika, najbardziej jednak — co mu się chwali — uwzględnia przytem stosunki wewnętrzne, więc sprawy kościelne, przeobrażenia, jakim z czasem uległy szlachta, mieszczaństwo, lud, wzrost i charakter oświaty na Ślązku, rozwój handlu ślązkiego, historyę rękodzieł i t. d., a czyni to wszystko,

wybiegając co chwila poza granice Ślązka do Rzeczypospolitej polskiej, porównując i oceniając analogiczne stosunki i przeobrażenia tamże.

Wiele miejsca poświęca reformacyi na Ślązku. Wprowadzenie jej łączy się z usadowieniem się na tej ziemi książąt brandenburskich 1523 r. Jerzy Brandenburczyk nabywając Karniów i Głubczyce, opieką swą otoczył przedewszystkiem odpadające od jedności kościelnej miasta dolnoślązkie, w szczególności Wrocław. Niebawem dostały się nowinki na Ślązk górny, mianowicie do Księstwa cieszyńskiego. Lud przyjmował tu reformacyę w podobny sposób jak w Polsce. Książęta i szlachta wprowadzając protestantyzm, nie potrzebowali się do gwałtów uciekać. Wystarczało obsadzić probostwo księdzem życzliwym reformacyi, ten nieznacznie i powoli zmienił obrzędy, a lud, nie zdając sobie w braku dokładnej znajomości katechizmu nawet sprawy z tego, co się dzieje, w niewielu latach odłączał się od katolicyzmu. Protestantyzm ogarnął był większą część Ślązka. W drugiej połowie XVI. wieku nie było tam ani jednego księcia katolickiego. Dopiero po bitwie na Białej Górze rozpoczęła się na dobre kontrreformacya i to gwałtowna. Ta okoliczność daje autorowi pochop do podniesienia odmiennego, pokojowego charakteru kontrreformacyi w Polsce.

Historya handlu ślązkiego dostarcza autorowi nieraz sposobności do zręcznego potrącenia o stosunki panujące w danej epoce w Polsce. Jakoż związek handlowy między Polską a Ślązkiem od najdawniejszych czasów bardzo był ścisły. Przez Ślązk szedł przecież jeden z najważniejszych traktów. Tędy szły towary z głębi Niemiec na Wschód, a z Polski i z dalekiego Wschodu na Zachód. Tem się tłómaczy szybki rozwój, a z czasem wzajemna rywalizacya Wrocławia i Krakowa, najważniejszych na tej drodze stacyi handlowych. Były czasy, w których między kupcami krakowskimi a wrocławskimi, istniały spółki handlowe; znaczniejsze firmy kupieckie krakowskie brały udział w wielkich przedsiębiorstwach ślązkich. Obok Gdańska Ślązk był najważniejszem polem zbytu dla produktów polskich, zwłaszcza w XVI. wieku. Nie wątpimy, że z czasem stosunki handlowe ślązkopolskie doczekają się należytego wyświetlenia; dziś jeszcze, mimo ogromnego materyału źródłowego, dotykając ich, obracamy się w sferze ogólników. Rozpatrzenie zaś tych stosunków jest tem pożądańsze, że historya handlu łączy się najściślej z historyą kultury. Drogami handlowemi przedewszystkiem dostają się do kraju rozmaite kulturalne pierwiastki, które na rozwój społeczeństwa wywierają wpływ stanowczy. Jeśli zaś

wiele nowych prądów, nowych idei i kierunków, przeniknęło do Polski drogą przez Ślązk, to naodwrót nie bez wpływu na Ślązk była Polska, w tych szczególnie czasach, kiedy Akademia krakowska jaśniała w całym swym blasku i chwale. Nie możemy się zgodzić ze zdaniem autora, jakoby niemiecka młodzież ślązka nie lubiła Uniwersytetu krakowskiego. *Album studiosorum* przeczy temu. W XV. wieku i pierwszej połowie XVI. — pobieżnie tylko obliczając — znaleźliśmy 4.000 Ślązaków immatrykulowanych w naszej szkole. Największy ich napływ był u schyłku XV. wieku; zmniejszać się zaczął od chwili, kiedy reformacya znalazła grunt na Ślązku. A uczniów tych dostarczały przedewszystkiem miasta już podówczas zniemczone, jak np. Wrocław (516), Brzeg, Opawa, Cieszyn i t. d.

Śledząc dzieje polityczne Ślązka, rozpatrując rozwój jego urządzeń, instytucyj i t. d., wszędzie szuka autor odblasku życia narodowego, śladów i dowodów na to, że lud ślązko-polski, nawet w czasach, kiedy o nim stanowili ci, co ledwo wiedzieli o jego istnieniu, nie przestał być polskim, nie zatracił swych cech rodzimych. To zajęcie się ludem ślązkim wije się przez całe dzieło, jak nić czerwona, która się co prawda nie rzadko zatraca i urywa, ale niebawem znów się oczom nasuwa; urywa się z pewnością dlatego, że historyę ludu ślązkiego dotychczas zostawiliśmy odłogiem. Dzieło d-ra Konecznego doprowadzone do r. 1850, dużo jeszcze ma luk sztucznie tylko wypełnionych, po niejednej kwestyi się tylko prześlizguje, nie jednej nie dotyka wcale. Zarzutu jednak stąd autorowi nie czynimy i nikt go zapewne nie uczyni. Odnośna literatura nasza, jak wspomnieliśmy, bardzo jest uboga, w niemieckiej bardzo obfitej i w czeskiej, z każdym dniem rosnącej, właśnie to, czego autorowi potrzeba było, bądź pominięte umyślnie, bądź przekształcone. Tymczasem lud ślązko-polski pragnie poznać swoją przeszłość, pragnie się dowiedzieć, co go też więcej, prócz języka i wiary, z Polską łączy. Jeśli więc autor życzeniu maluczkich zadość czyni, nie zrażając się brakiem poprzedników w tym kierunku, niedostatkiem prac przygotowawczych, to musimy mu pracę jego poczytać za zasługę obywatelską niepośledniej miary; nie bez wdzięcznego uznania wspomnieć też należy o redakcyi *Katolika,* która wspaniałem niemal wyposażeniem książki, przydaniem mnóstwa rycin, a niewielką stosunkowo ceną, uczyniła wszystko, aby dzieło d-ra Konecznego znalazło jak naliczniejszych czytelników.

Dr. Al. Czuczyński.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Les grandes cathédrales du monde catholique par *L. Cloquet*, secrétaire de la Revue de l'art chrétien. Desclée, de Brouwer et C-ie, 1897 (w wielkiej 4-ce, str. 380 z 200 rycinami).

Architektura może więcej jeszcze, niż inne sztuki, okazuje całą potęgę ducha ludzkiego; w niej szczególnie duch ludzki jest twórczy; a gdy siła tego ducha spotęgowana jest wiarą i gorącą pobożnością, wtedy zdumiewających rzeczy dokonuje. Historyę tej twórczości opowiedzieć zamierzył autor. Jest on uczonym, ale na uczonego nie pozuje, pisze dzieło popularne, nie dąży do tego, żeby być kompletnym, chce tylko dać zrozumieć życie pulsujące w architekturze chrześcijańskiej, jej wewnętrzny organiczny rozwój poprzez wieki, począwszy od kształtów bazyliki, skromnie zapożyczonej od pogan, aż do najwspanialszych katedr epoki gotyckiej.

I w rzeczy samej, czytając dzieło p. Cloqueta, widzi się ten rozwój: tę myśl chrześcijańską, pełną wiary, szukającą coraz doskonalszej formy dla wyrażenia swego kultu, oczyszczającą się stopniowo od obcych naleciałości, wznoszącą się coraz śmielej ku niebu, wynajdującą w tym zapędzie to sklepienie na żebrach, to szkarpy wynoszące poza świątynię materyalną siłę, to sklepienie w ostrołuk zgięte — i dochodzącą do ostatnich granic eteryczności, gdzie geniusz ludzki zdaje się urągać prawom ciężkości. Widać przytem, jak ta idea chrześcijańska nie poprzestając na architektonicznych konstrukcyach, ubiera je coraz hojniej zewnątrz i wewnątrz, nieprzebranem bogactwem rzeźb, malatur, witrażów w oknach, w których cały dogmat, cała nauka moralna, cała hagiografia roztacza się przed oczyma. Moment ten, tak ściśle przecież z duchem architektury chrześcijańskiej związany, a tak często w książkach o architekturze (i niemniej w budowlach gotyckich nowożytnych) pomijany, tu jest silnie i trafnie uwydatniony.

Wykazany jest też pięknie sposób, jakim te gmachy wykwitały z życia społeczeństw. Tu wznoszą je zakony, ówdzie biskupi, indziej sam lud porywa się z nieporównanym zapałem do tej świętej pracy; skąd odbijają się na różnych kościołach charakterystyczne ich znamiona.

Zarzucićby można autorowi, że jest zbyt wyłącznie miłośnikiem gotyki. To jest jego słaba — ale zarazem i jego mocna strona. Słaba jego strona, mówię, bo to go czyni trochę mniej sprawiedliwym dla

innych stylów. Utwory ich, nawet pierwszorzędne, uderzają go najprzód swemi uchybieniami, (gdzież uchybień niema?) a te nie dosyć odczuć mu dają właściwej tych dzieł piękności. Nawet gotyka włoska pod względem konstrukcyjnym zawsze trochę wadliwa, ale okupująca te wady nieporównanym wdziękiem i bogactwem swego stroju — jak w katedrze Sienneńskiej — nie potrafiła zdobyć jego serca. Kłania on się jej — ale tylko tak — dla konwenansu. W gotyce zaś francuskiej z XIII. i XIV. wieku upatruje on punkt kulminacyjny, absolutnie najwyższy, do jakiego geniusz konstrukcyjny ludzkości chrześcijańskiej dojść może, poza którym już tylko obniżenie i upadek pozostaje. Może tego nie wypowiada tak skrajnemi słowy, jednak myśl tę w całem swem dziele wyraża.

A to już jest za wiele. Wolno sądzić, że gotyka średniowieczna jest względnie najwyższą formą, do jakiej architektura chrześcijańska dotychczas doszła, tak samo, jak wolno twierdzić, że malarstwo religijne najwyżej stało za poprzedników Rafaela, jak wolno mówić, że muzyka religijna od Palestryny się obniża. To wszystko można z jakiemś prawdopodobieństwem utrzymywać, bo istotnie Odrodzenie przy wszystkich swoich zasługach wszczepiło nam jakiś pierwiastek Chrystyanizmowi obcy, któryśmy jeszcze niezupełnie przetrawili. Ale żadną miarą powiedzieć nie można, że architektura, czy malarstwo, czy muzyka, czy którakolwiek sztuka w Chrystyanizmie wyżej już iść nie może, że jej ideał jest w historyi przeszłości! Czy może Chrystyanizm już skończył swe zadanie w ludzkości? Albo czy którakolwiek sztuka może być zakuta w żelazną formę i pozostać sztuką żywą? Żadną miarą. Podziwiajmy dawną sztukę, czerpmy z niej natchnienia, ubolewajmy nad jałowością naszego wieku, który w zakresie sztuki religijnej to tylko zrobi nieźle, co wiernie skopiuje; ale nie myślmy, że którakolwiek sztuka w Chrystyanizmie wypowiedziała swe ostatnie słowo; patrzmy przed siebie i spodziewajmy się, że nieprzebrana w bogactwie myśl chrześcijańska, zapładniać jeszcze będzie dalej sztuki i znajdzie w dalszym ich postępie wyrażenia swej treści, o jakich nam się nie marzy.

Z drugiej strony, jak powiedziałem, ten rodzaj jednostronności naszego autora, jest też jego siłą. Kochając wyłącznie gotykę, rozumie on ją wybornie i umie na niewielu kartkach wytłómaczyć jej treść, w sposób dla profanów przystępny. Kilka katedr francuskich opisuje on obszerniej, jako pierwowzory — bo też one są pierwowzorami gotyki — a potem te same poglądy krótko stosuje do

innych świątyń, po Anglii, Niemczech i Włoszech. Jeśli zaś jakiego kościoła sam nie widział (np. św. Zofii), to wrażenia estetycznego, jaki czyni na patrzącym, nie próbuje nigdy sam według opisów odtworzyć, ale przytacza zawsze opisy tych, co widzieli. I wogóle lubi on przytaczać zdania innych wybitnych autorów.

Illustracye są bardzo liczne, ale wogóle miernej wartości, zapewne dlatego, że wydawcy chcieli zrobić książkę bardzo tanią. Druk, jak we wszystkich publikacyach Desclée'a, jest prześliczny.

Ks. M. Morawski.

Les Saints. Librairie *Victor Lecoffre.*

Zmieniły się wymagania czytelników, nawet pod względem formy, w której im przykłady Świętych Pańskich podawane bywają. Naiwne legendy nie dogadzają już zmysłowi krytycznemu naszej epoki. Tem bardziej się ona odwraca od biografii dowolnie sporządzanych, za dni niedawnego romantyzmu, gdy żywotom Świętych nadawano formę powieściową, domysłowemi rozmowami przeplatając tok opowiadania. Ścisłości wypróbowanej, opartej na gruncie dokumentów, żąda dzisiejsza czytająca publiczność i tej to potrzebie i żądzy pragnie odpowiedzieć znana katolicka w Paryżu firma, rozpoczęciem seryalnego wydawnictwa, które obleka w historyczny całokształt poszczególnych Świętych żywoty, spisywane podług wymagań dzisiejszej metody historycznej. Na podobieństwo przedsiębiorstwa księgarni Hachetta, która wydała już kilkadziesiąt monografii „Wielkich pisarzy Francyi", wśród których istne już znalazły się perły, wydawca Lecoffre od pewnego czasu puszcza w świat starannie opracowane tomiki, coraz to innej postaci, wybranym Bożym poświęcone. Dotąd zaledwie ich cztery się ukazało, acz, jak słyszymy, do czterdziestu historycznych biografii Świętych Pańskich znajduje się na warsztacie u pierwszorzędnych pisarzy. Wydane już tomy dają nam dzieje św. Klotyldy, św. Augustyna, bł. Bernardyna de Feltro, nareszcie drugiego św. Augustyna z Canterbury i towarzyszów jego. Ta ostatnia publikacya pojawiła się w samą porę, dla uświetnienia obchodzonego równocześnie jubileuszu chrztu i nawrócenia Anglii.

Nikt lepiej nad G. Kurtha nie zna dziś epoki Merowingów, czego złożył dowody oczywiste w swej mistrzowskiej historyi Klodwiga. Stąpał on tedy na pewnym i znajomym gruncie, podejmując z kolei dzieje świętobliwej towarzyszki władcy Franków, która dumne czoło małżonka pochyliła pod odradzającą wodę Chrztu św. Żadna bodaj

karta dziejowa nie wskazuje lepiej i jawniej, jak ścisłe węzły łączą Francyę z Kościołem, jak dalece ich zerwanie równa się sprzeniewierzeniu historycznej przeszłości narodu. G. Kurth wskrzesił burzliwą epokę gminoruchów, na której tle zakwitały takie kwiaty cnoty niewieściej jak Klotylda. Mniej znany pisarz, Hatzfeld, chwycił się postaci św. Augustyna, którego życie osobny ma powab dla ludzkich nędzy, przykładem mężnego wydźwigania się z nich aż na wyżyny świętości. Nawrócenie Augustyna, łzami matki okupione, niesie kordyał nadziei wszystkim sercom macierzyńskim, starganym troską o dusze swych najdroższych. A w mętnej epoce, hołdującej rozterce duchowej i zwątpieniu, godzi się zwracać oczy spółczesnych ku temu mędrcowi, którego można uważać za właściwego twórcę teologii chrześcijańskiej; autor też wzbija się ku wyżynom najtrudniejszych zagadnień, postępując w ślad wielkiego pokutnika, który rzuciwszy błędy młodości, stać się miał filarem Kościoła i jarzącą Prawdy pochodnią.

Historya św. Klotyldy, dzieje św. Augustyna, już przed kilkoma miesiącami ukazały się na półkach księgarskich, natomiast żywot bł. Bernardyna i obraz nawrócenia Anglii przez wysłańców papieża Grzegorza, dopiero świeżo się pojawiły. Bł. Bernardyn de Feltro należy do bujnego w Świętych XV. stulecia; urodzony w r. 1439 z szlacheckiej rodziny, w ośmnastym roku życia miał się zaciągnąć w szeregi Braci mniejszych.

W owych dniach, podobnie jak i w późniejszych wiekach, stokroć więcej, aniżeli za dni naszych, urząd słowa był w stanie zaważyć na szali przeznaczeń ludzkości. Wymowny kaznodzieja zabierał duszę słuchaczy, porywał tłumy, sterował ludem Bożym. Dość przypomnieć Kapistrana i Savonarolę.

Nie każdy też imał się tej odpowiedzialności słowa, nie każdy ośmielał się sprawować ten urząd. Bernardyn sposobił się do późniejszego apostolstwa ostrą pokutą, umartwieniem i pracą. Maleńki wzrostem, tak, iż głowa jego ledwo widniała nad krawędzią ambony, ze wszechmiar usprawiedliwiał przydomek *parvulus* nadany mu żartobliwie przez papieża Innocentego VIII. Sam zwykł był się podpisywać w listach: *piccolino e poverello,* a do synowców papieża Piusa II (Eneasza Sylwiusza) mawiał: „Jesteśmy z jednej rodziny *piccolomini* (małych ludzi).

Odrazu zasłynął jako pierwszorzędny kaznodzieja; przez ćwierć wieku poruszał tłumy, porywał serca. Wieść niesie, iż w tym okresie czasu wygłosił trzy tysiące sześćset kazań, zawsze improwizowanych

i zapalających duszę słuchaczów. Nieraz kościoły okazywały się zbyt ciasne, i wtedy na placach publicznych święty zakonnik głosił Boże słowo. Raz wśród lasu, kilkotysięczny tłum wieśniaków pragnął usłyszeć żarliwego Apostoła. Nie wiele myśląc, wstąpił na drzewo, aby z wysoka przemawiać do ludu.

Czasy to były ciężkie, zamącone społeczną niezgodą i waśnią. Bernardyn jął wskrzeszać miłość w sercach, głosić mir i pojednanie zapomocą bractw pobożnych, zacieśniając braterskie węzły chrześcijan. Mnożył i dzieła miłosierdzia, na wszystkie ludzkie niedole niosąc ratunek gotowy. Osobne znaczenie, pełne aktualności, ma w książce p. Flornoy rozdział dotyczący antysemityzmu w XV. wieku, walki błogosławionego zakonnika z żydowstwem, z lichwą, wysysającą soki żywotne z społeczeństwa chrześcijańskiego. Obiegając wsie i miasteczka, Bernardyn nawoływał do zakładania lombardów chrześcijańskich, do oswobodzenia ludu chrześcijańskiego z niewoli Izraela. Myśl takich miłosiernych lombardów powstała w sercu franciszkańskiego zakonnika Barnaby z Terni, dojrzała atoli za staraniem Bernardyna de Feltro. Na jego głos kobiety niosły klejnoty, mężowie obfite datki, byle dać początek dobroczynnemu dziełu, rozwijającemu się w bankach pobożnych, które udzielały pożyczek na jeden a najwyżej na dwa procent. Na słowo gorącego obrońcy maluczkich, ciemiężonych przez żydów, powstawały wszędy chrześcijańskie lombardy, niosące skuteczną pomoc ubóstwu. Na pogrzebie ubogiego zakonnika w r. 1494, szły zwarte tłumy, głównie z rzemieślników i robotników urosłe, a między innymi uważano pochód kilkotysięczny dzieci, niosących białe sztandary z wyobrażeniem zakładów lombardowych i podpisem: *Curam illius habe*. Proces beatyfikacyi, rozpoczęty w XVII. wieku, a kilkakrotnie przerywany, dopiero przez Piusa IX. zatwierdzonym został. Dziś zaś Bracia Mniejsi starają się o kanonizacyę Świętego, którego pamięć odświeżają podobne zagadnienia dzisiejsze. W chwili, gdy kwestya socyalna występuje groźniej, a przewaga żydowstwa stanowi jednę z plag epoki, słuszna przypominać walki przed kilkoma wiekami podjęte, by ratować chrześcijańskie społeczności od zniszczenia i zatrucia.

Prasa peryodyczna niosła nam obficie odgłosy uroczystości jubileuszowych, święconych na ziemi angielskiej; wyspa Świętych, wiano Matki Boskiej, bo oba te tytuły przyznawano Anglii za dawnych wieków, w uczczeniu chrześcijańskich swych początków szuka rękojmi powrotu do Prawdy i wiary Ojców. Posłannictwo Augustyna przyćmiewa swym blaskiem samąż postać Apostoła. Słusznie też było

lepiej poznać w tej chwili narzędzie Opatrzności, wysłańca papieża Grzegorza Wielkiego. Ojciec Brou z Towarzystwa Jezusowego, napisał żywot św. Augustyna wśród ram jego apostolskich znojów, w miejscowościach, obieganych niegdyś przez gońców Ewangelii. Z ścisłością historyka a pobożnością kapłana, wznowił dzieje podboju królestwa Kent, chrztu Ethelberta, hurtownego nawracania jego poddanych. Poezya bijąca z tych kart przeszłości Anglii, odbiła się w opowiadaniu O. Brou. Rozrzewnia się on na wspomnienie ubożuchnego w Canterbury kościółka, upamiętniającego pierwszą mszę Augustyna na ziemi angielskiej. Dziś protestantyzm zagarnął to drogie miejsce, dokoła wiejski cmentarzyk skupia w swych murach liczne zastępy duchownych i żołnierzy, dostojników kościoła i państwa. „Skąd ich tylu z wyboru układło się na wieczny spoczynek w tem ustronnem polu śmierci? Czy nie skutkiem tego przywiązania do minionych pamiątek, co śpi tajemniczo na dnie każdej angielskiej duszy? Uczucie to prędzej później doprowadzić ich musi do odzyskania tej wiary, która sama jedna posiada i nietykalność tradycyi i niezłomne obietnice".

Pierwsze tedy próby hagiograficzno-historycznego wydawnictwa wypadły pomyślnie. Ufać należy, że i dalsze tomy nie zawiodą. Przejawia się w tej chwili jakiś zwrot do tych niespożytych wzorów cnoty, jakieś łaknienie wyższych ideałów, tęsknota za czemś lepszem i szlachetniejszem. Sami protestanci rzucają się na tę obcą sobie niwę, zniżając nieraz nastrój życia Świętych tłómaczeniem na sposób przyrodzony nadprzyrodzonych objawów, jak to uczynił pastor Sabatier względem osoby serafickiego Franciszka. Poezya żywotów Świętych, wpływ ich na epokę i ludzi, kusi dziś pióra, żądne nowych wrażeń i efektów. Stąd tem większy obowiązek pielęgnowania nietykalności tych postaci świętych, zdjęciem wiernych wizerunków, zanim się innowiercy pokuszą o ukazanie ich w fałszywem oświetleniu. Przedsiębiorstwo Lecoffre'a założyło sobie cel bardziej historyczny, aniżeli hagiograficzny. Ale dla dusz nowoczesnych, dla zagadnień i potrzeb chwili, kierunek to jest bardziej może pożądany.

M.

Das kirchliche Bücherverbot. Ein Commentar zur Constitution Leo's XIII.: „Officiorum ac munerum" vom 24 Jan. 1897. Von *dr. J. Hollweck.* Mainz, Kirchheim. 1897. Str. VI, 63.

Że istnieje prawo kościelne, zakazujące czytania pewnych dzieł, o tem powszechnie wiadomo, choćby tylko z częstych wycieczek, urzą-

dzanych na temat Indeksu przez nieprzychylną Kościołowi prasę. Niewielu jednak ma jasne pojęcie o rozciągłości i mocy obowiązującej tego prawa. Są tacy, co mniemają, że Indeks jest orzeczeniem nieomylnej władzy papieskiej, inni znów sądzą, że reguły Indeksu są tylko wskazówkami dla katolików, do których o tyle stosować się trzeba, o ile się je uważa za słuszne i osobiście pożyteczne. Jedno i drugie mniemanie jest błędne, a na szkodliwe następstwa tego rodzaju interpretacyj prawa kościelnego nie zwracano nieraz dostatecznej uwagi, nawet w obozie katolickim. Niedawno ogłoszona przez Leona XIII. bulla: *Officiorum ac munerum* rzuciła nowe światło na tę kwestyę i jasno postawiła normę wszystkich obowiązującą. Do tej to bulli napisał świeżo komentarz ks. dr. Hollweck. Nie jest to praca obszerna ani wyczerpująca, zdaje się jednak, że żadnej ważniejszej rzeczy autor nie pominął. Po historyczno-prawniczym wstępie o kościelnym zakazie książek, tłumaczy przystępnie i przejrzyście przepisy nowej konstytucyi, wskazując na różnice, jakie zachodzą między jej rozporządzeniami a starem prawem, i wyciągając ostatecznie praktyczne wnioski. Na końcu swej pracy dołączył autor oryginalny tekst papieskiej konstytucyi, jakoteż alfabetyczny spis rzeczy. Jedno i drugie bardzo jest wygodne i praktyczne, zwłaszcza w tej materyi.

Ks. W. Ledóchowski.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego

Sprawy Kościoła.

JUBILEUSZ OJCA ŚW.

Rok dziewięćdziesiąty ósmy zaczyna się rodzinną uroczystością dla Kościoła katolickiego, 60-letnim jubileuszem kapłaństwa Leona XIII. Natchniony i ożywiony duchem Kościoła rzymskiego wielki papież -- pełen majestatu, choć jest więźniem, pełen energii i świadomości swego zadania i swych zamiarów, wśród ciężkich czasów, rządzi Kościołem. Gdy się uważniej śledzi jego działalność, uderza obok mądrości i nieugiętej stałości żelazna konsekwencya i logika, z którą przeprowadza sprawy dla dobra Kościoła podjęte. Leon XIII. każdy krok, powiedziałbym, każde słowo długo rozważa, ale rozpoczętego dzieła już z oka nie traci i żadnemi trudnościami nie zrażony do wytkniętego sobie celu dąży. Sędziwy wiek wycisnął swe piętno i na Leonie XIII.; ręka prawie już nie ma sił, by piórem władać, ale duch nic ze swej siły nie stracił. Jak przedtem, tak i teraz jeszcze z wyjątkową czujnością o każdym kraju i narodzie pamięta, bystrem okiem spostrzega, co w danych okolicznościach dla dobra powierzonych mu ludów najbardziej jest potrzebnem i w tę stronę wszystkie swe siły wytęża. Same dzieje Kościoła świadczą, iż jeden i ten sam potężny duch od 20 lat niemi kieruje. Mimo to papież nie może zażegnać wszystkich burz, grożących Kościołowi. Koło samej Stolicy Piotrowej w ostatnim

czasie walka na nowo zawrzała i aż do uszu Namiestnika Chrystusowego dolatują bezbożne okrzyki, domagające się zagłady papiestwa i Kościoła. Troski i sprawy Ojca św. nie mogą nie obchodzić ludów katolickich. To też widzimy, że świat katolicki z radością i pośpiechem korzysta z okazyi jubileuszu, by złożyć swemu wodzowi dowody synowskiej czci, przywiązania i wdzięczności za jego mądre, pełne poświęcenia rządy, przez pielgrzymki, dary i modlitwy. Arcybiskupi i biskupi monarchii austryackiej z powodu jubileuszu Ojca św. zachęcili wszystkich wiernych przez wspólny list pasterski do uroczystego obchodu tego dnia. W osobnym dodatku książe-biskup krakowski przypomina w ciepłych słowach dowody miłości, jakie Ojciec św. w ostatniem 10-leciu wyświadczył naszemu narodowi, i zachęca do najgorętszych za niego modlitw. Oby nam Bóg najdłużej zachował wielkiego papieża Leona XIII.

KATOLICY PRZED WYBORAMI WE FRANCYI.

Na wiosnę mają się odbyć we Francyi nowe wybory do parlamentu. W kraju, gdzie życie polityczne tak ściśle jest połączone z życiem religijnem, jak w teraźniejszej Francyi, szczególniejszym jest obowiązkiem katolików wziąć żywy udział w rządach rzeczypospolitej. Katolicy we Francyi według statystyki chrztu stanowią wprawdzie większość, ale w rzeczywistości są w mniejszości — w mniejszości aż dotąd politycznie niezorganizowanej — a stąd często narażeni są na dotkliwe prześladowania i pokrzywdzenia najświętszych swych praw ze strony partyi żydowsko-masońskiej. Tu i ówdzie pokazują się znaki jakiegoś zwrotu ku lepszemu w kołach rządowych. Tak, minister wojny Billot w mowie nad grobem swego przyjaciela, generała Jessé, wyraził nadzieję zobaczenia się z nim „przed Bogiem sprawiedliwości i miłosierdzia“. Podobno po raz pierwszy po 20 latach minister francuski odważył się publicznie Boga wspomnieć. Także prezydent ministerstwa, Méline, oświadczył niedawno, że program jego w kwestyi religijnej ma przedewszystkiem na celu uspokojenie *(pacification)* i zgodę, ale mimo to w swojem czasopiśmie *La Republique Française* życzliwe daje katolikom rady, by w swym programie nie wysuwali naprzód kwe-

styj religijnych, jak np. o szkole wyznaniowej lub o innych podobnych, żywotnych sprawach Kościoła.

Potrzeba więc koniecznie silnej akcyi katolickiej, by zrzucić z siebie hańbiące francuski naród jarzmo masońskie. Przez długi czas przeszkadzała temu głęboka przepaść, dzieląca katolików od rządu; uważano ich już dlatego, że są katolikami, za wrogów rzeczypospolitej; teraz położenie znacznie się zmieniło, dzięki wskazówkom często dawanym przez Ojca św., by katolicy bez obłudy uznali rządy rzeczypospolitej. Nowe hasła, które Ojciec św. rzucił, poruszyły wszystkich katolików we Francyi, trafiły na silny opór ze strony upartych monarchistów, ale znalazły też szczery odgłos u wielu katolików, którym dobro Kościoła przedewszystkiem na sercu leżało. Właściwie dopiero po przyszłych wyborach można będzie wyrobić sobie dokładny sąd o skutkach, jakie przyniosła polityka Kościoła, przyjazna rzeczypospolitej. Wiele światła jednak rzuciły ostatnie wiece katolickie, które bez wyjątku między głównymi punktami swych obrad zajmowały się także kwestyą przyszłych wyborów. Na kongresie nacyonalnym katolików w Paryżu od 1—5 grudnia sesya, poświęcona sprawie organizacyi katolickiej i wyborów, była najbardziej ożywioną, aby nie powiedzieć, burzliwą. Starły się tutaj partye monarchistów, katolików pogodzonych z rzecząpospolitą skutkiem upomnień Ojca św. *(ralliés)* i demokratów chrześcijańskich. Z wielką tylko trudnością udało się przewodniczącemu utrzymać porządek. Mowa p. de Bellomayre, który gorąco bronił konieczności połączenia się wszystkich katolików na gruncie rzeczypospolitej, przerywana była nietylko oklaskami, ale krzykami i protestami. Żywa dyskusya doprowadziła jednak ostatecznie do bardzo dodatniego rezultatu. Ksiądz Naudet, odrzucając myśl utworzenia jednej, we wszystkiem najściślej złączonej partyi katolickiej, podał plan federacyi wszystkich partyj na czas najbliższych wyborów; myśl jego zwyciężyła, bo prawie $^9/_{10}$ kongresu przyjęło uchwałę, którą dla wielkiej jej doniosłości podajemy w dosłownym przekładzie:

„Przez 20 lat większość katolików była uważana za systematycznie wrogą rzeczypospolitej i pod tym pretekstem więk-

szość republikanów kuła prawa wojownicze przeciw wolności religijnej. Pretekst ten już nie istnieje. Katolicy stoją dzisiaj lojalnie na gruncie konstytucyjnym i zamierzają wywalczyć wszystkie swe prawa. W tym celu, a w szczególności z powodu zbliżających się wyborów rozmaite już istniejące grupy postanowiły pomnożyć swe własne siły siłą łączności wzajemnej. Dlatego uchwaliły federacyę na niniejszych podstawach: 1) lojalne przyjęcie stanowiska konstytucyjnego; 2) reforma konstytucyi, o ile się sprzeciwia prawu przyrodzonemu, i praw, skierowanych przeciwko katolikom; 3) porozumienie się z wszystkimi, którzy pragną rządów pokoju, wolności i sprawiedliwości".

Uchwała niniejsza jest potężnym krokiem naprzód na drodze do przyszłego zwycięstwa katolików. Pokazało się to kilka dni później na wiecu demokratów chrześcijańskich w Lyonie. Silna ta partya, do której należy wielka część duchowieństwa francuskiego, między innymi wybitni ludzie, jak ks. Lemire, Delhon, Garnier, a na której czele stoi znany przyjaciel robotników, Harmel, nie cieszyła się aż dotąd powszechną sympatyą innych katolickich stronnictw, a choć ciągle powtarzała, że niewzruszenie stoi przy zasadach katolickich, była przecież podejrzywaną o zbyt radykalne, niechrześcijańskie dążności. Otóż na wiecu, któremu oprócz Ojca św. i arcybiskupa z Lyonu kilku biskupów przysłało błogosławieństwo, uchwalono prawie jednogłośnie przystąpić do federacyi, przyjętej przez wiec nacyonalny katolików w Paryżu. Innym znakiem zbliżenia się reszty katolików do demokratów chrześcijańskich było już to, że ci ostatni zostali przyjęci na wiec katolicki Francyi północnej, odbyty niedawno temu w Lille, choć z pewnych stron starano się temu przeszkodzić.

Bez zjednoczenia katolicy nie mogliby odnieść wielkich zwycięstw przy wyborach; różnice w zapatrywaniach politycznych zbyt są przynajmniej aż dotąd, wielkie, by mogła być mowa o zupełnem zlaniu, dlatego federacya na czas wyborów zdaje się być znakomitym pomysłem. Twardzi monarchiści, rozumie się, do tej federacyi nie przystąpią, ale jest przynajmniej nadzieja, że złą-

czy ona wszystkie inne partye katolickie, posłuszne wskazówkom Leona XIII.

Na wiecu demokratów chrześcijańskich zaznaczyło się też pewne zbliżenie na polu pracy społecznej do starszej partyi katolicko-socyalnej, pod przewodnictwem hr. de Mun. Wiadomo, iż hr. de Mun zarzucał młodszym braciom oddalenie się od ideałów chrześcijańskiej miłości i odcinanie warstw społecznych między sobą. Myślą przewodnią hr. de Mun od pierwszej chwili jego działalności było zbliżenie i połączenie chlebodawców z pracującymi we wspólnych syndykatach, gdzie w duchu miłości i sprawiedliwości chrześcijańskiej sprawy obu stron, byłyby przedkładane i rozstrzygane. Demokraci chrześcijańscy zaś chcieli syndykatów złożonych wyłącznie z robotników, gdyż wedle ich zdania w syndykatach mięszanych chlebodawcy z natury rzeczy musieliby górować, a pracujący nie mogliby swobodnie o swych sprawach radzić. Po długich i bardzo zajmujących rozprawach powzięto na wiecu ogromną większością głosów (tylko 5 było przeciwnych) uchwałę, która wprawdzie uznała potrzebę odrębnych syndykatów pracujących i posiadających, ale zarazem uznała potrzebę łączenia się ich w osobnych komisyach i zachęcała do syndykatów mięszanych. Różnica zdań, dzieląca katolików francuskich, jest — powtarzamy — jeszcze znaczna, ale zapowiada się na przyszłość zbliżenie się i zupełne zjednoczenie w punktach zasadniczych, a tego tylko potrzeba do zwycięstwa nad stronnictwami masońskiemi.

AGITACYA PROTESTANTÓW PRZECIW ENCYKLICE O KANIZYM

Encyklika Leona XIII. z okazyi jubileuszu bł. Kanizego zwróciła powszechną uwagę na siebie już dlatego samego, że poruszyła aktualną sprawę szkół wyznaniowych i z wielkim naciskiem zachęcała katolików do oddawania się wszelkiego rodzaju świeckim naukom. Prasa żydowska powitała encyklikę jako dowód liberalnych zapatrywań światłego papieża, stojących w jaskrawem przeciwieństwie z ciasnymi poglądami wielkiej masy katolickiego duchowieństwa i podniosła takt Ojca św., że żadnej wzmianki nie uczynił o Jezuitach, a w szczególności o ich powrocie do Niemiec.

W ten sposób nieprzyjazne strony oceniły pismo papieskie. Któżby był mógł się spodziewać, że ta sama encyklika wywoła straszną burzę w obozie protestanckim — a przecież tak się stało. List papieski zawiera we wstępie kilka słów o tak zwanej reformacyi; papież nazywa ją „buntem Lutra“, dodając, że błąd w wierze przyspieszył upadek obyczajów w ówczesnych Niemczech. Krótka ta wzmianka nic nowego w sobie nie zawiera; to samo papież już był powiedział w encyklice z 29 czerwca 1881, to samo mnóstwo uczonych katolików i protestantów dowodami stwierdziło. Sam Luter w liście do Spalatyna z r. 1520 pisze: „Zaklinam cię, jeżeli dobrze sądzisz o Ewangelii, abyś nie myślał, że można tę sprawę załatwić bez tumultu, bez skandalu i rewolucyi“. Mimo tego gazety protestanckie rzuciły się z oburzeniem na powyższy ustęp, i rozpisywały się w szerokich komentarzach o strasznej obeldze, wyrządzonej przez „rzymskiego papieża“ kościołowi, narodowi, co więcej, nawet państwu niemieckiemu. Z początku zdawać się mogło, że protesty były tylko wymysłem gazeciarzy, niemających czem wypełnić szpalt swych pism. Wkrótce jednak burza po całych Niemczech rozszalała. Na głównem zebraniu związku Gustawa Adolfa w Berlinie, nadradca ewangelickiego Kościoła, dr. Barkhausen, podniósł namiętny protest przeciwko papieżowi i całemu Kościołowi katolickiemu. Setki tysięcy egzemplarzy tego protestu rozrzucono po całych Niemczech i żadnej okazyi nie opuszczono, by go w najrozmaitszych, pełnych nienawiści słowach, nie powtórzyć. Pamiętano o tem i w dzień tak zwanej „uroczystości reformacyjnej“, „w wielki dzień Lutra“, pamiętano na wszystkich czy większych czy mniejszych zebraniach protestanckich, które się po wyjściu encykliki odbywały. Nie dość na tem; nawet władza urzędowa, generalny synod ewangelickiego Kościoła w Prusiech, niedawno temu zebrany, powziął uchwałę przeciw osławionej encyklice i postanowił, by jego protest był czytany z ambon wszystkich kościołów. Niepodobna nie domyślać się, nie szukać głębszych przyczyn tego ruchu. Sami przewódcy urzędowych protestantów ułatwili tę pracę i odsłonili swe zamiary. Dr. Barkhausen oświadczył bez ogródki, że mu przedewszystkiem o to

chodziło, aby rzucić słowo alarmu wśród protestantów, ponieważ w ostatnich dziesiątkach lat się przekonał, że Kościół katolicki zamierza zgnieść protestantyzm, a protestanci, niestety, w szerokich kołach wielką tylko obojętność pokazują. Encyklika więc służyła tylko jako pretekst, a cała kampania była z góry dobrze obmyślana i przyznać trzeba, dobrze przeprowadzona. Złożyła ona jeden dowód więcej, co można osiągnąć za pomocą wytrwałej, umiejętnej agitacyi. Rząd interpelował nawet Watykan z powodu wspomnianego ustępu encykliki, a wiemy z kół najlepiej poinformowanych, że krzyki i mowy głębokie wrażenie wywarły na cesarzu i wzbudziły w nim nową nieufność do katolicyzmu, w szczególności do Jezuitów. Walka jeszcze nieskończona; gorliwi kaznodzieje starają się nawzajem prześcigać w obelgach przeciw Kościołowi. Tak np. nadworny kaznodzieja Ehrhardt, w obecności wielkiego księcia hesskiego i księcia Henryka z Prus tak daleko się posunął, iż twierdził, że „nie socyalna demokracya, ale ultramontanizm (katolicyzm) jest wrogiem śmiertelnym duszy niemieckiego ludu".

SŁUŻBISTOŚĆ KOŚCIOŁA PROTESTANCKIEGO.

Mimo wszystkiego jednak owe wybuchy nienawiści nie dosięgły wszystkich warstw protestanckich. Pastor Stöcker, wódz wielkiej, tak zwanej chrześcijańsko-socyalnej partyi, oświadcza w swoim organie, iż lud niema prawie nic wspólnego z owym ruchem, a trafnie zaznacza, że protestancki synod generalny prawdopodobnie byłby i mniej śmiało i mniej szumnie ogłosił swoje *non possumus*, gdyby zamiast występować przeciw papieżowi, miał bronić wolności swego wyznania przeciwko państwu. I w istocie synod ten właśnie w ostatnich posiedzeniach dał zadziwiające dowody swego służalstwa wobec władzy państwowej. Wspomnimy tylko o dwóch sprawach, które u nas wzbudzić mogą zajęcie: o sprawie pojedynku i o współudziale duchowieństwa w pracach socyalnych. Z namaszczeniem synod oświadcza, iż pojedynek jest grzechem przeciwko boskim i ludzkim ustawom, najpokorniej cesarzowi dziękuje za rozporządzenie, które dążyło do umniejszenia liczby pojedynków, ale zarazem uznaje, że w niektórych warunkach

niepodobna nie przyjąć pojedynku. Każdy łatwo widzi, że kiedy się już uznało, że pojedynek jest grzechem, logicznie trzeba było bezwzględnie go potępić. Ale tu z logicznością weszły w kolizyę względy na cesarza, a synod tym razem chyba już nie według przepisów „czystej Ewangelii“ — rozstrzygnął na korzyść tych ostatnich. Samych szczerych protestantów taka dwulicowość synodu oburzyła, jak o tem liczne świadczą protesty. Cechy tego samego służalstwa nosi także uchwała powzięta w sprawie kwestyi socyalnej. Synod uchwalił, że pastor ze względu na cel swój, którym jest zbawienie dusz, powinien wystrzegać się wszelkich czynności agitatorskich, a nie odważył się nawet złagodzić swej uchwały przedłożoną poprawką, „że apostolskie powołanie daje także okazyę do socyalnej pracy“. Napróżno Stöcker wykazuje widoczną sprzeczność tego rozporządzenia z duchem samej reformacyi, sprzeczność tem bardziej rażącą, że Kościół ewangelicki wogóle nie posiada odrębnego stanu kapłańskiego a przecież swoich pastorów od tej pracy socyalnej usuwa, gdy tymczasem Kościół katolicki najzupełniej uznaje potrzebę socyalnej pracy swych księży. Logika i sprzeczność niewiele tych panów obchodzą. Rząd niechętny jest pracy socyalnej pastorów, więc trzeba ją zakazać.

KATOLICKI OBCHÓD WIEKOWY.

Zbliżamy się do końca naszego wieku. Ze wszystkich stron dolatują zapowiedzi obchodów, którymi ludzkość żegnać chce mijające stulecie a powitać nadchodzący wiek XX. Obchody przy schyłku wieku nie są nowością. Ludzie zawsze odczuwali potrzebę zatrzymania się choćby na chwilę w szybkim pędzie czasu, rzucenia okiem na przeszłość i przyszłość i wzniesienia pewnych słupów granicznych, któreby dzieliły szeregi lat bez ustanku płynących. Nasze lata chyżej płyną, stosunki, wśród których żyjemy, prędszym i gwałtowniejszym podlegają zmianom, a przyszłość najbliższa grubszą może jeszcze niż dawniej zakryta zasłoną — to też żywszą i powszechniejszą jest żądza XIX. stulecia, aby pokazać przy swym schyłku, to co stworzyło, a przyszłemu stuleciu wskazać drogę, po której ma kroczyć. Kościół katolicki mimo wielu ciężkich ciosów, wzrósł

jednak w ciągu XIX. wieku jako potęga moralna; pod koniec tego wieku coraz więcej ludzi zaczyna pojmować, że społeczeństwo ludzkie tylko przez Kościół może być uleczone i odnowione. Aby Bogu złożyć dzięki za tę opatrznościową opiekę, a wyjednać miłosierdzie dla „znękanej ludzkości“ — jak się wyraził papież w brewe do kard. Svampa — postanowiono zakończyć bieżący wiek uroczystym hołdem wiary i miłości dla Zbawcy rodu ludzkiego, w którym to hołdzie łączyć się mają wszyscy wierni synowie Kościoła po całym świecie. Z początku podniesiono myśl uczczenia dwudziestowiekowej rocznicy Wcielenia Syna Bożego, ale w Rzymie tę myśl odrzucono, ponieważ cały rok kościelny poświęcony jest pamięci Wcielenia i Odkupienia, a codzień na ołtarzu tę tajemnicę odnawiamy [1]. Uroczystości, które Kościół katolicki gotuje, nie będą jubileuszem światowym, jakich teraz bez liku obchodzimy; ma to być Boża manifestacya, dowodząca w obliczu świata całego, że miłość i uwielbienie dla Boga-człowieka nie wygasło, ale płonie ciągle w sercach milionów i że w niem jedynie tkwi tajemna owa siła kojarząca, zdolna zespolić świat cały i obdarzyć go powszechnym spokojem i szczęściem.

Na czele komitetu międzynarodowego, zajmującego się przygotowaniami do tego katolickiego obchodu wiekowego stoi kard. Jacobini, prezydentem jego jest hr. dr. Acquaderni. Główne siedziby komitetu są w Rzymie (Piazza ss. Apostoli n. 49) i w Bolonii (Via Mazzini n. 94). Z każdej narodowości wybrano jednego wiceprezydenta; jest nim dla Polski generał Zmartwychwstańców, O. Smolikowski. O roztropności i gorliwości komitetu świadczy już ta okoliczność, że wydaje osobny miesięcznik tej sprawie poświęcony: *Il solenne omaggio a Gesù Cristo redentore.* Niektóre rezolucye, które się same narzucają, jak wielka międzynarodowa pielgrzymka do Rzymu, są już powzięte; w całości jednak program nie jest jeszcze opracowany, a komitet wszystkich światłych katolików uprasza o wsparcie radą i czynem. Aby ta manifestacya społeczna Kościoła katolickiego się udała,

[1] *Osservatore Romano* 15 lutego 1897.

potrzeba już teraz przygotować pod nią grunt we wszystkich krajach, przyczyniając się do powszechnego rozbudzenia i uświadomienia życia religijnego. Usilna praca na polu naukowem i socyalnem, najskuteczniej zapewnić mogą świetne katolickie zakończenie XIX. i rozpoczęcie XX. wieku.

Ks. Wł. Ledóchowski.

Listy ze wsi.

I.

Temu lub owemu zdaje się, że zna lud, jeśli mieszkał czas dłuższy na wsi, chodził na polowanie z przewieszoną na ramieniu fuzyjką, wie, ile zagon daje przeciętnie jęczmienia lub ziemniaków, a może przypatrzył się zblizka doniosłej funkcyi dojenia, dokonywanej przez nimfę wiejską, lub umorusanym dzieciakom, wracającym z sytem bydełkiem z pastwiska.

Chłop w oczach tych ludzi, to tylko maszyna do siejby, orki i żniwa, chowu bydła, najemnej pracy w czasie robót polnych, chciwy, podejrzliwy i łakomy, któremu tak dobrze się dzieje, że od czasu do czasu urządza sobie, jak panowie, dalekie podróże np. do Stanów Zjednoczonych i Brazylii, skąd atoli wraca jeszcze bardziej hardym i zasobniejszym, wskutek czego za robociznę każe sobie płacić bajońskie sumy. Że ten chłop ma duszę, że czuje i cierpi, kocha i nienawidzi, że odczuwa doznaną krzywdę, a wdzięczny jest za dobre słowo, to niejednemu nie przychodzi nawet na myśl. I dlatego chłopem tak często się pomiata.

Trafiają się sędziowie, co się śmieją z chłopskiego „honoru“, kiedy o nim sądzić wypadnie, to znowu w ciemnych i brudnych przedsionkach każą chłopu wyczekiwać całymi dniami; gdy się czem zniecierpliwią, wymyślają mu ostatniemi słowy, odraczają termina bez powodu, z wyrokiem zwlekają rok lub półtora po ukończeniu sprawy. Spieszno im... na wiścika lub do handelku. Woźny sądowy, zawodowy łapownik, pijak i pisarz pokątny, udaje we wsi ważną osobę sądową, tysiącznych dopuszcza się nadużyć, zatraca lub zgoła wykrada za dobrą zapłatą akta sądowe. Adwokat i notaryusz przyjmują chłopa przy drzwiach, nie proszą go, aby usiadł, nie podadzą mu ręki, choć każdemu faktorowi i żydowskiemu kupcowi podają ją chę-

tnie, przytem nieraz obedrą chłopa ze skóry, a na niedbałość sądów, łapownictwo woźnych, patrzą przez palce: gdyby nie patrzyli, ucierpiałby ich własny interes. Wstawi tam który chłop we wsi sąsiadowi szybkę, wyhebluje zydel lub ławę, zaraz inspektor podatkowy weźmie go na „arkusz“ jako szklarza lub stolarza. Biedaczysko miał 30 złr. na rok z tego ubocznego zarobku, a tu... każą mu płacić 13 złr. podatku. Trafi się i obywatel, który wobec nizkich cen zboża, zaprowadza oszczędności w robociźnie i tak już nizkiej, chcąc na biednym wieśniaku powetować szkody, poniesione wskutek oszukańczych machinacyj kupców zbożowych.

Najgorszą jednak plagą na wsi są żydzi. O tem nieszczęściu krajów polskich, jakie stanowi gromadne osiedlenie się tego żywiołu, tak zasadniczo w etycznych swych poglądach różnego od reszty mieszkańców, niema i co mówić, wszyscy o nim wiemy dokładnie, a od czasu istnienia w tej mierze naukowych prac, możemy to udowodnić łatwo każdemu, ktoby chciał jeszcze przeczyć, w myśl płytkich i apriorystycznych haseł liberalnych. A i ten żyd, wietrzący tylko za interesem na chłopskiej skórze, pomiata i gardzi głupim Walkiem lub Bartkiem i ma go za istotę o wiele pośledniejszą od siebie.

Jeszcze, jeżeli ten chłop ma dostatek w domu, a przytem „uczony“, to jest czytać i pisać umie, lub w rodzinie ma księdza, to lepiej go ludzie uważają, przynajmniej forma postępowania z nim jest grzeczniejszą, ale jeżeli chudzina siedzi ledwie na paru morgach, a spłaty dla sióstr lub młodszych braci nie dają mu spokoju, to już niema oparcia nigdzie. Cóż dopiero mówić o takim bezdomnym chałupniku, który jeno z pracy rąk żyje, a nawet ludzie we wsi go lekceważą. Bo chłop polski ma poglądy arystokratyczne. Choć ku górze jest oczywiście demokratą, to we wsi na każdym kroku akcentuje on wyraźnie różnicę stanów, co gorsza zaś ma wielkie poszanowanie dla złotego cielca, objawiającego się tu w posiadaniu ziemi.

Wyznać trzeba ze smutkiem, że stosunki na wsi zmieniły się istotnie na gorsze. Wprawdzie oświata, dobrobyt i skala potrzeb wzrosły, więc zdawałoby się według utartej formułki zawodowych uszczęśliwiaczy, że jest lepiej — tymczasem jest wprost przeciwnie.

Wdowa, którą mąż ograniczył do wymowy, rodzice, którzy za życia dzieciom cały grunt przekazali, jak król Lear u córek, nie mają już u własnych dzieci poszanowania. Syn wypędza ich do córki, córka podaje synom, a grubiańskim wyrazom, groźbom i bitkom niema końca. Te same dzieci czekałyby cierpliwie i miałyby w największem

poszanowaniu ojca i matkę, gdyby byli grunt zatrzymali i rozrządzili nim tylko na wypadek śmierci. Podstępów, zawiści, intryg wiejskich, stosunków pozamałżeńskich moc; bardzo często mężatki mają kochanków, dziewczęta miewają dzieci, a choć to daje powód do komeraży i przezwiska „zawitka", jednak nie zagradza im drogi do małżeństwa. Na pastwiskach, gdzie dzieci bez żadnego nadzoru prawie cały dzień są razem, dzieją się najgorsze rzeczy. Wójtowie, zwłaszcza „błagonadieżni", to jest pomagający przy wyborach sferom rządzącym, czerpią nieraz bezkarnie z funduszów gminnych, krewniakom i przyjaciołom pożyczają z kasy pożyczkowej gminnej, nie troszcząc się o bezpieczeństwo i termin oddania pożyczki, samowolnie sekwestrują i uciskają chłopów, przywłaszczając sobie nawet sądownictwo w sprawach cywilnych i karnych.

A wśród tego chaosu zepsucia przeniesionego z wielkich miast, ognisk „postępu i cywilizacyi", dolatuje duszy chłopskiej, do niedawna potulnej i biernej, sławiańskiej i chrześcijańskiej, głucha wiadomość, że po tych miastach istnieją ludzie, którzy o nich myślą, którzy chcą ich podźwignąć z wiekowej niedoli i poniżenia, że tak dalej być nie może, że zepsucie na wsi płynie od dworu i księdza, że oświata wszystko naprawi, że chłopu należą się równe prawa polityczne co i panu, a gdy je wywalczy, lub gdy je wywalczą dla niego — wówczas będzie mu równie dobrze, jak dziś dziedzicom i „inteligentom" po miastach, będzie raj na ziemi — a zepsucia nie będzie, choćby kościoły były mniej pełne, a konfesyonały mniej oblężone!

Fałsz i prawdę nierozerwalnie ze sobą splecione, biednemu kmiotkowi przynosi jeden powiew wiatru!

I coraz mniej siermiężnej braci ściele się z pokorą u stóp Zbawiciela, oczekując od Niego pociechy i pokrzepienia, coraz mniej ich ofiaruje mu swe bole i utrapienia życiowe, coraz mniej wraca po modlitwie gorącej lub odbytej w skrusze spowiedzi z nową siłą i wiarą do codziennych zajęć. Jeżeli idą do kościoła, to często na to, aby zobaczyć wychodzące po sumie dziewczęta i kobiety, a gdy uklękną na chwilę podczas Podniesienia i Komunii, to czynią to bezmyślnie. Wszakże religia jest rzeczą prywatną, głoszą socyaliści w mieście. A księża chyba nie mogą być naszymi przyjaciółmi, tak rozumują drudzy, skoro za ich sprawą jedynego, co się za nami ujmował, niesłusznie wyklęto. Gęsta chmura zwątpienia osiadła na duszy chłopskiej i zasłania mu widok krzyża, widok prawdy przedwiecznej; ten krzyż dla niego staje się odtąd formą, symbolem, legendą, a być

przestaje źródłem żywej wiary i nauką codziennego życia. Chłop polski ma się jeszcze za katolika i obraziłby się, gdyby mu tego miana odmówiono, ale jego katolicyzm staje się mdły, zatruty wyziewami z broszurek i wieców, pełny kazuistycznych wątpliwości, poddawanych mu przez małoletnich żydków na zgromadzeniach socyalistycznych, a skwapliwie chwytanych przez pierwotne umysły słuchaczy.

W takiej chwili, z nikczemnym przygotowanej sprytem, przychodzą do chłopa partye radykalne i zgarniają żniwo obfite. Uświadamiają jego niechęć do pana i księdza, niechęć idącą w parze z każdem uczuciem niższości, czy pod względem władzy, czy oświaty, czy też majątku, wskazując sfery tak zwane wyższe, jako jedynych sprawców nędzy włościańskiej, a siebie przedstawiając jako gorących, a co więcej, jedynych obrońców chłopa. Popełniają przytem tę małą nieostrożność, że sięgają sami po mandaty, zamiast pozostawić je chłopom i używać ich tylko jako narzędzi. Z tem wszystkiem jednak zręcznie grają na duszy chłopskiej, budząc w niej zawiść i butę, te dwa uczucia najbardziej wrogie prawdziwej wierze katolickiej.

Wszelki radykalizm jest w gruncie płytki i sprzeczny z historyą, ale umysły półoświecone innego postępu, innej reformy nie rozumieją. Jaskrawe kolory są dla nich najponętniejsze. Radykalizm nie dotrzyma hojnie rozrzucanych obietnic, bo ich dotrzymać nie zdoła. A kiedy w końcu praktyka życia i dziejów, głębsze zbadanie istoty ludzkiej i jej potrzeb, obalą dowolne teorye radykalizmu, to zapewne i najszersze warstwy przejrzą i od niego się odwrócą. Ale na dziś i jutro może on mieć powodzenie, bo do nizkich instynktów się zwraca i tak szczodrze, jak nikt inny, szafuje obietnicami na wszystkie strony.

Więc trzeba bronić tej twierdzy polskości i chrześcijaństwa, jaka jest w milionach naszych włościan, dla ich własnego ratunku, dla ratunku ich dusz i dla spokojnego, pomyślnego rozwoju naszego biednego społeczeństwa. Nie jest zapóźno i niema konieczności, żeby radykalizm jakichkolwiek odcieni i stopnia zwyciężył. Rozwiązanie kwestyi chłopskiej, jak wogóle całej kwestyi społecznej, leży nie w mniejszej lub większej oświacie ludu, ale przedewszystkiem w zmianie dusz i poglądów naszych, w stosowaniu w życiu tych wiecznych zasad, których świętość i prawdziwość poręcza nam wiara.

Ta zmiana cudowna dusz, największa rewolucya przyszłości, podobna do tej, jaka odbywała się w pierwszych wiekach Chrześcijaństwa, nastąpi niechybnie, bo Chrystus za dusze ludzkie umarł; ta zmiana nastąpi mimo pozornych tryumfów ducha negacyi, mimo po-

wszechnego rozkładu społecznego i widocznego butwienia tych filarów, na których nowocześni ludzie obronę społeczeństw — ale i własnych samolubnych celów — w bezdusznem zaślepieniu oparli. Pragnąc atoli zasłużyć na cud ten nowy, który ma już poprzedników w dziejach świata, każdy z nas, czujący się żołnierzem chrześcijańskim, robić winien, co w jego mocy, robić już dzisiaj, aby siebie i drugich przerobić i podnieść. Więc obrachunek sumienia własnego, serce dla ludu, ocenienie każdego żądania ludowego, nie według marnego głosu własnej korzyści, ale według idei sprawiedliwości — oto, w czem się zamyka cały nasz program dla klas oświeceńszych. Podniesienie moralne chłopa, a w naturalnem jego następstwie podniesienie jego oświaty i dobrobytu, oto wspólne zadanie społeczeństwa, ciał parlamentarnych i rządu.

Chcąc w przyspieszonym tempie dokonać tego, co lat dziesiątki zaniedbały, rzucić trzeba bańki mydlane frazesów, wystąpić z zaklętego koła nigdy niedotrzymanych i wskutek tego jątrzących obietnic, z obłoku praw układanych przy zielonym stoliku, sąsiedzkich, stanowych lub materyalnych względów, na szeroką, przestronną płaszczyznę realnego życia, trzeba wynaleść środki obronne, nie gardząc pomocą tych zacnych i gorąco czujących włościan, których jest jeszcze na szczęście dosyć i wyruszyć wspólnemi siłami na zdobycie wsi.

Demofil.

Z dziedziny ekonomiczno-socyalnej.

Ruch dzisiejszy na polu ekonomiczno-socyalnem. — Najnowsze cyfry zagranicznego handlu światowego. — Zamorskie wychodźtwo europejskie, zwłaszcza austryackie. — Stosunki w piekarniach Austryi i Niemiec.

Wielki ruch umysłowy, rozbudzony w drugiej połowie bieżącego wieku pod hasłem reformy stosunków ekonomiczno-socyalnych, stale się ożywia i wzrasta, wciągając w akcyę coraz nowe czynniki i coraz szersze obejmując pola. W dziejach ruchów umysłowych trudno wynaleść podobne ożywienie i równie szeroką pracę, prowadzoną tak intenzywnie w jednym kierunku. Wielkie, kilkotomowe podręczniki ekonomii politycznej, encyklopedye nauk społecznych i prawnych i inne wydawnictwa pokrewne pojawiają się ustawicznie w takiej obfitości i liczbie wydań, że porównać je chyba można z długim szeregiem filozoficzno-teologicznych Sum *in folio*, jakie wydał kwitnący okres

scholastyczny. Olbrzymie prace statystyczne obejmują coraz szersze obszary życia społecznego, coraz nowe dziedziny pracy ludzkiej, ponurą krainę głodu i nędzy, przynosząc bardzo doniosłe rezultaty z dniem prawie każdym. Badania historyczne, skierowane siłą panujących prądów na pomijany dotąd grunt ekonomiczno-społeczny ubiegłych wieków, dały nam już szereg prac pierwszorzędnej doniosłości, przedstawiających w nowem zupełnie świetle te czasy i urządzenia, zwłaszcza średniowieczne, o których się dawniej mówiło z lekceważeniem lub pogardą, a z których mądrą organizacyą społeczną coraz się śmielej dzisiejszą nić nawiązuje. Nie mniej i filozofia społeczna zwróciła się ku ekonomicznym zagadnieniom i znalazła w nich podnietę do rozszerzenia swego zakresu i uwzględnienia tych stron życia, tej sfery obowiązków i praw, które dawniejszym umysłom albo się wcale nie nasuwały, albo z mniejszą niż dzisiaj koniecznością. W tę samą stronę zwrócić się też musiała i praca ustawodawcza, dla której z natury nowożytnych stosunków gospodarczych nowe i doniosłe wyłoniły się zadania: ochrony słabszych a powściągania silniejszych, wyzyskujących raz po raz do niemoralnych i społeczeństwu szkodliwych celów swą ekonomiczną przewagę. I Kościół katolicki nie został na uboczu. Ruch reformy socyalnej uznał ze swego punktu widzenia, jako zasadniczo usprawiedliwiony, owszem wprost konieczny: jasno też określił swoje względem niego stanowisko. Hasło rzucone z Rzymu wywołało wśród katolików doniosłą już dzisiaj akcyę społeczną i polityczną — potrzeba zaś uzasadnienia jej ze źródeł nauki kościelnej i zakreślenia jej granic spowodowała ożywienie nauk kościelnych zwłaszcza na polu teologiczno-moralnem.

Wszystkie te rodzaje i kierunki pracy społecznej, obok ścisłych publikacyj naukowych, rozporządzają całym szeregiem peryodycznych wydawnictw, w których składają rezultaty teoretycznych badań i praktycznych doświadczeń, odgłosy najświeższych wydarzeń i prądów, propagując je wszystkie wśród najszerszych kół czytającej publiczności. Nadto powstają rozliczne organizacye i instytucye wszystkich barw i odcieni: tworzą się biura wspólnej pracy, naukowe stowarzyszenia, socyalno-polityczne i socyalno-religijne związki, kongresy i wiece, odczyty i kursa popularne — szerokim, nieprzerwanym, różnobarwnym potokiem toczy się wymiana myśli, dyskusya, akcya społeczna, walka o zasady i hasła.

W całym tym olbrzymim ruchu, który zanim wytworzy jednolitą harmonię społeczną, kształtować wprzód musi, stopniowo dostrajać

i równoważyć tak liczne a różnorodne swe składniki, nie może się obejść bez pewnych zboczeń, jednostronności i tarcia. To jednak pewna, że w głównych swoich pobudkach i w wielkich swych liniach ruch ten jest dobry, piękny i wzniosły, dąży bowiem do tak szlachetnie ludzkiego, tak na wskróś chrześcijańskiego celu, jakim jest polepszenie doli biednych a opuszczonych współludzi i współbraci. Podjęcie tak wzniosłego zadania jest jasną gwiazdą na chmurnem niebie skołatanego tylu burzami końca wieku i będzie mu kiedyś poczytanem za zasługę.

A jednak odgłosy tego ruchu i echa tych prac rzadko tylko i skąpo do nas dochodzą — przynajmniej do szerokich kół publiczności. Poza zamkniętem kołem ludzi nauki, sprawom tym z zawodu i powołania oddanych, wszyscy mniej więcej jesteśmy prawie odcięci od najżywotniejszych ogólno światowych prądów, z tem większą dla sprawy publicznej szkodą, że kwestyę socyalną w ścisłem i dzisiejszem tego słowa znaczeniu mamy i u siebie, mimo wszelkich zaprzeczeń. Nie jest ona sztucznie zrobioną, ani wyłącznie importowaną z Zachodu, ale wyrosła z naszego gruntu sama przez się, prostą koniecznością rzeczy. Agitacya przyspieszyła jej wybuch, ale jej nie stworzyła. Z powodu odmiennych warunków ekonomicznych przybiera ona u nas odmienny nieco charakter, niż na Zachodzie — treść jej jednak i istota jest wszędzie ta sama: systematyczna ruina i wyzysk klas ekonomicznie słabszych, wynikające z naczelnych zasad liberalnej gospodarki kapitalistycznej.

Wobec tego położenia rzeczy, ze względu zwłaszcza na szerokie rozmiary tej kwestyi, jakoteż jej zasadnicze znaczenie, uważamy za obowiązek tego rodzaju pisma, jak nasze, obok rozwijania podstawniczych w tym przedmiocie zasad katolickich i etycznych, śledzić także przebieg akcyi społecznej i rezultaty prac naukowych, jakie się na tem polu dokonują. Starać się będziemy wedle sił i możności podawać na tem miejscu od czasu do czasu luźne przynajmniej wiadomości z tej dziedziny w formie i tonie popularnym.

Dziś powiedzmy słów parę o niektórych nowszych badaniach.

* * *

Lujo Brentano zwrócił kiedyś uwagę, że bardzo doniosłym czynnikiem, stojącym na przeszkodzie rozwiązaniu dzisiejszej kwestyi socyalnej, a nie dosyć uwzględnianym przez dawniejszych zwłaszcza pi-

sarzy, jest wielki handel światowy i zależność, w jakiej od niego zostają gospodarstwa poszczególnych państw i krajów [1].

Z biegiem lat doniosły ten czynnik potężnieje coraz bardziej. Zagraniczny handel wywozowy i przywozowy sprzęga coraz liczniejsze kraje świata coraz liczniejszymi i silniejszymi węzłami, wciągając w swą olbrzymią i powikłaną sieć najodleglejsze nawet zakątki ziemi. Wartość międzynarodowego obrotu handlowego za dawniejsze lata obliczał już Neumann-Spallart; próbę nowych obliczeń za okres lat 1885—1894 podaje świeżo dr. F. Juraschek w peryodycznem piśmie statystycznem Mayr'a, *Allgemeines statistisches Archiv* [2]. Z obu tych obliczeń pokazuje się, że handel światowy w okresie 35-letniem, 1860—1894, przeszedł trzy wielkie peryody podwyższania się i opadania. Lata 1873, 1883 i 1891 są kulminacyjnymi punktami wznoszenia się tej fali; lata 1875, 1886 i 1894 stanowią granice najgłębszego jej opadu. W obrębie tych peryodów faluje wartość handlu międzynarodowego w ten sposób, że po każdorazowem opadnięciu wznosi się do wysokości znacznie większej niż poprzednie, skutkiem czego ostatnia cyfra tej wartości z r. 1894 porównana z cyfrą 1860 roku wykazuje kolosalny przyrost 39 miliardów marek.

Dla lepszego unaocznienia tego rozwoju przepisujemy tu zestawienie lat najbardziej charakterystycznych:

Wartość handlu światowego

w roku	1860	wynosiła	29.0	miliardów marek
„	1873	„	57.8	„ „
„	1875	„	54.8	„ „
„	1883	„	67.9	„ „
„	1886	„	59.6	„ „
„	1891	„	73.1	„ „
„	1894	„	68.3	„ „

Te przygniatające swym ogromem cyfry większego jeszcze nabierają znaczenia, gdy się zważy, że od r. 1873 ceny towarów znacznie opadły, a od lat kilkunastu handel światowy uległ niemałym ograniczeniom skutkiem utrudnień cłowych.

Z zbiorowej wartości całego handlu światowego przypada na każdą z osobna część świata następująca ilość w procentach:

---

[1] L. Brentano, *Über die Ursachen der heutigen socialen Noth.* Leipzig, 1889, str. 22.

[2] IV. Jahrgang, II. Halbband, str. 687—716.

	w r. 1891	w r. 1892	w r. 1893
na Europę	65.4	64.4	64.8
na Amerykę	18.1	19.4	18.8
na Azyę	9.7	9.7	10.1
na Australię	3.9	3.5	3.3
na Afrykę	2.9	3.0	3.0
	100.0	100.0	100.0

Charakterystyczną cechą handlu europejskiego jest stała i znaczna przewaga przywozu nad wywozem, wynosząca w ostatnich latach 6.5—6.8 miliardów marek. W roku np. 1894 wartość przywozu wynosiła 25.8 miliardów marek, wywozu 19.0 miliardów marek. W innych częściach świata spotykamy zazwyczaj wprost przeciwne zjawisko.

Z poszczególnych państw największy handel posiada ciągle jeszcze Anglia. Większym on jest, niż handel Niemiec i Francyi razem wziętych; przewyższa nieco handel całej Ameryki i stanowi prawie $^1/_5$ całego handlu światowego. O wiele jednak raźniej, niż w Anglii, wzrasta handel w innych państwach, zwłaszcza w Niemczech i w Holandyi, dość też znacznie w Austryi, Rosyi, Indyach angielskich, Japonii i Chinach. Skutkiem tego relatywny udział Anglii w handlu światowym od szeregu już lat stale się obniża. To samo zjawisko w większym jeszcze stopniu spotykamy we Francyi, w australskich koloniach, w Szwajcaryi, Hiszpanii, Belgii i Włoszech, chwilowo także w Stanach Północnej Ameryki.

Cztery największe państwa przemysłowe świata: Anglia, Niemcy, Stany Zjednoczone i Francya reprezentują razem prawie połowę całego handlu światowego.

Wartość zagranicznego handlu Europy, która w r. 1894 przedstawia sumę 44.8 miliardów marek, tak się rozkłada w tymże roku na główniejsze państwa europejskie:

Anglia	12.7	miliardów marek
Niemcy.	6.9	„ „
Francya	5.6	„ „
Holandya	4.3	„ „
Austro-Węgry	2.5	„ „
Rosya [1]	2.4	„ „

[1] Wartość handlu rosyjskiego w rzeczywistości jest nieco większą autor bowiem nie był w stanie uwzględnić handlu Rosyi prowadzonego przez azyatycką granicę.

Belgia	2.3	miliardów marek
Włochy	1.7	„ „
Szwajcarya	1.1	„ „

* * *

Z kwestyą socyalną ściśle się wiąże emigracya, zwłaszcza tłumna, masowa, rekrutująca się z szeregów proletaryatu, nieznajdującego w ojczyźnie utrzymania. Że taką jest w przeważnej swej części dzisiejsza emigracya jużto ogólno-europejska, jużto w szczególności austryacka, skonstatowano już nieraz. Niedawno temu w miesięczniku, wydawanym przez c. k. centralną komisyę statystyczną w Wiedniu, umieścił H. Mayr ciekawą pracę o zamorskiej emigracyi austryackiej w latach 1892—1895 [1]. Autor oparł się na najlepszych źródłach, jakie mieć można w tej mierze, tj. na sprawozdaniach konsulatów austryackich, obejmujących austryacki ruch emigracyjny we wszystkich portach europejskich; nadto na urzędowych publikacyach tych krajów zamorskich, do których austryacka emigracya zdąża. Chociaż głównie go zajmuje emigracya austryacka od roku 1892, to obok niej uwzględnia on także ruch emigracyjny ogólno-europejski, a dla pełności obrazu cofa się nieco i w lata dawniejsze.

Z cyfr, które zebrał i zestawił, wynika, że europejski ruch emigracyjny doszedł do największego natężenia w r. 1891; potem opadał stopniowo aż po rok 1894, aby od r. 1895 znowu się ożywić i podnieść do bardzo nawet znacznej wysokości. — I tak:

W roku	1891	wyemigrowało	z całej Europy	869.646
„	1892	„	„ „	736.099
„	1893	„	„ „	698.597
„	1894	„	„ „	440.377
„	1895	„	„ „	625.917

Ruch ten na poszczególne państwa europejskie rozkłada się w następujący sposób:

	w r. 1891	w r. 1894	w r. 1895
Wyemigrowało z Anglii	218.507	156.030	185.181
„ z Włoch.	189.746	144.566	187.908
„ z Niemiec	120.089	40.964	39.775
„ z Rosyi	109.515	17.792	36.725
„ z Austro-Węgier. . . .	78.524	25.566	66.101

[1] *Statistische Monatschrift*, Neue Folge, II Jahrgang, Heft VIII—IX, str. 580—601: *Die überseeische österreichische Wanderung.*

Wyemigrowało z Szwecyi i Norwegii . .	51.659	15.320	19.915
„ z Hiszpanii	37.721	34.102	36.220
„ z Portugalii	33.234	26.656	44.746
„ z Danii	10.382	4.105	3.607
„ z Szwajcaryi.	6.521	2.863	3.107
„ z Francyi	6.217	5.586 (w r. 1893)	?
„ z Belgii	3.456	1.267	1.318

Tylko więc w Niemczech i Danii opadł bardzo znacznie ruch emigracyjny w r. 1895. Uderzającym jest nadzwyczaj drobny stosunkowo udział Francyi w tym ruchu. Na uwagę też zasługuje wielki przyrost emigracyi włoskiej, austryackiej i portugalskiej. Od wielu lat W. Brytania wśród emigracyi europejskiej stale zajmowała pierwsze miejsce, Austrya piąte, nieco zaś później czwarte, Portugalia aż ósme. Natomiast w r. 1895 pierwsze miejsce zajęły Włochy, W. Brytania drugie, Austrya trzecie, Portugalia czwarte.

Z przedlitawskiej części monarchii austryackiej wychodzi znacznie większa ilość emigrantów, niż z krajów korony węgierskiej.

	z całej monarchii	z Przedlitawii
W roku 1891 wyemigrowało	78.524	47.000
„ 1892 „	74.947	39.700
„ 1893 „	65.544	37.000
„ 1894 „	25.566	14.300
„ 1895 „	66.101	38.100

Kto emigruje z Austryi? Przeważnie ludzie w sile wieku, należący do najbiedniejszej kategoryi klas pracujących. W pięcioleciu, którem się tu zajmujemy, przypada wedle wieku na rok 12—13% ludzi starszych ponad 40 lat; 18—24% dzieci niżej 15 lat; wreszcie 64—69% dorosłych od 15—40 lat. Kobiety i dziewczęta stanowią przeciętnie 37% w austryackiej emigracyi.

Wedle zawodów najmniej emigruje osób, należących do t. zw. zawodów liberalnych, jako to: nauczycieli, artystów, literatów, księży, lekarzy i t. d. — bywało ich zaledwie 0.3—0.5%. Nieco większy, choć także bardzo nieznaczny mają udział w emigracyi zawodowi gospodarze rolni i leśni (4—6%), przemysłowcy i rękodzielnicy (6—10%), jakoteż osoby zajęte w handlu i komunikacyi (3—6%). Za to robotników, najemników, służących i ludzi innych zawodów pokrewnych wychodzi z Austryi za morze 48—68% na rok. Procent ten stale wzrasta. A jest on prawdopodobnie jeszcze za nizki, w statystycznych bowiem wykazach austryackiej emigracyi zamorskiej spotyka się co roku 17—35% emigrantów, t. zw. „zawodów nieznanych“: przypuścić można

na pewno, że rubryka ta obejmuje wiele osób, należących do szeregów austryackiego proletaryatu.

Fala austryackiej emigracyi płynie prawie wyłącznie ku brzegom Ameryki. Drobne jej odnogi dochodzą do Argentyny (250—680 osób rocznie) lub Uruguayu (65—320 osób rocznie); dość silny prąd toczy się ku Brazylii (570—10.500 rocznie)[1]; całe zaś masy rozlewają się po szerokich przestrzeniach Stanów Zjednoczonych. Kiedy zbiorowa emigracya austryacka w pięcioleciu 1891—1895 wynosiła, wedle dat europejskich 25.500—78.500 głów na rok, to część jej, przypadająca na same Stany Zjednoczone, liczyła w tymże czasie wedle źródeł amerykańskich 22.900—70.700 głów na rok — i to bez Polaków[2].

Statystyka Stanów Zjednoczonych daje dość dokładne podstawy do wyrobienia sobie obrazu, jakie warstwy ludności spieszą do Ameryki Północnej. Rozróżnia ta statystyka następujące grupy zawodowe:

I. grupa obejmuje t. zw. zawody liberalne, jako to księży, adwokatów, lekarzy, nauczycieli, muzyków, artystów i t. p.

II. grupa obejmuje zawody pracy ręcznej, połączone z nauką i przygotowaniem fachowem czy to w zakresie rzemiosła, czy to produkcyi fabrycznej — a więc skończonych mechaników, górników, ślusarzy i kowali, piekarzy, fryzyerów, rzeźników, stolarzy, krawców, szewców, tkaczy, introligatorów i t. d.

III. grupa obejmuje różne inne zawody, nie wchodzące w dwie grupy poprzednie; głównie zatem robotników nieuczonych, wyrobników najniższej klasy, różne kategorye służących, pomocników handlowych, pracujących na roli i t. d.

IV. grupa obejmuje ludzi bez zajęcia.

W dwóch latach, w których emigracya do Stanów była najsilniejszą, tj. od lipca 1890 do lipca 1892, przybyło tamże:

Osób z I. grupy		Osób z II. grupy		Osób z III. grupy		Osób z IV. grupy	
Ogółem.	Z Austryi.	Ogółem.	Z Austryi.	Ogółem.	Z Austryi.	Ogółem.	Z Austryi.
3.431	191	54.951	4.966	253.302	37.874	247.596	28.003
2.674	118	50.220	4.196	261.313	41.230	307.614	34.587

[1] Cyfry te austryackiej emigracyi brazylijskiej są stanowczo za małe, jak to stwierdzają same sprawozdania konsularne. Jedna z przyczyn jest ta, że emigrujący do Brazylii poddani austryaccy podają często bałamutne szczegóły co do swej narodowości lub poddaństwa. Południowi np. Tyrolczycy, stanowiący bardzo znaczny procent brazylijskiej emigracyi, podają się zazwyczaj za Włochów.

[2] Statystyka Stanów Zjednoczonych umieszcza polskich poddanych Austryi razem z innymi Polakami pod osobną rubryką „Poland".

Między przychodniami, przybyłymi do Stanów z Austro-Węgier, w liczbie których brakuje jeszcze Polaków, naliczono wedle zajęć:

	w r. 1890/91	w r. 1891/92
Murarzy	135	129
Piekarzy	172	164
Rzeźników	244	166
Cieśli i stolarzy	412	271
Krawców	739	445
Górników	1.008	1.261
Służących	2.127	3.159
Rolników	5.394	2.649
Robotników	29.473	34.317

Najsmutniejszem jest to, że austro-węgierska emigracya nie należy w Stanach do mile widzianych. Uchodzą tam emigranci austryaccy za żywioł niepewny, dążący głównie do tego, aby zyski zebrane w Ameryce spożytkować w ojczyźnie. Nadto w sferach przemysłowych i robotniczych panuje zdanie, że austryaccy przybysze, jako biedni i niewykształceni, mają zbyt nizkie potrzeby i wymagania, i skutkiem tego silnie wpływają na obniżenie płacy, szkodząc przez to interesom robotników amerykańskich. Stąd dążność do ograniczenia emigracyi austryackiej równie jak i włoskiej do Stanów.

Niewesołe to widoki dla austryackiego proletaryatu.

* * *

Od szeregu lat mówi się ciągle, że położenie robotnika znacznie się polepszyło, że otrzymuje on zapłatę wogóle wyższą, niż dawniej, i że pracuje w znacznie lepszych warunkach, dzięki głównie prawodawstwu przemysłowemu, które coraz troskliwiej bierze w obronę ludzkie jego prawa.

Pamiętać jednak należy, że praca ustawodawcza, podjęta w interesie warstw pracujących jest dopiero w zawiązkach; nadto że przepisy nowoczesnych ustaw przemysłowych odnoszą się w wielu wypadkach do wielkich przedsiębiorstw, a nie obejmują niezliczonego szeregu drobnych pracowni i warsztatów; wreszcie, co najważniejsza, że wielka część ustaw przemysłowych istnieje tylko na papierze, praktyka zaś codzienna drwi sobie z nich w najlepsze i dzieło wyzysku prowadzi po dawnemu.

Weźmy np. przemysł piekarski w Niemczech i Austryi, tak jak się on przedstawia w rzeczywistości. Sprawozdania inspektorów przemysłowych pełne są wiecznych, wiecznie bezskutecznych skarg i wy-

rzekań na stosunki hygieniczne, panujące w przeważnej liczbie piekarń, i konstatują systematyczne obchodzenie i lekceważenie istniejących przepisów. W pewnej liczbie przedsiębiorstw piekarskich, prowadzonych na większą skalę, zdarzają się tu i ówdzie lepsze nieco warunki, w całej jednak masie drobnych i obskurnych pracowni dzieją się ciągle jeszcze rzeczy niesłychane. Wybuchające raz po raz strejki zwracają uwagę zdumionej publiczności na te nieludzkie i dzikie stosunki, a prace fachowe, poświęcone w szczególności przemysłowi piekarskiemu, odsłaniają nam obrazy, na których widok rumienić się trzeba i wstydzić za nasz wiek i naszą cywilizacyę.

Autor, ukrywający się pod inicyałami F. v. W. — dobrze jednak znany w Wiedniu i Insbrucku — badał niedawno temu dość szczegółowo stosunki, panujące w piekarniach, niemieckich i austryackich. Uwzględnił on nietylko pracę Bebla o położeniu robotników piekarskich, ale też sprawozdania roczne inspektorów przemysłowych, protokoły dwóch pierwszych wieców austryacko-węgierskich piekarzy i kongresu robotników austryackich, zajętych w produkcyi środków spożywczych, zestawienia statystyczne o stosunkach pracy i płacy w przemyśle piekarskim Wiednia i innych miast, wyzyskał fachowe prace znanego ekonomisty Oldenberga i Tilla, przestudyował gazety piekarskie, wychodzące w Austryi i Niemczech, nadto zebrał szereg pisemnych i ustnych informacyj od piekarzy i ich pomocników, sam wreszcie obchodził piekarnie i wielu rzeczom przypatrzył się na własne oczy. Najgłówniejsze wyniki tych badań ogłosił w zeszłorocznych zeszytach nowego wiedeńskiego kwartalnika: *Das Leben* [1].

Pomijając bardzo drastyczne szczegóły, odnoszące się do sposobu wyrabiania pieczywa — szczegóły zdolne ludziom o wrażliwych nerwach odebrać na długo apetyt do naszego powszedniego chleba — dotkniemy za autorem tylko tych rzeczy, które malują położenie samych robotników piekarskich.

Czas pracy wynosi w piekarniach 14—16 godzin dziennie; praca uczniów i małych chłopców trwa godzinę lub dwie dłużej, nie licząc w to zajęć przygotowawczych, które znowu godzinę lub dwie zajmują. W dnie niedzielne i świąteczne bywa praca w wielu wypadkach dłuższą, niż w dnie powszednie. Dni całkiem wolnych od roboty ma pomocnik piekarski zwyczajnie dwa, najwięcej zaś trzy na rok. Przed

[1] *Das Leben.* Erster Jahrgang, 1 Heft, str. 84: *Backstubenbilder;* 4 Heft, str. 374: *Das Brot und die öffentliche Gewalt.*

większemi świętami, zwłaszcza przed Bożem Narodzeniem i Wielkanocą, zatrudnia się go przez dwa lub trzy dni z rzędu bez żadnej przerwy, aż do zupełnego wyczerpania sił. Niedorośli chłopcy, którymi szczególnie lubią się posługiwać drobne piekarnie, są nieraz wyzyskiwani do ostatnich granic. Za bardzo ciężką i niszczącą pracę otrzymują liche pożywienie, w największej liczbie wypadków żadnej nie dostają zapłaty, a czasami tak nędzną, że i wspominać o niej nie warto. Temi biednemi dziećmi handluje się po prostu w najniegodziwszy sposób: nieuczciwi agenci zbierają ich po wsiach i odstępują właścicielom piekarń po 5—10 złr. za sztukę.

Zapłata, jaką obok utrzymania dostają starsi robotnicy piekarscy, jest bardzo chwiejna; wysokość jej zależy od godzin pracy, od liczby obiadów i innych tego rodzaju czynników. We Wiedniu przeciętnie można oznaczyć 10 cnt. za godzinę, co ze względu na natężającą pracę, zwłaszcza nocną, odbywającą się, jak powiemy niżej, w najniezdrowszych i najuciążliwszych warunkach, wcale nie jest wysoką zapłatą, zwłaszcza w tak wielkiem mieście. Zapłatę tę otrzymuje robotnik nieraz dopiero po miesiącach. Za nadliczbowe godziny pracy, które trafiają się często, w rzadkich tylko wypadkach otrzymuje osobne wynagrodzenie. Pożywienie, jakie dostaje, jest wogóle liche, w czasie zaś pracy nocnej nie dostaje zazwyczaj żadnego pokarmu ani napoju — kupować go musi za własne pieniądze.

Pomieszczenie tych robotników jest tego rodzaju, że wedle dosadnego wyrażenia autora, zwierzętom domowym, nieco staranniej utrzymywanym, lepsze zazwyczaj przypada w udziale. Miejsca do spania tak są przepełnione łóżkami i tapczanami, że przystęp do nich jest trudny; jedno łóżko służy bardzo często dwom a nawet trzem osobom; w niektórych wypadkach stwierdzono, że 7 osób używało dwóch łóżek. Sypialnie te są z reguły nieopalane, a mieszczą się albo bezpośrednio pod dachem, albo w dziedzińcu, w jakiejś budzie z desek, obok składu węgli, czasem obok chlewów albo wychodków, najczęściej zaś w piwnicach lub w mokrych składach, niemających okien. Trafiają się też miejsca do spania pod schodami; niekiedy spotykano brudne legowiska zbite z desek, wiszące nad kuchnią; znaleziono nawet pod piecami piekarskimi przestrzenie na $1^1/_2$ m. długie, a na 1 m. wysokie, przeznaczone do spania. Nieraz służy do tego celu ławka albo inny jakiś sprzęt piekarni.

Bielizna na łóżkach jest okropna: zmieniają ją czasem raz w rok, czasem co 6 lub 9 miesięcy, nigdy zaś częściej, jak co 4 tygodnie.

Niejednokrotnie na łóżkach żadnej wogóle niema bielizny, tem bardziej poduszek: zastępuje się je worami z mąki lub plew. Wszystko tu czerni się od brudu i roi od robactwa, zwłaszcza że omdlały od ciężkiej pracy robotnik rzuca się na łóżko lub tapczan w zabrudzonem i przepoconem ubraniu. Na tych samych łóżkach spi w dzień jedna partya robotników i robotnic, w nocy druga.

Nie lepszy obraz przedstawiają same piekarnie. Z nielicznymi wyjątkami mieszczą się one prawie zawsze w lokalach podziemnych lub przynajmniej bardzo nizko położonych, które dla utrzymania wysokiej i równej temperatury starannie bywają zamykane i prawie nigdy niewietrzone. Są one przepełnione pyłem mącznym, wyziewami rozczynionego ciasta i przykrym oparem potu. Na ziemi pełno wszędzie mąki, odpadków odrzuconego ciasta, resztek jadła — wszystko to gnije w wilgoci i błocie, tem większem, że bardzo często w tej samej piekarni ubierają się robotnicy i myją, tam też miewają obiady, których ślady widome pozostają zazwyczaj na podłodze.

W takich to dusznych i ponurych przestrzeniach — powiada autor — kręcą się dniem i nocą postaci ludzi starszych i wyrostków, półnagie, wybladłe, oblane potem... i przygotowują nam chleb codzienny.

Ponieważ się ciągle pocą i brudzą, potrzebują raz po raz myć się i ocierać. Pewna liczba piekarzy ignoruje po prostu tę nieodzowną potrzebę: nie dają oni robotnikom ani naczyń z wodą, ani ręczników. W wielu piekarniach stoi wprawdzie naczynie z wodą, ale jedno dla wszystkich. Ręcznik, jeśli wogóle jest jaki, bywa także jeden dla wszystkich, nieraz na dwa lub trzy dni; gdzie zaś dają każdemu robotnikowi ręcznik osobny, tam służyć on musi na cały tydzień, mimo że po kilkorazowem użyciu ma już wygląd nie do zniesienia.

Skutkiem tak ciężkiej pracy, odbywanej w tak niehygienicznych warunkach, w takim brudzie i nieporządku, grasują bardzo często po piekarniach choroby. Przemysł piekarski jest faktycznie najbardziej rujnującym zdrowie zawodem i więcej pociąga za sobą smutnych następstw, niż praca nad trującemi substancyami, np. fabrykacya fosforowych zapałek. W piekarniach wiedeńskich w r. 1892 było zajętych ogółem 5200 robotników: z tej cyfry zachorowało w tymże roku 1374 osób, t. zn. 26·4%. Pogarsza jeszcze sprawę ta okoliczność, że chorzy, bojąc się utracić miejsce, tają nieraz, tak długo jak mogą, niebezpieczne nawet choroby. W r. 1891 znaleziono w piekarniach wiedeńskich — jak to stwierdza statystyka urzędowa — cały szereg ro-

botników, odbywających jeszcze pracę, a już poważnie chorych. Było między nimi 18 chorych na suchoty, 8 na świerzb, 50 na różne uszkodzenia i pokaleczenia, 92 na choroby weneryczne, 58 na mokre liszaje i t. d.

Ciężka a długa praca odbywana w nieznośnem gorącu, a po niej nagłe oziębienie w nieogrzewanych i mokrych sypialniach, wywołuje wśród robotników cały szereg chorób piersiowych, gardlanych lub reumatycznych. Konieczność pracowania mokremi rękami raz w zimnych raz w gorących lokalach działa szkodliwie na skórę, wywołuje zapalenia i jątrzące się rany, których stan pogarsza jeszcze nieczysta woda do mycia, pełna brudów i gryzących kwasów. Skutkiem używania wspólnych łóżek przenoszą się łatwo zakaźne choroby, niezdrowy zaś i przygniatający tryb życia wywołuje skłonność do picia i rozpusty, która już w młodym wieku rujnuje całe masy robotników piekarskich.

Prawdziwość podanych przez siebie szczegółów gotów jest dr. F. v. W. każdej chwili stwierdzić dowodami.

Ks. Wł. Piątkiewicz.

Druk ukończono 30 grudnia 1897 r.

Leon XIII. a dzisiejszy ruch umysłowy[1].

Pokolenie nasze słuchało dwóch wielkich papieży: Piusa IX. i Leona XIII. Choć słowa Piusa jak i Leona pouczały, rozświecały; chociaż ten, jak i tamten dotykali niem najżywotniejszych kwestyj, — to jednak charakter, przewodnie znamię u obu, są bardzo odmienne. Różnica nie płynęła tyle z osób, ile raczej tkwiła głębiej, bo w różnicy położenia Kościoła a raczej stosunku społeczeństwa względem niego i umysłów. Za Piusa IX. wre walka przeciw opoce Piotra na całej linii. Za Leona XIII. luboć bój nie ustaje, to jednak zapalczywość walczących poczyna opadać. Skruszywszy swe zęby o twardą opokę, liczą się z jej siłą, a nadto i sami raczej myśleć muszą o własnym ratunku. Pociski wymierzane na Kościół odpadały, raniąc samych nieprzyjaciół; musieli więc więcej myśleć o leczeniu własnych ran, aniżeli o wojowaniu na zewnątrz. — Pius IX., to wódz stojący w samym ogniu walki; a słowo w atmosferze bitwy zrodzone musi brzmieć jak pobudka, mieć ostrze pocisku, twardość pancerza stali; być gorące, jak ogień bojowy, ma wlewać otuchę w walczących, razić nieprzyjaciół; jest krótkie jakby urywane, roznosi rozkazy, których nie czas uzasadniać, zaświadcza zaś raz w raz wrogowi, że o poddaństwie nie myśli. W tem słowie odzywa się

[1] Mowa wypowiedziana w Czytelni katolickiej we Lwowie na uczczenie 60-letniego jubileuszu kapłaństwa Ojca św. Leona XIII.

przedewszystkiem rycerz i żołnierz, który pośród skłębionych tłumów walczących, zwierających się przeciw sobie pierścieniem, stoi jako wcielenie męstwa i siły. Takie słowo miał na ustach Pius IX. — Gdy Kościół wystawiony był na pociski nieprzyjaciół, gdy i ognia i miecza rewolucyi nie brakło, pragnącej roznieść Piotrowe dziedzictwo, Pius ma na ustach takie *verbum abbreviatum*, takie skrócone słowo, rozsyłane i w prawo i w lewo, a nadziemską dźwięczące siłą: *non possumus*. Tem słowem walczył, tem się opędzał wrogom, niem znaczył swą politykę, przez nie otuchę wlewał słabym; niem wreszcie splecionem, i z mocy i z cierni, przygotował podkład dla pracy następcy, zmocniwszy powagę Stolicy św. wobec najzacieklejszych jej nieprzyjaciół. Z tem wreszcie słowem na ustach zstępował do grobu, boć już nie czas mu było pod koniec życia rozpoczynać politykę inną, i nie czas w tę drugą wchodzić fazę, w jaką walka wchodzić poczęła — fazę pokoju i pojednania. Tę objął Leon XIII. W drugiej fazie boju, gdy już słońca promienie przedrą się przez kurzawę walki, — w wodzu tkwi przedewszystkiem dyplomata, myśliciel, który owoce bitwy wyzyskuje, nawiązuje rokowania i daje programy dla pracy już więcej cichej i trwałej. Słowo wodza oddychać będzie pokojem i wytrawnością, i balsam ukojenia wylewać na rany społeczeństwa. — Oto słowo Leona XIII. — Spowodowały długie walki Piusa chwilowe wyczerpanie duchowe, dające się odczuwać w społeczeństwie. Leon XIII. swoją chwilę poznał i zrozumiał. I dzięki temu, żywotność Kościoła ujawniła się i na zewnątrz: Kościół dwojaki ruch, umysłowy i socyalny, bierze w swe ręce.

Mówić będę o pierwszym, mianowicie o ruchu umysłowym w stosunku do Kościoła i Leona XIII.

* * *

Wiek dzisiejszy wywiesił wysoko sztandar nauki, lecz zarazem położył dewizę: „wyzwolić naukę“ — a z pod czyjego wpływu? Naturalnie że z pod wpływu wiary i Kościoła, gdyż ten jeden, jak sądzono, opanował naukę, i on jeden jedyny jest nieprzyjacielem i wrogiem wolnego badania i wolnej wiedzy. Lecz

czy wystarczała uroczysta proklamacya, że od dziś dnia nauka z Bogiem nic wspólnego nie ma?

Czy, by obalić cały wpływ Kościoła na wiedzę, dostatecznem było o tym Kościele już nic nie mówić, nazwiska jego nie wspominać, i prostem milczeniem go zabić? Nie! ta broń była za słabą na takiego przeciwnika.

Imię Boże występowało zewsząd, a gdy próbowali zbyć je milczeniem uczeni, pytali o nie uczniowie. Przyrodnik rozkładał piękną księgę wszechświata, i głosił cuda natury, a uczeń słuchał rozogniony, a w końcu rzucał mistrzowi pytanie: A gdzież jest przyczyn przyczyna?

Rozwijał historyk dzieje instytucyj i państw, a oto ci, którzy zwisnęli u ust jego, dopytują o instytucyę o prawach tak odmiennych, nazwaną Kościołem; i nie wolno mu już o niej nie mówić, lub mówić podobnie jak o innych; niecierpliwi słuchacze zadają już sami sobie pytanie: czy boska ona, czy ludzka?

Filozof bada prawa myślenia, i znów przystanąć musi przed prawdami koniecznemi, wskazującemi na absolutną prawdę, z której poczęte być musiały.

Moralista, gdy roztacza prawa etyczne, zarzucony znów zostaje gradem zapytań: A któż to w sercu ludzkości wygrawirował pojęcie niestarte o złem i dobrem, kto w duszę głos sumienia włożył?

I na wszystkich drogach utykał badacz na tego, którego rad był zapomnieć. I nie zostawała mu wcale pośrednia droga — milczenie o nim. Miał do wyboru: albo błogosławić Bogu, albo Go przeklinać, złożyć Mu hołd przez naukę albo Mu wypowiedzieć walkę...

Wybrał walkę.

I poczyna bojować w imię nauki. A oby w imię prawdziwej nauki! — tej Kościół nie lękał się nigdy. Ale nie! ci uczeni zamiast się ograniczyć na dorobku swej wiedzy, całkiem niepowołani poczęli sięgać po palmy filozofów. Poczęli konstruować śmiałe systemy filozoficzne, z poglądami na Boga, świat, zagadnienia życia, wrzekomo wyprowadzonemi z eksperymentalnej nauki. I odchodził fizyk od swej retorty, a mimo zaklęć, że wie-

rzy tylko w to, co się eksperymentem da stwierdzić, — wchodził w najlepsze w sferę metafizyki, popuszczał wodzę wyobraźni, a płód wypaczonej myśli podszywał pod płaszcz nauki. Podobnie przyrodnik opuszczał swe przyrodnicze zbiory i badania i rzucał się na fale filozofii... I inni podobnie — i ludzie ci, co jęli niby zwalczać świat metafizyczny, ani się opatrzyli, jak pełnymi po nim płynęli żaglami. — Było to nadużyciem badań i wiedzy. I gdyby choć do podobnych eksperymentów mieli objętość szeroką geniuszu — ale i to nie; brak zaś szerokich kręgów wiedzy zastępowali uporem w raz powziętem zdaniu, bałwochwalczą wiarą choćby w hypotezy, niesłychaną nadętością i wiarą w siebie i jakąś doprawdy sekciarską nienawiścią wszystkiego, coby zamachem na ich opinie być mogło. I bardziej im zależało na uzasadnieniu choćby pozornem jakiejś utopii, aniżeli na przekonaniu o prawdzie, i bardziej nienawidzili wrzekomych nieprzyjaciół, aniżeli miłowali samą naukę. — A że w Kościele katolickim widzieli prawdę ściśle określoną i zdefiniowaną, słowem skonstruowaną, więc przeciw tej warowni przedewszystkiem zwrócili swe zapędy. — Z uporem i ślepotą trudno walczyć choćby samemu Bogu. — Poczyna się walka. Pierwsze jej pobudki już dawniej grać poczęto, ale na całej linii pod sztandarem niby nauki, rozwinęła się ta walka w wieku naszym. Dano sygnał. A różne działy nauk rekrutowano do bitew, by w pospolitem ruszeniu twierdzę osaczały, co śmiała twierdzić, że jest nieporuszoną. Pojedyncze wiedzy gałęzie niby pułki szły naprzód przy dźwięku marsza, co grał już pieśń żałobną wrzekomo przeżytej instytucyi Kościoła. Zdawało się już, iż jak wieże jeryhońskie od trąb, tak od tych krzyków zwycięskich nieprzyjaznej nauki zapadnie się Piotrowa skała.

Bawiąc raz w górskiej wiosce tuż przy Zakopanem, lubiałem wśród nadciągającej burzy patrzeć przez okienko chaty na widowisko przyrody. Oto chmury zwiewały się masami. W szalonym dzikim pędzie, bujały w przestworzu, a zataczając to szersze, to ciaśniejsze kręgi, przedstawiały się oku, jakby uszykowane wojsk zastępy. Nic tej wolności burzliwych żywiołów nie zdawało się stać w drodze, prócz szczytów olbrzymich ska-

listych gór... I jakby gniewem zawrzało to pierzaste wojsko, z całą siłą zdało się uderzać na wspólnego wroga. To o podwaliny jego uderzają, to wyżej podchodzą. Walka zdała się być wściekła, zażarta. A owego wrogiego żywiołu takie mnóstwo, taka natarczywość, że już już wyobraźni się zdawało, że to państwo białawe zakróluje wszechwładnie. — W śmiertelnym jakby uścisku znikały zupełnie z oczu wysokie szczyty. Ale po chwili osłabła siła zwycięska i pokazało się, że nie żywiołem straszliwym, ale lekką jest tylko pianką. Góry swe czoło majestatyczne zwolna odkrywały, chmury spadały niżej a niżej — a wkońcu słaniać się poczęły u stóp skalistych, niby sługa u kolan swej pani...

Widok ów jest mi obrazem walki dzisiejszej nauki z Kościołem z tą jeno różnicą, że Kościół, łącząc w sobie pierwiastek Boży i ludzki, skałą jest ruchomą, więc więcej złudzeń w walce przedstawia dla tych, którzy nie patrzą nań okiem wiary; więcej po ludzku mówiąc, ma prawdopodobieństwa przegranej, aniżeli skała twarda w walce z chmurami. Kościół wygrywa zawsze, ale któż nie wie, jak trudna jest walka z uporem i zaślepieniem, które się przekonać nie daje, gdyż przekonanem być nie chce. A gdy Kościół jasno zdaje sprawę ze swej nauki, gdy wykazuje, że ona wiedzy sprzeciwiać się nie może, bo tak światło przyrodzone, jak i nadprzyrodzone jedno i to samo ma źródło, wówczas fanatycy wiedzy kryją się za szańce zbudowanych przez siebie hypotez, lub dzierżąc w ręku odkrycia jeszcze niekompletne, niezupełnie wyjaśnione, albo naprzód uprzedzając wyniki badań nauk będących jeszcze w pieluchach, szyderczo wołają Kościołowi: „już po tobie!“ Geologia wykaże, że twoje 6 dni stworzenia, to nic więcej jak kartka romansu; historya w puch rozbije wiarogodność Pisma św., nauki przyrodnicze udoskonalone światu obwieszczą jego początek z jakiej wiekuistej materyi czy komórki — „więc po tobie!“ — wołano w zawody; i z upodobaniem poczęto łączyć pojęcie katolicyzmu z obskurantyzmem, a dla „prawdziwej“ nauki, jako tło konieczne, dawano bezwyznaniowość, a jako dogmat naukowy postawiono zasadę, iż wiara z nauką pogodzić się nie da. A Kościół?! Kościół uzasadniał

swe prawdy — i czekał... aż chmury same poczną opadać. I już doczekał się tej chwili, ściślejsze wyniki wiedzy, hołd tylko złożyły prawdzie, majestatycznie wychylającej swe czoło.

W szeregach zaś walczących zatrąbiono do odwrotu. Nie na całej jeszcze linii, ale już dosyć na razie, skoro komenda do cofnięcia się od przewódców wychodzi wielkiej wiedzy, a trzeźwego acz niewierzącego umysłu.

Jednem z takich haseł do zaniechania walki, był słynny artykuł francuskiego uczonego Brunetière'a, który rozebrzmiał tak we wierzącym, jak i niewierzącym świecie. Brunetière stawiając bilans walki, wręcz i śmiało powiada: iż nauka, która obiecywała, że zawojuje Kościół, że zastąpi religię, a sama pole dawniej przez nią zajęte ogarnie i zagadnienia ciężące ludzkości sama rozwiąże i urzeczywistni najśmielsze marzenia o szczęściu, dobrobycie, moralności — że ta nauka tego wszystkiego nie dotrzymała, ani też kiedykolwiek dotrzymać jest w stanie. „Ni geologia, ni historya, ni nauki przyrodnicze, ni filologia nie wykazały nic, coby objawionej prawdzie się sprzeciwiało". Sam artykuł nie byłby jeszcze bardzo znaczący, ale szeroki odgłos, jaki znalazł, wykazał, że zwrot w walce nastąpił stanowczy. Poczęto nawet głosić, że wiedza zbankrutowała. Wiedza sama nie bankrutuje nigdy, ani nawet nie bankrutują namiętności, tej wiedzy nadużywające, bo jak wiedza ma źródło w prawdzie, tak one je mają w skażonej ludzkiej naturze, a oba te źródła nie wyschną. Ale jeśli co zbankrutować może i iście bankrutuje, to te systemy fałszywe, to te hypotezy, jakie niepowołana do tego wiedza stawiała i do wierzenia podawała. Będą one liczyły jeszcze zwolenników, boć i bankrut czas jakiś utrzymuje się sztucznie przy błyszczącej nędzy. Lecz podwaliny systemów są podminowane, i to przez samo ścisłe badanie — przez naukę.

Ta sama zaś wiedza hołd poczęła oddawać prawdzie. I tak np. „fakta dziejowe, które stanowią wytyczne punkta religii objawionej, a które dawniej wydawały się dalekie i niewyraźne, dziś przez odkrycie nowożytnej nauki zbliżone i wyraźnie uwidocznione zostały jakby potężnym teleskopem".

„Różne nauki historyczne, jak archeologia, historya języków, historya starej sztuki, etnografia przedhistoryczna, historya religii, które z początku zdawały się biedz w odwrotnym do biblii kierunku, obecnie skręcają się ku niej, rzucają na nią światło, tak dalece, że kiedy w przeszłym wieku można ją było poczytać za romans, dziś każdy uczony widzi w niej najcenniejsze źródło historyczne“ [1].

A wśród tego umysły znużone już były życiem ciągłej negacyi. Już dosyć poświęciły dla gorączki pychy, bo spokój i zadowolenie, jakiego mogły pozazdrościć babce pod kościołem na koronce mówiącej swoje *Credo*. Tęskniły za promieniem bodaj prawdy pozytywnej, któraby ich wydzierając z trzęsawiska przypuszczeń i negacyi, osadziła o punkt stały. Jeżeli w pierwszem stadyum walki nauki z Kościołem, w której szał pychy nie dał się pouczać, bo nie chciał być pouczonym, jeżeli, mówię, w tem pierwszem stadyum Kościół poprzestać musiał na rzucaniu anatemy na hypotezy błędne a prawdzie przeciwne, to teraz w fazie drugiej może już Kościół przejść na pole samej wiedzy t. zw. „wyzwolonej“, i stamtąd wyciągnąć ku sobie przeciwnika, który wprawdzie nie wyzbył się uprzedzeń doszczętnie, ale trawiony i zdesperowaniem we własne zabiegi i prawdy żądzą, chętnie był gotów rękę wyciągnąć ku zgodzie, byle mu jeno kto przybył z pomocą. Tym mężem opatrznościowym był Leon XIII. Już nietylko przez swój urząd, ale nawet przez osobiste przymioty jakby obrany na spełnienie trudnego zadania. Tkwi w nim obok głębokiego myśliciela poeta, który wysokie idee w lekką, śliczną formę owijać potrafi, zamiłowanie zaś bohaterów chrześcijańskiej wiedzy, św. Augustyna i św. Tomasza nie przeszkadza mu wcale na przyjaznej pozostawać stopie z Cyceronem i innymi uczonymi pogańskiego świata, a jeśli się napawa głębokością i pięknością Danta, to nie pogardza też Vergilim, Horacym. Ceni piękno i wiedzę, gdzie tylko je odnajdzie, a rzadko kto skojarzył w sobie w takim stopniu naukę

[1] Ks. Morawski, „Wieczory nad Lemanem“.

scholastyczną z zamiłowaniem najświeższych prądów wiedzy, którym, rzekłbyś, wszystkim hołduje z wyjątkiem ich błędów.

Wstąpiwszy na katedrę Piotrową, obejrzał orlim okiem placówkę, jaką ma zająć Kościół odnośnie do nauki. Jak głęboko przejrzał ducha wieku, jak się zoryentował w roli, którą miał wziąć na siebie, o tem wymownie świadczą jego słowa, które wyrzekł jeszcze jako biskup Perugii [1]. Broniąc Kościoła, że się nigdy nie sprzeciwia cywilizacyi, powiada: „Oszczerczemi są zarzuty, jakieby się czerpać chciało we wrzekomej niechęci Kościoła względem sztuk, wiedzy, nauk przyrodniczych i innych. Te oskarżenia nie dotykają Kościoła i żadnego nie mają znaczenia, są raczej wyrazem nienawiści przeciw niemu, i życzenia, by w pył go obrócić. Lecz jeśli Kościół wiedzy, jako takiej, nie potępia, lecz owszem ją popiera, toć jednak zaprzeczyć się nie da, że jest i taka wiedza, która przez Kościół bezwzględnie jest odrzuconą. Jest to ta wiedza, której matką jest filozofia, twierdząca w szatańskiej pysze, iż rozum ludzki sam jeden bez względu na Boga rozstrzyga o tem, co dobre i złe, prawdziwe i fałszywe, jest sobie sam prawem i samemi siłami przyrodzonemi wystarcza, by utwierdzić dobro ludzi i narodów". — I wielekroć jeszcze powtarzać będzie, że wiara nigdy wiedzy się nie sprzeciwia, byle tej ostatniej jeno nie wydęła namiętność... I z całym programem zabiera się do przekonania o tem uprzedzonych. A że wie doskonale, że historya od 3 wieków stała się wielką oszczerczynią Kościoła w ręku jego nieprzyjaciół i tysiące wlała w umysły uprzedzeń ku niemu, więc zdobywa się na akt doniosłości olbrzymiej: oto na oścież otwiera dla uczonych tajne archiwa watykańskie. I Kościół przed społeczeństwem wywnętrza się z najskrytszych swych myśli i czynności, pozwala się w tylowiekowym pochodzie śledzić na każdym kroku, a wylewając swe serce jakby w generalnej jakiej spowiedzi, woła do społeczeństwa: „a teraz mnie osądź!"

Niedość uprzedzenia zwalczać; potrzeba przygotować i nastroić umysły. Zrozumiał doskonale słabą stronę wszystkich umy-

[1] List pasterski z 6 lutego 1877.

słów Leon XIII. Wiedza dzisiejsza rozlała się szeroko, ale płytką jest. Umysły dzisiejsze potrafią dużo pojąć pojedynczych wiadomości, ale zespolić je przychodzi im trudno. Nie brak wiedzy, lecz brak znajomości zasad myślenia, brak owej gimnastyki umysłom, dającej im siłę i zdrowie, czyniącej ich odpornymi na fałsz, a zdecydowanymi wobec prawdy, uzdalniającej do zmysłu rozeznawczego w przyjmowaniu wiedzy i znów do klasyfikowania i porządkowania jej w umyśle, i do wyciągania wniosków konkretnych — brak znajomości filozofii. I stąd umysły dzisiejsze, bezkrewne, anemiczne, z równą obojętnością przyjmują fałsz jak prawdę; nerwy mózgu, jeśli mi wolno się tak materyalistycznie wyrazić, nie reagują już na nie.

Leon XIII. przejrzał chorobę i zapisał lekarstwo. Jest niem naturalnie studyum filozofii, które się dziś redukowało prawie tylko do historyi filozofii. Oto jak się wyraża w tej mierze w przemowie (1880) do nauczycieli i uczniów zebranych w liczbie 4 tysięcy w dzień św. Tomasza:

„W dzisiejszym zamęcie umysłów i niejasności pojęć, najstosowniejszym na tę chorobę środkiem jest wykład zdrowej, poważnej, ze zrozumieniem i zapałem podawanej filozofii. Bezsprzecznie jest ona powołaną zarówno do usunięcia błędów zrodzonych z dzisiejszej pseudo-filozofii, jak i do utwierdzenia podstaw porządku, prawa i sprawiedliwości, które zapewniają państwom spokój, zbawienie ludom, a prawdziwą cywilizacyę ludzkości“. O potrzebie filozofii odzywa się później jeszcze w osobnej odezwie, a encyklika *Aeterni patris* była początkiem nowej ery dla wskrzeszonej chrześcijańskiej filozofii.

Jakżeż łatwiejsze znajdzie prawda wejście do umysłów leczonych z uprzedzeń, a zdrowych wewnętrznie.

Lecz i na tem nie koniec. Leon XIII. daje nadto impuls do całego programu pracy w tym kierunku.

Ten program może jeszcze w zawiązku, ale pierwsze rysy jego dostrzec się dają. Racyonalizmu nie pokona się w pojedynkę, boć to nieprzyjaciel, który w zwartym szedł szeregu.

Na organizacyę wiedzy racyonalnej odpowiedziećby należało organizacyą wiedzy uczonych katolickich. I oto jest myśl

głęboka Leona XIII., którą w przeróżny sposób realizuje. Nie dosyć samej organizacyi, jeszcze i plan potrzebny jest, który postępowanie swoje do metody przeciwnika przystosowuje; a plan przystosowany nietylko do walki, lecz i do pokoju, bo z racyonalizmem nietylko potrzeba walczyć, lecz go i nawracać. A jak nawracać? Rodziców się chwyta głaszcząc ich dziecko i wskazując na blizkie z dzieckiem związki. Rodziców dzisiejszej myśli chcąc pociągnąć, musi się z myślą ich, dzieciną ich ducha, zespolić i przez nią przeprowadzić niby przez pomost do prawdy źródła. Oto rola katolickich uczonych. Pominąwszy pojedynczych genialnych uczonych wierzących, pominąwszy ów rozrost nauki chrześcijańskiej w czasach naszych, nie da się jednak zaprzeczyć, że tej organizacyi, a w niej wytkniętego planu trochę brakowało. A nawet dałoby się zauważyć pewną bierność u uczonych katolików, jakoby za małą sprężystość w pochwytywaniu tętna nauki dzisiejszej.

Uczeni katoliccy zdawali się przynajmniej w części na biernej poprzestawać roli. Da się to poniekąd już tem wytłumaczyć, że umysł wierzący, mając przez wiarę zaspokojony umysł, mniej głodu ma wiedzy świeckiej, aniżeli ten, który w braku wiary nauki czepia się konwulsyjnie, zaspokajając żądzę poznawania. Ale co tych uczonych mogło tłumaczyć, to wcale nie służyło sprawie. Szli oni z tyłu za uczonymi racyonalistami, dzierżącymi monopol nowej nauki i zbierali dopiero pokłosie ich pracy. A racyonaliści nadużywali nauki do szerzenia wiary ateistycznej, i dopiero czas wykazał lub nowe odkrycia, że ich przypuszczenia na fałszywej wspierały się podstawie. Ale tymczasem błąd popularyzowany, szerzony broszurami, książkami zrobił swoje i zanim został odwołany, jadem się wpijał w umysły. Uczeni katoliccy poprzestawali tylko na odkryciu fałszu, skonstatowaniu fałszu, gdy fałsz na jaw wyszedł — a to było spóźnione. Całkiem inaczej się dziać poczyna, gdy stają wraz z racyonalistami do wspólnego stołu pracy. Od razu bowiem nie dozwolą puszczania w kurs fałszywej monety lub do wyciągania przedwczesnych czy nieuzasadnionych wniosków. To przejście z biernej do czynnej roli uczonych katolików, odbieranie przez nich monopolu

wiedzy racyonalistom, dotrzymywanie im kroku, szeregowanie się w krucyatę uczoną, o jakiej marzył Ozanam, jako o najpotrzebniejszym środku na rany fałszywą zadane nauką — te pierwsze manifesta nowego, że tak rzeknę, kursu, złożone przez kongresy katolickich uczonych we Francyi, a niedawno w Niemczech — we Fryburgu, są olbrzymią ewolucyą, jaką zainaugurował Leon XIII., ewolucyą nietylko na polu kościelnem, ale i w dziedzinie nauk.

Niepodobna śledzić wszystkich akcyj wielkiego papieża w nawróceniu obałamuconej wiedzy. Lecz by stwierdzić, że była aktualną i skuteczną, to dosyć zauważyć, jak doniosłym jest dziś głos bijący ze skały Piotrowej, a raczej jak wszędzie u przyjaciół, lecz i nieprzyjaciół znajduje posłuch. Do niedawna miał Kościół w ustach wobec swych przeciwników słowa Tertuliana: „Niczego od was nie żądam, jak tylko, byście mnie wysłuchali". Lecz na to odpowiedziano lekceważeniem, obelgą. Pius IX. okolony aureolą potrójną świętości, cierpienia i męstwa wyniósł wysoko powagę stolicy Piotrowej; lekceważyć tej mocy nadprzyrodzonej już nie było wolno, ale do szerokiego posłuchu było jeszcze daleko. Ten postęp zachowany dla Leona. Pius IX. zatrzymał oczy świata na skale Kościoła, Leon XIII. zaś uszy jego. Jest on *per excellentiam doctor gentium*, słowo jego oddziaływa już na społeczeństwa i na narody najbardziej od światła prawdy oddalone, a rozlega się tak szeroko, iż żywcem scharakteryzować je można słowami Pisma św.: *in omnem terram exivit sonus eorum et in fines orbis terrae verba eorum.* Świat dzisiejszy wolnie czy poniewolnie daje się napełnić, nasycić dźwiękiem tego słowa, które ignorować już się nie daje nikomu. W szczególności zaś, co się tyczy czcicieli dzisiejszej nauki, wielu z nich wobec Kościoła bierze na się wdzięczną rolę Balaama. Ten był wysłany, z zamiarem, by kląć hufom izraelskim — ale ledwo zoczył porządek ich szyków i moc, poniewolnie miasto przeklinać jął błogosławić. I uczeni chowani w atmosferze uprzedzeń przeciw prawdzie, jakby z umyślnym zamiarem, by urośli na bojowników przeciw niej, dzisiaj olśnieni jej blaskiem i oni miasto przeklinać poczynają błogosławić. I jeśli nie obejmują jeszcze całego nad-

przyrodzonego pierwiastka słowa, wiążącego umysły *in obsequium fidei*, to już olśnieni są blaskiem promieni, ze wspólnego wychodzących ogniska prawdy wiekuistej, tak odbijającego od dzisiejszych systemów, jakby rozbitych w atomy, niedających się złożyć. A są też i pokrzepieni tym dziwnym spokojem nauki, jaki daje tylko posiadanie prawdy, spokojem, będącym w jaskrawej sprzeczności z tą gorączką trawiącą i szarpiącą dzisiejszy umysł — roztwierają się ku niemu niby kielichy kwiatów ku słońcu. Już nietylko Bourget każe bohaterowi swej powieści kierować się ku Watykanowi, ale i Brunetière światu dzisiejszemu wskazuje na łódź Piotrową, jako na deskę ocalenia wśród powodzi zwątpienia i fałszu.

Ks. J. Teodorowicz.

WALKA RASOWO-EKONOMICZNA W POZNAŃSKIEM.

(Dokończenie).

Nervus rerum w rozwoju przemysłowem jest pieniądz i tani kredyt. Stworzenie zatem taniego kredytu, wyzwolenie społeczeństwa od wysokich procentów żydowskich jest podstawą dobrobytu naszych przemysłowców. Doniosłe to zadanie spełniło polskie społeczeństwo przez organizowanie całego szeregu banków ludowych, kas pożyczkowych, spółek zarobkowych i gospodarczych. Niewątpliwie nizka stopa procentowa w tak bogatym kraju, jakim są Niemcy, niemiecki przykład organizacyi taniego kredytu czy wedle systemu Schultzego z Delitsch, czy Raiffeisena, i prawodawstwo niemieckie z r. 1889 ułatwiły społeczeństwu naszemu zadanie. Około zorganizowania tych luźnych, od r. 1861 powstających, banków i spółek w jeden centralny Związek polskich spółek zarobkowych i gospodarczych w W. Ks. Poznańskiem i w Prusach Zachodnich, zasłużył się ks. Szamarzewski przed 25 laty tj. w 1873 r. Z jego inicyatywy powstał także w r. 1886 Bank Związku spółek zarobkowych w Poznaniu. Dziś do Związku należy 101 spółek, z tych 75 w W. Ks. Poznańskiem. Tylko 8 tych spółek mają siedzibę swą po wsiach, reszta 67 po miastach. Podczas gdy w r. 1873 do Związku należało Spółek 43 z 7668 członkami, wypożyczono na weksle 3,311.408 mk., miano ulokowanych w bankach obcych 124.463 mk., gotówki 124.399 mk., udziały członków wynosiły 623.486 mk., dywidendy wypłacono 10.858 mk., złożono w kasach Spółek depozytów oszczędnościowych 2,600.869 mk., fundusz rezerwowy wynosił 74.296 mk., wypożyczono z różnych banków 377.411 mk.,

zysku do przeniesienia było 35.946 mk., jednem słowem bilans wynosił 3,739.302 mk.; to w r. 1896 znajdowało się w 101 spółkach 35.987 członków, wypożyczono na weksle 23,539.093 mk., w bankach innych ulokowano 677.876 mk., gotówki miano 443.793 mk., udziały członków wpłacone wynosiły 4,483.176 mk., dywidendy wypłacono 67.447 mk., złożono w kasach spółek depozytów oszczędnościowych 19,078.036 mk., fundusz rezerwowy podniósł się do 1,754.789 mk., zatem w ciągu 23 lat o 24 razy się pomnożył, wypożyczono z różnych banków 441.660 mk., zysku do przeniesienia było 165.390 mk., jednem słowem bilans wynosił 27,009.273 mk., to znaczy więcej niż 7 razy się pomnożył. Od roku 1896 urosła liczba spółek o 8, członków o 3.705, podniósł się kapitał złożony w spółkach o przeszło 3 miliony mk., tak że wynosi obecnie przeszło 23 miliony. Udziały członków powiększyły się w roku ubiegłym o pół miliona, depozyta o 2 miliony, fundusz rezerwowy o 200.000 mk.[1]. W ciężkich warunkach walki ekonomicznej, wypowiedzianej nam przez Niemców na całej linii, cyfry te jako objaw kupienia się ekonomicznego podnieść należy z zadowoleniem i otuchą. Główną zasługę około tego świetnego rozwoju spółek, ma bez wątpienia dzisiejszy patron Związku spółek, ks. szambelan Wawrzyniak, który po śmierci ks. Szamarzewskiego w r. 1891 wybrany na opiekuna Spółek, dzierży od tego czasu z niestrudzoną gorliwością, z naśladowania godną sumiennością, i co najważniejsza, z korzyścią dla społeczeństwa ten trudny i pełen odpowiedzialności urząd. Patron Spółek jest zarazem stróżem i sędzią, kontrolorem i ojcem Spółek. Czuwa nad porządkiem w Spółkach, daje rady i wskazówki, służy pomocą w trudnych okolicznościach, bada niedomagania i poucza, jak je usunąć, wytyka błędy, wskazuje drogę do poprawy, gdzie potrzeba, gani i karci, to znowu staje w obronie, gdy niepowołani szarpią dobre imię Spółek. Zważywszy, że do Patronatu należy 101 Spółek, które patron zwykle raz w rok, a gdy potrzeba, to i częściej odwiedza, a pojmiemy, jaki ogrom spoczywa na jego barkach. Nie

[1] 24 i 25 Sprawozdanie związku polskich spółek zarobkowych i gospodarczych w W. Ks. Poznańskiem i Prusach Zach. z 1895 i 1896.

dziw, że społeczeństwo w uznaniu tych zasług skorzystało z 25-letniego jubileuszu kapłaństwa ks. Wawrzyniaka i w dniu 11 sierpnia r. b. urządziło wspaniałą manifestacyę na cześć zasłużonego jubilata. Że ta cześć, jaka otacza ks. Wawrzyniaka, nie jest bynajmniej zwykłym objawem wzajemnej adoracyi wśród przyjaciół, wśród Polaków, że ten syn dzielny chłopa wielkopolskiego z Wyrzeki, rzeczywiste i niepospolite oddał wysługi społeczeństwu polskiemu, tego dowodzi najwyraźniej sąd, jaki o nim najwięksi wrogowie nasi wydali, tj. hakatyści przez usta korespondenta hakatystycznej gazety *Post,* p. Finka. „Mansyonarz i szambelan papieski Wawrzyniak — pisze tenże inspirowany przez hakatystów poznańskich — jest duszą polskiego ruchu. Pod względem ekonomicznym więcej działa dla polskiej sprawy, niż wszyscy inni Polacy razem pod względem politycznym. On jest prezesem głośnego Banku ludowego, on założycielem licznych spółek. Jemu zawdzięczają niezliczone towarzystwa czeladzi rzemieślniczej, przemysłowe, śpiewackie i gimnastyczne swe istnienie. Wawrzyniak nie jest człowiekiem wielu słów, dlatego też jako poseł w sejmie rzadko kiedy występuje, jest to mąż czynu, a przytem nie można mu i uczciwości w walce odmówić: z polskim patryotyzmem wcale się nie ukrywa. Wawrzyniaka czynów nie da się zwalczyć pismem lub słowem, im trzeba przeciwstawić czyny. Gdzie on wpływ swój wywiera, tam niema krzykackich pogróżek i gwałtów, które towarzyszą niejednokrotnie polskiej agitacyi(!). Wawrzyniak pozostaje zawsze na gruncie legalnym, ale właśnie temu przezornie obmyślającemu i dlatego swego celu tem więcej świadomemu sposobowi postępowania zawdzięcza sprawa polska niejeden sukces... Mansyonarzowi Wawrzyniakowi zawdzięczają jego polscy współobywatele także, że dla swych antynarodowych (antyniemieckich) usiłowań rozporządzają środkami państwowymi“ (!) [1]. Ksiądz Wawrzyniak bowiem wyrobił dla Związku spółek polskich stosunki kredytowe w pruskiej Centralnej kasie dla spółek, wykazawszy, że Spółki reprezentowane przez niego zasługują na kredyt. Solą w oku jest oczywiście hakatystom ten sukces i dla-

[1] *Kampf u. die Ostmark,* str. 272.

tego denuncyując Spółki, instytucye czysto finansowe, nawet o wrogie dla państwa dążności (!) w swych organach jak *Post*, domagają się odmówienia Związkowi Spółek państwowego kredytu; co więcej, fałszywemi doniesieniami o rzekomych nieprawidłowościach w niektórych Spółkach związku, tolerowanych przez patronat, starają się w rządzie wywołać podejrzenie, iż Związek nie spełnia dostatecznie prawem przepisanego mu zadania i usiłują zwichnąć dalsze czynności Związku przez odebranie patronatowi przywileju odbywania urzędowych rewizyj. Najsmutniejszem w tej brzydkiej sprawie jest ta okoliczność, że broń do ręki hakatystom podali sami Polacy, byli członkowie zarządu Spółek, którzy pod płaszczykiem nadzwyczajnej gorliwości o dobro publiczne, dają folgę swym osobistym niechęciom przeciw pewnym osobistościom pracującym w Związku spółek, i już to w prasie, już to w osobnych pismach ulotnych zarzucali patronatowi, że toleruje w Spółkach nieprawidłowości, które mogą ewentualnie wywołać niepożądane wmieszanie się władz. Już przed dwoma laty sejmik Spółek dostatecznie napiętnował tę machinacyę i uchwałą zadokumentował, iż się z postępowaniem takiem żadną miarą solidaryzować nie może, mimo to napaści szkodzące naszym instytucyom finansowym nie ustają, a prowadzi je z wytrwałością, godną lepszej sprawy, pismo polskie *Orędownik*. Czyż dziwić się tu, że hakatyści uderzają w wyłom, uczyniony przez owe publiczne inkryminacye? Ostatecznym wynikiem tej niecnej pracy warchołów polskich i delatorów hakatystycznych było pismo naczelnego prezydyum Księstwa, najwyższej władzy prowincyonalnej do Patronatu, by przedłożył protokoły rewizyi poszczególnych Spółek. Pomimo, że żądanie władzy, zdaniem wytrawnych prawników, nie było oparte na prawnej podstawie, patronat na owo żądanie odpowiedział bezzwłocznem wysłaniem na ręce naczelnego prezydyum wszystkich protokołów rewizyjnych i dokumentów, jakich od niego zażądano. Świadczy to korzystnie nietylko o czystości jego sumienia, lecz i o tem, że nie bawiąc się w żadną politykę, ma na oku jedynie i wyłącznie ekonomiczne interesa Spółek, które podlegają jego kontroli. Patronat wyszedł zwycięsko z całej

tej sprawy, ku zawstydzeniu tych, którzy tak nieostrożnie igrali z ogniem dla podrażnienia ambicyjki i prywaty; sprawa ta jednak dowodzi, jak mało jesteśmy wynarodowieni, kiedyśmy mimo stuletniej twardej nauki najgorszych wad narodowych nie oduczyli się jeszcze zupełnie. — Żeśmy się ich nie pozbyli, dowodzi między innemi choćby separatyzm dwóch spółek, stojących poza Związkiem, pomimo usiłowań celem zjednoczenia czynionych. Są to Spółka ziemska w Toruniu i Bank ludowy w Krotoszynie. Ostatni robi znakomite interesa, bilans jego za r. 1896 wynosił blizko 8 milionów mk., suma udziałów członków 226.090 mk., depozytów oszczędnościowych 935.813 mk., wypożyczył na weksle 2,295.601 mk., miał funduszu rezerwowego około 85.000 mk., a czystego zysku 20.457 mk., a mimo to rzekomo ze względu na wysokie koszta, jakie za rewizyę kasową patronatowi płacić trzeba, do Związku spółek przystąpić nie chce i woli tańszego rewizora sądowego dla przepisanych prawem dwuletnich rewizyj, niż uznać patronat Związku i stosować się do ustaw Związku i uchwał sejmiku Związku. Bliżej wtajemniczeni atoli twierdzą, że i na dnie tej krotoszyńskiej opozycyi leżą sprawy czysto osobiste, prywata. Umyślnie potrącam o te małostkowe antagonizmy wśród inteligencyi naszej, by wykazać, jak one i dziś jeszcze sprawiają dotkliwy debet w narodowym bilansie. Niewątpliwie, że mieszczaństwo może się na polu ekonomicznem pochlubić nadwyżką zysków, niewątpliwie zawdzięcza to i własnej oszczędności, energii i przedsiębiorczości, z drugiej strony nie należy zapominać, że te sukcesy stan średni zawdzięcza także i sprzyjającym okolicznościom, zwłaszcza taniemu kredytowi, jaki tak przemysłowy kraj, jak Niemcy wytwarza; nie należy zapominać, że można więcej jeszcze zdziałać na polu ekonomicznem, jeżeli solidarnie i wspólnemi siłami, ale bez rozterek i kłótni, nad podniesieniem dobrobytu pracować będziemy.

Jeżeli przypatrzymy się liczbie członków w Spółkach podług ich zawodu i majątku, to z ogólnej liczby 35.981 wypada na mieszczan około 12.600, to jest 35%, na właścicieli ziemskich około 1.100 coś 3%, na dzierżawców około 900 — 2%, na

chłopów tj. gospodarzy i chałupników około 21.000 tj. 60%. Widać stąd, jak wielkie znaczenie mają nasze Spółki i dla stanu chłopskiego, któremu się nam z kolei przyjrzeć wypada.

„W dawniejszych czasach było ogólnem zdaniem wśród Niemców — pisze prof. Conrad z Halli — że chłop polski tak długo mieszka na swojem gospodarstwie, póki się budynki nie zwalą, potem musi je sprzedać, ponieważ nie może budynków gospodarczych postawić, Niemiec przychodzi na jego miejsce, Polak kupuje mniejsze gospodarstwo i podupada stopniowo. To się w nowszych czasach zupełnie zmieniło. Niestety, musimy wyznać, że niemiecki chłop się pogorszył, że się w daleko wyższym stopniu oddał pijaństwu, że obecnie często bankrutuje, a polski chłop, który mniejsze ma potrzeby i stał się trzeźwiejszym, na jego miejsce przychodzi. Można całe wsie wymienić, które jeszcze przed 40 laty zupełnie przez Niemców były zamieszkałe, gdzie obecnie jeden lub kilku tylko jeszcze mieszka“ [1]. Czem się to ciekawe zjawisko tłumaczy? Niewątpliwie nizki stan oświaty i kultury był pierwotnie przyczyną upadku ekonomicznego naszego gospodarza małego. W r. 1823 uwłaszczony, ciemny chłop skorzystał z nagłej wolności w swój sposób, tj. nie troszcząc się o przyszłość, pił bez miary, a Żyd lub gościnny tj. karczmarz w Poznańskiem, pożyczali, podwójną kredką zapisując swą należytość. Szczególnie lichwa żydowska w równej mierze dziedzicowi, jak chłopu, dała się we znaki. Jeszcze dziś lud w niektórych okolicach nazywa folwarki, utworzone ze skupionych subhastowanych gruntów włościańskich „Przepijewem“. W ślad za pijaństwem szły wszystkie inne zbrodnie. Po dziś dzień jeszcze pokazują np. wsie dawniej złodziejskie, których mieszkańcy byli postrachem dla sąsiednich osad. Znajomość czytania i pisania była wśród ludu rzadka. Sposób uprawy roli prymitywny, nie dziw więc, że taki chłop nie mógł wytrzymać z wykształconym chłopem niemieckim konkurencyi, że musiał mu ustępować z placu.

---

[1] *Die deutsche Ostmark. Aktenstücke und Beiträge zur Polenfrage.* Flugschrift Nr. 1 des All-Deutschen Verbandes.

Jeszcze za czasów polskich rządów magnaci polscy, jak Opalińscy, Sapiehowie i t. d., by podnieść dochody ze swych olbrzymich dóbr, wyludnionych wojnami i zarazami, osiedlali na warunkach wcale korzystnych niemieckich osadników pod nazwą Holendrów. Z tych czasów datuje się rozrzuconych stokilkadziesiąt osad, zwanych olendrami przez lud, jak np. Szulickie olendry, Radlińskie, Koźmińskie, Naramowickie, Oberskie, Młyńskie i t. d., zwłaszcza w pasie na granicy brandeburskiej i ślązkiej. Z tych czasów pochodzą także i głośne dziś osady katolickich „Bambrów" pod Poznaniem: Rataje, Jerzyce, Wilda, Górczyn i t. d. Ile Niemców już było w Poznańskiem przed rozbiorem nie wiemy, wprawdzie polityczni pisarze pruscy podają pewne daty; np. Beheim Schwarzbach pisze, że w okręgu nadnoteckim w r. 1772 było 28% ludności niemiecko-protestanckiej, dziś 40% [1]; wedle memoryału jenerała Grolmana o Poznańskiem z dnia 25 marca r. 1832 [2] było w r. 1815 w W. Ks. Poznańskiem 350.000 Niemców a 450.000 Polaków i Żydów. Cyfry te były widocznie zrobione *pour le roi de Prusse,* aby wykazać, jak dalece niemiecką jest ta nowonabyta prowincya. To jednak faktem, że robiono wszystko możliwe, aby ją zniemczyć; zwłaszcza przy sekularyzacyi dóbr kościelnych i klasztornych około r. 1831, osiedlono ogromne mnóstwo kolonistów niemieckich np. w dobrach klasztoru lubińskiego; powstały dalej osady czysto niemieckie, jak Rożewo, Rosenfeld około Krotoszyna, Szymanowo około Rawicza i setki innych, i uzyskano, że mniej więcej $^1/_3$ ludności Poznańskiego była już w r. 1841 tak samo, jak i dziś, niemiecką [3]. Sukcesy te wywołały w świecie niemiec-

[1] *Der Netzedistrikt zur Zeit der ersten Theilung Polens. Zeitschr. der hist Gesellsch. für die Provinz Posen.* 1892, t. VII i VIII.

[2] Fink l. c. str. 303.

[3] Memoryał naczelnego prezesa W. Ks. Pozn. Flottwella z 15 marca 1841 l. c. str. 306. Obecnie liczba ludności ewangelicko-niemieckiej po wsiach wynosi 330.000, z tego 22.000 przypada na właścicieli ziemskich i urzędników rządowych i prywatnych, w miastach 208.537 dusz. Liczbę katolików-Niemców podają różnie do 12.000, do 50.000 a nawet 125.000 dusz. *Polen u. Deutsche in der Pr. Posen,* str. 8.

kim pewne nadzieje, że prędzej czy później uda się proces asymilacyjny żywiołu polskiego. Wypowiada to wyraźnie znany z germanizatorskich zapędów naczelny prezes Flottwell[1]. Na szczęście *sanabiles fecit Deus nationes.*

Wprawdzie niżej stojące w kulturze narody zawsze muszą sowicie opłacać się wyżej stojącym, ale tylko do czasu płacą t. zw. „frycówkę", jeżeli mają w sobie siły żywotne. Przykładu dostarczają Grecy wobec Fenicyan, ludy południowo-italskie wobec Greków, chrześcijańskie ludy półwyspu pirenejskiego wobec Arabów, Czesi wobec Niemców. I polski chłop okazał się przystępnym dla wyższej kultury bez zatracenia swej narodowości. Przedewszystkiem oświata szerzona przez rząd zapomocą przymusu szkolnego wiele tu zdziałała, zwłaszcza że przed r. 1872 szkoła pruska miała na oku nie szerzenie niemczyzny lecz oświaty. Niemniej zbawiennem się okazało zwalczanie nałogu narodowego, pijaństwa. Reakcya przeciw niemu rozpoczęła się na Górnym Śląsku, a wyszła od proboszcza w Piekarach, ks. J. Fitzka. Kiedy następnie Pius IX. w r. 1852 wyniósł towarzystwa wstrzemięźliwości do zaszczytu bractw kościelnych, a duchowieństwo zaczęło zwłaszcza młodzież do tych bractw zachęcać i zapisywać, powoli pijaństwo ustawało, a z niem wszelkie smutne jego następstwa moralnej i ekonomicznej natury. Dziś nałogowych pijaków na palcach policzyć można. Ułatwiła walkę z pijaństwem i ta okoliczność, że gościńce tj. karczmy po wsiach rzadko się znajdowały w ręku żydowskiem.

Niemniej przeto żydowstwo niszczyło tak samo chłopa jak pana lichwą. Niepospolitą zasługę ma rząd pruski nietylko przez wydanie, lecz przez ścisłe wykonanie praw przeciw lichwie. Zabawne było patrzeć około r. 1873 na panikę, jaka ogarniała sfery lichwiarsko-żydowskie, gdy sądy pruskie skazywały lichwiarzy na 6 i 8 lat ciężkiego więzienia. Prawa przeciw lichwie atoli nie byłyby jej wykorzeniły, gdyby równocześnie tani kredyt nie był uczynił lichwiarza zbytecznym. I na tem właśnie polega główna zasługa owych Banków ludowych i Spółek za-

[1] L. c. str. 306.

robkowo-gospodarczych, które głównie około r. 1873 się rozpowszechniły. Dziś $^2/_3$ udziałów i oszczędności w tych spółkach złożonych, to ciężko zapracowany pieniądz chłopa polskiego.

Niemniejsze zasługi około podniesienia naszego włościaństwa wielkopolskiego mają tyle wspominane Kółka rolnicze. Zaczęły one powstawać również około r. 1874, zatem w chwili, kiedy ucisk niemiecki obudził nasze społeczeństwo do czynnej pracy organicznej. Twórcą, założycielem i kierownikiem Kółek rolniczych jest zasłużony ich patron obecny, p. Maksymilian Jackowski; obecnie nadzoruje on 193 Kółek w W. Ks. Poznańskiem. Prezesami ich są przeważnie księża i obywatelstwo ziemskie, miejscami już nawet sami włościanie, 11 wicepatronów wspiera patrona w doglądaniu Kółek i służeniu im dobrą radą. Nie wszystkie z tych Kółek prosperują należycie, zależy to głównie od prezesa; słabych Kółek jest obecnie jakie 16. Kółka te odbywają walne zebrania powiatowe; było ich 18 r. 1896; wszystkie z wyjątkiem 2 licznie były zwiedzane. Najwybitniejszym momentem czynności Kółek było zwiedzanie pojedynczych gospodarstw, przyczem najwięcej i właściciel i zwiedzający gospodarze skorzystać mogą. W 85 Kółkach zlustrowano 181 gospodarstw, więcej 91 niż roku poprzedniego. Od czasu do czasu urządza kilka Kółek wystawy, które są wielkim bodźcem do postępu, wywołując emulacyę gospodarzy, pobudzając ich do myślenia i naprawiania błędów. Czyni się to wszystko mimo bardzo szczupłych funduszów. Patronatu kasę zasila tylko Spółka bazarowa roczną kwotą 1500 mk., i zarząd centralny Tow. rolniczego 750 mk. Nadto istnieje zapis ś. p. jenerała Oktawiana Augustynowicza na rzecz Kółek rolniczych, z którego 450 mk. rocznego procentu wpływa. To też słusznie można powtórzyć za wicepatronem na powiat wągrowiecki, p. Janta-Półczyńskim, że instytucyę Kółek możnaby nazwać bez przesady dziełem miłości, gdyż opiera swój byt na ofiarności zwłaszcza obywatelstwa i duchowieństwa, nie żałujących ani ofiar pieniężnych ani ofiar pracy na rzecz ludu. Nie dziw, że mimo pierwotnych przeszkód dzieło to się rozwija i przynosi nieobliczalne korzyści naszemu chłopu. Tak powstają za sprawą Kółek tyle ważne spółki dre-

narskie; jest ich już 10 na przestrzeni 60.000 mórg; przybyło ich 8 w roku 1896; powstają po wsiach Spółki pożyczkowe, jest ich 12, a w ostatnim roku przybyło ich 5; taka spółka np. w Przemencie miała w roku 1896 350.000 mk. obrotu, a oszczędności wynosiły w tej jednej parafii imponującą sumę 91.563 mk. Nawozów sztucznych zakupiły Kółka na wspólny rachunek w r. 1896 62.855 centnarów, o 20.855 centn. więcej, niż w roku poprzednim. Takie Kółko w Przemencie np. sprowadziło 3.000 cent. kainitu i 1.000 cent. tomasówki na łąki, 1.855 cent. superfosfatów i saletry chilijskiej na pola [1].

Wielką usługę oddaje kółkom *Poradnik gospodarski*, pismo tygodniowe, które się utrzymuje z własnych dochodów, a redagowane starannie wyrobiło sobie uznanie nietylko w Księstwie, lecz i w Kongresówce i w Galicyi. Jako braki w gospodarstwach chłopskich wytyka sprawozdanie patrona zaniedbanie melioracyi łąk, pszczelnictwa, sadownictwa, a zwłaszcza niechęć do asekuracyi na wypadek ognia lub gradobicia. Także i chów bydła w przeciwieństwie do chowu koni pozostawia wiele do życzenia, chociaż na każdym z tych punktów widać zwrot ku lepszemu. Skutki tej pracy kółek są widoczne na każdym kroku. Mamy wsi polskie z murowanymi budynkami gospodarczymi, z sadami, porządne, czyste, schludne. Możemy wskazać gospodarzy, mających pięknie umeblowany pokój gościnny — z biblioteką. Najważniejsza, że włościanie nietylko utrzymali się na zagonie ojców, lecz takowy rozszerzają przez nabywanie parcel dóbr rentowych, a nawet przez kupno znaczniejszych folwarków, gdyż u nich dzięki umiejętnemu gospodarowaniu ogólny dobrobyt się wzmaga. I tak gospodarz Michał Pielucha, członek kółka rolniczego Wierzenickiego około Poznania, kupił folwark Krzyżowniki, objętości przeszło 700 mórg. Podobnie gospodarz Michał Wnuk, członek kółka wyrzyskiego, z 47 mórg powiększył własność swą do obszaru 260 mórg, powyższe zaś wypadki nie są odosobnione, mamy ich po kilka w każdym nieledwie po-

[1] Rocznik Kółek rolniczo-włościańskich w W. Ks. Poznańsk. XXIII. Poznań 1897.

wiecie. Ciekawa jest wieś Siemowo około Gostynia, gdzie istnieją gospodarstwa wielkie, 100 i więcej morgowe, z powodu iż chłopi wprowadzili w życie minoraty, przekazując gospodarstwo najmłodszemu synowi, czy córce, starsze dzieci wyposażając kapitałem. Jeszcze przed powstaniem Komisyi Generalnej dla włości rentowych i Banku ziemskiego chłopi parcelowali między siebie folwarki dworskie. Tak np. w Słupi pod Rawiczem rozparcelowano przed 20 coś laty 2 folwarki tam istniejące, a dziś pragnęliby jakiego nowego *dominium* do nabycia parcelami. Fakt ten nieodosobniony świadczy, jak osadnictwo wewnętrzne w Poznańskiem opiera się na żywiołowej sile ruchu ludowego tamże i odpowiada istotnym potrzebom społeczeństwa.

Folwarki i obszary dworskie powyżej 100 hkt. zajmują w Poznańskiem 60%, w Prusach Zach. 49% całego obszaru, własność większa wynosi razem w tych prowincyach 2,435.000 hkt., a własność poniżej 100 hkt. zajmuje tylko 2,050.000 hkt., rozkładających się na 295.000 posiadłości. „Powiększanie — jak twierdzi wytrawny ekonomista nasz, p. Milewski[2] — liczby i obszaru średniej i małej własności jest tam ekonomicznie społecznie i narodowo wskazane. Z tej to potrzeby wypłynęły prawa z dnia 27 czerwca 1890 i 7 lipca 1891 r. o włościach rentowych i tej potrzebie czyni zadość i nasz skromny Bank ziemski w Poznaniu, powstały w r. 1888, jako odpowiedź na Komisyę kolonizacyjną. Ktokolwiek uprzytomni sobie, że do 30 czerwca r. 1896 wynosił kapitał zakładowy i akcye pierwszej emisyi Banku ziemskiego tylko 1,200.000 mk., że na akcye drugiej emisyi, dopełniające kapitał zakładowy do 2,000.000, wpłacono dopiero 637.745 mk. po dzień 30 czerwca r. 1897, ten nie odmówi pełnego uznania dla działalności Banku i osiągniętych rezultatów. Niemiecka Komisya kolonizacyjna osiedliła, pracując dwa lata dłużej i mając 100 milionów mk. kapitału, rodzin 1.900, Bank ziemski z kapitałem 50 razy mniejszym, 1291 na obszarze 14.655 hkt. za cenę 9,292.531 mk., z których na-

[1] Przemówienie wicepatrona p. Janty-Półczyńskiego na walnem zgromadzeniu Central. Tow. Gosp. w W. Ks. Poznańsk. w dniu 9—11 marca 1896 r. Rocznik r. 1896.

[2] Z kursu socyalnego. *Przegląd Polski,* wrzesień 1897 r.

bywcy zapłacili 3,061.205 mk. Ułatwiła zrazu zadanie Bankowi zadanie Komisya generalna w Bydgoszczy, która początkowo z uznania godną bezstronnością miała tylko względy ekonomiczne na oku. Gdy atoli w końcu roku 1893 się okazało, że na włości rentowych w całem państwie 1490, powstałych od wydania prawa z r. 1891, w rękach polskich znajduje się 524, i że w W. Ks. Poznańskiem i Prusach Zachodnich połowa osadników, tj. około 400 była polskiej narodowości, powstał okropny hałas w obozie hakatystów i Germanii zaborczej. Podniesiono alarm w całej prasie, że Komisya generalna w r. 1893 prawie dwa razy tyle osadników osiedliła, niż Komisya kolonizacyjna, że zatem pruskie urzędy za pomocą pieniędzy państwa pruskiego wspierają systematyczną polonizacyę, a państwo pruskie działa jako polonizator[1]. Nie dziw, że wobec tak strasznych zarzutów Komisya uległa presyi i że wdrażanie nowych procedur rentowych w osadnictwie krajowem ustało prawie zupełnie. Wszędzie bowiem władza ta kładzie za warunek swej pomocy, aby część kolonii była oddana w ręce niemieckie i to w stosunku przez nią oznaczonym tak co do liczby osadników, jak co do obszaru ziemi. Chociaż pod tym względem wymagania Komisyi generalnej odpowiadają stosunkowi mieszanych narodowości w danej okolicy, słuszność przecież jest tylko pozorna. Wiadomo bowiem, że na niemiecką ludność, zamieszkałą w Poznańskiem, składają się przeważnie miasta, skąd przesiedlanie na wieś należy do nadzwyczajnych wyjątków. Wiadomo dalej, z jakiemi trudnościami walczyć musi Komisya kolonizacyjna, aby z dalekiego zachodu sprowadzać niemieckich kolonistów, i jak nieodpowiednim jest ten materyał osadniczy pomimo podjętych na wyszukanie go zachodów i kosztów. Łatwo więc zrozumieć, że cały zasób miejscowych osadników niemieckich jest zużyty i mimo najlepszej chęci przedsiębiorca parcelacyjny żądaniu Komisyi generalnej, aby osiedlić pewną liczbę Niemców, zadość uczynić nie może. Skoro więc parcelacya na przestrzeni przeznaczonej dla

[1] *Die deutsche Ostmark. Der preussische Staat als Polonisator und Herr prof. Delbrück.* Str. 30.

Polaków jest skończona, a Niemców na resztę parcel znaleść nie można, Komisya gen. cofa swą pomoc i pozbawia Polaków już osiedlonych dobrodziejstw prawodawstwa rentowego. Klasyczny przykład tego postępowania mieliśmy niedawno w Piaskowie, gdzie cała parcelacya faktycznie jest ukończona, pomiary przeprowadzone, osadnicy w budynki i inwentarze od dawna zaopatrzeni, jednem słowem wszystkie stosunki uregulowane, i tylko już czekało się przekazania kontraktem rentowym rent na Bank rentowy. Generalna Komisya w ostatniej chwili zawiesiła postępowanie: „ponieważ swego czasu stawiony warunek, aby 25% osadników było Niemców, nie został wykonany, nadto dotychczas osiedlone katolickie, z polskiemi niewiastami ożenione osoby niemieckiego pochodzenia, za Niemców nie mogą być poczytane“. Pomimo tych trudności i innych, jak zwyżki cen ziemi, spowodowanej poszukiwaniem majątków ziemskich do parcelacyi przez Komisyę kolonizacyjną niemiecką i hakatystyczny dziesięciomilionowy *Landbank*, kolonizacya polska się rozwija normalnie, Bank nasz ziemski może się wykazać dzięki rozszerzonemu kapitałowi zakładowemu przewyżką zysku w porównaniu do lat poprzednich o okrągłe 30.000 mk i płaci jak zawsze 4% dywidendy [1]. Cyfry te dowodzą, że lokowanie kapitałów w tym interesie służy sprawie naszej, a mimo to właściciela na straty nie naraża. W niektórych kołach panuje zdanie, że Bank ziemski zanadto jest ostrożny, obrachowany. To jednak nie powinno być bankowi poczytane za grzech, zważywszy, że wskutek nieoględności dawniejszych naszych instytucyj finansowych fortuny całe przepadały. Obok Banku pracują nad osadnictwem polskiem różne spółki ziemskie, jak np. poznańska, toruńska i lokalne spółki parcelacyjne, np. w Ołoboku, Gorzykowie, Pinczynie i t. d. a jakkolwiek o niektórych z nich mówi się, że starają robić dobre interesa i pod płaszczykiem frazesów patryotycznych napełnić swe kieszenie, a zwłaszcza kieszenie członków zarządu, to mimo to wobec koniecznego prądu parcelacyjnego odegrają

[1] 8 i 9 Sprawozdanie i rachunki roczne Banku ziemskiego w Poznaniu, 1896 i 1897.

one wielką rolę, gdy sama ludność wiejska, dążąc do zaspokojenia swych potrzeb społecznych, w takie spółki organizować się będzie i wytworzy z czasem potrzebne do tego zasoby finansowe.

Zasoby te zaś lud nasz gromadzi coraz systematyczniej nie tylko przez wydatniejszą pracę na roli własnej, ale na obczyźnie. Hakatystyczne dzienniki z wyrazem oburzenia i boleści donosiły niedawno, że polscy robotnicy rocznie około 8 milionów marek do domu przynoszą. Wychodźtwo robotników polskich do Niemiec stało się nader ważnym objawem w naszem życiu społecznem i ekonomicznem, objawem elementarnym, nie dającym się niczem powstrzymać. Liczba tych robotników jest bardzo wielka. Na wiosnę wychodzą całe pociągi kolei żelaznej na zachód. Z niektórych wsi piąta część mieszkańców w świat idzie, tak np. z Cilczy pod Jarocinem na 800 ludzi 120 mężczyzn a do 60 kobiet, ze Słupi pod Rawiczem, liczącej 1100 mieszkańców, około 200 ludzi idzie na robotę do Ślązka, Saksonii, Westfalii i Pomeranii. Do samego Szczecina przybyło w r. 1894 około 20.000, w następnym roku było ich więcej. W samym Berlinie jest ich 50.000, tyleż we Westfalii i prowincyi nadreńskiej. Około Bochum w Westfalii żyje 41,6‰, zatem więcej niż w Gdańsku, Malborgu; w Gelsenkirchen w Westf. nawet 81,8‰. Niema żadnego większego miasteczka, nawet wsi większej od granicy wschodniej Brandenburgii aż do Alzacyi, od północnej Bawaryi aż do Danii, gdzieby nie było robotników polskich. Liczba ogólna 300.000 nie jest za wielka. Pochodzą oni z Księstwa, z Prus Zachodnich, ze Ślązka i z Królestwa Polskiego. Z Galicyi Polaków na Zachodzie wielu niema. Jedni z tych wychodźców zostają stale na obczyźnie przez kilka lub kilkanaście lat, drudzy idą na wiosnę w świat, a wracają corocznie jesienią do domu. Pozostających na obczyźnie jest przeciętnie 5%. Ci, jeżeli nie mieszkają w miejscu, gdzie jest wielu Polaków, np. w Berlinie, Bochum, giną na zawsze tak dla Kościoła, jak dla narodu.

Zatrudnienie robotników polskich jest różne, pracują w polu, we fabrykach, przy kopalniach, przy robotach ziemnych. Szczególnie zajęci są przy robotach polnych, gdyż od kilku lat nie

mieccy robotnicy wiejscy wynoszą się do miast na wygodniejsze życie. Miejsca opróżnione zajmują robotnicy polscy. Za ciężką pracę otrzymują oni zapłatę prawie jeszcze raz tak wielką, aniżeli w stronach rodzinnych. Zarobek dzienny wynosi przeciętnie dla mężczyzny 3—4 mk., dla niewiasty 1,50—2 mk. Po fabrykach zarabiają nieraz jeszcze więcej. Wszakże dzieje się to regularnie kosztem zdrowia i życia. Robota trwa dla robotników rolnych tylko pół roku. Ponieważ przeważna część prowadzi bardzo oszczędne życie — pokarm codzienny stanowi u bardzo wielu chleb, okrasa i wódka, a tylko w niedzielę żywią się ciepłą strawą — więc sumy zarobione i oszczędzone, jakie przynoszą do domu, są znaczne. W niektórych miejscach zarabiają parobcy po 360 mk., a dziewki do 240 mk. przez jedno lato. Przeciętnie biorąc, mężczyzna oszczędny odsyła przez jedno lato do domu 240 mk., a dziewczyna do 150 mk. Przypuśćmy zatem tylko 50.000 wychodźców z Księstwa Poznańskiego, a jest ich znacznie więcej, to jeżeli każdy oszczędzi po 150 mk., ogólna suma przyniesionych do kraju pieniędzy wynosi 7,500.000 mk. W ten sposób gospodarze, mający kilku synów i córek, za pieniądze zarobione przez dzieci dokupują gruntów i nie potrzebują zbytnio rozdrabniać gospodarstw, co niestety w niektórych okolicach ma już miejsce. Oczywiście nie wszyscy wychodźcy wracają z groszem, jest znaczny procent, który marnuje krwawo zapracowany grosz na obczyźnie i o żebranym chlebie napowrót do domu wraca. Obieżysastwo, jak zwią ten prąd wychodźczy, przynosi wiele strat społeczeństwu, wynarodowienie się 4—5% wychodźców, brak robotnika w domu, zwłaszcza ogromne szkody na polu moralnem i religijnem; pod względem ekonomicznym musimy uznać ten prąd za korzystny, korzystny nietylko dla chłopów właścicieli, ale chłopów wyrobników i robotników.

Dzięki właśnie korzystnej sprzedaży swej pracy na obczyźnie oszczędny robotnik staje się z czasem właścicielem ziemi na wsi, czyli też domku w mieście. W niektórych miasteczkach można widzieć szeregi domków nowych, schludnych z ogródkami — to owoc ciężkiej, długoletniej pracy na obczyźnie. Po-

nieważ polskie społeczeństwo obecnie dostarcza tak poważnego kontyngensu robotników, nie dziw więc, że wszelkie reformy socyalne, mające na celu polepszenie doli robotnika, biorące w obronę pracę przed wyzyskiem kapitału, wychodzą w pierwszej linii naszemu społeczeństwu na korzyść i polepszają warunki jego bytu. Pod względem zaś reform socyalnych państwu pruskiemu trzeba oddać tę słuszność, że wyprzedziło wiele społeczeństw. Wielkiej doniosłości między innemi jest dla nas ustawa z dnia 22 czerwca 1889, dotycząca przymusowego zabezpieczenia robotników i wogóle wszystkich pracujących za myto i zapłatę, jeżeli ta zapłata nie wynosi więcej nad 2.000 mk. rocznie, na wypadek niezdatności do pracy i na starość. Ustawa ta pozostawia wprawdzie wiele do życzenia. Rentę np. starości wedle niej otrzymać można dopiero po ukończeniu 70 roku życia, podczas gdy w Danii już z 65 czy z 60 rokiem życia. Cały aparat urzędniczy jest bardzo ciężki; lwią część zabiera państwo, drugą pochłaniają biura i urzędnicy *ad hoc* ustanowieni; są wielkie trudności w uzyskaniu renty inwalidów, którą przy pomocy lekarzy i urzędników redukują zwykle do minimalnej sumy tj. około 120 mk. rocznie, system wlepiania znaczków jest bardzo niedogodny, chlebodawcy mają niewątpliwie wielki ciężar, z tem wszystkiem robotnik jest zabezpieczony, nie potrzebuje żebrać i być ciężarem gminy lub swoich, a tem samem tak liczna część naszego społeczeństwa jest uchroniona od zgubnych skutków nędzy i pauperyzmu.

W ten sposób lud nasz wiejski czy robotniczy robi ustawiczne postępy kosztem rzekomo osadników niemieckich i większych właścicieli polskich. Co do pierwszych, to ubytek ich stwierdzają z wielką, być może udawaną rozpaczą, niemieccy szowiniści. Najstraszniejszą zbrodnią społeczeństwa polskiego jest to, że polonizuje Niemców, zwłaszcza katolików. Głównie polonizacyi kilkuset t. zw. Bambrów około Poznania nie mogą pangermanie przeboleć. To fakt niewątpliwy, że społeczeństwo polskie zasymilowało wiele jednostek niemieckich, zwłaszcza przez małżeństwa, i w ten sposób zyskało dzielny nabytek także i pod względem ekonomicznym, dowodzi tego zresztą dość

znaczna liczba nazw niemieckich wśród Polaków, z tem wszystkiem kwestya, czy daleko więcej nie straciło społeczeństwo polskie i traci na rzecz żywiołu niemieckiego. Twierdzą również, że wielu osadników niemieckich w Poznańskiem emigruje do Ameryki, i to bynajmniej nie ubodzy, lecz właśnie lepiej sytuowani, zwłaszcza młodsi synowie chłopów niemieckich, na ich zaś miejsce osiedlają się Polacy. Jest w tem coś racyi; dopóki rólnictwo się opłacało, zatem przed 1870 r. przedsiębiorczy Niemiec chętnie się osiedlał na zalecanych łanach poznańskich, obecnie gdy się nie opłaca, szuka w innem zajęciu lepszego i łatwiejszego zarobku czy w mieście, czy też za morzem. Tam też żywioł niemiecki odgrywa całkiem inną rolę, niż jako chłop na chudej glebie poznańskiej. „Chłop polski natomiast — jak to sami Niemcy przyznają — daleko mniej wymagający, tam gdzie Niemiec ostać się nie może, znajduje wystarczające dla siebie utrzymanie“ [1]. Nie trzeba zapominać, że Niemiec przeciętnie potrzebuje na życie 168 mk., Polakowi wystarcza 100 mk. Żywioł niemiecki zresztą coraz bardziej garnie się do miast, podczas gdy żywioł polski lgnie jeszcze do wsi i chętnie uprawia swój zagon. Niemcy znajdują nadto utrzymanie w urzędach, Polacy nie. Te to okoliczności złożyły się, że w osadach czysto niemieckich kiedyś, dziś chłopi polscy się osiedlają i grunta od Niemców wykupują. Obecnie jeszcze jeden moment odgrywa rolę ważną urzędowa kolonizacya, darząca osadnika Niemca daleko idącymi przywilejami. Chcąc tych przywilei stać się uczestnikiem, przedaje przedsiębiorczy Niemiec grunt swój chłopu polskiemu, melduje się do Komisyi kolonizacyjnej, czy generalnej, czy *Landbanku*, i jako podpora zagrożonej niemieckości korzysta z licznych beneficyi na ten cel wyznaczanych. Dawniej ciągnął z antypolskiej polityki zyski głównie junkier i nabywca większej własności, dziś skoro się przekonano, że wielki właściciel, mając wyłącznie robotników polskich, nie germanizuje szybko kraju, pokłada się nadzieje w drobnych osadnikach, a ci zbyt są rozsądni, by nie skorzystać z ofiar na ten cel łożonych.

[1] Fink, l. c. str 93.

Pradziadkowie połowy (tj. 800 na 1.900) osadników, osiedlonych przez Komisyę kolonizacyjną, pochodzących z Ks. Poznańskiego i Prus, otrzymali za darmo lub półdarmo ziemię na tych kresach, dlaczego ich prawnuki nie miały, spieniężywszy dobrze te darowizny na rzecz chłopów polskich, korzystać z powtórnych donacyj? Dziwna rzecz, jak wszelkie niesprawiedliwe rozporządzenia chybiają zamierzonego celu!

Pojawiają się głosy, iż postępy chłopa kosztem dworu szlacheckiego nie są objawem dodatnim. Parcelacya jest złem koniecznem, powiadają, posiadającem racyę bytu jedynie wtedy, gdy niema innego środka do ocalenia ziemi przed przejściem jej w ręce obce. Jeden dwór szlachecki więcej znaczy, niż sto zagród chłopskich, których właściciele pomimo nawet najszczerszej woli i chęci już z czysto materyalnych względów nie są w możności wypełnić należycie posterunku, opuszczonego przez właściciela wielkiego majątku, mało uzasadnione są przeto nadzieje, że po upadku szlachty zajmie zagrożoną zalewem germanizmu placówkę chłop poznański. Zdaniem piszącego, podobne twierdzenie jest niesłuszne i bezprzedmiotowe. Niesłuszne, bo ile warte są owe sto zagród chłopskich, najlepiej okazało się w Czechach, a nawet na Ślązku pruskim, gdzie świadomość narodowa wśród ludu i praca narodowa jest energiczniejsza i wydatniejsza, niż w Poznańskiem. Bezprzedmiotowe jest zaś dlatego owo twierdzenie, albowiem i dwór ekonomicznie zrujnowany mimo najlepszych chęci z czysto materyalnych względów nie może należycie wypełnić zajmowanego przez się posterunku, dwór zaś ekonomicznie silny nie potrzebuje uciekać się do parcelacyi. W zażartej zaś walce, jaka się u nas toczy, jest owszem rzeczą pożądaną, aby broń z omdlałej dłoni wypadającą wciskać do rąk krzepkich i zdrowych, które w walce nie słabną i społeczeństwo całe do pewnego wiodą zwycięstwa, bez względu na to, czy one są chłopskie, czy szlacheckie.

Reasumując zaś wyniki tej ekonomiczno-rasowej walki, musimy stwierdzić, iż dwory polskie mają straty do wykazania, straty atoli chwała Bogu coraz mniejsze, mieszczaństwo nasze poszczycić się może sukcesami wcale znacznymi, ma jednak

wiele jeszcze do zrobienia, aby dorównać ze wszech miar mieszczaństwu niemiecko-żydowskiemu, chłop gospodarz stanowczo ma przewagę nad kolonistą niemieckim, czy jakościowo, czy ilościowo, i pomimo olbrzymich wysiłków państwa i wojowniczej części społeczeństwa niemieckiego, a w części dzięki im odnosi drobne, ciche co prawda, ale ustawiczne sukcesa. Robotnik wreszcie polski nie ma konkurencyi przed sobą, przeciwnie on wkracza na terytoryum niemieckie i tu w kraju wroga zdobywa środki do umocnienia ekonomicznego żywiołu polskiego w domu. Bilans zatem wypada ogółem dla nas korzystnie i dla tego to taki alarm w obozie naszych najserdeczniejszych, i dla tego to takie dęcie w surmy wojenne i domaganie się nowych środków wyjątkowych przeciw nam. Cicha, wytrwała praca i oszczędność zniweczy te zamachy niewątpliwie na polu ekonomicznem, jaki zaś jest skutek tych zamachów na polu narodowem, to ma być przedmiotem osobnej pracy.

Wielkopolanin.

DZIAŁALNOŚĆ KATOLIKÓW W KRAJU

NA POLU SOCYALNEJ ORGANIZACYI[1].

Myśl organizacyi stanowej nie jest dzisiejsza; jest ona spuścizną lepszej przeszłości narodów chrześcijańskich, spuścizną średnich wieków, gdy to w cechach królowała jedność, harmonia, porządek i dobrobyt.

I w Kościele katolickim jest podwójna organizacya. Jedna terytoryalna, według dyecezyj i probostw; druga oparta na idei stowarzyszeń tj. klasztory. I na tę drugą organizacyę powołuje się Ojciec św. w encyklice z dnia 25 maja 1891 r., gdy mówi: „przychodzą Nam tu na myśl różne stowarzyszenia, cechy i zgromadzenia zakonne, które zrodziła powaga Kościoła i pobożność wiernych; ile zaś dobrego one sprowadziły na ludzi, o tem wymownie świadczy historya". A nieco niżej pochwala tych mężów, którzy „znów różnych rękodzielników usiłują złączyć w odpowiednie stowarzyszenie, wspierają radą i czynem, starają się o dostarczenie uczciwej a korzystnej pracy"; — „którzy dobrowolnie zniżając się niejako do klasy robotniczej, usiłują zakładać stowarzyszenia i bogato je uposażać, by pod ich opieką mógł robotnik nietylko obecne potrzeby zaspokoić z łatwością, lecz także przy pracy zebrać zapas na utrzymanie swe uczciwe w późniejszym wieku. Stąd też i na przyszłość żywimy jak naj-

[1] Wykład miany na kursie socyalnym w Krakowie.

lepsze nadzieje, byleby tylko te stowarzyszenia wytrwale się pomnażały liczebnie i rozumne miały kierownictwo".

Mając taką powagę za sobą nie potrzeba już szukać dowodów na poparcie twierdzenia, iż stanowa organizacya społeczeństwa jest niezbędna, i że do takiej organizacyi katolicy dążyć powinni. A więc przechodzę zaraz do pierwszej części mego zadania, co zdziałali na tem polu katolicy.

Zacznę od rękodzielników.

Dawniej stan ten był podwaliną państwa przez swe zasady religijne, konserwatywne i swój majątek.

W czasach średniowiecznych, przez złych historyków tak niesumiennie ciemnymi zwanych, kwitł stan rękodzielniczy. Rękodzielnicy, idąc za wzorem zakonów kościelnych, łączyli się w cechach na życie i śmierć, aby w nich znaleźć obronę przeciw wyzyskowi i tyranii innych stanów, przeciw gwałtom na słabszych wykonywanym, — i pomoc wspólną we wszystkich potrzebach. Istotą cechów była miłość braterska, cześć stowarzyszenia, solidarność członków, a tem samem i odwaga do życia i zadowolenie w rzemiośle.

Majster, czeladnik i terminator tworzyli niejako wspólną rodzinę. Majster był ojcem terminatora i brał za jego sprawowanie się moralną odpowiedzialność. Ale też do rzemiosła przyjmowano tylko dobrych chłopców i z uczciwych rodziców; a przyjęcie takie do rzemiosła odbywało się uroczyście wobec majstrów cechowych.

Gdy chłopak po upływie lat przepisanych wyzwolił się, a to dopiero po zrobieniu sztuki przepisanej, i gdy żaden z cechowych nie podniósł przeciw niemu zarzutu, natenczas szedł na wędrówkę w celu dalszego kształcenia się. Ale i w tej wędrówce, zdala od gniazda, gdzie wyrósł i wychował się, znajdował wszędzie w cechach serce i opiekę. Cech wtenczas zastępował mu rodzinę i czuwał nad jego zachowaniem się, pilnością i pracą. Majster przyjmował go do rodziny, a starsi czeladnicy nadzorowali prowadzenie się młodszych i wykonywali nad nimi pewną część praw sędziowskich.

Egzamin otwierał znowu czeladnikowi drogę do cechu, ale

tylko wtenczas, gdy w życiu swem nie splamił się. Jeżeli zaś czeladnik był ladaco, to go cech karcił bez litości i do godności majstra nie dopuścił. Ustawy cechowe jak z jednej strony trzymały w karbach czeladź, tak z drugiej strony broniły ją od wyzysku majstrów.

Ale cechy troskały się i o doborowość towaru; cechmistrz zaś miał obowiązek kontrolować majstrów, a za zły towar lub robotę złą karać; wydawać nadto przepisy o technice i formie wyrobów, i uchwalać taksy, aby i kupujących od wyzysku ochronić. Ponieważ zaś każdy rękodzielnik od młodości już rósł w sferze ogólnej assocyacyi, nie dziw, że i pod tym względem cechy cel swój osiągły.

Trzecim momentem pochwały godnym była wspólna pomoc. Ze wspólnej kasy wspierano młodych czeladników, ubogich majstrów i wdowy. A nadto wdowie przeznaczano zdolnego czeladnika, który prowadził dalej rzemiosło pod kontrolą jednego z najbliższych majstrów. Wreszcie wszelkie sprzeczki załatwiano w cechach nieodwołalnie. W taki sposób panowała wszędzie solidarność, cześć, spokój i zgoda. Nie dziwna tedy rzecz, że w stanie rękodzielniczym wzmagała się siła, rósł dobrobyt i pomyślność. I nikt nie wiedział, co to znaczy sieroctwo, odosobnienie, co walka o byt, co nędza, rozpacz, intrygi lub prześladowanie. Każdy rękodzielnik czuł się i był rzeczywiście członkiem jednej wielkiej rodziny, w której miłość i braterstwo kojarzyły wszystkich.

Ale i równowaga między kapitałem a pracą została zachowana, i nie wiedziano, co zła konkurencya, co wyzysk. Zanim bowiem ktoś został majstrem, musiał dać dowody nieposzlakowanego charakteru i zdolności fachowej.

Te przymioty zrodziły potęgę w owym średnim rękodzielniczym stanie, przysporzyły mu dobrobytu i nauczyły sztuki w samem rękodzielnictwie. Katedry, pałace pokazują dzisiaj jeszcze arcydzieła wyrobu rękodzielników czy z żelaza czy z drzewa.

I było rękodzielnikowi wesoło i miło, i miał starość zabezpieczoną, a po śmierci dobrą pamięć u potomnych.

A wszystkie te zalety płynęły z Kościoła katolickiego. Dlatego słuszną jest uwaga ks. Chotkowskiego, skreślona w broszurze: „Rzemiosła i cechy krakowskie w XV. wieku“: „Żadne jednak ustawy ani przepisy choćby najsurowsze nie zdołają utrzymać w karbach społeczeństwa, jeśli go nie łączy duch chrześcijańskiej jedności. A to właśnie stanowiło w średnich wiekach siłę i spójnię rzemiosł i cechów; z jego ustaniem i one rozchwiać się musiały“.

Powoli wyrodziły się cechy i upadły. Z dobrobytem przyszło zobojętnienie ku wierze, a w następstwie tego upadek chrześcijańskiej miłości. Samolubstwo, zazdrość opanowało majstrów, zapomnieli o ofiarności i solidarności, zamknęli się jak ślimak w ciasnem kole swych krewniaków — i zginęli.

Historya cechów uczy, że trzymanie się zasad nauki Kościoła naszego daje w praktycznem nawet życiu dobrobyt i wolność, utrata zaś wiary sprowadza śmierć ekonomiczną.

Ale nie sami rękodzielnicy zawinili. Duch czasu przygotowany naukami Milla, Spencera i innych, którzy proklamowali liberalizm i indywidualizm, i wyrobili w społeczeństwach brutalność pewnych indywiduów, a w państwach ustawy o wolności handlu, lichwy, dowolnego przesiedlania się, przemysłu, włóczęgostwa, jednem słowem wolność pożerania słabszego; nadto zdumiewający postęp techniki a łącznie z nim podział pracy, zmieniający zupełnie tryb produkcyi — zadały ostatni cios rękodzielnikom i zniszczyły na zawsze dawne, zamknięte w sobie, a w produkcyi samodzielne, gospodarstwo domowe.

Na mocy tych nowych liberalnych zasad wieku, industrya okradała codziennie rękodzielnika w dziedzinie jego pracy i jego zbytu; a wielki kapitał wsunął się ze swym gotowym towarem pomiędzy rękodzielnika a konsumenta, zabierając rękodzielnikowi resztę dochodu i roboty.

W naszym kraju zaś przyczyniły się do upadku rękodzieł i przemysłu nadto wygórowane podatki, ustawa o stemplowaniu srebra, kosztowności i innych wyrobów. Zaś za sól z Wieliczki, za tytoń z wschodniej Galicyi, za sprzedane dobra królewskie ściągnięte pieniądze szły do Wiednia. Nie dosyć tego. Rząd

niechętny naszej prowincyi, z której dla bogatszych prowincyj chciał zrobić miejsce zbytu, zabrał depozyta Tarnowa, Lwowa i Stanisławowa i istniejące fabryki do zamknięcia zmuszał.

I tak fabryka wyrobów bawełnianych we wsi Nawsie pod Jasłem musiała być zamknięta, bo rząd odwołując się do patentów z roku 1777, 1784 i 1789, które mówią o stemplowaniu towarów, kazał przesyłać towary przed sprzedażą do ostemplowania do Wiednia, zamiast tego rodzaju urząd zaprowadzić w Jaśle, lub choćby w innem mieście w kraju. Tak upadł przemysł wyrabiania płócien w Dębowcu, Żmigrodzie. A w Załościach nie mogła być otwarta fabryka przednich sukien, bo rząd domagał się z góry podatku dziesięć tysięcy złr. Były to straszne rządy macósze, które przez cały blizko wiek miały na celu zniszczenie kraju; a dzisiaj nie sromają się zbogacone prowincye krwią i łzami naszemi, wołać: *Ein passives Land!*

Dezorganizacya i absolutna samowola cechów, zaniedbanie uprawnionej państwowej pomocy i opieki, szkodliwe wpływy ustaw, protegujących wielki kapitał, odszczepieństwo od Kościoła, zerwanie z tradycyą, co to piastowała miłość bliźniego, zasadę solidarności i zaparcia się, a wreszcie zasmakowanie w źle pojętej wolności, — oto powody ruiny rękodzielników.

I upadł ów stan rękodzielniczy, a miejsce jego zajęli robotnicy fabryczni, jęczący w więzach kapitału.

Katolicy poczęli szukać lekarstwa na tę niedolę. A ponieważ odpadnięcie od Kościoła, samolubstwo, brak solidarności, brak zasad chrześcijańskich sprowadziły upadek rękodzielników, więc ludzie dobrej woli pracują nad tem, aby przez łączenie rękodzielników w stowarzyszenia, przez odnowienie ducha solidarności, wzajemnej pomocy i miłości, przez odnowienie ducha chrześcijańskich przekonań, na nowo do życia powołać rękodzielnictwo i mały przemysł.

Za wzór służą im cechy średniowieczne. Ale chociaż, jak słusznie powiedział w swym wykładzie ks. dr. Pawlicki, organizm społeczny nigdy nie powraca do stanu dawnego, i stare formy złamane odżyć nie mogą, przecież to, co było w owych

cechach dobrem, należy przywrócić, ale nadać im formy temu wiekowi odpowiednie, tj. formę stowarzyszeń i spółek.

I dzięki Bogu na tem polu łączenia rękodzielników, czeladników, robotników w stowarzyszenia i zawiązywania różnorodnych Spółek i Kółek rolniczych wiele i bardzo wiele zdziałano w kraju.

I. Co zdziałano?

A. Początek owego ruchu w kraju naszym nie sięga dalekiej przeszłości. Pierwszy, który podniósł myśl złączenia czeladzi w jedno stowarzyszenie pod nazwą „Skała“, był ks. Odelkiewicz we Lwowie. Znalazł on uczciwych czeladników, którzy wzięli na siebie słodkie jarzmo solidarności w stowarzyszeniu; ale znalazł nadto bardzo wielu ofiarnych z warstw arystokracyi polskiej, którzy nie żałowali grosza na podtrzymanie pierwszego w kraju stowarzyszenia na zasadach katolickich opartego. Cześć tym pierwszym pionierom stowarzyszeń katolickich.

Później zawiązała się „Gwiazda“ lwowska. Ta miała także swoje piękne chwile w przeszłości, ale obecnie zeszła na tory kosmopolityczne, z krzywdą idei religijnej, a nawet i polskiej.

W r. 1881 zawiązały się w kraju dwa stowarzyszenia rękodzielnicze, jedno we Lwowie „Rodzina“, drugie w Tarnowie „Gwiazda“.

„Rodzina“ została zawiązana w r. 1881 przez zacnych i poczciwych obywateli, którzy odczuli potrzeby klasy rękodzielniczej, w ubóstwo i prawie nędzę podupadłej. Mężami tymi byli: Piotr Miączyński, przemysłowiec lwowski, i Szczepan Wicherek, także przemysłowiec. Zasady tego stowarzyszenia są te same, jakie ma w swych statutach prywatne Towarzystwo oficyalistów. Celem jego jest: małemi oszczędnościami zabezpieczyć sobie byt na wypadek kalectwa i nieudolności do pracy, a na wypadek śmierci zabezpieczyć los żonie i sierotom. Od ilości płaconych udziałów zawisła wysokość ubezpieczenia; a jeden udział wynosi rocznie 4 złr. Oprócz tego płacą członkowie na fundusz oddziałowy 1 złr. rocznie, na fundusz stypendyjny 50 ctn., a na fundusz administracyjny 25 ctn. Korzyści zbiera

członek dopiero po upływie pięciu lat należenia do stowarzyszenia. I tak: z funduszu oddziałowego pobiera w razie potrzeby zapomogi doraźne; z funduszu stypendyjnego pobiera dziecko stypendyum. Obecnie córka stróżowej pobierała 60 złr. rocznie stypendyum, i to przez lat trzy, gdy matka jej złożyła w „Rodzinie“ zaledwie 20 złr. tj. po 4 złr. rocznie przez lat pięć Za 20 złr., złożonych przez matkę, pobrała córka 180 złr. A takich wdów i sierót jest w „Rodzinie“ bardzo wiele. Drugi fakt dobrodziejstwa. Pewien maszynista należał pięć lat do „Rodziny“ i wpłacił na udziały 100 złr. razem; żona jego i dzieci po jego śmierci pobierają już lat sześć po 75 złr.

Członkowie centralnego wydziału pełnią swe obowiązki za darmo, tylko z poczucia obywatelskiego. Ale tym ciężarom nie podołaliby sami członkowie „Rodziny“, gdyby nie szeregi ofiarnych mężów, którzy rok rocznie dają dobrowolne wkładki na cele towarzystwa. Ze sprawozdań od r. 1890 do 1896, które mam pod ręką, imiona tych dobrodziejów tutaj przytoczę: Wiktor Osławski rocznie 100 złr; z fundacyi Konstantego Zachorskiego 100 złr., a od r. 1891 150 i 200 złr. rocznie; Galicyjska Kasa Oszczędności 100 złr.; Tadeusz Czarkowski-Golejewski 230 złr. Zaś w r. 1895 otrzymała „Rodzina“ zapis ś. p. Wiktora Osławskiego w wysokości 20 tysięcy złr.; od Czarkowskiego-Golejewskiego grunt przy ulicy Janowskiej, a od Felicyi hr. Golejewskiej-Czarkowskiej z trzystutysięcznej fundacyi na kształcenie zagranicą rzemieślników także pewną część procentów.

Rachunki z końcem roku 1895 tak się przedstawiają:

1.	Fundusz	dyspozycyjny	31.609 złr.	40	ctn.
2.	„	żelazny	43.234 „	70	„
3.	„	rezerwowy	2.729 „	01	„
4.	„	stypendyjny	3.363 „	—	„
5.	„	oddziałowy	2.851 „	16	„

Ogólny majątek 75.025 złr. 06 ctn.

Wypłacono stałych zapomóg i stypendyów od r. 1889 do końca r. 1895 sumę 3.648 złr. 46 cnt.

Stowarzyszenie „Rodzina“ obejmuje cały kraj i dzieli się na oddziały: bocheński, borszczowski, gródecki, kałuski, lwowski

nowotarski, przemyski, sanocki, stanisławowski, sokalski, stryjski, tarnopolski, winnicki i złoczowski. Rozwiązano oddziały w Czortkowie, Drohobyczu, Horodence, Krakowie, Kołomyi i Nadwornej.

Daty te wszystkie i sprawozdania drukowane, z których korzystałem, nadesłał mi prezes „Rodziny“, p. Tadeusz Czarkowski-Golejewski, ordynat na Wysuczce, z którego listu ośmielę się przytoczyć następujący ustęp: „Gdyby u rękodzielnika naszego było poczucie obowiązków względem rodziny swojej, to ani jeden nie brakowałby w towarzystwie. Ale niestety niema u nas talentu oszczędności, a mniej jeszcze wytrwałości i poczucia obowiązków względem dzieci swych. Nasz rękodzielnik łatwym sposobem chciałby dojść do majątku, ima się haseł przeciwnych wierze i moralności Chrystusowej, haseł przeciwnych prawu, a widzi w nich deskę zbawienia, zapominając, że tylko uczciwą pracą, oszczędnością i zapobiegliwością można dojść do lepszych rezultatów, które krom tego zapewniają mu czyste i uczciwe sumienie“.

Przytoczyłem ten ustęp, bo się zupełnie na niego piszę.

Drugie stowarzyszenie rękodzielnicze na zasadach katolickich oparte, to „Gwiazda“ tarnowska, założona w r. 1881 przez ks. dr. Kopycińskiego i Jana Styłę.

Zasady są te same, co w stowarzyszeniu „Rodzina“. Ale nadto otrzymała „Gwiazda“ tarnowska od stolicy Apostolskiej jako patronów: Najśw. Pannę Maryą i św. Józefa i specyalne odpusty, i stoi pod protektoratem ks. biskupa Łobosia. Majątek czysty z końcem roku 1896 wynosił 20.091 złr., a to w wspaniałym gmachu, zbudowanym ze składek staraniem ks. Kopycińskiego w r. 1889. O tem stowarzyszeniu to jeszcze muszę podnieść, że odbywa rekolekcye duchowne w czasie wielkanocnym co roku, że jest silną zaporą w Tarnowie przeciw socyalizmowi i cieszy się ogólną sympatyą.

Do szczególnych dobrodziejów należą: Jan Czerwiński z Fürstenhofu, który w dniu założenia „Gwiazdy“ złożył tysiąc reńskich, książe Eustachy Sanguszko, Eksc. ks. biskup Ignacy Łobos, Rada miasta Tarnowa, tarnowska Kasa Oszczędności i Wysoki Sejm.

I „Gwiazda“ rzeszowska, zawiązana w r. 1891, jest według § 4 ściśle katolicką. Inicyatorem był ks. Józef Fałat, ówczesny katecheta seminaryum nauczycielskiego, i on opracował statut z kilkoma mieszczanami; nie wiadomo przecież, dla jakich powodów niema jego podpisu na statucie, ani wspomnienia w sprawozdaniach. W pierwszych latach cieszyła się „Gwiazda“ rzeszowska wielką sympatyą w mieście, obecnie duch w samej „Gwieździe“ podupadł. Mieszkania własnego nie ma i dlatego składki bywają obracane na opłatę mieszkania, co niezmiernie rozwój towarzystwa utrudnia. „Gwiazdą“ zajmował się gorliwie ks. Szczepan Wawro, a po opuszczeniu miasta obecnie zajmuje się Adam Wittik, kandydat notaryalny.

„Gwiazdę“ w Brodach zawiązał ks. Zygmunt Świstelnicki w r. 1891, także na zasadach katolickich. Ma ona członków wraz z wspierającymi około 200 i obejmuje czeladników i majstrów. Domu własnego nie ma.

„Gwiazda“ w Kołomyi została zawiązana w r. 1888, ale dla braku członków upadła, i niestety fundusze zebrane znikły. Gdy w r. 1892 Żyd Cetterbaum zawiązał w Kołomyi socyalistyczne towarzystwo „Praca“, do której cała prawie młodzież, niemająca się gdzie gromadzić, należała, i gdy tenże zuchwalstwo swoje do tego stopnia posunął, iż z lokalu stowarzyszenia wyrzucił obraz Królowej Polski Częstochowskiej, młodzież poczciwa udała się o pomoc do d-ra Jaworskiego, cechmistrza Bartza i Krużlewskiego, oficyała pocztowego. Ci trzej powołali na nowo do życia „Gwiazdę“ i zaraz mieli w tymże roku 91 członków. Na wzór innych Gwiazd urządza i ona różne zabawy i uroczyście obchodzi święta i pamiątki narodowe. „Gwiazda“ kołomyjska ma za członków tylko towarzyszy, a nie majstrów, a charakterystyczną jej cechą jest to, że Polacy i Rusini wspólne tworzą stowarzyszenie i są przedmurzem przeciw zżydziałemu socyalizmowi [1].

Muszę wspomnieć jeszcze o jednem stowarzyszeniu, które

[1] Istnieją jeszcze „Gwiazdy“ w Brzeżanach, Tarnopolu, Stanisławowie, Nowym Sączu, Przemyślu, lecz nie mając od nich żadnej (mimo prośby) wiadomości, wspomnieć szczegółowo o nich nie mogę.

na zupełnie innych podstawach jest oparte, i jest czysto dobroczynne, tj. o „Domu pracy“, istniejącym od r. 1880 we Lwowie pod godłem „Opatrzności“. Jest to dzieło czysto mieszczańskie, a ma według § 2 swych statutów na celu: „niezdolnym do pracy starcom i kalekom udzielać wsparcia w żywności, odzieży lub przytułku, zaś dla zdolnych do pracy ubogich urządzać i utrzymywać izby robocze i przytuliska“.

Założycielami byli: kupiec Stan. Markiewicz, ks. Zygmunt Gorazdowski i Leontyna Wernerowa. Początkowo udzielano ubogim rano szklankę herbaty z bułką, a w południe obiad. Później pod protektoratem księżnej Leonowej Sapieżyny przy współudziale dobrodziejów zakupiono realność przy ulicy św. Zofii. Następna protektorka, Marya hr. Badeniowa, zakupiła realność przy ulicy św. Piotra, gdzie w r. 1896 według planu radcy Hawryszkiewicza zbudowano dom jednopiętrowy, obliczony na 150 osób, i poświęcono 14 października. Obecnie przewodniczącą wydziału jest Konstancya księżna Sanguszkowa. Towarzystwo to liczyło w r. 1896 453 członków i miało dochodu 11.891 złr.

O stowarzyszeniach kredytowych, które stanowią w kraju jednolitą i bardzo liczną grupę, też nie wspominam, bo te tylko kredyt mają na celu, chociaż zasługi ich są wielkie, bo uwolniły kraj od lichwy, umożliwiły kredyt na dogodnych warunkach spłaty i za możliwie nizkiem oprocentowaniem. Chociaż, mówiąc nawiasem, znakomitą większość członków tworzą włościanie, przecie kredyt ów jest jeszcze dla nich za drogi.

Trzecia grupa stowarzyszeń jest grupa stowarzyszeń wytwórczych i handlowych, lecz ta źle się u nas rozwija. Wiele widać w nich pracowitości, a nawet poświęcenia się, ale interesowani mało o nie dbają, przez co rozwój tychże zostaje utrudniony.

Spółek rękodzielniczych produkcyjnych jest około trzydzieści; istotnie bardzo mało, gdy się zważy, że sejm już od 20 lat daje subwencye. Czuć w nich brak fachowo uzdolnionych ludzi, brak kapitału, lenistwo, niedbalstwo i nieufność tej części ludności, dla której mężowie pełni ofiar i poświęcenia te spółki zawiązali. Dla tych przyczyn wiele spółek zawiązanych rozwią-

zało się, istniejące ledwo wegetują, a o zakładaniu nowych mowy niema. Ale za to lichwiarze i spekulanci wyzyskują ciemny i ani o siebie, ani o rodzinę swą niedbający stan rękodzielniczy.

Dobrze rozwija się Towarzystwo powroźnicze w Radymnie, założone w r. 1884, i do tej chwili kierowane silną dłonią księdza Leona Pastora, miejscowego proboszcza. Z małych początków doszło do pięknych rezultatów, bo w r. 1895 miało w funduszu rezerwowym tysiąc ośm reńskich, a w udziałach 3.534 złr. i zakupiło sobie realność i wybudowało halę za cenę około trzynastu tysięcy reńskich. To stowarzyszenie jest katolickie i zatrudnia 36 majstrów, nie licząc czeladników i chłopców.

Również staraniem jednego z kapłanów zostało zawiązane w Żmigrodzie Towarzystwo dla wyrobu szat liturgicznych, aby handel rzeczami świętymi z rąk żydowskich wyrwać. Świetnie się rozwijało, ale dla braku ludzi rozwiązało się po trzech latach istnienia. Ale myśl podjął na nowo ś. p. adwokat Lewakowski z Krosna i założył tamże Towarzystwo, biorąc do pracy garstkę ludzi ze Żmigrodu. Obecnie toż Towarzystwo jest w ręku kapłanów i mężów katolickich.

Świetnie rozwija się Spółka ślusarska w Świątnikach górnych, założona w r. 1889 przez Kazimierza Bruchnalskiego, kierownika szkoły. Poważne zasługi położył około rozwoju tej Spółki obecny jej prezes, ks. Franciszek Karpiński. W r. 1889 wynosiły udziały 682 złr., a w r. 1895 dorosły do sumy 5.898 złr. Fundusz rezerwowy w r. 1889 wynosił 613 złr., a w r. 1895 podskoczył do 3.625. Szkoda, że w r. 1895 wypłacono członkom Spółki aż 15% dywidendy.

Istnieją Spółki tkackie: w Korczynie pod opieką św. Sylwestra, a protektoratem ks. Jana Szałaya, w Glinianach, Komarnie, Lwowie, Łańcucie, Wilamowicach i Krośnie, gdzie się zowie „Prządką“.

Pod koniec września r. 1896 było w naszym kraju 489 stowarzyszeń, a w liczbie tych 413 kredytowych, a 76 wytwórczych i handlowych. Ile jest stowarzyszeń rękodzielniczych, tak majstrów, jak i czeladzi, czysto humanitarnych, podać nie mogę. W kraju luźnie stoją te stowarzyszenia, czucia pomiędzy sobą

nie mają, i chyba święcenie sztandaru lub jaki jubileusz gromadzi delegatów, ale na to tylko, aby się zabawić. Była w r. 1894 podczas 25-letniego jubileuszu „Gwiazdy“ lwowskiej, poruszona myśl utworzenia związku krajowego „Gwiazd“, ale nie weszła w życie.

Gdyby życzenie, wyrażone przez Ojca św. „o łączeniu rękodzielników różnych w odpowiednie stowarzyszenia“, rychło w naszym kraju się urzeczywistniło, kwestya socyalna o znaczny krok naprzódby się posunęła, w korporacyi bowiem dopiero znaleźć można lekarstwo na duchową i materyalną biedę.

Stanowa organizacya społeczeństwa zrywa z zasadą wyuzdanego indywidualizmu, który rozdrobnił i w atomy rozbił społeczeństwo, i z drugą równie złą zasadą nieograniczonej a wolnej konkurencyi, która wznieciła straszną walkę o byt i ciągle ją podsyca. Ale ta organizacya, jeżeli ma przynieść zbawienne owoce, musi się opierać na chrystyanizmie, który egoizm podporządkowywuje zasadzie ogólnego dobra, a jednostkom zapewnia straconą miarę wolności.

Jako rzewny przykład wpływu dodatniego, jaki stowarzyszenia katolickie rodzą, niechaj posłuży następujący wypadek. W drugim roku istnienia „Gwiazdy“ tarnowskiej zmarł jeden członek w szpitalu. Gdyśmy ciało ze szpitala wynosili, obiegł jeden z członków z kapeluszem w ręku zebranych, którzy suto rzucali grosz do kapelusza na ulżenie gorzkich pierwszych chwil wdowieństwa. A zdarzało się często i zdarza, iż gdy rzemieślnikowi brakło gotówki na wykupno towaru z poczty, każdy członek „Gwiazdy“, do którego się udał, ostatni grosz mu wypożyczył, nie pytając, kiedy mu odda.

Jednem słowem, wpływ stowarzyszeń katolickich tak się da określić. Gdy przódy rękodzielnicy w mieście nie znali się, z zawiścią na siebie spoglądali i w rozbiciu żyli, po złączeniu się w stowarzyszeniu poczuli się braćmi, poznali, pokochali i niosą sobie pomoc, o ile na to każdego stać.

Dlatego z radością przyjmuje się do wiadomości założenie jakiegokolwiek stowarzyszenia, bo one są pomostem do stanowej organizacyi społeczeństwa, która w przyszłości połączy fa-

brykanta z robotnikiem, rękodzielnika z czeladnikiem, chłopa rolnika z parobkiem w jedną całość na zasadach miłości i sprawiedliwości chrześcijańskiej.

B. Znacznie później pomyślano o stowarzyszeniach robotników. Niestety, socyaliści uprzedzili tu katolików. Z tych stowarzyszeń pierwsze zawiązało się w Prądniku Czerwonym w lutym r. 1896 pod nazwą „Przyjaźń". Uroczystego poświęcenia lokalu 1896 r., a w rok później poświęcenia sztandaru dokonał książe-biskup krakowski, a kazanie wygłosił ks. dr. Chotkowski. Prezesem jest Maciej Lis, cieśla, dyrektorem ks. Lipke, a kuratorem ks. Łabaj.

Dalej istnieją „Przyjaźnie" w Dąbiu [1], Zakrzówku [2], Grzegórzkach [3], na Zwierzyńcu [4], na Kleparzu [5], w Podgórzu [6], Nowym Sączu, w Gorlicach [7], Starym Sączu [8], Żywcu i Limanowej. Razem zawiązano w r. 1896 13 „Przyjaźni".

Oprócz tych „Przyjaźni" należą do związku katolickich stowarzyszeń robotników: „Praca", stowarzyszenie czeladzi katolickiej w Krakowie, zawiązane w r. 1884 pod opieką św. Józefa [9], „Krakus", stowarzyszenie robotników na Kazimierzu — otwarcie lokalu i poświęcenie dokonane zostało przez ks. dr. Chotkowskiego 4 kwietnia r. 1896 [10], — i „Jutrzenka", stowarzyszenie robotników majstrów murarskich na Kazimierzu.

Komitet, zarządzający temi towarzystwami zbiera się co środę na probostwie św. Mikołaja pod prezesem generalnym, ks. dr. Chotkowskim, lub jego zastępcą, ks. proboszczem Łabajem.

Każda „Przyjaźń" i każde z tych towarzystw ma kasę

---

[1] Prezes: Golonek, wyrobnik: dyrektor: ks. Bieda T. J.; kurator: ks. Łabaj.

[2] Prezes: Nowak, dyrektor: ks. Mieloch T. J.

[3] Prezes: ks. Łabaj, dyrektor: ks. Dumana T. J.

[4] Prezes: Dudek, kurator: ks. Żeliwski.

[5] Prezes: Jarczyk, dyrektor: ks. prałat Skrzyński i ks. dr. Gołba.

[6] Prezes: Sokół, maszynista, kurator: ks. Wcisło.

[7] Kurator: ks. Żabicki i ks. Świeykowski.

[8] Kurator: ks. Rozwadowski i ks. Kumor.

[9] Prezes: ks. Tomasz Bukowski.

[10] Kurator: ks. Styla, Augustyanin.

zapomogową. Kasa zapomogowa, zarejestrowana wedle ustawy z r. 1892, ma być niebawem zawiązana.

W Tarnowie istnieje „Ojczyzna“, towarzystwo czeladzi, pod prezesem ks. dr. Dutkiewiczem, i „Praca“, stowarzyszenie robotników, pod kierownictwem ks. dr. Żygulińskiego. Sztandar „Pracy“ poświęcił ks. biskup Łobos dnia 1 grudnia 1895 r., a kazanie wygłosił ks. dr. Kopyciński.

Muszę jeszcze wspomnieć o „Jedności i „Przyjaźni“ lwowskiej.

Już przed trzema laty widzieć można było wyraźnie wśród lwowskich poważniejszych i katolickich robotników pewien odruch przeciw robocie socyalistycznej. Powody tego — zdaniem mojem — były z jednej strony ekonomiczne, a z drugiej strony moralne i religijne. Ekonomiczne, bo zbyt odczuwali robotnicy ciągłe płacenia na rozmaite składki, zarządzane przez socyalistów, oraz szkody materyalne, jakie ponosili przez strejki, inicyowane przez socyalistów, które w owych czasach ciągle ze szkodą robotników się kończyły. Złote zaś przyrzeczenia socyalistów ciągle były, jak i są przyrzeczeniami. Moralnym powodem tego odruchu był przymus, jakim prowodyrowie socyalizmu ciężyli na robotnikach, ich absolutyzm i naginanie robotników do swej woli, czy dalekich, obcych celów, które naszym robotnikom często do serca przemówić nie mogły. Tu także zanotować można lekceważące traktowanie instytucyi małżeńskiej i rodzinnej przez socyalistów. Religijnym wreszcie powodem był przemożny wpływ Żydów między socyalistami, a co za tem idzie, częste obrażanie uczuć religijnych naszych robotników. To budziło wśród nich niesmak. I stało się, że wielu robotników niezepsutych, a pociągniętych ku socyalizmowi jego obłudną litością nad dolą robotników, jego zapewnieniami obrony i t. d. zwolna poczęło się usuwać od socyalistów, lecz chociaż nieraz oburzali się na dalszą ich robotę, do żadnej czynnej akcyi nie zabierali się po prostu z obawy przed socyalistami, którzy nie przebierają w środkach. Tak stały rzeczy do wiosny 1896 r. Drugi wiec katolicki, który się odbył we Lwowie, obudził pewno silniejsze zaufanie w siły katolickie także między

robotnikami. Poczęli się oni ruszać. W tym czasie Bernard Müller, zecer, jeden z czynniejszych członków lwowskiej „Gwiazdy“ począł przemyśliwać o organizacyi robotników katolickich, którąby z jednej strony stanęła tamą przeciw agitacyi i zakusom socyalistycznym, a z drugiej strony umożliwiła realną pracę na drodze legalnej nad polepszeniem położenia robotników i zdobyciem słusznych postulatów. Pierwszym, któremu Müller ze swymi planami się zwierzył, był Stanisław Miszczyszyn, także zecer, i obaj zaczęli wnet agitacyę w swem kółku. W lipcu 1896 r. odbyło się pierwsze poufne zebranie przyszłych członków „Jedności“; o nazwie stowarzyszenia, ani o jego organizacyi wówczas jeszcze nic nie wiedziano w sali „Gwiazdy“. Było ich 17 i od razu powiedzieli sobie: bądźmy pierwszym realnym owocem wiecu katolickiego. Zebrania odbywały się coraz częstsze już nie w „Gwieździe“, bo ta w połowie przesiąknięta socyalizmem, krzywo się patrzyła na „spiskujących“, przychodziło coraz więcej robotników i wreszcie uchwalono zawiązać katolickie stowarzyszenie robotników „Jedność“ i to polityczne, bo dotąd w całej Galicyi nie mieli katoliccy robotnicy politycznego stowarzyszenia. Statuty ułożono prędko i 1 listopada 1896 r. otwarto „Jedność“. W chwili otwarcia liczyła „Jedność“ 105 członków; tak dobrze była przedtem prowadzona cicha agitacya. Prezesem wybrany został ów Bernard Müller, skarbnikiem Miszczyszyn. Dziś liczy „Jedność“ członków 450, a cała działalność jej dokładnie jest przedstawioną w poszczególnych numerach *Ruchu katolickiego* począwszy od nr. 1.

„Jedność“, jako stowarzyszenie polityczne, nie mogła na członków przyjmować osób ustawą niedopuszczonych, jak niepełnoletnich, obcych poddanych, kobiet i t. d. Aby pod tym względem rozwiązać sobie ręce, założyła obok siebie w styczniu 1897 drugie stowarzyszenie ogólne, humanitarne, „Przyjaźń“, na wzór „Przyjaźni“ krakowskich. „Jedność„ i „Przyjaźn“ mieszczą się razem i z umysłu wybranym został ten sam wydział i prezydyum. „Przyjaźń“ dotąd istniała więcej tylko na papierze, dopiero gdy w maju przemieniła się na katolicką z a r e j e s t r o w a n ą kasę zapomogową. „Przyjaźń“ narobiła w lwow-

skim świecie robotniczym ogromnego hałasu i ma wielkie szanse rozwoju.

Już zawiązując polityczną „Jedność“ i humanitarną „Przyjaźń“ wzorowała się organizacya katolickich robotników na organizacyi socyalistycznej. Idąc dalej tą drogą, przystąpiła. „Jedność“ do zawiązywania stowarzyszeń zawodowych, jakich socyaliści mają we Lwowie wiele. Najpierw zawiązano w maju 1897 r. stowarzyszenie zawodowe drukarzy „Wolność“. Członków założycieli było 30, dziś po miesiącu jest już 50.

Program „Jedności“ przyjęły za swój wszystkie stowarzynia robotników katolickich w kraju na zjeździe w styczniu b. r. w Tarnowie.

C. Myśl budowania tanich domów dla robotników zasługuje ze wszech miar na pochwałę i naśladowanie. P. Franciszek Słęk, dyrektor miejskiej Kasy Oszczędności w Krakowie, stworzył tę wielką ideę, którą w czyn zamienia Andrzej hr. Potocki, ofiarując na ten wzniosły cel 20.000 złr. i Stanisław hr. Tarnowski dając 40.000 złr. Do nich wolno odnieść pochwałę Leona XIII. (Enc. *Rerum novarum*): „Na wszelkie uznanie zasługują ci liczni z naszego obozu, którzy zważywszy należycie wymagania czasu, usilnie się starają sposobami uczciwymi polepszyć dolę robotników“; i owe pełne nadziei prorocze słowo papieskie: „stąd też i na przyszłość żywimy jak najlepsze nadzieje“.

W Anglii dawniej myśl tę już to finansiści, już to filantropi w czyn zamienili. Sir Peabody przeznaczył na ten cel 1,300.000 funtów szterlingów, za które to pieniądze wybudowano w Londynie domów dla 4.551 rodzin. Florencya zagwarantowała Towarzystwom budowy domów odsetki i amortyzacyę kapitału. Medyolan dał bezpłatnie grunt pod budowę takich domów. Havre darowało Towarzystwu 25.000 franków. W Tryeście z kasy Zakładu ubezpieczenia robotników wybudowano ośm domów jednopiętrowych, każdy na cztery rodziny.

Słuszną uwagę czyni *Głos Narodu* w num. 140 z r. 1897, że państwo i gmina powinny Towarzystwom budującym takie domy przyjść z subwencyą. Charakterystycznem jest to, że wszędzie zostawiono rozwiązanie tej kwestyi prywatnym osobisto-

ściom lub stowarzyszeniom, a nigdzie inicyatywy nie wzięło państwo ani gmina. I słusznie. Organa publiczne skrzywiłyby tę myśl wielką, a robotnicy uważaliby się za potrzebujących jałmużny, i nie oglądaliby się na samopomoc. Ale mimo to państwo powinno o tych domach myśleć, a to uwolnić je od podatków, udzielać subwencyj i pożyczek bezprocentowych. Bo te stowarzyszenia nie są ani dobroczynne, ani finansowe, a od prywatnych obywateli wszystkiego domagać się nie godzi.

W Krakowie zawiązało się w tym celu akcyjne stowarzyszenie, w skład którego wchodzą dr. Henryk Jordan, Andrzej hr. Potocki, Stanisław hr. Tarnowski, ks. dr. Chotkowski, Franciszek Sląk i inni. Jest to akcyjne towarzystwo z ograniczoną poręką. Ale rozwój jego zawisł od życzliwego a czynnego poparcia ogółu.

D. W dziedzinie piśmiennictwa pracują obecnie katolicy więcej, aniżeli przed 25 laty, chociaż i ta dzisiejsza krzątanina nie zaspokaja jeszcze wszystkich potrzeb.

Prze 25 laty istniało jedno codzienne pismo *Czas,* konserwatywne i katolickie, i wywierało w tym nawskroś liberalnym i józefińskim kraju przemożny wpływ; ale bo też miało takich współpracowników, jak Maurycy Mann, Józef Szujski, Paweł Popiel, Lucyan Siemieński. Praca ta była bardzo uciążliwa, bo liberalizm przeniknął społeczeństwo polskie, które nie kosztowało innej strawy nad tę, jaką mu podawał krakowski *Kraj* i lwowskie koleżanki.

Z miesięcznych czasopism zasługuje na wspomnienie *Przegląd Lwowski,* który ma ładną kartę w historyi owych czasów. On to ośmielił katolików zawojowanych prasą liberalną do otwartego przyznawania się do swej wiary. Jaki musiał być w onczas ucisk religijny przez prasę i opinię wszechpotężną, świadczy choćby to, iż gdyśmy jako klerycy czytali w r. 1873 w *Przeglądzie Lwowskim* tłumaczenie *Symbolum Athanasianum,* dokonane przez hr. Dzieduszyckiego, zdziwiliśmy się, iż coś podobnego jeszcze się drukuje, tłumaczy i własnem nazwiskiem podpisuje.

Ulotne broszury ks. Goliana i innych, ośmieliły młodszych do wywieszenia sztandaru katolicyzmu w dziełach i pismach.

I powoli doszliśmy do tego, choć niestety zbyt późno, iż dzienniki nietylko już nie szydzą z Kościoła, papieża, nietylko nie zowią owej instytucyi bożej „strychniną“, nie solidaryzują się z czerwonym a radykalnym socyalizmem, ale wogóle przyznają się do katolicyzmu i po wielkiej części szczerze go popierają.

Obecnie duchowni mają swój organ katolicki *Gazetę Kościelną,* bardzo dobrze redagowaną. Dla ludu drukują się katolicka *Prawda, Dzwonek*; dla robotników *Grzmot,* dla wszystkich *Intencye miesięczne.* O tych pismach słusznie napisała *Gazeta Kościelna* w n. 22 z r. 1897: „Grzmot rozwija się świetnie; redakcyi jego należy się pełne uznanie. *Prawda* już dzisiaj przedstawia się wcale dobrze, rozwijać się zaś będzie tem pomyślniej, im oszczędniejsi będziemy w jej krytykowaniu, a hojniejsi w niesieniu pomocy moralnej i materyalnej“. Złote to słowa.

Na tem kończę pierwszą część mego wykładu. Reformę na przyszłość ze stanowiska państwa mocą ustaw i rozporządzeń i opieki państwowej omówił znakomicie prof. Głąbiński.

Jakie ma zadanie nasze społeczeństwo do rozwiązania powiem obecnie.

II. Program na przyszłość.

Że samo państwo nie podoła zreformowaniu społeczeństwa, jest rzeczą widoczną. W tej żmudnej a zbożnej pracy musi wziąć wielki udział samo społeczeństwo, pamiętając wszakże na tę wielką prawdę, że ona istnieje dla jednostek i ma tymże pomódz do rozwoju wszystkich władz natury ludzkiej ale na podstawie narodowej, pod kierownictwem nauki Kościoła katolickiego, nic nie uroniwszy ze spadku, jaki nam przodkowie zostawili.

Obecne czasy są skłonne do assocyacyi. Otóż z tej ochoty łączenia się w stowarzyszenia należy się korzystać, i zawiązywać katolickie stowarzyszenia.

Ileż to bowiem zagadnień religijno-moralnych nie czeka rozwiązania. A te zagadnienia w życiu politycznem i społecznem są niezmiernej wagi, a mimo to takiej treści, że ich na

ambonie poruszać nie można. Gdzież tedy o nich mówić, jeżeli nie na zebraniach stowarzyszonych?

Nadto tego rodzaju katolickie stowarzyszenia torują ludziom drogę do pokochania Kościoła, do spełnienia ich religijnych obowiązków.

A więc naszym programem na przyszłość ma być:

1. Objąć istniejące stowarzyszenia rękodzielników w własne ręce, a nowe zakładać. Myśl ta nie jest nową. Drugi wiec katolicki we Lwowie uchwalił w lipcu w r. 1896: Zakładanie we wszystkich miastach naszego kraju trzech kategoryj towarzystw rzemieślniczych: *a)* opieki nad młodzieżą terminatorską; *b)* towarzystw czeladzi katolickiej; *c)* towarzystw majstrów-pryncypałów katolickich.

2. Osobno zawiązywać stowarzyszenia dla majstrów, a osobno dla czeladzi, w myśl tej samej rezolucyi. Że łączenie majstrów z czeladzią nie może liczyć na długą trwałość, wskazuje „Gwiazda" tarnowska. W r. 1881 przy zawiązaniu „Gwiazdy" brali udział majstrowie i czeladnicy i razem w stowarzyszeniu byli przeszło lat dziewięć. Później czeladnicy opuścili „Gwiazdę" i związali się w towarzystwo „Ojczyzna". Gdy tego roku czyniono kroki ku złączeniu „Ojczyzny" z „Gwiazdą", czeladź na takie zlanie się nie przystała, chociaż „Gwiazda" znaczne czyniła ustępstwa. I dobrze się stało. Innym i wyższym i więcej wpływowym stanem są majstrowie, dlatego ich w jednem ciele złączonych pozostawić potrzeba.

3. Zawiązywać „Przyjaźnie" w miastach i miejscowościach fabrycznych.

4. Idąc za rezolucyą II. wiecu katolickiego i za przykładem hr. Potockiego i Tarnowskiego, rozwinąć akcyę we wszystkich większych miastach w celu dostarczenia ubogiej ludności zarobkującej zdrowych i tanich mieszkań, i to dając ile możności każdej rodzinie osobne mieszkanie w większych budynkach, czy też w osobnych domach. Nadto budować domy na zebrania dla stowarzyszeń.

5. Rozciągnąć opiekę nad robotnicami, łączyć je w stowarzyszenia, wyszukiwać dla nich mieszkań u uczciwych rodzin,

udzielać im nauk w dnie świąteczne i zabezpieczać im los na przyszłość przez zakładanie kas wzajemnej pomocy, z pociągnięciem dobrodziejów do dobrowolnych darów. Zakładać domy przytułku przy klasztorach zakonnic i pod ich kierownictwem. Nadto opiekę rozciągnąć nad dziećmi robotników.

Dla sług wiele już w kraju zrobiono; o robotnicach nikt jeszcze z katolików nie pomyślał u nas w kraju. W państwie Niemieckiem istnieją już takie stowarzyszenia robotnic, jak np. w Kolonii, Monachium, Crefeld, Wrocławiu i innych miastach. We Wiedniu „Związek chrześcijańskiej rodziny“ zawiązał w dziewiątym powiecie pod kierownictwem zakonnic takie stowarzyszenie robotnic w r. 1896. Robotnice otrzymują w klasztorze wikt, mieszkanie, naukę i religijną pociechę.

6. Katolicy i księża powinni uczęszczać na zebrania i wiece socyalistów, i sami urządzać wiece, jak to się stało w Limanowej i Chrzanowie.

Ażeby zespolić katolickie żywioły do walki z socyalizmem, trzeba wszystkich uczyć, a szczególnie dobrych i chwiejnych. nietylko rzeczy religijnych, ale i spraw politycznych, i rozwijać im i rozwiązywać zagadnienia ekonomiczne. Od tej nauki nie wolno wykluczać niewiast, bo one w tej tak ważnej sprawie mogą szalę zwycięstwa na stronę naszą przechylić.

7. Nadto w każdej parafii zawiązywać stowarzyszenia dla mężczyzn i dla niewiast. Co lepsze żywioły niechaj się skupiają i przez omawianie spraw nawet bieżących nabierają odwagi do obrony swych zasad i swych przekonań religijnych. Na czele takich parafialnych stowarzyszeń może tylko kapłan miejscowy stanąć. Sądzę, że piętnaście osób wystarczy, aby przystąpić do zawiązania takiego stowarzyszenia. A smutnoby to było, gdyby w każdej parafii piętnastu uczciwych znaleźć nie można.

Sądzę, że myśl ta zupełnie u nas nowa, nie sprowadzi na mnie rekryminacyj. Wszak w Austryi wyższej katolickie stowarzyszenia chłopów liczą 35.000 tysięcy członków. A taką myśl wolno mi wysnuć ze słów autora umieszczonych w nrze 22 *Gazety Kościelnej* z 1897 r. na str. 189: „Potrzeba zerwać raz z ową fikcyą, jakoby u nas, wśród ludu szczerze katolickiego, haseł

religijnych głosić nie potrzeba i w ich imię się kupić; potrzeba raz czynem odeprzeć ów głupi zarzut, jakoby religia tylko w kościele i w życiu prywatnem miała miejsce, a nie wolno jej było wpływać na ukształtowanie się życia publicznego. Szerzą się i potężnieją organizacye, którym walka przeciw Kościołowi jest celem, a którym powodzi się dlatego, że przeciw Kościołowi walczą. Organizacye te głoszą: wara religii do polityki, a my ich słuchamy i wierzymy, że dla religii miejsce tylko przy ołtarzu, na ambonie i w konfesyonale. Sami pomagamy kuć broń przeciw sobie. Otrząśnijmy się z tego błędu. Wierzymy, że religia ma urządzać całe nasze życie, zapewnijmy jej więc wpływ należny na nasze życie społeczne i polityczne i zorganizujmy się w stronnictwo katolickie".

Zresztą dawno do tego nakłaniał Paweł Popiel w piśmie: „Kilka słów z powodu odezwy ks. Adama Sapiehy", mówiąc: „Stan obecny kraju zaprawdę rozpaczliwy, gdyby nie to, że serce z nadzieją spocząć może na ludzie wiejskim... że wszystkie usiłowania odbiły się o zdrowy rozsądek i poczciwe sumienie chłopa polskiego; że wszystko się rozbije o granitową skałę ludu". A dalej słuszną uwagę podaje tenże sam ś. p. przezacny pan Paweł: „W każdym kraju, tem bardziej przeważnie rolniczym, o losie jego orzekać mogą tylko ci, co są panami ziemi, a nie szumowiny, nie ludzie bez stanowiska, z nauką stereotypową kodeksu rewolucyjnego, bankruci moralni albo majątkowi, aplikanci po urzędach, dependenci, pseudoliteraci, zbiegi od ołtarza lub entuzyaści".

A więc nam katolikom, a w pierwszym rzędzie kapłanom, należy się zająć losem chłopa polskiego na współ z obywatelami ziemskimi; a chłop pójdzie za nami, stanie pod sztandarem katolickim, bo u ludu żaden fałsz się nie uda, bo lud do dziś jeszcze zachował zdrowy rozsądek i pojęcie warunków bytu społecznego, i jest przeciwny każdemu ruchowi, który nie jest rozsądny.

Może kto zaprzeczy temu, powołując się na ową niezdrową agitacyę socyalistycznych i pokrewnych im pism, które przeczą powadze Bożej, kościelnej i ludzkiej, które rozsadzają społe-

czeństwo nasze schorzałe, a wdzierają się pod strzechy ludu, w miejsce praw Bożych usiłują zaprowadzić egoizm, rozpasanie obyczajów, które tyle niepokoju i nieszczęść w kraju wywołały.

Wszystko to prawda. A trzeba przyznać i to, że masę ludu zbałamucono, że więzienia przepełniono, że obudzono zachcianki, których żadne społeczeństwo nie jest w możności zaspokoić, dopóki chce choć w części uszanować siódme przykazanie.

Ale wina nie spada na lud, lecz na agitatorów, którzy na plecach mas chcieli dojść do wszelkich możliwych reprezentacyj konstytucyjnych na to, by wnioski ich podpisywali w Wiedniu moskalofile, socyaliści i jawni wrogowie Polski.

Wszak to statystycznie dowiedziona prawda, że lud wiejski pod względem moralnym stoi wyżej od miejskiego, a polski lud w szczególności. A wyższość ta pochodzi stąd, że opinia publiczna i obawa hańby ma większy wpływ na wsi, gdzie się z pod kontroli i najbliższych i dalszych usunąć nie można, gdzie nadzór nad dziećmi i służbą łatwiejszy, gdzie pokusy i złe przykłady mniejsze. Na odwrót w miastach zło występuje z pewną bezczelnością, i do miast uciekają upadłe indywidua wiejskie, by tam dalej swe nieszczęśliwe rzemiosło prowadzić.

Ale najważniejszym czynnikiem podtrzymującym moralność ludu jest religia. O ile poczucie religijne na wsi zanika, o tyle upada najsilniejsza zapora przeciw zepsuciu. O tem powinno w naszym kraju pamiętać przynajmniej stronnictwo ludowe, które się chełpi, że chce dobra ludu, a w rzeczywistości gotuje mu zgubę, podnosi skalę zachceń i pragnień i wywołuje gorycz, której może ani dom, ani rodzina, ani moralne wyższe czynniki nie zdołają usunąć, a w końcu rujnują wiarę, ten jedyny czynnik osładzający tutaj życie każdego. Tym panom przypomnę słowa protestanckiego pisarza Steina, genialnego męża niemieckiego, który tak się odzywa: „Zmysł religijny u ludu musi być na nowo do życia powołany, jeżeli chcemy, aby wierność, wiara i miłość ojczyzny w kraju kwitnęły“. A gdyby u nich zamilkł już zmysł religijny, to niechaj odczytają sobie słowa lorda Macaulaya, także protestanta, który w swej historyi takie

pisze wyznanie: „Gdyby kiedyś wszystko istniejące zginęło a na ruinach mostów londyńskich zjawił się jakiś wędrowiec z nowego świata i rysował sobie ruiny katedr — jedno jeszcze i wtenczas pozostanie nietknięte i w całej swej potędze i okazałości, a to — Kościół katolicki". Czyli: Choćby się niespokojnym duchom w naszym kraju udało przez pożar rewolucyi zniszczyć wszystkie zabytki przeszłości i oddać tryumf w ręce anarchii, pozostanie jeszcze Kościół katolicki, który z gruzów odbuduje nową przyszłość, ale odbuduje ją w sercach ludu i z ludu.

Mimo to niechaj agitatorzy poznają, co znaczy tłum ludu, i dokąd on doprowadza. To jest pewnik, że tłum pojęty jako całość, stoi niżej pod względem swego duchowego i moralnego poziomu od jednostek, z których się składa. Dalej, że do tłumu nie trafiają szlachetniejsze i podnioślejsze myśli lub uczucia, że tłumem nie pokieruje ani prawda, ani głęboka myśl, ani święte lub patryotyczne uczucie, ale tylko silna wola, obietnice niewykonalne i drażnienie.

Ale zachodzi między tłumem miejskim a wiejskim ta jeszcze różnica, że tłum miejski jest nerwowy, łatwo daje się wzruszyć, ale i łatwo przerzuca się w wręcz przeciwny kierunek. I dlatego tryumfy socyalistycznych przewódców mniej są niebezpieczne.

Tłum wiejski zaś formuje się, jednoczy, pojmuje bardzo powoli; ale za to, gdy już wystąpi i to zaczepnie, to dąży do swego wymarzonego celu z dziką zawziętością, stanowczo, bezwzględnie i wytrwale. Takich żywiołów strasznych nie wolno do zaciekłości, do zniechęcenia, do rewolucyi popychać; chyba że się chce odegrać rolę Chmielnickiego.

Powie kto może: łatwo radzić, a nawet i zawiązać takie parafialne stowarzyszenie, ale kto podoła je prowadzić, jak znajdzie proboszcz czas w niedzielę lub święta przy tak wielkiem zajęciu i po tak uciążliwej pracy jeszcze kilka godzin zajmować się parafianami i pouczać ich o rzeczach, które, każdy przyzna, są wielkiej doniosłości, i tak kierować obradami, aby ich zająć i do takich zebrań zagrzać.

Nie przeczę temu, bo sam wiem z doświadczenia, że *dies dominica*, to dzień pańszczyzny i to twardej, w którym od rana

do nocy niema wytchnienia, niema czasu spokojnie zasiąść do łyżki rosołu. A mimo to powiem: obowiązek to równie wielki, trzeba go spełnić; a wytchnienie pozostawić na sześć dni tygodnia: bo owe dni feryami nazwano. Były może one dawniej, dzisiaj i owe ferye w pańszczyznę się u księży zamieniły.

Jakżeż tedy prowadzić takie zebrania? Otóż sądzę, że możnaby je tak urządzić. Opowiedzieć coś z polityki tygodniowej, czy zagranicznej, czy wewnętrznej, a więc z rady państwa, sejmu, rady powiatowej. A to się wie z gazet w tygodniu czytanych. Później opowiedzieć coś z historyi albo powszechnej albo kościelnej albo polskiej; w tem mógłby zastąpić księdza nauczyciel albo zdolniejszy włościanin, któremuby się dało do tego książkę do domu, by się wyuczył i opowiedział. A chłopi to bardzo lubią, i chętnie się cały tydzień uczyć będzie, aby w niedzielę pokazać się, że coś umie. Wśród tego nasuną się pewne wątpliwości, zarzuty, uprzedzenia; te się zbije, wyjaśni lub rozwiąże. Urządzić też czasem zabawkę, wycieczkę, a nawet i skromne tańce. To podnosi, zachęca i skupia.

8. W dalszym programie stoją tanie pisma i broszury dla włościan i robotników, ale za to w treść bogate a na zasadach sprawiedliwości oparte. A więc popierać *Grzmot* i *Prawdę,* a starać się o to, aby każda piekąca sprawa była natychmiast w broszurze omówiona, wyjaśniona i między interesowanych za bezcen rozrzucona. Uczmy się od wrogów taktyki i ofiarności. W tym celu powinien istnieć jeden wielki fundusz prasowy i wybrani autorowie, którzyby byli obowiązani owe zagadnienia dni natychmiast opracować i zarządowi funduszu prasowego oddać.

Nadto należałoby zawiązać towarzystwo katolickie w celu drukowania i szerzenia dobrych książek. Mamy tego wielkie przykłady w Europie. W Bononii istnieje Towarzystwo św. Boromeusza, które liczy 55.000 członków a 1.600 lokalnych towarzystw i rozrzuciło już tysiące książek i broszur pomiędzy lud. Tak samo dla Bawaryi istnieje w Monachium takie samo Towarzystwo książkowe, a dla Szwajcaryi w Ingentahl, zaś dla Austryi w Solnogrodzie. Do tego ostatniego Towarzystwa należy

wielu księży z naszego kraju. Wszystkie te towarzystwa rozwijają się świetnie i przynoszą zbawienne skutki dla ludu katolickiego. Czemużby i w naszym kraju nie udało się coś podobnego założyć.

Zwrócę jeszcze uwagę na kalendarze. Kalendarz w każdym domu ma drugie miejsce po książce do modlenia; wszedł on już pod strzechę naczego chłopa i szerzy straszne spustoszenia. Kalendarz to książka, którą się codziennie trzyma w ręku. Gdyby tak zajęto się systematycznie wydaniem kalendarza dla dworów, dla księży, dla chłopów, dla rolników, z uwzględnieniem potrzeb i stopnia oświaty tych czytelników, z szeregiem dobrych powiastek, nowelek, opowieści, z przytoczeniem i wyjaśnieniem najnowszych lub najniezbędniejszych ustaw, z praktycznymi uwagami o uprawie roli i t. p., przysłużonoby się wielce dobrej sprawie.

9. Nadto trzeba zaprowadzić w każdej parafii czytelnię. Dawniej każdy proboszcz i każdy wikary miał biblioteczkę i zasilał nią swych parafianów. Dzisiaj jakoś to poszło w zapomnienie. A ja sądzę, że wielką zasługę położyłby ten, ktoby na nowo owe parafialne biblioteczki i czytelnie do życia powołał.

A opieram się, twierdząc to, na nauce teologii pasterskiej i na napomnieniu Piusa IX., który w encyklikach z 9 listopada 1846 r., z 20 stycznia 1858, i 17 września 1863, a wreszcie z dnia 8 grudnia 1864 r. zachęca do zakładania katolickich czytelni w celu zwalczania złej prasy i złych książek. A Ojciec św. Leon XIII. w liście wystosowanym dnia 22 sierpnia 1886 r. do biskupów węgierskich, mówi: „aby błędne opinie usunąć i od tychże lud ochronić, należy szerzyć między ludem zbawienne pisma, które zawierają prawdę i zachęcają do cnotliwego życia".

Jako studencik gimnazyalny brałem od ks. wikarego książki na wakacyach do czytania i tej w młodości mej lekturze wiele zawdzięczam.

Lecz i na to potrzeba środków, bo kasa księży wiejskich w Austryi srogo podcięta nożycami fiskusa, a nadto codzienne humanitarne wydatki, od których się nie wolno wymówić, sta-

wiają kapłana bardzo często w tak przykrem położeniu, że już o biblioteczce dla parafian myśleć nie może.

10. Koniecznością jest założenie dziennika katolickiego. O tem nic nie powiem, gdyż po znakomitych wywodach ks. H. Jackowskiego, umieszczonych tego roku w maju i czerwcu w *Gazecie kościelnej* sprawa zupełnie została wyjaśniona [1].

11. Stowarzyszenia katolickie powinny się złączyć w generalne związki, a to w związek stowarzyszeń rękodzielniczych, w odrębny związek stowarzyszeń czeladzi, dalej stowarzyszeń robotników i stowarzyszeń robotnic, stowarzyszeń ludowych i innych. Te zaś generalne związki powinny pomiędzy sobą się porozumiewać przez wysyłanych przez siebie członków do wielkiej Rady nadzorczej, któraby stała na czele wszystkich katolickich stowarzyszeń w kraju.

12. Każde stowarzyszenie powinno umieścić w statucie swoim potrzebę „patrona“ i takim obierać ks. ks. biskupów lub delegatów w ich imieniu.

13. Wreszcie potrzebne jest założenie wielkiego stronnictwa katolickiego z wszystkich obywateli bez różnicy stanów pod hasłem obecnie zrównania ciężarów publicznych, zaopiekowania się opuszczonymi i zorganizowania społeczeństwa na zasadach katolicyzmu. Stronnictwo takie związałoby się w towarzystwo polityczne i byłoby pewną reprezentacyą na zewnątrz, dawałoby wskazówki we wszelkich ważnych sprawach i byłoby przewodnikiem w życiu politycznem. Stronnictwo to musiałoby się opierać na zasadach demokratycznych, jak trafnie orzekła *Gazeta kościelna* w 22 nr., ale według wskazówek Ojca św. To stronnictwo przykładem i słowem odnawiałoby religijne życie w domu, w szkole, w gminie, kraju i państwie, ścieśniałoby rozluźnione węzły rodzinne, skupiało i godziło małżeństwa rozbite i rzucałoby pomost między bogaczy a ubogich. Onoby dawało inicyatywę do zaprowadzania chrześcijańskich instytucyj, domów przytułku, domów pracy, zakładania różnorodnych zwyż wymienionych

---

[1] Odczyt ten był wygłoszony przed ukazaniem się *Ruchu katolickiego*, jako gazety codziennej. *(P. R.)*.

stowarzyszeń rękodzielników, czeladników, robotników, robotnic i włościan w parafiach; onoby zajęło się kierownictwem i rozszerzaniem pism i broszur ludowych i robotniczych, jednem słowem, dążyłoby do podniesienia obywateli materyalnie i moralnie, do poprawienia serc i obyczajów. Toż stronnictwo brałoby udział pierwszorzędny w budowaniu społeczeństwa, nie na omnipotencyi państwa, które pochłania wszelką wolność osobistą, ale na prawach zastrzeżonych prywatnej inicyatywie, na prawie stowarzyszania się; onoby dążyło do ograniczenia nieograniczonej przewagi kapitału przez powoływanie do życia stowarzyszeń produkcyjnych.

Obecna chwila, to chwila przesilenia, to wstęp do nowej ery i dlatego jedni napełnieni są zapałem, inni zaś strachem. My katolicy znamy wielki jeden przewrót w historyi. Bez krzyku, bez mów parlamentarnych, nawet bez zebrań publicznych, cicho i spokojnie pracował Kościół i dokonał tego cudu, że trzeci sobór Lateraneński w r. 1179 mógł orzec, iż żaden chrześcijanin nie może być niewolnikiem. I dzisiaj ta sama nauka o równości i braterstwie wszystkich ludzi, o uświęceniu się przez pracę, która roztrzaskała przekonania pogańskie o konieczności i potrzebie niewoli, roztrzaska przekonania liberałów o konieczności istnienia stanu robotników, niemających posiadłości, a głoszących zasadę pożerania słabszych przez mocnych, a zarazem przyprowadzi do łódki Piotrowej, jak ongi Szawła, owe niezliczone masy zbałamuconych robotników. Dlatego każdy katolik i dzisiaj, gdy społeczeństwo tonie w gęstym pomroku, powtarza z wiarą słowa Joba: „Dłutem wyryjcie to na skale: wiem, że Odkupiciel mój żyw“ [1], ów Odkupiciel, który wyrzekł: „Ufajcie, jam zwyciężył świat“ [2].

Ks. dr. Adam Kopyciński.

[1] 19, 23. [2] Jan 16, 23.

Z NANSENEM „PRZEZ LODY I NOC".

(Ciąg dalszy).

III.

A zatem skończyło się! Dalszy swobodny pochód na północ był wstrzymany. Przeszukawszy jeszcze brzegi ławicy dla przekonania, czy się gdzie jaki wolny przesmyk nie znajdzie, Nansen w myśl swego dawnego planu zdecydował się przymocować statek do wielkiej kry, i tu na pełnem morzu, w znacznem oddaleniu od wszelkiego znanego lądu dać się otoczyć lodami w nadziei, że go wraz z nimi południowy prąd poniesie do Groenlandyi przez biegun. Było to dnia 22 września. Według ściślejszego obliczenia znajdował się na 77° 44′ szer. półn.

Rozpoczęła się tedy praca rozgospodarowania na zimę i to na zimę polarną. Wyniesienie i ułożenie węgla na lodzie, odśrubowania wszelkich na zewnątrz ścian wystających, żelaznych i drewnianych przyborów okrętu, rozebranie maszyny a natomiast stawianie małego wiatraka dla wytwarzania elektryczności, instalowanie częścią na lodzie a częścią na statku przyrządów meteorologicznych i hydrograficznych, stanowiących wyłączne królestwo Scott-Hansena. Johansen był już obecnie oficyalnym tegoż asystentem, urząd palacza bowiem przestał był istnieć, odkąd Fram osiadł na lodzie. Teraźniejsza praca jego bodaj czy nie była cięższa, zwłaszcza miała się nią stać później, w czasie ostrych mrozów, wśród których trzeba było, chcąc dokładne

zbierać obserwacye, zachować zawsze żywą przytomność umysłu, skostniałemi a gołemi rękami nastawiać cienkie metalowe lub szklanne przyrządy, nieraz rozgrzewając je na piersiach w obawie zamarznięcia żywego srebra. Pierwszem po zatrzymaniu przedsięwziętem badaniem było zmierzenie głębokości morza. Dotąd, póki Fram znajdował się w wodach azyatyckich, głębia nie przekroczyła nigdy kilkudziesięciu metrów; najczęściej było tak płytko, iż zachodziła obawa ugrzązięcia. Tu przeciwnie: lina spuszczona na 400 metrów nie dosięgła spodu. Nansen nie wziął dłuższej, opierając się na opinii poprzedników o płytkości polarnych mórz. Trzeba było na znaczną długość liny dorobić. Szczęściem na Framie byli i ludzie wszelkich rzemiosł świadomi i wszystkie należące do nich narzędzia. Urządzono wnet kuźnię, kędy królował Pettersen, w „salonie" stał warsztat stolarski i tokarski obok biblioteki i harmonium. Każdy w swoim fachu pracował według sił. Amundsen tak był zakochany w swojej maszynie, iż pomimo, że była rozebrana, chodził ją codzień odwiedzać i pieścić się z jej rozmaitemi częściami. Mogstadt wprawiał resory do zegarków, to majstrował około harmonium, to sporządzał dla Scott-Hansena nowe naukowe przyrządy. Psy dotąd uwięzione na części pokładu, miały prawdziwą radość z zatrzymania okrętu na zimowe leże; teraz bowiem na dzień puszczano je na lód, po którym zrazu biegały jak opętane, z wielkiej uciechy szalone wyprawiając szprynce. Wkrótce jednak poczęły się gryźć między sobą, a były to poważne zapasy, tak, że ich kilka niebawem poległo; postanowiono tedy nad nimi straż ustawiczną, w której to nużącej funkcyi zmieniali się kolejno ludzie załogi. W braku lepszego zajęcia Nansen bawił się studyowaniem rozmaitych usposobień u psów — nietylko bowiem ludzie między sobą się różnią. Jeden pies np. został przezwany „stróżem umarłych"; skoro bowiem którykolwiek z jego towarzyszy ginął jakimbądź rodzajem śmierci, natychmiast usadawiał się przy trupie i nie ruszał się, aż go spędzono. Psy były również przedmiotem pieczołowitości Blessinga. Młody lekarz mógł łatwo o swej sztuce zapomnieć na Framie, gdzie nikt nie chorował, ani sobie członków nie łamał, pocieszał się tedy lecząc

psy, a ludziom upuszczając raz na miesiąc po kilka kropel krwi, której zawartość badał chemicznie. Próby te budziły regularnie pewien niepokój: każdy obawiał się posłyszeć, że był blizkim dostania skorbutu — szczęściem wyroku tego nie miał usłyszeć nikt.

Wrzesień przeminął. Dnie skracały się szybko, pogoda jednak była piękna choć już dosyć mroźna (— 12°,6 C); niekiedy zachód słońca przepyszny. Woda wokoło Framu już zupełnie zamarzła, a okręt spoczywał jakoby na dobrem łożu. Wesołość była na porządku dziennym. Nansen pisze pod datą 2 października:

„Po południu, gdyśmy siedzieli: Sverdrup, Juell i ja, zajęci rozkręcaniem sznurów dla sporządzenia sondy, wpadł Peder Hendriksen wołając: ‚Niedźwiedź! Niedźwiedź!‘

„Chwyciłem za strzelbę i wybiegłem: ‚Gdzie?‘

„‚Tam na prawo, blizko namiotu. O mało się do niego nie wziął‘.

„I w istocie wielki i żółty niedźwiedź stał, obwąchując płótno namiotu, a Scott-Hansen, Blessing i Johansen umykali z całej siły w stronę okrętu. Zeskoczyłem na lód, załamałem się, potknąłem, upadłem i znów stanąłem na nogi. Tymczasem niedźwiedź przestał obwąchiwać, zapewne przyszedł do przekonania, że okuty kij, topór, tyki od namiotu i płótno żaglowe nie były pożywieniem zbyt strawnem nawet dla niedźwiedziego żołądka. Natomiast szedł potężnym krokiem trop w trop za uciekającymi. Naraz spostrzegł mnie i stanął zdziwiony jakby się chciał zapytać: ‚Cóż to może być za robaczek?‘ Zbliżyłem się na strzał, on stał wciąż i patrzał na mnie. Nareszcie obrócił trochę głowę, a wtedy posłałem mu kulę w kark. Nie drgnąwszy nawet powalił się powoli na lód. Puściłem na niego kilka psów, aby je zaprawić do tego rodzaju sportu; zachowały się jednak z pożałowania godną obojętnością. Nawet ‚Kwik‘, na której spoczywały nasze myśliwskie nadzieje, najeżyła się i nie podeszła do martwego niedźwiedzia jak bardzo niechętnie, ostrożnie, z ogonem między nogami — smutny to był widok zaprawdę.

„Teraz jednak muszę opowiedzieć dzieje tych, którzy pier-

wsi zawarli znajomość z niedźwiedziem. Scott-Hansen zabrał się był dziś z rana do ustawienia swego obserwacyjnego namiotu, popołudniu zaś wziął sobie do pomocy Johansena i Blessinga. Pracowali w najlepsze, gdy naraz ujrzeli niedaleko kroczącego niedźwiedzia, wprost u przodu okrętu.

„Cicho! cicho! żeby się nie przestraszył!" — rzekł Hansen.

„Tak, tak!" — I mówiąc to stulili się do kupy i jęli patrzeć.

„Ja może spróbuję prześliznąć się na statek i zameldują go' — zauważył Blessing.

„A może' — odparł Hansen, i Blessing począł przemykać się na palcach, a cicho, aby nie przestraszyć niedźwiedzia". Tymczasem myś dostrzegł ich i zwęszył, to też idąc za węchem, sunął truchcika wprost na nich. Hansen zdołał już był opanować obawę spłoszenia zwierza, gdy ten zoczywszy wymykającego się ku okrętowi Blessinga, puścił się za nim. Teraz już i Blessing nie tyle co wpierw troszczył się o nerwy niedźwiedzia. Niepewny co ma z sobą począć, przystanął. Chwila rozmysłu wszakże przywiodła go do przekonania, że w tej okoliczności byłoby przyjemniej być we trzech, niż samemu, to też wrócił do towarzyszy prędzej, niż się był od nich oddalił. Niedźwiedź pognał za nim dość szybko.

Hansenowi nie podobała się cała awantura, zdało mu się zatem na czasie, użyć fortelu zaleconego w jakiejś przeczytanej książce. Wyprostował się ile mógł, począł naokoło machać rękami i wrzeszczeć w niebogłosy, wspomagany dzielnie przez drugich. Niedźwiedź jednak przyjął te demonstracye jakoś chłodno i przybliżył się jeszcze. Położenie stawało się krytycznem. Każdy sięgnął po broń; Hansen złapał okuty kij, Johansen siekierę a Blessing nic. Przytem krzyczeli z całych sił: „Niedźwiedź! Niedźwiedź!" i umykali na łeb na szyję do statku. Niedźwiedź jednak szedł dalej wprost do namiotu, kędy (jakeśmy się później przekonali) wszystko zlustrował, a następnie odwrócił się na nich. Był to chudy samiec. W żołądku jego nie znaleźliśmy nic krom kawałka papieru z napisem: Firma Lütken & Mohn, przez jednego z nas wyrzuconego kędyś na lód. Od tego czasu

niektórzy z uczestników wyprawy nie chcieli opuszczać statku inaczej, jak uzbrojeni od stóp do głów...

„Dnia 4 października udało mi się wreszcie zmierzyć głębokość wody: wynosiła 1460 metrów! Na dnie była warstwa 10—11 ctm. szarej gliny; temperatura zaś dochodziła u spodu nieco powyżej zera, liczyła bowiem + 0,18° C, a 150 metrów wyżej nieco mniej (— 0,4° C). Rezultat ten zbija poniekąd podanie o płytkości i niesłychanie nizkiej temperaturze polarnych wód. Podczas gdyśmy wyciągali sondę, lód nagle pękł za okrętem, tworząc szczelinę, która rozszerzyła się szybko“...

Niestety! nietylko niedźwiedzie nawiedzały mieszkańców Framu. Pewnego dnia Nansen odkrył z przerażeniem gorszego stokroć wroga... pluskwy! Przedsięwzięto przeciwko nim prawdziwe kampanie: wszystkie kąty, wszystkie sprzęty zostały zrewidowane i oczyszczone, odzienia zaś podczas tej operacyi noszone, włożono do kotła, do którego za pomocą kauczukowego węża wpuszczono buchającą parę. Aliści moc pary była zbyt wielką, nastąpił wybuch i wierzch od kotła z gwałtownym hukiem wyleciał w powietrze. Szczęściem nie stało się nic złego żadnemu z ludzi; pluskwy również cieszyły się nadal wybornem zdrowiem. Nie mogąc ich zmódz gorącem, spróbowano zimna — wystawiono rzeczy na mróz. Toć już w starej gadce norwegskiej pluskwa prosi człowieka:

Pal mnie, gotuj w ukropie a zostanę zdrową,
Tylko mnie nie wystawiaj w mroźną noc zimową.

Jeśli pluskwy gorszemi były od niedźwiedzi, to gorszym od pluskiew wydał się Nansenowi niezbity fakt, że w przeciągu kilku dni Fram wraz z lodowcami posunął się zamiast na północ — wprost na południe. Głębokość morza wykazywała już tylko 150 metrów... Biedak przypłacił to odkrycie dwoma nocami gorączki. Jego teorya o południowym, przez biegun płynącym prądzie, poczynała się chwiać. Nie było jednak rady; trzeba było czekać cierpliwie na pomyślny wiatr, skoro to on widocznie wpływał na kierunek lodu. W istocie, wkrótce nowe obliczenie wykazało znów zwrot ku północy. Tymczasem zaś zima nadchodziła w całej pełni; śnieg grubo osłaniał błyszczące

kry. W połowie października lody poczynały się poruszać, pękać, zbijać i piętrzyć z hukiem, świstem i grzmotem. Wały lodowe dochodziły wysoko ponad pokład okrętu, cisnęły się, usiłując zgruchotać go zmiażdżyć; Fram jednak wyślizgiwał się w górę z ich zimnych uścisków i stał ponad nimi zwycięsko. aż kry ulegając pod jego ciężarem, zagłębiały się znowu. Kto czytał choćby tylko w podróży Payera i Weyprechta, co się działo z ich „Tegethofem" w te okropne chwile, ten nie wyjdzie z podziwu nad budową dzielnego statku, który tak ciężkie próby wytrzymał. Zrazu oczywiście załoga czekała z pewnym niepokojem na wynik walki; z czasem jednak tak do nich przywykła, że w końcu łomot lodowców nie sprawiał więcej wrażenia, niż dla każdego z nas grzmoty wśród chmur. Zaledwie przerywano spoczynek, gdy statek z lekkiem drżeniem podnosił się nad lody. Mało kto jednak mógłby spać w takich warunkach;

„Jeśli się zauważy — pisze Nansen — że olbrzymie, w pewnym kierunku pędzone masy lodowe, trafiają nagle na zaporę np. na inne masy lodu, które wskutek kędyś daleko zaszłej zmiany wiatru posuwają się naprzeciw nim — łatwo pojąć, jak straszne musi nastąpić ciśnienie. Podobna walka lodowców przedstawia zaiste widok wspaniały. Człowiek czuje, że stoi w obliczu tytanicznych potęg, którym żadna siła ziemska oprzeć się nie zdoła. Zrazu przypływa po bezbrzeżnej pustyni głuchy, przeciągły huk, podobny grzmotom przy trzęsieniu ziemi, ten huk powoli wzmaga się i szerzy, coraz bliżej i bliżej, z coraz to nowych stron. Niemy świat mrozów rozbrzmiewa strasznym łomotem... powierzchnia lodów pęka i poczyna się piętrzyć. Zanim się zdołasz obejrzeć, już wkoło ciebie szaleje walka żywiołów".

„Ze wszech stron rozlegają się wycia i grzmoty. Pod twemi stopami lód trzeszczy i drży, wszędzie zgiełk, rumor i bój. Z poza szarego zmroku widnieją przysuwające się łańcuchy lodowych wzgórz, coraz to nowe, coraz to bliższe podnoszą się i kształcą. Kry na pięć metrów grube rozpryskują się jak szkło, lub wysoko rzucone w górę, walą się jedne na drugich. Już są tuż, tuż blizko; chcesz uciec, aliści lód pęka i przed tobą roztwiera się otchłań, z głębi której woda bucha strumieniem. Zwracasz

się w bok, lecz tu w ciemności nadciąga nowy lodowy wał. Dokoła groza jednaka. Zewsząd huk, ryk i szum jakoby tysiąca katarakt, a wśród szumu nagłe wybuchy, rzekłbyś, wystrzały z potwornych dział. Kra, na której stanąłeś, zmniejsza się w oczach zewsząd wodą zalana. Chcąc ujść zagłady, trzeba się wdrapać na toczące bryły, przedostać na drugą stronę ruchomych wałów... Aż wreszcie siły bojowe wyczerpują się; ruch lodów zwolna ustaje, grzmoty stopniowo słabną i giną w oddali.

„Tak bywa w północnych strefach rok w rok, niemal co miesiąc. Lód pęka i piętrzy się długimi wałami, rozciągającymi się w różne strony. Widziane z góry wyglądałyby jak wielka sieć o kwadratowych oczach, rzucona na zmarzniętą płaszczyznę... O ile mogłem zdać sobie sprawę, wały te ciągną się w pewnym oznaczonym kierunku, mianowicie w kącie prostym do kierunku ciśnienia, które je wytworzyło. W sprawozdaniach z wypraw polarnych czyta się nieraz o pagórkach lub wałach lodowych, sięgających 15 metrów. To są bajki, wytwory fantastycznej wyobraźni ludzi, którzy pagórków owych sami nie mierzyli. W całej mojej podróży spotkałem jeden tylko przenoszący 7 metrów, mógł najwyżej liczyć ich 9. Te, które zmierzyłem, a było ich dużo, nie sięgały wyżej jak $5^1/_2$ do 7 metrów. Pomimo wspaniałości widoku, miło pomyśleć, że ciśnienia lodowe nie dochodzą do naszych stref. Pagórek lodowy zaś wydaje nam się zupełnie dostatecznym nawet, gdyby 9-ciu metrów nie liczył“...

Nieład zaszły pomiędzy lodowcami, otworzył dość szeroki kanał, ciągnący się w stronę północy; chcąc zeń skorzystać poczęto na gwałt składać napowrót maszynę. Nadzieja wszakże była płonna, otwór niebawem się zamknął i rozczarowana załoga musiała pocieszać się dwoma niedźwiedziami, które znów ubito na lodzie. Nansen przeszło przez tydzień leżał w kajucie, uwięziony silnym reumatyzmem, zniecierpliwiony własną chorobą i bezsilnością wobec przekornej siły, pchającej okręt ku południowi. Wprawdzie skoro tylko na chwilę wiatr północny ustawał, lody poczynały ciągnąć zwolna na północ, przytem jednak następowało jedno ciśnienie po drugiem, zawsze grzmiące, ale nieszkodliwe dla Framu. Trwało tak przez cały koniec paździer-

nika przy cudnych a coraz dłuższych nocach księżycowych. Na pokładzie było pięknie choć zimno, wewnątrz Framu panowały za to ciemności, rozproszone zaledwie blaskiem lamp naftowych. Aż wreszcie wiatrak stanął gotowy i wraz wielki strumień elektrycznego światła rozjaśnił wnętrze okrętu i rozweselił umysły. „Jak dziwny wpływ oświetlenie wywiera na usposobienie ludzkie — pisze Nansen. — Przy stole dziś wszyscy byli rozpromienieni... światło podziałało, jak łyk dobrego wina... Przepyszny księżyc dziś wieczór — mówi dalej — widno jak w biały dzień. Do tego zorza północna żółta, dziwnie odbijająca przy białej księżycowej jasności: wielki pierścień świetlany wokoło księżyca. U dołu przestrzeń błyszczącego lodu, w pobliżu nas miejscami spiętrzonego wysoko... A wśród srebrzystej krainy lodów, wiatrak obracający swe ciemne ramiona na tle zorzy północnej i szafiru niebios. Dziwny zaprawdę kontrast — obraz najazdu cywilizacyi na zamarzły świat milczenia i cieniów“.

Dnia 26 października obchodzono solennie muzyką, toastami i dłuższym obiadem urodziny Framu. Humory były wyśmienite, bo lody szły na północ, więc i Nansen się śmiał, pomimo że go bardziej niż kiedykolwiek dławiły wspomnienia rodzinne, pomimo że w ten dzień właśnie czekało załogę smutne pożegnanie — ze słońcem. W południe ukazała się na chwilę u brzegu lodów połowa tarczy słonecznej czerwonawa, martwa i zimna. A potem zaczęła się długa zimowa noc. Wprawdzie nie jest to noc naszej podobna, tylko głęboki zmrok pełen na niebie „świateł i kolorów“, ognistych meteorów, strzelających po ciemnym lazurze, świetlanych pasm i obręczy, bladych różnobarwnych tęcz na wielkich płatach jasności. Przez kilka dni po zniknięciu słońca jeszcze się odblask jego okazuje u zachodnich krańców widnokręgu, potem już księżyc panuje samotny na niebie bez chmur. Czasami tylko lekkie opary, okrywają niebiosa srebrną, przejrzystą gazą. Nansen zauważył, że świetlane opary północnej zorzy rysują się prawie zawsze w kierunku wiatru; według nich mógł odgadywać, jaki będzie wiatr za godzinę. U dołu krom Framu i jego mieszkańców wszystko było jedno-

stajnej białości: i lód i nieliczne zwierzęta — nawet lisa białego ubito.

Przez cały listopad zorze były bledsze, ciśnienie lodów dyskretniejsze, a mrozy dochodzące od 25° do 30° C, a mimo to w mieszkalnej części okrętu dość ciepło, aby prawie nie palić w piecach, co mogło chyba wystarczyć żeglarzom przywykłym do sąsiedztwa Lodowatego Oceanu. Sam Nansen dziwił się wytrzymałości swych ludzi. Bentsen np. wychodził na pokład na 30° mrozu w koszuli i spodniach.

Grudzień również żadnej nie przyniósł zmiany. Noc stawała się coraz głębsza, zorze tak piękne, że czasem podziw dech w piersiach zapierał. Lodowce to się rozluźniały, to zwierały ze zwykłym hukiem i trzaskiem; widocznie jednak zmieniały miejsca, po długiem bowiem krążeniu tam i napowrót w stosunkowo płytkich wodach, sonda zapuszczona 21 grudnia na 2100 metrów jeszcze dna nie dosięgła. Dłuższej już chwilowo nie było, ale bo też któż mógł taką bezdeń przewidzieć? Znajdowano się wtedy na 79° 15′ szer. Na Framie wesołość rosła i opadała w miarę cofania się lub postępu na północ. Nansen miewał długie napady zwątpienia; pytał sam siebie, po co właściwie wyjechał i dwanaście ludzi za sobą pociągnął? Szczęściem od czasu do czasu zjawiał się niedźwiedź i przerywał dumanie. Jeden ośmielił się nawet, korzystając z godzin, gdy wszyscy spali, wejść na pokład i porwać dwa psy, jednego po drugim. Hendriksen zbudził się pierwszy słysząc niezwykłe naszczekiwanie i rumor w psiarni, gdy jednak się zbliżył, niedźwiedź rzucił się nań i ukąsił go w bok. Hendriksen bronił się jak mógł, krzycząc i bijąc po łbie latarką, a gdy wróg oszołomiony go puścił, pobiegł co tchu po strzelbę i towarzyszy. Tymczasem niedźwiedź umknął ze swojej strony i dopiero po długich wędrówkach wśród lodów i nocy zdołano go dopaść i zabić.

Prócz niedźwiedzi miano karty, książki i harmonium. O książkach Nansen mówi, że gdyby ich autorowie wiedzieli, jakim one skarbem były na Framie, samo to starczyłoby im za nagrodę. Czytelnia była oblegana przez wszystkich członków wyprawy; on sam zabawiał się najczęściej opisem przygód i cier-

pień poprzednich północnych żeglarzy, co mogło wprawdzie zastraszyć go na przyszłość, ale zmuszało zarazem do porównania wygód i obfitości na Framie, z niedostatkiem, jaki tamci znosić umieli. Harmonium też brzmiało o różnych porach: raz w czasie silnego ciśnienia lodów, gdy świat zdał się walić dokoła, z salonu dochodziły tony piosenki: „Śpiew słowika usnąć mi nie daje..." U niektórych fantazya była niewyczerpaną: pod kierunkiem Blessinga zaczęto wydawać dziennik ilustrowany, każde urodziny i narodowe święto obchodzone były uroczyście, nieraz z flagami i pochodem tryumfalnym. Wierszyki i toasty sypały się, jak z rękawa. Wilia Bożego Narodzenia i samo święto musiały oczywiście myśli wszystkich zwrócić ku ojczyźnie; podwojono zatem usiłowań, aby tęsknotę rozpędzić. Światła elektrycznego jak na złość właśnie dla braku wiatru zabrakło; zastąpiono je, zapalając wszelkie możliwe lampy i świece. Po obiedzie i wieczerzy, które, zważywszy okoliczności, ucztami na zwaćby można, wniesiono do salonu dwie skrzynie zawierające wilijne podarki od matki i narzeczonej Scott-Hansena. Dla każdego był osobny prezent, nie kosztowny wprawdzie, ale z dziecięcą radością przyjęty, bo przychodzący jak pozdrowienie z pod rodzinnego dachu. Złote zaprawdę muszą być serca, w których tak rozrzewniający pomysł się zrodził!

Mróz tymczasem wzrastał. Nowy Rok 1894 zastał go — 40° C., przyczem w tworzącym się lodzie sól wydzielała się szybko, rysując na powierzchni dziwne palmy i kwiaty podobnie, jak zamróz na szybie. Wiatr dął znowu z szybkością 4—5 m. na sekundę. Nansen śmiał się, iż można przyznać, jako „jest dosyć chłodno w cieniu". Odtąd jednak co dnia robiło się trochę jaśniej, że zaś powierzchnia lodu znacznie się wygładziła, skończyło się i względne uwięzienie zimowe, Nansen mógł przedsiębrać już coraz dalsze przechadzki. W głowie jego począł się tworzyć plan porzucenia okrętu i puszczenia się pieszo lub saniami w stronę bieguna. Monotonne i bezczynne życie pożerało mu siły. Z drugiej strony jednak od wszelkich postanowień wstrzymywał go południowy wiatr, pchający teraz porządnie Fram wraz z lodami ku upragnionej północy, wstrzymywała

bardziej jeszcze nadzieja, że z nadejściem lata rozpłyną się więzy, krępujące pochód okrętu. Dnia 16 lutego skonstatowano 80° 1' szer. półn.; tegoż dnia na samym krańcu lodowatego widnokręgu ukazały się cztery pasy ogniste, słońce słało naprzód swój odblask pod górę. Przez kilka następnych dni zjawisko ponawiało się coraz jaskrawiej i coraz wyżej na niebie; dnia 20 weszło już samo słońce, ale niestety — za chmurą.

Długa, straszna, polarna noc minęła, powrót światła wszelako nie przyniósł spodziewanej radości. Podczas sześciu miesięcy Fram nie był ujechał nad $1^1/_2{}^0$; przejażdżki na saniach i nartach zabijały dziennie parę godzin czasu, ale nie poprawiały sprawy. Nansen dochodził zwolna do przekonania, że prąd ku północy rzeczywiście istniał, nie dość silny jednak, aby walczyć z przemożnym wiatrem. Nowo sporządzona sonda zerwała się nie dotknąwszy dna na 3475 m.: Bentsen wniósł z tego, że w ziemi istnieje dziura na wylot i że napróżno usiłują ją zmierzyć... Z początkiem marca mróz zelżał na 19° C., potem znów skoczył na 46° i 51° C. i to przy silnym wietrze północnym, zmuszającym niemal do zaprzestania wycieczek na nartach. Dotąd prócz odmrożenia palców, uszu lub nosa zimno nikomu nie było wyrządziło szkody; teraz przy szybkim biegu ból chwytał kolana i powyżej kolan, które dopiero mocnem tarciem można było przywieść do normalnego stanu. Skorzystano jednak z wiatru dla spróbowania jazdy żaglami na saniach, o ile na to nierówność lodu dozwolić mogła. Dzień przeciągnął się już nieskończenie, zachody słońca bywały prześliczne, bo ze wszystkiemi barwami odbite na lodzie i śniegu. Potem następowała krótka zorza, a około północy zaczynał majaczyć świt.

Od Nowego Roku niedźwiedzie były się kędyś podziały, w pierwszej połowie kwietnia ukazały się znowu, i to aż trzy równocześnie. Miły to był widok dla żołądków znużonych konserwami, miły dla oczu spragnionych rozrywki. Biedny Nansen tak się czuł zniechęconym, że nie miał prawie odwagi wychodzić z kajuty. Wywlekał się raz na dzień, aby wyciągnąć nogi, zaczerpnąć nieco powietrza i słońca, a potem wracał w ciemności do książek i mikroskopu, tworząc sobie z naukowej pracy sko-

rupę, w której zamykał myśli i serce. Dawniej przed spaniem wychodził zawsze patrzeć na światło księżyca, teraz i to minęło, bo słońce przestało zachodzić. Nie było już nocy ni zmroku, wichry uleciały daleko, dokoła było cicho, martwo, zimno i biało.

Dnia 30 kwietnia obliczenia wykazały 80° 44' 30" szer. półn., to też Nansen wylazł ze swej umysłowej nory, aby wraz z innymi grzać się na słońcu i z lubością oglądać okręt wyświeżony i czysty, oswobodzony z śniegu i szronu, rysujący się ostro na tle ogólnej białości. Zmierzono również temperaturę wody; wynik zaś był zadziwiający. „We wschodnio-groenlandzkim prądzie ciepłota wody nawet na powierzchni przeciętnie nie przenosi nigdzie 0° C., zazwyczaj atoli jest na — 1° C. aż do 70° szer półn. Powyżej zaś tego stopnia im głębiej sięgać w morze, tem woda zimniejsza: — 1°, — 1°5, i — 1°7 i tak aż do spodu. Nadto w całym obszarze mórz północnych powyżej 60° szer. temperatura na dnie niższą jest od — 1° C., wyjąwszy wązki pas wzdłuż norwegskich wybrzeży, oraz przestrzeń pomiędzy Norwegią a Szpicbergiem. Tutaj przeciwnie: poniżej głębokości 160 m. ciepłota przewyższa — 1° C., a w głębi 250 m. dochodzi nawet + 0,55° C. i to ponad 80° szer. półn., to jest w otoczeniu bieguna".

„Trudno przypuścić, aby ta ciepła woda płynęła z samego polarnego morza, zważywszy, iż prąd od niego ku południowi idący ma średnią temperaturę — 1,5° C. Musi chyba Golfstrom aż tutaj dopływać i zastępować wodę, która w wyższych warstwach płynie ku północy, tworząc źródło wschodnio-groenlandzkiego, polarnego prądu[1]. Wszystko to zdaje się zgadzać z memi pierwotnemi hipotezami i potwierdzać teoryę, na której polegał cały plan wyprawy. A jeśli się oprócz tego weźmie na uwagę, że wiatry wieją przeważnie z południowego wschodu, jak to również obserwowano na międzynarodowej stacyi w Sagastir, przy ujściu Leny, to zaprawdę można dobrze wróżyć wyprawie Framu".

---

[1] Powyższe zdanie, trochę niejasne, tłumaczone jest dosłownie z oryginału.

Tak pisał Nansen w przededniu maja 1894. Lato jednak, na które tak liczył, stało się dlań nową a nużącą szkołą cierpliwości. Lód poruszał się wprawdzie, śnieg rzedniał tak, że spacery na nartach stały się niemożliwe; chodząc, brodziło się głęboko w topniejącym snyżu, kry popękały, tworząc szerokie szczeliny i stawy. Stary lód również topniał z szybkością; jakież więc było zdumienie Nansena, gdy zmierzywszy grubość jego raz 4, a następnie drugi raz 10 czerwca, odkrył, iż warstwa zamiast zcieńczeć, jeszcze o 19 cm. zgrubiała! Próba ponowiona na różnych miejscach wykazała to samo: pod starą krą rozciągała się cienka, niezgęstniała jeszcze masa lodowa... Za dokładniejszem badaniem okazało się, że owa massa tworzyła się z trzechmetrowej warstwy słodkiej wody, spływającej ze śniegu stopniałego na lodzie. Że zaś woda słodka lżejszą jest i cieplejszą od słonej, liczącej na powierzchni — 1,5° C., przeto pływając po wierzchu, ostudzała się od samego zetknięcia z morzem i tworzyła pod starym lodem ową dodatkową skorupę, pogrubiającą kry. Lód przeto topniał od góry, a topniał od dołu. Przeciętna grubość wynosiła 2—3 m., czasem jednak znacznie więcej. Gdy raz zapuszczono świder w pobliżu Framu, woda trysnęła dopiero po przebiciu 6 m., a sonda rzucona tymże samym otworem o 10 m. głębiej trafiła znowu na lód. Okręt zatem spoczywał na dość potężnej podstawie.

Z każdym dniem upływającego lata nikła nadzieja wolnej żeglugi pomiędzy krami. Chwilowo otwarte stawy i strugi dozwalały na przejażdżki łodzią za pomocą żagli lub wioseł, co tem było cenniejszą rozrywką, że chodzenie po mokrym lodzie stawało się niemożliwem. Fram jednak choć parę razy już gotował się w drogę, nie mógł nigdy wyruszyć. Kra zaś, której się trzymał, to się cofała, to posuwała naprzód, jakby w zaklętem kole. Doszedłszy 18 czerwca do 81° 52', stała znów 5 września na 81° 14' szer. półn., a 123° 36' wsch. dług. Odtąd przecież zaczęła choć powoli płynąć stanowczo na północ.

Lato było pogodne. W cieniu wprawdzie termometr rzadko mierzył powyżej zera, ale na słońcu można było się piec powoli. Psom nie służyło to ciepło, ani zwłaszcza wilgoć na lodzie

kilka z nich, przeważnie młodych, już urodzonych na Framie, padło po krótkim napadzie kurczów. Ludzie za to byli zdrowi, zaledwie parę lekkich wypadków śniegowej ślepoty, której pierwszy lekarz stał się ofiarą po długiej grze w piłki na lodzie. Warsztaty obecnie przeniosły się na dwór, z tych najczynniejszym przez pewien czas był powroźniczy. Za materyał atoli nie służył tu len ani konopie, ale drut z rozkręconej liny stalowej okrętu; poświęcono ją dla uwicia nowej sondy, gdyż niepodobna było poprzestać na twierdzeniu Bentsena o dziurze, przewiercającej ziemię. Tym razem próba udała się: głębokość na różnych punktach sięgała od 3300 do 3900 m., co jeszcze potwierdziło Nansena w przekonaniu, iż hipoteza o wielkim, zapadłym dziś polarnym lądzie była najzupełniej mylną. „Głębia morza lodowego równie jest starą, jak głębia Atlantyku; morze lodowe zaś jest, o ile sądzić można, tylko dalszym ciągiem tegoż oceanu". Bentsen musiał być niezadowolony z odkrycia; Blessing natomiast cieszył się nie tak głębokością fal, ile możnością uganiania się za okazami świata roślinnego i zwierzęcego. Chlapiąc po śnieżnej wodzie zbierał kawałki brunatnego lodu, czerwonawe diatomeje, algi i żyjątka, które następnie Nansen pod mikroskopem oglądał: pomiędzy ostatniemi znalazł i bakcyle. A więc polarne strefy nawet nie są od nich wolne!

W końcu lipca poczęły się pojawiać mgły; z sierpniem przyszedł mróz do 6° C. — zapowiedź zimy. Dla Nansena nie było to smutkiem; ustawiczne światło dzienne na sinej przestrzeni męczyło mu oczy i nerwy; tęsknił prawie za gwiaździstą nocą i jej czarodziejską grą barw. Zresztą myśl jego była zaprzątnięta planem pieszej wyprawy. Skoro lato nie otwarło żeglugi ku biegunowi, należało doń trafić innym sposobem. Na to trzeba było czekać świtania wiosny, tymczasem zaś nastała noc. Dnia 15 września księżyc ukazał się po raz pierwszy i to w całej pełni w towarzystwie kilkunastu gwiazd. Z jakiem sercem współuczestnicy wyprawy przyjęli tę drugą zimę, nie wiemy. Nansen tylko był w świetnym humorze, cieszył się wygodą nowo dla jego wyłącznego użytku urządzonej pracowni, cieszył ze sporządzenia dla psów obszernych bud w śniegu na lodzie, co od-

dalało niemiły często hałas na statku, bawił się igraszkami szczeniąt, radował ciągłym niemal postępem Framu na zachodnią północ. Mniemał, że jeżeli tak pójdzie dalej, to okręt będzie mógł być za dwa lata z powrotem w Norwegii, przebiegłszy całą nakreśloną mu łukową drogę i dosięgłszy co najmniej 85° szer. półn. Dotarcie do bieguna przestało być jego celem, a raczej przekonał się, że dojście Framu do dokładnego matematycznego punktu jest rzeczą obojętną i że chodzi głównie o przejechanie i zbadanie północnych mórz“. On sam liczył, że rozstawszy się z towarzyszami około 83° szer. będzie miał przed sobą 780 kilometrów drogi do bieguna, którą to przestrzeń zamierzał przebyć w 50 dni. Piesza wyprawa, miała się składać z 28 psów, 2 ludzi i 1050 kilogramów zapasów i przyrządów podróżnych; powrót być skierowanym na Petermann-Land [1] i przylądek Fligely. Do towarzyszenia Nansenowi przymawiało się kilku; najpożądańszym dlań był Sverdrup, ten jednak podobnie jak Scott-Hansen i Blessing musiał pozostać przy Framie. Obrał zatem Johansena, który przyjąwszy podrzędny urząd palacza, miał się stać teraz jednym z głównych bohaterów wyprawy. Młody był, pełen życia, odwagi i wesołości dziecinnej, wykształcony i wytrzymały. O ile sądzić można z ilustracyj fotograficznych w dziele Nansena, nie zawsze udanych, a raczej bardzo uszkodzonych w czasie podróży, jest to jasnowłosy, dość zażywny młodzieniec, o sympatycznej, poczciwej twarzy; Nansen mieni go „przepysznym typem człowieka tak pod względem moralnym, jak i fizycznym“. Johansen przyjął z entuzyazmem propozycyę, której się w sercu spodziewał, śmiał się z przyszłych niebezpieczeństw i trudów.

Wraz z nocą nastały ciężkie mrozy i dawny, przeszłoroczny, tryb życia na Framie. Nansen, zważywszy, że dla braku ruchu wszystkim przybywa na wadze, zarządził obowiązkowe spacery na nartach, w czem, nie potrzeba mówić, że usłuchano

[1] Petermann-Land leży na północny wschód od Franz-Joseph-Land, a zaś po wschodniej stronie znajduje się wyspa Kronprinz-Rudolf-Land, oddzielona od lądu niewielkim sundem. Przylądek Fligely stanowi północny kraniec tej wyspy.

go chętnie. Wogóle zda się, słuchano go zawsze, choć rzadko kiedy używał trybu rozkazującego. Zupełna równość w obejściu i pracy, w której wódz najpierwszy brał udział, przy wyładowaniu nosząc węgle, rąbiąc lód i t. p., nadto wspólność stołu, czytelni i rozrywek była próbą po raz pierwszy na podobnej wyprawie wprowadzoną w użycie i najznakomiciej udaną. Wprawdzie miał do czynienia z ludźmi już okrzesanymi, uszlachetnionymi życiem wśród niebezpieczeństw między wodą a niebem, nadto ze Skandynawcami, w których tkwi z urodzenia ogłada, jaką innym przez wychowanie wpajać należy. Miłą tę zaletę posiada i niejeden ze starych Fryzonów: dość jest zapoznać się bliżej z rybakami Helgolandu, lub przynajmniej z tymi z pomiędzy nich, których nie skosmopolityzował coroczny napływ kąpielowych gości...

Obecnie jednak psy zajmowały Nansena conajmniej tyle, co ludzie; wszak na nich spoczywała cała niemal nadzieja przyszłej podróży! Smutno im było podczas nocy zimowej; gdy się do nich zbliżano z latarką, cieszyły się do światła, wybiegały naszczekiwując i poczynały w jasnym okręgu wyprawiać skoki i pląsy. Nie obeszło się bez wypadków: jednemu z młodych przymarzł język do żelaznej sztaby, biedaczek szarpał się i dławił napróżno. Za to, gdy go Bentsen z pomocą Nansena rozgrzewając lekko sztabę od tortury uwolnił, poczciwe zwierzątko nie wiedziało już, jak ma swą wdzięczność objawić i krwawym językiem lizało ręce wybawców. Drugiemu znów sierść przymarzła do żelaznego walca od młynka, zaczem został gwałtownie uniesiony w powietrze. Na rozpaczliwe wycie wybiegł Nansen na pokład i ujrzał psa obracającego się wraz z kołem i za każdym obrotem uderzającego głową w podłogę, a Bentsena uwieszonego u korby, aby zatrzymać ruch. We dwóch udało się i tym razem uratować ofiarę.

Przez cały ciąg listopada niebo było okryte grubą zasłoną chmur, ciemność iście grobowa nie dozwalała prawie oddalać się z okrętu. W grudniu księżyc ukazał się znowu; dnia 13-go obchodzono uroczyście osięgnięcie północnej szerokości 82° 30', do której żaden przedtem statek nie dotarł. Wkrótce potem

przyszły święta — drugie wśród lodów i nocy. Nie było już podarków od matki Nansena, natomiast wystąpił nadzwyczajny migdałowy placek z napisem: *Glaedelig Jul* (wesołych świąt), dar jakiegoś piekarza z Chrystyanii, upieczony przed $1^1/_2$ roku! Zabawiano się muzyką i tańcami, w których Nansen i Hansen występowali jako damy; nazajutrz bawiono się jeszcze, lecz naraz gry przerwano z okrzykami radości, gdy Scott-Hansen, dostrzegłszy jednę gwiazdę, świecącą na niebie, wybiegł, aby zmierzyć szerokość, i wrócił głosząc z tryumfem, że Fram przekroczył 83° 20′.

Nie miano atoli czasu długo się cieszyć. W ostatnich tygodniach dawały się czuć parękroć ciśnienia lodowe, tem przykrzejsze, iż ciemność była tego roku głębsza, zorze rzadsze, a niebo po większej części chmurne i groźne. U spodu zamiecie przelatywały wyjąc ponad pustynią i wielkiemi kupami śniegu zalegały kąty pokładu. W dwa dni po Bożem Narodzeniu Fram doznał tak silnego wstrząśnienia, iż długo po niem drżał jeszcze; potem znów było cicho, tylko pomniejsze kry łomotały w szczelinie, która się w tyle za statkiem otwarła. Nazajutrz o godz $9^1/_2$ wieczorem nastąpiło nowe, jeszcze silniejsze wstrząśnienie, w godzinę potem drugie, a dalej już raz w raz coraz częściej i silniej. Świst wichru pomiędzy masztami taki był głośny, że niemal trzeszczenie lodu w nim głuchło. Teraz znów lód rozwarł się na przodzie okrętu, a tuż za szczeliną wzniósł się stromy pagórek, w koło którego lody szamotały się w straszliwym boju. Kra, na której spoczywał Fram, rozpadła się, pagórek z lodu sterczał o 50 kroków i mógł lada chwila runąć w stronę okrętu. Pomimo to załoga położyła się spać, zostawiając tylko zwykłą straż na pokładzie. I co dziwniejsza, okazało się, że mieli słuszność; tym razem bowiem skończyło się na strachu. Następnych dni również był spokój, a Nowy Rok 1895 zaczął się wesoło. Za to Nansen pisze już pod datą 3 stycznia:

„Mieliśmy dzień niepokoju. Co to za dziwne zmiany w pozornie jednostajnem życiu: wczoraj snuliśmy plany na przyszłość, a dziś może zostaniemy bez dachu“... Nowy, większy jeszcze od

poprzedniego lodowiec spiętrzył się był nagle od lewego boku, tym razem już o 30 kroków; wstrząśnienia powtarzały się w sposób zatrważający. Zrazu pospieszono z ratowaniem na pokład wszystkiego, co było na lodzie, jak sanie, instrumenta, deski, liny i t. p.; że jednak pagórek co chwila się zbliżał, poczęto się sposobić do opuszczenia okrętu. Spuszczono łodzie, wyniesiono skrzynie zapasów dostatecznych na 200 dni, w końcu ubrania i sprzęty, wszystko na lód po prawej stronie względnie bezpieczniejszej, niż lewa. Tu z pod pęknięcia woda lała się już na powierzchnię tak, iż ledwie zdążono wypuścić strwożoną psiarnię. Nansen to kierował ratunkiem, to siadał i pisał dziennik, podczas gdy inni dla odpoczynku zaczynali partyjkę, wszyscy w podnieconym humorze, jakby chodziło o sport, a nie o życie. Peder Hendriksen zwłaszcza był rozbawiony nad wyraz. Około 2 godz. w nocy Nansen zmęczony położył się i spał do rana, to jest do chwili, gdzie Sverdrup zbudził go wieścią, że lodowiec już dotyka okrętu. Szczęściem tego dnia właśnie świeciła zorza; młody księżyc również na parę godzin ukazał się na niebie — można było przynajmniej zmierzyć ogrom niebezpieczeństwa. Lodowiec sięgał wysoko ponad poręcze; jeszcze wstrząśnienie i kupy śniegu i lodu poczęły się walić na pokład i dach płócienny. Nansen przybiegł na czas, aby Hendriksena, który szuflem odgarniał bryły, odciągnąć, zanim nowy ładunek runął na okręt. Hendriksen począł się śmiać do rozpuku: „O mały włos licho nie porwało mnie razem z szuflem!" — zawołał. Statek jęczał, skrzypiał, przechylając się coraz bardziej na prawo; zachodziła obawa, że walące się masy zatarasują wejście do wnętrza. Nansen rzucił się spiesznie, aby zwołać całą załogę i kazać bocznemi drzwiami wynieść pozostałe jeszcze worki zapasów. Podczas gdy schodził, belki nad głową jego trzeszczały, podłoga drżała — zdało się, że cały świat się wali. Na dobitek sternik w zamięszaniu zgasił lampy; trzeba się było z ciężarami wśród ciemności borykać. Pomimo to salon, kajuty i pokład zostały szybko wypróżnione; wkrótce ludzie, psy i rzeczy, wszystko stało na lodzie. Od lewego boku zaś dochodził taki huk, takie wycie i łomot, że nie można było głosu ludzkiego dosłyszeć.

A jednak wszystko na tym świecie się kończy. Jeszcze przeciągano worki na lodzie, gdy ciśnienie ustało, poczem stopniowo nastąpił spokój.

Ale co za widok! Lewy bok okrętu był całkowicie zagrzebany śniegiem, ponad który jedynie dach płócienny wywystawał: lód sięgał o dwa metry ponad poręcze, na samym dachu leżały lodowe bryły. Tego dnia nikt o obiedzie nie myślał, pożywiono się wziętemi na zapas ciastami i konfiturami, na noc jednak wszyscy, choć bez rozbierania się powrócili do kajut. Wesołość nie ustawała; gdy Hansen nazajutrz oznajmił o nowem posunięciu się na północ (83° 34') zgotowano pącz dla wniesienia toastów. I było czem się nacieszyć: ciśnienia powtórzyły się wprawdzie, ale coraz słabsze, aż zwolna powierzchnia lodu zasklepiła się i ustaliła na nowo. Fram po części ręką ludzką, a po części siłą natury oswobodzony od gniotącego brzemienia, podnosił się tak, że już można było dokładnie go zbadać: Colin Archer byłby mógł tryumfować: ani jedna belka nie pękła, ani jedna śrubka nie ruszyła się z miejsca. Zwolna życie na statku wróciło do dawnego trybu.

IV.

Nadszedł dzień 25 lutego 1895 r., wigilia wymarszu Nansena. Ostatnie dni przepędził w istnej gorączce, jaka większe wyjazdy poprzedzać zwykła, gdy na wyjeżdżającym cięży odpowiedzialność za siebie samego, za tych, którzy mu towarzyszą, i tych, których pozostawia na długo. Tym razem owe „na długo“ mogło łatwo się zmienić „na zawsze“, to też Nansen, oddając Sverdrupowi komendę Framu, zostawiał mu na piśmie staranne instrukcye, polecając mu na równi dalszy ciąg badań naukowych, jak i życie załogi. Fram miał skorzystać literalniej z pierwszej wolnej chwili, aby najkrótszą drogą powrócić do Europy. Podpisawszy to pismo wieczorem, Nansen położył się strasznie zmęczony, rad, że odtąd nogi i ręce jego będą bardziej pracowały, niż głowa.

Nazajutrz po serdecznem pożegnaniu, przy którem wszelką rzewność uczucia usiłowano zataić, naładowano czworo sań, za-

przężono doń psy, przy których podróżni mieli sunąć pieszo na nartach, i puszczono się w drogę. Sverdrup, Hansen, Hendriksen i Mogstadt mieli ich eskortować część drogi; z pokładu gęste okrzyki i salwy zagłuszały smutek rozstania. Psy szły nie źle, pochód jednak był ciężki poprzez strome pagórki lodu; po paru godzinach Mogstadt przybiegł do idącego przodem Nansena z oznajmieniem, że jedne z sań rozbiły się o bryłę. Trzeba było naprawić szkodę i zapobiedz podobnej na przyszłość — podróżni powrócili do Framu. Tu można sobie wystawić, że ich dobrze choć ze zdziwieniem przyjęto; oni sami byli radzi i pełni nadziei, gdyż droga z powrotem odbyła się z dziwną szybkością: psy ciągnęły do statku, jak konie do stajni. Dnia 28 lutego nastąpił drugi wyjazd znów poprzedzony pożegnalną ucztą; ciż sami towarzysze odprowadzali podróżnych. Tym razem ładunek rozdzielony był na sześć sań; psy jednak szły ciężko i powoli. Sądząc, że ciężar jest jeszcze zbyt wielki, zostawiono parę worków po drodze. Po przebyciu 9 kilometrów zatrzymano się i rozbito namioty. Dzień był jeszcze nadzwyczaj krótki i blady, zaraz z wieczora jednak wielka światłość uderzyła od Framu; było to światło wielkiej elektrycznej lampy, zawieszonej u szczytu masztu, a w świetle tem cała orkiestra ogni sztucznych słała jeszcze pożegnanie z oddali. Zrana trzeba było towarzyszy pożegnać. Sverdrupowi polecał uściśnienie odeń ponieść żonie i dziecku.

„A gdybyś pan po powrocie do kraju chciał się wybrać do południowego bieguna — dorzucił w ostatniej chwili — to proszę o mnie pamiętać!"

Nansen i Johansen zostali sami i przez cały, niedługi dzień usiłowali iść naprzód. Postępowali wszakże nadzwyczaj wolno, gdyż za każdym wałem lodowym, za każdą rozpadliną trzeba było sanie przeprowadzać z osobna, a zatem po sześć razy każdy kawałek drogi odbywać. Iść dalej w ten sposób, zwłaszcza przy krótkości dnia, było niepodobna; następnego dnia zatem Nansen po raz drugi powrócił do statku, aby stąd posłać ludzi po Johansena, sanie i psy. W drodze czekała go niespodzianka: okrąg słońca pierwszy raz w tym roku ukazał się na widnokręgu, wyprzedzając z powodu silnych mrozów porę wyznaczoną

przez kosmografów. Drugą radością była wieść, z jaką go przywitano, wybiegając naprzeciw: Fram według obliczeń Scott-Hansena doszedł był do 84° 4′ szer. półn. Dobry obiad i wygodny spoczynek po trudzie pocieszyły go do reszty; podróż została odłożoną do nastania dłuższych dni.

Niejeden może byłby po tylu przeszkodach dał za wygraną; ten jednak nie byłby Norwegczykiem. Nansen myślał tylko o poprawieniu różnych szczegółów w przygotowaniach podróży. Chcąc zmniejszyć liczbę sań a zatem i ilość ciężaru, trzeba było zostawić rożne sprzęty, nadto większą część zapasów dla psów i zdecydować się na rzecz okropną: żywienie ich własnem ich mięsem, gdy innej strawy zabraknie. Jedno po drugiem, biedne zwierzęta miały iść na pokarm współbraci. Brano ich 28; do tego 3 sań, na których mieściły się dwa leciuchne, bo po 18 kg. ważące kajaki, a raczej szkielety ich z bambusu, mającego być powleczonym skórą foczą; dalej jedwabny namiot, strzelby, duży wór z reniferowego futra, przeznaczony na wspólne łożko i pościel, nieco wełnianej bielizny i odzienia, instrumenta matematyczne, przyrządy kuchenne, apteczka, różne zapasowe kawałki drzewa, żelaza, blachy i t. d. i około 500 kg. żywności [1]. Całość wraz z saniami i kajakami nie przenosiła 715 kg. wagi. Odzienie przedstawiało dość trudne do rozwiązania zadanie. Za pierwszem odejściem od Framu podróżni mieli na sobie całkowite ubrania z wilczury; te jednak przy jeździe na nartach okazały się nazbyt ciepłemi, takie bowiem wywoływały poty, że je po powrocie na okręt przez kilka dni nad piecem suszyć musiano. Postanowili zatem bez futer się obejść: dwie koszule Jaegerowskie, kaftan z wełny wielbłądziej i na to

[1] Skład zapasów był następujący:

Sucharów	kg. 59	Czekolada mięsna (?)	kg. 8
Różnej mąki	„ 39	Mleko w proszku	„ 6
Masło	„ 39	Cukier	„ 4
Pemmikan	„ 165	Mączka z ryb	„ 16
Konserwy na zupę	„ 32	Ziemniaki suszone	„ 6
Pasztet wątrobiany	„ 92	Suszone jarzyny, sok cytrynowy i inne konserwy	„ 3
„Vril“-speise (?)	„ 16		
Czekolada i kakao	„ 10		

drugi t. zw. islandzki kaftan wełniany, nadto jako ochrona od wiatru, szerokie całkowite ubranie z cienkiej, ale gęstej tkaniny bawełnianej, stanowiły główną część garderoby. Głowę okrywał filcowy kapelusz, osłaniający oczy, a na nim jeden albo dwa kaptury; obówie składało się z wełnianych, ludzkimi włosami przetykanych szkarpetek, wolnych kamaszy i fińskich butów z futra reniferowego. Szkarpetki zawsze niemal mokre wieczorem trzeba było suszyć przez noc na piersiach: buty pono najlepiej broniły od zimna, gdy zamiast szkarpetek napychano je suszoną trawą senesu. I tę jednak trzeba było suszyć na własnej osobie, słowem, „nieszczęsne ciało ludzkie — pisze Nansen — było, jak zwykle w takich wyprawach, jedynem źródłem ciepła, dającem się użyć do wysuszenia odzieży. Podczas całego pochodu musieliśmy sypiać jakoby w mokrych okładach, chcąc mieć przez dzień jaką taką wygodę". Za łoże miał służyć wymieniony już wór futrzany, dość szeroki na dwóch, opatrzony klapą, którą można było zaciągać na głowę. Ubrania na zmianę nie wzięli wcale, nie chcąc przeciążać sanek; był to, jak się okazało, jedyny błąd w całem ekwipowaniu. Nansen przyznaje, iż nieliczył na tak długą wędrówkę; sądził, że jeżeli się powiedzie, to potrwa krótko, a jeżeli się nie powiedzie... jeszcze krócej.

Dnia 14 marca (1895), doczekawszy się dłuższego dnia, Nansen i Johansen wyruszyli znowu przy salwach armatnich, znowu eskortowani przez kilku z załogi, tym razem jednak wyruszyli na dobre. Nazajutrz towarzysze powrócili do Framu, a oni podążyli w dal. Hendriksen przy pożegnaniu smutnie poruszał głową, a gdy Nansen odwrócił się po raz ostatni, ujrzał go stojącego na lodowem wzgórzu i goniącego okiem przyjaciół, których się już nie spodziewał oglądać. Niema co — gorzej zawsze tym, co zostają, niż tym, co odchodzą. Nasi podróżni nie mieli nawet czasu na tęskne marzenia. Po niedługiej przestrzeni gładkiego lodu, rozpoczęły się wały, wzgórza i rozpadliny, przezktóre należało to sanie przeciągać, to je przenosić, to je dźwigać napowrót, gdy się wywróciły, to znów okrążać szczeliny pomiędzy krami. Bardzo już było dobrze, gdy się udało

15 do 22 kilometrów na dzień ujechać. Nansen złościł się czasem, ale się nie zniechęcał, przyznawał tylko, że się tego rodzaju trudów nie spodziewał, dodając następnie, że „naprawianie butów wieczorem przy 40 i kilku stopniach nie da się również do przyjemności zaliczyć“. Ubrania ich w ciągu dnia zamieniały się w pancerze z lodu, w nocy zaś rozmakały, aby nazajutrz na nowo zamarznąć. Słońce świeciło jaskrawo na niebie bez chmur, aż wreszcie tęsknota brała za dniem mniej jasnym, a choćby trochę cieplejszym. Dnia 22 marca byli na 85° 9′ szer. półn.

Nazajutrz przypadło im ciężkie zadanie, zabicie pierwszego psa. Chory był wprawdzie i z zimna i zmęczenia, byłoby i tak trzeba zostawić go na marną śmierć wśród pustyni. Przykrą też była robota zdjęcia zeń skóry. Mięso pokrajane w kawałki dali na pożywienie psom — te jednak, choć cały dzień pracowały o głodzie, nie chciały tknąć podobnej strawy. Z czasem, gdy im innego pożywienia nie stało, a znużenie przytępiło instynkt, miały się stać mniej wybrednymi. Wprawdzie nie jedne psy się nużyły. Pomimo, iż przez następne dni lód był nieco równiejszy, podróżni zawsze dość spotykali przeszkód po drodze, aby potrzebować natężenia wszystkich swych sił. Pod wieczór sen nieubłaganie kleił im oczy. Nansen spuszczał głowę i zasypiał w pełnym ruchu i budził się dopiero, potknąwszy się na nartach. Wtedy korzystając z pierwszego kąta, zasłoniętego od wiatru lodowem wzgórzem zatrzymywali się na noc. Johansen zajmował się psami, podczas gdy Nansen rozpinał namiot, rozpalał naftową kuchenkę swego wynalazku, topił lód i czemprędzej przyrządzał obiad. Oprócz bowiem rannego śniadania nigdy w ciągu dnia nic ciepłego w ustach nie mieli. Obiad zaś a raczej wieczerza składała się kolejno to z *labskauzu* tj. potrawy zrobionej z pemmikanu [1] i suszonych ziemniaków, to z *fiskegratin*, gęstej papki złożonej z tartej ryby, mąki pszennej i masła. Trzeciego dnia występowała grochówka z chlebem i pemmika-

[1] Pemmikan, jak wiadomo, jest to mięso bawole, ususzone i grubo zmielone. Preparat ten wyrabiany głównie w Ameryce i Australii, przechowany w skórzanych workach może całe lata przetrwać bez zepsucia.

nem. Johansen, skończywszy robotę z psami, przynosił worek futrzany, do którego, zamknąwszy szczelnie otwór namiotu, wsuwali się spiesznie, aby zamarzłe odzienie odtajało, zanim się ugotuje kolacya. Ubranie tak było sztywne, iż postawione na ziemi stało jak z drzewa; chrzęszczało za każdym ruchem, a co gorsza, wcinało się na zgięciach. Tak Nansenowi na prawem ręku zrobiła się rana, która gdy się w nią jeszcze wdał mróz, przeżarła ciało aż do kości. Obwiązywał ją starannie, lecz się nie zagoiła, jak w lecie. O suchem odzieniu nie było co i marzyć, póki takie zimno trzymało.

„O jakżeśmy marzli i dygotali w tym worku, czekając na naszą wieczerzę! Ja, żem był kucharzem, musiałem się trzymać jako tako obudzonym, co mi się też udawało, choć z trudem. Za to gdy jadło było gotowe i podzielone, smakowało nam zawsze wybornie. Była to najjaśniejsza chwila, na którą cieszyliśmy się cały dzień. Czasami jednak byliśmy tak zmęczeni, że nam się oczy same zamykały i łyżka już pełna wypadała z rąk. Po jedzeniu zazwyczaj pozwalaliśmy sobie zbytek — łyk jak najgorętszej wody z rozpuszczonym proszkiem z serwatki. Robiło się z tego gorące mleko i rozgrzewało nas od stóp do głów.

„Następnie właziliśmy znów do worka, okrywali się razem z głową, tulili do siebie, ażeby się lepiej zagrzać i wnet zasypiali snem sprawiedliwych. Ale i we śnie śniło nam się, że wciąż idziemy, że się męczymy nad podnoszeniem sań; słyszałem nieraz, jak Johansen przez sen wołał na psy i klął. Dobrze nam było w tym worku, gdy nam udało się rozgrzać, nie musiało tam jednak być ciepło, skoro pewnego dnia obudziłem się z odmrożonymi palcami. Z rana, jako kucharz, musiałem krzątać się około śniadania, co trwało niemal godzinę. Jednego dnia piliśmy czekoladę z chlebem i pummikanem, drugiego polewkę z mąki, wody i masła. Do tego dodawaliśmy mleko zawsze ze sproszkowanej serwatki. Gdy śniadanie było gotowe, budziłem Johansena, siadaliśmy z nogami w worku i jedli rozciągnąwszy derkę w miejsce obrusa. Następnie pisaliśmy cokolwiek w naszych dziennikach, poczem już trzeba było myśleć o wymarszu. Nieraz byliśmy jeszcze tak znużeni, że byłbym dał niewiedzieć

co, aby znów wleść do worka i przespać całe 24 godzin. Zdawało mi się, że niema większej rozkoszy na świecie. Ale cóż? trzeba nam było iść na północ, zawsze na północ“.

Użaliwszy się tak nad sobą, Nansen użala się i nad losem psów, które nie z własnej woli, ale zmuszone, pchane, gnane batem i krzykiem, wyczerpywały wszystkie siły swego żywota, aby w końcu miasto nagrody zginąć pod nożem i służyć innym psom na pożarcie. „Brzydką stroną takich wypraw — pisze Nansen — jest, że wszelkie dobre uczucie w człowieku zamiera“. Że owe biedne kundle nieraz zniecierpliwić mogły, to pewna. O wiele samowolniejsze i mniej rozsądne od koni lub nawet od wołów, co chwila plątały się w uprzęży, w najkrytyczniejszych chwilach rwały rzemienie lub postronki i wynosiły się tryumfalnie na to, aby wkrótce, po niepotrzebnie dodatkowym spacerze, ze wstydem pod bat powrócić, wpadały w każdą dziurę, zahaczały się o każdy cypel lodowy, wyły przez całą noc, kiedy im mróz dokuczał. Nie uszło półtorej godziny, aby nie było trzeba zatrzymać marszu dla rozplątania uprzęży, wiązania starganych sznurów lub ładowania napowrót wywróconych sań, wszystko to prawie czyniąc gołemi rękami, na których mróz mało co skóry zostawił. Słońce przestało zachodzić a zimno trwało wciąż; jakżeż często wtedy wzdychali obaj za kożuchami, zostawionymi na Framie!

Nie dziw, że w tych warunkach pochód był powolny: koniec marca zastał ich dopiero na 85° 30′ szer., gdy Nansen myślał, że już 86° dosięgli. W kwietniu termometr począł iść w górę (tj. stał około —30° C. zamiast —40°), ale za to wicher dął bez litości, osłaniając kupami śniegu zdradliwe rozpadliny lodu, prusząc pył śnieżny w oczy, usta i nosy podróżnych. Droga stawała się coraz trudniejszą, łańcuchy lodowych wzgórz coraz gęstsze, coraz uciążliwsze do przebycia i dłuższe do okrążenia. Nansen przekonywał się z każdym dniem, że do samego bieguna nie dotrze. Raz śniło mu się, że był u swoich, w Norwegii, a gdy się zbudził i ujrzał dokoła mroźną, siną pustynię, rozpacz chwyciła mu serce...

Niezachodzące słońce, ogrzewając powierzchnię lodu, goto-

wało im nowe znoje. Kry rozdzielały się, lód pękał; miejscami tworzyły się nawpół zamarzłe stawy, częściej jednak szerokie niepodobne do przebycia rozpadliny. Niekiedy poza rozpadliną był stromy wał pogruchotanych lodowych głazów a poza wałem znów przerwa. Nansen z jednemi saniami szedł naprzód, szukając przejść, nadrabiając w dwójnasób i trójnasób drogi. Johansen miał mniej chodzenia, ale za to dwie pary sań i 16 psów, którymi musiał kierować; zajęty nimi nie mógł często patrzeć, gdzie chodzi, i zapadał się pod lód do wody. Szczęściem za każdym razem mógł wygramolić się szybko, ale o wysuszeniu nie było mowy. Musiał iść dalej w przemokłej mroźną wodą odzieży, zaczem, jak pisze Nansen, sam w kawał lodu się zmieniał.

A jednak szli wciąż naprzód, szli ku północy, przebywając co dnia po kilka i kilkanaście kilometrów. Szli wciąż i dziwowali się, czemu, gdy mierzyli przebytą drogę, takie się nieznaczne wykazywały postępy? Nareszcie spostrzegli się, że ich nadludzki trud podobny był piekielnej pracy Syzyfa: w miarę jak szli na północ, kry, po których stąpali, ciągnęły ku południowi. Dnia 6 kwietnia po uciążliwym pochodzie rozpięli namiot u stóp wielkiego lodowego wzgórza, osłonięci zupełnie od wiatru. Tu postanowili trochę odpocząć. Stąd również Nansen miał iść na zwiady, wypatrzyć, jaka droga czeka ich ku północy, czy gdzie nie ujrzy wolnego morza lub lądu. Znajdowali się na 86° 15′ 6″, szer. półn. i około 95° dług. wsch. — był to punkt, na którym stopa ludzka nigdy nie stanęła. Dotąd najśmielsze wyprawy nie dotknęły 84° północy. Miał to jednak być kres ich wędrówki. Nazajutrz Nansen, wyszedłszy na najwyższy szczyt, rozejrzał się w przestrzeni. Wszędzie, o sam brzeg widnokręgu świecił lód nierówny, spiętrzony, zszarpany, tu i ówdzie przerznięty szczeliną. Dalszy pochód ku biegunowi był niemożliwym: tym razem jeszcze groźne olbrzymy, strzegące wejścia do Helheimu zaparły drogę północy.

(Dok. nast.).

T. W.

STREJK WOBEC ETYKI [1].

(Ciąg dalszy.)

III.

Inną stroną strejku, którą omówić tu musimy, jest koalicya.

Przez koalicyę najogólniej pojętą rozumiemy dobrowolne połączenie się pewnej liczby jednostek do pewnego wspólnego celu. Cel ten może się ograniczać do jednego szczegółowego zadania, lub obejmować cały ich szereg: samo połączenie może być przejściowe tylko i luźne, albo też ściślej zorganizowane i na trwalszych oparte podstawach [2].

Na jednej lub drugiej z tych form koalicyi opiera się każdy strejk. Z natury rzeczy jest on akcyą zbiorową, prowadzoną solidarnie przez mniejszą lub większą grupę robotników, połączonych ze sobą własną powagą, bez dołożenia się władzy państwowej.

---

[1] Por. *Przegląd Powszechny* z grudnia 1897 r., str. 389.

[2] Jakkolwiek połączenia trwałe i silniej zorganizowane noszą zazwyczaj osobną nazwę związków lub stowarzyszeń, nazwę zaś koalicyi odnosi się najczęściej do połączeń doraźnych i przejściowych, to jednak ten sposób mówienia nie jest ani koniecznym ani powszechnym. Wyraz „koalicya“ jest terminem ogólnym, i z natury swej oznaczać może zarówno stałe, jak przejściowe związki. W tem też ogólnem znaczeniu bierzemy go tutaj, chodzi nam bowiem o samą zasadę i istotę łączenia się, a nie o różne jej formy. Strejk równie dobrze opierać się może na koalicyi przejściowej, jak i na związku trwałym. — Porównaj co do tego w *Handwörterbuch der Staatswissenschaften* t. IV, na str. 690 artykuł Stiedy pod tytułem: *Koalition*.

Czy robotnikowi przysługuje prawo zmawiać się z towarzyszami w celu utworzenia tego rodzaju koalicyj?

Na to pytanie odpowiadano przez długie lata z wielu stron przecząco, a na poparcie tej odpowiedzi przytaczano bardzo różne powody. Jedni, nie wchodząc głębiej w samą istotę rzeczy, przeciwni byli wszelkim zmowom i koalicyom robotniczym z obawy nadużyć i gwałtów, jakich się połączeni robotnicy niejednokrotnie dopuszczali. Inni szli dalej, i potępiali samą zasadę łączenia się, zwłaszcza na polu gospodarczem, upatrując w niej zarodek niebezpieczny dla wolności ekonomicznej, niedawno z takim trudem zdobytej. Drżano na myśl, że z koalicyj wyjść kiedyś mogą nowe korporacye w rodzaju dawnych cechów i w rozbudzone dopiero co życie ekonomiczne wnieść znowu zastój i zacofanie. Swobodna działalność izolowanych jednostek uchodziła wówczas za niezbity dogmat postępu i nieodzowny warunek dobrobytu. Podnoszono też przeciw koalicyom pewne zarzuty natury moralnej. Widziano w nich czynnik rozstroju, zdolny wytworzyć głęboką przepaść między robotnikiem a pracodawcą i uniemożliwić nawiązanie między nimi patryarchalnych stosunków.

Do najbardziej zawziętych przeciwników koalicyi należeli z reguły *beati possidentes* — fabrykanci i kapitaliści. Przeczuwając nie bez podstawy, że koalicye warstw pracujących raz dopuszczone i uznane, z czasem dojść muszą do znaczenia, a wtedy zaczną wpływać skutecznie na inny, niż dotąd, rozdział dóbr materyalnych, zwalczali je wszelkiemi siłami w teoryi i w praktyce. Za ich głosem szły rządy, które przez długie lata za najgłówniejsze swe zadanie na polu ekonomicznem uważały popieranie interesów wielkiej produkcyi, a z drugiej strony przejęte ideami nieograniczonej supremacyi państwowej, upatrywały w każdem łączeniu się jednostek jakąś wrogą sobie siłę, wdzierającą się samowolnie na pole akcyi społecznej, uznawane przez rządy za wyłączne terytoryum władzy państwowej. Nie brakło wprawdzie głosów, odzywających się raz po raz w obronie wolności koalicyjnej i wykazujących, że zasada wolnego łączenia się jednostek jest ze wszech miar słuszną, i w interesie dobra pu-

blicznego za taką przez prawodawstwo uznaną być winna — głosy te jednak były dość sporadyczne i systematycznie zagłuszane. Ostateczny rezultat był ten — jak to już mówiliśmy dawniej — że prawodawstwo europejskie przez długie czasy zabraniało wszelkich koalicyj robotniczych pod grozą surowych, prawie drakońskich kar. Zakazy te dotrwały w wielkiej liczbie aż do siódmego mniej więcej dziesiątka bieżącego stulecia [1], w niektórych zaś krajach istnieją po części i dzisiaj, jak np. we Włoszech, gdzie zabronione są koalicye robotników, mające za cel podniesienie zapłaty.

Czy te poglądy antykoalicyjne były słuszne — i czy uzasadnione były powody, na których je opierano? Sądzimy, że nie.

Nie chcemy przeczyć, że w czasach, kiedy gwałtowne rozruchy robotnicze były na porządku dziennym, a rewolucyjne prądy wstrząsały całą Europą, mogło być rzeczą wskazaną w interesie spokoju i bezpieczeństwa publicznego czuwać nieco więcej nad koalicyami i nie dopuszczać tych, które zagrażały dobru publicznemu, dążąc do celów złych i niemoralnych. Okoliczność jednak, że niektóre koalicye dopuszczały się nadużyć i stawały się narzędziami gwałtu, nie mogła jeszcze sama przez się służyć za dowód, jakoby każda koalicya była z natury swej społecznie niebezpieczną, moralnie złą. Wszystkiego przecież można nadużyć, nawet rzeczy w sobie najlepszych — a władza państwowa, nie szukając daleko, mogła we własnych swych dziejach znaleźć cały szereg obciążających ją win i zbrodni, z powodu których burzono się wprawdzie nieraz i buntowano, czasami szukano odwetu na jednostkach przedstawiających władzę, nigdy jednak nie potępiano ani nie usuwano w zasadzie samejże władzy państwowej. Niemniej powoływanie się na przykład cechów i trwożliwe przestrzeganie przed niebezpieczeństwem, grożącem rzekomo ze strony koalicyi postępowi i wolności, było tylko płytkim wybiegiem. Trudno chyba przyszłoby dowieść, że zastój w epoce upadłych cechów dlatego właśnie nastąpił, iż cechy

[1] W Holandyi zniesiono ustawy antykoalicyjne w r. 1872; w ciągu ośmiu poprzednich lat usunięto je w innych państwach europejskich. Odnośne daty por. w *Przegl. Powsz.* z listopada 1897, str. 184.

opierały się na zasadzie łączności. Nastąpił dlatego, że organizacya cechowa spaczyła się i zwyrodniała, a nie chciano czy nie umiano jej zreformować w stosownej chwili i do nowszych zastosować wymagań. W czasach największego średniowiecznego rozwoju, największą też spotykamy wolność obywatelską, zwłaszcza wśród warstw przemysłowych i rzemieślniczych, a mimo to nie co innego, tylko właśnie koalicye i związki były wówczas głównym czynnikiem postępu. A postęp ten tak był olbrzymi, że niedawno temu Schmoller, a świeżo Michael nie wahają się twierdzić, iż przejście od epoki, która nie znała właściwych miast, do epoki wykazującej miasta o 50.000 mieszkańców, a w technicznym zakresie podejmującej takie niezwykle śmiałe przedsięwzięcia, jak np. tum strasburski, kto wie czy nie jest większym postępem, niż przejście z ostatnich wieków w nasze czasy, tak dumne z swoich kolei i maszyn parowych, z swoich teatrów i muzeów [1].

Największem jednak przewróceniem rzeczy było potępianie koalicyj robotniczych w imię obrony patryarchalnych stosunków. Pracodawcy, którzy z szczególną predylekcyą posługiwali się tym taranem, nie spostrzegli, że zwracał się on najsilniej przeciw nim samym. Tak zwany stosunek patryarchalny jest pojęciem dość skomplikowanem i naciąganem do woli — jedni mu błogosławią, drudzy złorzeczą. Najczęściej może pojmowany on bywa jednostronnie i wyłącznie jako stosunek największej możliwie zawisłości pracującego od pracodawcy. Nad tak pojętym stosunkiem trudno się chyba unosić, a wskrzeszenie go w dzisiejszych czasach nie byłoby ani możliwe, ani pożądane. Nie można zapominać — jak trafnie zwraca uwagę ks. H. Pesch — „że po udzieleniu klasie robotniczej politycznej samodzielności i równouprawnienia, psychologiczną konsekwencyą musiało nieprzeparcie obudzić się w niej żądanie równouprawnienia społecznego; przyznanie tego równouprawnienia było historyczną koniecznoś-

[1] Por. *Geschichte des deutschen Volkes* von Emil Michael S. I. 1. Bd., 1. Buch. Zweite Auflage (1897), str. VII. Tamże cyt. Schmollera *Strassburgs Blüthe,* w wydawnictwie *Quellen und Forschungen zur Sprach- und Culturgeschichte,* 6, str. 16.

ścią". Pamiętać też należy, „że wśród zmienionych warunków produkcyi, treść i istota stosunków robotniczych nie mogła pozostać niezmienną. Fabryka nie jest warsztatem, przedsiębiorca przemysłowy nowych czasów nie jest majstrem dni ubiegłych, robotnik zaś fabryczny nie jest ani służącym ani czeladnikiem. Naturalne rozluźnienie osobistych relacyj między pracodawcą a robotnikiem musiało zmniejszyć zawisłość tego ostatniego, a nadać mu większą wobec przedsiębiorcy samodzielność" [1].

Nie na samej jednak zawisłości polegała istota patryarchalnego systemu. W wysoce moralnem swem pojęciu był on przedewszystkiem systemem etycznych zasad i uczuć, ożywiających wzajemny stosunek pracy i kapitału. Głównem jego znamieniem była szczególna łączność i obopólna życzliwość robotnika i pracodawcy, płynąca z moralnego poczucia, że związani są z prawa natury ściślejszym węzłem wzajemnych obowiązków, niż kupiec i przypadkowy jego odbiorca lub dwaj nieznani sobie ludzie, zderzający się na ulicy. W dawniejszych czasach, kiedy kapitał i pracę łączyły tego rodzaju węzły, istniała też co prawda większa, niż dzisiaj, zależność pracujących od pracodawców i panów, zależność ta jednak, znajdująca zresztą wytłumaczenie w ówczesnych stosunkach społecznych, opłacała się pewnością dostatniego bytu, opieką w chorobie, a zwłaszcza tem ożywczem ciepłem prawie rodzinnego pożycia, jakie w domu pana, czy w warsztacie majstra na każdym kroku zawiśli pracownicy odczuwali. Wedle ówczesnych pojęć i praktyki byli oni *de familia*. — Tak pojęte patryarchalne stosunki zostały znacznie wcześniej zerwane, nim się rozbudził między robotnikami nowożytny ruch koalicyjny, zwłaszcza strejkowy — a zostały zerwane chyba nie zawsze z winy robotników. Kiedy się zaczęły rozwijać nowożytne wielkie przedsiębiorstwa i fabryki, sprzyjające z natury swej rozluźnieniu i oziębieniu wzajemnych między pracodawcą a robotnikiem stosunków, pracodawcy, wyzyskując tę okoliczność, poczęli zrzucać z siebie wszystkie względem swych robotników obowiązki, tradycyą patryarchal-

[1] *Stimmen aus Maria Laach*, 1898. 1 Heft, str. 8.

nych czasów przekazane, a równocześnie w imię tych samych tradycyj chcieli utrzymać w całej rozciągłości prawa dawnych panów.

Takie pojęcie patryarchalnego stosunku nazwać trzeba najwstrętniejszą jego karykaturą, na którą oburza się zarówno religia, jak i etyka. Koalicye robotnicze były tylko reakcyą i naturalnym niejako odruchem samoobrony przeciw utrwaleniu tych pojęć. Robotnik, któremu w imię takich patryarchalnych formułek broniono koalicyj, mógł się odezwać z całą słusznością do państwa i pracodawców: Powróćcie nam patryarchalne stosunki, w najlepszem ich znaczeniu, a wtedy będzie mogło mieć podstawę wasze twierdzenie, że zbytecznemi są, jeśli nie wszystkie, to liczne przynajmniej koalicye, zwłaszcza strejkowe. Skoro zaś dziś tego nie czynicie, i uczynić nie możecie, nie macie żadnego prawa wiązać nam rąk. Opuszczeni przez was chcemy w koalicyach drogą zbiorowej samopomocy dążyć własnemi siłami do osiągnięcia tego, co w systemie patryarchalnym dane nam było i zapewnione inną drogą, a co nam się słusznie należy.

Myślę, że ciaśni patronowie patryarchalnego systemu, w sensie zaznaczonym powyżej, w niemałymby byli kłopocie, gdyby im na te słowa przyszło odpowiedzieć.

Ale robotnik miał prawo pójść jeszcze dalej. Niezwykle trudne położenie, w jakie popadł pod wpływem nowożytnych stosunków gospodarczych, nie było ani jedynym ani ostatecznym tytułem jego prawa do koalicyi. Mógł on w tej mierze powołać się z całą stanowczością na tytuł o wiele głębszy i powszechniejszy, ważny dla wszystkich stosunków ludzkich i dla wszystkich czasów. Nie ulega wątpliwości, że koalicya pojęta ogólnie, jako zasada wolnego łączenia się jednostek do wspólnych celów, jest bezpośrednim wynikiem i postulatem prawa przyrodzonego, i jako taka stanowi przywilej każdej jednostki, która ludzką naturę nosi.

Chcąc się o tem przekonać, sięgnąć trzeba nieco głębiej aż do podstaw, na których cała ta kwestya ostatecznie się opiera. Uprzytomnić sobie musimy kompleks zadań życiowych, jakie człowieka na tej ziemi czekają, i zestawić je z siłami i uzdol-

nieniem, jakiemi rozporządza. Wielkość i różnorodność tych zadań z jednej strony, z drugiej zaś niedostateczność sił odosobnionej ludzkiej jednostki do ich spełnienia w sposób odpowiedni godności ludzkiej natury — oto dwie niedające się zaprzeczyć przesłanki, z których naturalne prawo łączenia się z bezwzględną koniecznością wypływa.

Człowiek ma nietylko podtrzymywać swe życie fizyczne przez ciągłe odżywianie organizmu substancyami, które zdobyte być muszą wysiłkiem i pracą, ale też zapewnić dla całej swej duchowo-materyalnej istoty warunki naturą wymaganego rozwoju i konieczne środki ochrony przed szkodliwymi wpływami i wrogiemi siłami. A przytem musi dążyć do tego, by te najpierwsze i najniezbędniejsze potrzeby zaspokoić najmniejszym, ile można, nakładem czasu i sił, bo czekają go inne jeszcze, wyższe i donioślejsze zadania. Badając wielką księgę stworzenia ma on przez coraz większe poznanie wznosić się ku prawdzie najwyższej, a równocześnie zdążać ku promiennym ideałom szczęścia, którego osiągnięcie rozumna jego natura wskazuje mu jedynie na drodze wewnętrznego wyrabiania się i doskonalenia. A niedosyć dla niego tym wyższym potrzebom natury odpowiedzieć jakkolwiek, ograniczając się tylko do rzeczy najniezbędniejszych i zadawalniając się we wszystkiem miarą najbardziej skąpą i minimalną. Najwyższe przeznaczenie inną wskazało mu drogę. Nie on miał wprawdzie obywać się w tem życiu bez trudu i walki zarówno fizycznej, jak moralnej, ale trud i walka miały mu być nie zaporą, lecz podnietą do tem intenzywniejszego działania, okazyą do materyalnych zwycięstw i do tryumfów moralnych. Pokonując przeszkody, podbijając sobie ziemię i wszystkie jej siły i wszystkie na jej powierzchni wytworzone stosunki, wstępować miał po nich, jakby po szczeblach, w coraz wyższe i rozleglejsze sfery potęgi i prawdy, kroczyć przez życie jasnym szlakiem, jak król stworzenia, coraz bogatszy w materyalne, umysłowe i moralne środki, ułatwiające mu pełniejsze i obfitsze osiągnięcie celu ostatecznego.

To przeznaczenie odczuwał zawsze człowiek w najgłębszych tajnikach duszy: mówią mu o niem wszystkie szlachetne

i uczciwe aspiracye, które biją mu w piersiach, a których rozumna jego natura nietylko nie nakazuje tłumić, ale owszem zaspokoić pozwala, nieraz nakazuje; mówią mu jego władze i siły tak fizyczne, jak duchowne, ciągle nowych żądne przedmiotów, tępiejące przy bezczynności, a zaostrzane działaniem, wiecznie ruchliwe, nigdy niezaspokojone, zdolne olbrzymiego rozwoju. A w tym zbiorowym głosie całej swej natury odczuwa człowiek głos Tego, który stworzył tę naturę wraz ze wszystkiemi jej dążnościami, i przez nią do ludzi przemawia. Cały olbrzymi postęp duchowo-materyalny, wytworzony w ciągu wieków śmiałym lotem umysłu ludzkiego ponad stopniowo ujarzmianą i człowiekowi coraz posłuszniejszą materyą, i te dalsze jeszcze fazy rozwoju, które czekają człowieka, a których rozmiarów dzisiaj nie przeczuwamy i nie umiemy sobie wyobrazić, wszystko to objęte było w zamiarze Stwórcy, kiedy dawszy byt człowiekowi, kazał mu róść i zapełniać ziemię i ujarzmiać ją sobie; wszystko to potencyalnie zawarte było od początku w dążnościach i aspiracyach ludzkiej natury.

A teraz przedstawmy sobie ludzką jednostkę, rzuconą samotnie wśród ogromów wszechświata i rozwińmy przed nią te zadania i cele. Wzniesie ku nim w uniesieniu ręce i skrzydła... ale po pierwszym wzlocie, po pierwszym wysiłku osłabną jej ręce, opadną skrzydła pod oporem licznych trudności i przeszkód. Sama praca nad utrzymaniem życia i zabezpieczeniem mu ochrony wyda się jej ciężką i mozolną nad wyraz, bo niezbędne do tych celów środki wydobyć trzeba z łona ziemi, która drobniuchnej sile samotnej jednostki urąga swą potęgą elementarną, wywalczyć je trzeba na otoczeniu, które się opiera i bez walki niczego sobie wydrzeć nie daje, wreszcie przerobić i przystosować do osobistych potrzeb, do czego ludzkiej jednostce brak doświadczenia i wprawy, brak wszelkich ułatwień i narzędzi. A nadto przy każdej pracy grozi jej znużenie wewnętrzne, wisi nad nią choroba, zabójczymi wpływami szkodzi powietrze i klimat, na jej życie i owoce pracy czyhają stada dzikich zwierząt i tysiące drobnych żyjątek i większa nad wszystko złość ludzka. Osamotnionej jednostce musi zabraknąć

otuchy i wiary w siebie, a z piersi jej wyrwie się niezawodnie głęboko ludzki okrzyk: *vae soli!*

Ale przychodzi jej w pomoc natura, i na wrodzoną ludzkiej istocie słabość wskazuje lekarstwo w najstarszem i najprostszem swem urządzeniu społecznem — w rodzinie. Wedle świadectwa religii katolickiej, Bóg, zakładając pierwszą rodzinę ludzką, wyrzekł te słowa: „Nie dobrze być człowiekowi samemu, uczyńmy mu pomoc jemu podobną“ [1]. Tę samą myśl podstawniczą i ten cel główny poznaje w instytucyi rodziny i rozum ludzki. Ta zarodkowa komórka przyszłego organizmu społecznego przedstawia mu się jako pierwsza fizyczno-moralna siła zbiorowa, wytworzona drogą połączenia się ku wspólnemu celowi dwojga wzajem się dopełniających istot. Jest to pierwsza niejako koalicya naturalna, która potęgując siły jednostki ludzkiej, dozwala jej w rodzinie i przez rodzinę osiągnąć z łatwością poważną liczbę zadań życiowych, którym w odosobnieniu nie byłaby w stanie podołać.

Stała się ona dla człowieka punktem wyjścia i wzorem na dalszą drogę.

Niebawem nauczony głosem natury idzie on dalej, i do osiągnięcia szerszych celów, którym sprostać nie mogą fizyczno-moralne siły jednej rodziny, szuka nowych związków i łącząc własną rodzinę z innemi rodzinami, wytwarza niejako — jak to trafnie nazwał T. Meyer — coraz większą, ciągle rosnącą „rodzinę rodzin“ [2]. Nowe to połączenie, wytworzone, równie jak pierwsze, potrzebą natury, i równie jak ono, choć w innym zakresie konieczne, dochodzi w stopniowym rozwoju do coraz dokładniejszej świadomości swych zadań, wprowadza coraz dalej idący podział zajęć i pracy, coraz ściślej się organizuje i specyalizuje, potrzeba porządku w zbiorowej pracy i nadzoru nad nią stwarza władzę... ostatecznie z tej ewolucyi wychodzi państwo.

W obrębie tego wielkiego związku, który z natury swej i przeznaczenia nie ma pochłaniać ani jednostki, ani rodziny,

---

[1] Księga Rodzaju, rozdz. II, wiersz 18.

[2] Theod. Meyer, *Institutiones iuris naturalis.* 1885. Str. 337.

ale tylko ułatwiać obojgu samodzielne spełnianie właściwych im zadań, znajduje jednostka i rodzina olbrzymi zasób pomocy i ułatwień, przedtem sobie niedostępnych lub nieznanych. — Ale ostatecznie i te środki nie starczą jeszcze potrzebie.

W najlepiej nawet wyrobionym ustroju państwowym, mimo zabezpieczenia granic od postronnych nieprzyjaciół, mimo najlepszego stanu armii i najkorzystniejszych traktatów handlowych, mimo wszystkich ulepszeń komunikacyjnych, dobrej administracyi i sprawiedliwych sądów, mogą jednostki i rodziny, nawet bardzo liczne, znajdować się w najtwardszych, niesprawiedliwie wytworzonych warunkach, w niemożności wykonywania najsłuszniejszych swych praw, mogą ulegać despotyzmowi silniejszych, doznawać ciągłych przeszkód w dążeniu do swych celów i w postępowaniu wedle swych przekonań, nie mieć gdzie mieszkać, ani się modlić, a nawet ginąć z głodu. Nic nie poradzi na to największa pieczołowitość rządu i podległych mu organów. Wielki aparat państwowy o tyle tylko jest w stanie świadczyć społeczeństwu rzeczywiste i doniosłe usługi, o ile wykonuje najbardziej ogólne zadania. Gdyby, wyszedłszy z tego zakresu, chciał wkraczać swą działalnością w sferę indywidualnych pragnień i osobistych potrzeb każdej z osobna rodziny, czy jednostki, upadłby pod ciężarem tego niewykonalnego zadania. Musiałby do niemożliwych rozmiarów potęgować swe siły urzędnicze i administracyjne, a całe życie społeczne we wszystkich jego objawach objąć żelaznym pierścieniem paragrafów i uciążliwej kontroli. Chociażby nawet udało mu się usunąć tą drogą pewną liczbę krzyczących niesprawiedliwości i nadużyć, to w ich miejsce powstałyby inne, może cięższe i dotkliwsze: drobne i wątpliwej wartości pożytki musiałoby okupić społeczeństwo nieproporcyonalnie wielkiemi ofiarami, rezygnacyą z bardzo doniosłych praw, zdaniem się na łaskę i niełaskę każdorazowego rządu i jego organów.

Taki stosunek jednostki do państwa byłby przeciwny naturze. Jednostka własną pracą i zapobiegliwością ma się doskonalić i stwarzać sobie warunki bytu i rozwoju, zgodne z potrzebami i pragnieniami natury.

Pragnienia te, chociaż u wszystkich ludzi pod wieloma względami zbliżone do siebie i pokrewne, przybierają jednak w każdej duszy ludzkiej osobne kształty konkretne, osobne zabarwienie i odmienny kierunek. Wielkie widnokręgi materyalnego, umysłowego i moralnego postępu, które się roztaczają przed zbiorową ludzkością, każda jednostka pragnie wyzyskać z innej strony, przywłaszczyć sobie w swój sposób, w innym stopniu i mierze. Państwo ciężką swą ręką opóźniałoby tylko i utrudniało dojście do tak pojętych celów: najczęściej nawet czyniłoby ich osiągnięcie wprost niemożliwem. W miejsce ożywionego ruchu i barwnej rozmaitości życia, wprowadziłby musiało jakiś martwy, równy dla wszystkich szablon, a wielki jego mechanizm, funkcyonujący wolno i monotonnie, przygniatałby wszystkich a nie zadowolnił nikogo, bo z natury swej jest on absolutnie niezdolny dostosowania do tak różnorodnych i tak wyspecyalizowanych pragnień natur indywidualnych.

Z drugiej jednak strony i jednostka pozostawiona sama sobie nie ma dość sił, aby zaspokoić te indywidualne pragnienia w sposób odpowiedni godności natury. Odczuwa ona co krok potrzebę jakiejś pomocy z zewnątrz, a odczuwa tem dotkliwiej, im bardziej się rozgałęziają społeczne stosunki, im większy na różnych polach życia nastaje rozwój. Wraz z tym rozwojem wzrastają potrzeby jednostek, a na drodze do ich zaspokojenia mnożą się nietylko ułatwienia, ale i trudności. Kiedy człowiek dawniejszych okresów historycznych walczył przeważnie z martwą naturą, to człowiek dzisiejszy z większym jeszcze wysiłkiem przełamywać musi i wyzyskiwać dla siebie coraz wszechstronniejszą komplikacyę nowożytnych stosunków jużto społecznych, jużto gospodarczych.

Jedynym środkiem spotęgowania w tym zakresie sił jednostki może być tylko dalsze ich składanie z siłami innych, czyli — co za tem idzie — wolność dalszego łączenia się w łonie wielkiego związku państwowego. Wolność ta, jeśli ma odpowiedzieć celowi, otwartą być winna w równej mierze dla wszystkich, którzy korzystać z niej zechcą, a wyzyskaną być może, wedle potrzeby i woli łączących się, do jakichkolwiek celów

byle uczciwych i moralnych. W ten tylko sposób w olbrzymim i różnobarwnym tłumie ludzkim potrafią się dobrać najbardziej sobie pokrewne, potrzebami i dążnościami najwięcej do siebie zbliżone, a skutkiem tego do wspólnej akcyi najodpowiedniejsze jednostki. — Tak dopiero pojęte prawo łączenia się jest w stanie odpowiedzieć potrzebom człowieka. Oparte na dowolnym i osobistym doborze wzajemnie się potrzebujących jednostek, dopuszczające łączną akcyę na każdem polu: religijno-moralnem, czy naukowem, narodowem, czy gospodarczem, zdolne dostosowania do najbardziej nawet określonych potrzeb zawodowych i osobistych, przybierania wedle potrzeby najrozmaitszych form: raz trwałych i ściślej spojonych, raz znowu przejściowych i luźnych — wytwarza ono na polu społecznem liczne, jednolite i silnym węzłem solidarności związane grupy, które chociaż w sprawach ogólnego znaczenia podporządkowane są wielkiej organizacyi państwowej, to jednak w sferze szczegółowych swych zadań poruszają się swobodnie i samodzielnie we wszystkich potrzebami ludzkiemi wskazanych kierunkach. Możność dowolnego wchodzenia w te grupy i ofiarowania im sił własnych w zamian za zbiorową pomoc, pozwala każdej jednostce — o ile to w tem życiu możliwe — zdobyć sobie zasób duchowych i materyalnych środków, odpowiadających jużto indywidualnym potrzebom, jużto godności ludzkiej natury, a niemożliwych do osiągnięcia ani siłami rodziny, ani pomocą państwa. — Odmówić człowiekowi tak pojętego prawa koalicyi, znaczyłoby, nietylko zamknąć przed nim wszystkie szersze i jasne horyzonty życia, uczynić go biernym niewolnikiem tych zmiennych urządzeń społecznych, które on sam stosownie do swych potrzeb wytwarzać i przekształcać powinien, ale też odsądzić go z góry od niezbędnych warunków rozwoju, a nieraz nawet i bytu. Innego środka zapewnienia mu tych warunków niepodobna wskazać w obrębie ludzkiej natury.

A skoro tak jest, skoro niezaprzeczoną jest prawdą, „że naturalna dążność człowieka do udoskonalenia się i postępu we wszystkich sferach jego działalności nie może być zaspokojoną, jak tylko drogą łączenia się w łonie związku państwowego, za-

konkludować należy, że prawo łączenia się istnieje mocą prawa przyrodzonego. Twierdzić przeciwnie, znaczyłoby przypuszczać, że Bóg z jednej strony włożył w naturę ludzką te dążności i aspiracye, z drugiej odmówił środka do ich zrealizowania“ [1].

A teraz postąpmy jeszcze krok dalej. Jeżeli wszechstronna wolność łączenia się jest konieczną potrzebą natury, a tem samem jej prawem; jeżeli na zasadzie tej potrzeby i mocą tego prawa powstał — jak widzieliśmy — sam wielki związek państwowy, przeto prawo łączenia się jest starszem i wyższem od państwa, i co do istotnej swej treści w żadnej od niego nie pozostaje zależności.

Jak prawo zaspokojenia głodu lub wchodzenia w związki małżeńskie, dlatego właśnie, że jest prawem ludzkiej natury, przysługuje każdej jednostce, która tę naturą nosi, i przewróceniem wszystkich pojęć byłoby wyprowadzanie tych praw z jakiegoś aktu woli państwowej — tak też i prawo łączenia się, ponieważ wypływa z tego samego, co tamte, źródła, danem jest bezpośrednio wraz z ludzką naturą każdej ludzkiej jednostce. Jest ono nam wrodzone i przychodzimy z niem na świat. *Est haec non scripta, sed nata lex.*

Stąd wypływa, że państwo żadnej nie ma władzy, aby prawo łączenia się w zasadzie znosić, lub w praktyce nie uznawać jego znaczenia. Nie wolno mu też wprowadzać w niem dowolnych ograniczeń, albo zezwalać na jego wykonywanie pewnym tylko warstwom społecznym. Nietylko własną inicyatywą powoływać ma państwo do życia pewne koalicye i związki, jako swoje pomocnicze organa, ale winno uznać i te, które powstawszy drogą inicyatywy prywatnej, nie chcą być powolnemi kółkami w wielkiej maszyneryi państwowej, lecz samodzielnie istnieć i działać, dopełniając działalność państwa na tych polach, na które ono z pożytkiem wkraczać nie umie i nie powinno. A nietylko ma je państwo uznać, ale i popierać — a za-

[1] *Éléments de science sociale*, par le P. Ch. Antoine S. I., Poitiers 1893, pag. 715—716.

tem przyznawać im te prerogatywy prawne, bez których wolność łączenia się byłaby sparaliżowaną, nieraz iluzoryczną.

Przez to jednak nie chcemy twierdzić, jakoby naturalne prawo koalicyi wyjęte było w zupełności z pod wszelkiej kontroli, czy ingerencyi władzy państwowej, i nie dopuszczało żadnych zgoła ze strony państwa określeń, czy ograniczeń. Przecież i wolność osobista, która jest również prawem przyrodzonem człowieka i donioślejszem nad prawo koalicyi, niejednokrotnie przez państwo ograniczoną być może i powinna.

Władzę tych ograniczeń nadaje państwu to samo prawo natury, z którego wolność koalicyi wypływa. Najwyższym swym zakazem zabrania ono czynów moralnie złych, a jednostce żyjącej w społeczeństwie nakazuje przy wykonywaniu osobistych praw szanować prawa drugich, ponad własny zaś interes przenosić dobro ogółu. Nad przestrzeganiem tych najwyższych norm prawa przyrodzonego, bez których ostaćby się nie mogło żadne społeczeństwo, czuwać ma w życiu publicznem państwo. Ma ono zatem władzę i obowiązek niedopuszczać tych koalicyj i związków, które złym celom służą, naruszają prawa drugich i szkodzą dobru publicznemu. Z tego wynika w dalszem następstwie prawo pewnej kontroli. Państwo nie przekracza swej kompetencyi, jeśli chce wiedzieć, jakie w kraju istnieją związki, jakie się tworzą koalicye, do jakich celów dążą i jakimi chcą działać środkami. Nadto same względy porządku publicznego i dobrej administracyi pozwalają państwu domagać się od obywateli, tworzących ważniejsze przynajmniej związki, zachowania pewnych warunków i formalności.

W tych granicach, naturą rzeczy i względami dobra publicznego wskazanych, ma państwo wystarczającą zupełnie władzę — dalej jednak iść mu nie wolno. Tłumić despotycznie wolność łączenia się w imię powagi władzy, przez tę wolność rzekomo zagrożonej, jest prostem ze strony państwa nadużyciem i uzurpacyą. Państwo, kierujące się takim poglądem, sprzeniewierza się swym zadaniom, a dobru publicznemu niemałą przynosi szkodę. Będąc powołanem w pierwszym rzędzie do ochrony praw człowieka — zwłaszcza praw naturalnych — samo mu te prawa od-

biera; mając umożliwić wszystkim poddanym samodzielny rozwój i swobodne dążenie do przeznaczonych im celów, tamuje ono wszelki ruch i życie, a w stosunki społeczne wprowadza martwotę i strupieszałość.

Poza tem wszystkiem kryje się zawsze mniejszy lub większy absolutyzm, który odejmując państwu charakter środka, przeznaczonego na to, aby w określonym prawami natury zakresie służyć poddanym do wyższych celów, czyni z niego coś bezwzględnego, wyższego nad wszystkie prawa, istniejącego dla siebie — a człowiekowi każe w tej nieograniczonej potędze upatrywać swój cel i źródło wszystkich swych praw.

I nie trzeba sądzić, że tego rodzaju poglądami mogło się tylko kierować starożytne państwo pogańskie, lub absolutne monarchie nowszych czasów — bezgraniczny kult państwa umie narzucać z całym despotyzmem i dzisiejszy demokratyzm. Tam przygniatała jednostkę wszechwładza panującego w imię zasady: *l'état c'est moi* — tu ją ciśnie nieosobowe wszechwładztwo ludu. Zmieniły się role, zasada została niezmienną. „Robespierre myślał pod tym względem tak samo, jak Richelieu“ — powiada nie bez ironii Dareste[1]. Wszakże we Francyi nie kto inny, tylko sama wielka rewolucya zniosła wolność koalicyi, a na jej zasadach wychowany doktryneryzm upatrywał w każdem łączeniu się jednostek zuchwałe wdzieranie się osób prywatnych na pole objęte monopolem państwowym, zmorę straszną dla wszystkich absolutnych rządów: „związku w związku“ i „państwa w państwie“.

Najdziwniejszem było to, że apostołami tych poglądów byli ludzie, noszący ciągle na swym sztandarze słowo: wolność! W imię wolności przekształcali doraźnie i na poczekaniu cały ustrój społeczny, dla niej znosili wszystkie dawne ograniczenia i społeczne węzły — a równocześnie wysilali się na konstruowanie teoryi o rzekomej sprzeczności między pojęciem wolności a koalicyą. A przecież zdawałoby się jasnem, że dwa te pojęcia najściślej są ze sobą połączone, i że prawo koalicyi wypływa

[1] *Revue des deux mondes*, 15 octobre 1891, str. 824.

z wolności, jako konieczny jej postulat. Czyż podobna zaprzeczyć, że do osiągnięcia licznych owoców wolności zjednoczenie jest w naszych ludzkich stosunkach, zwłaszcza w epoce wolnej konkurencyi, środkiem nietylko bardzo pomocnym, ale wprost niezbędnym! A w takim razie, czyż nie jest największą dla wolności zaporą, albo raczej samem jej zaprzeczeniem, skazywać jednostkę na osamotnienie i czynić z niej izolowany atom, odrzucany co chwila od upragnionych celów każdym prądem silniejszej fali? Głoszono przecież, że osobisty interes jednostki jest głównym bodźcem postępu, niezbędnym zaś tego postępu warunkiem miała być w wyzwolonem z wiekowego jarzma społeczeństwie jak najdalej posunięta swoboda w działaniu, tj. w doborze środków, osobistym celom każdej jednostki najbardziej odpowiednich. Jakąże logiką z zakresu tych środków wykluczono z góry środek tak potężny, tak się co krok narzucający, jak łączność i solidarność?! Jeśli chciano na prawdę najszerszej swobody, dlaczegoż ją ścieśniono z tej właśnie strony, którą jednostka odczuć musiała najdotkliwiej?

Nie ulega wątpliwości, że w teoryi popełniono sprzeczność, w praktyce niesprawiedliwość. Możność łączenia się do akcyi zbiorowej jest z jednej strony niezbędnem dopełnieniem wszelkiej wolności, z drugiej jej poręczeniem i gwarancyą. Wobec tylu rozstrzelonych i sprzecznych sobie dążności ludzkich, i wobec przeszkód, jakiemi wskutek tego najeżoną jest dla każdego droga życia, wszelka wolność osobista, jeśli niema za sobą w odwodzie wolności koalicyjnej, bywa nieraz pustym frazesem, owszem przeradza się łatwo w twardą niewolę.

„Na co się przyda wolność sumienia — powiada trafnie cytowany już powyżej Dareste — jeśli tym, co wyznają te same opinie nie wolno łączyć się razem celem szerzenia swych doktryn i odprawiania obrzędów. Do czego się przyda wolność nauczania, jeśli nauczanie ma zostać odosobnionem i prywatnem. Wolnem jest miłosierdzie — ale jakżeż ma je wykonywać jednostka, ograniczona do własnych tylko zasobów?... Nawet wolność pracy jest niedostateczną, jeśli się tylko pozwala mówić

a zabrania działać; pierwszym bowiem warunkiem działania jest możność łączenia się i grupowania“ [1].

Tak tedy prawo koalicyi, z jakiejkolwiek weźmiemy je strony, przedstawia się nam zawsze jako niezbędny, niczem innem nie dający się zastąpić przywilej ludzkiej natury. Domaga się go zarówno słabość człowieka, jak jego wolność i godność — a domaga się z całą stanowczością i bez żadnego zgoła wyjątku dla wszystkich.

Z największym jednak naciskiem odzywa się naturalna potrzeba tego prawa u tych jednostek, lub warstw społecznych, które skutkiem wyjątkowych okoliczności w cięższem od innych znajdują się opuszczeniu.

Takim jest bez kwestyi nowożytny robotnik. Podczas kiedy jednostkom lub klasom ekonomicznie i umysłowo silniejszym koalicya w dzisiejszym stanie kultury służy częstokroć, nie tyle do zdobycia najniezbędniejszych warunków bytu, jak raczej do ich ulepszenia i umajenia sobie życia, dla robotnika bywa ona środkiem utrzymania życia, niekiedy jedynym.

Uprzytomnijmy sobie w kilku pobieżnych rysach, dobrze zresztą znane i nieraz już opisywane położenie, w jakiem dzisiejszy robotnik raz po raz się znajduje. Nie mając ani kapitałów, ani potrzebnego do pracy umysłowej wykształcenia, zarabiać on musi na życie pracą rąk. Właściciel, któremu się wynajmuje, każe mu nieraz pracować nad siły, a płaci tak mało, że wyżyć z tego niepodobna. Dzieci wołają chleba, niema ich czem nakarmić, ani okryć, a w dodatku do wilgotnego i nieopalanego mieszkania zagląda naturalny sprzymierzeniec nędzy, choroba. Robotnik broni się jak może, coraz bardziej się zadłuża, w zastaw idzie odzież, po niej najpotrzebniejsze sprzęty domowe... ostatecznie wszystko się wyczerpuje i położenie jego staje się bez wyjścia.

Jakże sobie ma radzić? Zwróci się może do pracodawcy, aby wymódz na nim podwyższenie zapłaty? Próżny to trud! Wymódz na pracodawcy niczego nie potrafi, bo wobec jego

[1] *Revue des deux mondes,* 15 octobre 1891, str. 828.

przewagi ekonomicznej jest zerem. W pojedynczych wypadkach ludzki pracodawca wesprze go może raz lub drugi — ale to nie jest rozwiązaniem sprawy. Robotników w ciężkiej pogrążonych nędzy jest tysiące, a źródłem utrzymania całej warstwy społecznej ani nie może, ani nie powinna być jałmużna. Warstwa robotnicza ma prawo za swą pracę żądać zapłaty, starczącej na potrzeby uczciwego życia. Tymczasem wielka liczba pracodawców żądań takich nie uznaje i nie przyjmuje — co najwyżej pozwalają się prosić, a i to najczęściej bezskutecznie. Robotnik otrzymuje zazwyczaj stereotypową odpowiedź, uwiecznioną w „Tkaczach“ Hauptmanna: *Die Geschäfte geh'n hundsmiserabel... ich setze zu, statt dass ich verdiene... ich kann keine Almosen austheilen!* — Może więc złoży pracę, opuści miejsce i innego sobie poszuka właściciela? Ale i to daremne! Drugi przedsiębiorca nie płaci lepiej od pierwszego, a na opróżnioną posadę czeka na targu pracy tysiące innych, jeszcze głodniejszych i biedniejszych, bo żadnego zgoła nie mających zarobku. 2 grudnia 1895 naliczono w Niemczech przeszło 550.000 robotników, zdrowych i zdolnych do pracy, a zupełnie pozbawionych zajęcia.

Ale jest jeszcze władza państwowa, więc do niej zwrócić się może robotnik? Niestety, byłby to krok więcej jeszcze bezcelowy od poprzednich. Sam robotnik tak jest o tem przekonany, że mu nawet na myśl nie przyjdzie udawać się w tej mierze do władzy. Wszak ta władza z zasady nie chce się mieszać w prywatne stosunki między pracodawcą a robotnikami; utrzymuje, że płaca kształtuje się pod wpływem koniecznych praw, a wywieranie jakiegokolwiek w tej mierze nacisku uważa za rzecz teoretycznie nieuzasadnioną, praktycznie bezcelową, a nawet zgubną. Zresztą państwo spełniło przecież — jak mówią — swój obowiązek, wydobywszy robotnika z jarzma zależności i zapewniwszy mu wolność osobistą — najskuteczniejsze na wszystkie rany lekarstwo. Jeśli mimo tego *panaceum* robotnik zginie, będzie to zapewne rzeczą przykrą, ale nieuniknioną. Twarda walka o byt zawsze usuwać będzie z widowni niedołężne i zadaniom życia niedorosłe jednostki: na to niema rady!

Cóż więc ma począć robotnik? Skazanym on jest albo na

powolne zagłodzenie, albo na samopomoc, względnie samoobronę, która wtedy tylko może mieć szanse powodzenia, kiedy będzie zbiorową, a zatem zdolną wywarcia ekonomicznego nacisku.

W takich warunkach zabraniać robotnikowi prawa koalicyi, byłoby doprawdy okrucieństwem.

Czuli to dobrze niektórzy z głębszych teoretyków ekonomicznej szkoły liberalnej, i potrzebę koalicyi uznawali w zasadzie — niestety, zapatrzeni jednostronnie w interesa wielkiej produkcyi, nie mieli dość siły, aby ją uznać i poprzeć w praktyce. Drobni ich epigonowie poszli w tym kierunku jeszcze dalej. Tolerowali, nawet aprobowali po cichu koalicye przedsiębiorców, zwrócone przeciw robotnikowi, a równocześnie potępiali koalicye robotnicze, tłumacząc się obawą gwałtów i zaburzeń. Nie chcieli zrozumieć, że nie co innego, tylko właśnie zakazy koalicyjne, wytrącając z rąk robotnika ostatni legalny środek ratunku, popychały go do walki na pięście i noże.

Nie można powiedzieć, żeby te poglądy należały już dzisiaj do przeszłości. Jakkolwiek dawno od nich odstąpiła nauka, a rządy — więcej może zmuszone, niż przekonane — przyznały robotnikom w zasadzie wolność koalicyjną, mimo to jednak na koalicye patrzy się dziś jeszcze z wielu stron z nietajoną nieufnością i stawia im się, gdzie tylko można, cały szereg utrudnień. W ostatnich miesiącach odzywały się w Niemczech głosy, bardzo pod tym względem charakterystyczne [1].

Z drugiej strony trzeba jednak wyznać, że po części są tu winni i robotnicy. Nieraz prawie mogłoby się wydawać, że wszystko czynią, co jest w ich mocy, aby zaszkodzić własnej sprawie, zrazić sobie życzliwych, a niechętnym dostarczyć przeciwko sobie broni.

Nie wspominamy tu już o gwałtach, popełnianych przez zjednoczonych robotników, czy to na osobach pracodawców, czy na ich mieniu — o tych ekscesach, na szczęście coraz rzadszych, wspomnimy później — na razie pytamy się tylko: jakimi to środkami dochodzą do skutku i są podtrzymywane

[1] Por. *Christlich-sociale Blätter*, 30 Jahrg., 22 Heft, 687.

w wielu wypadkach koalicye robotnicze, zwłaszcza koalicye strejkowe?

Niestety, fakta mówią, że drogą gwałtu i brutalnego przymusu, wywartego na własnych współtowarzyszy. Dochodziło przecież do tego, że zasypywano szyby w kopalniach, aby żywcem pogrzebać górników, którzy w strejku nie chcieli wziąć udziału. Zdarzało się, że tłumy strejkujących, uzbrojone w koły, sztaby żelazne lub rewolwery, przeciągały przez okręgi fabryczne, paląc zabudowania i rozpędzając pracujących. Gdzieindziej napadano na ich domy i rodziny, bito ich i katowano, grożono śmiercią. I po tego rodzaju przykłady nie trzeba sięgać aż w czasy tak gwałtownego zaognienia stosunków, jakimi były pierwsze dziesiątki bieżącego stulecia w Anglii — nie dawno temu mieliśmy takie sceny w Belgii, później na Ślązku, a przed paru laty w Stanach Zjednoczonych. We Włoszech pod Biellą był w użyciu osobny system sekatury. Tkacze tamtejsi mieli zwyczaj opierających się strejkom towarzyszy piętnować pogardliwem mianem „beduinów“. Tak napiętnowany robotnik odcięty był odrazu wraz z rodziną od ludzkiego towarzystwa: nie mógł wejść do gospody lub restauracyi, bo nieludzki teroryzm towarzyszy kazał zamykać przed nim wszystkie lokale publiczne; syn jego w całej okolicy nie mógł znaleść żony, a córka męża; gdzie się pojawił, bito go i znieważano, lub wytykano palcami i omijano jak zapowietrzonego.

A wymienione tu wypadki, które nabrały już smutnego rozgłosu i przeszły do historyi, nie są wcale czemś wyjątkowem. Wywieranie przymusu i posługiwanie się gwałtem, bywa przy koalicyach strejkowych rzeczą dość zwyczajną.

Jest to jedna z największych plam na dzisiejszym ruchu robotniczym. Zamiast w obronie swych praw jednoczyć się wyrabianiem wspólnych przekonań, budzeniem świadomości wspólnych potrzeb i interesów, stwarza się koalicye sztuczne i wymuszone, w których tłum roboczy siłą pięści, groźbą sekatury i bojkotu a nieraz nawet i śmierci trzymany jest w ryzach. W ten sposób strejk, który chce uchodzić za broń sprawiedliwości i dźwignię podeptanego prawa, staje się narzędziem krzy-

czących bezprawi, tem bardziej kompromitujących sprawę robotniczą, że popełnianych na własnych towarzyszach.

Nie chcemy tu twierdzić, że cała wina tych nadużyć ciąży wyłącznie na biednym, moralnie i materyalnie upadłym robotniku. Jeżeli przez długi szereg lat zaniedbano zupełnie warstwy pracujące i nic nie robiono dla ich materyalnego podźwignięcia; jeśli na targu pracy traktowano ich jak bezduszne siły robocze wedle wartości bark i muszkułów, nic się nie troszcząc o ich duchowe potrzeby i wychowanie moralne; jeśli spokojnie patrzano na to, jak wszystkiemi porami wtłaczano im do duszy przewrotowe idee, materyalistyczny pogląd na świat i bezgraniczną pogardę dla wszystkich prawie urządzeń społecznych — cóż dziwnego, że te warstwy zatracały raz po raz poczucie słuszności i prawa, a nabierały kultu dla siły.

Ale chociaż to uciekanie się robotnika do przemocy, nawet wobec własnych współtowarzyszy, można sobie poniekąd wytłumaczyć, niepodobna go jednak usprawiedliwić. Wolność osobista, dająca każdemu prawo samodzielnej determinacyi swych czynów i czyniąca go ich panem, jest najdrogocenniejszym przywilejem ludzkiej natury, w którego sferę nikomu z osób prywatnych gwałtem wkraczać się nie godzi. Robotnik, który nie chce wstąpić do koalicyi, ma prawo, by drudzy uszanowali jego wolę i zostawili go w pokoju, nawet wtenczas, kiedyby się ich wezwaniu opierał bezpodstawnie i nierozumnie. W tym ostatnim wypadku wolno się na niego oburzać, wolno nawet zerwać bliższe z nim stosunki — zmuszać go jednak do działania wbrew jego woli gwałtem lub groźbą gwałtu, nigdy i pod żadnym warunkiem nie wolno.

Robotników wzbraniających się strejkować traktuje się najczęściej jak zbrodniarzy, jak zdrajców całego stanu robotniczego. Choćby ten ciężki zarzut był prawdziwym, nie usprawiedliwiałby jeszcze gwałtów. Ale wogóle prawdziwym on nie jest. W bardzo wielu wypadkach powstrzymują robotnika od strejku powody tak dla niego doniosłe, że ich nie uznać, byłoby nieludzkością. Są nawet położenia, w których wstąpić do koalicyi strejkowej nie pozwala mu po prostu sumienie. Strejk,

który dla pewnej części robotników może się przedstawiać bardzo korzystnie, jemu, skutkiem szczególnych stosunków rodzinnych, czy osobistych, grozić może nieszczęściem, zwichnięciem całego życia lub takiemi wogóle stratami, których nic powetować nie jest w stanie.

Przedstawmy sobie taki np. wypadek, wcale zresztą nierzadki, że żona lub dzieci robotnika leżą ciężko chore, może konające; dzienny zarobek ojca i męża jest jedynym środkiem na ich życie i leczenie, a na czas strejku kasa robotnicza przeznacza dla członków tak nieznaczne zasiłki, że nie mogą wystarczyć na utrzymanie jednego nawet zdrowego człowieka. A zdarza się przecież i to, że strejkujący żadnych zgoła zasiłków nie otrzymują.

Ktoś z zagranicznych pisarzy zauważył, że sztuka dzisiejsza nie wyzyskała jeszcze tej silnie tragicznej alternatywy, która miota duszą robotnika, kiedy mu przyjdzie wybierać między solidarnością z towarzyszami, a najświętszymi obowiązkami ojca i męża.

Moment jest doprawdy bardzo tragiczny, ale cała jego groza i cała ohyda bezprawia wtedy dopiero występuje w pełni, kiedy na tę istotę ciężkim losem złamaną, sprzecznemi uczuciami rozdartą i ostatecznie decydującą się iść do pracy... spada obelżywe miano zdrajcy i nieludzka pięść towarzyszy.

Ale powiadają nam, że właściwie nie o to chodzi. Gwałty popełniane na towarzyszach pięścią, kijem lub rewolwerem, a nawet groźby tych gwałtów, są tylko chwilowem zapomnieniem się zrozpaczonego tłumu — w zasadzie są one złe i ustać powinny. Ale są przecież inne jeszcze, bardziej ludzkie formy przymusu, jak np. niedopuszczenie robotnika do fabryki lub pracowni, odebranie mu narzędzi, uniemożliwienie mu stosunków, w tych sferach, w których z konieczności musi się obracać, pogróżka jakiegoś bojkotu, lub inne tym podobne środki. Odmawiać większym grupom robotniczym prawa użycia takich nawet środków względem opornych towarzyszy, znaczyłoby tyle, co odmawiać im prawa wydobycia się z niezasłużonej niewoli i nędzy. Przecież o powodzeniu czy to strejku czy jakiejkolwiek innej akcyi

robotniczej wtedy tylko na seryo może być mowa, kiedy robotnicy idą masą i zwartym szeregiem. A zwartych szeregów niepodobna nieraz utworzyć bez przymusu i presyi. Wszak całe setki robotników są jeszcze niewyrobione i nieuświadomione: niepotrzebnie strachają się przedsiębiorców, nie znają przysługujących sobie praw, nie rozumieją nawet pożytków łączności. Takich tylko przymusić trzeba do akcyi zbiorowej — a godzi się to uczynić w imię ogólnych praw klasy robotniczej i w imię ich własnego dobra.

Zarzut ten albo się opiera na przypuszczeniu, że tak zwane łagodniejsze formy przymusu są rzeczą moralnie dozwoloną, albo na poglądzie, że dobry cel daje prawo do użycia jakichkolwiek środków.

Jedno i drugie jest błędem. Etyka przez przymus rozumie każdy gwałt zadany wolności, i potępia go stanowczo w każdej jego formie, czy on będzie bojkotem, czy przyłożeniem noża do gardła — cel zaś nawet najlepszy nie uświęca środków, jeśli same w sobie są niemoralne i złe. Teorya głosząca, że każdy środek może być dobrym *pro publico bono,* jest sobie jednym z tych fałszów moralnych, jakimi się nieraz próbuje uspokoić sumienie, którego jednak etyka nigdy nie uznawała i uznać nie może.

Nie ulega wątpliwości, że polepszenie ciężkich warunków, w jakich się dzisiaj znajduje praca zawisła, jest celem ze wszech miar dobrym i słusznym, leżącym w interesie całej klasy robotniczej: niemniej jest pewnem, że do osiągnięcia tego celu niezbędną jest łączność i solidarność szerokich mas. Ale ta łączność wytwarzać się winna legalnymi i moralnymi środkami. Jeżeli strejk, najzupełniej skądinąd uzasadniony, nie da się zorganizować bez przymusu, już to jedno wystarcza, aby tego strejku zaniechać. Dobry i dozwolony ze względu na swe pobudki i cele, stałby się złym i niedopuszczalnym ze względu na sposób w jaki doszedł do skutku.

A jeśli nam mówią, że tą drogą uniemożliwi się strejki, odpowiadamy, że ten zarzut jest niesłuszny. Uniemożliwi się bez kwestyi pewną liczbę strejków gwałtownych i bezprawnych,

wcale jednak nie uniemożliwi się strejku wogóle. Czyż prawdą jest bowiem, że łączność i solidarność robotników można osiągnąć jedynie drogą przymusu? Czyż niema na to innych, wiele lepszych środków, w niczem nienaruszających praw drugiego a odpowiednich godności ludzkiej natury? Solidarność jeśli ma być siłą żywotną i posiadać tę pewność, na którą zawsze liczyć można, musi się oprzeć na wewnętrznem przekonaniu i na poczuciu wspólności interesów. Jeżeli przywódcy ruchu robotniczego twierdzą, że wielka ilość robotników niema jeszcze tego poczucia i nie rozumie ani własnych praw, ani pożytków akcyi zbiorowej, niechże więc kształcą te masy, niech je pouczają o pożytkach organizacyi, niech działają na nie namową, perswazyą, uczciwą agitacyą — niech wreszcie na tych podstawach tworzą silne, celów świadome, na prawie oparte organizacye. Wtedy zobaczą, że skoro chodzić będzie o rzeczywiste pożytki stanu robotniczego nie będzie dezercyi w szeregach. Zobaczą, że i społeczeństwo, które widząc raz po raz przy strejkach gwałcenie praw ludzkich, patrzy na nie z nieufnością i obawą, pocznie szanować ruch robotniczy, jako poważny czynnik odrodzenia i zdrowego przekształcenia zwichniętych stosunków ekonomiczno-społecznych.

A jeśli znów zarzucają, że w ten sposób bardzo się opóźni osiągnięcie tak pożądanych dla robotnika celów, odpowiadamy, że choćby i tak było, nikt dla skrócenia sobie drogi nie ma prawa popełniać gwałtów na drugich. A zresztą w sprawach tego rodzaju, jak polepszenie bytu całej klasy społecznej, krótka droga bywa zazwyczaj najgorszą i nieraz daleko od celu odprowadza. Korzyści gwałtem zdobyte nie są trwałe, bo dla ich zabezpieczenia trzebaby ciągle gwałt podtrzymywać — a to jest trudnem. Koalicye sklecone przymusem rozbija pierwszy silniejszy wiatr, bo brak im wszelkiej siły wewnętrznej.

Nie należy jednak pojęcia przymusu rozciągać szerzej, jak jego treść pozwala. Zdarza się nieraz, że robotnicy, należący do jakiegoś związku zawodowego, wykluczają ze swego grona tych towarzyszy, którzy wbrew uchwale większości nie chcą

wziąść udziału w strejku. Jeśli w tem postępowaniu upatruje się gwałt i przymus, idzie się bez kwestyi za daleko.

Nie ulega wątpliwości, że związkowi robotniczemu, opartemu na pewnym statucie i organizacyi, przysługują wobec członków prawa, których nie ma względem robotników poza związkiem stojących. Związek taki powstaje na gruncie pewnego rodzaju umowy: dając robotnikowi pewne pożytki, domaga się od niego, w zamian za nie, spełnienia pewnych obowiązków, jako to: zachowania statutu, poddawania się pod uchwały większości, uiszczania pewnych wkładek i t. p. Jeśli robotnik nie godzi się na żądania związku, może do niego nie wstępować, lub w danym razie wystąpić — ale i związek ze swej strony ma równe prawo nie przyjąć go, lub wykluczyć, jeśli osądzi, że celom związku szkodzi, lub ich należycie nie popiera. Wprawdzie pozbawia go przez to pewnych dóbr i korzyści, płynących z organizacyi, ale ma do tego wszelkie prawo. Prawa robotnika do tych korzyści nie są bezwzględne, ale tylko warunkowe, nadane mu drogą umowy, która przy niedochowaniu warunków obustronnie zerwaną być może.

Z tej zasady, etycznie słusznej, wynika, że jeśli związek robotniczy większością głosów uchwali strejk, jako rzecz dla dobra związku wskazaną, a może nawet konieczną, część zaś robotników do związku należących uchwale tej poddać się nie chce, związek ma prawo pogrozić im wydaleniem, a nawet tę groźbę wykonać. Ma to pewne pozory przymusu, w rzeczywistości jednak nim nie jest — jest tylko wykonaniem prawa, które z natury rzeczy przysługuje wszystkim wogóle związkom.

(Dok. nast.).

Ks. Wł. Piątkiewicz.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Dzieje wychowania i szkół w Polsce w wiekach średnich. Część I. 966—1363. Napisał *dr. Antoni Karbowiak.* Petersburg 1898.

Dzieje edukacyi i szkół w Polsce czekały długo na swego historyka. Dorywcze, nieoparte na sumiennem studyum wzmianki autorów historyi literatury polskiej są raczej nomenklaturą szkół i ludzi niemi kierujących, jak historyą, a do tego pełne myłek. Trzytomowe dzieło J. Łukaszewicza: „Historya szkół w Koronie i W. Ks. Litewskiem“, nie bez wartości i zasługi, ale z uprzedzeniem do katolicyzmu, przed 50 prawie laty wydana, już tem samem dziś nam nie wystarcza. Bo też to studyum nad wychowaniem i szkołami samo z siebie żmudne i trudne, staje się tem trudniejsze, że dla braku źródeł własnych, obcemi posiłkować się trzeba. Autor nasz już znany zaszczytnie z kilku prac na polu pedagogii, od wielu lat zbierał materyały do historyi szkół w Polsce, nakreślił jej plan szeroki i ująć ją zamierzał w 8—10 tomach. O nakładcę było trudno; Akademia Umiejętności i inne towarzystwa naukowe nie czuły się snać na siłach finansowych, bo niepodobna, aby doniosłości takiej historyi szkół nie oceniały, mecenasów nauk w Polsce dziś nie szukaj, po swej śmierci chcą o nich pamiętać „legatami“; księgarze, nie obiecując sobie z tak poważnego dzieła prędkich zysków, odmówili nakładu. Znalazł się jeden; gdzie? w Petersburgu, księgarz Kazimierz Grendyszyński, i to mu się chwali, że nie obliczając po kupiecku zysków, poczuł się do obowiązku służenia sprawie publicznej. Czy jednak ta okoliczność z powodu cenzury ro-

syjskiej nie nałoży pewnych pęt autorowi w dalszych zwłaszcza tomach jego pracy, wątpić należy.

Jak pojmuje autor swoje zadanie? Szeroko; szkołę i wychowanie łączy „z innymi objawami życia narodu", Polskę z Zachodem. Czy je spełnił ze wszystkiem? Sam wyznaje, że nie, a to „z powodu braku odpowiedniego materyału, z braku monografij i poszczególnych opracowań". Mimo to, oddał dobrą usługę społeczeństwu, uczonym ułatwił badania i wskazał drogę.

Jaki rozkład jego dzieła? Logiczny. Właśnie że uwzględnia inne także objawy życia narodu i to w połączeniu z Zachodem, od którego Polska cywilizacyę wzięła, rozróżnia on cztery epoki. Pierwszą średniowieczną; ta rozpoczyna się pierwszą szkołą katedralną w Poznaniu około 966 r., a kończy się 1510 uchwałą synodu piotrkowskiego, nakazującą reformę akademii krakowskiej i wszystkich szkół. Cechą tej epoki: wychowanie i szkoła opiera się na Kościele, Kościołowi służy, szkoła jest córką Kościoła. Widoczne w niej różne kierunki i fazy. Jeden aż po wiek XIII. wyłącznie kościelny; szkoła formuje przyszłych kapłanów, swieccy do niej nie chodzą, bo lud rolą, szlachcic rycerskiem rzemiosłem zajęty, a stanu mieszczańskiego jeszcze niema. I takich szkół u nas bardzo niewiele, kler nawet mało wykształcony, biskupów dostarcza zagranica lub uczelnie zagraniczne.

Zakon dominikański z św. Tomaszem na czele w początku XIII. w. ruguje powoli ze szkół pisarzów rzymskich, wprowadza dyalektykę z filozofią i nauki prawnicze. Obok rzadkich szkół katedralnych dla duchownych wyłącznie, powstają szkoły parafialne, garnie się do nich młódź mieszczańska i kmieca, niekoniecznie, aby zostać księdzem, ale dla własnej przyjemności i korzyści. Oto okres drugi.

Scholastyczny kierunek szkół dochodzi swego szczytu w utworzeniu akademii krakowskiej 1364, a właściwie 1400 r. Schodząca z pola na Zachodzie oświata scholastyczna, w Krakowie i Polsce jaśnieje pełnym blaskiem. Oto okres trzeci, niedługi, bo już 1433 r. z Grzegorzem z Sanoka humanizm wchodzi do akademii, ruch humanistyczny ogarnia powoli wychowanie i szkoły. Okres to czwarty, przejściowy.

W tej I. części autor opracował tylko I. i II. okres, tj. do otwarcia akademii krak.

Wychodząc z słusznej zasady, że średniowieczny Kościół jeden tylko miał system edukacyi i do wszystkich stosował go społeczeństw, autor w braku własnych materyałów posługuje się *per analogiam* ma-

teryałem i opracowaniami zagranicznemi; studya jego oparte są na hipotezie, że skoro w Niemczech np. taki był stan szkół i taka metoda wychowania, to taki sam albo bardzo podobny był w Polsce. Różnice są i znaczne; w XII. wieku Zachód ma liczne szkoły parafialne, ludowe, Polska nie ma ani jednej; ale to różnice co do czasu, a nie co do rzeczy. Tę analogią biorąc za podstawę, twierdzi autor, że rok erekcyi biskupstwa uważać należy za dobę założenia szkoły katedralnej. Z skrzętnością mrówki zbiera dowody tej tezy i objaśnia z erudycyą niemałą. W Gnieznie i Krakowie szkoły były już w XI. wieku w stanie kwitnącym (str. 7—36).

Co do szkół kolegiackich, skoro „każde większe zgromadzenie księży musiało sobie kształcić swoich kleryków", to *de facto* istniały one w XII. w., ale organizacyi stałej nie miały i śladów też po nich nie pozostało. Sobór lateraneński III. 1179 r. nakazał, aby przy każdej katedrze był *magister* płatny, na beneficyum kościelnem osadzony, a nauczanie aby było bezpłatne; stąd powstała później kanonia scholastyka. Czy w Polsce stosowano się do tej uchwały, czy ją rozciągniono i na kolegiaty, i o ile ona wpłynęła na frekwentacyę szkolną, nie wiemy.

Podobnie przypuścić należy, że opactwa i klasztory Benedyktynów, Cystersów, Bożogrobców, Kanoników, Augustyanów, Norbertanów w XI. i XII. w., które autor skrzętnie wylicza, miały, przynajmniej niektóre z nich, szkołę wewnętrzną, *scholam internam*, dla swych alumnów, niekiedy nawet przypuszczały do nich eksternistów, ale o nauczaniu publicznem przez tych zakonników dowodów niema.

Ministerstwem oświaty były synody prowincyonalne, ministrem arcybiskup gnieźnieński, dyrektorami biskupi i kapituły, w klasztoraoh zaś opaci i kapituły. Wyręczali się księżmi „scholastykami". Zwano ich *magister scholarum, archimagister, didascalus, capiscolus (caput scholae)* w klasztorach zaś *magister principalis*, a ich pomocników *magistri circatores, armarii* (str. 43). Rezultat badań autora ten, że statystyki szkół w XI. i XII. wieku zestawić niepodobna.

Czego uczono? Siedm sztuk wyzwolonych. Gramatyki, dyalektyki, (logiki), retoryki uczono w szkołach trywialnych *(trivium)*. Najwięcej czasu poświęcano gramatyce, *regulae gramaticae* i wyuczeniu się języka łacińskiego. W szkole krakowskiej autorami szkolnymi byli: Arator, Boëthius, Owidyus, Persius, Statius Terentius, w niektórych szkołach jeszcze: Homerus latinus, Martianus Capella, Juvenalis, Lucanus, Ho-

ratius, Vergilius. Dyalektyka (logika); tej uczono z Izydora i rozmaitych skryptów i stosunkowo nie wiele łożono na nią czasu. Więcej się zajmowano retoryką połączoną z *dictamen prosaicum* (układać listy, dokumenta publiczne, kontrakty) i wiadomościami prawniczemi. Za podręczniki tu służyły: *Breviarium, Decreta Romanorum pontificum, Liber papiensis*, Lombardus, Salustius i Gallus. O Ciceronie nie słychać.

Muzyka, zrozumienie teoryi muzycznej i śpiew kościelny, arytmetyka, obliczenie kalendarza kościelnego *(computus ecclesiasticus)*, geometrya z geografią, kosmografią i historyą naturalną, astronomia, o ile potrzebna dla zrozumienia kalendarza, z astrologią i symboliką, oto przedmioty szkół wyższych, zwanych *quadrivium*.

Trivium i *quadrivium* z kursem przygotowawczym czytania, pisania i rachunku, stanowiły w XI. i XII w. szkołę katedralną lub kolegiacką. Religii uczono z Pisma św. i katechizmu przez całe siedmiolecie nauk szkolnych, których koroną była teologia.

Fachowej szkoły teologicznej nie miała Polska w tej pierwszej epoce. Więc niektórzy, i to zamożni tylko, udawali się po nauki teologiczne, jak św. Stanisław, zagranicę, inni radzili sobie jak mogli, aby nauczyć się tego *minimum* wiedzy teologicznej, jakiego do święceń kapłańskich domagali się biskupi. Jakie to było to *minimum*, nie wiemy; prawdopodobnie takie, jak to, które przepisał Karol Wielki, umieć: psałterz Dawida, symbol wiary św. Atanazego, wykład Ojcze nasz i Wierzę, znajomość mszału całego i rytuału, *poenitentiale*, nauka o słuchaniu spowiedzi, *computus ecclesiasticus*, śpiew kościelny, *regulae de vita canonica*. Młodsi uczyli się tych nauk od starszych praktycznie; szkolnych kursów teologii nie było, niema przynajmniej śladu tego (str. 50—59).

Bardzo zajmujący jest rozdział V. o „metodzie nauczania“ i VI. o „pedagogii“, w której na wzór starych Rzymian, rózga główną odgrywała rolę, ale w szczegóły zapuszczać się trudno. Z książąt Piastowiczów tylko Kazimierz Sprawiedliwy i ci, którzy do stanu duchownego się udali, mieli naukowe wykształcenie. Literat a duchowny to synonima w owych wiekach, więc świeccy wogóle nie smakują w książce, a na dworze książęcym, zdaniem autora, nie istniała żadna szkoła nadworna *(curialis)*. Kobiety też naukowego wykształcenia nie miały żadnego, chyba księżniczki i zakonne panny; te prawdopodobnie uczyły się łacińskiego języka. Żeńskie klasztory, być może, że istniały jakie już za Bolesława Chrobrego; pewność mamy o pierwszym klasztorze Norbertanek w Kaliszu około 1126 r. (str. 95).

Rzadkie były wyjazdy zagranicę po naukę. Szukano tej nauki we Francyi w szkołach benedyktyńskich reformy kluniackiej. W Paryżu istniały trzy znaczne szkoły: katedralna przy Notre-Dame, opacka przy św. Genowefie i klasztorna przy św. Wiktorze; akademii wtenczas jeszcze nie było. Ustęp o akademiach zagranicznych (st. 104—111) wielce zajmujący; autor naliczył 30 duchownych dygnitarzy ze stopniami naukowymi.

A Ruś? Nie zapomniał i o niej autor. W monasterach musiało być jakieś „nauczanie książkowe"; książe Jarosław opiekował się naukami i szkołami, tak samo ks. smoleński, Roman Rościsławowicz († 1180), ale „tylko duchowieństwo miało wykształcenie szkolne". Kler wyższy rekrutując się przeważnie z przybyszów greckich i rodów książęcych, mógł mieć więcej nauki, ale kler niższy kontentował się nauką czytania, spiewu i liturgii. W niektórych szkołach oprócz czytania i rachunków, uczono zapewnie coś greki (112—118).

„O szkołach żydowskich w Polsce i na Rusi nie znajdujemy w źródłach żadnych wzmianek", ale przy synagogach musiały być „domy nauki" chajdery, i dlatego w późniejszych z XIII. i XIV. w. dokumentach, synagogi nazywają się wprost „szkołami" (str. 118).

W epoce „Polski w podziałach" synody prowincyonalne tak, jak podtrzymują jedność narodową, tak ratują kraj od germanizacyi, którą przynoszą Krzyżacy, mieszczaństwo, a nawet klasztory, i opiekują się szkołami, których w latach 1215—1364, a więc w drugim okresie, jest 119, bo do dawnych katedralnych przybywają szkoły parafialne *(trivia)*. Już i plan ich rozleglejszy i uczą się w nich laicy, zwłaszcza mieszczanie, i wyjazd do akademij zagranicznych częsty. Szlachta nie bawi się książką, najwięksi dygnitarze należą do *illiterati*. Z niesłychaną pracowitością zebrał autor statystykę tych szkół, w każdej dyecezyi z osobna (str. 130—151).

Niepochlebnie wypadł sąd autora o szkołach klasztornych, dla zakonnej młodzi wyłącznie prawie przeznaczonych. Dominikanie i Franciszkanie uorganizowali szkoły prowincyonalne, w których uczono *septem artes liberales* i teologię, ale tylko zdolniejsi, i do uczenia szkół przeznaczeni, kończyli ten kurs kompletny nauk. Reszta młodzi zakonnej kontentować się musiała gramatyką, nauką Pisma św., logiką i teologią w miejscowaj szkole klasztornej. Mistrz filozofii i teologii nazywał się *lector*. Statystyka klasztorów mozolnie zebrana (str. 151—161) wykazuje, że tylko w 30 klasztorach istniały szkoły.

Dla wszystkich szkół nieklasztornych, jeneralnym niejako dyrektorem i inspektorem na całą jedną dyecezyę był kanonik scholastyk, który także sam lub przez zastępcę nauczał w szkole katedralnej. Także niektóre kolegiaty miały kanonika scholastyka lub jego zastępcę.

„Katedralne szkoły składały się w tym drugim okresie z szkoły przygotowawczej, z szkoły *septem artes*, i ze szkoły teologicznej i prawniczej“ (str. 164). Czy to nie zbyt śmiałe twierdzenie, że oprócz szkoły *septem artes* istniały przy katedrach osobne szkoły teologiczno-prawnicze, w których uczyli „sami scholastycy“ albo „wyręczali się zastępcami“? Do pomocy mieli „drugiego nauczyciela“, opłaconego przez kapituły, ten nauczał w szkole *septem artes* i przygotowawczej; miał znów submagistrów i kantora; celem bowiem szkół było wychować przyszłych księży, dostarczyć kościołom stałych śpiewaków i ministrantów. Dla tych ostatnich proboszczowie obowiązani byli ustawą synodalną 1257 r. utrzymywać szkołę parafialną *pro honore ecclesiarum et ad laudem divinam*. W miasteczkach i miastach powoli i rady miejskie i magistraty windykowały sobie prawo patronatu nad parafialną początkową i trywialną szkołą, w której nie wolno było uczyć więcej nad trzy pierwsze *artes:* gramatyki, retoryki i dyalektyki (dekret bisk. krak. Nankera koło r. 1320). Wszystko to bardzo piękne, ale skoro znamy plan nauk, tytuły podręczników, nazwy autorów, których się trzymano i których używano w szkołach *septem artes*, dlaczego nie znamy, ani autor nas nie pouczył o tem, jaki to był plan nauk, jaki zakres przedmiotów, jacy autorowie na tych wrzekomych kursach teologiczno-prawniczych wykładani? Teologia to szeroka wiedza, nie wszystka i nie we wszystkich gałęziach potrzebna klerowi parafialnemu — jeżeli była osobna szkoła czy kurs, to przecie musiał być dla niej plan nauk jakiś, jakieś *minimum* czy *maximum* wiedzy księdza na parafii. Takiego planu ja nie znam, autor go nie przytoczył — wnoszę stąd, że osobnej szkoły czy kursu teologicznego przy katedralnych szkołach wogóle nie było, mógł być wyjątkowo w Wrocławiu, w Gnieźnie czy Poznaniu i to sporadycznie a nie stale. Sam przecie autor rozwodzi się (str. 210—213) o „małym, nizkim stopniu wykształcenia kleru, o lichym stanie nauk teologicznych“ w XIII w. Na miły Bóg, kler, który skończył kurs nauk, *septem artium*, słuchał osobnych jeszcze kursów teologii i prawa, nie mógł przecie być na nizkim stopniu wykształcenia. Nielepiej jest w XIV. w., jak znowu stwierdza sam autor (str. 212). Nic w tem dziwnego. Przecie jeszcze

za obydwóch Zygmuntów, a więc w XVI. w. ignorancya kleru parafialnego była niemal powszechną, skoro użalają się na nią synody prowincyonalne w latach 1542, 1551, 1556, 1561. Ażali to możliwe, gdyby kler ten po skończonem 7-leciu *artium*, słuchał osobnego kursu teologii i prawa kanonicznego? Mnie się tak zdaje, że już w onem kwadriwium, które przecie było „duchowną“ szkołą, wykładano przyszłym księżom katechizm większy gruntowniej, sentencye Lombarda, coś z egzegezy Pisma św. i propedeutykę prawa kanonicznego; liturgii zaś i administrowania św. sakramentów uczyli się klerycy praktycznie przy starszych proboszczach lub przy katedrach i kolegiatach. Ogół kleru parafialnego kształcił się w ten sposób; wyjątkowo tylko *per plus vel per minus*. Bywało, że zdolniejszych kleryków wyprawiał biskup, czy kapituła, czy zamożniejszy jaki a gorliwy proboszcz-krewniak, czy rodzina, na kurs teologii i praw tam, gdzie taki kurs (wyjątkowo) istniał, lub nareszcie za granicę. Autor wspomina (str. 217), że archidyakoni musieli znać dobrze prawo kanoniczne, że synod 1279 r. dawał im trzy lata czasu na studya tego prawa. Ogół kleru takich studyów nie miał. Ale też bywało nierównie częściej, że pleban wiejski upatrzywszy sobie zdolnego chłopaka, poduczył go łaciny, pchnął na rok, dwa do kwadriwium, zabrał nazad do siebie, przeszedł „o krótkiem toporzysku“ traktat *de poenitentia*, „pokazał praktycznie“, jak mszę odprawiać, nieszpory śpiewać, dzieci chrzcić, umarłych grzebać, zawiózł go do biskupa, przedstawił jako swego wikarego, zaręczył, że posiada dostateczną „na księdza“ wiedzę, i prosił o wyświęcenie. Biskup zdał to na plebana sumienie i wyświęcił. Bywało i to, że biskup czy prałat, krewniaków, czasem służących swoich faworytów, przygotowawszy ich co z grubsza na prędce, przedstawiał do święceń i święcił na księdza. Tym tylko sposobem wytłumaczyć sobie można niezbity fakt nieuctwa znacznej części kleru jeszcze w XVI. w. Toć to nieuctwo było jedną z głównych przyczyn prędkiego rozwielmożnienia się herezyi, jak konstatuje synod r. 1551. Ministrowie heretyccy znali coś trochę hebraiki i greki, byli biegli w łacinie i dyalektyce i wymowni, ściągali więc na swe kazania inteligencyę współczesną, a kler parafialny nietylko im nie umiał dać odprawy, ale posługiwał się do kazań postyllą luterską Reja.

Cały ustęp o szkołach i studyach teologiczno-prawniczych (str. 164—170, 209—216) wydaje mi się nieco bałamutny: autor sam przyznał niedokładność jego (str. 216). Wyborny za to jest ustęp o germanizacyi w szkołach (str. 188—195), nie w myśli wynarodo-

wienia, jak to czyni rząd pruski dzisiaj, ale siłą wypadków. Liczni koloniści niemieccy zaludniali dobra opatw i klasztorów, miasteczka i miasta, mieli swe kościoły, kazania niemieckie, więc i szkoły niemieckie, które corocznie dostarczały pewną ilość księży Niemców parafianom, nauczycieli Niemców szkołom. Oprócz tego co roku pewien procent studentów „wagantów", przybłędów z niemieckich szkół, wynajmował się na nauczycieli w szkołach polskich i germanizował. W dodatku niektóre zakony, jak cysterski i franciszkański, nie przyjmowały do nowicyatu Polaków, tylko Niemców. Zło było wielkie, bo kler niemiecki nie mógł spełniać dobrze swych obowiązków wobec ludności rdzennie polskiej, a polskie dzieci korzystały mało z nauki Niemca, który się rozmówić z niemi nie umiał. Więc synody r. 1257, 1258 i 1326 stosownemi uchwałami starały się położyć tamę germanizacyjnej gospodarce.

Reasumując wszystko, stan szkół w Polsce XIII. i XIV. wieku nie można nazwać świetnym; nie wystarczał on do uformowania młodzieńca o przeciętnem ówczesnem wykształceniu na Zachodzie. Stąd potrzeba szukania tego wykształcenia za granicą, mianowicie w uniwersytetach Bononii i Padwy, Paryża i Pragi. Idąc za Kaemmelem, autor daje nam szkic ówczesnych urządzeń uniwersyteckich, systemu nauk, zwyczajów i obyczajów młodzieży uniwersyteckiej, notuje skrzętnie tytuły ksiąg z tej epoki w bibliotekach naszych, zwłaszcza jagiellońskiej, dotąd przechowanych, imiona i nazwiska Polaków, którzy za granicą nauki i wiedzy szukali, i tych, którzy je stopniem akademickim uwieńczyli, nie wszystkich jednak, tylko na które „mimochodem" natrafił (str. 220—279, 285—288).

Zaznacza, że w XIII. i XIV. w. książęta Piastowicze nietylko ci, co duchownemu stanowi się poświęcili, ale co w świecie pozostali, z wyjątkiem dwóch lub trzech należą do „literatów", umieją po łacinie i naukowe posiadają wykształcenie. Także i z znaczniejszej szlachty procent pewien, mały wprawdzie, kształci się książkowo. Odbiera naukę od „pisarzy, notaryuszów" nadwornych, albo od kapelanów księży. W klasztorach żeńskich uczą się nowicyuszki i panienki świeckie po łacinie, gwoli zrozumienia psalmów i ksiąg pobożnych. Ogół jednak „literatów" rekrutuje się z mieszczaństwa, wyjątkowo z ludu. Edukacya szkolna nawet biedniejszym przystępna, bo studenci, „żaki szkolne", żebrzą w mieście i okolicy, a nawet gromadne przedsiębiorą ekskursye żebracze, bez uszczerbku na honorze. Za to śpiewają ofiarodawcom nabożne i ucieszne pieśni.

Ruś w niewoli tatarskiej, ale hanowie zostawiają jej wolność religijną, władyków, monastery i popów nadają przywilejami; ale śladu niema o szkołach nowych. To samo powiedzieć o szkołach żydowskich.

Autor przeciąg czasu od 966—1363 r. podzielił na dwa okresy. Czy zupełnie słusznie? Zjawienie się Dominikanów i Franciszkanów w Polsce miało swą doniosłość religijno-obyczajową, ale nie zmieniło systemu szkół ani sprowadziło szkoły na jakieś nowe tory, nie były to przecie zakony nauczające, ale apostołujące. Rezultatem tego podziału na dwa okresy: powtarzanie się i tu i ówdzie rozwlekłość Rozdziały VI, VIII, X, XI. okresu I. analogiczne z rozdz. IX, XI, XII, XIII. okresu II. Krócej i zwięzlej ująćby się dały w jedno rozdz. V. i VII. okresu I. i rozdz. II. i X. okr. II. o szkołach i o Piastowiczach „literatach"; cała książka stałaby się krótszą o jakie 50 stronic, ale może jaśniejszą i poczytniejszą. Ale to byłyby już dalsze ulepszenia tego, co samo w sobie jest pod wielu względami dobre i cenne.

Ks. St. Załęski.

Pamiętniki ks. Zygmunta Szczęsnego Felińskiego, arcybiskupa warszawskiego. Część I. 1822—1851, str. XI, 436. Część II. 1851—1883, str. 306. Kraków 1897.

Do czytania pamiętników przystępujemy często wprawdzie z ciekawością, jednak nierównie częściej z pewnem uczuciem nieufności i niedowierzania. Od tego rodzaju utworów literackich żądamy przynajmniej tego, aby albo pisarz sam był osobistością wybitną, której losy i szersze społeczeństwo zainteresować potrafią, albo jeżeli autor nie należał do znaczniejszych postaci swego czasu, aby nam malował epokę i ludzi z fotograficzną wiernością, a wprowadzając nas w ducha czasu, odtwarzał tajniki serc i działań.

W pamiętnikach ks. arcybiskupa Felińskiego łączą się te dwa warunki w jedną harmonijną całość i pociągają czytelnika tak, że zaglądnąwszy raz do dzieła, z trudnością chyba od niego oderwać się potrafi.

Zdaje się, że sam autor trzymał się wzwyż wymienionej zasady; dlatego też w tomie pierwszym, obejmującym lata dziecinne i młodość przyszłego arcybiskupa, znajdziemy względnie mało wzmianek osobistych. Okoliczność ta przemawia wielce na korzyść pisarza i jest dowodem jego smaku i sądu, bo naprawdę lata dziecinne, nie odznaczające się ostatecznie niczem nadzwyczajnem, mniejby nas zająć potrafiły. W tem przekonaniu utwierdza nas i to spostrzeżenie, że jeżeli autor

zatrzymywał się cokolwiek dłużej nad niektóremi chwilami pierwszych lat życia, to czynił to jedynie tam, gdzie z jego życiem wiązały się wielkie wypadki historyczne, wypadki malujące nam dokładnie położenie ujarzmionego kraju i uciemiężonego narodu, gdzie jego dziecinne sny, pełne różowych nadziei i oczekiwań, przerwał szczęk oręża i strzały armatnie, lub gdzie rzecz sama w sobie małej wagi mogła jednak przyjemnie zająć czytającego.

Uderza nas tedy w tych pamiętnikach przedewszystkiem szlachetny i ujmujący wdziękiem charakter autora; sąd o ludziach i wypadkach niepowierzchowny, bo wysoce moralny; prostota gołębia, w wyższej dozie niż wężowa roztropność; przytem głęboka miłość ojczyzny i niemniej gorąca wiara, niepozwalająca mu się liczyć z niebezpieczeństwem, choćby dla niej i ojczyznę porzucić przyszło i spędzić życie na krańcach świata.

Świat dokoła siebie trafnie szkicuje. Ciekawe są sylwetki guwernerów, dyrektorów szkolnych wraz ze swymi kalefaktorami i dziwnym systemem szkolnym, dzikie a jednak czasami sympatyczne postacie ludzi, wypowiadających wojnę społeczeństwu; niesłychanie też interesują typy studentów polskich w Moskwie. Ofiarny i szlachetny Bitowt, awanturniczy, lekko pojmujący życie Podbereski, poświęcający się dla przyjaciół Bykowski, a przedewszystkiem oryginalny Dziekoński, płatający figle władzom i publiczności, urządzający literacko-fantastyczne wieczory, odznaczający się nowością pomysłów i szybkością wykonania powziętego zamiaru; śmieszny i niezdarny filolog Szmurło, idący na przedstawienie sławnego wtedy tragika Karatygina z Iliadą w kieszeni na wypadek znudzenia się, — cała ta galerya osób wraz z bogatą wiązanką tryskających dowcipem i ogniem młodości anegdot, staje przed czytelnikiem jak żywa, a z takiem opisana życiem, z takim humorem, a zarazem, gdzie potrzeba, takim spokojem i powagą, że cała książka niesłychanie wiele na podobnych ustępach zyskuje i z pewnością właśnie dla nich wielu sobie zjedna przyjaciół.

Jeśli jednak autor potrafił głębiej patrzeć w życie i rozumieć otaczające go osoby, to jego sądy o znanych osobistościach niemniej są zaciekawiające. Wszyscy przesuwają się przed nami jak w kalejdoskopie, a o każdym ma coś do powiedzenia, każdego choć kilku słowy scharakteryzuje; o wielu mówi nam często rzeczy nowe i mogące przynieść niemałą korzyść naszym literatom i historykom. Widzi Kraszewskiego, podziwia jego umysł, jego wytrwałą pracę, osądza jego błędy i zalety, lecz zarazem z znajomością zdumiewającą rzeczy dodaje, że nie wywarł on żadnego, choćby najmniejszego wpływu na rozwój jego

ducha i zgadza się na zdanie, że nikt z tłumokami do potomności nie przeszedł; trudno działalność Kraszewskiego krócej a dobitniej określić. Pisma Krasińskiego tworzą nową epokę w jego życiu; owe dwa zdania autora „Przedświtu“: „bo na ziemi być Polakiem, to żyć bosko i szlachetnie“ i „garść im powołań sypnąłeś z wysoka“, otwierają nowe horyzonty przed młodocianym umysłem. Ostatnie te słowa sprawiają nawet, że zastanawiając się głębiej nad Rosyą i Polską, dochodzi do przekonania, że między tymi dwoma narodami nie może być nigdy połączenia ani też jakichkolwiek stosunków. O Słowackim dowiadujemy się dużo ciekawych rzeczy, a między niemi i takich, które może nie wiele znajdą wiary wobec naszych czytelników, a które jednak autor, należąc do najlepszych i najserdeczniejszych przyjaciół wielkiego poety i zajmując się po śmierci Juliusza układaniem i wydaniem jego manuskryptów, stanowczo wypowiada, jak np., że dusza jego nie znała „żadnej burzy, żadnego narzekania, żadnej nawet niecierpliwej żądzy“ (I, 274), że „nie lubił źle mówić o ludziach, a im boleśniej był przez kogo dotkniętym, tem uparciej o nim milczał“ (I, 276), że „o Mickiewiczu odzywał się zawsze z uwielbieniem tak, że w ciągu dwuletnich naszych stosunków nie zdarzyło mi się słyszeć ani raz, żeby naganił chociażby najmniejszy urywek z jego utworów“ (I, 276), że „nie lubił ani rozmawiać o swoich utworach, ani ich czytać znajomym“ (I, 284). Tak pojawia się jeszcze przed nami Koźmian, Wójcicki, Goszczyński, Zaleski, Ujejski, a później Mickiewicz, który w ogólności wprawdzie imponował przyszłemu arcybiskupowi, ale w okolicznościach, w jakich przed nim stanął, nie zrobił na nim wielkiego wrażenia. Jasno kreśli obraz działalności i nauki Towiańskiego, jego wpływ na naszych poetów, nie wyłączając i Krasińskiego; przedstawia ujemne i dodatnie strony systemu, a wszystko poważnie, rzeczowo. Jedna chyba okoliczność zmniejsza po trochę wartość tego ciekawego ustępu, ta mianowicie, którą już i gdzieindziej podniesiono, że autor nie stykając się osobiście z Towiańskim, przedstawił naukę jego tak, jak ją był poznał przedewszystkiem z pism i rozmów z Słowackim, ponieważ zaś w przedmowie przyznaje się sam, że nie może absolutnie ręczyć za wszelką prawdę, dlatego też ta część traci trochę na swojej wartości, chociaż w każdym razie nie wiele, bo jak nam badania w tym kierunku wykazują, nieznaczne będą różnice między autorem „Pamiętników“, a innymi naszymi pisarzami.

Niemniej jasno, dobitnie, często bardzo oryginalnie, zawsze za-

ciekawiająco przedstawia nam epokę, w której żył. Prędkiemu zoryentowaniu się przeszkadza może sposób pisania autora, który już z początku nam zapowiedział, że nie chodzi mu tak o całość rzeczy, jak raczej o przedstawienie właśnie tych wydarzeń i chwil, na które się patrzał, lub w których sam brał udział, ale ostatecznie zarzutu stąd autorowi uczynić nie można, gdyż nie pisał on nam historyi, lecz pamiętniki i miał prawo trzymać się raz powziętego planu.

Najwięcej zajmuje się Polską, emigracyą i jej stosunkami. Niema może żadnego faktu jakiejkolwiek doniosłości, któregoby nie poruszył. Historyk, któryby chciał pisać dzieje Kościoła polskiego w nowszych czasach, musi się uciec koniecznie do drugiego tomu „Pamiętników", a tam znajdzie skarby niewyczerpane do swego badania, tem bardziej, że autor na wszystko z blizka się patrzył, i we wszystkiem brał udział, a zatem jego twierdzenia nie tak łatwo obalić się dadzą i nie tak łatwo w nich pobłądził. Smutnym postaciom duchownych karyerowiczów i renegatów, takiemu np. Łaskiemu, Kossowskiemu, Mikuszewskiemu i innym, przeciwstawia świetne postacie Hołowińskiego, który w jego tłumaczeniu przestaje być niezrozumiałym i dwuznacznym, Łubińskiego, Szczyta, Ożarowskiego, Chołoniewskiego i wielu innych. Wyświeca ich postępowanie, które może Polakowi nie zawsze wydawało się zgodne z miłością ojczyzny, a które jednak „ponieważ sprzysiężenie na katolicyzm było zawsze na porządku dziennym w gabinecie petersburskim i nieprzyjacielskie podjazdy wciąż posuwały się dalej" (II, 2) nie mogło czasami być innem, choć było źle tłumaczonem.

Wielkie postacie dziejowe, jak Czartoryscy, Zamojscy i Konarski, awanturnicy jak Mierosławski i Darasz, prezes „Towarzystwa demokratycznego" na emigracyi, zapominający o swej godności i tradycyach swego rodu Leon Radziwiłł lub Mieczysław Potocki, rozmaicie oceniany margrabia Wielopolski, wreszcie wyżsi urzędnicy petersburskiego gabinetu np. Bibikow o żelaznej ręce, Skrypicyn i inni stają wyraziście przed nami. Cele i dążności emigracyi, stowarzyszenia dążące do tego samego dzieła różnemi i przeciwnemi drogami, a zwalczające się nawzajem, niezgody w łonie Polaków francuskich, ich znaczenie, wpływy, dodatnie i ujemne strony, dobitnie skreślone.

Nie mówię i nie sądzę, że tłumaczenie tych wszystkich wypadków, tych osób, ich działań i ich zapatrywań, będzie zawsze prawdziwe i z ogólnymi poglądami się zgadzające, owszem zdaje mi się, że autor „Pamiętników" znajdzie wielu, którzy jego zdania szczególnie

co do Wielopolskiego nie podzielają, w każdym jednak razie nie da się zaprzeczyć, że niejeden punkt ciemny rozjaśnił.

Głównej wartości pamiętnikom oprócz tego zdrowego sądu, który się wszędzie przebija, dodają stałość i zacność charakteru autora i jego gorąca miłość ojczyzny. Mając wytkniętą przed sobą drogę swego obowiązku, ani na chwilę z tej drogi się nie cofnął. Nieraz mógł się ustrzedz wielu przykrości, mógł uniknąć posądzeń i nieprzyjemności, jakich od pewnych warstw w Warszawie doznał, mógł się ustrzedz może i tego ciężkiego wygnania, które mu tyle cierpienia przyniosło, lecz zasady poświęcić nie umiał i mógł o sobie powiedzieć, że pobłądził może w rzeczy samej, ale nigdy nie działał wbrew swemu przekonaniu, i to twierdzenie swoje może nam wiarygodniejszem uczynić powołaniem się na swe sumienie i swe stanowisko. Ta zaś stałość i szlachetność charakteru, która mu się nieraz i ciężko upokorzyć każe i tłumaczyć z błędów, których z pewnością z przekonaniem nie popełnił, łączy się z głęboką miłością kraju rodzinnego i wszystkiego, co polskie.

Kiedy sprzysiężenie Konarskiego, a za nim idące uwięzienie jego matki, ukazało mu, co to znaczy miłość i przywiązanie do kraju, chce wszystko swoje na tym ołtarzu złożyć. W Krakowie nawet kamienie na bruku zdają się mu mówić: „nie depcz nas nieobaczną nogą, bo nosimy na sobie niezatarte jeszcze ślady stóp twoich bohaterów“ (I, 222); w kościele św. Anny płacze ze wzruszenia, i poznaje, że „gdyby w owej chwili głos z nieba oznajmił mi, że Polska nigdy już nie zmartwychwstanie, błagałbym jak o największą łaskę, by i mnie też wieko trumny wnet przykryło, gdyż życie bez nadziei odzyskania ojczyzny stokroć straszniejszem wydawało mi się od zgonu“ (I, 223). Poświęcenie dla kraju cechuje jego życie. Kształci się, aby się mógł ojczyźnie przysłużyć, a kiedy wybiła godzina powstania, rzuca wszystko i ofiaruje siebie samego za pomyślność ojczyzny, przebiega kraj i zagranicę w służbie tej swojej matki a wreszcie, kiedy kir żałoby kraj cały pokrył, zwycięża siebie samego po ciężkiej walce i wielu upokorzeniach i wstępuje do wojska Chrystusowego, aby i tu także mógł służyć dla swojej ziemi i swych rodaków. Będąc kapłanem i biskupem unika ile możności wszystkiego, coby mogło drażnić uczucia narodowe i ma zawsze na celu dobro Kościoła i kraju, choć drogi, po której szedł, nie wszyscy rozumieli. Ta miłość Kościoła i ojczyzny każe mu założyć z wielkiemi trudnościami tak bardzo potrzebne i pożyteczne zgromadzenie „Rodziny Maryi“; ta miłość Kościoła i ojczyzny zapro-

wadziła go na wygnanie, na którem samotny i opuszczony, zdala od pól i lasów ojczystych, spędził ciężkich dwadzieścia lat życia, cierpiąc dla Boga, dla Polski i dla swych ziomków; ta miłość Kościoła i ojczyzny włożyła mu wreszcie w rękę pióro pisarza i wzbogaciła naszą literaturę, i tak już w pamiętniki dość bogatą, w utwór, który z pewnością zajmować w niej będzie jedno z miejsc zaszczytniejszych.

Tak nam się przedstawiają te pamiętniki ks. arcybiskupa Felińskiego. „Pamiętniki“ znalazły uznanie i są dla nas o tyle kosztowniejszą relikwią, że wyszły z rąk bohatera-męczennika, zostawiającego nam wzniosły testament, że „bez błogosławieństwa Bożego zwycięstwa nie otrzymamy, błogosławieństwa zaś tego spodziewać się nie mamy prawa, póki poprawą wad narodowych i nabyciem cnót odpowiednich na zmiłowanie Boże nie zasłużymy“ (I, 433).

O zewnętrznej formie nie mamy wiele do powiedzenia, bo co było potrzeba, wyraził już wydawca, p. St. Smolka. „Pamiętniki“ składają się z dwóch części; część pierwsza, prawie zupełnie wykończona, obejmuje przeciąg czasu od r. 1822—1851, druga zaś niewykończona od 1851—1883. Sądzimy tylko, że byłoby bardzo korzystnem dla wszystkich, podać na końcu wraz z liczbą odpowiednich stron, rejestr osób, o których w pamiętnikach mowa; ułatwiłoby to niezmiernie poszukiwanie w całem dziele. Wypadałoby może także przy drugiem wydaniu usunąć kilka mniej lub więcej rażących błędów, jakie się wdarły np. na str. 219, I: „iż będzie cztery armie“, na str. 94, I: „potrafi dopatrzeć palec Opatrzności“, na str. 49, II: „namaścił ręce moje schyzmem (powinno być chryzmem).

W. Wiecki.

Srebrne noce. Lunatica. *Szczepański Ludwik.* Fr. Bonde w Wiedniu i Centnerszwer w Warszawie. 1897.

Hymny. *Tenże.* Wiedeń. 1897.

Poezye. *Józef Klemensiewicz.* Kraków 1897.

Stance o pieśni. *Jerzy Żuławski.* Kraków 1897.

Juliusz Słowacki, który miewał niekiedy zadziwiające przeczucia, pisał u schyłku życia: „Po wielkiej liczbie dziś muzyków, kiedyś wielka liczba będzie harmonistyków poetycznych, piszących wiersze tylko dla dźwięku... aż pójdą wyżej“...[1] Czytam „Lunatica“ i przypominam sobie powyższe zdanie. Lubię czytając myśleć o treści utworu

[1] Rkp. Bibl. Ossolińskich we Lwowie nr. 1792, str. 52.

poetycznego, a zarazem rozkoszować się jego formą. Czyż jest to możliwem, jeśli utworom cennej treści brak? Zobaczmy.

Poemat p. t. *Rosa mystica*. Na zwojach czarnego aksamitu rozkwita biała róża, „rozchyla bujne białe łono“, „otęczą się osrebrza“, pała upojeniem — i więdnie.

Poemat p. t. „Śpiąca królewna“. W osłonie jedwabnych kotar śni śpiąca królewna. Wtem rozbrzmiewa twardy róg, lśnią halabardy zbirów i przez balkon wchodzi rycerz w zbroi. Śpiąca królewna uśmiecha się i tonie w miłości.

Poemat p. t. „Okno błękitne“. W pokoju napół mrocznym w bladej „rozświetli“ siedzi ich dwoje; poniżej głuchym rozgwarem huczy miasto, ale zgiełk ten gasł, zanim doszedł ku nim.

Poemat p. t. „O zmroku“. Gdyby był królem, zwołałby poetów i śpiewaków na dwór swój i — ponieważ życie jest czarownym snem, — piłby wino czerwone. Gdyby był królem, jego „dziewczyna“ nie nudziłaby się, boby słał jej deszczem róże czerwone. Gdyby był królem, rzuciłby skarby i koronę, i kierowałby wzrok tam, gdzie gaśnie słońce czerwone, taki sam smętny jak dziś i bezsilny jak dziś.

Poematy p. t.: „Konwalie“, „Akacye“, „Róże“ mówią o miłości, poczętej wśród różnych podniecień i wśród różnych akcesoryów marzącej.

Poemat p. t. „Droga“. Przez łąki, przez łany szeroką smugą bieleje droga. Noc. On idzie samotny. Topole sterczą jak obeliski, okna chat cichych witają go czerwonością pogodnych ognisk, ale to nie dla niego. Na widnokręgu błyska; chmury czernią się jak ciężka zasłona kiru; — on musi iść samotny.

Czy warto jeszcze dłużej zastanawiać się nad treścią „Srebrnych nocy“? Nie potrzeba: wszystko jest na jedną modłę. Wszędzie księżyc, światło blade, miłość, tajemnicze cienie, niekiedy szał, raz „ocean czarnej kawy“, raz „haszysz, płynący z srebrnej czary księżyca“, parę razy wino. Kiedy poeta mówi:

Piosenka moja jest dziecięciem miasta
Sennem i bladem (str. 68)

to należy brać jego oświadczenie literalnie; ale kiedy wnet potem woła dumnie, że

truwer, wpatrzon w blaski, które gasną,
Uderza w struny, śpiewa dziwne hymny,
Nowego wschodu wielbiąc zorzę jasną, —

to już kwestya wydaje się problematyczną. Nie daje w każdym razie prawa do tych haseł owo majaczenie pośród niepewnych blasków księ-

życowych i niedość jasno i wyraźnie uświadomionych myśli, uczuć, pół-uczuć i nastrojów, gdyż niema w sobie siły oddziaływania na dusze — i dlatego to „głos idzie w pustkę“ — jak skarży się poeta. A może też nie powinniśmy domagać się myśli i uczuć od poety, skoro nam daje nastroje tylko? Dawniej mawialiśmy, że jeżeli liryk pragnie obudzić utworem swoim oddźwięk w naszem sercu, to niech wybiera w duszy swej takie uczucia, które bodaj subtelną i cieniuchną nicią wiążą się z naszemi uczuciami. Czy wolno mi to samo zastosować do nastrojów? Jakże to trudno nastrojami zapełnić książkę, gdy się je zbiera w obrębie samej księżycowej nocy, a o ileż trudniej wynaleźć takie nastroje, któreby jako melodya poetyczna nie wsiąkały bez echa w mgłę dusz ludzkich. Zgoda więc na nastroje, byle one były nie obce wzruszeniom serc naszych, byle były rozumne i należycie uświadomione. Nastroje mają swoją wymowę, godzą się z myślą, mogą być nawet wzniosłe i niepospolite. Ale muszą być zrozumiałe. Poeta, którego „głos idzie w pustkę“, wystawia swojej poezyi złe świadectwo, boć nie publiczność tu winna, tylko poeta winien. Tyle o treści „Srebrnych nocy“.

A forma czyni niesłychanie sztuczne piruety, aby być oryginalną. Przedewszystkiem moc barwików, których zadaniem ożywić nastroje. Do całości jedno motto, potem rodzaj dedykacyi, potem drugie motto; nad wierszami tytuły, pod tytułami znów motta, nad tytułami poszczególnych utworów znów dedykacye, niekiedy dokładne oznaczenie miejsca, które obudziło natchnienie, niekiedy cecha kształtu poetycznego *(rittornelli, carillon, rondoletti)*, słowem bez liku dopisków. Powtóre tytuły nader wyszukane i sztuczne. Nikt nie wymaga, aby wieszcz pieśń nucił o sztuce mięsa z ćwikłą, ale też kiedy czytam tytuły: „Rosa mystica“, „Thule“, „Grotesque“, „Fantasia lunatica“, „Morze, morze!“, „Kośba księżycowa“. „Lete“ i t. p. — to odczuwam niesmojskość napisów. Po trzecie niczem są ronda, meandry, rondoletti, kaskady, carillony i rittornelli wobec figlów, używanych niekiedy w budowie wrotek przez autora. Naprzykład:

Ach, gdzieś wśród łąk
— — bladej zieleni
W krąg — — —
Kryształowa noc się promieni i t. d.

Ja nie chcę wcale twierdzić, że p. Szczepański źle włada wierszem — broń Boże! Właśnie sztuczność wrotek stwierdza, że poeta

igra z trudnościami, a z taką samą precyzyą potrafi opanować zwrotkę cztero, jak i jedenastowierszową. Obrazowaniem budzi nawet podziw — tak jest ono bogate i tak śmiałe. Ale znów należy zauważyć, że teorya instrumentacyi odgrywa w technice „Srebrnych nocy“ zbyt dużą rolę. Odchylam pierwszą kartę i w utworze „Nieznajomej — dalekiej“, zdumiewam się nad wielką ilością spółgłosek syczących, w połączeniu z płynnemi, dziwi mnie siedm razy powtórzony w waryantach wyraz „blask“, zastanawiają barwy: modra, fiołkowa, biała, niebieska, złota, srebrna, ciemna, świetlana, zbłękitniona, blada, pozłocista, opalowa, błękitna, — niepokoją mię takie wyrażenia, jak „posowa niebiosów“, „pąk księżyca“, „bezbrzeż“, „tajemnicza rzeka marzenia“, „uroczny bór“, „upojne wonie“, — wszystkie te dziwy w 30 wierszach. Takimi — nieomal fizycznymi środkami suggestyi — działa poeta na nerwy czytelnika. I jakkolwiek w tym rodzaju techniki wierszowej należy p. Szczepański chyba do najzdolniejszych u nas t. zw. dekadentów, to jednak zasada sama jest niewątpliwie sztucznym wytworem, płynie z dążeń do naśladowania dźwięków natury i w tak rozległem zastosowaniu do zalet nie należy. Sprowadza to poezyę do nizin sztuczek, jak sztuczkami były koncepty marinistów u schyłku renesansu, jak sztuczkami były ongi w czasach wielkiego zepsucia Rzymu wyuzdane popisy mimów, które także przecież polegały na symbolach i nastroju, oraz nastrajały. Do zbiorku „Lunatica“ dałyby się wybornie zastosować słowa Jul. Lemaître'a: „Jeśli te wiersze są również bezmyślne — a przyznaję, że są równie melodyjne, jak szelest liści albo szmer wody, to nie mam nic przeciw tej poezyi, ale stanowczo wolę słuchać szelestu liści i szmeru wody“.

„Hymny“ [1] tegoż autora odkrywają z ujmującą szczerością głębie duszy poety. W „Modlitwie“ do „wielkiego Pana, Ducha świata“ prosi o to, aby umarł za młodu, byle mógł przedtem „kąpać się w rozkoszy zdroju“; w „Hymnie“ utożsamia się z szatanem. Szedł w dal — powiada — z sercem, które targały sępy pragnień i bólów, a gdy podniósł głos w ciemność, wstał pełen mocy, — i uwielbił szatana. Szatan wlewa rozkosz w zło bytu, dlatego cześć mu. On kuje błyskawice idei, on budzi ludzkość, śle zdobywców, twórców i marzycieli, on wiedzie kobietę w ramiona mężczyzny, on z szydem spogląda w toń śmierci, on jest walką, ruchem, sercem tytanów, żarem świadomości, poezyą bytu, — jest wreszcie — duchem poety.

---

[1] „Hymny“. Tenże. Wiedeń 1897.

Wolno oczywiście poecie zapisać swą duszę cyrografem dyabłu, za to dziś nie ukamienują, ale litość bierze, kiedy z taką jednostronną znajomością dziejów cywilizacyi narzuca się na mistrza. I czemże jest ten szatan, uwielbiony przez poetę? Wszakże to kalekie dziecię licznych Prometeuszów i Prometeuszków od Hesioda i Eschylesa począwszy, a skończywszy na p. Konopnickiej i Tetmajerze. Te rwania się najnowszego stempla zgoła już niepodobne do tytanicznych podlotów Byrona, Vigny'ego, Shelley'a, Goethego i Mickiewicza; wyglądają one tak, jak bezwiedne odruchy napół sparaliżowanego członka, którym opanowywa wściekłość — na kogo? trudno dociec. Taka wściekłość miota poetą, kiedy pisze czy to „Apostrofy" czy „Nienawidzę". Nie dziwię się: szatan jest źródłem nienawiści. Ale nienawiść nic nie zbuduje i nie da poecie wielkości. Choćby też tysiąc razy powtarzał — jak w utworze „O północy":

We mnie jest prawo! Moc swą znam!
Mrą bogi, słońca w mroku gasną,
Król — duch — swą gwiazdę niosę sam, —

choćby tysiąc razy powtarzał, to pomimo tego my wiemy, że to sobie tylko takie nieszkodliwe gadanie. Są jednak w zbiorku wierszyki, których nie mamy zamiaru potępić: nie „Hymny" już, ale patryotyczne sonety „Z pod Wawelu" — aż do końca broszurki. Nie są to arcydzieła zapewne; niemniej przeto ładne, owiane poczciwem uczuciem, niekiedy świecące bystrą myślą poemaciki. Szkoda, że ich tak mało. Co do reszty, to wprawdzie nie jest ona „pobrzękiem jezuickiej dromli", ale z pewnością można do niej zwrócić słowa poety:

Tfu! Tchu brak w tej atmosferze... (str. 34)

Pewien rodzaj ulgi odczuwa czytelnik, gdy od powyższej lektury przechodzi do innego poety [1], jakby się wydobył z dusznej, pełnej żaru i truciźnianych miazmatów atmosfery do przestrzeni owianej tchnieniem świeżego powietrza. Nie jestem zgoła ślepym na ujemne strony zbiorku. Kiedy się np. wie, że Mickiewicz o swym „Tadeuszu" pisał: „wiele marności, wiele też dobrego", że Kochanowski nazwał swe Treny „lekkimi rymami", to musi się z pobłażaniem przyjmować takie entuzyastyczne zachwyty, jakimi poeta darzy swoją pieśń miłości:

Wyleciała z serca mego
W tak przecudne strojna kwiaty i t. d.

---

[1] „Poezye". Klemensiewicz Józef. Kraków 1897.

Prawda, że i Kochanowski w dedykacyi „Psałterza“ dumnie woła:

I wdarłem się na skałę pięknej Kalliopy,
Gdzie dotychczas nie było znaku polskiej stopy,

prawda, że i Mickiewicz dumnie sławi pieśń swoją w „Improwizacyi“, ale też to „Psałterz“ i „Improwizacya“. W istocie z pośród tych miłosnych szczebiotów p. Klemensiewicza nie wiedzieć, coby podjąć z „niepamięci toni“. Są to erotyki łatwo rymowane, czasem miłe, ale często brak im oryginalności, a niekiedy jasnej myśli (np. poemacik „Sen o miłości“, koniec).

Poecie widocznie płynie wiersz jak woda, poeta jest pobudliwy, posiada naturę czułą i nawet szlachetną, ale nie może się jeszcze zdobyć na tyle abnegacyi, aby odłączyć plewę od ziarna i plewy rzucić w ogień, ziarno w świat na rolę. Stąd to takie utwory, jak „Szczęście“ (85), „Mędrzec“ (87), „Mosty wiszące“ (88), jak ustęp 8, 10 „Z opustoszałych dróg“, jak wiele drobiazgów w dziale „Z chat i pól“.

Czy warto np. powtarzać myśl o zwątpieniu (str. 317), tyle już razy i silniej przez tylu poetów wyrażoną, czy warto głosić *urbi et orbi*, że obelisk wiar młodzieńczych już rysuje się, szczerbi, pryska i niedługo zacznie się obsuwać? (III. „Z op. dróg“). Skąd ta pewność nareszcie? Że i wielcy i święci wątpili, to prawda, ale żeby ktoś z góry już zapowiadał, co się z jego wiarą młodzieńczą stanie w przyszłości — to trochę zabawne. Między sonetami czytam epigramat o poecie, który w wiedeńskie drukarnie rzucał wiersz za wierszem, a gdy je Bonde wziął w nakład, myślał, że zgarnie złote żniwo. Zawiódł się i plwa na świat „niewdzięczny“ i głupi“, że śmie odeń żądać... treści. Czyżby tym poetą był autor „Hymnów“ i „Srebrnych nocy“?

Wśród tych drobiazgów, wśród tych pustych kłosów, wśród tych chorobliwych niekiedy wzruszeń spotykam się jednak z bardzo ładnie malowanymi obrazkami. Są to „Obrazy z natury“ (51) i „W lesie“ (cykl sonetów str. 115). Pomiędzy temi malowidłami przyrody znajdą się utwory nastrojowe i te są perłami naszej poezyi opisowej lat ostatnich (np. sonet 2 lub 5); są inne — bez nastroju, podobne do owych pejzażów starych mistrzów, które się bez „ensemblu“ i bez „staffażu“ obejść nie mogą, ale które zachwycają nas perspektywą powietrzną i harmonijnym układem szczegółów. To odczucie natury, to widzenie nietylko kształtów, ale i barw, przeróżnie skombinowanych, dało poecie oryginalność, a w zbiorku właśnie jest tym ożywczym powiewem, który koi nerwy, wyczerpane lekturą „Srebrnych nocy“ albo „Hymnów“.

Inny poeta [1] w 76 stancach, pisanych wprawdzie na wzór „Beniowskiego“, ale świadczących o niepospolitej technice i wcale niemałym talencie poetycznym, uderza we wznioślejszy ton, niż obaj poprzednicy. Nie nęci go pieśń, która tylko jęczy, choćby perłami skrzyła. Dzisiejsze piosnki maleńkie, a jednak pieśń ma być jak dzwon potężny, który umarłych budzi, żywych woła. Takie były dawne pieśni trzech wieszczów, takie Ujejskiego i Asnyka. Ci uderzali w strunę, co brzmiała chwałą, w stalową strunę, co

Gdy w niebo bije — świat w pokorze klęka;
Zawoła — ludy jak stado żórawi
Ciągną; a zagrzmi — to serc tysiąc pęka;
Tysiąc się wskrzesza, kiedy błogosławi! (XXXI).

Niech się nie skarżą dzisiejsi poeci, że świat winien: „świat będzie inny, lecz wy bądźcie inni“. A jeżeli zasnął, to go zbudzić, „gdy pieśń nim wstrząśnie, ocknie się“ — tylko nie taka pieśń, jak dzisiejszych poetów.

Do skrzydeł, orły! — jest błękit bezmierny
I wichry, które łamać piersią lubo!
Do szponów, orły! — oto kruk niewierny
Gołębim gniazdom w dole grozi zgubą!
Do słońca, orły! — Ziemski lud bezsterny,
Ciemnością zewsząd otoczony grubą,
Błaga was, byście mu wskazali okiem
Drogę w obłoki i ponad obłokiem (XLVII).

A lud ten zimny — jak prochownia, ale ma w sobie wybuchy wulkanu, poeci zaś tą głownią, która go rozpromieni. Warto doprawdy, by p. Szczepański zapamiętał sobie tę piękną stancę (LII), on, który w poemacie „Et arceo“ zgrzytał:

Bo fałsz największy, by półciemna rzesza
Moc bożą czcić zdołała i pojmować...

Ten woła do artysty: „podążaj własnymi szlaki“, „odgrodź się wyniośle od rynków miejskich“, „idź samotny“, a drugi mówi: „jeśli będziecie wplątani w tkankę własnych słów, we własne boleści, w własnych zwątpień sidła — i zapatrzycie się we własną pierś, gdzie same rozstroje jęczą — to „jutro“ wieków zapomni o was.

W błękicie tonąć skrzydłem, spotężnieć w myślach, o ziemię cisnąć plugawe rozkosze ciała, które ducha trują, w przyszłość sięgać,

[1] „Stance o pieśni“. Kraków 1897.

bo „nie w dniu dzisiejszym żyje ludów dusza“ (LXX). Każde tętno serca ludów, każde słowo ich pacierza, praca dłoni, dźwięk lutni, miłość, wiara i nadzieje — wszystko jak wicher w przyszłość, w przyszłość wieje.

Niejedną jeszcze piękną myśl i niejedną prawdę mówią „Stance“. Czy oprócz prawdy zawierają one w sobie moc proroczą? Mówi poeta, że jest jak Chrzciciel, co nie działał cudów, ale po nim dopiero przyjdzie pieśniarz przyszłości (XLVI). Jeśli ma wcielić górne i piękne ideały autora „Stanc“ — obyż przybył najrychlej.

Antoni Mazanowski.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Anatomie du système nerveux de l'homme. Leçons professées à l'Université de Louvain par *A. Van Gehuchten*. (2 éd. 8-vo, pp. XXVI., 941; 619 fig.). Louvain. Uystpruyst. 1897.

Samo dzieło strasznie grube i uczone, przedmiot dzieła bardzo zawikłany i mało jeszcze zbadany — nie dziw, że ze strachem bierze się je do ręki. Mimo to zaręczyć można, że między grubemi dziełami nie znajdziemy łatwo drugiego tak poczytnego, między uczonemi tak przystępnego, między traktującemi o rzeczach zawiłych tak jasnego i przejrzystego, jak niniejsze.

System nerwowy wogóle, człowieka w szczególności, to rzecz i zajmująca i pouczająca nie mało. Znajomość budowy tej najważniejszej części składowej ustroju ludzkiego pożyteczna jest, co więcej, konieczna dla przyrodnika i lekarza, dla psychiatry, psychologa i filozofa, a nie zawadzi nigdy zwykłemu śmiertelnikowi. Nabycie jednak tej znajomości bez specyalnych studyów należy do rzeczy nadzwyczaj trudnych, prawie niepodobnych, bo zwyczajne dzieła w tej materyi suponują za dużo szczegółów morfologicznych i fizyologicznych, które bardzo często nawet w pamięci dobrego medyka zwolna się zacierają i zanikają. Van Gehuchten w swem dziele suponuje bardzo mało, zaczyna od rzeczy najprostszych, powiedziałbym banalnych, prowadzi następnie po schodach bardzo wygodnych i bardzo jasno oświetlonych tak, że każdy, idąc za nim, jest w stanie i bez zmęczenia i bez oszołomienia, prawie niespostrzeżenie objąć pogodnem i pewnem okiem całą dziedzinę dzisiejszej neurologii i niczego z niej nie pominąć.

42 rozdziały — lekcyami je autor nazywa — każdy pedagogicznie

ułożony, pod względem literackim zaokrąglony, wiążąc się logicznie razem, składają się na wspaniałą, imponującą całość dzieła. Niema co i kusić się na podanie w krótkości choćby niedokładnej treści tego olbrzymiego tomu, korzystniej będzie raczej zwrócić tylko uwagę na główniejsze wiązania tej architektonicznie mistrzowskiej budowy.

Dwa są systemy nerwowe: mózgordzeniowy i sympatyczny czyli zwojowy. Z ostatnim, jako mniej ważnym, załatwia się autor bardzo krótko, poświęcając mu tylko jedną lekcyę, ostatnią; z wszelką za to dokładnością i ścisłością naukową zajmuje się w całem dziele układem mózgordzeniowym. Układ ten występuje w pierwszych stadyach embryonalnych, jako rureczka cienka, w przedniej swej części nabrzmiewająca w trzy pęcherzyki posobieległe. Pierwotne te pęcherzyki przekształcają się zaraz w ten sposób, iż pierwszy i trzeci przewęża się raz jeszcze i dzieli się na dwie części, skutkiem czego mamy stadyum pięciu pęcherzyków zwanych drugorzędnymi. Pęcherzyki same stanowią zaczątek mózgowia *(encephalon)*, reszta rureczki zaczątek rdzenia pacierzowego *(medulla spinalis)*. W ostatnim czasie niemieckie Towarzystwo Anatomiczne przyjęło uproszczoną i jasną nomenklaturę anatomiczną. Van Gehuchten przyjmuje ją i kosekwentnie w swem dziele wprowadza. Pierwszy pęcherzyk mózgowy pierwotny odpowiada najważniejszej części mózgowia i otrzymuje nazwę: prosencephalon, drugi pęcherzyk pierwotny, przechodzi w mesencephalon, trzeci zaś w rhombencephalon. Prosencephalon dzieli się na dwie części, odpowiadające pierwszemu i drugiemu pęcherzykowi drugorzędnemu: telencephalon i diencephalon; mesencephalon zatrzymuje swą nazwę i w dalszym rozwoju, natomiast rhombencephalon rozpada się na trzy części, w stanie embryonalnym wyraźnie zaznaczone: isthmus rhombencephali, stanowiący połączenie tylnej części mózgowia z przednią i środkową, metencephalon, obejmujący móżdżek od strony grzbietnej i mostek Varolego od strony brzusznej, wreszcie myelencephalon czyli rdzeń przedłużony mózgowia. Z temi głównemi częściami układu mózgordzeniowego i ich nomenklaturą autor zapoznaje czytelnika w pierwszej lekcyi. W następnych siedmiu lekcyach przechodzi zwięźle, dokładnie i jasno anatomię makroskopową układu nerwowego, zaczynając od rdzenia paciężowego, kończąc na telencephalon i oponach zewnętrznych mózgowia i rdzenia, przez co znowu zaznajamia czytelnika ze wszystkimi grubszymi składnikami różnych partyj systemu.

Po takiem ogólnikowem zoryentowaniu się w przedmiocie przystępujemy do dokładniejszego rozpatrzenia się w rzeczy. Zaczyna się

teraz studyum wewnętrznej struktury systemu nerwowego. Jak ustrój wszelkiej żywiny, tak i system nerwowy i tkanka nerwowa składa się z komórek. Kto chce zatem jako tako wniknąć w budowę wewnętrzną mózgu i rdzenia, musi znać badania komórkowe, histologiczne. Autor i na tym punkcie nie spuszcza się na podręczniki histologiczne, które najczęściej tkankę nerwową traktują po macoszemu, ale przechodzi dokładnie w czterech obszernych lekcyach morfologię elementów nerwowych. I rozwój tej gałęzi naukowej i badania i postępy na tem polu z doby ostatniej są tu doskonale uwzględnione i objektywnie przedstawione. Czytelnik wchodzi zwolna w najświeższe tajniki techniki mikroskopowej, wraz z niemi poznaje tęgich, doświadczonych i wielce na tem polu zasłużonych badaczy, jak Wagnera, Deitersa, Gerlacha, Ehrlicha, Golgi'ego, Ramona y Cajala, Köllikera, Lenhosseka, Retziusa, Hissa, Edingera, Waldeyera, Schäffera, Nissla i bardzo wielu innych, jednocześnie zaś na każdym kroku przekonywa się, że sam autor ze swoją szkołą we wszystkiem brał czynny i zawsze wybitny udział, a często nawet innym przodował. W ten sposób czytelnik wytwarza sobie dobre wyobrażenie o elemencie tkanki nerwowej, neuronie, tj. komórce nagiej z wielu wypustkami plazmatycznemi, między niemi jedną przynajmniej stosunkowo bardzo długą, zwaną nitką osiową lub neurytem lub też axonem, a zakończoną delikatnemi rozgałęzieniami krzaczkowatemi czyli dendrytem, pamiętając zaś, że w całym systemie nerwowym takie elementy liczy się na miliony i że dendryty a wypustki plazmatyczne neuronów nie spajają się z sobą, ale działają wzajemnie na siebie tylko przez kontakt, odczuwa to i rozumie dobrze, że trzeba mieć tęgiego przewodnika, by w tych niesłychanych gąszczach i istnych labiryntach nie zbłądzić, ale chodzić swobodnie, znaleźć się wszędzie, jak we własnym domu.

Za Van Gehuchtenem można iść śmiało naprzód. W następnych 22 lekcyach (13—34 wł.) oprowadza nas po każdej części układu mózgordzeniowego z osobna, przechodząc po kolei rdzeń pacierzowy (l. 13—19), rdzeń przedłużony (20—23), metencephalon i isthmus (24—27), mesencephalon (28), diencephalon (29), wreszcie telencephalon (30—34). W każdej części postępuje w następujący sposób. Najpierw omawia wszystkie szczegóły tyczące się ustrojenia wewnętrznego, więc rozmieszczenie neuronów, ułożenie axonów, połączenie dendrytów, znaczenie ich; powtóre pokazuje, w jaki sposób odpowiednie części odżywiają się, więc jakie naczynia krwionośne i w jaki sposób je okrążają, wreszcie jakie nerwy obwodowe z tej części ośrodkowej układu

wychodzą. A wszystko to nie jest tylko prostem zestawieniem i zrejestrowaniem szczegółów zebranych z mnóstwa przekrojów, badanych podług najnowszych i najrozmaitszych metod mikroskopowych, ale łączy się i zespala w całość bardzo ciekawą a ożywioną jeszcze przez to, że autor wskazuje ustawicznie na znaczenie tych szczegółów, opierając się przytem na danych fizyologii tak normalnej, jak patologicznej i eksperymentalnej i na rezultatach otrzymanych za pomocą metod embryologicznych. W dalszą treść tej głównej części dzieła wchodzić nie możemy, bo szczegółów jest zanadto wiele. Zaznaczyć tylko warto, że autor omawiając telencephalon, zwłaszcza półkule mózgowe, nietylko nie pominął najnowszych badań Flechsiga nad korą mózgową, ale im nawet osobną lekcyę poświęcił (l. 32). Podobnie jak Flechsig i autor przyjmuje w tem wydaniu prócz ośrodków zwyczajnych w korze mózgowej, zwanych projekcyjnemi, a które są zlokalizowaniem różnych zdolności fizyologicznych, jeszcze ośrodki zwane assocyacyjne, które leżą pomiędzy pierwszemi a służą do połączenia między sobą różnych partyj samej kory mózgowej.

Dalszych siedem lekcyj (35—41) to lekcye i instruktywne najwięcej i najbardziej suggestywne. Stanowią one niejako kwintessencyę i rekapitulacyę całego dzieła, a zajmują się ogólną budową systemu nerwowego mózgordzeniowego. Nie jest to jednak prosta reasumpcya lekcyj poprzednich, ale rzut oka na drogę przebytą z nowego, wyższego punktu widzenia. Wszystko też tutaj występuje w nowem, jaśniejszem świetle. — Wszystkie nasze czynności zmysłowe można podzielić na dwie grupy: czuciową i ruchową. Do wykonywania jednych i drugich potrzebne są nerwy (axony i wypustki plazmatyczne neuronów), które też stosownie do funkcyi nazywamy czuciowemi i ruchowemi, albo raczej pierwsze dośrodkowemi *(nervi centripetales)*, dlatego, że podrażnienia otoczenia i świata zewnętrznego przewodzą i przenoszą do ośrodków nerwowych, drugie zaś odśrodkowemi *(nervi centrifugales)*, dlatego że przewodzą podrażnienia wychodzące od ośrodków nerwowych i przenoszą je do mięśni w częściach obwodowych ustroju. W jednej i drugiej grupie czynności są jedne, które wykonywamy ze świadomością, drugie, które wykonywamy bez świadomości, jeśli kto koniecznie chce, podświadomie, a które zazwyczaj odruchami nazywamy. Droga podrażnienia w jakiejkolwiek czynności czuciowej świadomej musi mieć początek swój w części obwodowej ciała i musi koniecznie dojść aż do kory mózgowej, natomiast podrażnienie dla jakiegokolwiek ruchu świadomego, od woli zależnego, musi wyjść nie skąd

inąd tylko z kory mózgowej. Drogi wszelkich czuć świadomych i wszelkich ruchów świadomych wyróżnia Van Gehuchten jako drogi długie, natomiast drogi odruchów, które zawsze zasadniczo od dróg czynności świadomych różnią się tem, że nigdy do samej kory mózgowej nie dochodzą ani też w niej punktu wyjścia nie mają, jako drogi krótkie. Takie są punkty wytyczne. Połączenia ich stanowią znane nam neurony, przez kontakt na się działające; chodzi teraz o to, by dla każdej czynności, świadomej czy odruchowej, wykazać i oznaczyć, jakie neurony wchodzą w skład jej drogi, gdzie się znajdują komórki tych neuronów, w samej części ośrodkowej systemu nerwowego czy poza nią, jeśli w części ośrodkowej, w którem miejscu rdzenia, a w którem mózgowia, czy axony postępują naprzód nie zbaczając i nie wikłając się, czy też krzyżują się, przechodząc z jednej strony ciała na drugą i w jakiem to miejscu czynią. I to jest zadanie wspomnianych lekcyj. Co prawda, zadanie wcale niełatwe, — mimo to, przyznać trzeba, z zadania tego profesor Van Gehuchten wywiązał się znakomicie. Umie on najzawilszy materyał tak rozłożyć, najróżnorodniejsze czynności tak ugrupować i rozklasyfikować, umie przedewszystkiem nie powiedzieć wszystkiego od razu, a za to w odpowiedniem miejscu na niejedną rzecz powtórnie i częściej zwrócić uwagę — że postępując za nim najtrudniejsze i najbardziej skomplikowane przedmioty zdają się nam zupełnie proste, jasne, przez się zrozumiałe. Autor omawia w ten sposób długie drogi dotykowe i długie drogi ruchowe, i pokazuje nam, jak normalnie wszystkie te drogi krzyżują się w rdzeniu przedłużonym w miejscach odpowiednich, tak iż podrażnienie w ciele na prawej stronie musi dojść do pewnego punktu kory mózgowej w lewej półkuli, że pobudzenie do wykonania ruchu lewą ręką musi wyjść od pewnej komórki kory mózgowej w prawej półkuli. Oznaczony też jest jak najdokładniej przebieg tych dróg wzdłuż rdzenia pacierzowego, wzdłuż rdzenia przedłużonego, trzonu mózgowia i w samych półkulach płaszczowych. Kto jednak pragnie szczegółowo się o tej rzeczy poinformować, niech zajrzy do tych lekcyj Van Gehuchtena, albowiem bez pomocniczych rycin nie moglibyśmy tego jasno przedstawić, a czytelnik mógłby niesłusznie nie nam, ale autorowi, niejasność przypisać. Niemniej szczegółowo i jasno przechodzi autor drogi wszystkich zmysłów, wreszcie drogi krótkie tak rdzenia samego, jak trzonu mózgowego i samego móżdżka.

Tak się nam przedstawia dzieło Van Gehuchtena. W obecnym stanie tej gałęzi naukowej, która, jakkolwiek historycznie nie najmłodsza, na prawdę w ostatnim dopiero lat dziesiątku weszła na tory buj-

nego prawdziwie rozwoju i rozkwitu, więcej sobie życzyć absolutnie nie można, a wszelkie, choćby najgorętsze polecanie książki po wszystkiem, cośmy powiedzieli, byłoby rzeczą co najmniej zbyteczną.

J. Nuckowski.

Императоръ Александръ Первый, его жизнь и царстованіе. Н. К. Шильдеръ. (Imperator Aleksander Pierwszy, jego życie i panowanie. Napisał *N. K. Schilder*). Petersburg 1897. Trzy tomy ilustrowane [1].

Praca pod powyższym tytułem zawiera wiele nowych, ciekawych a opartych na źródłach szczegółów. N. K. Schilder poświęcił szereg lat na zbadanie odnośnego materyału źródłowego i sumienne jego opracowanie. Nie mając dotychczas pracy tej w rękach, nie mogę podać dokładniejszego sprawozdania o całości. Zanim jednak praca ta wyszła w całości z druku, autor drukował z niej kilka ustępów w miesięcznikach *Wiestnik Jewropy* i *Russkaja Starina*, z których można się przekonać zarówno o sposobie traktowania i przedstawienia tej doniosłej w dziejach Rosyi epoki, jako też i o obfitości zużytkowanego w tej pracy materyału historycznego. Mnóstwem nowych wiadomości i faktów, wydobytych z pod kurzu archiwalnego, dzielił się autor z publicznością najpierw w osobnych artykułach, zanim miał czas wykończyć monografię całego panowania Aleksandra I.

Do ciekawszych w niej ustępów zaliczyć należy: korespondencyę Aleksandra I. z panią Staël-Holstein, córką Neckera, a autorką głośnej pracy *De l'Allemagne;* dalej szczegółowe wyjaśnienia przyczyn i powodów wojny r. 1812, którym za podstawę posłużył memoryał z r. 1810, podany Napoleonowi przez jego ministra spraw zagranicznych, a wydrukowany przez autora *in extenso*. Memoryał ten, wraz z innemi dokumentami, dostał się w ręce rosyjskie w czasie kampanii roku 1812. Także raport hr. Szuwałowa, komisarza rosyjskiego przy osobie Napoleona I., dorzuca nieco nowych szczegółów do znanego zachowania się ludności południowo-francuskiej względem eks-cesarza, w jego podróży na wyspę Elbę. Najciekawszymi są bezwątpienia pewne szczegóły z ostatnich tygodni życia Aleksandra I. i wyjaśnienia kwestyi następstwa tronu. O wszystkich tych kwestyach, opierając się na drukowanych w rosyjskich czasopismach fragmentach z monografii „Cesarz Aleksander I.“, zamierzam tutaj obszerniej pomówić.

[1] Tom czwarty i ostatni jeszcze nie wyszedł.

W artykule, umieszczonym w *Wiestniku Jewropy:* „Cesarz Aleksander I. i pani Staël", wydrukował p. N. K. Schilder kilka dotąd nieznanych listów pani Staël do Aleksandra I. i jego na nie odpowiedzi. Korespondencya ta ma niewątpliwie pewne znaczenie historyczne. Świadczy bowiem nietylko o szczerej chęci Aleksandra I. przeprowadzenia pacyfikacyi Francyi, ale i zapewnienia jej pomyślnych warunków rozwoju. Aleksander I. wyraża w swych listach predylekcyę dla wolnych instytucyj Anglii, a zarazem zdradza pewne obawy, aby restauracya Burbonów nie stała się punktem wyjścia dla skrajnej reakcyi.

Znajomość p. Staël-Holstein z Aleksandrem I. datuje się od chwili jej ucieczki z Francyi przez Szwajcaryę i Wiedeń do Rosyi, aby następnie przez Moskwę, Petersburg, Finlandyę i Szwecyę dostać się do Anglii, gdzieby mogła się czuć całkiem bezpieczną przed nienawiścią i prześladowaniem Napoleona I. Sława autorki *Corinne ou l'Italie* zapewniła jej gościnne przyjęcie ze strony inteligentniejszej części społeczeństwa rosyjskiego i wiele uprzejmości w sferach rządowych. Wrażenia wówczas odniesione odbiły się sympatycznem echem w jej pamiętnikach, *Dix années d'exil,* w których z wielkim entuzyazmem kreśli obraz Aleksandra I. i jego małżonki. Dla scharakteryzowania ówczesnego usposobienia autorki francuskiej, przytaczam odnośny ustęp z tych pamiętników: „Nareszcie ujrzałam tego monarchę, nieograniczonego zarówno na mocy prawa, jak i na mocy obyczaju, a tak umiarkowanego wskutek swych osobistych skłonności. Najpierw byłam przedstawiona cesarzowej Elżbiecie, która wydała mi się aniołem opiekuńczym Rosyi. Jej zachowanie się pełne umiarkowania, lecz to, co ona mówi, pełnem jest życia, a jej uczucia i opinie czerpią swą siłę i zapał u ogniska wszelkich wzniosłych myśli. Słuchając carowej, byłam poruszoną jakiemś nieokreślonem uczuciem, zależnem nie od jej wysokiego stanowiska, lecz od harmonii jej duszy; oddawna nie spotykałam się z taką kombinacyą cnoty i potęgi. Gdym rozmawiała z carową, drzwi się otwarły, a car Aleksander zrobił mi wielki zaszczyt, przychodząc na pogawędkę ze mną. Przedewszystkiem uderzył mię w jego osobie wyraz wielkości i dobroci, do tego stopnia silny, iż oba te przymioty wydały mi się nierozdzielnymi, jakby zlewały się w jedną całość. Byłam wzruszoną tą szlachetną prostotą, z jaką dotykał, od pierwszych słów ku mnie zwróconych, wielkich spraw i interesów Europy. Zawsze uważałam za oznakę mierności tę obawę dotykania kwestyj poważnych, jaką zdołano zaszczepić większości monarchów europejskich; oni obawiają się wyrzec słówko, któreby miało

sens istotny. Car Aleksander, przeciwnie, rozmawiał ze mną w taki sam sposób, jak o tem mówią mężowie stanu Anglii, którzy umieją znaleźć wartość w sobie samych, a nie szukają jej w tych baryerach, jakiemi mogliby się otoczyć. On nie ukrywał przedemną, iż żałuje tego entuzyazmu, jakiemu ulegał w stosunkach swych z Napoleonem I. Dziadek Aleksandra I. również entuzyazmował się dla osoby Fryderyka II. W tego rodzaju iluzyach, wywoływanych przez wielkich ludzi, niezależnie od złudzeń będących ich następstwem, zawsze się ukrywa jakaś szlachetna pobudka. Car z zachwytem mówił o swym narodzie i o tem, czem się on może stać w przyszłości".

Pod wpływem takich to uczuć, zrodzonych w umyśle skłonnej do ekstazy córki trzeźwego finansisty Neckera, wywiązała się korespondencya pomiędzy nią a Aleksandrem I., trwająca od r. 1814—1816. „We wszystkich czasach, wszyscy publicyści — pisała p. Staël dnia 25 kwietnia 1814 r. z Londynu, w pierwszym z wydrukowanych przez p. Schildera listów — Montesquieu, Necker i inni spoglądali na konstytucyę angielską, jako na niedościgły wzór doskonałości, do którego dojść może społeczeństwo ludzkie. Zasady tej konstytucyi wasza ces. mość przedłożyła Francyi. I stało się to właśnie w czasie, kiedy najazd obcy kazał się wszystkiego obawiać; wasz oręż zwycięski obdarzył Francyę prawowitym królem i swobodnym rządem; to jest fakt, jakiego podobnego niemasz w historyi, a stał się on dzięki waszej ces. mości".

Car Aleksander I. opinie swe wypowiada dopiero w liście z Paryża z datą 13 sierpnia 1815 r. „Nie mogę — pisał car — pozbyć się przekonania, iż zakończenia wszystkich nieszczęść narodu francuskiego i utrwalenia jego dobrobytu należy się spodziewać o tyle, o ile dołoży się starań do utrwalenia nowego porządku rzeczy przez mądrze obmyślane instytucye, zamiast upatrywania jego trwałości w uczuciach tej lub owej jednostki. Podobny sposób postępowania jest wynikiem ciężkiego doświadczenia, a przykład sąsiedniego państwa, zawdzięczającego temuż systemowi trwały rozkwit i sławę, wystarcza najzupełniej, aby rzucić korzystne swiatło na cały ten porządek rzeczy. Król od lat szeregu chory na umyśle (Jerzy III.), a pomimo tego wszystko tam idzie trybem zwyczajnym i pomyślność narodu bynajmniej na tem nie cierpi. Lecz tylko w razie złagodzenia ducha stronniczego podobne instytucye zdołają we Francyi położyć kres reakcyom, które jej nieustannie zagrażają. Wówczas tylko naród francuski, będąc w zgodzie z samym sobą, przestanie być przedmiotem trwogi dla reszty Europy. Skoro tylko antagonizmy wewnętrzne zostaną złagodzone do tego sto-

pnia, iż staną się czynnikami ciągłej i zbawiennej równowagi, wówczas Francya zajmie należne sobie miejsce w systemie państw europejskich. Ja bez wątpienia czułbym się bardzo szczęśliwym, gdybym zdołał dopomódz do osiągnięcia tego wielkiego rezultatu".

Niezbyt pomyślny stan wewnętrzny Francyi zaczął niepokoić panią Staël. „Dlaczego, najjaśniejszy panie — pisze z Florencyi w końcu lutego 1816 roku — nie raczyłeś wpłynąć na losy Francyi w sposób bardziej bezpośredni? Ażali nie miałam racyi, kiedy przed ośmiu miesiącami ośmieliłam się napisać do ciebie, najjaśniejszy panie, iż Izba deputowanych, złożona nie z przedstawicieli narodu, lecz ze stronnictwa emigracyjnego, zgubi Francyę? Oni dążą do faktycznej kontrrewolucyi, nie starając się pozyskać dla siebie umysłów, a Francuzi jęczą tymczasem pod brzemieniem wojsk cudzoziemskich".

„Mnie doniesiono, — pisze p. Staël w trzy miesiące później — iż wasza cesarska mość upatrywała jedyny ratunek na to złe w rozwiązaniu Izby deputowanych, czyli właściwiej mówiąc, Izby emigrantów; lecz tej zbawiennej rady nie usłuchano. Tylko przy pomocy intryg i wojsk cudzoziemskich można będzie powstrzymywać wybuch niezadowolenia. Lecz z dniem każdym wrzeć ono będzie coraz silniej w sercach narodu; być bardzo może, iż niezadowolenie wybuchnie znowu, jak w Grenobli, płomieniem jakiegoś buntu, a wówczas nazwą go jakobinizmem, bonapartyzmem i t. d., kiedy w istocie rzeczy będzie to tylko wyrazem rozdrażnienia, wywołanego codziennem naruszaniem karty konstytucyjnej, wolności prasy, wolności wyborów, instytucyj sądowych i t. d. Wasza ces. mości! powołuję na świadectwo tego, co powiem poniżej, wasz wspaniałomyślny charakter: jeżeli bezustannie usiłują wmawiać 24 milionom ludzi, iż w ciągu 27 lat zachowywali się jak rozbójnicy; jeżeli nie robią żadnych wyjątków ani dla prawdziwych przyjaciół wolności, ani dla najmężniejszych rycerzy; jeżeli z trybuny i ze szpalt dzienników słyszy się ciągle podobne twierdzenia, a równocześnie zabrania się na nie odpowiadać — czyż wobec tego rozpacz Francuzów nie jest naturalną i czyż podobne poniewieranie narodu, którego sława wojenna zdobyła sobie uznanie monarchów całej Europy, nie jest zarazem brakiem poważania dla tychże monarchów? Kiedy Karol V. wstępował na tron, reformacya w Kościele wiodła już do protestantyzmu. Gdyby on całem sercem przystąpił do reformacyi, stałby się dobroczyńcą rodu ludzkiego. (P. Staël widocznie miesza tutaj ideę reformy Kościoła z reformacyą). On się wahał, zadania swego nie pojął. Znużony trudami panowania zrzekł się tronu,

a niegodny syn jego (Filip II.) obwiniał później swego ojca, iż w głębi duszy był protestantem. U ciebie, najjaśn. panie, daleko więcej cnót, jak u Karola V., a dusza twoja o wiele wyższa, ponieważ jest o wiele czystszą. Lecz reformacya polityczna zależy od ciebie, jak religijna zależała od niego. Ty, najjaśniejszy panie, wskutek wyższości twego umysłu stoisz nieskończenie wyżej od wszystkich współczesnych monarchów; twe państwo jest niezależnem; wszystko, co myśli, i wszystko, co cierpi, na przestrzeni od północy do południa Europy, zwraca oczy swoje ku tobie — nie omieszkaj korzystać z tej okoliczności!"

Z artykułów p. N. K. Schildera, drukowanych w miesięczniku *Russkaja Starina*, zasługuje na uwagę tajny memoryał, przedłożony Napoleonowi I. w r. 1810 przez jego ministra spraw zagranicznych, z którego — zdaniem autora — najjaśniej się okazuje, na kogo spada wina za wojnę r. 1812. Historycy francuscy dotąd widzą jej sprawcę w osobie Aleksandra I., lecz na podstawie wyżej wspomnianego memoryału, „dzieje bezstronne — jak pisze autor rosyjski — winny wydać inny wyrok: okazuje się bowiem, iż plan najazdu na Rosyę obmyślony był przez Napoleona I. o wiele wcześniej przed powstaniem nieporozumień taryfowych i oldenburskich pomiędzy obu mocarstwami i przed zarządzeniem skromnych przygotowań wojennych, nakazanych przez Aleksandra I. w r. 1810. Wyznać zatem należy, że w tymże czasie, kiedy Napoleon I. opracowywał plan, zmierzający do ostatecznej zguby Rosyi, Aleksander I. jeszcze nie myślał o wojnie".

Memoryał domagał się odrzucenia Rosyi, ile możności jak najdalej ku Azyi, a odjęcia jej, co się tylko da, po zachodniej i południowej stronie państwa. Zerwanie z Rosyą miało pociągnąć za sobą całkowitą zmianę mapy Europy; wówczas tylko — zdaniem autora memoryału — imperyum Karola W. stałoby się rzeczywistością, lecz spotęgowane oświatą dziesięciu wieków. Umotywowanie tego olbrzymiego pomysłu kończy się zapewnieniem, iż zrodził się on z tego zaufania, jakie jest wynikiem cudownych czynów, dokonanych przez geniusz Napoleona.

W r. 1812 memoryał ten dostał się w ręce Rosyan i wraz z innymi dokumentami, nie mniejszej historycznej doniosłości, doręczono go Aleksandrowi I., przed jego odjazdem do armii. Wrażenie, jakie on wywarł na monarsze rosyjskim, było bezwątpienia niezwykle potężnem. W tem wrażeniu znajdujemy klucz do zrozumienia, dlaczego car Aleksander I. z taką uporczywością prowadził wojnę z Napoleonem I. nietylko w obrębie Rosyi, lecz i poza jej granicami, zmierzając nietylko do pokonania, lecz i do złożenia z tronu swego groźnego przeciwnika.

Nie ulega także wątpliwości, że treść tego memoryału znaną już była Aleksandrowi wnet po jego ułożeniu; dosyć tylko przypomnieć, ilu to zdrajcami i przeniewiercami otoczony był cesarz Napoleon I. w ostatnich kilku latach swego panowania. Znajomość treści onegoż uczyniła Aleksandra I. ostrożnym i niedowierzającym względem cesarza Francuzów i zmuszała do przygotowań wojennych.

Niezmiernie ciekawym jest ustęp memoryału, gdzie jest mowa o Prusach. Według słów dyplomaty francuskiego, Prusy stały się „ciężarem dla swych sąsiadów, przedmiotem pogardy dla swych nieprzyjaciół, a bezużytecznemi dla swych sprzymierzeńców". Żałować tylko należy, iż gienialny wódz nie usiłował pozbyć się najpierw tego „ciężaru dla swych sąsiadów", co przyszłoby mu o wiele łatwiej niż z Rosyą, a w ten sposób ocaliłby nietylko siebie, lecz i Francyę od ówczesnego i późniejszego pogromu.

Po raz pierwszy p. Schilder ogłosił drukiem raport komisarza rosyjskiego, hr. J. A. Szuwałowa, który towarzyszył Napoleonowi I., po jego pierwszej abdykacyi, przez Francyę południową aż do portu, skąd Napoleon miał popłynąć na wyspę Elbę. Komisarzów dodały mocarstwa zwycięskie dla zabezpieczenia osoby cesarza przed wybuchami nienawiści mieszkańców południowej Francyi. W istocie rzeczy — jak donosi hr. J. A. Szuwałow hrabiemu Nesselrode — manifestacye nieprzyjazne eks-cesarzowi miały miejsce w kilku wsiach prowanckich i w dwóch lub trzech miasteczkach tej prowincyi. W każdym razie przeżył Napoleon w tej podróży kilka chwil bardzo ciężkich, a we wsi prowanckiej Orgonie znalazł się nawet w istotnem niebezpieczeństwie. „Zbliżając się do tej wsi — donosi hr. Szuwałow rosyjskiemu ministrowi spraw zagranicznych — ujrzeliśmy ogromny tłum ludu, zgromadzony około szubienicy, niezmiernie wysokiej, a zaopatrzonej we wszystkie przyrządy do wieszania. Na szubienicy wisiał manekin przebrany w mundur wojskowy, cały krwią zbroczony; na nim znajdowały się napisy, obrażające Napoleona; oczywiście manekin przedstawiał osobę cesarza. Zaledwie kareta zatrzymała się przed stacyą pocztową dla zmiany koni, ujrzałem tłum ludzi, pijany winem i nienawiścią. Złożony z kobiet, mężczyzn, starców i dzieci, ryczał w sposób iście kanibalski, wygrażał pięściami i próbował dostać się do karety, w której siedział Napoleon z hr. Bertrandem. Okrzyki, wznoszone w narzeczu prowensalskiem, brzmiały: „otworzyć drzwi!", „wyciągnąć go stamtąd!", „powiesić go!", „urwać mu głowę!", „poszarpać na części!" Drzwi karety były na klucz zamknięte. Jenerał Koller, ja i hr. Clam

wypadliśmy ze swych karet. Kollera porwano za kołnierz, pomimo to udało się mu odeprzeć napastników z lewej strony karety; ja zaś, w bogato haftowanym mundurze i z wystawioną na widok kokardą rosyjską, stanąłem po jej prawej stronie. Zacząłem akcyę obronną od tego, iż sypałem pięścią razy na lewo i na prawo; z obawy, aby się nie znaleźć na miejscu manekina, krzyczałem, iż jestem Rosyaninem; tłum powstrzymał się na chwilę, z czego skorzystałem, żeby podziałać na ich serce i przedstawić całą ohydę czynu wobec człowieka, który i tak już jest nieszczęśliwy. Krzyczałem z całego gardła tak, że Napoleon słyszeć musiał każde moje słowo. W końcu tłum się uspokoił. Odezwały się nawet z pośród niego głosy, iż nikt nie myśli popełnić złego czynu, lecz chodzi tylko o to, aby Napoleon dowiedział się o usposobieniu ludności. W ciągu tej wymiany myśli, konie przeprzężono a kareta popędziła dalej cwałem. Daję słowo honoru — kończy swój raport komisarz rosyjski — gdyby drzwi karety były otwarte, Napoleon zająłby miejsce manekina i żadna siła ludzka nie byłaby w stanie temu zapobiedz.

Po tem zajściu kazał Napoleon wezwać do siebie w mieście Aix podprefekta i odezwał się do niego w te słowa: „Panie podprefekcie! Prowancya okryła się hańbą; miałem zamiar jechać sam tylko, wcale nie przypuszczając potrzeby konwoju. Tymczasem doszło do okropnych zniewag. Zresztą winienem oddać Prowancyi sprawiedliwość: ona nie dostarczyła mi żadnego mężnego batalionu. Gaskończyk gadatliwy, ale mężny; Prowensalczyk — gadatliwy i tchórz".

Pomimo obecności aż czterech komisarzy, Napoleon — jak pisze hr. Szuwałow — pod względem materyalnym miał się nie najlepiej. Odebrano mu nietylko serwisy, bieliznę, książki, jednem słowem mnóstwo różnych rzeczy, lecz nie dano nawet tego, co mu teść, cesarz Franciszek I., ofiarował, jak np. wino tokajskie i wiele drobnostek pamiątkowych po cesarzowej, do których Napoleon, widocznie, przywiązywał wielką wagę. Zapomniałem także dodać, iż w nocy, w pobliżu Lukki, w tymże domu, gdzie mieszkała księżna Paulina (siostra Napoleona), skradziono cesarzowi około 80.000 franków.

Nareszcie, na podstawie artykułów z *Russkiej Stariny,* wspomnieć mi wypada o tem, co pisze p. Schilder o ostatnich tygodniach życia Aleksandra I. Autor twierdzi z całą stanowczością, iż Aleksander I. miał zamiar abdykować i usunąć się do życia prywatnego. Z zamiarem tym nie taił się bynajmniej, bawiąc w Krymie, a już poprzednio mówił o tem w Petersburgu z księciem Oranii. „Wysłużyłem — rzekł

car — lat 25, a i żołnierzowi po tym terminie dają dymisyę". Aleksander zamierzał po abdykacyi zamieszkać w Krymie, który mu się bardzo podobał. Przed odjazdem z Petersburga polecił kniaziowi A. N. Galicynowi uporządkować papiery w swym gabinecie. W ciągu tej pracy, A. N. Galicyn zwrócił uwagę cara na tę okoliczność, jak jest niebezpiecznie akta, zmieniające porządek następstwa tronu, pozostawiać przed odjazdem ze stolicy bez ogłoszenia narodowi i jakie mogą stąd wyniknąć niebezpieczeństwa na wypadek katastrofy. Aleksander z początku, jak się zdawało, uderzony był słusznością uwag kniazia Galicyna, lecz po chwilowym namyśle rzekł do niego: „Zdajmy się w tem na Boga; On pokieruje wszystkiem lepiej od nas śmiertelnych".

P. Schilder zastanawia się nad kwestyą: dlaczego Aleksander I. akt takiej doniosłości państwowej utrzymywał w głębokiej tajemnicy, zarówno przed swym przyszłym następcą tronu, jak i przed Rosyą? Rozsądnego powodu historyk jego panowania odnaleść nie może. Jeżeli jakaś racya stanu istniała, to ją zabrał Aleksander I. do grobu. Niektórzy przypuszczają, iż równocześnie z manifestem o zmianie sukcesyi tronu miał zamiar ogłosić swą abdykacyę. Uderzający nadpis na pakiecie, zawierającym ów manifest: „Zachować do mego zażądania", zdaje się wskazywać na zamiar Aleksandra zrzeczenia się tronu.

O prawdziwym testamencie Aleksandra I., przechowującym się w soborze „Uspenia" w Moskwie, nikt z dostojników, bawiących przy nim w Taganrogu, nie wiedział; nie wiedziała nawet sama carowa Elżbieta. Wszystkim było tylko wiadomem, iż car nosił zawsze przy sobie jakąś kopertę z papierami, których nigdy i nigdzie nie pozostawiał. Dybicz, który, wraz z kniaziem Wołkońskim, był w tymże czasie nieodstępnym towarzyszem cara, opowiadał, iż po otwarciu tej koperty znaleziono w niej jakieś modlitwy. Carowa Elżbieta chciała te modlitwy zachować dla siebie na pamiątkę, lecz potem kazała kniaziowi Wołkońskiemu włożyć je do tej samej kieszeni tegoż samego munduru, w którym nosił je za życia; w tymże mundurze pochowano zmarłego cara.

Niewiadomość co do ostatniej woli Aleksandra I. i zwłoka w następstwie tronu, jaka stąd po jego śmierci wynikła, ośmieliły spiskowych do korzystania z okoliczności i podniesienia w Petersburgu tak zwanej rewolucyi grudniowej w ostatnich dniach r. 1825.

Al. Szarłowski.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

FUNDUSZ STU MILIONÓW.

Bolesną dla każdego Polaka i każdego katolika była rozprawa sejmu pruskiego z 20 stycznia nad podwojeniem stumilionowego funduszu na niemiecką kolonizacyę w Poznańskiem i nad usunięciem terminu (1907 r.), z którego upłynięciem według ustawy z r. 1886 akcya kolonizacyi skończyć się miała. Więc 100 milionów więcej, by nam i religii katolickiej wydrzeć znowu wielki kawał ziemi z pod nóg, a dla pruskiego rządu nieograniczona swoboda w tem zaborczem dziele! Po pierwszem czytaniu przekazano ustawę komisyi; niema co wątpić, że sejm ją uchwali. W uzasadnieniu tej „uzupełniającej“ ustawy rząd na pierwszem miejscu powołuje się na upośledzenie niemieckiego żywiołu, krzywdzące się z nim obchodzenie i coraz silniejsze wypieranie go przez Polaków w Poznańskiem. Oprócz tego przedstawia jako cel ustawy podniesienie kraju pod względem ekonomicznym. Te same dwie przyczyny przy zagajeniu posiedzenia przytoczył i ks. Hohenlohe dla usprawiedliwienia wymagań rządowych. Dotknąwszy z lekka korzyści ekonomicznych, szerzej rozwija kanclerz polityczne przyczyny tego kroku, zarzucając Polakom buntownicze usposobienie, które zmusza rząd niemiecki do szukania środków zabezpieczenia się. Cała mowa tem przykrzejsze wywiera wrażenie, że kanclerz usi-

łował przemawiać tonem ojcowskim, jak szczery przyjaciel Polaków, który tylko z prawdziwej przychylności tak gorzkie im czyni zarzuty. Nic dziwnego, że Polacy śmiechem powitali zapewnienia kanclerza, „iż rozumie się samo przez się, że rząd nie daje się kierować wrogą przeciwko polskiej ludności tendencyą". Naprawdę czelności potrzeba nieladajakiej, aby chcieć usprawiedliwić ustawę, która depcąc boskie i ludzkie prawo jedynie do tego dąży, aby uciśnionemu narodowi wydrzeć, co mu jest najdroższe: i mowę ojczystą i wiarę. Kiedy za poduszczeniem Fryderyka II. Polskę na trzy części podzielono, król pruski uroczyście obiecał, że wszystkie religie cieszyć się będą w jego państwie temi samemi prawami obywatelskiemi. Tymczasem od wieku nieustannie gnębi się Polaków-katolików, a od czasów ks. Bismarka wprost do tego się dąży, by wyplenić „tę rasę" z państwa pruskiego.

Wprawdzie minister Hammerstein w toku rozprawy oświadczył, że państwo pruskie stoi jeszcze na stanowisku „skrzydlatego słowa", które pruski król, Fryderyk Wielki wypowiedział, „w mojem państwie każdy może się zbawić *à sa façon;*" ale czynami pokazuje minister, że dla niego, tak samo jak dla ks. Bismarka, obietnice równouprawienia, dane przez króla pruskiego, „ani szeląga nie warte"; tylko odwagi nie ma otwarcie z tem się oświadczyć, jak Bismark. A przecież trzeba ministrowi przyznać i słuszność; tak jest, państwo pruskie rządzi się jeszcze duchem Fryderyka II., ale tym duchem, który z religii drwi, który ją uważa tylko za narzędzie w swych rękach, a jako najwyższą normę stawia sobie jedynie: własną korzyść.

Prusacy mimo równouprawnienia gnębią katolików w całem państwie, ale nigdzie się z nimi tak źle na każdem polu nie obchodzą, jak w zabranych polskich prowincyach. Cała rada szkolna dla Poznania *(Provincial-Schulcollegium)* jest protestancka (1 starokatolik); administracyjne rządy wyłącznie prawie w rękach protestantów: w 39 powiatach *(Landkreis)* tylko jeden jest katolicki naczelnik powiatu *(Landrat);* a co najbardziej oburzające, nawet sądy obsadzone są z małymi wyjątkami samymi protestantami. Tak się już protestanci wzmogli, że na 1,227,199

Polaków w Poznańskiem przypada już 559.750 protestantów! Czy się może doczekamy, że katolicy będą w mniejszości? Widocznie rząd do tego dąży. Chcąc wynarodowić Polaków, nasyła im do kraju Niemców, ale nie Niemców-katolików, lecz Niemców-protestantów, gdyż ci ostatni, według wyrażenia rządowych mowców, są odporniejszymi przedstawicielami niemieckiej kultury. Stosunek katolickich kolonistów do protestanckich jest 1 : 11; dla katolickich kolonistów dopiero w ostatnich czasach wybudowano jeden kościół, gdy tymczasem cała sieć far protestanckich Poznańskie pokrywa.

Kiedy ustawa o 100 milionowym funduszu kolonizacyjnym pierwszy raz została przedłożoną w sejmie, wówczas Windthorst się wyraził, iż zadrżeć trzeba na samą myśl o podobnej ustawie, którą tylko pod ministerstwem Bebla byłby uważał za możliwą. Posłowie Schorlemer-Alst i Virchow sądzili, że uważać ją trzeba za resztki *kulturkampfu*, w których się niejako zgromadziła cała złość i żółć, niewyrzucona jeszcze w poprzedniej walce; mniemali, że spór nie toczy się na polu nacyonalnem, jak raczej na polu religijnem.

Katolicy niemieccy nie odstąpili i dzisiaj od ówczesnych zasad. Dwóch posłów Im Walle i Nadbyl stanęli znowu mężnie w obronie Polaków, a poseł Im Walle oświadczył w imieniu *Centrum*, że nie ze stanowiska polonizmu, ale ze stanowiska prawa sprzeciwiają się nowej kolonizacyjnej ustawie on i jego towarzysze. Narodowości — mówił — która jest w większości, nie wolno używać środków służących do wyplenienia drugiej — a to jest celem tej ustawy; znaczy ona *decapitatio* polskości". Tak sprawę osądzili Niemcy, ale Niemcy katolicy. W tym samym duchu pisała najpoważniejsza katolicka gazeta austryacka, gdy tymczasem organa liberalnych partyj skorzystały tylko ze sposobności, by wylać całą swą żółć na Polaków. Przytaczamy tu ustęp wybornego artykułu *Vaterlandu*, który *Czas* w numerze z 27 stycznia w całości podaje:

„My konserwatywni Austryacy nie rozumiemy jawnego machiawelizmu takiej polityki: Dziwne to zadośćuczynienie za krzywdę, spełnioną na polskim ludzie przez kilkakrotne po-

działy; dziwne to zadośćuczynienie, gdy jedno z mocarstw podziałowych oznajmia parlamentowi otwarcie i formalnie, że ten lud ma być tępiony, ma opuścić siedziby przodków...“

Obrońca ustawy, ks. Hohenlohe jest wprawdzie katolikiem, ale katolikiem, jak wiadomo, bardzo liberalnych przekonań. Katolicyzm jego widocznie sprawił, że nie śmiał tak otwarcie przyznać się do gwałtu, jakto inni mowcy rządowi czynili, i uciekł się do obłudy. Ale właśnie dlatego jego mowa wstrętniejszą od brutalniejszych mów innych. Odczuł to dobrze poseł Im Walle, mówiąc: „W duszy boleję, widząc teraźniejszego prezydenta ministrów w takiem otoczeniu“.

Toczy się więc w Poznańskiem prawdziwa walka na śmierć i życie, jak to już dawniej Windthorst powiedział. Odpornych sił w tej walce doda nam zapewne wysoko rozwinięte poczucie narodowe, którego nam Niemcy zazdroszczą. Główna jednak siła tego uczucia leży w tem, że ugruntowane jest na niewzruszonych podstawach wiary naszej, i dlatego to wrogie nam rządy w pierwszym rzędzie przeciwko niej się zwracają. Nie pojmujemy, jak to być może, że niestety zbyt jeszcze wielka liczba Polaków nie widzi, czy nie chce uznać tego, co wrogowie nasi tak już dawno i tak dobrze poznali.

ROZPORZĄDZENIA RUDINIEGO. Kiedy przed dwoma miesiącami donosiliśmy na tem miejscu o rozporządzeniach włoskiego prezydenta ministrów, w których podwładnym sobie organom nakazywał wszystkie — we Włoszech bardzo liczne — stowarzyszenia katolickie traktować na równi z stowarzyszeniami szkodliwemi dla państwa, wskazaliśmy zaraz jako przyczynę tego niespodziewanego zwrotu w tak względnej dotychczas dla Kościoła polityce hr. Rudiniego, natarczywe parcie lóż masońskich. Nie pomyliliśmy się. Wkrótce po wydaniu powyższych cyrkularzy ministerstwo, jak wiadomo, z powodu śmiesznej prawie drobnostki [1] podało się

[1] Minister wojny życzył sobie, by przy wojskowym awansie nie wliczały się lata spędzone na urlopie. Izba zaś większością dwóch głosów uchwaliła, by je wliczono, poczem minister wojny a z nim całe ministerstwo podało się do dymisyi.

do dymisyi, a Rudini otrzymawszy od króla na nowo misyę utworzenia gabinetu, większość tek ministeryalnych powierzył radykałom masońskim. Tak więc, choć sam prezydent ministrów należy do umiarkowanego stronnictwa konserwatystów, Włochami i Rzymem znowu rządzą zaprzysięgli wrogowie Kościoła. Zdaje się jednak, że tym razem masońskie rządy przyczynią się tylko do zwycięstwa dobrej sprawy, do przyspieszenia godziny, w której państwo po długiej i zgubnej walce nareszcie z Kościołem się pogodzi.

Kwestya rzymska, którą 21 września 1870 roku stworzył wyłom w Porta Pia, jest bez wątpienia tak trudną, tak wyjątkowe stanowi zjawisko w dziejach ludzkich, iż i najbystrzejszemu politykowi przewidzieć trudno, kiedy i jak załatwioną będzie. A przecież zdaje nam się, że nie ulegamy przesadnemu optymizmowi, jeśli twierdzimy, iż kwestya ta w ostatnich czasach szybszym krokiem zbliża się do ostatecznego rozwiązania. Można było z góry przewidzieć, że antyklerykalne rozporządzenia nie zgniotą potężnego ruchu katolickiego we Włoszech. Słusznie jednak obawialiśmy się małego *kulturkampfu*, który mógł chwilowo przeszkodzić rozwojowi i zewnętrznej akcyi partyi katolickiej. Sami masoni widocznie tego pragnęli i spodziewali się, ale grubo się w tem zawiedli. Z początku rząd z bezwzględną stanowczością zaczął w życie wprowadzać nowe rozporządzenia, tłumiąc najdrobniejsze nawet objawy życia katolickich stowarzyszeń. Mimo jednak zakazów, a raczej skutkiem ich, katolicy rozwinęli energiczną akcyę, zapowiadali ciągle po całym półwyspie zgromadzenia, a kiedy władza odpowiadała na to groźbą użycia bagnetów, zgromadzenia zaczęto odbywać po domach prywatnych przy zamkniętych drzwiach. Z tych to prywatnych zebrań wyszedł silny głos protestu wszystkich stowarzyszeń katolickich od Sycylii do Alp. Przyłączając się do protestu naczelnego swego prezesa, hr. Paganuzzi, stowarzyszenia te z całą stanowczością a przy tem godnością i świadomością swych własnych sił, która budzi szacunek, piętnują rozporządzenia rządu, jako gwałt publiczny, jako złamanie konstytucyi. Do tego wspaniałego chóru przyłączyły się głosy biskupów i cała prasa ka-

tolicka. A równocześnie organa rządowe, straciwszy wszelką miarę w gorliwem wykonywaniu rozporządzeń Rudiniego okrywały się po prostu śmiesznością. Tak np. cenzura zakazała wydania żywotu Matki Boskiej, bo na jego karcie tytułowej ośmielono się wydrukować nazwę stowarzyszenia katolickiego, którego kosztem książka ta wyszła.

W ostatnich czasach rząd trochę złagodniał; toleruje już nawet zgromadzenia, tylko wysyła na nie kilku żandarmów, jako swych przedstawicieli, którzy otaczają trybunę mowcy. Dziwiło nas z początku, dlaczego rząd nie przystąpił wprost do zniesienia stowarzyszeń katolickich. Byłaby to najsilniejsza broń przeciwko katolikom. Ale rząd, przynajmniej jak teraz rzeczy stoją, użyć tej broni nie może z obawy, by nie zwróciła się przeciw niemu. Rozporządzenia bowiem zwróciły na nowo uwagę wszystkich Włochów na kwestyę rzymską, na smutną rozterkę między państwem i Kościołem i stwierdziły, jak jeszcze nigdy przedtem, że coraz większa przepaść dzieli społeczeństwo włoskie od starej liberalnej partyi, że kraj stracił zaufanie do sfer, które rządzą, a za to z ufnością wzrok swój zwraca ku Watykanowi. W pięknych, spokojnych słowach scharakteryzował teraźniejsze położenie Włoch Leon XIII. w mowie do kardynałów 23 grudnia: „Ukrywać nie można — powiada — że teraźniejsze wrogie usposobienie względem papieża sprzeciwia się najzupełniej tradycyom i geniuszowi narodu. To też usposobienia tego nigdy podzielać nie będzie większość Włochów, którzy są katolikami w duszy i przyzwyczajeni są patrzeć na papiestwo jak na twierdzę zbawienia i chwały, i uważać je za głowę i serce całego narodu. Jeżeli Włosi czują, że jedność polityczna nie wystarcza im sama do szczęścia, jeżeli instynktem jakimś zachowawczym czują potrzebę połączenia się ściślejszego z stolicą Piotrową, jeżeli chcą, żeby papież uzyskał należną mu niepodległość i pogwałcone prawa — to błędem jest nie rozumieć prawdziwego charakteru tych dążności, a jeszcze większym stawiać na równi spokojnych obywateli z partyami przewrotu".

Przemowa ta, w której papież z głęboką znajomością swego ludu powołuje się na wielkość Włoch, na szlachetną dumę na-

rodu, na ścisłe węzły, jakie ten naród zawsze łączyły z stolicą apostolską, znalazła u wszystkich warstw społeczeństwa, wyjąwszy najskrajniejszych wrogów papieża, nader przychylne przyjęcie. Świadczy to, że papież dotknął najczulszej struny społeczeństwa włoskiego, że słowa jego były tylko wyrazem tego, co na dnie duszy narodu drzemało. Katolicy powitali z radością słowa ojcowskiego uznania dla swej działalności, traktowanej przez Rudiniego jako bunt, a liberali, żadnem ostrem słowem niepodrażnieni, prawie bez wyjątku przyznali słuszność wywodom papieskim. „Pogodzenie praw państwa z prawami Kościoła, którego papież żąda, jest już urzeczywistnione w sumieniu większości Włochów — nie przyszło jednak do skutku między najwyższemi władzami państwa i Kościoła". Tak pisze liberalna gazeta *Perseveranza.*

W ten sam sposób wyrażają się wszystkie bez różnicy najpoważniejsze pisma liberalne, wypowiadając bez ogródki, że cofnąć się trzeba, dopóki jeszcze czas, i bądź co bądź położyć koniec zgubnej rozterce między Kościołem a państwem.

Bardzo ciekawym objawem tego kierunku, który skutkiem rozporządzeń Rudiniego tak silnie się uwydatnił, jest świeża broszurka p. t. „Położenie państwa i pokój religijny we Włoszech" [1]. Autorem broszury, jest podobno któryś eksminister włoski, w każdym razie liberał, upatrujący w Kościele „wielkiego wroga państwa" Przedstawiwszy potężny rozrost katolicyzmu we Włoszech, mnożącą się z dnia na dzień liczbę szkół prywatnych pod kierownictwem duchowieństwa, wzrost zgromadzeń religijnych i co do liczby [2], i co do wpływu, wykazuje autor ciężkie szkody, jakie Włochy poniosły skutkiem ustawicznej wojny przeciw Kościołowi, przedstawia bolesne upokorzenia, które bezustannie króla włoskiego, a w nim zjednoczone Włochy, w Rzymie spotykają przy każdem przyjęciu obcego

[1] *Le condizioni dello Stato e la Pace religiosa in Italia.* Pensieri d'un uomo politico. Fratelli Bocca, Roma, Torino, Firenze, Milano 1898.

[2] W roku 1870 rząd włoski zniósł w Rzymie 93 zakonów męskich i 41 zakonów żeńskich. Według najnowszej statystyki jest teraz w Rzymie 133 zakonów męskich, 49 żeńskich.

monarchy nawet nie katolika — bo panujący katolicy od czasu zaboru Rzymu królowi Włoch wizyty w Rzymie nigdy jeszcze nie składali — i wyciąga ostateczny wniosek, że tak dłużej być nie może. „Aby uzdrowić życie publiczne, trzeba albo zgnieść nieprzyjaciela, albo uczynić go przyjacielem. Zgnieść go nie można bez pogwałcenia równocześnie uczucia i wolności religijnej... nie pozostaje więc nic innego, jak tylko myśl o pojednaniu". Nie poprzestając na tej ogólnej myśli, autor w dalszym ciągu podaje w 13 punktach konkretne warunki ostatecznego pogodzenia Stolicy św. z państwem. Dużo tam jest fałszywego liberalizmu, dużo zasadniczo mylnych poglądów na stosunek państwa do Kościoła, może i nie brak utopii, w każdym jednak razie te punkta są dowodem szczerej chęci; nigdy jeszcze od r. 1870 nie odezwał się z obozu liberalnego głos podobny. Dla charakterystyki przytoczymy tylko 1-szy punkt, omawiający najważniejszą sprawę niepodległości papieża: „Papież zatrzymuje zupełne i nienaruszone panowanie nad pasem kraju między twierdzą Anioła i Ponte Sisto z wszystkiemi należnemi prerogatywami, także w stosunkach z zagranicą, jak to było zawsze w przeszłości; Stolica św. jest wolna w wykonywaniu swojego urzędu duchownego; papież nie zamyka się już w Watykanie jakoby więzień i kurya rzymska uznaje legalność państwa i monarchii włoskiej". Broszurka ta znajdowała się w rękach wszystkich posłów i wielkie wywołała wrażenie.

Tak więc położenie rządu nie jest łatwe. Nie wiemy, w którą się obróci stronę, ale możemy stwierdzić, że chwilowo popadł w stan zupełnej nieporadności. Sili się np. na to, aby słowa papieskie wytłumaczyć korzystnie dla siebie i przedstawić się w oczach społeczeństwa nie jako wroga katolików wogóle, ale tylko przewrotnej garstki katolickiej. I tak, w najnowszych czasach *Opinione*, organ Rudiniego, tłumacząc wyżej podane słowa Ojca św., powiada, iż papież wszelkiej używa ostrożności, aby nie piętnować rządu, tylko hypotezę, krzywdzącą dobry i zdrowy katolicyzm. Ale tego już chyba i cały spryt włoski nie dokaże, by ludzie w taką niedorzeczność uwierzyli! Logiczniejsi są ci, którzy po prostu całą katolicką partyę uważają za partyę prze-

wrotu, a papieża, jako jej *condottiero*. Oskarżają oni papieża, że z nienawiści ku monarchicznym rządom włoskim popiera francuskie rządy republikańskie, a wszystkim katolikom podsuwają dążności rewolucyjne i piętnują ich jako wrogów jedności Włoch.

Jest w tem tyle prawdy, że katolicy z radykalną i socyalistyczną partyą w tem się zgadzają, iż jest źle i dalej tak być nie może. Że jednak katolicy włoscy nic wspólnego nie mają ze socyalistami, już z tego jawnie wynika, że gdziekolwiek w szeregach katolickich pokażą się dążności socyalistyczne, tam katolicy pierwsi przeciwko nim z całą stanowczością występują, jak tego dowodem suspenza, niedawno temu rzucona na księdza, szerzącego błędną naukę w socyalistycznej gazecie. — Stosunek zaś katolików do monarchii jasno określa jeden z najinteligentniejszych i sprawie katolickiej gorąco oddanych pisarzy, hr. Soderini w broszurce: *Clericali e monarchia in Italia*. Stwierdza on, że zdaniem katolików, pewną jest rzeczą, iż partye rewolucyjne podkopią ostatecznie monarchię. Katolicy ze swej strony nie przyłożą wprawdzie ręki do tego, aby wstrząsnąć i tak już dość chwiejnym tronem, ale nic też nie uczynią, aby go podtrzymać, dopóki ich słusznym wymaganiom zadość się nie stanie. „W dzień zaś, w którymby głowa państwa miała odwagę udać się do papieża z szczerą prośbą o poparcie, papież na pewnoby go nie odmówił — można nawet twierdzić z wszelką stanowczością, że otrzymałby wszystkie koncesye, dające się pogodzić z bezpieczeństwem, niepodległością i wolnością Stolicy św.“. Jeżeli republikańskie dążności się szerzą, to sam rząd temu winien; większość jednak ludu włoskiego ma monarchiczne usposobienie, a katolicy wcale się nie przyczyniają do zmiany tego usposobienia [1]. Z gruntu też fałszywym jest zarzut, który katolikom w oczach wielu Włochów najrozmaitszych odcieni politycznych najwięcej może szkodzi, że papież i katolicy sprzeciwiają się jedności Włoch. Nigdy papież nie potępił jedności, a jeżeli kto zarzuca — jak to

[1] Por. bardzo ciekawy artykuł, tyczący się tej kwestyi, napisany przez sławnego profesora na król. uniwersytecie w Pizie, a zarazem wybitnego katolika, Toniolo, p. t. *Democrazia cristiana* w *Rivista Internazionale di Scienze Sociali*. Rzym 1897.

uczynił *Corriere della Sera* — że niemożliwa jest restytucya państwa kościelnego takiego, jakie było przed r. 1860 bez naruszenia jedności Włoch, to nie wdając się bliżej w określenie formy i rozciągłości restytucyi, świetnie odpowiedzieć można z *Civiltà:* „Jeżeli papież chce, aby restytucye były s p r a w i e d l i w e, to również chce, by były r o z u m n e“ [1].

KWESTYA SZKOLNA W KANADZIE.

Spór o szkoły wyznaniowe od siedmiu już lat owładnął całem życiem politycznem rozległego, bo równego prawie Europie co do obszaru państwa Kanady. Przed kilkoma miesiącami spór ten tak się zaognił, iż słuszne powstały dla rządu obawy poważnych przewrotów [2]. Warto się sprawie nieco bliżej przypatrzeć, bo przecież ta sama kwestya szkół wyznaniowych wszystkie prawie europejskie państwa żywo dziś obchodzi, a w pobliżu nie znalazłoby się tak łatwo dowodów podobnego zajęcia się tą sprawą, jakie złożyli katolicy w tym kraju dalekim.

Jak wiadomo od r. 1867 cztery prowincye kanadyjskie połączyły się w jedno wielkie państwo, rodzaj stanów zjednoczonych, na którego czele stoi jenerał-gubernator, mianowany przez królowę angielską, z tajną radą do pomocy. Dzierży on całą władzę wykonawczą. Ciałami ustawodawczemi są senat i izba niższa. Oprócz tego każda prowincya ma własny rząd, od którego w pewnym zakresie zależy przyjęcie lub odrzucenie praw uchwalonych przez władzę centralną. W r. 1870 do dawnych prowincyj przyłączono Manitobę, zabezpieczając w akcie unii wszystkim wyznaniom nietykalność ich praw. Aż po r. 1890 wszystkie wyznania miały własne szkoły wyznaniowe, i dopiero w tym roku uchwalono w Manitobie założenie szkół bezwyznaniowych, do których utrzymania katolicy i protestanci w równej mierze mieli się przyczyniać. Tajna rada jenerał-gubernatora nie uwzględniła protestów katolików, którzy będąc po największej części w ciasnych stosunkach materyalnych nie byli w sta-

[1] *Civiltà catolica* 15 stycznia 1898, str. 143.

[2] Zob. *Przegląd Pow.* maj 1897, str. 300.

nie utrzymywać jak przedtem szkół prywatnych a równocześnie płacić podatki na szkoły rządowe. Rada najwyższa przez arcyciekawe rozumowanie wykazała katolikom, że nowe prawo ich żadną miarą nie krzywdzi, ponieważ państwo po ojcowsku wszystkim bez różnicy szkoły bezwyznaniowe ofiaruje. Winę trzeba tylko przypisać „ciasnemu sumieniu katolików", będących w mniejszości i niechcących korzystać z dobrodziejstw prawa. Katolicy nie dali jednak za wygraną. Sprawę przedłożono jenerał-gubernatorowi i ten rozstrzygnął, że katolicy utrzymujący własnym kosztem swoje szkoły, mają być wolni od wszelkich innych szkolnych podatków. Niestety ów wyrok żadnego nie mógł mieć praktycznego skutku, gdyż rząd centralny niema prawa wdawać się w kwestye finansowe li tylko prowincyę obchodzące. Wkrótce potem odbywały się wybory, a partya liberalna z naczelnym swym wodzem Laurier'em obiecała zadośćuczynić żądaniom katolików, jeżeli ją poprą swymi głosami przy wyborach. I rzeczywiście katolicy wszystkich prowincyj, chcąc przyjść z pomocą braciom w Manitobie, powybierali liberalnych posłów — katolicka prowincya Quebec aż pięćdziesięciu — przez co liberalnej partyi silnie dopomogli do zwycięstwa i wynieśli Laurier'a na czoło rządu. Rokowania p. Laurier'a z rządem w Manitobie skończyły się jednak na tem, że katolikom pozwolono na rewizyę książek szkolnych i na osobnego nauczyciela, gdzieby pewna liczba rodziców tego wymagała. Rozczarowani i oburzeni na ministra za niedotrzymanie danego słowa, katolicy byliby prawie doprowadzili do upadku rządu partyi liberalnej, uważali jednak za stosowne udać się w tak ważnej sprawie do Rzymu po wskazówki. Nie chodziło tu o rozstrzygnięcie kwestyi zasadniczej; dobrze bowiem wszystkim wiadomo, co Kościół sądzi o szkołach zupełnie bezwyznaniowych i że tylko w wyjątkowych wypadkach z konieczności i z wieloma zastrzeżeniami (często nieskutecznemi) pozwala na uczęszczanie do takich szkół. W Manitobie chodziło o to, jakiej taktyki trzymać się trzeba, by najlepiej przysłużyć się sprawie katolickiej: czy odrzucić wszelki kompromis, obalić rząd i prowadzić na nowo zaciętą walkę, czy przyjąć ofiarowane choć połowiczne zadośćuczynie-

nie i dążyć wytrwale do całkowitego osiągnięcia celu. Jak wielką w Rzymie przywiązywano wagę do sporu szkolnego w Kanadzie pokazuje wybór delegata apostolskiego, któremu polecono badanie tamtejszych stosunków. Delegatem mianowany został młody, bo ledwie 30 lat liczący, ale i zdolnościami i charakterem wybitny mgr. Merry de Val [1]. Na podstawie jego relacyi Rzym polecił katolikom z Manitoby dążyć wytrwale do całkowitego osiągnięcia przynależnych im praw, zakładać szkoły prywatne, gdzieby się to dało, a tymczasem przyjmować małe ustępstwa rządu w sprawie szkolnej. W bardzo dobitnych wyrazach zaznacza papież, jak nieroztropnemby było odrzucać małe korzyści; przedewszystkiem zaś przestrzega przed mięszaniem dążności politycznych ze sprawą religijną, która górować powinna nad wszelkiemi osobistemi zapatrywaniami. Wielu katolików mając na względzie słuszność swej sprawy (nawet anglikańskie gazety jak *Church Times* i inne otwarcie to przyznają), byliby chętnie chwycili się środków radykalniejszych. Nie wątpimy jednak, że idąc za światłą radą papieża, prędzej i trwalej zabezpieczą swym dzieciom wychowanie katolickie, aniżeli wzniecając pożar walki religijnej w państwie, w którem stanowiąc ledwo trzecią część mieszkańców, są w znacznej mniejszości.

Ks. Wł. Ledóchowski.

Listy z Anglii o ruchu religijnym.

I.

Katolicyzm w Anglii patrzy na zjawisko bardzo osobliwe! Anglikanizm, którego liczbowe umniejszanie się musiałem zaznaczać dobitnie przed laty 12-stu [2], któremu podówczas groziła nieomal zagłada przez rozwielmożniony i w samym parlamencie bardzo potężny nonkon-

[1] Będąc jeszcze klerykiem wysłany został przez Ojca św. z nadzwyczajnem poselstwem do Berlina z powodu śmierci Wilhelma I.

[2] Zob. *Przegląd Powszechny* z lutego, 1885.

formizm [1], rośnie dziś liczbowo bezsprzecznie i coraz szybciej siły swe wzmaga z szeregów staro-sekciarskich... a jednocześnie, z powodu swych swarów, kłótni i aż skandalicznych rozdarć wewnętrznych, staje się najsmutniejszem widowiskiem na Europy nieboskłonie moralnym! Nonkonformizm — świadek przecież tego widowiska — nieprzestaje tymczasem wracać coraz tłumniej do tej swej, urzędowej poniekąd, macierzy! Czem to sprzeczne, podwójnie w sobie sprzeczne zjawisko wytłumaczyć — jeśli nie przeświadczeniem, iż dokonywa się stopniowo w Anglii powrót wszystkiego jej ludu do Piotrowej Opoki? Bliższa, dużo bliższa i wyraźniejsza jest droga z którejkolwiek formy anglikanizmu do Kościoła katolickiego, aniżeli z niewiem której formy nonkonformizmu. Dla tego Ten, który wszystko rozporządza według wszechmądrego porządku, wiedzie dziś zbłąkanych oną drogą... tak dla rozumu ludzkiego niepojętą, na pozór nawet niekonsekwentną!

Lecz ciekawsze spostrzeżenia — ciekawsze pod niejednym względem — narzucają się w szerokim świecie tutejszych mętów umysłowych. Jest nad całą rasą anglo-saską, nam współczesną, jakaś siła potężna, rugująca ją wszelkimi sposobami z grzązkich mielizn materyalizmu, usiłująca wszelkimi sposobami wyprzeć ją ku wyżynom ducha. Tak wyraźnem jest to zjawisko, i tak powszechnem, że się uwydatnia nawet w najdziwaczniejszych powstających tu herezyach, których śmiechem mimo ich śmieszności witać niepodobna. Warstwy ciemne podlegają onej sile na równi z warstwami wykształconemi — a podlegają tem wyraźniej, im wyraźniej są albo opuszczone i zaniedbane przez swoich kierowników duchownych, albo ich waśniami, zrażone i w przepaść zwątpienia wtrącone. Stąd poza dawnymi kościołami powstają bezustannie nowe sekty, wytwarzające sobie jakieś nowe pojęcia, chcące stawiać jakieś nowe systemy filozoficzne i moralne, gromadzące się dokoła sztandaru, na którym ktoś — czasem szarlatan, częściej osoba dobrej wiary — uwidocznił im jakąś, rzekomo nową ideę. Lud ciemny, jeżeli nie pochwytuje i do swej umysłowej miary nie przykrawa tego, co mu tandeta publicystyki rzuci z najbliższego piętra społecznego gmachu — to czepia się, jużto własnych, rasowych zabobonów, pleśnią wieków niedoszczętnie zakrytych, i tworzy z nich sobie nowych fetyszów — jużto obcych, zamorskich ima się pojęć, banialuk, sprowadzonych przez żeglarzy, kolonistów i obcokrajowców.

[1] Ogólną tą nazwą obejmuje się w Anglii wszystkie formy chrześcijańskich wyznań (zasadniczo więc i katolicką), które odrzucają naukę 39-ciu Artykułów.

Sekty rzekomo chrześcijańskie i tak się tu mnożą, że, gdy nowa powstaje, założyciele jej szukają skwapliwie i najczęściej rozpaczliwie jakiejś nazwy nowej, któraby mogła dać ich herezyi jakąś cechę oryginalną w samem brzmieniu nazwy. Założycielom zdaje się chodzić przedewszystkiem o to, by się postawić z góry na stanowisku jaknajodrębniejszem, właśnie pod względem form zewnętrznych wynalezionej przez siebie religii. Nie nazywają swojego zgromadzenia „kościołem“ — nie dlatego tylko, ponieważ składa się ono z mało pokaźnej liczby adeptów, ale dlatego, ponieważ nowatorzy najświeższej daty, zarówno tu, jak i w Stanach Zjednoczonych, wykreślili ten wyraz stanowczo i raz na zawsze ze zakresu swoich pojęć religijnych. Konsekwentnie więc zżymają się, gdy kto nazwie ich zgromadzenie „sektą“ — boć wyższą mają ambicyę, aniżeli wydawać się odłamem jakiegobądź systemu istniejącego. Zakładali przeto „bractwa“ i „współbractwa“, „towarzystwa“ i „spójnie“. Kiedy zaś z przyrodzonego rzeczy porządku — bo zgodnie z przyjętą zasadą organiczną o całkowitej swobodzie indywidualnego sądu — rozszczepiły się współbractwa i rozprzęgły spójnie, zaczęto wyszukiwać nazwy jeszcze wygodniejsze.

Może później zdołam podać czytelnikowi jako tako komprehenzywny obraz i opis różnorodnych tego przełomu wybujałości. Dziś chcę zwrócić uwagę na niektóre rysy wybitne, znamionujące te tylko niby religie, które powstały z gruntu wiedzy pozytywnej — których, jeżeli nie piastunami, to wczesnymi opiekunami byli głośni uczeni i zarazem agnostycy — a których pierwszymi, entuzyastycznymi wyznawcami byli i bywają ludzie inteligentni, odstręczeni z powodów najrozmaitszych od anglikanizmu i od nonkonformizmu, szukający prawdy czasem bardzo szczerze, a zazwyczaj bardzo ciekawie. Główną, charakterystyczną cechą owych sekt jest dążność do spirytyzmu i okultyzmu. — Geneza tego ruchu bardzo jest prosta: z rozwojem sił mechanicznych, ze zdumiewającym i bezustannym postępem odkryć przyrodniczych, widzimy uderzający, *pari passu*[1] rozwój tajemniczych

[1] Już w r. 1853 pisał Lacordaire: „Peut-être aussi par cette divulgation (dotychczasowych tajemnic psycho-fizycznych przez prasę dziennikarską). Dieu veut-il proportionner le développement des forces spirituelles au développement des forces matérielles, afin que l'homme n'oublie pas en présence des merveilles mécaniques, qu'il y a deux mondes inclus l'un dans l'autre, le monde des corps et le monde des esprits. Il est probable que ce développement parallèle ira croissant jusqu à la fin du monde, ce qui amènera un jour ce régne de l' Antechrist, oú l'on verra de part

potęg duchowych. Kiedy więc na obserwacyach tych sił duchowych rozmaici uczeni, znani do niedawna z religijnego sceptycyzmu, oparli nagły swój i stanowczy zwrot do duchowej oryentacyi bytu ludzkości — kiedy n. p. taki Thomson Jay Hudson, słynny profesor Kolumbańskiego uniwersytetu w Waszyngtonie, z tych obserwacyi wysnuł metodą indukcyjną dowody życia pozagrobowego i więcej nawet... bo dowody doskonałości nauki Jezusa Chrystusa [1] — to chyba dziwić się niepodobna, że ludzie zniechęceni do rozdartego w sobie protestantyzmu, odstraszeni od Kościoła katolickiego (nie tylko przez fałsze najpotworniejsze, które o nim szerzą, ale także przez opór własnych, osobistych nawyknień życiowych), znużeni szarością i płytkością materyalizmu, podchodzą ciekawie — jak się ktoś dobrze wyraził — do zasłony, kryjącej nam świat niewidzialny i — ze śmiałością ciemnych prostaków — podnoszą ją to tu, to owdzie, zajrzeć usiłują poza nią i wykraść jej tajemnice.

Ogromny, kipiący jest entuzyazm ludzi szczerych, którzy straciwszy nić przewodnią Wiary, lub nigdy jej sobie nie mający danej, podpatrzyli za ową zasłoną cienie cieni jej wielkich tajemnic! Im się zdaje, że raz na zawsze pozostawili za sobą — wątpienie! Zdaje się im, że przeszli od razu i nieodwołalnie w byt uprzywilejowany, bezmiernie wyższy od tego, w którym mózgi swoje rozbijali tak daremnie o tłoczące ich zewsząd mury niewiadomości, fałszu i niepewności! Zdaje się im, że już bezpieczny mają przed sobą gościniec, jasno rozwidniony, ubity dla nich przez jestestwa (duchy) przyjaźne — gorejące niecierpliwością towarzyszenia im na nowej drodze wiadomości złego i dobrego (w czem się doprawdy mylą tylko częściowo!..) — i chcące im pokazywać dalsze i coraz dalsze horyzonty! Im się przedewszystkiem zdaje, że powołaniem ich i obowiązkiem jest teraz sprowadzać innych do uchylonej zasłony, dać innym ludziom poznać...

---

et d'autre, pour le bien et pour le mal, l'emploi d'armes surnaturelles et de prodiges effrayants. Je n'en conclus pas que l'Antechrist soit proche, parce que les opérations dont nous sommes témoins n'ont rien, sauf la publicité, de plus extraordinnaire que ce qui se voyait autrefois. Les pauvres incrédules doivent être assez inquiets de leur raison, mais ils ont la ressource de tout croire pour échapper à la vraie foi—et ils n'y manqueront pas. O profondeur des jugements de Dieu!" *(Correspodence avec Mme Swetchine, 29 juin, 1853).*

[1] *A Scientific Demonstration of the Future Life,* by Thomson Jay Hudson, autor of „The Law of Psychic Phenomena", etc. — London and Chicago, 1896.

„prawdę". W ten sposób rozentuzyazmowani, gotowi są rozpocząć — i zazwyczaj poczynają — reformę własnego życia. Niebawem przychodzą do przekonania, iż jest rzeczą zgoła niemożliwą, by kiedykolwiek jeszcze dopuścili się czynu niedobrego — by dla nich istnieć mogła w czemkolwiek pokusa do złego! Ich entuzyazm bywa jednakże zwyczajnie krótkotrwałym, a za tem upartem i coraz namiętniejszem staje się w nich ono podglądanie świata zakrytego..., z rozpaczliwem natężeniem pracuje ich umysłowość nad szukaniem stosunku zjawisk — do ich przyczyn transcendentalnych!

I wtedy to (mówię szczególnie o Anglii i Stanach Zjedn.) ze salonowych posiedzeń okultystycznych wywiązują się nowe „religie". Rezultat ten daje się spostrzegać w tych właśnie społeczeństwach, które z jakiegoś powodu — z własnej winy, lub z winy swych nauczycieli — zeszły z drogi jedynie prawdziwej Wiary. Najwidoczniejszym i przybierającym coraz groźniejsze rozmiary jest ten rezultat w angielskich i amerykańskich warstwach inteligentnych i zamożnych — a zaraz po nich w francuskich — bo w nich to właśnie rozkwit cywilizacyjny, przesyt zmysłowego używania i rozczarowanie po zdobytej zamożności przypuściły łącznie atak do bram ostatnich ludzkiej możebności.

Ściśle konsekwentnie ze swoim zaczątkiem przybierają te „religie" charakter systemów, wyłącznie rozumowych — o wysuniętych daleko słupach granicznych empiryzmu. Konsekwentnie też wysilają się, jeśli nie wystawić na wzgardliwe pośmiewisko tego wszystkiego. co poprzednio stanowiło naukę objawioną, to przynajmniej nadać tejże znaczenie symboliczne, ezoteryczne... które dopiero w świetle dociekań psychofizycznych nabiera... dla wtajemniczonych, odpowiedniej wagi i doniosłości! Substancyalną formą wszystkich tych „religii" jest przyjęcie zasady o nieskończonej ewolucyi wszech jestestw, zarówno duchowych, jak materyalnych. Podkreślam wyraz „nieskończonej" z tego powodu, iż zasada tak sformułowana, jest dziś we właściwych kołach najogólniej przyjętą. Jeszcze przed dwoma laty większość powag współczesnej filozofii spirytualistycznej [1] kładła kres ewolucyi w końcowem wypełznieniu indywidualności jestestwa rozumującego, w jego ostatecznem zatonięciu, zlaniu się z „Wszech duchem", w unicestwieniu [2]. Kiedy jednak nawet najpłytsze wśród nowotworów rozumy zdo-

[1] W Anglii spirytyzm nazywa się spirytualizmem.

[2] Zgodnie z nauką buddystyczną. Sir Edwin Arnold, głośny autor poematu „Światło Azyi" kładzie w usta Buddy te słowa: „Jeżeli uczy kto-

łały zakwestyonować stąd od razu racyę bytu w ogóle — przyjęto bez wachania wygodniejszą zasadę.

Co jednakże uderza najjaskrawiej w teoryach tych wszystkich bez wyjątku, to — tuż obok zapalczywej, wyniosłej opozycyi przeciw Kościołowi katolickiemu w szczególe, a przeciw innym w ogóle — ich, że się tak wyrażę, natarczywość, z którą bezustannie przywodzą postać Chrystusa. Słuchając niektórych odczytów (jakich panowie i panie — zwłaszcza panie, wtajemniczone w Boże rządy w wszechświecie, nam tu nieszczędzą), możnaby mniemać, że ci prelegenci i te prelegentki mówią na podstawie osobiście otrzymanego objawienia; że co dopiero, godzinę temu, wyszli z ekstazy; że niepodobna językowi ludzkiemu wyrażać się o Chrystusie z większą czcią, z gorętszą miłością, z głębszem uwielbieniem dla Jego życia i nauki — a już najosobliwiej ze szczerą gorliwością o pozyskanie Mu najliczniejszych naśladowców. Dopiero, gdy się poznaje całość nauki tych osób, przychodzi się do zrozumienia powodu i celu owej natarczywości! Różnią się konkluzye — istota nauki jest u wszystkich ta sama: jedni więc głoszą, iż historyczny Chrystus był istotą z niewidzialnego świata, nie zawsze widzialną dotykalnie nawet swoim uczniom, rzadko się odsłaniającą tłumowi; inni (a między nimi i wspomniany już prof. Hudson) [1] czynią z Niego ostatniego potomka szczególnie intelektualnej rasy, obdarzonego olbrzymim zasobem skrytych władz, czy właściwości psychicznych; jeszcze inni uznają w Nim symboliczne uosobienie wszechludzkości — i t. p. Wszyscy za to jednoczą się z dziwną zgodą i skwapliwością na punkcie kardynalnym: Jezus z Nazaretu nie był, nie jest Bogiem, Bóstwo Jego jest wymysłem sacerdotalizmu!

Etyka nauk spiritualistycznych jest i dziś, jak była zawsze, altruistyczna — to rzecz dobrze wiadoma. Im wyższy jest poziom zabłąkanych w te nauki umysłów, im większe rozczarowanie życia, im byt ich materyalny swobodniejszy jest od jarzma obowiązków i pracy, im wszechstronniejszy przesyt — tym ochotniejsza ich skłonność do podejmowania dzieł filantropijnych. Lecz kładę znów nacisk na wyrazie skłonność! Jest coś w tych ludziach, co zdaje się pchać ich do pełnienia uczynków miłosiernych... i jest zarazem coś potężniejszego,

---

kolwiek, że nirwana jest życiem, powiedzcie mu, że błądzi". Prawda, że bezpośrednio przedtem czytamy: „Jeżeli ktoś uczy, że nirwana jest ustaniem bytu, powiedzcie mu, że kłamie"... ale jak to pogodzić? *(The Light of Asia,* book VIII).

[1] Loc. cit. chapt. VIII: *The Advent of Jesus.*

co im to pełnienie uniemożliwia, a zwłaszcza co tę ich skłonność neutralizuje, wpychając ją na tory obłędu i idyotyzmu.

Ostatnim i uzupełniającym całość rysem zarówno nauk, jak ich adeptów, jest — intelektualna anarchia.

Nie tak dawno temu, pod koniec września, znalazłem się w towarzystwie, złożonem w większej części z pań, mało lub wcale mi przed tem nieznanych. Obecni mężczyźni nie zwracali na siebie mojej uwagi w jakikolwiek sposób wyjątkowy — prócz jednego. Wszyscy byli konwencyonalnie *correct* w manierach, rozmowy ich nie przedstawiały nic nad poziom codziennego zajęcia. Ów jeden zaciekawił mnie, zanim jeszcze byliśmy sobie wzajem przedstawieni, bo — był głuchy; ja zaś, zmiarkowawszy to, nie życzyłem sobie wcale być zmuszonym do wejścia z nim w rozmowę. Nie jest rzeczą przyjemną rozmawiać z głuchym, a zupełnie obcym sobie jegomością; najmniej przyjemności sprawia trudna rozmowa z takim biedakiem... w salonie, pełnym rozmawiających i po części nieznanych gości! Tak się jednak złożyło, że nas z sobą poznano... i że mój nowy znajomy ułatwił mi przykre zadanie, opowiadając dużo o sobie i o poznanych w świecie Polakach. Był on pochodzenia włoskiego, które też zdradzał żywością ruchów, a narodowości amerykańskiej. Był artystą szerokiej, jeśli nie wszechświatowej sławy (specyalnej sztuki jego zabrania dyskrecya wymienić...), kiedy nieszczęśliwy jakiś przypadek sprowadził mu osłabienie słuchu i obecnie uniemożliwia oddawanie się zawodowi. Szczegół dość ważny: pan ten wydał już i jeszcze wydaje bardzo znaczne sumy, jeżdżąc po stolicach europejskich i, do tej pory daremnie, szukając skutecznej rady specyalistów.

Niechcę nużyć czytelnika błahymi szczegółami: wystarczy mi powiedzieć, że, po niejakim czasie, gdy zaledwie kilkoro osób pozostało w salonie, my zaś obaj siedzieliśmy w dość odległym od nich kącie, wszczęła się między nami rozmowa o ruchu religijnym, o ile się on uwydatnia w najnowszych powieściach angielskich i amerykańskich. W ciągu dyskusyi zrobiłem jakąś uwagę — o ile pamiętam, wyraziłem swoje zdanie o pewnych tendencyach Thackeray'a i... zapytałem artystę o jego o nich opinię. (Nawiasowo wspomnę, że rozprawiał on do onej chwili całkiem rozumnie, bronił swoich wyobrażeń literackich i sądów zupełnie konsekwentnie — ale nie zdawał się posiadać ani głębszego wykształcenia, ani szerszej erudycyi, aniżeli się miało prawo oczekiwać po doskonale ogładzonym artyście i doświadczonym po świecie bywalcu). Zaledwiem mu stawił owo pytanie, zaszła w twarzy

jego uderzająca zmiana: utkwił duże swe czarne oczy w moje, wyczekujące odpowiedzi, patrzał na mnie jakoś dziwnie, poważnie i smutno i jakby w coraz większem zapomnieniu — przybladł i dolna warga mu na chwilę opadła. Nakoniec, gdy pauza stawała się dla mnie zagadkową, odezwał się, mówiąc szybko... coraz szybciej i coraz głośniej, coraz namiętniej. — „Powiedz mi pan — mówił — powiedz mi prawdę! czy wiesz, co to jest prawda? powiedz mi prawdę: czy życzysz sobie mówić o religii? czy sobie doprawdy tego życzysz? bo jeśli nie, to bardzo dobrze! a jeśli sobie życzysz szczerze i w dobrej wierze, to możemy mówić. Powiedz"!

Zdumiony, chciałem uspokoić go. Ale on, ciągnąc dalej i patrząc mi płonącym wzrokiem w oczy, ani słów moich nie słuchał, ani na gesta nie zważał! Prawił dalej — coraz szybciej, coraz namiętniej, bardzo podniesionym głosem — a z coraz mniejszym ładem i porządkiem. Treść słów jego pamiętam dobrze; zdania wzajem od siebie oderwane, a jednak wygłaszane jedne po drugich w nieprzerywanym ciągu, płynęły mu z ust, drgających rosnącą irrytacyą nerwów — oczy błyszczały i otwierały się szeroko, uparcie wlepione w moje własne. Cóż prawił? Spróbuję choć w części powtórzyć, a czytelnik sam niech sobie raczy uprzytomnić, jeżeli może, ciągłe *crescendo* głosu, ruchów i połysku oczu:

— Powiedz pan, czy wiesz, co to jest prawda? Nie wiesz! gdybyś wiedział, nie pytałbyś o moją religią! Po co ci to wiedzieć? Ja, kiedy chcę komunikować się z prawdą, wtedy wchodzę do mojego *sanctum sanctorum,* wewnątrz siebie... i tam niezawsze... ja nawet z drżeniem waham się wejść tam! nikt tam wejść nie może! Prawda — to Bóg! prawda — to miłość! prawda — to zaparcie się! Co pan robisz z prawdą? na co ona tobie? co pan w ogóle robisz dla prawdy? poświęcać się dla ludzkości, to szczyt życia! ludzkość cierpi, trzeba ją leczyć, uzdrawiać choroby! my uzdrawiamy... przez miłość, przez prawdę!

Szło to tak przez dobry kwadrans. Pozostali goście otoczyli nas. Gospodyni domu i siostra jej znają artystę od lat jego chłopięcych. Kiedy on ciągle tak do mnie prawił, panie te opowiedziały mi zniżonym głosem (oczy jego nie zwracały na tę okoliczność najmniejszej uwagi), że był on całe życie gorliwym katolikiem, aż — wróciwszy przed kilku laty do Ameryki, gdzie się był urodził — wpadł w koła jakiś wynalazców ezoterycznego znaczenia Pisma św. Przybył teraz znów do Europy, by się leczyć; jest majętny, złote ma serce, jest

bardzo lubiany i szanowany, czyni wiele dobrego, opiekuje się ubogimi, gdzie i jak tylko może... tylko porzucił wiarę katolicką, niewierzy w śmierć, wierzy zaś, iż każdy człowiek może i powinien, byle tylko poznał gruntownie jego system religijny... leczyć i uzdrawiać wszelkie cierpienia, choroby, rany, braki fizyczne itd.

On tymczasem prawił dalej... Udało mi się parę razy przerwać mu i dać mu zapytanie. Na jedno z nich odpowiedział, już nie głośno mówiąc, ale wprost krzycząc: — Chrystus — to ludzkość, to wszechstworzenie, to wszechistnienie, to Prawda, to Miłość! pan sobie wyobrażasz, że On miał ciało i kości... ha! ha! ha! ciało świata! świat — to wieczność! i t. p.

Boję się powtarzać, nie chcę sam sobie przypominać reszty. Kiedym opuszczał dom, głuchy artysta nie doszedł był jeszcze do końca swojego paroksyzmu, choć tenże trwał już półtorej godziny!

A oto przed tygodniem niespełna, 6-go listopada, dziennik *The Daily Mail* zamieścił opis otwarcia „domu“ własnego przez nowe stowarzyszenie „religijne“, dające sobie nazwę „Chrześcijańskich wiedzoznawców“ *(Christian Scientists)*. Tego to właśnie zgromadzenia członkiem został był w Ameryce mój głuchy artysta. Arcykapłanka nowej religii jest pani Julia Field-King, doktor medycyny, która zjechała do Londynu z Ameryki specyalnie na uroczystość fundacyi „domu“. Ma to być osoba w podeszłym już wieku, o wykwintnych manierach. Angielskich wyznawców jest dopiero 160, przeważnie pań z wyższego towarzystwa; lecz i lord już jeden i jeden już baronet zapisali się do tej wiary. Obrzęd otwarcia „domu“ był prosty i krótki: ktoś odegrał coś na fortepianie, potem odśpiewano jakiś hymn i zmówiono jakąś modlitwę, po której Dr. Field-King... „poprosiła o doświadczenia“. Zaczem (pisze sprawozdawca wspomnianego dziennika) „jedna z pań opowiedziała o dziecku pewnem, które cierpiało na opuchłe gruczoły gardła, a po jednym tygodniu kuracyi przez chrześcijańskie wiedzoznawstwo... zostało uzdrowione“. Tejże kuracyi zawdzięcza jakiś dżentelman „ulgę“ w cierpieniach nerwowych: był ich ofiarą od kilku miesięcy, gdy razu jednego, będąc na śniadaniu u znajomego sobie członka „domu“, między bulionem i czarną kawą został nagle uzdrowiony. Arcykapłanka, gdy dżentelman skończył swój raport, wytłumaczyła wiernym, że to uzdrowienie nastąpiło... „skutkiem promienienia potężnej, uduchownionej myśli“ *(owing to the radiation of powerful, spiritualised thought)*.

Po złożeniu niewiele odmiennych raportów przez kilka innych

osób, zaśpiewano znów, znów ktoś coś zagrał na fortepianie — i zakończono uroczystość objawienia Europie najnowszej religii. Sprawozdawca *Daily Mail* — widocznie niedostatecznie syt wrażeń i objaśnień, postanowił *hic et nunc* interwiewować arcykapłankę i dokonał tego... w samej świątyni. — „Cóż to, ta nowa wiara proszę pani?“ zapytał.

„Nowa? bynajmniej! — żachnęła się pani doktor-kapłanka. — Czyż nową jest nauka chrześcijańska? My wierzymy w praktyczne nauki Jezusa z Nazaretu; staramy się spełniać wszystkie Jego przykazania — nie zaś część ich tylko. Jeżeli pan rozumiesz te przykazania, to rozumiesz, czem jest chrześcijańskie wiedzoznawstwo. My się modlimy bezustannie, i to przy zamkniętych drzwiach — nie głośno i w obec ludzi. Rozumienie wiedzy chrześcijańskiej uzdrawia nas i umożebnia nam uzdrawianie innych ludzi. Stosujemy sobie praktycznie przepowiednią Psalmów: „Będziesz miał go w całkowitym spokoju, kto na Tobie polega“. Ja uzdrowiłam już 75% z tych, co do mnie się uciekli. Niektórzy pacyenci nie zachowują naszych reguł (recept?), choć są one bardzo proste: trzeba odejść bez obawy, innych lekarstw nie zażywać, i prowadzić żywot zdrowy (to nadewszystko!) i spokojny. Nikogo do naszej wiary nie zapraszamy, nikogo nie werbujemy. Trzymamy się prawdy — t. j. praktycznych nauk Jezusa z Nazaretu. Więcej panu nie mogę powiedzieć; nie pojąłbyś. Wiara nasza nabywa się, jak matematyka lub inna jaka wiedza, skutkiem długich studyów...“

Sprawozdawca powrócił do redakcyi zawiedziony, niezadowolony ze zdania kapłanki o bystrości swojego rozumu. Na tem i ja dziś kończę...

Edmund S. Naganowski.

Jeszcze o kazaniach sejmowych Skargi.

Artykuł pod tytułem: „Słowo o genezie i chronologii kazań sejmowych“, umieszczony przez B. Szulca w styczniowym zeszycie *Przeglądu Powszechnego* (str. 70 i nast.), poruszył kwestyę niepewną i niejasną i z niemałym zasobem przenikliwości rozstrzygnął ją pod niejednym względem szczęśliwie. Jedno atoli z twierdzeń autora jest całkiem błędne i koniecznego wymaga sprostowania, niektóre zaś jego wnioski idą, zdaje nam się, za daleko.

Myli się autor — choć co prawda nie on tylko — kiedy twierdzi, że sejmowe kazania Skargi po raz pierwszy pojawiły się drukiem

w r. 1600. Wyszły one po raz pierwszy w r. 1597, jako dodatek do Kazań niedzielnych [1], pod osobnym napisem: „Kazania sejmowe tegoż X. Piotra Skargi Societatis Iesu". Jest ich 8, i nie różnią się w niczem od przedruku z r. 1600. Egzemplarz wydania z r. 1597 znajduje się w Krakowie w Bibliotece Jagiellońskiej i w Bibl. Czartoryskich.

Trudno nam zgodzić się na wniosek autora, że kazania sejmowe w tej formie i w tym porządku, w jakim zostały wydane, na żadnym sejmie przed ogłoszeniem ich drukiem wypowiedziane nie były. Udowodniwszy, że kazania sejmowe w dzisiejszym swym kształcie mogły być ułożone i spisane tylko w r. 1597, autor z dwóch zwrotów tychże kazań, w których jest mowa o sejmie 1597 r. jako o rzeczy już dokonanej, wnioskuje, że Skarga mówił czy pisał te kazania już po sejmie, że więc nie były wygłoszone na sejmie, lecz powstały bezpośrednio po nim w tym samym roku. — Zdaje nam się, że autor więcej twierdzi w konkluzyi, niż pozwalają przesłanki.

Mógł Skarga wygłosić swoje kazania na sejmie 1597 r. w tej samej formie i w tym samym porządku, jak je dzisiaj czytamy, a jeden i drugi zwrot, który autorowi trudności nasuwa, mógł przed oddaniem ich do druku dopisać.

Zresztą za wygłoszeniem tych kazań na sejmie, i to w tym samym, w jakim je dziś mamy, porządku, przemawia ich treść. W kazaniu wtórem zapowiada kaznodzieja, że będzie mówił o sześciu chorobach Rzeczypospolitej, a wyliczywszy je zaczyna kazanie o pierwszej chorobie zwrotem: „mówmy dziś"; każde z tych kazań zawiera nadto albo zapowiedź następnego, albo odwołanie się na poprzedzające, a zwroty takie, jak: „zjechaliście się tu", albo: „na drugiem kazaniu da Bóg usłyszycie", „na innem kazaniu da Bóg mówić się będzie", świadczą nietylko o jedności w opracowaniu, ale są zarazem wskazówką, że kaznodzieja te kazania wygłaszał, że je mówił do obecnych, że ich słuchano.

Do tych wywodów autora, w których z treści kazań sejmowych trafnie wykazuje, że ostateczne ich zredagowanie mogło mieć miejsce

[1] „Kazania na niedziele i święta całego roku X. Piotra Skargi, znowu przez niego przejrzane z przydaniem kilku kazań sejmowych i kazania na pogrzebie królowej J. M. starej". Poprzedza je przedmowa z 1595 r., a przy końcu dołączone kazanie krótkie o Męce Pańskiej i kazanie o miłosierdziu (r. 1588). Cały tytuł tego wydania przytacza Backer w *Bibliothèque des Ecrivains de la Comp. de Jésus*, t. IV, z r. 1861.

dopiero po sejmie inkwizycyjnym 1592 roku a nawet po roku 1595, jesteśmy w stanie dorzucić parę szczegółów, które zasługują na bliższe rozpatrzenie.

I tak: za powstaniem kazań po roku 1595 przemawiałby mogły wzmianki w czterech pierwszych kazaniach o niebezpieczeństwie od Turcyi, które wprawdzie i przed 1595 rokiem Polsce zagrażało, ale od wznowienia wojny turecko-austryackiej i od powstania Mołdawii i Multan przeciw sułtanowi, mogło tem bardziej Polsce grozić, że z nowym sułtanem Mahometem III. nie odnowiono przymierza, a na trzech z kolei sejmach (1595—1597) radzono nad ligą antyotomańską.

Również do sejmu w roku 1595 odnosi się najprawdopodobniej ustęp w kazaniu pierwszem: „Młodszy bracia drugdy wszystko rozporą i powichlą i odjachawszy drugie do nieposłuszeństwa poburzą... Sejmowe stanowienie teraz moc traci i powagi niema". Wygląda to na aluzyę do uchwały poborowej z r. 1595, na którą nie godziły się województwa wielkopolskie i Litwa, a na sejmikach relacyjnych je odrzuciły, tak, że trzeba było na sejmie następnego roku osobnej konstytucyi, by pobór na tych województwach wymódz [1].

Wzmianką bardziej konkretną jest ustęp kazania wtórego: „Od zachodu i wschodu zacnemi poselstwy uczczony król i pan nasz, wielką wam u postronnych powagę i mniemanie czyni". Ustęp ten odnosić się może tylko do sejmu krakowskiego z 1595 r., na który przybyli prócz posłów cesarskich i papieskiego nuncyusza także posłowie Rzeszy, Węgier, Siedmiogrodu, Multan i Mołdawii — proszący o pomoc w wojnie tureckiej.

Jako dalszy dowód służyć może ustęp kazania czwartego: „teraz stan jakiś się ozywa ewangelików, którzy kupy sobie i zjazdy czynią, do królów poselstwa ślą". Zjazd toruński, na którym ewangelicy artykuły spisali i posłów z niemi do króla wysłali, odbył się dopiero pod koniec sierpnia 1595 r. [2].

Za dowód prawdopodobny, że kazania sejmowe w dzisiejszej formie nie były spisane także w r. 1596, może służyć ustęp kazania piątego o klęsce wojsk cesarskich w Węgrzech: „gdy im roku przeszłego wielkie już do wygrania Pan Bóg wrota w samej bitwie otworzył", co — jak się zdaje — można odnieść tylko do bitwy pod Kereszteszem w październiku 1596, bo i szczegół o przewadze wojsk cesarskich,

[1] Bielski, Dalszy ciąg kroniki 1722, 1759.
[2] Bielski 1727. Heidenst. 325.

a późniejszej ich klęsce zgadza się z polskiemi relacyami o niej [1] i przebieg wojny nie wykazuje bitwy walnej ani w 1594 ani w 1595 r., do którejby tę wzmiankę odnieść było można.

Na materyał do kazań sejmowych złożyły się bez wątpienia długie lata naszych dziejów i doświadczenia całego życia Skargi — bezpośrednie jednak czynniki i wpływy, które go do ułożenia tych kazań skłonić mogły, tak się nam mniej więcej przedstawiają:

Instytucya sejmów paczyła się coraz bardziej i poważne zaczęła wywoływać obawy. Sejm z r. 1596 obawy te odświeżył i spotęgował. Zamiast radzić o lidze z cesarzem lub o jakiej takiej obronie od Turka— co było celem tego sejmu — kłócono się o obsadzenie biskupstwa wileńskiego i o konfederacyę z ewangelikami. Gdy termin sejmu upływał, a król chciał przynajmniej dni kilka uzyskać na załatwienie spraw naglących, posłowie nie przyzwolili na to, ale „rozjechali się z dziwnemi protestacyami, tak litewscy jako i polscy. Między innymi protestował się Bukowiecki, poseł wielkopolski, że ninacz nie zezwala; protestował się i ks. Ostrogski, wojewoda kijowski, z strony greckiej wiary“ [1].

Protesty te wchodzące w zwyczaj, i spory sejmowe, po których posłowie „nic nie sprawiwszy rozjeżdżali się precz“ — co miało miejsce także w r. 1595 — obok reminiscencyi sejmu inkwizycyjnego i sejmu z 1593 r., na którym półtrzeciej niedzieli wybierano marszałka, a po długich sporach dopiero przy końcu w półtora dnia sejm skleili, wszystko to naprowadzało Skargę na myśl, by w osobnym cyklu kazań przedstawić razem najgroźniejsze „choroby Rzpltej“, na których rozwój — jak sam gdzieindziej wyznaje — „z żałością serdeczną“ patrzył i bolał nad tem, „że kilka posłów, co mądrze i pożytecznie urządzono, rozerwać na szkodę królestwa może“.

Już i między senatorami i ludźmi dalej patrzącymi, podobne odbywanie sejmów budziło obawy o przyszłość i pragnienie jakiejś reformy. Sam kanclerz Zamojski, nie bez winy w tym względzie, sceptycznie patrzył w przyszłość, widząc, że sejmy nic nie robią dla bezpieczeństwa Rzpltej, a po sejmie 1596 r., narzekał przed wysłańcem legata Gaetaniego, że w senacie są różne partye i że „prerogatywa *liberi veto*, której każdy poseł zarówno używać może“ [2], jest w stanie najlepsze plany i uchwalone ustawy obalić.

---

[1] Heidenst. 324., Bielski 1777.

[2] Kard. Gaetani do St. Giorgio w „Zbiorze Pam. Niemc.“ II, 280.

W tymże r. 1596 wydał także Prymas Karnkowski pismo p. t. „Exorbitancye i naprawa koła poselskiego“, gdzie wylicza nadużycia, jakie się do koła poselskiego dostały, między innemi i to, że całe sześć niedziel *aliud agendo* tracą, aż w ostatnie trzy dni o Rzpltej radzą; że na posiedzeniach są spory, a marszałek kilka lasek o ziemię stłucze, niźli się uspokoją; że przy konkluzyi niema zgody i słychać zdania: „bym sam miał zostać przeciwko wszystkim, tedy przy swej intencyi zostanę“. Nadto między propozycyami od króla na sejm 1597, była także i ta: *auctoritati comitiorum ut sit consultum* [1].

Było więc nietylko ogólnikowe pragnienie naprawy stosunków, ale i szczególny zamiar, aby sejm 1597 r. przyniósł jakieś na te stosunki lekarstwo.

Skarga chcąc poprzeć to dzieło, postanowił wypowiedzieć kazania o chorobach Rzpltej na tymże sejmie 1597 r.

W pierwszych zaraz słowach pierwszego kazania, zdaje się zwracać uwagę posłów na to, że zadaniem tego sejmu ma być naprawa stosunków: „Zjachaliście się — powiada — abyście to, co się do upadku nachyliło, podparli, co się skaziło, naprawili...“ i t. d.

W słowach: „sejmy te jako wam źle wychodzą i jakiejby w nich naprawy potrzeba, sami to lepiej widzicie; ja to tylo mówię, co wszyscy widzą“ — można się nawet dopatrzeć wyraźnej aluzyi do projektowanej reformy sejmowej, a w ustępie kazania szóstego: „dotknięto tego wiele w ich exorbitancyach: daj Boże, aby była poprawa“ — aluzyi do Exorbitancyi Prymasa.

Przy wotowaniu zastanawiano się istotnie nad poprawą — odzywały się głosy, by sejmowych wichrzycieli karać dekretami trybunału królewskiego, lub żeby wyznaczyć osobnych komisarzy ze strony zrywania sejmów, „by dla dwóch, trzech głów niezgodnych, wszystkie postanowienia się nie zrywały“. Nic to jednakże nie pomogło, i właśnie ten sejm, na którym miano zadecydować w sprawie exorbitancyi — zerwano w sposób niepraktywany przedtem.

Przy konkluzyi — jak pisze Dyaryusz — o obronie granic i eksorbitancyach w ostatnim dniu sejmu trwały kłótnie w kole poselskiem do późnej nocy. Gdy król za aklamacyą wielu posłów przedłużył sejm do następnego dnia i wraz z senatem wstawał, usłyszano głośny protest posłów krakowskich przeciw przedłużeniu sejmu i oświadczenie, że króla żegnają: „Hac levi protestatiuncula et perniciosa quorundam

[1] Rkp. Czart. 332, 77.

temeritate comitia cum praecedentibus exorbitantiarum decisionibus annihilata sunt“ [1].

Tak więc apostolskie słowa Skargi poszły na marne, a jednym krokiem więcej przybliżyła się groza upadku ojczyzny, którą w sejmowych kazaniach przepowiadał [2].

Streśćmy jeszcze po krótce cały nasz na tę sprawę pogląd.

Kazania sejmowe w tej ostatecznej redakcyi, w jakiej do nas doszły, nie mogły powstać, jak tylko w roku 1597, tj. w tym samym roku, w którym po raz pierwszy zostały wydane. Liczne zwroty tych kazań wskazują na to, że były one mówione, i to w tym układzie i porządku, w jakim do nas doszły. Zatem przyjąć trzeba, że wygłosił je Skarga na sejmie 1597 r., tem bardziej, że okoliczności, wśród których ten sejm się zbierał, porównane z treścią kazań sejmowych, wykazują wiele punktów stycznych. Jedyny zarzut, jaki przeciw temu poglądowi podnosi p. Szulc, nie jest dość silnym i da się bez naciągania z naszym poglądem pogodzić.

Że Skarga miał czas na wygłoszenie tych kazań w ciągu sejmu 1597 r., dowieść można z Dyaryusza. Sejm trwa od 10 lutego do 24 marca. Pierwsze kazanie przypadłoby więc na otwarcie sejmu, tj. na 10 lutego (poniedziałek), kazania dalsze na następujące po tym dniu niedziele i na uroczystość św. Macieja. Ostatnie wypadłoby na niedzielę 23 marca; 24 marca w poniedziałek zerwano sejm, po czem zaraz posłowie poczęli się rozjeżdżać.

Ks. Józef Sas.

---

[1] Rp. Czart. 332, 118.

[2] Przeczuwał ją i nuncyusz Gaetani, który z wypadków tego czasu wyniósł wrażenie, że w Polsce coraz większy powstaje rostrój „sub nomine libertatis nimia quaedam licentia, quae verendum est, ne aliquando nobilissimum illud regnum pessumdet“ (Rel. Nunc., II, 73).

Druk ukończono 31 stycznia 1898 r.

SYMPTOMY ZWROTU KU JEDNOŚCI

NA WSCHODZIE.

Już drugi rok upływa od wydania tej sławnej encykliki Leona XIII. „O jedności Kościoła“, która tak rozmaite budziła uczucia: u jednych najżywsze nadzieje, u drugich gniewy, obawy, u innych sceptyczne kiwania głową. Czy ta encyklika wywarła jaki skutek? Czy jej zawtórowały jakie echa na Wschodzie oderwanym? Jest to pytanie, nad którem warto się zastanowić.

Jeżeli sobie ktoś wystawiał, że jedno przemówienie papieskie może rozprószyć zapory polityczne, religijne, narodowościowe interesów prywatnych przeciwko jedności kościelnej przez długie wieki nagromadzone, to się taki oczywiście łudził. Trzeba jednak pamiętać, że pod powłoką tych wszystkich zapór w głębi dusz chrześcijan wschodnich tkwi pewna tęsknota ku jedności, która się w pewnych chwilach uświadomia i objawia, a objawiałaby się częściej i wyraźniej, gdyby zewnętrzna presya nie kładła jej tamy. Otóż taki głos od Stolicy Piotrowej do tych dusz chrześcijańskich przy błogosławieństwie boskiem, jakie czynom Leona XIII. widocznie towarzyszy, trudno żeby nie wywarł jakiegoś wpływu, żeby nie posunął o krok naprzód oczekiwanego dzieła zjednoczenia.

Już same próby zbliżenia, jakie nastąpiły zaraz po encyklice między Kościołem anglikańskim i rosyjskim, gdy arcybiskup Yorku, Wiliam Maclahan zjechał do Moskwy, dawały

poniekąd czuć, że zwierzchnicy odszczepionych Kościołów czują potrzebę przeciwstawić choć sztuczną jedność atrakcyi jedności rzymskiej. Nie pierwszy arcybiskup Maclahan puścił się w tę drogę. Jeden z głośniejszych jego poprzedników w tej podróży, Palmer z Magdalen College, wyjechał z Anglii prawie zupełnie przekonany, że u swoich współwyznawców nie znajduje prawdy, że ścieżka ku niej prowadzi na Moskwę. Wyruszył w podróż, ale zawadził o Carogród. Po długich rozmowach z uczonymi zwolennikami Focyusza w Carogrodzie i Moskwie zauważył, że między nimi niema zgodnego pojęcia o zasadniczej prawdzie chrześcijańskiej: o istocie chrztu. Patryarcha ekumeniczny tak wykłada istotę pierwszego i najważniejszego sakramentu, że podług niego łaciński Kościół nie udziela chrztu ważnie; moskiewscy znowu bogosłowi zajmują odmienne stanowisko i uważają łacinników za rzeczywistych chrześcijan. Taka różnica poglądów w zasadniczej sprawie dla chrześcijan zgorszyła Palmera tak silnie, iż pożegnał poróżnionych między sobą wyznawców prawosławia Focyuszowego i w Rzymie wyznał wiarę powszechną. Podobny z nazwiska teolog anglikański Salmer, także wyruszył po prawdę do Moskwy, ale tu tylko popasł, a jak do przystani zawinął ostatecznie do grobu św. Piotra. Salmera ściągnął do Moskwy niebeszczyk Chomiakow, który w ostatnich czasach pierwszy podniósł hasło zgody między angielską High-Church a cerkwią rosyjską, pierwszy rzucił dumną przepowiednię, że Rosya zbawi chrześcijaństwo i świat. Jego słowa o prawosławiu, jako o najwznioślejszym kresie postępu chrześcijańskiego, nie przebrzmiały bez oddźwięku w całej Europie, ale nigdzie nie znalazły posłuchu tyle, co w Anglii. Jeden z pierwszych myślicieli, owładniętych wpływem Chomiakowa, właśnie Salmer, zawiódł nadzieje nauczyciela i proroka prawosławia, ostatecznie z dobrym skutkiem dla duszy, stęsknionej za prawdą.

Nie u każdego taki plon wyrósł z nasienia, rzuconego przez Chomiakowa; ale to nasienie wcale nie zmarniało dotychczas. Obecnie podlewa je mąż wybitny między anglikańskimi zwolennikami jedności kościelnej, p. Birkbek, autor dzieła: *Russia*

and the English Church. Nikt pewnie nie odmówi p. Birkbek pochwały, że pilnie zbadał przedmiot, o którym pisze. Po Rosyi dużo podróżował, zwiedził najznakomitsze monastery, cerkwie i ławry; zapoznany dokładnie z prawosławną nauką wiary i obrzędem służby bożej wywarł znaczny wpływ swoją książką na umysły anglikańskie i zwrócił nakoniec na siebie uwagę arcybiskupa Maclahana. Z nim też pojechał, jako jego przewodnik, do Moskwy.

Jak oni dziwnie szukają prawdy, ci biedni bracia nasi, odszczepieni od jednej owczarni! Coś ich nęka, że rozdział nie leży w istocie chrześcijaństwa, że nawet wprost godzi na istotne znamię Kościoła Chrystusowego: miłość w jedni..., coś im szepce że poza kresami narodu własnego trzeba objąć chrześcijańskiem sercem inne narody i z nimi wyznawać jednego Chrystusa, jeden chrzest, jednego Boga... coś gna arcybiskupa anglikańskiego morzami ku Wschodowi, a Moskwę skłania, aby gościnnie przyjęła cudzoziemskiego dostojnika... Wszak departament urzędowego synodu w Petersburgu nie rozciągnie nad nim władzy! Wszak anglikańska zasada o supremacyi królewskiej nad wiernymi nie obejmie poddanych cara! Wszak w następstwie obie podwaliny narodowych Kościołów czy cerkwi runąć muszą wobec myśli o zjednoczonym anglikanizmie z prawosławiem rosyjskiem. Czyż to nie początek pojęcia u odszczepieńców, że wszelki cezaropapizm ustąpić musi wobec nieodzownej potrzeby jedności kościelnej?

Więc do Moskwy zjechał Maclahan i, jak piszą *Moskowskie Wiedom.*, „zrozumiał, że we wschodniej cerkwi może ujrzeć widok pierwotny nieskażonego chrześcijaństwa i uczuć w koło siebie tętna tego żywota duszy, który nie pokłada ducha Chrystusowego na oderwanych wzorach, ale wylewa serce w rzewnych obrzędach; nie pojmuje wiary jako sprawy rozumu, ale jako najwyższy objaw żywota ludzkiego. Taką nadzieją przejęty Maclahan jechał do Moskwy, aby okazać serce gotowe do zgody z prawosławiem i rękę gotową do wspólnej pracy na polu czynów, ważniejszych od jałowej zgody w nauce: dostojnik anglikańskiego Kościoła usiłował poznać wschodnie prawosławie, nie-

tylko ze strony katechizmu i teologicznych traktatów, ale bardziej śledził sam prawosławny żywot we wierze uczynnej, w modlitwie, w obcowaniu świętych, w trosce zapobiegliwej, aby nastrój żywota dorównywał wierze".

Tyle moskiewski sprawozdawca. Pod jego słowami dopisują czeskie *Katolické Listy* uwagę zupełnie słuszną, że wielebny Maclahan, według szczegółowych opisów jego podróży, zwiedzał przez półtora tygodnia Moskwę, jako podróżnik, tem tylko różny od pospolitego Anglika, że nie chodził w typowem ubraniu kraciastem, tylko w czarnych sukniach, i że nie śmieszył charakterystycznemi dziwactwami, ale zbierał poważnie hołdy, należne arcybiskupiemu stanowisku: więc jak i o ile mógł tę „uczynną wiarę prawosławną" poznać z chóru, gdzie stawał podczas nabożeństwa? Na widok wspaniałych obrzędów mógł sądzić tylko o tem, co dzieje się przy ołtarzu; a co dotyczy szkół, szpitali i dobroczynnych zakładów, zwiedzanych przez podróżnego, to posiada ich Anglia niezrównanie więcej, niż z czem mogła wystąpić na pokaz Moskwa.

Sam czas, obrany przez prymasa anglikańskiego na wycieczkę moskiewską, świadczy, że najpoważniejszy zwolennik kościelnej jedności angielsko-rosyjskiej nie wytknął sobie dotychczas określonego zamiaru. Zjechał do Moskwy na cerkiewne obchody wielko-tygodniowe i wielko-postne. Moskiewski metropolita Sergiej na wymianę myśli poważnej nie miał prawie wolnej chwili. Obaj dostojnicy spędzili ze sobą ostatecznie ledwo trzy razy po godzinie: raz przy odwiedzinach powitalnych, drugi raz z powodu życzeń wielkanocnych, nakoniec na pożegnalnej rozmowie; cóż mogli ważnego poruszyć dostatecznie, aby przeprowadzić jedność kościelną? Ani uczeni bogosłowi moskiewscy nie mogli w tym czasie opuścić długich modłów, aby ułożyć jakiś pomysł wspólnej pracy; przyjęli gościa, czem mogli: zaprosili, aby z blizka oglądał to wspaniałe widowisko, jakie tworzą zewnętrzne objawy nabożeństwa wschodniego. Gość korzystał pilnie z zaprosin: jako najciekawszy z widzów skwapliwie uczęszczał do soborów na nabożeństwa, oglądał skarbce i zwłoki czczone za święte. Ale wszędzie zostawał tylko ciekawym wi-

dzem, nigdzie uczestnikiem modlitwy; zupełnie jako podróżnik, nie jako chrześcijański biskup; obchodził miejsca, otoczone czcią przez prawosławnych, ani razu nie ucieszył, ani nie zbudował przewodników głową schyloną przed krzyżem, albo czcią okazaną przed ołtarzem, obrazem czy pamiątkami, choć przed niemi widział lud na klęczkach z pochylonemi głowami i wyrażał sam, że głęboko wzruszony spogląda na ich wiarę, słucha ich śpiewu i podziwia pochody z tysiącami świateł w rękach.

A kiedy oglądnął cerkwie i wyraził podziw dla objawów nabożeństwa, szedł z kolei podziwiać galerye obrazów, oglądać szkoły i zakłady wychowawcze, zwiedzał skarby naukowe, księgozbiory, szpitale i t. d. Witany mowami łacińskiemi odpowiadał na nie także po łacinie... czy przytem pomyślał, że Kościół powszechny słusznie narodowych języków nie używa, a przechowuje łaciński, który ułatwia duchowieństwu wszelkich narodów wzajemną wymianę myśli? Myśli swoich tego rodzaju nie wypowiadał głośno, tak samo jak nie wyznał, co w sercu uczuł, kiedy w troickiej ławrze usłyszał śpiew czerńców wraz z grą na organach, na tych znienawidzonych przez reformatorów organach, które umieją tak podnieść ducha przy nabożeństwie katolickiem. Coś przecie musiał po sobie okazać, bo uprzejmy przewodnik uważał sobie za obowiązek wyjaśnić, że jeszcze ulubieniec Katarzyny II., metropolita Platon, uposażył tę cerkiew w organy, a car Mikołaj I. zamierzał je zaprowadzić po wszystkich cerkwiach, i tylko metropolita moskiewski Filaret umiał udaremnić ten zamiar.

O ileż więc naprzód posunął anglikański arcybiskup sprawę ugody anglikańsko-rosyjskiej? Jedynie tyle swoim pobytem dowiódł, że nie uważa za mrzonkę pomysłu, który znajduje wielu zwolenników między innowiercami różnych odcieni: pragną jedności kościelnej i jednego społeczeństwa z chrześcijan wszelakiego wyznania, ale przytem chcą ocalić różnicę wyznań, więc zbliżyć wszystkich i związać jakąś ugodą, którąby milczała o prawdach zasadniczych; niech tę kość niezgody gryzą między sobą zasuszeni teolodzy i wiodą ze sobą spory nierozwikłane; niech bez nich powstanie jedność, oparta na przyjacielskich sto-

sunkach, a może przy wspólnym udziale w zewnętrznej wystawie nabożeństwa.

Tyle tylko zamiarów pojednawczych okazał anglikański kościół w osobie swojego arcybiskupa. Do takiej ugody Leon XIII. nie podał dłoni; Maclahan szukał szczęścia w Moskwie. Czy znalazł? To zależy od niego samego. Jeżeli mało wymagał, znalazł, choć nie w Moskwie ale w Finlandyi i nad samą Newą, znalazł jeżeli nie szczęście, to przynajmniej dwóch znacznych zwolenników: arcybiskupa Antoniego i jenerała Kiriejewa.

W Moskwie po odjeździe prymasa anglikańskiego słychać było głosy rozczarowanych jego osobą. Zawiedzeni w nadziejach twierdzili, że zabiegi anglikańskie w sprawie jedności kościelnej nie budzą wielkich nadziei, bo w inną drogę chce tę sprawę pchnąć arcybiskup anglikański, na inną drogę wolałaby wejść Moskwa; jeden z pisarzy tamtejszych podał opis tych odwiedzin, a w końcu przypomniał bajkę Kryłowa o smutnym wozie, który wyciągnąć z bagna usiłowały łabędź, ryba i rak... łabędź rwał do góry, rak ciągnął w tył, a szczupak do wody. I wóz do dzisiaj... stoi, gdzie stał. Tak to Moskwa drugi raz w ostatnim czasie zapisuje w swoich kronikach nieudałe odwiedziny anglikańskich duchownych. Uprzejmie witała ona przed rokiem arcybiskupa z Canterbury, Creightona, który już poruszał myśl o jednej owczarni Chrystusowej, ale nie tak dobitnie jeszcze, jak tego roku krzewił ją Maclahan. To też głowę anglikańskiego kościoła prawosławna cerkiew przyjęła jak najgościnniej, ale żegnała z cichą wymówką, że przyjechał chyba jej ubliżyć, jeżeli przypuszczał, że ją zadowolni parodyą jedności kościelnej.

Mimo to Maclahan pozyskał sobie archiereja Antoniego, który niedługo potem postanowił nawzajem odwiedzić i poznać anglikański Kościół.

St. Petersb. Wied. w num. 155 opisują bardzo szczegółowo przebieg odwiedzin archiereja Antoniego w Londynie. Już jego podróż przez Niemcy okazała, iż z głębszymi zamiarami wyjechał archierej finlandzki, bo w drodze zajeżdżał do głównych ognisk starokatolicyzmu i zwiedzał je pilnie. Nakoniec stanął w Londynie, aby jako przedstawiciel cerkwi wziąść udział w uro-

czystem nabożeństwie w świątyni św. Pawła w kapie, mitrze i z drogocennym w ręku pastorałem metropolity Filareta, jednego z najsławniejszych dostojników cerkwi, który na stolicy moskiewskiej siedział od 1826—1867. Z odwiedzin tych, sprawozdawca *St. Petersb. Wiedomosti* wywodzi najlepsze wróżby dla sprawy jedności kościelnej. Podnosi wpływ obrzędów wschodnich na nabożeństwa anglikańskie: tak do żałobnego nabożeństwa dworskiego *High Church* przyjęła śpiewy: *So swiatymi upokoj, wiecznaja pamiat'* i *Światyj Boże!* Także wyszło świeżo dzieło księżnej Bodford: *The Light of world,* z nabożeństwem prawosławnem za dusze zmarłych. Księżna nie śmiała podać swoim współwyznawcom ustępów z nabożeństwa, przeciwnych zasadom anglikańskim: ale Anglicy narzekali na nią, iż opuściła te ustępy.

„Ku prawosławnej cerkwi zwracają oczy liczni teologowie anglikańscy: zawiązali nawet między sobą stowarzyszenie, aby krzewić myśl kościelnej jedności anglikańsko-rosyjskiej, a na prezesa obrali lorda Halifaxa. Na jego wniosek postanowili odbyć zjazd pananglikański i do udziału w naradach zaprosić przedstawiciela cerkwi prawosławnej. Na tym to zjeździe właśnie zasiadał archierej Antoni.

Dalej *St. Petersburskie Wiedom.* przytaczają ustępy z *The Church Review* na dowód, że duchowieństwo anglikańskie niezbyt gorąco broniłoby dogmatów, na których polega główna różnica między nimi a cerkwią, a nakoniec pisze: „wszystko to każe oczekiwać, że Anglia zupełnie świadomie pragnie jedności z cerkwią prawosławną, a można z drugiej strony przypuszczać że nie napotka na tej drodze przeszkód, któremi im drogę do Rzymu zagrodziła encyklika: *Apostolicae curae.*

Słowem, Petersburg, głosem jednego ze swoich dzienników najpoważniejszych, wyraża nadzieje bardzo śmiałe, bardzo odmienne od smutnych wróżb, któremi Moskwa żegnała Maclahana. Petersburg też dostarczył archierejowi Antoniemu towarzysza podróży i zwolennika poglądów w osobie dość już głośnego jenerała Kiriejewa.

Ten jenerał, profesor w którymś zakładzie wojskowym, zdobył sobie rozgłos jako gorący poplecznik myśli o zjednoczo-

nem chrześcijaństwie. Pojechał zawierać stosunki z anglikańskim kościołem, jednak na tem nie poprzestaje: chce do rodziny chrześcijaństwa zjednoczonego wciągnąć także Kościół łaciński z papieżem, ale byle tylko papież nie zamierzał zająć w rodzinie stanowiska pana; wystarczy, żeby został bratem; nie chce ani rozdziału kościołów ani posłuszeństwa pod jedną głową.

Temu to jenerałowi zawdzięczamy, że znowu głośniej i szerzej prasa rosyjska porusza myśl o jedności kościelnej. Wątku do rozpraw o tym przedmiocie dostarczają pismom listy otwarte jenerała Kiriejewa do profesora Sołowiewa.

Sołowiew, myśliciel, który od lat już zabrał głos w tej sprawie, nie przestaje rozwijać swoich poglądów, chociaż ostrożnie i w mgle pewnej tajemnicy wyraża swoją myśl ostateczną. Niedomawiane jego półsłówka drażnią niektóre umysły, zbyt gorączkowe, które chciałyby od razu zgłębić tajemnicę tego zwolennika jedności kościelnej i wyrozumieć zarazem, dokąd ich wzywa głos rzecznika praw Stolicy apostolskiej, a zarazem wiernego syna cerkwi, zakamieniałej w uporze, z jakim urąga tym prawom. Więc nacierają na niego pytaniami, na które dostają niezrozumiałe odpowiedzi, osnowę do dalszych pytań, coraz niecierpliwszych. Inni mniej natarczywie wypytują, a tylko ze skupioną uwagą słuchają głosu, który coraz dalej dochodzi i z coraz większą mocą wywiera wpływ na czytelników *Wiestnika Jewropy*.

W tem piśmie wydawane rozprawy Sołowiewa znalazły sprawozdawcę w jenerale Kiriejewa. Dzień 11 maja r. z. zgromadził członków słowiańskiego Towarzystwa dobroczynnego na zjazd uroczysty. Wobec nich wystąpił jenerał Kiriejew z mową, w której poddawał ocenie poglądy profesora Sołowiewa. Między nimi na dwa głównie zwrócił uwagę słuchaczy i otwarcie wyznał, że na nie przystaje, ani przez to nie uraził, co najdziwniejsze, nikogo ze zgromadzonych, a między tymi zasiadał sam nawet oberprokurator synodu. Mowca uznał najprzód obecny stan cerkwi prawosławnej za wadliwy, a powtóre przyznał potrzebę zmiany w obecnym stosunku cerkwi do państwa.

Tyle wpływu zdobył już Sołowiew na społeczeństwo ro-

syjskie, że zgromadzeni uroczyście przewódcy i najgorliwsi krzewiciele ruchu prawosławnego, pozwalają wobec siebie jawnie głosić i rozwijać poglądy o potrzebie naprawy w cerkwi, rozprawiać o źródłach jej choroby i o wyborze lekarstwa. Co więcej: Sołowiew chorobę przypisuje cezaropapizmowi, na lekarstwo poleca powrót do stosunków pierwotnych, w których Kościół nie zależał od mocarzy świeckich i śmiało przed cesarzem występnym zamykał wchód do świątyni. Taki stosunek państwa do cerkwi, jakiego żąda Sołowiew — wszak to grób wykopany pod istotą prawosławia! A słowiańskie Towarzystwo dobroczynne, to ognisko, które przy każdym zjeździe głosiło na całą słowiańszczyznę zasadę caropapizmu, słucha teraz uroczyście w samym Petersburgu, że cerkiew powinna odzyskać swobodę i wrócić na dawne stanowisko, niezależne od państwa, zajmywane przed Piotrem Wielkim i dawniej jeszcze, przed dolą bizantynizmu. Czyżby Mikołaj II. życzył wyświadczyć hierarchii prawosławnej dobrodziejstwo nieocenione w następstwach. Za jego wolą trzeba było z programowych mów wykreślić ustęp o stosunkach prawosławia poza obrębem cesarstwa. Trudnoby wątpić, że jenerał Kiriejew wygłosił swoją mowę bez wiedzy i woli monarchy. Pole do najpożądańszych domysłów leży otworem. Ale bez żadnych domysłów to pewna, że podobną mowę trudnoby słyszeć kilka lat temu; trudnoby nawet dzisiaj uwierzyć w taką nowinę, gdyby nie świadek takiej powagi w tej mierze, jak *Kraj* petersburski, który w zeszłorocznym nrze 20 na str. 19 donosi, z jakimi poglądami na stan cerkwi wystąpił jenerał Kiriejew: mianowicie odmiennie sądzi niż Pobiedonoscow, o lekarstwach, potrzebnych do naprawy chorobliwego stanu cerkwi; o chorobie i wadliwym stanie żaden z nich obu nie wątpi, ale Pobiedonoscow przypisuje te braki wyznawcom prawosławia, nie prawosławiu samemu, podmiotowej martwocie serc, zobojętniałych dla ideału prawosławia, nie przedmiotowej treści uczuć prawosławnych; przeciwnie jenerał Kiriejew „jest zdania, że wyżej wspomniane braki dadzą się usunąć przez rozwój objektywnej strony uczucia chrześcijańskiego, przez powrót do nauki dawnego Kościoła Powszechnego z pierwszego tysiąclecia naszej ery. Tylko tą drogą, zda-

niem prelegenta, dadzą się rozwiązać te groźne zadania w życiu Kościoła prawosławnego, które domagają się wysiłków i ofiar. Również w zapatrywaniach na stosunek państwa do Kościoła, jenerał Kiriejew zgadza się z profesorem Włodzimierzem Sołowiewem.

Mowa jenerała Kiriejewa, rozpędzona śmiało w stronę samodzielnego rozwoju cerkwi, uderzyła dalej w obecne warunki prasy, jako nieprzychylne otwartym słowom, któremi cerkiew potrzebuje oświadczyć, co sama myśli o własnych potrzebach. „Tak np. wypowiedział życzenie: ażeby nadano prasie większą wolność, w związku zresztą odpowiednio z większą odpowiedzialnością; ażeby ci, od których zależą losy drukowanego słowa, byli skłonni do wysłuchania nietylko prawdy przyjemnej, ale i nieprzyjemnej...“ Te słowa, przytoczone za *Krajem*, coraz wyraźniej świadczą, z jakim rozpędem jenerał Kiriejew biegł w ślady Sołowiewa, aż nagle, po nieprzewidzianym zwrocie wtył, staje nieruchomo pod chorągwią Focyusza... „Proponowane przez prof. Sołowiewa połączenie kościoła ruskiego z rzymsko-katolickim, — uważa za lekarstwo gorsze od choroby i wskazuje na skutki tego połączenia we wschodniej Galicyi, Bośnii i Hercegowinie“.

Taki zwrot myśli, choć jeszcze zrozumiały w ustach jenerała Kiriejewa, choć wymagany przez słuchaczy jego: najżarliwszych wyznawców prawosławia, przecie dziwi, jako walka przeciw cezaropapizmowi, toczona pod dowództwem najuniżeńszego z służalców cezara: Focyusza. Ale jeszcze dziwniej brzmiała odpowiedź, którą profesor Sołowiew umieścił w nrze 7618 dziennika *Nowoje Wremia*, jako obronę własną przed zarzutem Kiriejewa. W tej obronie Sołowiew oświadcza, że myśli swoich nie znajduje ściśle powtórzonych przez jenerała, że na myśli nie miał „nigdy żadnej zewnętrznej, oficyalnej unii z Rzymem, o jakiej mówi jenerał, że owszem uważa ją za niemożebną i niepożądaną“. Tej obrony jenerał nie zostawił bez nowej odprawy: w nrze 7621 tegoż dziennika *Nowoje Wremia* pisze:

„Z odpowiedzi p. Sołowiewa jestem szczerze uradowany. Może być, że koniec końcem do czegobądź jasnego i określonego przecie dojdziemy.

„W owej mowie twierdziłem, między innemi, że pan Sołowiew poleca nam unię; pod wyrazem ‚unia' rozumiałem to, co zwyczaj każe rozumieć, tj. ‚unię' w formie, znaczeniu i rozmiarach tej unii, którą w zachodniej Rosyi zaprowadziły uchwały brzeskiego soboru 1596 r. Mniemałem, że i poprzednie poglądy pana Sołowiewa, i to, co mówi w *Wiestniku Jewropy* dawało mi zupełne prawo twierdzić, co mówiłem 11 maja. Okazuje się jednak, że mylę się, że nic podobnego pan Sołowiew nie twierdził!... Ślicznie! Cieszę się, ale dziwię się jego obronie. P. Sołowiew zapiera się unii, ‚o jakiej mówi p. Kiriejew'; ależ przecie o żadnej innej unii nie mówię ani nie mówiłem, tylko rozumiem i rozumiałem tę samą brzeską (jeżeli kto chce — lugduńską i ferraro-florencką) unię, którą nam narzucał Rzym, i od której ledwo nieledwo wybawiliśmy się! Tę samą, o którą tak usilnie starali się wszyscy papieże średniowieczni, która i nas kosztowała tyle ruskiej krwi, i o którą tak z rozpaczliwym wysiłkiem stara się także Leon XIII. I teraz tej unii p. Sołowiew nie pragnie; uważa ją nawet za niemożebną. Pragnąłbym rozmówić się, — rzeczywiście rozmówić się z W. S. Sołowiewem; z żalem nie mogę pojąć, czego właściwie, jakiejże unii on pragnie, jakie poleca nam stosunki z papieżem. Wszak niemniej odemnie z trudem pracował nad pytaniem o zjednoczeniu kościołów, i zawsze, jak mnie zdawało się, stał po stronie rzymskich uroszczeń! Czegóż pragnie p. Sołowiew? Czyż nie zapiera się myśli tak bardzo drogiej dla nas obu, — myśli o unii? Jakaż ta jego unia, jeżeli nie chce unii ‚mojej'?

„Zastanawiać się nad ogólnikami, przeciwko którym nikt nie wojuje, wszak to nie opłaci się! Nie opłaci się mówić o tem, że „bolesnych nieporozumień i uprzedzeń usunąć nie można lepiej, niż za pośrednictwem wszechstronnego rozpatrzenia sprawy", że do tego niezbędnie potrzebujemy „swobody w poszukiwaniu prawdy", że przy „duchowem ospalstwie słabnie życie duchowne, a przy braku życia duchownego darmo starać się o zjednoczenie kościołów i t. d. Wszystkie te niewątpliwe ‚trucizny', o których wspomina przy końcu swojego pisma p. Sołowiew, w nikim nie znajdują przeciwnika, a we mnie mniej niż w kim-

kolwiek... ale w danym razie trzeba czegoś dokładniejszego uchwytniejszego, i mnie zdaje się, że mój zacny przeciwnik (a toczymy spór ze sobą dawno, od czasów aksakowskiej *Rusi*, w której obaj byliśmy współpracownikami), zawsze miał na oku coś bardzo określonego i uchwytnego, mianowicie unię w znaczeniu (bezwarunkowego) poddania się (bezwarunkowo) nieomylnemu papieżowi. Okazuje się, że w tem wszystkiem nie przypuszczałem prawdy, że myliłem się i mylę się. Ale, jeżeli tak, nie lepiejżeby prosto i bez ogródek wypowiedzieć swoją myśl, zamiast tego, żeby przemawiać ogólnikami albo sybilijskimi dwuznacznikami? Dlaczegoby panu Sołowiewowi nie milej powiedzieć wprost: „panie Kiriejew, pan mylił się i myli się; brzeskiej unii, tej, której życzy papież, nie życzę, a życzę ot takiej“ i objaśnić, jakiej mianowicie chce.

„Póki nie dostanę takiej odpowiedzi jasnej i stanowczej, póty, niech przebaczy najszanowniejszy pan Sołowiew, ale poczytuję sobie za prawo myśleć o nim, że nie odszedł daleko od unii pojętej tak, jak ją pojmują wszyscy, mianowicie od unii, która zawiera bezwarunkowe poddaństwo pod moc papieża, uzbrojonego darem nieomylności, darem i władzą, nieograniczoną w niczem przez nikogo, to jest mianowicie taką, którą przyznaje papieżowi dogmatyczna konstytucya z 18 lipca 1870 r. Poczytuję sobie za prawo tak mniemać, nietylko na podstawie tego, co i przedtem pisał p. Sołowiew (np. w *La Russie et l'Eglise universelle*), ale także tego, co napisano w rozprawie *Wiestnika Jewropy*, rozbieranej przezemnie“.

Więc znowu w nrze 7622 Sołowiew zabrał głos, aby powiedzieć wyraźnie i wprost: „wysoce poważany panie Aleksandrze synu Aleksego, pan mylił się i myli się: brzeskiej unii (tj. powtórzenia) nie życzyłem i nie życzę, dlatego, że ci działacze hierarchiczni, którzy przyjęli tę unię, założyli ją na politycznych kombinacyach i nadziejach, a nie na religijnem dążeniu do jedności wiary w duchu miłości. Ja zaś żądam takiego zjednoczenia Kościołów, którego przewodnią myślą byłaby jedna jedyna nadzieja — nadzieja, że sam założyciel chrześcijańskiego wyznania i Kościoła uzna za dobro takie zjednoczenie“.

Na to znów w nrze 7625 Kiriejew: „Bardzo rad jestem, że ta (papieska) unia nie podoba się panu Sołowiewowi, *c'est déjà quelque chose!...* Papież narzuca nam mianowicie tę brzeską unię, którą odrzuca p. Sołowiew, a dla mnie papież jeszcze (chwała Bogu) nie pan, i już (na nieszczęście) nie brat; dla mnie papież, to tylko przedstawiciel rzymskiego katolicyzmu, z którem borykamy się trzy wieki z rzędu i, podobno, będziemy jeszcze borykać się długo". Po tych słowach znów wzywa p. Kiriejew Sołowiewa do bliższego opisu, jak swoją unię pojmuje, i zachęca, żeby nie mieszał dwóch rzeczy: propagandy swoich poglądów, oczywiście niemożebnej wobec cenzury, i wykładu ich naukowego, któremu cenzura nie staje na przeszkodzie.

Sołowiew nie pospieszył z odpowiedzią. Wyraził już dosyć, że nie prowadzi nikogo do tej unii brzeskiej, która stanowi dla duszy rosyjskiej przynajmniej niemiły wypadek: odcięła Rosyę od politycznego wpływu na ruskie prowincye Rzeczypospolitej polskiej i na parę wieków potężnie wzmocniła Rzeczpospolitą na wewnątrz. Przewidywali ten skutek poplecznicy unii brzeskiej i w tym także zamiarze ją popierali, choć oczywiście nie wszyscy. To też nie można odmówić unii brzeskiej znamion dzieła politycznego, nienawistnego dla Rosyi. Sołowiew oświadczył, że podobnego wypadku politycznego nie pragnie w unii, o której marzy.

Całą powyższą wymianę myśli między Sołowiewem i Kiriejewem streścił *Kraj* petersburski o tyle pobieżnie, że wywołał różne wykrzykniki podziwu i prawie zgrozy na Sołowiewa, jakoby odstępcy od myśli o unii. Nawet *Gazeta Kościelna* lwowska straciła serce do Sołowiewa za to, że on unii brzeskiej nie uważa za pożądaną. Szczegółowy przebieg jego sporu z jenerałem Kiriejewem wyświeca dość te jego poglądy, które zawsze stoją po stronie Stolicy apostolskiej i jej praw.

Łatwiej możnaby stracić serce dla jenerała Kiriejewa. Mimo rozmyślań przez długie lata nad jednością kościelną, mimo żalu, z jakim wyraża, że w papieżu brata nie widzi, mimo skrzętnych zabiegów, aby poznać przynajmniej w anglikanizmie coś zdatnego do jedności chrześcijaństwa, jednak nie zadał sobie pracy,

aby zbadać, czy słusznie tę nieomylność papieską uważa za nieprzebytą przeszkodę do jedności. Przesąd przeciw nieomylności papieskiej tak wsiąkł w społeczeństwo rosyjskie, że na nią nie używają nawet wyrazu właściwego: nazywają ją bezgrzesznością Непогрѣшимость, a nie posiadają w swoim języku wyrazu Безошибочность, któryby stosowniej oddał pojęcie. Po dłuższym dopiero wykładzie zaczynają rozumieć, że w żadną bezgrzeszność papieską łacinnik nie wierzy, ani w nieomylność w sprawach codziennych. Ale nawet wielu, objaśnionych nakoniec o obrębie owej nieomylności, odpowiadają: tak to tłumaczysz, ale czy papież sam nie rości sobie praw do właściwej bezgrzeszności?

Poza Rosyą, w bałkańskich krajach ruch umysłów ku jedności kościelnej jest jeszcze może słabszy niż w Rosyi, najprzód dlatego, że wogóle w tych krajach, choć wiele jest szamotań politycznych, ducha umysłowego i ludzi myślących jeszcze bardzo mało; a po drugie dlatego, że ogrom Rosyi prawosławnej fascynuje te młode ludy.

I dalej jeszcze, w Konstantynopolu wpływ ten czuć się daje. W biały dzień odbywane narady u posła rosyjskiego w Carogrodzie mają niezmiennie jeden skutek: raz po raz prawosławni Słowianie dają odczuwać sułtanowi, że spraw swojej wiary nie lekceważą. Ledwo Grecy zaniepokoili Bałkan trąbką wojenną, już poseł serbski stanął w Ildiz-Kiosku i wymógł firman, mocą którego Grek Ambroży musiał opuścić metropolitalną stolicę w Skopii, a osobne irade rozpisało nowe wybory serbskiego metropolity na tę stolicę.

Po tym kroku pierwszym sułtan musiał stawiać coraz dalsze kroki na pochyłej drodze ustępstw w sprawach wyznaniowych dla Słowian i dla północnej opiekunki wszechprawosławia. Więc ministrowie tureccy dostali rozkaz, aby jeszcze raz zbadali i orzekli, czego udzielić może sułtan swoim poddanym Serbom, których wyjął z pod władzy Fanaru. I Bułgarzy już uzyskali nagrodę za wiernopoddańczą postawę podczas wojny: wytargowali sobie trzy biskupstwa w obszarze tureckim i oczekują jeszcze innym trzech. Nakoniec Kuco-Wołochom w Macedonii

sułtan podziękował za spokój i przyrzekł w nagrodę spełnić ich prośby w sprawach szkolnych i cerkiewnych.

Tymi wypadkami zaniepokojona Europa zachodnia nie taiła trwogi przed następstwami przewagi, jaką za Bałkanem zdobywają Słowianie nad Grekami wobec Porty; *Figaro* zabrał głos, aby przestrzedz, że ustępstwa sułtańskie dla Słowian w sprawach wyznaniowych zdradzają smutną niemoc państwa otomańskiego i narażają cały półwysep bałkański na poważne niebezpieczeństwa, bo nigdy niezadowolnieni Serbowie i Bułgarzy zażądają coraz donioślejszych ustępstw.

Widocznie francuski dziennik mało zna sprężynę, która porusza najmniejsze kółka w machinie prawosławia. Inaczej przyjaciel Rosyi nie zwracałby uwagi świata na jej ciche zdobycze, o których Pobiedonoscow nie mówi głośno. Ale tureckie pisma lepiej obznajomione, z żalem wzdychały, że bałkańscy Słowianie to tylko przednia straż słowiańskiego olbrzyma. Głównie koła młodotureckie z gniewem podnoszą, że szczep słowiański gospodaruje bezkarnie, a ze wszystkich dzienników najśmielej młodoturecki *Hurriet* narzeka i zapowiada, że ze świeżych klęsk greckich skorzysta tylko Słowiańszczyzna, nie ta na południu Dunaju, ale cała od Alp po Ural, którą mimo słupów granicznych ożywia jedna i niepodzielna cerkiew prawosławna.

Tak w europejskiej Turcyi odszczepione odnogi Kościoła nie rokują dziś prawie żadnych nadziei zamiarom Leona XIII.; więcej pomyślnych widoków przedstawia dalszy Wschód.

W Ziemi świętej wprawdzie Rosya rozpanoszyła się niesłychanie; nietylko w samej Jerozolimie powstał ogromny kompleks budynków, wielki i wspaniały sobór, otoczony całym kompleksem domów gościnnych, szpitali, gmachów rozmaitych, ale w całej Palestynie Rosyę wszędzie spotkać. Nad miastem Jerycho rosyjska wieża sięga tak wysoko w górę, że z niej widać inną wieżę, na górze Oliwnej. W Hebronie rosyjskich pątników wita w gościnnych progach wspaniały dom zbudowany na pamiątkę zwycięskiej wojny z Turkami. Na górze kwarantanny, nad Jordanem w klasztorach św. Joachima i św. Jana, w pobliżu Naza-

retu, w okolicy Jaffy: wszędzie oko spotyka rosyjskie osady, wieże, cerkwie, szkoły dla chłopców i dziewcząt.

Ale jeszcze więcej od budowli prawosławnych zwraca uwagę wielka liczba i pobożność ich pątników. Spotyka się tam w ostatnich latach — mówią *Katolické Listy* — po drogach mnogie zastępy ludu ubogiego, w odzieży niestosownej przy upale gorącego kraju, z ciągłą modlitwą na ustach; jedno miejsce pamiątkowe po drugiem widzi te twarze ożywione zapałem nabożeństwa, liczy ukłony bite czołem o ziemię, słyszy pieśni pobożne, które trwają długiemi godzinami. Niejeden Europejczyk zbudowany ich nabożeństwem, ciekawie pyta się miejscowych ludzi: co to za jedni ci cudzoziemcy, dziwnie ubrani i dziwnie pobożni? i słyszy odpowiedź: to prawosławni Rosyanie... zwykle całą drogę gdzieś aż od Moskwy albo nawet Simbirska pieszo odbywają z wielkim trudem, w głodzie i bez wygód wszelkich, i tutaj tak przykładnie zwiedzają i czczą święte pamiątki, że trudno od nich oczy oderwać.

Czy świadomie prawosławie postępuje, kiedy swoim pątnikom ułatwia drogę do Ziemi św.? Jeżeli tak, to używa potężnego środka, aby w oczy Kościołom wschodnim rzucić pozór, który utwierdza je w czci dla prawosławia.

Z drugiej strony z pociechą dodać trzeba, że i katolicy, zwłaszcza Francuzi, w ostatnich latach porwali się do czynu i dawne zakłady powiększyli i utworzyli nowe, w których miłosierdzie chrześcijańskie najczystszej wody kwitnie i innowierców zdumiewa. Zakłady innych wyznań są przeważnie zbudowane przez rządy ich i otwarte są prawie wyłącznie dla ludzi własnej narodowości; Francuzi z prywatnej kieszeni postawili gmachy, sprowadzili zakony, zakonnice, stworzyli szkoły, szpitale, gdzie przyjmują wszystkich dla miłości bożej, bez względu na religię i narodowość. Obecnie jest 58 takich fundacyj francuskich, a 101 innych katolickich zakładów.

Jeszcze bardziej na wschód i południe wysunięte leżą Kościoły odszczepionych Koptów, Nestoryan i Ormian. Ku nim opiekuńcza ręka wyciągnięta usiłuje przed nimi zakryć widok

Zachodu i Rzymu. Ale tu już Rzym zwycięskim krokiem idzie naprzód... dzieło jedności rośnie i nabiera sił.

Tak np. dobrze obznajomione z tamtejszymi stosunkami pismo *Bessarion* donosi, że wypadek, w katolickich krajach nierzadki, zaszedł dopiero pierwszy raz między Koptami i nadzwyczaj zastanowił chrześcijan. Kiedy w Europie szlachcic, książe albo królewicz zamieni koronę na biret, wtedy widok takiej pogardy świata, chociaż buduje, przecie nie zdumiewa jeszcze, jako niepojęte zjawisko. Wobec wschodnich odszczepieńców taki krok katolika, który depcze świat, nabiera rozgłosu niebywałego i z nieprzepartą siłą pociąga serca ku wierze powszechnej. Otóż dotychczas na służbę ołtarza nie puszczała swoich synów żadna koptycka rodzina zamożna, albo która zapisała chlubnie swoje nazwisko w dziejach narodu. Odszczepione duchowieństwo z dawien dawna spadło na stanowisko pogardzane tak powszechnie, że żaden Kopt szlachetnego rodu nie upatrywałby dla siebie chluby w stanie kapłańskim, choćby mógł łatwo wstąpić na wysoki szczebel w duchowieństwach cerkiewnych. Taki pogląd na stanowisko kapłańskie zarażał także chrześcijan zjednoczonych z Rzymem, Leon XIII. usiłował przysporzyć blasku duchowieństwu koptyckiemu: w tej myśli przywrócił dawną hierarchię z patryarchą na czele. Darmo; potomek rycerzy nie rozumiał, jak można wystąpić z krzyżem w ręku, nie z szablą. Aż rodzina Ghali wydała bohaterskie serce, które wstąpiło na nową drogę i czynem swoim sprawiło przełom w poglądach całego społeczeństwa. Ród ten sławę swoją nietylko odziedziczył po przodkach dawno wymarłych, ale także ją ciągle zwiększał zastępem mężów znakomitych aż do doby ostatniej. Za Mahomeda Alego Paszy w Egipcie piastował najwyższe urzędy El-Mosellem Ghali i zebrał wielkie zasługi wobec Kościoła rzymskiego, nagradzany za to szczególnemi oznakami przyjaźni przez poprzedniego papieża. Wnuk El-Mosellema, Kamel, po odbytych naukach świeckich w Bajrucie i Angers, słuchał w Rzymie wykładów filozoficznych, a następnie w Insbruku teologii, którą skończył ze stopniem doktora. Po powrocie do Egiptu uzyskał zgodę rodziny, żeby mógł święcenia kapłańskie przyjąć, i dostał je w Kairze

z rąk zastępcy patryarchy koptyckiego, Wieść o tem ściągnęła do katedry nieprzeliczone tłumy: najpoważniejsi członkowie zacnych rodzin muzułmańskich, a jeszcze liczniej odszczepieńcy spieszyli, aby na własne oczy oglądać niepojęty dla nich wypadek.

Skutki nie dały na siebie czekać długo. Pod koniec czerwca Rzym witał w swoich murach patryarchę koptyckiego, mgra Cyryla Makarego z jego sufraganem, tebańskim biskupem Gładesem Berzim: przyjechali przedłożyć Głowie Kościoła pisemne sprawozdanie ze stanu wiary między Koptami i ucieszyć cały Zachód pomyślnymi widokami na powrót odszczepionych Koptów do jedności kościelnej. Nadzieje te spoczywały na tylu objawach zwrotu umysłów ku katolicyzmowi, że można uważać je za oparte na pewnych podstawach, to też skłoniły papieża, że przystał na wszelkie środki, przedkładane przez patryarchę, aby zacieśnić węzły zgody między Koptami obu wyznań i połączyć wszystkich w jednej owczarni.

Po Koptach przyszła kolej na Ormian. Koptów przekonał widok ofiary, jaką ze siebie złożył Bogu dostojny potomek Ghalich; co na Ormian podziałało? — To tworzy zagadkę, może powiązaną z ich rzezią przeszłoroczną. Niektórzy sprawozdawcy owej rzezi każą przypuszczać, że jakiś chybiony krok Rosyi przy tej rzezi odstręczył od prawosławia serca Ormian. Jeszcze podczas samej rzezi zachodziły często wypadki, które mogą świadczyć, że liczni Ormianie cierpieli najwyraźniej jako chrześcijanie, najusilniej przekonani, że są w prawdziwej owczarni Chrystusowej. Bez żadnych ogródek zapytywany Ormianin, czy trwa przy wierze w Chrystusa, czy przyjmuje islamizm, odpowiadał: wierzę w Chrystusa, i ponosił śmierć, w której trudno nie dostrzegać prawdziwych znamion męczeństwa za wiarę. Również o czernicach ormiańskich najdokładniejsze opisy podają szczegóły, z których widać, że te dziewice najzupełniej za Chrystusa i cnotę obierały dobrowolnie śmierć, zamiast przystawać na islamizm. Z takich szczegółów można wnosić, że ci chrześcijanie w najlepszej wierze żyli poza ciałem Kościoła, duszą od niego nigdy nieodszczepieni. Po rzezi Rosya prawosławna

straciła dla nich urok, i to jeszcze doszczętniej, niż dla Rumunów po zaborze Bessarabii. Oby i Rumuni doszli do tego, co ogląda teraz Melitena w Kapadocyi: setki Ormian odstępuje od błędów odszczepieństwa i ze sobą wprowadzają do Kościoła przybrane dzieci: liczne sieroty po rodzicach straconych przez rzeź.

Także Chaldeja zapisuje objawy najpożądańszego zwrotu ku Rzymowi, szczególniej między Nestoryanami w Kurdystanie. Apostolska praca katolickiego patryarchy Jerzego Ebeda Kajjetha rodzi błogie owoce. We wsi Szoatie wróciło na łono Kościoła powszechnego czterdziestu czterech księży nestoryańskich między nimi jeden z miejscowym kościołem; we wsi Arwentoza piętnaście osób; w Matalu dwa kościoły ze stu pięćdziesięciu wiernymi; w Leseni dwadzieścia pięć osób z księdzem. W Dizza-Gawar misyonarze widzą dziwne dzieła tego ducha, który wieje, kędy chce; podporę w pracy apostolskiej znaleźli w samym kaimakanie tureckim, dotychczas muzułmaninie, Taharboku. W Mossulu przychodzą do patryarchy katolickiego całe wsie i gromady nestoryańskie z prośbą nie o spowiedź jeszcze, ale już o misyonarzy i szkoły dla dzieci. A taki zwrot ku katolicyzmowi u Nestoryan tem bardziej zastanowić zdoła, im mniej ich mogą czem olśniewać w Chaldei katolicy, albo okazać w sobie coś, coby Kościołowi nadawało zewnętrzny blask w ludzkich oczach. Biedni to górale, rozrzuceni po skałach gdzieś zatraconych pośród urwisk niedostępnych, sami słyszą naukę z ust księdza tak rzadko, że znają ledwo kilka nieodzownych prawd chrześcijańskich i znak krzyża, a już pacierza całego od wszystkich wymagać niepodobna. Więc nie w ich zewnętrznej ogładzie upatrują odszczepieńcy coś szczytnego, aby ich śladami zwrócić kroki ku Rzymowi: w sercu słyszą głos łaski.

Możnaby jeszcze wiele opowiedzieć, ale na tem czas przestać. Rzut oka na przytoczone tu szczegóły i wypadki, z dzienników po części znane, więc dość pewne, pokazuje, z jaką nadzieją można spoglądać na sprawę jedności kościelnej: z taką, jaką żywi sam Ojciec św. Jego słowa nie pobudzają do ludzkiej nadziei żadnej; liczą na oddźwięk w sercach tam, gdzie duch boży powieje. Słowa papieża same dźwięczą jak struna serca,

pełnego ojcowskiej miłości... ale darmo dźwięczy ta struna, póki nie znajdzie drugiej równo nastrojonej. A nastroić struny serca nie zdoła nikt, jeno sam Bóg. Więc widzimy zwrot dusz ku Rzymowi tam, gdzie działa środek nie ludzką ręką podany: tam widok tysięcy nędzarzy, którzy konają z głodu, byle w owczarni Piotrowej; tu widok misyonarzy, co rzucają wygody i sławę, aby świadczyć po krajach zapadłych o prawdzie; gdzieindziej inny czyn wzniosły, przechodzący siłę ludzką przemawia potężniej od przesądów prastarych.

Więc słowo Leona XIII. nie jest, Bogu dziękować, bezskuteczne, ale do pełnego urzeczywistnienia jego i naszych nadziei jeszcze daleko.

Ks. K. Czaykowski.

LUD W PODHAJECKIEM.

Od stacyi kolejowej Halicz, wjeżdża się na północny wschód w powiat podhajecki. Pierwsza wieś, którą się spotyka po drodze, Tustań, ma mieć nazwę od tego, że tu kończyły się zapędy tatarskie, rozbijając się o obronny Halicz, dawniej jak wiadomo, sławne historyczne miasto, dziś lichą żydowską mieścinę [1].

Okolica przedstawia się pagórkowato. Wózek podróżnego z dołu do góry, z góry na dół toczy się ciągle polną drogą; nieraz znajdzie się w kotlinie, otoczonej zewsząd wiankiem wzgórz, za któremi nic nie widać, jak tylko kawałek nieba. Po polach porozrzucane tu i owdzie kępy dębów, świadczą, iż kiedyś dawniej były tu szerokie obszary lasów dębowych, z których resztki, sądząc po objętości, nie bardzo stare, przechowały się

[1] Przyczynę upadku Halicza odnosi podanie miejscowe do XIV. w. W tym czasie mieszkał błogosławiony Jakób Strepa przy klasztorze, który miał stać w tem samem miejscu, gdzie obecnie ratusz stoi i w Haliczu miał stolicę arcybiskupią. Ponieważ mieszczanie bł. Jakóbowi i jego zakonnikom robili przykrości, przeto postanowił tenże przenieść stolicę do Lwowa. Mieszczanie chcieli biskupa gwałtem zatrzymać: obsadzili most na Dniestrze i wzbronili przeprawy. Wtedy to puścił się biskup z końmi i powozem wpław przez rzekę, która tu jest nie do przebycia. Kazał na środku Dniestru powstrzymać konie, a zagniewany pogroził miastu, iż za to, że biskupa swego nie umiało szanować, z odjazdem jego Bóg odejmie miastu swoje błogosławieństwo i przepowiedział upadek miasta taki, iż do dawnej świetności już więcej nigdy nie wróci. Wierzą też miejscowi, iż szkody, które Dniestr co roku wylewami sprawia, są skutkiem klątwy biskupa wówczas na miasto rzuconej.

jeszcze po polach i pagórkach, nieraz zupełnie nagich, lub ledwie lichą trawą porosłych. Poza wsią Horożanką, pagórki się wyrównywują, gościniec polski zmienia się na krajowy, na prawo i lewo ozdobiony zielenią dębowych lasów, piękna okolica Zawałowa szeregiem większych i mniejszych pagórków i porozrzucanych wśród nich parowów zamyka krajobraz, a potem równina bitym gościńcem, ciągnie się aż do Podhajec.

Na takim to terenie i wśród takiego otoczenia rozsiadł się po ubogich lepiankach lud, wśród którego od pewnego już czasu żyję i pracuję, śledząc z szczerem zajęciem jego trudy i pracę, jego położenie i obyczaje.

W dzień roboczy ubiera się tutejszy wieśniak w płótno domowego wyrobu, na to bierze kożuch lub gunię z owczej wełny. Głowę pokrywa w lecie kapeluszem pilśniowym barwy fioletowej, w zimie kołpakiem wełnianym białym z denkiem po wierzchu amarantowem; spotyka się też kołpaki białe z denkiem czarnem. Niewiasty stroją się w perkalikowe „kacabajki“ i takież spodnice różnokolorowe, o farbie krzyczącej niebieskiej lub czerwonej; na głowie u kobiet chustka związana w formę ściętego wierzchołka głowy cukru, z rozpuszczonymi i wtył spadającymi końcami frendzli.

Mieszka ten lud bardzo prymitywnie. Ponieważ w okolicy drzewa mało, robią sobie chaty z gliny. Lepianki te budują bardzo po prostu w następujący sposób: Nasamprzód robi się klatkę z belek dębowych, opatruje się ją kołami dębowymi podłużnymi, te przegradza się zwojami słomy zmieszanemi z gliną, wplata się zwoje między koły, po wierzchu zasmarowuje się chropowatości gliną, i dom stoi gotowy. Gdy wyschnie, robi się twardy, jak murowany. Ściany domu bielą wapnem lub też gliną. U podstawy ściany idzie półmetrowy szeroki pas, pomalowany najprostszą gliną a odgraniczony u góry wązkim czerwonym pasem, co od reszty ściany żywo odbija. Lepianki te mają tę niedogodność, iż w zimie łatwo mróz przepuszczają, dlatego osłaniają je gospodarze na zimę tak zwaną zahatą, tj. osłoną utworzoną z liścia drzew, badyli kukurudzy, słomy i t. d. Pomimo tej zewnętrznej osłony, w zimie bardzo dużo opału potrzeba,

aby było ciepło w tych mieszkaniach. Nadto jeszcze zabezpieczyć trzeba sufit, który kubek w kubek podobnie jak dom jest zbudowany; kładzie się więc na niego plewy. Lepianki komina wychodzącego na dach z reguły nie mają; sięga on jedynie do powały domu, skąd dym rozchodzi się swobodnie po strychu i owalnymi, w strzesze wyciętymi otworami uchodzi na zewnątrz. W czasie deszczu ilość nagromadzonej w powietrzu pary nie dopuszcza dymowi otworzyć sobie wyjścia na dwór, skutkiem czego przechodzi on przez wszystkie szczeliny strzechy, która cała dymiąca, wygląda w bujniejszej wyobraźni, jak mały Olimp w pośród obłoków. Chaty otoczone są gdzieniegdzie płotem kamiennym, częściej płotem z chrustu, który nakrywają z wierzchu ziemią, nawozem, paździerzem, aby go od wilgoci i gnicia ochronić.

Głównym zajęciem mieszkańców jest uprawa roli. Żyzność gleby jest tu średnia, a uprawiają na niej owies, jęczmień, kartofle, koniczynę; nie udaje się uprawa prosa i hreczki; najlepiej zaś opłaca się uprawa tytoniu i kukurudzy; na ostatniej lepiej wychodzą jak na pszenicy. Kukurudza jeżeli się uda, łodygi jej z liściem wpadają w lecie w kolor czarny, potem dopiero żółknieją. Między kukurudzą sadzą fasolę, zwaną „piechotą“, albo dynie, które jesienią jak olbrzymie złote jabłka pięknie odbijają w słońcu. Podwójną przynoszą one korzyść: owoc ich służy za karm dla bydła, a od biedy może być i dla ludzi użytym; ziarno wytłoczone daje olej do potraw. Zebrane szpulki kukurudzy (tak nazywają szypułki opatrzone owocem), zawiesza się po zbiorze popod strzechą i suszy na nasienie; szpulki te pozaczepiane jedna o drugą w długie ściany, malowniczo się złocą w promieniach słonecznych.

Uprawa tytoniu piękny przynosi dochód, ale też i uciążliwej wymaga pracy. Uprawiają trzy gatunki: różany, palatynat i galicyjski. Dochód z tytoniu przynieść może z ćwierci morga gruntu najwyżej trzysta, najmniej pięćdziesiąt złotych. Za kilo wagi uzbieranego tytoniu płacą w fabryce, jeżeli się należycie z uprawą postępowało, 47 ct.; gdy tytoń niedobrze wysechł, bierze się za kilo 16, a nawet ledwie 4 ct. Cena zależy od tego,

czy liście dadzą się użyć do zawijania cygar. Jeżeli wysuszą się w cieniu na wolnem powietrzu i nie połamią, dobrze za nie płacą; jeśli zaś wysuszą się źle, zamokną, grad je podziurawi, idą na tytoń do fajki, i wtedy zapłata bardzo licha. Ponieważ do należytego wysuszenia i nadania pięknego połysku tytoniowi potrzeba osobnej suszarni i stopniowej manipulacyi przy suszeniu i rozwieszaniu tegoż, a chłop o tem niema pojęcia, dlatego też i robota opłaca mu się wprawdzie, ale nie sowicie. Na ciężar tytoniu wpływa, jeżeli się go sadzi tuż obok drogi, bo wtedy kurz osadza się na liściach — często też chwytają się tego sposobu. Nasienia z tytoniu zbierać chłopom nie wolno; daje je do uprawy fabryka rządowa; nie powinno się też dopuszczać do kwiatu, jeśli chce się mieć rozwój liścia pokaźny. Chłopi, choć nasienia nie zbierają, dają tytoniowi odkwitnąć. Mróz jesienny często nie daje dojrzeć nasieniu, zmrożone liście tytoniu nie są do użycia — palić ich nie można.

Pewne dochody ciągnie też wieśniak tutejszy z chowu bydła, wcale zresztą lichego gatunku. Dla domowego pożytku bardzo popłatnym bywa chów prostych baranów i koni, o których powiadają, że są tatarskiego pochodzenia. Bardzo to nikczemne na oko stworzenia: nizkie, drobne, ale wytrwałe. Za to nierogacizna, bardzo pięknie na kukurudzy wypasiona, stanowi główny produkt handlowy, obok gęsi, których przy każdym potoku bieleją się spore stada. Tyle też grosza, co z tego przyjdzie, na podatek. Sprzedaż jaj pokrywa potrzeby domowe.

Lud tu też wcale niebogaty. Można powiedzieć, że jedna trzecia ludności wiejskiej ma się znośnie; reszta wiedzie bardzo ciężki żywot biedaków. Są to tak zwani zagrodnicy zarobkowi. Mają tu oni zarobek bardzo niewielki. Na pańskiem polu bierze robotnik w lecie 20 do 40 ct. dziennie; w zimie 15 do 20 ct. Za robotę akordową w lecie na kopę lub na korzec potrafi robotnik zyskać i jeden złoty dziennie; tego ostatniego środka chwytają się właściciele większych obszarów, gdyż inaczej nigdyby się zbioru nie doczekali, bądź co bądź nietyle z powodu lichej płacy, jak raczej dla ociężałości ludu do jakiejkolwiek roboty.

W stosunku prostym do pracy jest pożywienie. „Kołotniucha“, mąka kukurudziana, zasypana na wodę bez omasty, a często i bez soli, barszcz i kapusta, również często jałowe, ogórki kwaszone, zamiast chleba *pałanycia* tj. podpłomyk z mąki kukurudzianej — oto zwyczajne delicye tutejszego wieśniaka. Za to każdy gospodarz musi mieć tytoń, jeżeli nie „szwarcowany“ własny, to kupny; nie będzie jadł a palić musi. Oczywiście o mięsie i mowy niema, chyba na Wielkanoc i Boże Narodzenie. Średnio zamożni, używają do potraw masła i nabiału, które właśnie dlatego za pieniądze trudne jest do nabycia. Takie jest mniej więcej pożywienie codzienne. Skąd wziąść na lepsze, skoro jaja sprzedają się na drobne potrzeby domowe, a świnie na podatek. W niedzielę figurują na stole pierogi z mąki jęczmiennej lub pszennej pośledniej ze serem i kartoflami z dodatkiem śmietany jako omasty; te uchodzą za wielki specyał, którego jeżeli chory jeść nie chce, lub nie może, znak to pewny, że już niema nadziei o jego życiu. „On już i pierogów jeść nie chce“, mówi desperat, gdy go pytają o stan zdrowia kogoś chorego.

Co do zajęć i pracy, te kończą się na robotach około roli z końcem lata; w zimie mężczyźni młócą co latem zebrali, a ponieważ tu stodół dla braku drzewa niema, czynią sobie tok gdziekolwiekbądź na wolnem powietrzu. Uporawszy się z pracą około zboża, przepędzają resztę czasu na krętaninie około gospodarstwa; w braku tego zajęcia odpoczywają na przypiecku aż do wiosny. Niewiasty przędą w zimie wełnę, którą zużytkowują częścią dla siebie, częścią zaś sprzedają.

Lud bardzo jest ociężały do wszelkiego ruchu, stąd też chłopiec czy dziewczyna ani do rzemiosła, ani do służby nie idzie, bo ma wstręt do zajęcia; woli siedzieć w domu i głodować, aniżeli poszukać sobie jakiejś roboty. Chłop zasobniejszy dba przynajmniej jako tako o własne gospodarstwo, ubogi robić nie chce ani u siebie ani we dworze; goły, bosy, głodny, będzie siedział w domu, i nie można znaleźć sposobu, aby go zmusić do pracy. W dodatku nie można się cieszyć lepszą przyszłością, bo młodzież więcej jeszcze leniwa od starszych, więcej odwyka od pracy. Przy takich stosunkach wielki tu kłopot ze służbą; le-

dwie służący trochę pobędzie, wnet mu się sprzykrzy. Napędzać do roboty — źle, bo odejdzie; nie napędzać — i to niewiele pomoże, kaprysi we wszystkiem i szuka sposobności, byleby tylko służbę opuścić.

— Cóż to, źle ci, że odchodzisz? — pyta służbodawca.

— Albo ja wiem...

— Może za ciężka ci praca?

— Nie.

— Może za mało ci jeść?

— Nie.

— Czegóż chcesz?

— Ja wolę w domu.

A i ci, co się biorą do roboty, pracują niedbale i niesporo. Brak tu wszelkiej żywości, energii, inicyatywy. Chłop zawsze powolny, ospały, drzemiący, roboty nie patrzy, strzela przy niej oczyma, Bóg wie którędy, rozmyśla nad tem, aby tanim kosztem przyjść do czegoś. Jeśli chodzi o wygodę i oszczędzenie sobie wszelkiego wysiłku, potrafi być i przebiegłym. Ospałość nie opuszcza go nawet wtedy, gdy się pali we wsi: stoi z założonemi rękami i gapi się bezmyślnie, dopóki energiczne nawoływanie nie wyrwie go z gnuśnej bezczynności. Powiadają, że przyczyną ociężałości jest pożywienie, zwłaszcza kukurudzana mąka, mamałygą gdzieindziej zwana. Działaniu kukurudzanki mają nawet podlegać Mazurzy, którzy w te strony zachodzą: po dłuższym czasie stają się tak leniwi, jak i miejscowi. O ile ta przyczyna może być prawdziwą, niech rozstrzygają kompetentni.

Obok biedy, niechęć do zajęcia, wywołała przed paru laty emigracyę do Ameryki, gdzie spodziewano się znaleźć wszystko „za darmo“. Z całego powiatu wyszło do 200 rodzin. Chętka emigrowania obecnie osłabła, gdyż od wychodźców niewesołe dochodzą głosy. Ci, którzy pojechali do Brazylii, przepadli bez wieści, jak kamień w wodę wrzucony.

Daremnem okazało się zapewnienie jednego z wychodźców, dane na odjezdnem: „Jak będę w Brazylii, zaraz dam się ‚fortografować‘; jak będę podparty w oba boki, znak, że złota pełno

w obu kieszeniach — wtedy niech jedzie kto żyje; jak będę się trzymał ręką za głowę, znak, że niema po co jechać". Tymczasem ani słychu o fotografii i o pełnym nadziei awanturniku. Inni narzekają w listach, że źle się im dzieje. „Bodajby twoim dzieciom tak było, jak mnie teraz" — pisze jeden z nich rozżalony do sąsiada, z którym częste miał zatargi i przez nie właśnie zdecydował się wyjechać. Od wychodźców z Kanady dochodzą głosy, że żywot pędzą jako tako, ale dość mizernie.

Przedtem słynął powiat z pasiek, obecnie to upada. W drzewa owocowe obfituje okolica Podhajec; śliwki, wiśnie, bardzo gęsto się trafiają, podobnież gruszki i jabłka, które wysyłają nieraz aż za granicę i piękne zyski z tego ciągną. Zresztą po wsiach brak drzew owocowych, sady mają jedynie dwory; chłop sadzi wierzby, bo to nie kosztuje wiele zachodu. Gdyby zamiłowanie do sadownictwa rozbudzić się dało, miałby lud niemałe dochody, gleba tu bowiem bardzo do tego podatna.

Z bogactw ukrytych w ziemi, zasługuje na wzmiankę kamień wapienny, który ma tę własność, iż wystawiony na działanie mrozu, kruszy się sam od siebie i łupie w drobne kamyczki. Wydobyty z ziemi i wystawiony na ciepłe działanie powietrza, pochłania wielką ilość wody, tężeje i przydatnym jest do budowy pod dach. Nie używają go jednak chyba na budowę płotów; wydobywszy go wprost z ziemi, spajają błotem, z wierzchu pokrywają ziemią lub chrustem, aby go od deszczu uchronić; tłuką go też na szuter do gościńca. Palić z niego wapna sami nie umieją i wapno do budowy sprowadzają.

Prócz kamienia wapiennego znajdują się całe góry kamienia gipsowego. Jest to kamień bardzo piękny, bielutki jak alabaster, nieraz w rozmaite kolorowe żyłki zdobny, daje się rznąć piłą, a wypolerowany naśladuje marmur aż do złudzenia. Ale tu niema go komu polerować; najhaniebniej ociosany siekierą, używany jest co najwyżej do fundamentów pod budynki. Coby to z tego za wspaniałe kafle być mogły! Ileby z tego zysku mógł mieć wieśniak? Niestety, niejedną rzecz mamy wartościową, ale nie umiemy jej użyć.

Z wyrobów miejscowych chyba garnki gliniane, wyrabiane

we wsi Korcowej, warte wspomnienia. Z wyrobów domowych zasługują na wzmiankę piękne wyszywania niewieście na kołnierzach, przodach koszul i naramiennikach, uskuteczniane za pomocą czerwonej włóczki, a znane pod rozmaitemi nazwami, jako to: fasolki, cyganki, okienka i t. d. Pewien nauczyciel zebrał tych wzorów do dwieście.

Do rzędu zajęć zyskownych po wsiach, można policzyć sklepiki kółek rolniczych, oczywiście w przyszłości. Z początku lud, zwłaszcza ruski, podejrzliwie na ten ruch spoglądał.

— *Oho, Laszki sia zbyrajut, szczoś budć.*

— Ano, polskie „woćko".

Dziś przyszedł lud do przekonania, że sklepiki to rzecz pożyteczna i korzystna, gdyż, jak sami wyznają, jeden złoty przynosi 85 cnt. rocznie. Ale niesumienność prowadzących sklepiki nie może dopuścić już nie do rozkwitu, ale przynajmniej do tego, aby się jako tako opłacały. Ledwie z wielką biedą się trzymają. W dodatku chłop ma większe zaufanie do Żyda niż do katolika. U Żyda drożej płaci a chętniej kupuje; wtedy idzie jedynie do katolika, gdy u Żyda towarów brak. Zawiść też psuje interes.

— Co on ma się puszczać na lekki chleb — woła chłop — gdyby to był jeszcze jaki szlachcic albo pan, to nie mówię, niechby handlował — ale chłop do pracy stworzony, niech ciężko robi, jako i ja.

Sklepiki tedy katolickie, a wraz z nimi Kółka rolnicze wegetują, ale nie prosperują. Dobre i to na razie.

Pomimo ociężałości, lud jednak garnie się chętnie do oświaty, posyła dzieci do szkoły, w której uczą się przynajmniej czytać i pisać. Owszem, w miejscach, gdzie szkoły są nieobsadzone, utrzymują wieśniacy własnym kosztem przez zimę prywatnego nauczyciela, który na starą modę płatny bywa „od numeru" po 10 lub 20 cnt. i wiktuje się „po numerach", tj. każdego dnia u innego gospodarza. Tania to szkoła i wygodna. Dzieci przez zimę się uczą, w lecie zaś wolne od nauki pomagają w pracy rodzicom, a rezultat nauki, jak dla chłopa, zupełnie wystarczający, gdyż wyuczą się jako tako czytać i rachować.

W potocznej mowie używa lud jedynie języka ruskiego, tak po wsiach, jak i po miastach. Polacy do swego obrządku słabo są przywiązani. Pierwsza lepsza przeszkoda, nieraz umyślnie wyszukana, wystarczy, aby opuścić kościelne nabożeństwo a pospieszyć do cerkwi, szczególniej, gdy kościoła w miejscu zamieszkania niema. I nietylko ludność polska z dawien dawna tu osiadła, uległa ruskim wpływom otoczenia; ulegają im prędko i ci, co tu z Mazurów świeżo napłynęli. Mazurzy po paru latach zapominają polskiego języka i mówią albo wyłącznie po rusku, albo też posługują się mięszaniną, złożoną z języka polskiego i ruskiego: trzy słowa po rusku, jedno po polsku. Zapytani, dlaczego nie trzymają się swego języka, odpowiadają, iż większość tu mówi po rusku.

Tu i ówdzie spotyka się po wsiach szlachtę chodaczkową, mówiącą przeważnie, choć nie wyłącznie po polsku. Nosi się ona z miejska, ubiera w tandetne „cajgowe“ szmaty, a prócz zwykłego, z chłopem jej wspólnego lenistwa posiada sporo nieszlachetnych nałogów: jest kłótliwa, lubi się o lada co procesować, włóczyć po kwestach na cele kościelne, po targach i jarmarkach bądź to dla handlu, bądź też jako faktorzy. Hulałaby, gdyby było za co, i używałaby, gdyby było z czego. Za dobrą stronę poczytać im można poczucie honoru szlacheckiego. Kto w ten punkt uderzy, łatwo z nimi dojdzie końca.

Jeden z tutejszych właścicieli większego majątku, gdy mu się razu pewnego chodaczkowi sąsiedzi w grunt worywali, a żadne przedstawienia nic nie pomagały, owszem wywoływały opór coraz to zaciętszy, zaczepił o punkt honoru szlacheckiego.

— Tak to robią szlachcice?! Jak świat światem, jeszcze się żaden szlachcic kradzieżą nie splamił; gdyby to wasze dziady i pradziady tego byli świadkami...

Jeszcze nie skończył, a już napastnicy upamiętali się i na wszystko zgodzili.

— Panie, niech pan tego nie mówi, niech pan wszystko bierze, a na nasze szlachectwo nie wygaduje.

Zarozumiali też są na to swoje szlachectwo. Gdy przychodzą dawać na zapowiedzi, proszą, aby w nich głosić „szlachetnie

urodzony", a na poparcie swej sprawy przynoszą z sobą legitymacye. Niektórzy z nich przeszli z czasem na obrządek ruski, ale i ci mają swoje szlachectwo w wielkiem poszanowaniu. Lubią się też chełpić, gdy co dobrego zdziałali. Za dobrą stronę poczytać im trzeba, że w niektórych miejscach pobudowali kościółki, lub też w znacznej części do ich budowy się przyczynili. Z jakich to nieraz małych początków te kościółki powstały, stwierdza opowiadanie jednego z tej chodaczkowej szlachty:

— Mieliśmy w naszej wsi bractwo. Przy każdym pogrzebie składaliśmy na światło, każdy po 4 centy. Tak było z dawien dawna. Przez pożyczki i ściągnięte stąd procenta uzbierało się z czasem aż tysiąc reńskich. Co tu robić z tymi pieniądzmi? rada w radę: budujmy kaplicę. Był tu „jeden" kanonik, który wszędzie, gdzie się dało, budował kaplice lub kościoły, — ano zebraliśmy się, i dalej do niego, bo znał się na tem. Kanonik wysłuchał i powiada:

— Co tam kaplica, kościół budujmy.

— A budujmy — zawołaliśmy.

— Kanonik zaraz napisał do naszej dziedziczki, bośmy jadąc od niej list do kanonika wzięli, że nie kaplicę, ale kościół „stawiać" będzie; pani dziedziczka dała mało co nie połowę i teraz mamy swój kościół i swego księdza. Ano wygoda aż miło, nie trzeba po słocie i błocie iść do parafialnego kościoła.

Takie kościółki i kaplice łać. obrządku mają tu wielką doniosłość. Ot weźmy np. pogrzeby. Odbywają się tu one nie w łacińskim kościele parafialnym, ale po wsiach, gdzie się grzebie umarłych na cmentarzu wiejskim. Gdzie niema łacińskiej kaplicy, tam Polak bierze z cerkwi do pogrzebu krzyż, chorągwie i światło, w cerkwi odprawia się egzekwie, lud w ten sposób do cerkwi się przywiązuje, pamiątki drogich osób, które w niej po raz ostatni spoczęły, zapisują mu ją pamięci i czynią nawet droższą od kościoła.

Co prawda, kościółki pobudowane po wsiach, zwane urzędowo ekspozyturami, i los kapłanów przy nich, wcale nieświetny. Miło się robi Polakowi, gdy przy wjeździe do wsi, powita go kościółek z krzyżykiem, wystrzelającym w górę ponad wieżyczkę,

ponad senne strzechy wysoko, bardzo wysoko... ale gdy się wejdzie na plebanię i obejrzy bliżej kościółek, trudno się opędzić od posępnych myśli i uczuć. W jednem miejscu kościółek żelaznymi pościągany ankrami, na wszystkie popodpierany boki, grozi w niedługim czasie upadkiem; w drugim w gotyckie wieżyczki, wcale zresztą piękne, pozapadały się krzyże żelazne aż poza ramiona; o trzecim zapewniają parafianie, że nie długo postoi, bo mury bardzo słabe. Wnętrze odpowiada całkowicie zewnętrznej formie. Widać wszędzie wysiłki staranności, ale też widać i brak sił do podołania dobrym chęciom.

— Jak ja tu do porządku dojdę — biada ekspozyt — konkurencya idzie na kościół macierzyński, składki niedzielne mało co przynoszą; rób co chcesz, niema na reparacyę kościoła, niema na pomieszkanie i budynki gospodarskie, jakże tu wyjść z kłopotu?

— Nie próbuje też ksiądz dobrodziej zapukać do parafian?

— Skarżą się na złe czasy, ciężko im idzie.

Cichemu biadaniu duszpasterza wtórują żale organisty na temat osobistych niedoborów.

— Mam ze składek rocznej pensyi 60 złr.; już trzy lata nie zapłacili, nasz ksiądz powiada, abym jeszcze „był“ i czekał; toż czekam, a nie wiem, jak to będzie?

Niewesołe to widoki na przyszłość!

Lud tutejszy ma różne miejscowe zwyczaje, których starannie przestrzega. Potrącę przynajmniej niektóre. Zwyczaje pogrzebowe polegają na tem, iż umarłemu dają do rąk małą świeczkę woskową, którą zapalają przy odprawianiu w domu modlitw kapłańskich nad ciałem; dzieciom wkładają prócz tego woskowy pierścień na palec i przywiązują białą chustkę do ręki, podobnie białe rozwinięte chusty przywiązują do krzyża i dwóch chorągwi w czasie procesyi pogrzebowej, na znak niewinności życia. Chłopcu wkładają w trumnie na głowę kołpak, w braku tego czapkę baranią; gdy niema odpowiedniej do wzrostu, kładą taką, jaka jest w chacie, byleby była nowa, lub mało używana. Rusini umieszczają w głowach zmarłego miskę gotowanej pszenicy. Podobnież przy zaduszkach, czyli nabożeństwach żałobnych za umarłych przynoszą do cerkwi miskę pszenicy ugotowanej

z miodem, w którą na wierzch wkładają trzy bułki, albo trzy czerwonawe jabłka. Pszenica ta nazywa się *koływo* inaczej *kutia*, ma ona oznaczać ciało zmarłego: jak z ziarna rodzi się kłos, tak z ciała zmarłego ma powstać życie, zmartwychwstanie. Miód oznacza słodkość życia po zmartwychwstaniu, jabłka zwykle piękne — zacność dobrych uczynków. Pszenicę tę przynoszą z cerkwi do domu i od niej zaczynają ucztę zaduszną; pierwszy bierze z niej kapłan, który w domu jeszcze modlitwy za zmarłych odprawia, a potem każdy z biesiadników kosztuje wspólną łyżką z jednej miski, która musi odbyć wędrówkę po całej chacie. Jest też w zwyczaju, iż przy zaduszkach, nim chleb krajać zaczną, składają go w ręce kapłana, który podnosi go po kilka razy na dłoni do góry, śpiewając równocześnie *Wicznaja pamiat'*. Czynność ta ma oznaczać, iż na głos modlitwy kapłańskiej ofiara idzie przed tron Boży.

Na Wielkanoc puszczają skorupki poświęconych jaj na wodę. Jest to bardzo dawny zwyczaj, który — jak mówią — miał powstać w tym celu, aby jeńcom trzymanym w tatarskiej niewoli dać znać o wesołem „Alleluja“. Twierdzą też na pewno, że skorupki te woda unosi i po kilku tygodniach na nowo przynosi. Prócz tego, jak na całej Rusi, tak i tu jest w zwyczaju śpiewanie *hahułek* czyli *haiłek* koło cerkwi. Wspominam tu o tem jedynie dla odrębnych pieśni, które w tych stronach są w użyciu, i dla zwyczaju upatrywania sobie wtedy przyszłej małżonki wśród dziewcząt zawodzących w koło cerkwi taniec.

Pierwszy siew na wiosnę odbywa się w ten sposób, iż kładą na rolę wielkanocny obrus i bochenek chleba. Paschę wielkanocną ususzoną dają bydłu do obroku i chowają przez cały rok; to samo tyczy się święconego ziela, opłatków na Boże Narodzenie — wszystko to przechowuje się i daje bydłu w razie choroby. Na Boże Narodzenie palą *diducha*. Pod tą nazwą rozumieją słomę, którą na Boże Narodzenie pokrywają pomost chałupy. Palą ją wieczorem, lub nad ranem; kładą na krzyż, zapalają i ogień przeskakują; wierzą, że to w ciągu roku ma chronić od choroby.

Ks. Antoni Rokosz.

DZISIEJSZE STANOWISKO MEDYCYNY.

Wieki są sekundami w postępach ludzkiej wiedzy.

Humboldt.

Zaszczycony uprzejmem zaproszeniem Redakcyi *Przeglądu*, wzywającem mnie do skreślenia krótkiego rzutu oka na obecny stan medycyny teoretycznej i praktycznej, czynię o tyle z chęcią temu życzeniu zadość, że uważam za obowiązek każdego z adeptów nauki lub sztuki dzielić się z szerszym ogółem zdobyczami wiedzy i historyą jej rozwoju. Z drugiej strony jednak świadom jestem trudnego zadania, jakiego się podjąłem, i nie mogę przystąpić do zamierzonej przez nas wspólnej wędrówki naukowej bez poczynienia pewnych zastrzeżeń, i bez porozumienia się co do programu naszej pogadanki.

Wszak, wedle przytoczonego wyżej cytatu, w postępie wiedzy wogóle, a tembardziej jeszcze w postępie nauk ścisłych „wieki są sekundami“, które w lot uchwycić trudno i w kilku słowach streścić to, co dla każdej z nich jest najbardziej charakterystycznem. Jak na zegarze sekunda jedna jeszcze prawie nie minęła, gdy druga już nastaje, tak w nauce jedna teorya upada, gdy na świeżych gruzach druga powstaje; trudno nieraz w odmęcie poglądów i w walce świateł z cieniami uchwycić od razu przewodnią nić naukowego rozwoju; trudną też obserwacya ruchów wskazówki na zegarze postępu wiedzy, choć piękną i interesującą. Z jakiego stanowiska, w jakiem świetle, a przede-

wszystkiem w jakim zakresie, obserwacyę tę wspólną przedsiębrać zamierzamy, powinno być pierwszem pytaniem nas tu obchodzącem, jeżeli wspólna wędrówka naukowa ma być przyjemną i korzystną.

Kto wstępuje do świątyni Eskulapa, by w niej gorliwie pracować na pożytek ludzkości — mówił niedawno sławny Virchow — straszny zastaje tam chaos. Nie nam tu rozstrzygać, o ile to twierdzenie należy brać *à la lettre;* niewątpliwie jednak ogrom teoryj i poglądów, setki spostrzeżeń co chwila dokonywanych w pracowniach i klinikach, krocie dzieł i rozpraw, sypiących się jak z rogu obfitości, a walczących ze sobą nieraz zawzięcie o słuszność i prawdę, usprawiedliwiają poniekąd zdanie wielkiego uczonego. Wstąpić z czytelnikiem w sam środek tego chaosu, zapoznać go pobieżnie z sprzecznymi poglądami obozów naukowych i pozostawić go wśród lasu szczegółów na pastwę przeróżnych myśli, byłoby chyba rzeczą i niemiłą i niepożyteczną; przeciwnie lekarz, który zawsze pamiętać winien o tem, że jest *non solum medicus, sed civis,* odsłaniając przed ogółem tajniki swej wiedzy, nie ma prawa podkopywać zaufania i szacunku dla nauki, której postępy są wielkie, a zadanie doniosłe. Jego obowiązkiem obywatelskim raczej jest podkreślać w swem opowiadaniu przy każdej sposobności odkrycia, przyświecające ludzkości jasnością niezbitej prawdy, i powiązać przewodnią nicią zdobycze wieków; rzeczy zaś niepewne lub sporne i prace nad niewyjaśnionemi dotąd zagadnieniami przyrody osłonić przed złośliwą krytyką, która częstokroć chce sądzić o wielkości dzieła nie z tego, co już zrobione, lecz z tego, czego jeszcze niema. Z tego wszystkiego, cośmy powiedzieli, wyczytać można potroszę kierunek, w którym pisać zamierzamy. Stan obecny medycyny, to przepiękny pomnik z marmuru, nad wykuciem którego pracują i pracować będą pokolenia i wieki; choć niewykończony jeszcze, piękny on jest i piękniejszy staje się z każdą chwilą. Nad głównemi jego liniami, nad mistrzowskiemi uderzeniami dłuta uczonych zastanowimy się dziś wspólnie; na boku jednak pozostawimy odłamki, które do całości nie

należą, na boku również pył, któryby nam oczy mógł zaprószyć i przeszkodzić w oglądaniu wielkiego dzieła.

Wędrówki naszej wspólnej wśród dylematów nauki lekarskiej nie myślimy bynajmniej pozbawiać pewnego krytycyzmu. Aż nadto jesteśmy przekonani, a i ogół czytelników pewnie z nami, że zamiast fundamentalnej budowy łatwo powstać może fantastyczny gmach nadpowietrzny, gdy w nauce, a zwłaszcza w przyrodniczej, wyobraźnia zbyt zapanuje nad trzeźwością spostrzeżenia. Nie myślimy też pokryć zasłoną milczenia błędnych dążeń, starających się sprowadzić medycynę na manowce i zedrzeć płaszcz powagi z tej gałęzi wiedzy, która jest *par excellence* i sztuką i nauką zarazem. Jeżeliśmy się jednak zastrzegli z góry przed pewnym kierunkiem przedstawiania faktów jako konglomeratu sprzecznych i chaotycznych spostrzeżeń, to uczyniliśmy to tylko dlatego, aby uczynić nasz cel bardziej przejrzystym. Będziemy po prostu mówili tu o tem, co dotąd, a zwłaszcza w ostatnich czasach, zrobiono w medycynie teoretycznej i praktycznej, co odkryto, co ulepszono, co zbadano; będziemy o tem wszystkiem mówili krytycznie i treściwie, a możliwie przystępnie; pominiemy jednak zupełnie wszystko, coby się przyczynić mogło do zamącenia jasności naszego szkicu. Niech się łaskawemu czytelnikowi zdaje, że przebiega pobieżnie galeryę obrazów, której nie ma czasu zwiedzić dokładnie; chętnie opuści chyba dziesiątki dzieł, aby dłużej się zatrzymać przed pracą mistrzów, a i tam nęcić go będzie nie styl ram i gatunek płótna, lecz koloryt i kształt, naturalność i twórczość, myśl i sposób wcielenia tej myśli w formę zewnętrzną.

I.

Pisze gdzieś Brodziński o uczonych, że pamięć ich

. . . . . czeka równa w potomności chwała,
Czy głoszą cuda świata, czy drobnego ciała.

A więc ci, co mozolną pracą dotrzeć usiłowali do poznania najdrobniejszych składników ciała ludzkiego, do zbadania ich budowy, do zrozumienia ich funkcyi, nie ustępują miejsca, ni zasługi tym, którzy wyśledzili drogę zakreśloną ciałom nie-

bieskim. A nie tak dawnych to czasów dzieło pełne chwały: poznanie „cudów drobnego ciała“ i nie tak starą jego historya. Wprawdzie anatomia czyli nauka o budowie organizmu ma swoją kolebkę w wieku XVI., jednakowoż dopiero nasz wiek nadał jej zupełnie odrębny kierunek przez odkrycie komórki w r. 1838, będącej najmniejszym składnikiem każdej tkaniny ludzkiego ciała, a zarazem siedzibą funkcyj życiowych; również fizyologia czyli nauka o czynnościach organizmu, sięga do pierwotnych prac Harwey'a, sławnego wynalazcy krążenia krwi (1619), jednakowoż dopiero w wieku bieżącym rozwinęła się z nadzwyczajną szybkością i na odrębne weszła tory z powodu wspomnianego odkrycia komórki. Od pół wieku tedy przy pomocy noża i szkła powiększającego, anatomia i fizyologia, jako dwie siostrzyce, ku wspólnemu idące celowi, choć nieco odrębnemi drogami, zapuszczać się zaczęły w badania, uwieńczone coraz to świetniejszymi rezultatami. Jak trudno sobie uprzytomnić, że taki prosty fakt, jak obserwacya Galvani'ego nad skurczem łapki żabiej, stał się podstawą nauki o elektryczności i przyczyną olbrzymiego rozwoju dzisiejszego handlu i przemysłu, tak też nie łatwo uwierzyć, iż do tak niedawna nie wiedzieliśmy jeszcze z czego się składamy my i nasze otoczenie, nie znaliśmy materyału, z którego zbudowane są organizmy, nie zgłębiliśmy fundamentalnych podstaw, na których się opiera cała dalsza medycyna teoretyczna i praktyczna. Od tych też podstaw wypada nam rozpocząć i naszą pogadankę.

Gdyby poruczono dziś jakiemu znakomitemu malarzowi zadanie narysowania typu współczesnego anatoma, nie namalowałby go z pewnością, jako — starca, pochylonego z nożem nad martwem ciałem, lecz przedstawiłby raczej uczonego, w głębi zapełnionej aparatami pracowni, wśród retort i przyrządów, a może pochylonego nad mikroskopem, pozwalającym mu analizować budowę tkanin, dla oka niedostępną. W tym obrazie streszczony jest już stan obecny anatomii. Poznawszy w ciągu wieków, z jakich organów ciało ludzkie się składa, i przekonawszy się, że każdy z tych organów zbudowany jest z drobniutkich tworów, zwanych komórkami, stara się ona dziś zgłębić

jeszcze bardziej prawa natury i bada coraz skrupulatniej już nie kształt tych organów, gołem okiem widzialnych, a znanych mniej więcej dokładnie, lecz misterną budowę komórek, z których one się składają. Wiadomo chyba każdemu w ogólnym zarysie, że według dzisiejszych zapatrywań nauki, z tych komórek, przedstawiających pierwiastkową postać ustrojową, składa się każdy organizm zwierzęcy, zarówno najniższy jak i najbardziej skomplikowany. Im wyżej postępujemy po szczeblach organizacyi, tem więcej występuje na jaw podział pracy pomiędzy poszczególnemi grupami komórek; i tak w ustrojach najprostszych, z jednej lub kilku komórek złożonych, taki element pierwiastkowy żyjący, tam wypełnia wszystkie funkcye życiowe, tj. porusza się, odżywia się, wydziela, oddycha i t. d.; w organizmach zaś wyższych grupują się szeregi takich elementów w pewne całości, narządami zwane, wypełniają tylko pewne czynności i w pewnym niejako kierunku wykształcone. Anatom zatem wiedząc np., że do tkanek przenosi z płuc ożywcze gazy nie krew jako taka, lecz konglomerat komórek krwi czyli ciałek krwi, bada dziś budowę i skład każdego takiego ciałka; wiedząc również, że ślinę wydziela nie gruczoł ślinowy jako całość, lecz kupka komórek ślinowych, z których każda ulega podczas czynności pewnym przeobrażeniom, bada każdą taką komórkę z osobna, i to nietylko zewnętrznie, lecz to, co się w niej dzieje, co zachodzi w jej częściach składowych i w jej misternej budowie. Na tem to polu w ostatnich czasach zdziałała anatomia ogromnie dużo, a zdobycze jej są zdumiewające. Kto rzuci okiem raz jeden na rysunki przedstawiające choćby samą sprawę rozmnażania się komórek, czyli wytwarzania się nowych komórek ze starych, na tę rozmaitą budowę jąder i jąderek komórkowych, na ciekawe ze wszechmiar rozpadanie się substancyi chromotynowej podczas powstawania komórki jądra na drobne części w postaci pętlic lub haczyków, na oddalanie się ciałek biegunowych i powstawanie cieniutkich niteczek wrzecionowatych, na szereg wreszcie podobnych procesów, których opisywanie zaprowadziłoby nas tu za daleko, — uderzyć musi czołem przed temi zdobyczami nauki i przed prawami życia, objawiającemi

się w łonie tego mikrokosmu, zwanego komórką, który tyle w swojem wnętrzu zawiera dziwów. — Jeżeli astronom za widzialnym śmiertelnikowi światem widzi światy, to prawdziwy anatom przy pomocy swych szkieł światy odkrywa w łonie tego najmniejszego światka, jakim jest komórka. Na tem jednakże anatom, badający zewnętrzny kształt i budowę wewnętrzną ciała ludzkiego nie poprzestaje dzisiaj. Łącznie z anatomią porównawczą czyli nauką o powinowactwie istniejącem między formą zwierząt a budową ich organów oraz łącznie z embryologią czyli nauką o powstawaniu organów w stopniowym jednostkowym i szczepowym rozwoju, anatom odszukuje coraz liczniejsze ogniwa łańcucha, łączącego pomiędzy sobą wyższe i niższe ustroje, uzupełniając hypotezami luki tego łańcucha.

Łatwoby nam bardzo w tem miejscu ześliznąć się z zamierzonego tematu, zaczepić o prawa filogenezy i ontogenezy, pomówić o Darwinie, Haecklu i Huxley'u, lecz to nie jest naszym celem. My tylko chcemy zaznaczyć, jaki jest stan obecny w jednej z najważniejszych nauk podstawowych medycyny, tj. anatomii, oraz objaśnić co znaczy obijające się nieraz o uszy wyrażenie nowego „kierunku morfologicznego“ w anatomii. Otóż najlepiej będzie, sądzę, gdy w odpowiedzi na obchodzące nas pytanie, streszczając wszystko, cośmy dotychczas powiedzieli, użyjemy przystępnego porównania.

Co anatomia zrobiła dotąd? Oto przez trzy wieki badając niby podróżnik zewnętrzną i wewnętrzną konfiguracyę lądów i mórz, określiła wszystko, co tylko było dla oka widoczne, a nawet i to, co oku niedostępne; nie przesadzimy też, jeśli powiemy, że geografia ciała ludzkiego jest znaną w najdrobniejszych szczegółach i w najmisterniejszych zarysach. Oto przeszłość anatomii i historya jej dotychczasowego rozwoju; a jakiż stan obecny i przyszłość? Oto wykazanie przyczyn ostatecznych powstawania i organizacyi ustrojów i wniknięcie w siły twórcze, które wytworzyły kształty jako widomy swój produkt. W tym też celu i na tej drodze coraz to nowsze ciosają się głazy do wspaniałej naukowej budowy, a choć nie zawsze udaje się umieścić je od razu na odpowiedniem miejscu, to jednak gmach

wznosi się coraz wyżej, a wstęga genetycznego związku przyczyn i skutków rozwija się coraz wspanialej w myśl starego zdania Linneusza, iż natura skoków nie zna: *Natura non facit saltum.*

II.

Od badań, zajmujących się wytłumaczeniem zjawisk organizacyi istot żyjących, niedaleko chyba do pytania, gdzie są granice tej organizacyi i czem właściwie jest życie. Innemi słowy mówiąc, od anatomii do fizyologii skok niedaleki, a nawet chcąc ściślej się wyrazić, od anatomii do fizyologii tak blizko, że bez siebie nauki te rozwijaćby się nie mogły. Gdzie bowiem anatomia badaniem tworów, powstających wśród warunków prawidłowych, do głębszych nie może doprowadzić wyników, tam musi się uciekać do eksperymentu, do fizyologicznego doświadczenia, stwarzając dla organizmu sztuczne, ale ściśle określone stosunki, badając wynikające stąd zmiany i formułując prawa, określające stosunek tych zmian i ich wzajemną zależność. Anatomia ciągle ma przed oczyma pytanie: „co jest?“ — fizyologia zaś pyta: „jak jest i dlaczego tak jest“. Mimowoli nasuwa nam się tu na myśl sławne zdanie Danta: *Non men, che saver dubiar m'aggrati,* według którego równą rozkosz przynoszą świadomość i wątpliwość, znane i nieznane, osiągnięcie celu i dążenie ku temu celowi; objaśnianie bowiem zagadkowych praw funkcyj życiowych jest celem fizyologii, a z chwilą, w którejby wszystkie zjawiska życiowe były nam znane, fizyologia stałaby się nauką martwą. Warunkiem życia i rozwoju nauki, o której teraz mówić mamy, jest właśnie istnienie zagadnień nieznanych lub wątpliwych, których rozwiązywanie jest jej treścią i hasłem. Jeżeli anatomia zatem jest nauką o f o r m a c h żyjącego organizmu, a poniekąd nawet, wedle dzisiejszego kierunku, o p o d s t a w a c h życia, to fizyologia jest nauką o p r z y c z y n a c h i o b j a w a c h tego życia. Określenie bardzo wyczerpujące i subtelne, lecz zarazem i niebezpieczne. Słusznie bowiem czytelnik mógłby nas w tem miejscu zainterpelować i zapytać, czem jest życie i co o życiu nauka dziś myśli? A odpowiedź na to pytanie jest

tak ciężka, jak ciężką walka między obozami uczonych, kruszących kopie w tym względzie. Musielibyśmy po kolei rozpatrzeć zapatrywania fizyologów i filozofów, walkę witalizmu i mechanizmu, pojęcia monizmu i dualizmu, a to wszystko zaprowadziłoby nas znowu na zawiłe tory, zbaczające może od głównego naszego celu. Aby jednak choć w części zadość uczynić ciekawości czytelnika, mającego prawo zapytać nas o współczesne zapatrywania fizyologii, kilka rzucimy tu luźnych wyjaśnień w tym względzie.

Wiadomo, że według spółczesnej filozofii, albo, powiedzmy raczej, według pewnej spółczesnej szkoły filozofów, liczącej najwięcej zwolenników, życie określa się jako zdolność przystosowywania się do warunków zewnętrznych i odpowiadania zmianami na zmiany w otoczeniu. Obok tego określenia panuje w nauce pojęcie czysto fizyologiczne życia jako przemiany materyi i to w pewnym stałym porządku, w pewnym biologicznym cyklu przemiany otaczającego środowiska na rozłożone, proste związki. Oba te określenia są głęboko obmyślane i szeroki mają zakres; każdy jednak łatwo spostrzeże ich braki. Określenie pierwsze bowiem o przystosowywaniu się do otoczenia stosuje się zarówno do ciał żywych jak i martwych; a subtelna różnica istniejąca między przystosowywaniem się ciał martwych a ciał żywych właśnie w tem określeniu nie jest zaznaczona. Każdy laik zrozumie to dobrze, że zamarzanie wody lub wyciąganie się struny jest także przystosowywaniem się wody i struny do przyrody, a mianowicie do temperatury otoczenia; jakiż jednak skok szalony między energią martwej przyrody, która tylko przez działanie sił zewnętrznych może być wywiązaną, a życiem jestestwa, które energię wciąż związuje i wciąż pokrywa straty ponoszone przez pracę. Skok ten starają się uchwycić badacze teoryi nauk przyrodniczo-lekarskich i do określenia o przystosowywaniu się dodają dwa wyrazy: przystosowywanie „ilościowo niezależne, bezustanne“; czy jednak do tego ostatniego pojęcia nie należy jeszcze dodać klauzuli: „bezustanne, dopóki nie ustanie życie“, pozostawiamy do rozstrzygnięcia najprostszej logice samego czytelnika. Mimowoli przypomina się

ów sławny paradoks o rozumie, twierdzący, iż w pojęciu nic niema prócz chyba samego rozumu: *in intellectu nihil... nisi intellectus ipse.*

Druga definicya życia, czysto fizyologiczna, określająca je jako przemianę materyi, również ma swoje poważne i swoje słabe strony. Nikt dziś nie wątpi, że zwierzęta różnią się od roślin zdolnością wykonywania ruchów, a zwierzęta z roślinami razem w jedną całość wzięte, od reszty świata, czyli od świata martwego zdolnością przyswajania części otaczających i zamieniania ich na własne ciało oraz zdolnością rozmnażania się. I jedno i drugie jest przemianą materyi w myśl starego zdania Śniadeckiego, który twierdził, że „życie w powszechności jest przemianą formy, a w danej formie przemianą materyi"; określenie to jednak nie obejmuje tych organizmów, o których nie wątpimy, że żyją, a które mimo to przez pewien czas bez wilgoci, np. przez lata całe przejawów życia nie okazują, a potem w odpowiednich warunkach znowu odrodzić się potrafią. Szwankuje zatem trochę zarówno teorya o przemianie materyi, jak i teorya o przystosowaniu się, choć na tak poważnych oparte są podstawach; nic też dziwnego, że uczeni zajmujący się filozofią nauk lekarskich, przestają wymagać od nich określenia życia, a żądają tylko badania jego praw i objawów, twierdząc, że i tak definicya zjawiska określa pojęcie, a samego zjawiska nie tłumaczy.

Skoro już jesteśmy przy teoryach i określeniach życia, słów parę jeszcze o samorództwie i o monizmie. Są to wyrazy, obijające się ciągle o uszy, a może niejednego interesować będzie, co o tych pojęciach dzisiejsza fizyologia myśli? Teorya samorodztwa, tłumacząca, jak wiadomo, początek życia, drogą powstania istot żyjących wprost z materyi martwej, upadła od czasów badań Pasteur'a, a dziś każdy fizyolog i każdy przyrodnik wogóle hołduje zasadzie, że tylko z komórki powstać może druga komórka i tylko z żyjącego organizmu druga istota żyjąca: *omnis cellula e cellula, omne vivum e vivo; en passant* wspomnieć jednak muszę, że pewna część fizyologów, do których należą Helmholtz i Pflüger, skłonną jest do przyjęcia samo-

rodztwa w pewnej bardzo oddalonej epoce historyi kuli ziemskiej lub nawet na innych planetach, które to hypotezy jednak kwestyi nie rozjaśniają, lecz ją raczej odsuwają. Co się zaś tyczy monizmu filozoficznego, przypuszczającego, że każdy atom materyi obdarzony jest pierwiastkiem duchowym, i monizmu biologicznego, obdarzającego atomy pierwiastkiem życia, to wspomnieć chyba tyle o nich tu można, że zdaniem fizyologii są to piękne i nęcące hypotezy, które w zasadzie są pozbawione podstaw naukowych. Lepiej się przyznać, że czegoś nie wiemy, lub, że niezupełnie dziś jeszcze oznaczyć możemy, niż tworzyć sztuczne definicye, nieokreślające samego zjawiska i niezmieniające *de facto* stanu rzeczy. Niemniej przecie nauka, która do dziś dnia nie wyjaśniła zagadki początku życia na ziemi, ogromne poczyniła zdobycze na polu wyjaśnienia objawów tego życia i praw niemi rządzących, o czem z kolei rzeczy, na zakończenie tego rozdziału, pomówić wypada.

Jeżeli o anatomii powiedzieliśmy, że zbadała najdokładniej całą niejako geografię ciała ludzkiego, to o fizyologii dodać można, że zna dziś z małymi wyjątkami funkcye każdego z tych narządów, których budowę i kształt określiła jej starsza siostrzyca. Jeżeli ze względów czysto praktycznych anatomia ma za sobą tę zasługę, że pozwala dziś chirurgowi zapuścić swój nóż z pewnością prawie matematyczną, to o fizyologii powiedzieć można, że pouczyła chirurga, czy jaka część organizmu jest dla życia potrzebna, czy też wśród pewnych warunków koniecznych da się wyrzucić bez ujmy dla całokształtu czynności ustroju. Jeżeli wreszcie anatomia lekarzowi chorób wewnętrznych wskazała granice prawidłowej budowy i prawidłowych rozmiarów narządów, poza któremi zaczyna się choroba, to fizyologia wskazała granice prawidłowej funkcyi, poza któremi ustrój zdrowym zwać się nie może i leczonym być musi, nawet wtedy gdy nic nie dolega, bo złe jest blizkie, a niebezpieczeństwo w zarzewiu. Do tego wspaniałego ogromu zdobyczy doszła fizyologia przy pomocy trzech głównych środków: jednym była obserwacya czynności organizmu, organu, lub części organu w warunkach normalnych; drugim sztuczne wytworzenie normalnych

warunków, czyli sztuczne naśladowanie przyczyn, wywołujących czynności; trzecim wreszcie wycięcie narządu i obserwowanie, co w organizmie, pozbawionym części składowej, stanie się nowego lub co ze znanych rzeczy przestanie się odbywać. Naturalnie, że nie obeszło się tu bez wezwania nauk, z fizyologią spokrewnionych, do pomocy. I tak fizyka wyjaśniła prawami hydrostatyki krążenie soków w organizmie, prawami optyki i akustyki odbieranie wrażeń zmysłowych, a prawami mechaniki zasady i postacie ruchu; chemia, zastosowana do potrzeb fizyologii, czyli t. zw. chemia fizyologiczna zbadała skład chemiczny narządów i tkanek, oraz podciągnęła pod swoje prawa wszystkie procesa i przemiany, zachodzące w łonie żywego organizmu; histologia wreszcie, czyli nauka o drobnowidzowej budowie tkanek, śledziła objawy życia i funkcye żyjącej komórki przy pomocy swych metod i szkieł powiększających; nad wszystkiem zaś, jako główny kierownik, rozpostarł swe skrzydła zmysł krytyczny, analizujący i kontrolujący wszystko, a przedewszystkiem sam siebie.

III.

Na pograniczu niejako między czysto teoretyczną medycyną a czysto praktyczną, stoi kilka nauk, o których powiedziećby można, że one miarą organizmu zdrowego mierzą zboczenia chorobowego ustroju. Nie chcę przez to powiedzieć, iżby to były nauki stosowane; owszem są to działy wiedzy zupełnie samodzielne, o osobnej historyi, o własnych metodach badania i o odrębnych nawet na pierwszy rzut oka celach. Nie da się jednak zaprzeczyć, iż w łańcuchu gałęzi wiedzy lekarskiej stanowią one niejako pomost między teoryą a praktyką. Mam tu na myśli anatomię patologiczną i patologię ogólną, z których pierwsza jest anatomią, a druga fizyologią chorego ustroju. Już w samej definicyi spotykamy się z pojęciem „choroby“, pojęciem tak trudnem do określenia, jak wogóle w naukach przyrodniczych odgraniczyć niełatwo normę od stanu anormalnego i prawo od wyjątków; śmierć bowiem i jej przyczyny są właściwie także prawami natury, a trucizny niektóre życiu zagra-

żające, w każdym normalnym wytwarzają się ustroju, będąc przedmiotem badań zarówno fizyologa jak i patologa. Najodpowiedniejszem może określeniem nauk, o których teraz pomówić mamy, będzie tedy wyrażenie użyte powyżej: „nauk mierzących ustrój chorobowo zmieniony miarą organizmu zdrowego"; miara ta jednak jest subtelną, a w pewnych granicach może nawet nieco dowolna, oparta na konwencyonalnej umowie lub wysnuta z prawidłowo powtarzających się faktów; miarę tę wybudował sam umysł ludzki na podstawie swych spostrzeżeń; miarą tą jest wedle przytoczonego motta... sam człowiek. Jeżeliśmy anatomię patologiczną i patologię nazwali anatomią i fizyologią chorego ustroju, to w tych kilku słowach umieściliśmy już jak najdokładniejszą definicyę zakresu tych nauk i ich znaczenia dla medycyny. Nie może bowiem być mowy o leczeniu choroby, gdy się nie zna zmian, które ona wywołuje w budowie i w funkcyach narządów. Jakiż tedy jest dzisiejszy stan tych dwóch nauk o zmianach budowy i funkcyj i jakie czynniki zaważyły na szali ich rozwoju?

Jeżeli na anatomię i fizyologię normalną niemały w ostatnich czasach wpływ wywarło, jak to we właściwem zaznaczyliśmy miejscu, odkrycie komórki, to na anatomię i fizyologię patologiczną wpływ ten także odbić się musiał. Pierwsza z tych nauk, tj. anatomia patologiczna, postawiona na wysokim stopniu rozwoju przez Bichat'a w szkole francuskiej, a Rokitańskiego w niemieckiej, była już wprawdzie od czasu pojawienia się prac tych badaczy nauką poważną, ujmującą w system ścisły i różniczkowy szereg kazuistycznych spostrzeżeń, dokonanych pracą szeregu pokoleń na narządach i tkankach ustroju ludzkiego po jego śmierci. Dopiero odkrycie komórki tchnęło jednak w nią nowe życie, a nie przesadzimy zupełnie, jeśli do niej także zastosujemy owo słynne zdanie Virchowa, iż „główne zagadnienia nauki przyrodniczej spotykają się w badaniach nad objawami życia komórki". Rzeczywiście też anatomia patologiczna dzisiejsza zowie się i jest *de facto* anatomią patologiczną komórki czyli patologią celularną; toteż analiza tego wszystkiego, co po śmierci znajdujemy w komórkach, w ich konglomeratach i w ich

wzajemnym stosunku, staje się dziś dla lekarza zarówno kryteryum słuszności, dokonanych za życia spostrzeżeń, jak i źródłem odkrycia nowych praw i nowych prawd.

Taki sam wpływ wywarła nauka o komórce na siostrzycę anatomii patologicznej, tj. na patologię ogólną, czyli fizyologię chorego ustroju; to też rozwinęła się ona znacznie w czasach ostatnich, walcząc nawet o palmę pierwszeństwa z anatomią patologiczną. Nie trudno przyjdzie czytelnikowi zrozumieć, że do pojęcia choroby nie wystarcza oglądanie zmian postaciowych; potrzeba uchwycić także i pojąć nieprawidłowy mechanizm działalności chorobowo zmienionych narządów, czem się właśnie zajmuje patologia ogólna, używając do swych celów tych samych środków eksperymentalnych, którymi fizyolog przeprowadza doświadczenia na ustroju zdrowym. Niektórzy badacze przepowiadają nawet, iż w przyszłości głównie na niej się oprze terapia, badając i lecząc nie narządy i ich stan, lecz chorobowo zmienioną działalność i funkcyę; zgliszcza, powiada jeden z nowszych myślicieli, nie określają istoty wojny, a zmiany pośmiertne nie określają istoty choroby, leczyć zaś należy istotę choroby, a nie jej skutek. Czy ten wyłaniający się powoli kierunek funkcyonalny terapii stoczy walkę z kierunkiem anatomo-patologicznym i jak ją stoczy, nie nam tu przeceniać należy; w każdym razie, jak na dzisiaj, faktem jest, że wspólne zdobycze patologicznej anatomii i fizyologii są podstawą sztuki leczniczej i że bez ich znajomości lekarz przypominałby wojaka, który z zamkniętemi oczyma wymierza razy naokoło siebie, obdarzając nieraz razami i własnych przyjaciół.

Obok nauki o komórce na rozwój anatomii patologicznej i patologii wpłynęła także w ostatnich czasach młoda lecz ważna gałąź nauk lekarsko-przyrodniczych, a mianowicie bakteryologia, która w krótkim czasie wstrząsnęła pojęciami lekarskiemi aż do samych podwalin.

O wpływie bakteryologii na terapię i chirurgię w innem pomówimy miejscu; tu niech nam wolno będzie zaznaczyć tylko tyle, że odkrycie drobniutkich tworów pasorzytniczych, będących specyficzną przyczyną każdej choroby, a przynajmniej większej

ich części, musiało się stać wogóle faktem przełomowym w dziejach medycyny, a patologowi w szczególności dać klucz do pojmowania przyczyny choroby, do formułowania praw walki ustroju z czynnikami chorobotwórczymi, do ułożenia wreszcie racyonalnej systematyki patologicznych przyczyn i skutków. Nauka dzisiejsza nie posiada jeszcze broni na wszystkie choroby, i kto wie, kiedy ją zdobędzie; w każdym jednak razie, z wyjątkiem kilku chorób nerwowych ogólniejszej natury, poznała przyczynę prawie wszystkich chorób, a i to wiele już znaczy zbadać dokładnie placówki wrogów naszego zdrowia i życia. Bakteryologia nie poprzestała jednak na wykryciu samego istnienia tych drobnych tworów, których miliony zmieściłby można łatwo w kropelce krwi lub ledwo widzialnym kawałeczku tkanki. Wspólnie z anatomią i fizyologią patologiczną zbadała ona prawa ich życia, poznała okoliczności, które sprzyjają ich rozwojowi, i warunki, kładące kres ich szybkiemu rozmnażaniu się. Ostatnich to czasów zdobyczą, że wiemy, jak zarazek wchodzi do ustroju, jak się rozwielmożnia i wytwarza t o k s y n y trujące, jak organizm rozpoczyna walkę z zarazkiem, pochłaniając go za pomocą ciałek białych krwi lub wytwarzając zobojętniające jad przeciwtrutki czyli a n t y t o k s y n y. Ostatnich to również czasów zdobyczą, że własność tę wytwarzania przeciwtrutek spożytkowano w celach leczniczych, szczepiąc zwierzęciu coraz większe ilości bakteryj; zwierzę w ten sposób przyzwyczajone do trucizn nietylko staje się na nie niewrażliwem, czyli mówiąc po naukowemu, o d p o r n e m, lecz w krwi jego gromadzi się taka ilość przeciwtrutki, że krew tę lub część jej zwaną s u r o w i c ą użyć można do leczenia ludzi chorych na odnośną chorobę zakaźną.

Szczepienie ochronne ospy i karbunkułu, leczenie wścieklizny i dyfterytu na tem właśnie polegają, a czyż tych parę doniosłych przykładów nie wystarczy dla udowodnienia realnej korzyści badań bakteryologicznych. Postępy te mnożą się z dniem każdym na polu czystej teoryi i teoryi, stosowanej do potrzeb codziennego życia; a choć tu i ówdzie słyszeć można, iż ojców bakteryologii, wielkiego Pasteur'a i Koch'a, na polu praktycznem

częściowe spotykały zawody, to jednak zasługują oni na sławę nieśmiertelną przez odkrycie prątków chorobotwórczych, przez opisanie środków osłabiających ich jadowitość (suszenie, ciepłota, przeszczepianie), przez zastosowanie wreszcie szczepień ochronnych. Pod tę ostatnią naukę zwłaszcza silne podłożyli podwaliny; dalszych prac jest rzeczą doprowadzić do kompletnego tryumfu człowieka nad każdą bakteryą.

Jeżeliśmy się zastanowili tak długo przy omawianiu kilku gałęzi teoretycznych, to uczyniliśmy to dlatego, iż przedmioty, którymi się te nauki zajmują, są kwestyami podstawowemi dla całokształtu nauk lekarskich. Wszak sprawa powstawania organizmów, teorye pochodzenia i walki o byt, prawa życia ustrojów zdrowych i chorych są zagadnieniami, obchodzącemi każdego myślącego człowieka; jakżeby więc mógł od nich się uchylać lekarz-przyrodnik, mający obowiązek pojmować całość nauk biologicznych trzeźwo i krytycznie? Przeciwnie, według utartego powszechnie mniemania, stwierdzonego praktyką życia, postęp w medycynie praktycznej idzie w parze, a nawet zależy od rozwoju medycyny teoretycznej, która lekarza za młodych jeszcze lat nauczyła myśleć mądrze a rozważnie i stosować do praktyki codziennej wyniki nauk przyrodniczych. Ideałem lekarza jest dziś tylko ten, który nietylko to wybiera, co bezpośrednią przynosi korzyść, lecz, spoglądając poważnie na świat naukowy, uczestniczy w ogólnem dążeniu do poznawania prawdy. Jak każdy z adeptów Eskulapa doskonale przekonany jest o tem, że uczy się anatomii i embryologii, fizyologii i chemii nie p o m i m o tego, iż jest lekarzem, lecz właśnie d l a t e g o, iż nim jest, tak też i my dzisiaj w krótkim rzucie oka na stan obecny medycyny podkreślimy u samego wstępu rozwój teoryi nauk lekarskich, nie p o m i m o tego, iż właściwym punktem ciężkości naszego tematu jest medycyna, jako sztuka leczenia, lecz właśnie d l a t e g o, iż postępy tejże uwarunkowane są rozwojem teoretycznych jej podstaw.

(Dok. nast.).

Dr. J. Zanietowski.

Z NANSENEM „PRZEZ LODY I NOC".

(Dokończenie).

Straszne musiały być męczarnie tej drogi, skoro mimo boleści zawodu samo postanowienie odwrotu wywołało na razie u wędrowców tylko uczucie ulgi i zadowolenia; tego dnia przynajmniej najedli się do woli, poczem „syci i weseli wleźli do ukochanego worka, zwąc go najlepszym swym przyjacielem", zdecydowani choć raz porządnie się wyspać. Następnego dnia, 8 kwietnia wyruszyli na południowy zachód — z powrotem. Nansen spodziewał się równych poprzednim trudności; tymczasem lód okazał się tak równym, tak łatwym do przebycia, że wyjść nie mogli z podziwu. Przyczyną było, że zamiast iść w poprzek wałów lodowych teraz wzdłuż nich postępowali; tam nawet, gdzie przyszło wzgórze przekroczyć, rzecz poszła z wielką łatwością. Za to rowy pomiędzy krami poczęły się na seryo dawać we znaki. Przebywając jeden z nich jeszcze cienkim lodem pokryty, sanie Nansena załamały się wraz z całym psim zaprzęgiem i woda już ze wszystkich stron tryskała, gdy Nansen gwałtownym ruchem sanie pociągnął w tył i na twardym lodzie osadził. Trzeba było szukać innego przejazdu; tu nowa nastąpiła kąpiel, aż w trzeciem miejscu, gdy już obaj podróżni padali ze zmęczenia, udało im się dostać do drugiego brzegu. Tego dnia zasnęli tak szybko, że zapomnieli nakręcić zegarki... Gdy się zbudzili, oba już stały — odkąd? Trudno było odgadnąć. Słońce zawsze o tej porze na niebie obecne, nie mogło im być do-

kładną wskazówką. Jedynym sposobem było wymierzyć punkt długości i szerokości, na którym się znajdowali, i porównując go z wynikiem poprzedniego wymiaru, według różnicy obliczyć czas.

Owa ustawiczna jasność dnia, acz właściwie dogodna, była powodem pewnej nieregularności w ich życiu. Wprawdzie liczyli jeszcze wieczory i ranki, ale przestali według nich mierzyć czas pochodu lub spania. Szli dopóki mogli, a potem spoczywali pewną liczbę godzin, nie zważając, czy się kładą z rana, w południe, czy o północy. Dzień Wielkanocy przesiedzieli spokojnie, obchodząc święto sutszym nieco obiadem; zresztą Nansen poświęcił cały dzień obliczeniom matematycznym, spisując logarytmy marznącemi palcami. Termometr znaczył jeszcze —26° C., wszelako słońce dogrzewało tak mocno, że Nansen, który 16 kwietnia zboczył był z drogi w poszukiwaniu za jednym z psów swego zaprzęgu, po raz pierwszy żalił się na gorąco. Gdy powracał do sań, zrobiło mu się na chwilę słabo. Za to Johansen, który ten czas spokojnie sobie na kajaku przesiedział, grzał się i drzemał, ciesząc się, że mu po raz pierwszy jest dobrze. Ruszyli dalej, ciepło jednak nużyło ich i usypiało, postępowali nadzwyczaj wolno, to też, kładąc pychę na bok, około 10 godz. przed poł. rozbili namiot. Od rozpoczęcia odwrotu uszli już byli 90 kilometrów; 22 w ciągu ostatniego dnia. Pomimo to, gdy dnia poprzedniego Nansen obliczył, że zeszli dopiero na 85° 57′ szer. półn., wzbudziło się w nim podejrzenie, że go kry na złość i na przekór teraz znów ciągną na północ.

Za to oni teraz posuwali się prędzej od lodów, spiesząc ku południowi, ku ciepłu. Pogoda sprzyjała im ustawicznie; oprócz paru dni mglistych, widzieli wciąż nad sobą, odkąd odeszli od Framu, niebo bez chmur, jaskrawem światłem zalane. Chyba żadne stworzenie nie cieszy się tak do ciepła, jak człowiek; zda się, jakoby z żywszym obiegiem krwi odtajały władze umysłowe, a nawet i uczucia serca. Nasi wędrowcy, odkąd mogli odmarznąć na słońcu i rozgrzać się w futrzanym worku, odzyskali nadzieję, iż kiedyś do domu powrócą. A nadzieja ta musiała być równie silną ponętą dla stęsknionych, jak odpoczynek

dla znużonych członków, skoro w jej blasku niknął gdzieś w zapomnieniu ból z niedopięcia zamierzonego celu. W pierwszych dniach co prawda fizyczna rozkosz stłumiła wszystko: podobni byli do biednego sołdata, gdy na zapytanie: jaka jest największa radość na świecie, odpowiadał naiwnie: Kiedy biją, biją i przestają bić. Termometr *notabene* wahał się jeszcze między —20° a —30° C.

Marsze teraz dziwnej były długości, po 30 lub 35 kilometrów na dzień. Ludziom szło raźnie, ale psy nużyły się, boć od jakich dziesięciu dni wyczerpały się wzięte dla nich zapasy i odtąd trzeba je było zabijać kolejno na pożywienie dla drugich. Oczywiście zaczęto przez słabsze i te, które nie umiały zawrzeć z ludźmi przyjaźni. Nansen wszakże do końca nie mógł się przemódz, gdy chodziło o rolę oprawcy; widząc to poczciwy Johansen brał na siebie przykry obowiązek, spełniając swą krwawą funkcyę za jakimś kantem lodowca, kędy ani towarzysz ani tamte psy dostrzedz go nie mogły.

Dnia 21 kwietnia napotkali wielką belkę do połowy sterczącą z lodu. Był to piękny kloc sybiryjskiego drzewa, od dawna już zapewne wędrujący po morzu. Johansen wyrył na nim pierwsze litery imion Nansena i swoich, poczem z westchnieniem zostawili za sobą wspaniałą zdobycz, przy której byliby mogli niejeden obiad uwarzyć. Aliści nieco dalej natrafili na tropy lisa, świeże tropy skierowane na zachód: był to pierwszy ślad życia spotkany w czasie wędrówki. Za tym tropem ukazał się drugi; widocznie para lisów buszowała w pośród lodowców. Co tu robiły? Skąd przyszły? Czyżby się jaki ląd znajdował w pobliżu? Serca podróżnych zadrgały; złudzenie zwiększały jeszcze wysoko spiętrzone bryły rzecznego lodu, powleczone gliną i piaskiem, co im nadawało pozór szeregu skał. Te wprawdzie mogły, podobnie jak belka, przypłynąć z brzegów Syberyi — wszak nawet około 86° szer. Nansen kawały gliniastego lodu spotykał — tam jednak nie było ich tak wiele. Im dalej szli, tem więcej było tropów... Napróżno obliczenia wykazywały, że najbliższa ze znanych ziem, Petermannland leży o 220 kilometrów w oddali — wszystkie oznaki zwiastowały sąsiedztwo lądu.

Z tą myślą zaczęła się nowa męczarnia: namiętna żądza dotarcia do ziemi, choćby skalistej, jałowej, wiecznym pokrytej śniegiem; toć już dwa lata niemal nie widzieli nic oprócz lodu. Nansena rwała tęsknota za bezpiecznym gruntem pod nogą, za kołysaniem fal wolnego morza. To też z radością powitał widok pierwszej odmarzłej przerwy pomiędzy krami. Nie była to już struga, ale istne jeziorko, którego woda poruszała się lekko i świeciła do słońca. Puścili się wzdłuż brzegów, chcąc je okrążyć, gdy naraz jeziorko poczęło w ich oczach się ścieśniać, aż na jednym punkcie zupełnie się zawarło. Kry biegnąc naprzeciw siebie zderzyły się, lód w oka mgnieniu się spiętrzył, a podróżni niesieni ku niemu przez drugi lodowy wał, cudem prawie przedarli się z saniami i psami, wśród trzasku i grzmotu walących się brył. Takich dróg chyba Dante w piekle nawet nie widział! Za innym razem, już w pierwszych dniach maja, gdy z powodu strasznej zawiei i wichru przerwano pochód i Nansen cicho ułożył się do snu, poczuł naraz lód trzeszczący pod sobą, a równocześnie dosłyszał głuchy, aż nadto znany łomot ciśnienia, dochodzący od wału, pod którym rozpięty był namiot. Przez chwilę jeszcze pomyślał, że przecież lepiej byłoby wstać i oddalić się zanim bryły lodowe na nich się zwalą. Był jednak tak zmęczony, że usnął. Śniło mu się trzęsienie ziemi, a gdy się zbudził wszystko już było spokojne.

Nie dziw, że podobne przejścia budziły coraz większe pragnienie dotarcia do lądu. Chwilami zdawało się podróżnym, że już jest blizko, że go czują w powietrzu; natężali wzrok, aby wybrzeża zobaczyć. Droga tymczasem stawała się znów uciążliwą. Rowy, w zimie pełne nieprzebytych brył i czeluści, obecnie zamieniały się w strugi, to cienkim, zdradliwym lodem pokryte, to płynącą drobniejszą krą i snyżem, to znów zupełnie wolną toczące się falą. Lodowce poruszały się i w nowe zbijały kształty pod ostrem słońcem wiosennem. Liczba psów zmniejszała się w sposób zastraszający, a te, co jeszcze żyły, słabły z dniem każdym; ludzie też gonili ostatkiem sił. Sam Nansen pragnął czasem paść i nie podnieść się więcej. Od połowy maja niebo zachmurzyło się, wicher niosący śnieżyce zmuszał do częstego

spoczynku. Nadto nierówność lodu utrudniała jazdę na nartach. W chwili zaś, gdy się je odjęło, nogi tonęły w miękkim, głębokim śniegu. Gdzież był ów ląd upragniony? Gdzież wolne morze, po któremby doń dopłynąć można?

Dnia 30 maja Nansen stał na szczycie wzgórza i niemal z rozpaczą spoglądał w dal. Niebo tego dnia było jasne; a na niem ponad brzegiem widnokręgu ze wszystkich stron widniał odblask wody; u dołu jednak rozciągała się wkoło powierzchnia lodu, kończasta, zgruchotana, niezdatna ani do jazdy, ani do pochodu, ani do płynięcia kajakiem. Przyszło prawie przeklinać ciepło, za którem wprzódy tęsknili. „Biada tym — myślał Nansen — co się w tę straszną sieć lodów dostaną!“ Podczas jednak, gdy tak się trapił, usłyszał u stóp swych ruch i sapanie i ujrzał ciemny grzbiet wieloryba, dobywający się z wody. Była to odpowiedź Opatrzności, zapewnienie, że przynajmniej z głodu nie zginą, skoro nawet w tych pustkach są żywe stworzenia. Dalej nieco usłyszeli szelest, za szelestem głośne gwizdanie i wnet czarne skrzydła petrela zamajaczyły na białości śniegów. Jeszcze dalej ukazała się foka, a choć do żadnego z tych zwierząt nie mieli czasu się zmierzyć, przecież widok ich wlał im świeżą otuchę: „gdzie tyle było życia, tam i pustynia widziała się mniej martwą i nadzieja wyzwolenia bliższą“. Jako wyzwolenie zaś rozumieli nie już powrót do kraju, lecz tylko dotarcie do lądu, zanim się zapas żywności wyczerpie, „do tego lądu, gdzie Payer obawiał się paść śmiercią głodową, gdyby nie był statku swego odnalazł. Prawda, że Payer nie błąkał się po krach przez $2^1/_2$ miesiąca między 86 a 83° szer. półn., nie spotykając żywego stworzenia“.

Odblask wody coraz wyżej widoczny na niebie był talizmanem, który biednym wędrowcom dał siłę przedarcia się — z jakim trudem Bóg jeden wie — przez najstraszliwsze zapory. Dwa dni potem wszakże przyszli nad przerwę tak wielką, iż Nansen, chodząc wzdłuż brzegu przez $1^1/_2$ godziny, nie znalazł suchego przejścia. Przytem śnieg padał, co się teraz codzień niemal zdarzało; nie było rady, jak rozpiąć namiot i czekać, czy się kry do siebie nie zbliżą. Struga jednak, zamiast się zwę-

żać, zamieniała się w istne jezioro, a gdy po kilku godzinach snu wyszli z namiotu, ujrzeli się dokoła otoczeni wodą, po której płynęła kra, służąca im za schronienie. Zaczęła się tedy robota nad sporządzeniem i obleczeniem kajaków; że zaś przy przeciąganiu wśród brył lodowych ucierpiały nie mało, trzeba im było kilka dni poświęcić. Znajdowali się na 82° 17′ szer.; dnia 6 czerwca, termometr po raz pierwszy wyjrzał o parę kresek nad zero. Naprawa zajęła tydzień, a odpoczynek, choć przymusowy, okazał się zbawiennym; po paru dniach siły powróciły im w całej pełni — sen i apetyt chyba nie opuściły ich nigdy. Teraz jednak należało już jadło ważyć i dzielić na porcye... Szczęściem udało się upolować dwie wielkie białe mewy: pierwszy kawałek świeżego mięsa od odejścia od Framu.

Kajaki przemakały po trosze, ale cóż było robić? Włożyli na nie worki, namiot i sanki i przejechali na drugi brzeg lodu. Tu droga znów była straszna; Nansen tak długo czasem błądził, szukając przejścia, iż Johansen mienił go straconym. „Czas po większej części był mokry, mglisty, obrzydliwy“; pod nogami chlapanina wody i śniegu. Dzień po dniu przynosił te same trudy, te same biedy, do których w końcu domieszał się głód. Ptaki nie przychodziły na strzał, zapasy znikały szybko; z 28 psów już trzy tylko zostało. Po paru dniach trzeba było jeszcze zabić jednego, a tym razem i ludzie spożyli z krwi jego polewkę. Należało dla ulżenia ciężaru pozbyć się ze sanek wszystkiego, co nie było niezbędnem; nawet ukochany worek futrzany miał paść ostracyzmu ofiarą. Był już wprawdzie zużyty i miejscami świecił łysiną, a przytem ciężki był od wilgoci, byłby jednak mógł dalej służyć. Ta nieszczęsna wilgoć przenikała teraz nietylko odzienie, ale niemal i skórę ludzką, odkąd śnieg padał z deszczem zmięszany. Mokro było od dołu, mokro od góry, mokro przy każdej przeprawie w przesiąkniętych kajakach, mokro nudno i głodno. Naraz pojawiła się foka, dostała kulą w łeb i wraz przy pełnym żołądku poprawił się humor podróżnych. W parę dni potem padła druga; nigdy Sardanapal tak na swych ucztach nie użył.

Spokojni chwilowo o żywność, postanowili zatrzymać się

nieco, poczekać aż deszcz, który zaczął rzęsiście padać, do reszty śnieg stopi na lodzie. Na cześć tego deszczu — tym razem dobroczynnego — Nansen ugotował czarkę czekolady (miejmy nadzieję, że „mięsnej"), która miała być spożytą z surową słoniną z foki. Cieszyli się na ten specyał, jak dzieci, Nansen tymczasem nieostrożnym ruchem wywrócił czarkę, wylewając drogocenny płyn. Wytrwały jednak w tem, jak we wszystkiem, nastawił drugą porcyę i stał, czekając cierpliwie przy lampie, gdy nagle jeden z psów, Kaifas począł wyć przeraźliwie. Nansen wyjrzał i obaczył dużą niedźwiedzicę, która szła prosto na uwiązane psy i już jęła je obwąchiwać. „Skoczyłem po sztuciec — pisze — niedźwiedź tymczasem przystanął był i patrzał na mnie zdziwiony. Posłałem mu kulę przez łopatkę i głowę, pewien, że padnie na miejscu, ale zachwiał się tylko i pochylił naprzód, a potem zawrócił i poszedł. Zanim miałem czas nowy nabój wyciągnąć z kieszeni pełnej najrozmaitszych drobiazgów, już był gdzieś między wzgórzami. Niepodobna mi było wziąść go na cel, puściłem się tedy w pogoń, a za mną skoczył Johansen. Zaledwie uszliśmy kilka kroków, dojrzeliśmy na przedzie dwa nowe łby. Były to niedźwiadki, które stojąc na tylnich łapach czekały na idącą ku nim matkę. Chwiała się i broczyła krwią za każdym krokiem. Spotkawszy się, wszystko troje razem przebrnęły przez lodowy rów, zaczem dzika już poczęła się gonitwa przez wzgórza, parowy i bryły. Dziwna to rzecz, zapał myśliwski: tam, gdzie kiedyindziej bylibyśmy z największym drapali się trudem, teraz przebiegliśmy lekko, wszelkie przesadzając zapory.

„Niedźwiedzica ciężko była ranna, powłóczyła przednią łapą i szła z widocznym trudem, a przecież ledwie mogłem ją dognać. Młode biegały niespokojnie dokoła niej, to znów szły przodem, jak gdyby ją chciały za sobą pociągnąć: nie pojmowały, co jej się dzieje. Naraz wszystkie trzy obejrzały się na mnie, który z całych sił biegłem na nich. Parę razy już miałem je dość blizko, ale nie chciałem strzelić, gdyż niedźwiedzica była wciąż do mnie odwrócona tyłem, a miałem tylko trzy naboje przy sobie — na każdą sztukę jeden. Nakoniec, gdy stara

wyszła na wzgórek, wymierzyłem w bok, strzeliłem i padła. Młode strwożone rzuciły się ku niej, aż doprawdy żal było patrzeć. Biedactwa kręciły się koło matki, trącały ją, obwąchiwały na wszystkie strony, biegały tu i ówdzie, nie wiedząc, co począć z rozpaczy. Tymczasem wsunąłem do strzelby drugi ładunek i strzeliłem do jednego z nich, stojącego na wyższym nieco wyłomie; zawył głucho i legł obok matki. Ostatni, bardziej jeszcze przerażony niż wprzódy, przybiegł mu na pomoc, ale cóż mógł poradzić biedaczek? Stał i patrzał to na drugiego niedźwiadka, który wił się ryczące po lodzie, to na matkę, dogorywającą w kałuży krwi. Gdym się doń zbliżył, odwrócił obojętnie głowę — cóżem go teraz obchodził? Wszystko, co mu było blizkie i drogie, leżało konające, zniszczone... Nie wiedział, już dokąd pójść, gdzie się podziać, i ani ruszył się z miejsca. Podszedłem tuż blizko i kulą w pierś zwaliłem go obok matki — nieżywym“.

Gdyby człowiek więcej miał sposobności zbliżenia się do żywych stworzeń bożych w stanie natury, możeby je mniej skwapliwie mordował. Nansenowi chodziło nie o polowanie tylko, ale o życie, które tak obfity zapas żywności miał zabezpieczyć na długo. Mięso niedźwiedzie nadto musi być o wiele lepsze i zdrowsze, niż focze, pomimo, iż podróżni nasi nawet to ostatnie chwalą jako wyborne, niezrażeni wybitnym smakiem tranu, jakim jest całe przesiąkłe. Gdy mieli mięso, żywili się niem wyłącznie dla oszczędzenia resztki zapasów, a jednak wbrew wszelkim prawom hygieny nie ponieśli żadnej ujmy na zdrowiu, ani najlżejszego usposobienia do szkorbutu nie czuli. Mieli co jeść, wkoło nich śnieg topniał, ponad namiotem krążyły stadka różanych mew. A jednak 22 lipca z radością opuścili gościnną krę, dając jej miano „Koczowiska tęsknoty“. Zostawiali na niej prócz sporej ilości mięsa, którego tylko część zabrać mogli, trzy piękne skóry niedźwiedzie, futrzany worek do spania, ciepłe rękawice, pończochy, część chirurgiczną zapasów aptecznych, przeróżne drewniane lub metalowe przedmioty, słowem wszystko, co nie było absolutnie koniecznem. Teraz bowiem do ciągnienia sanek było tylko dwóch ludzi i dwa psy...

Nazajutrz po wyruszeniu w drogę, a zatem 24 lipca, po dość uciążliwym pochodzie, przeplatanym jazdą na łódkach, wyszli obaj na wzgórze dla obejrzenia dalszych lodowych przestrzeni. Tu Johansen dostrzegł na horyzoncie prostopadły, ciemny pas, który wszakże poczytał za chmurę. Wkrótce potem wyszedłszy na drugi wzgórek, Nansen ujrzał tenże sam pas, zakończony u góry jakąś masą białawą. Przyszło mu nagle na myśl, że to może być ląd; pobiegł po lunetę i w istocie rozpoznał wyraźnie długą linię śnieżystego wybrzeża, a nad nią czarne wyłomy skał, sterczące z masy ogromnego gleczeru. Trudno opisać gorączkową radość wędrowców. Przed nimi stał ląd, prawdziwy, wymarzony ląd, i zdał się tak blizkim, iż sądzili, że go najpóźniej nazajutrz wieczór dosięgną. Lukulusowa uczta z ziemniaków, pemmikanu, suszonego mięsa foczego i niedźwiedziego, następnie z okruszyn chleba smażonych w tłuszczu niedźwiedzim, a w końcu z kawałka czekolady, uświetniła szczęśliwe odkrycie. Skoro port był blizko, nie było po co oszczędzać. Oprócz odkrytego lądu jeszcze dnia tego dojrzeli i drugi leżący od zachodniego południa. Nie dziw, że tej nocy sen nie chciał skleić ich powiek; był to co prawda pierwszy nocleg bez futrzanego worka, którego pozeszywane derki na gołym lodzie zastąpić korzystnie nie mogły. „Zimno nam było tak leżeć — pisze Nansen — zwłaszcza, żeśmy byli przemokli". Pocieszał się, że jutro na matce ziemi się przespi.

Ale nazajutrz ląd był równie dalekim. Deszcz lał strumieniem, droga była ni z lodu, ni z wody, a Nansena jak na przekór nawiedził postrzał w plecy, który mu każdy ruch czynił bolesnym. Johansen pracował za dwóch, nie mógł jednak chodzić za towarzysza, to też trzeba było znów na jeden dzień się zatrzymać. Z nieba lały się wciąż istne strumienie, nocleg zatem na mokrym lodzie, w mokrem odzieniu, ze zziębniętemi nogami i reumatyzmem, łamiącym krzyże, pozostawiał nieco do życzenia. Stąd Nansen powlókł się dalej, ale co krok to nowe wyrastały trudności: dostęp do lądu zdał się zaczarowanym. Trzeba było to skakać po drobnych krach, to brodzić w nawpół roztopionym lodzie. Nareszcie doszli do otwartej strugi, którą

można było przepłynąć kajakiem. Nansen pierwszy był gotów i stał, czekając na sanie Johansena, aby je wraz z swojemi przymocować do łodzi[1], gdy nagle usłyszał głos towarzysza: „Strzelbę!“ Odwrócił się i ujrzał ogromnego niedźwiedzia, a tuż pod nim Johansena, leżącego na wznak. Rzucił się po broń, ale ta w futerale leżała na kajaku, kajak zaś za pierwszym potrąceniem spłynął na wodę. Wtedy Nansen padłszy na klęczki, począł z całych sił ciągnąć za linę, aby ciężko obładowaną łódź znów na brzeg wydostać; już chciał wskoczyć do wody, gdy znów usłyszał za sobą spokojny głos: „Spiesz się, bo będzie za późno“. Spieszył się i jak jeszcze! Dostawszy wreszcie strzelby, obejrzał się: Johansen już stał na nogach, a niedźwiedź rzucał się na jednego z psów. Nansen w pośpiechu pociągnął cyngiel od strony, gdzie miał nabój śrutowy, niedźwiedź jednak był tak blizko, że strzał trafiwszy obok ucha, położył go na miejscu. Szedł on widocznie cichutko ich śladem, a Johansen opatrzył się dopiero w chwili, gdy silne uderzenie łapą zwaliło go na lód. Wtedy uchwycił oburącz szyję niedźwiedzia, dusząc go co miał sił; nie byłby jednak zdzierżył przemożnemu przeciwnikowi, gdyby ten, zobaczywszy psy, nie był go sam porzucił, aby iść przeciw nim. Suggen dostała kułaka w grzbiet, Kaifas klapsa w mordę, a następnie niedźwiedź — śrutem w łeb. Johansen prócz draśnięcia na ręce wyszedł cało; na twarzy jego łapa niedźwiedzia zdrapała tylko miejscami brud, z pod którego teraz widniały smugi białawej skóry. Ludzie i psy pożywili się surowem mięsem, szynki niedźwiedzie wzbogaciły zapas żywności, poczem już bez przeszkody oba kajaki puściły się wpław. Tymczasem dwa niedźwiadki, które zdala na wyprawę matki patrzały, przyszły na świeży plac boju i znalazłszy tylko jej krwawe szczątki, napełniały powietrze ogłuszającym rykiem...

Wędrowcy przebyli strugę, za nią nierówny szmat zmurszałego lodu, potem znów strugę, znów lód, aż w końcu po

[1] Strugi przebywali w ten sposób, że obie pary sań wiązali jedne do drugich, a następnie zawieszali pomiędzy kajakami, podtrzymując je od spodu na nartach.

kilku dniach drogi ujrzeli przed sobą fale pełnego morza. Tu jak mniemali miał być koniec ich znojów i trosk. Po krótkiej a łatwej żegludze czekał ich ląd; jaki? Niewiedzieli, ale ląd, z którego łatwo już będzie dostać się na Szpicberg. Teraz trzeba było kajaki ku dłuższej przyrządzić jeździe, przedtem jednak przyszło, choć z bólem serca, poświęcić ostatnie psy. O zabraniu ich nie mogło być mowy, tak dla przeciążenia łodzi, jak i dla prawdopodobnej trudności wyżywienia ich w przyszłości. Biedne zwierzęta napracowały się srodze, nacierpiały wraz z ludźmi, zwolna z narzędzia stały się sługami, a ze sług towarzyszami niedoli. A jednak pozbyto się ich: Nansen zastrzelił psa Johansena, Johansen zaś psa Nansena.

Po przykrej egzekucyi puścili się na fale... Wybrzeże jednak zdawało się niedoścignionem. To silny odpływ, to wiatr przeciwny, to znów lody broniące dostępu co chwila nowe stawiały przeszkody. Przez trzy tygodnie widzieli ląd tuż przed sobą — szereg wysepek poprzerzynanych sundami i wciąż jakaś tajemnicza siła odpychała ich od brzegów. Walczyli z wichrem, z prądem, z mgłą, z morsami napastującymi łodzie, wspinali się znów po lodowych szkarpach, aż wreszcie ominąwszy kilka maleńkich śniegiem i gleczerami pokrytych wysp, którym Nansen nadał nazwę Hvidtenland (Biała Ziemia), udało im się wpłynąć w cieśninę między większemi wyspami, a stąd po lodzie wydostać się na brzeg. Wieczorem dnia 15 sierpnia wywiesili norwegską flagę nad wierzchem czarnych bazaltowych skał i rozpięli namiot na piasku. Byli wprawdzie daleko od wszelkiej ludzkiej siedziby, równie samotni i zgubieni jak wprzódy, ale blade kwiateczki[1] uśmiechały się do nich w szczelinach głazów, a grunt, na którym stali, nie groził rozpadnięciem się lub stopieniem. Uczta złożona z pemmikanu i ostatniej porcyi ziemniaków dokonała uroczyście dnia.

Nazajutrz czas był mglisty i trudno było puszczać się na zwiady; trzeciego dnia dopiero doszli według obliczeń, że się znajdują na wysokości zachodniego wybrzeża odkrytego przez

[1] Mak, łomikamień i gwiazdownica.

austryacką wyprawę Franz-Josephland, skąd też powzięli nadzieję, że tego roku jeszcze zdołają do ojczyzny powrócić; ale czyż to był Franz-Josephland?... Wyspa, na której wylądowali, składała się z okrągławego grzbietu skał, leżącego na śnieżystem wybrzeżu, tak płaskiem, że się niemal równało z przylegającą powierzchnią zamarzłego morza. Po tym lodzie przeszli do sąsiedniej wyspy, ta zaś wydała im się „jednem z najbardziej uroczych miejsc na świecie". Nansen nadał jej wszakże niezbyt uroczą nazwę Torup[1]. Brzeg był piękny i płaski, mnóstwem muszli zasiany, wzdłuż ziemi płynęła wązka struga, raczej strumyk przeźroczystej wody, w której roiło się mnóstwo ślimaczków, drobniuchnych krewetek oraz innych żyjątek zwanych Eetrinos; niżej zaś na dnie morza widniały istne lasy alg z gatunków *laminaria* i *fucus*. Dokoła świergotały chmary morskiego ptactwa, u podnóża skał tu i owdzie ciągnęły się pola różowego śniegu. Barwa ta pochodziła od rosnącej na śniegu mikroskopicznej czerwonej algi *(Sphaerella nivalis);* w innych miejscach znów musiała inna rosnąć roślinka — śnieg bowiem był żółtozielony.

Podróżni wyszli na stromą górę, aby raz jeszcze spojrzeć zwycięsko na przebytą przestrzeń lodową. Żegnali ją zaiste bez żalu; musieli jednak spojrzeć także na czekającą ich drogę. Tu zaś od strony zachodniej świeciła wprawdzie w oddali szeroka powierzchnia wody, od niej wszakże oddzielał ich wielki szmat przybrzeżnych lodów; zdawało się, że z nich nigdy nie wyjdą. Chcąc między ludzi powrócić, należało nie tracić ni chwili, sierpień bowiem już był w drugiej połowie, z wrześniem zaczynała się zima a z zimą noc. Zeszli zatem z góry, naładowali kajaki na sanie i bez namysłu ruszyli na lód. Z trudem, bo teraz sami ciągnąć musieli, dostali się do krawędzi i znów spojrzeli dokoła. Jak okiem sięgnąć, toczyło się piękne, błękitne morze, od pół-

[1] Patrząc na mapę nowoodkrytych ziem, nasuwa się mimowoli smutna uwaga, że o ile żeglarze XV. i XVI w. nadawali nazwy świadczące o ich głębokiej wierze, jak: San Salvador, Santa Fè, Vera Cruz i t. d., o tyle nasi współcześni trzymają się na nizkim poziomie obierając nazwiska własne lub swych protektorów a co najwyżej już imiona swych królów.

nocy tylko czerniał jakiś ląd prostopadłemi skały; była to, jak się później dowiedzieli, wyspa arcyksięcia Rudolfa. Wzdłuż brzegów strome szczyty wyłaniały się jeden po drugim; w głębi bielało sine łono gleczeru. Niebo pochmurne, tylko wielka czerwonawa smuga, świecąca między chmurami a lądem, zabarwiała lekko poruszającą się toń. Oni jednak płynęli dalej w kierunku zachodnim, ku innym górom, które od paru godzin ściągały ich oczy. Tutaj miał się rozstrzygnąć ich los: jeżeli wybrzeże skręci nagle z zachodu ku południowi, będą mieli otwartą drogę powrotu. W istocie, wkrótce zdało im się, że ląd zwraca się w pożądanym kierunku. Dotrzeć doń było trudno, gdyż tu również ławica lodów broniła dostępu. W jednem miejscu wszakże z nad tej ławicy sterczała skała, olbrzymi głaz bazaltu, poprzerzynany w kolumny i baszty, „wyglądający — pisze Nansen — jak grzebień“. Podróżni dostali się pieszo do jednego z otworów i pomimo mroźnego przeciągu, który dął między ścianami, wspięli się aż na przeciwną stronę. Zastali tu dwa lisy walczące o schwytanego ptaka; na widok ich zaprzestały bójki i jęły wkoło nich biegać, przypatrując się im ciekawie. Ich jednak nie obchodziła teraz zwierzyna. Z bijącem sercem spojrzeli w przestrzeń przed sobą: co za radość. Ląd, jakoby nożem ścięty, biegł wprost ku południowi, na zachód zaś było morze i tylko morze. Pełni otuchy skierowali łodzie w stronę zbawienia. Rozpiąwszy żagle płynęli aż do północy, poczem spocząwszy kilka godzin na łódce, jechali dalej. Pogoda była cudna; słońce wprawdzie zakryte, ale obłoki i morze złoto-różowym blaskiem oblane, woda tak cicha, iż żeglarzom zdawało się, że płyną po Canal grande w Wenecyi. Dojechali tak na wysokość przylądka Clements Markham, który ku zachodowi wystawał, aż tu niespodziewanie trafili na lód. Zrazu zdało im się, że to zabłąkana kra; wkrótce jednak poznali, że od przylądka daleko w morze ciągnie się przerywana linia nawpół z wody sterczących skał, wokoło których zbiła się ogromna ławica lodów. Wyleźli znów na lodowy pagórek i wrócili zeń bardzo smutni... Końca lodu nie było widać. Jedynym ratunkiem mogło być znalezienie wzdłuż brzegów jakiejś wolno płynącej strugi.

Podczas gdy się jeszcze przedzierali pomiędzy drobnemi krami, Nansen uczuł silne uderzenie o dno kajaku; sądził, że trafił na kant lodu lub skałę, gdy tuż za sobą ujrzał w wodzie morsa olbrzymich rozmiarów. Chwilę potem mors wyszedł na powierzchnię, i stanął naprost przed kajakiem jadącego wtyle Johansena. Ten w strachu, aby mu kły zwierza łodzi nie przebiły, odbił się nazad; obaj chwycili za broń. Zwierz jednak rzucił się, sapiąc, ku Johansenowi, i zanurzył pod jego łodzią. Szczęściem wypłynął po drugiej stronie, nie wyrządziwszy szkody, ale podróżni zaniepokojeni sąsiedztwem, wyskoczyli na pierwszą lepszą krę, wyczekując co będzie dalej. Mors długo jeszcze kręcił się wkoło nich, to przy jednym kajaku to przy drugim; to znów leżał prychając i sapiąc tuż pod powierzchnią morza, skąd czasem tylko wystawiał nozdrza i łeb. „Jest coś fantastycznego, przedhistorycznego w postaci tych zwierząt — dodaje Nansen. — Mimowoli przychodziły mi na myśl starożytne trytony“...

Nadzieja co do wolnej strugi okazała się zwodniczą. Do tego wiatr zerwał się z południa — nie było sposobu posunąć się naprzód. Podróżni wyciągnęli swoje derki na lód i odpoczęli. Przez ten czas atoli wiatr wzmógł się jeszcze, zbijając kry w wielką masę lodową. Nie było innej rady jak schronić się na ląd.

Przylądek (Holland), przy którym się znajdowali, smutnem był zaiste schronieniem. Od północy lodowce sterczały w górę aż do samego gleczeru; od południa tylko rozciągał się kawał płaskiego wybrzeża a na nim nieco roślinności, mchu i zdatnych do budowy kamieni. Wprawdzie i tutaj lód piętrzył się u brzegu, co przedstawiało na przyszłość mało sposobności do połowu fok; Nansen jednak dopiero co ubił niedźwiedzia a luźne tropy świadczyły, że nie był jedynym w tych stronach; nadto mnóstwo ptactwa gnieździło się po skałach.

Podróżni rozważali to wszystko, sądząc, że im przyjdzie tutaj osiąść na zimę. Tymczasem nazajutrz wiatr zmienił się zupełnie, co widząc, wybrali się na lód, by zbadać znów położenie. Szczęściem wzięli ze sobą sanie z całkowitym ładunkiem. Zanim bowiem się opatrzyli, kry poczęły się rozluźniać i unosić

ich w stronę morza; wicher wył tak przeraźliwie, iż nie pytając co będzie dalej, jęli przedewszystkiem szukać schronienia. Rozpięli namiot poza wyższym nieco cyplem lodowym, wkrótce jednak musieli go zwinąć, zaczem wleźli tylko w swe worki z derek uszyte i pomimo grozy położenia usnęli. Gdy się zbudzili, wiatr znacznie przycichł a ląd szarzał już gdzieś o jakie 10 kilometrów daleko. Widząc, że lód rozluźnia się coraz bardziej, spuścili do wody kajaki i nastawiwszy maszty, ruszyli radośnie naprzód. Płynęli szczęśliwie cały dzień; pod wieczór przebyli niebezpieczne zagięcie przylądka, potem znów przy słabszym już wietrze płynęli przez całą noc pomiędzy lądem i rzędami wysepek, aż zrana wjechali między wysokie skały, gdzie wiatr zupełnie ustał. Że zaś równocześnie powstała mgła zasłaniająca drogę, przeto przybili do brzegu i rozgościli się u stóp kamiennej góry, pokrytej chmarą krzykliwych mew. „Była to piękna góra, utworzona z najcudniejszego słupowego bazaltu. Łuki i kolumny na zewnętrznej stronie, równie jak niezliczone zagięcia i śpiczaste szczyty, przypominały medyolańską katedrę"... Po kilku godzinach spróbowali jeszcze raz wyruszyć, ale poznali wnet, że droga pogorszyła się znowu; wiatr napchał kry między skały tak, iż żegluga stała się bardzo trudną; niebo przytem zachmurzyło się, wiatr wzrastał, wszystko zapowiadało burzę. Po niejakim więc czasie skierowali się znów ku lądowi — tym razem nareszcie na dobre.

V.

Ląd ten już zdaleka zdawał się im gościnniejszym od innych miejsc widzianych po drodze; był nim też nietylko dla ludzi. Pierwszym przedmiotem, jaki ujrzeli na brzegu, był niedźwiedź, który niebawem kulą Johansena rażony, zamienił się w zapas kuchenny. Chwilę potem, prawie na tem samem miejscu, ukazał się mors; te bowiem nie lękają się niedźwiedzi, dla których, przeciwnie, są przedmiotem trwożliwego szacunku. Mors tym razem nie dostrzegł podróżnych; zanurzywszy się pod lód parękroć, wydobywał na powierzchnię swój potworny łeb, kierując się w stronę kry, na której kilka innych morsów leżało.

Przybywszy tu, oparł się kłami o lód, a wtedy największy z leżących morsów wstał i podszedł doń groźnie, jakby go chciał odpędzić; nowoprzybyły zaś zamiast się bronić, skłonił się przed nim głęboko i stał z czołem opartem o krę, aż tamten rozbrojony pokorną postawą, nie wrócił do towarzyszy. Scena ta ponowiła się kilkakroć, poczem dopiero dozwolonem było obcemu przyłączyć się do bandy. Dziwne to obyczaje, świadczące jeśli nie o charakterze gościnnym, to o pewnej organizacyi i karności u tych ogromnych zwierząt. „Gdy leżą wielkiemi kupami — mówi Nansen — niktby się nie domyślił, że to są żywe zwierzęta; wyglądają raczej na olbrzymie kiełbasy“.

Napatrzywszy się morsom dowoli, weszli nieco bardziej w głąb lądu, aby przyrządzić obiad z mięsa świeżo ubitego niedźwiedzia, o którego wnętrzności mewy biły się już z zagłuszającym wrzaskiem. Mieli jeszcze nadzieję, że będą mogli nazajutrz w drogę wyruszyć, tymczasem jednak nie mogąc z powodu wichru rozpiąć namiotu, poczęli budować sobie z kamieni schronisko. Jedynem ich narzędziem oprócz dziesięciu palców był kawałek żelaza od sani. Pracowali przez całą noc. To, co zrazu miało im służyć za chwilową osłonę od wiatru, wyrosło na formalną budkę. Do wspaniałości było jej daleko, pomiędzy kamieniami, składającymi ściany, przezierało światło dzienne, za dach służyła jedwabna tkanka namiotu, rozciągnięta na nartach i kijach bambusowych, otwór przedstawiający wrota zasłaniały kaftany podróżnych. Rozmiary też były minimalne, skoro Nansen nie mógł się ani wyciągnąć, gdy leżał, ani się wyprostować gdy siedział, a dym od podręcznej kuchenki, nie mając dokąd ulecieć, palił gardła i wygryzał oczy. Pomimo to, gdy rozciągnąwszy skórę niedźwiedzią na ziemi rozłożyli się na niej w swych derkach, słuchając wichru wiejącego na zewnątrz i patrząc na mięso, smażące się nad ogniem, nowi Robinsonowie uczuli się dumni, zadowoleni z życia i z siebie. Następnego dnia (28 sierpnia) widząc, że wiatr się nie zmieniał postanowili ostatecznie pozostać tu na zimę.

Że ta decyzya nie musiała przyjść łatwo, świadczy samo to, że Nansen, który w najgorszych chwilach dotąd nie zaniedb-

bywał swego dziennika, teraz przerwał pisanie i dopiero po trzech miesiącach chwycił znowu za pióro. W jego opowiadaniu wszakże nie znać smutku ni zniechęcenia. Pierwsze dni zajęły nowe przygody myśliwskie z morsami i niedźwiedziami; te ostatnie przyłaziły pod same ściany ich budki, podczas gdy mewy niemniej zuchwale wyjadały i rozdzierały zachowane na później kawały mięsa. Z początkiem września trzeba było pomyśleć o porządniejszem mieszkaniu zimowem. Zadanie było trudne, pomimo, iż materyał wszędzie leżał obficie. Za łopatę do kopania dołu musiała służyć łopatka morsa, przymocowana do kija od nartów; za kilof do odbijania kamieni kieł morsa, przyczepiony do drugiego kija. Należało się spieszyć, gdyż mróz wzmagał się co dnia i ziemia twardniała. Raz jeszcze 12 września przyszła odwilż + 4° C., najwyższy stopień ciepła w czasie całej wyprawy; potoki z hukiem rzuciły się ku morzu pagórki zazieleniały, zewsząd słychać było kapiącą wodę — cała przyroda obudziła się nagle. Było to pożegnaniem. Nazajutrz zapanowała zima, lekki śnieg pokrył ziemię; ponad nim niezwiędnięte kwiaty obejrzały się raz jeszcze ku słońcu, a potem wkrótce i słońce znikło i kwiaty się zakryły, a ciemność poczęła zwolna roztaczać się nad wszystkiem. Ptaki szczęśliwsze od ludzi już odleciały daleko; dla podróżnych poczęła się trzecia zimowa noc, najgorsza, bo samotna i niespodziewana.

Budowa chaty trwała przeszło tydzień. Była ze dwa razy większa od pierwszej, wprawdzie o metr tylko wystająca nad ziemię, ale za to o tyle wkopana w głąb. Wchodziło się do niej na czworaku podziemnym kurytarzykiem, pokrytym bryłami lodu i śniegiem, a z dwóch stron, u wyjścia i u wejścia zasłoniętego skórą niedźwiedzią. Najtrudniej było o dach. Po długim namyśle i ciężkiej pracy Johansen, używając małej, podręcznej siekierki, rozłupał wzdłuż jedyny znaleziony pień drzewa. Obie połowy położyli u góry na kształt belek, poczem rozmoczywszy sztywne od mrozu skóry morsie, rozciągnęli je i kamieniami przytwierdzili do drzewa. Wewnątrz ustawili wzdłuż jednej ściany ławę z kamieni do siedzenia, podobnie wzdłuż drugiej rodzaj pryczy do spania, pokrytej skórą niedźwiedzią.

Następnie, gdy dziura wykrojona w dachu okazała się niedostateczną na odprowadzenie dymu, a przy wzrastającym mrozie nie było już sposobu odczepiać kamieni, wystawili komin z lodu, który wprawdzie topniał nieco od ognia, ale mógł zawsze łatwo być naprawiony, bo materyału nie brakło. Kilka z blachy sporządzonych lampek miało utrzymywać światło i ciepło; drugi cel jednak okazał się chybionym; innego paliwa, jak tłuszcz z morsów i niedźwiedzi, nie było. Za to zapasy mięsa i słoniny były ogromne: pod tym względem podróżni, a raczej pustelnicy byliby mogli czuć się teraz spokojni, gdyby dostatek ten, jak wszystkie dostatki, nie był wzbudzał zazdrości potężnych ich sąsiadów — niedźwiedzi. Śmiałe, ciekawe i chciwe nachodziły ich ustawicznie; nawet przy budowaniu chaty zwlekły z dachu rozciągnięte już skóry morsie, aby z nich resztki tłuszczu wyskrobać. Często też nieproszony gość skradał się do mięsa; raz przyszedł olbrzymi a chudy myś i wszystko rozrzucił, z każdego kawałka wyjadł co najlepsze, poczem syty rozwalił się na reszcie ażeby spać. Musiało to wszakże być jakieś niezwykłe indywiduum, w każdym razie zdziczały mruk, gdyż odszedłszy od mięsa, zagnał na lód dwa obce sobie małe niedźwiadki i porozbijał im głowy, poczem powrócił na ląd, gdzie go po różnych przestępstwach spotkała wielce zasłużona kula Johansena. Wogóle sądząc z opowiadania, Johansen jest większym jeszcze myśliwym, niż Nansen, choć i temu mało kto w Europie się równa. Możnaby wypisać cały tom, i to bardzo ciekawy, z samych myśliwskich przygód obu podróżnych, na które niestety tutaj miejsca nie staje.

Niedźwiedzie nie stanowiły same elementu zbójeckiego pustelni. Gorszym gatunkiem złodziei były lisy, gdyż łakomiły się nie na mięso, które zawsze można było zastąpić, choćby kosztem szynek napastnika, ile na wszelkiego rodzaju narzędzia i przedmioty. Zanim np. zdołano w nowej chacie wszystko pochować, ukradły kawałki bambusa, druty stalowe, harpuny, sznury, a co najgorsza, przędzę z żaglowego płótna, jedyną nadzieję ku sporządzeniu zdartego odzienia! Zabrały nawet kolekcyę kamyków i mchów, zawartą w płóciennych woreczkach; dobrze

jeszcze, że instrumentów matematycznych nie wzięły... Gdy zaś Nansen, spostrzegłszy rabunek, rozglądał się, czy gdzie jakich śladów nie zoczy, ujrzał o sześć metrów przed sobą lisa, który na widok jego zatrzymał się, usiadł na tylnych łapach i zawył tak przeraźliwie, że aż uszy zatykać przyszło. Widziane w półcieniu lub w fantastycznych światłach nocy zimowej, wśród sinej, martwej przyrody, owe panujące nad nią zwierzęta o wyostrzonym instynkcie, muszą dziwne sprawiać wrażenie. Mimowoli przychodzą na myśl piekielne baśnie o zaklętych duchach, o bestyach, śmiejących się ludzkim śmiechem i mówiących ludzkim językiem. Nansen parękroć powiada, iż nie dziwi się zabobonom północnych ludów; zda się, że samemu nieraz było nie raźno, gdy w szarym zmroku naraz usłyszał u swych stóp zgrzyt lodu i potworny łeb morsa wyłonił się z wody... Tym razem atoli ogarniał go wobec lisa nie przestrach, ale gniew; począł nań ciskać kamieniami, zaczem lis dalej trochę się wyniósł, siadł i napowrót zaczął wyć. Wkrótce potem znikł z przed chaty termometr, który jednak znaleźli pod kupą śniegu, i odtąd na noc przykrywali kamieniem; nie przeszkodziło to, że pewnego poranku zastali kamień odjęty, futerał leżący na boku, a termometru ani śladu; „licho wie, — pisze Nansen — jakiej norze lisiej służy dziś za ozdobę".

W miarę, jak zaostrzała się zima, bieg życia stawał się jednostajniejszym. Rozrywek myśliwskich zabrakło, gdyż niedźwiedzie przestały przychodzić. Zresztą trudno było polować, gdyż biedacy nie mieli nawet w czem wychodzić na zimno. Kożuchy ich, jak wiemy, zostały na Framie, wełniane ubrania były zużyte i tak przesiąkłe tłuszczem i krwią zabitych zwierząt, że aż obrzydzenie wzbudzały. Skóry niedźwiedzie, z których mieli nadzieję jakieś szuby skroić, trzeba było najsamprzód oczyścić zupełnie z tłuszczu, wysuszyć i choć z grubsza wyprawić, poczem wszystkie poszły na sporządzenie posłania i zabezpieczenia od wiatru. Praca ta trwała do Świąt, a przecież spieszyli się niewątpliwie, gdyż skóra, na której spali, poczynała się psuć. Lecz nawet i najlepszą skórą pokryta kamienna prycza była istnem łożem tortury, ostre nierówności głazów wbijały się w ciało,

wywołując nietylko sińce, lecz rany. Toż samo było i z siedzeniem na ławach. Napróżno nieraz usiłowali pisać; papier zatłuszczał się od dotknięcia rąk i ubrania, znaki ołówka zacierały się, lampy tranowe podsycane słoniną, mętny i ruchliwy rzucały blask. Po śniadaniu wyłazili na chwilkę, ruszając się o ile mogli najsilniej, przynosili mięsa na obiad, tłuszczu do lamp i lodu na wodę, przyrządzali co było koniecznem, potem włazili na nowo do worka i pomimo niewygody usiłowali spać.

Zdarzało się, że niemal 24 godzin przespali. Nie chodziło im teraz o czas; mierzyli go już nie na dnie, lecz na tygodnie, co wtorek bowiem mieniali się w funkcyach kucharskich. *Menu* zaś składało się z gotowanego lub smażonego mięsa, czasem ze skwarek wypalonej w lampie słoniny i z wielkiej ilości rosołu, używanego nie tyle aby się pożywić, jak aby się rozgrzać: temperatura w chacie dochodziła przeciętnie do zera, a zamróz rysował na kamieniach przecudne kwiaty, pod którymi ściany biednej pustelni wyglądały chwilami jak pałac z kryształu. Wokoło nie było słychać nic oprócz świstu ciągłego niemal wiatru, a gdy i ten ustawał, robiło się cicho jak w grobie.

Nadeszły Święta; Johansen wydrapał z chaty kości i brud zamarznięte u spodu; obaj umyli się w ciepłej wodzie, przewrócili na lewą stronę koszule, zmienili niektóre części ubrania na inne z lekka przeprane. W miejsce codziennego niedźwiedziego sznycla, wystąpiła wyjątkowo uczta z pemmikanu, chleba i suszonej ryby; tego dnia zorza północna cudnie świeciła na niebie, dzwony kościelne zastępował wiatr, wyjący wśród lodów. Nowy Rok 1896 rozpoczął się przy jasnem świetle księżyca pod 41° C. Z ponad góry, z łona wysokiego gleczeru dobywały się grzmoty, w lodzie otwierały się rysy z hukiem potężnych dział. Wiatr wył coraz głośniej; nie dziw, że wśród podobnego piekła mieszkańców samotnej chaty odbiegał sen. Od 22 grudnia wszakże noc poczynała blednąć, w końcu stycznia niebo od strony południa rumieniło się już złotem i czerwienią, zapowiadając powrót upragnionego słońca. A był już ku temu wielki czas. Wędrowców przywykłych do ruchu i pracy zabijał ten straszny spoczynek, nieruchomość w trzechmetrowem więzieniu. Marzenie za

książką, za mydłem, za zwykłą ludzką strawą, za ciepłą, ludzką odzieżą stało się chorobliwem, namiętnem. Tłuszcz i sadze na ich skórze osiadłe nie schodziły od wody; trzeba je było mchem lub piaskiem wycierać. Ubrania musieli godzinami gotować, a potem z dymiących jeszcze zdrapywać nożem i wyżymać rękami tłuszcz, który miał jeszcze nasycać ogień u lampy; zapasy bowiem musiały się wyczerpać i roztropność kazała je oszczędzać. Operacyi takiego prania nie można było często powtarzać, tymczasem zaś odzienie kleiło się do ciała, liczne powodując rany. Włosów ani brody nie strzygli w złudzeniu, że im tak cieplej; zarost jednak na równi ze skórą czarny był jak u kominiarzy. Uderzyło ich to, gdy się po kilku miesiącach nocy po raz pierwszy w świetle dziennem ujrzeli; wkrótce atoli przyzwyczaili się tak do wzajemnych fizyognomij, że im się naturalnemi wydały, i dopiero gdy im później inni ludzie zwrócili uwagę, zmiarkowali, że przecież inaczej wyglądają od bliźnich. Nansen zapewnia, że przez cały ten czas śmiertelnych nudów i nędzy nie pokłócili się ani razu. Gdy już za powrotem Johansena o to pytano: „O nie! — odpowiedział. — Nie sprzeczaliśmy się nigdy; jedno tylko, że mnie Nansen szturchał w plecy, gdym chrapał". Trzeba przyznać, że miły dodatek: mieć chrapiącego towarzysza gdy się sypia w jednym worku i gdy sen jest jedyną w życiu pociechą! Szczęściem wszystko się kończy: 28 lutego przyleciały pierwsze ptaki; 9 marca zabili znów niedźwiedzia, 10 Johansen z poza wchodowej opony strzelał do drugiego, którego potem umykającego w szalonych skokach Nansen zastrzelił w powietrzu. Nazajutrz padła znów sztuka; teraz jednak cały tłuszcz zwierzyny miał służyć jako zapas — na drogę!

Kwiecień minął, maj był już w połowie, czas wyruszenia się zbliżał. Podróżni przyspasabiali się skrzętnie; ze starych derek skroili nowe kurtki i spodnie, podszywając je kawałkami ze starych koszul. Proszę się nie śmiać; to co się nam nędzną drobnostką wydaje, mogło w ich położeniu być ważnym bardzo szczegółem, opóźniającym lub ułatwiającym ich pochód. Wszak odzienie to musiało, jak sądzili, aż do przyjazdu ich na Szpicberg wytrzymać. Z prowiantem również nie było wesoło — więk-

sza część zepsuła się przez wilgoć; namiot też ukradły lisy i trzeba było nowy ze starych żagli sporządzić. Z amunicyi pozostało 100 kul i 101 naboi śrutowych, w to jedno byli zatem bogaci.

Dnia 19 maja 1896 r. Nansen odfotografował chatę na wewnątrz i na zewnątrz, zostawił w niej krótkie sprawozdanie z wyprawy, zawieszone u belki w blaszanej rurce, poczem o 7-mej po południu opuścili zimowe leże. Zrazu, po długiej nieruchomości, pochód zdał im się ciężkim, to też pierwszego dnia nie uszli daleko. Kierowali się na południowy zachód ku nadbrzeżnym wzgórzom, na które przez całą zimę patrzeli, ku przylądkowi, który przezwali „Przylądkiem dobrej nadziei“, gdyż poza nim, sądząc z koloru nieba, spodziewali się wolnego morza. Tym razem „dobra nadzieja“ ich nie zawiodła. Za przylądkiem było morze. Zbadawszy jednak okolicę, postanowili dla skrócenia drogi, przeciąć jeszcze lądem przez przylądek i przymarzłą doń wyspę, i dopiero po tamtej stronie puścić się na wodę. Lód, łączący wyspę z przylądkiem, był gładki, można więc było żagiel ustawić na saniach i jechać śmiało; ale wkrótce wiatr skręcił się i zamienił w wicher, mgła zasnuła niebo i ziemię, trzeba było zwinąć żagiel i ciągnąć samemu. W lodzie też okazały się szczeliny; w jednę z nich śniegiem pokrytą wjechał Nansen i uczuł nagle, że się grunt pod nim zapada. Narty silnie uwiązane u nóg, a teraz przywalone spadłym nań śniegiem i sryżem, nie dozwalały mu wydostać się na brzeg. Szczęściem, upadając oparł swój długi kij o przeciwległą ścianę lodu, sam po drugiej stronie wsparł się ramieniem i jął wołać na Johansena. Ale Johansen był w tyle, tak zajęty jakąś naprawą sań, że wołania nie słyszał; Nansen zaś czuł, że z każdą chwilą zanurza się głębiej: woda sięgała mu już po piersi, a siły słabły. Dopiero na ostatnie zawołanie, usłyszał zdala odpowiedź, po chwili Johansen nadbiegł, zaczem Nansen przy pomocy towarzysza zdołał wydobyć się na wierzch.

Wyspę znaleźli całą śniegiem i nizkim lodowcem pokrytą, oblężoną licznemi bandami morsów. Nie przeszkodziło im to wcale, morsy bowiem w wodzie tylko są niebezpieczne, a i tu,

jeśli się ich nie napastuje, szkodzą raczej z ciekawości, niż złości. Obecnie zdziwione nieznanym widokiem ludzi, łaziły za nimi po lodzie, a nawet podrażnione, nie okazywały gniewu. Gdy Nansen chcąc dla fotografowania odmienną od nich uzyskać postawę, jednego z największych kijem uderzył w nos, mors rozwarł nań tylko swe okrągłe oczy i od niechcenia podrapał się za uchem. Była to niejaka rozrywka na tej wysepce, gdzie, dzięki zawierusze śnieżnej, musieli prawie tydzień przeczekać. Dnia 3 czerwca ruszyli w drogę, ale jeszcze pieszo, bo wiatr był napędził kry; szli więc z wyspy na wyspę to po lodzie, to po ziemi i skałach, pocieszeni widokiem całych stad alcyonów gnieżdżących się wśród wyłomów bazaltu. Szli wciąż na południowy zachód, przecinając gęstą sieć kamienistych wysepek śniegiem zasłanych, dostrzegając w oddali długie wybrzeża większych wysp, które stałym lądem mienili. Mapy geograficzne sporządzone przez poprzednich żeglarzy wirowały im w głowie, nazwy nadane bezludnym ziemiom, groźnym przylądkom i zamarłym przystaniom, kotłowały w ich myśli; nie wiedzieli absolutnie gdzie się znajdują, przypuszczali tylko, że są około 80° szerokości, i że niezbaczając z kierunku, zbliżają się do ojczyzny. Wiatr północny pchał bez przestanku żagle ich sań; czasem nawet służył im tak gorliwie, że się musieli zatrzymać, aby przeczekać nawałę. Szczęściem jednak było wogóle, że dął tak mocno, gdyż tak sanie pod ciężarem kajaków, jak i narty pod ciężarem ludzi mogły przesuwać się po topniejącym lodzie. Wreszcie zaczęli wychylać się z archipelagu wysp śnieżnych. Zwolna i ląd widziany od wschodu, oddalił się i zniknął, skały czerniejące od północy, bladły na widnokręgu; tylko od zachodu rysowało się ciągle wybrzeże, zakończone ku południowi śpiczastym kątem.

Ten kąt stał się teraz celem wędrowców. Tam widniał zawsze odblask wolnego morza. Stąd, gdy wiatr milknął chwilami, dochodził zdala głuchy odgłos rozbijających się fal. Dnia 12 czerwca stanęli znów u krawędzi lodów. Morze było nieco wzburzone, niemniej przeto kajaki poszły spiesznie do wody i poczęły biedz szybko za wiatrem. Ląd poza szpicem zaokrą-

glał się ku zachodowi, obramowany lodowym pasem, wzdłuż którego płynęli podróżni. Po całodziennej żegludze wyszli na lód, aby wyciągnąć nogi i stali rozmawiając przez chwilę, gdy nagle spostrzegli z przestrachem, że wiatr obie razem związane łodzie odepchnął na wodę. Nansen odczepił zegarek i wskoczył do morza; łodzie jednak oddalały się szybko, prędzej niż on mógł dopłynąć członkami drętwiejącymi od zimna. Schwytać je musiał: toć z kajakami ginęła cała nadzieja ratunku, ginęło wszystko co posiadali; toć ani noża nie mieli przy sobie! Gdy go siły zaczęły opuszczać, położył się na plecach, aby chwilę odpocząć i wtedy ujrzał Johansena, który jak szalony biegał po lodzie, bezsilny i zrozpaczony; mówił potem, iż to były najgorsze chwile, jakie w życiu swem przebył. Nansen tymczasem zauważył, że go sam prąd odpływu zbliża do łodzi, począł tedy znów pływać, choć czuł, że coraz bardziej sztywnieje. Płynął dalej, bo chodziło o życie, ale każdy ruch był słabszy, prąd jeden go niósł, aż nareszcie uchwycił się końca wystających z kajaku nartów — był ocalony. Z jakim trudem wspiął się na łódź i dobił do lodu, wypowiedzieć zbytecznie. Trzeba było wiosłować, a tu skostniałe ręce i ramiona wszelkiego odmawiały ruchu; całe ciało trzęsło się od zimna, chwilami myślał już, że niepotrzebnie się nużył, bo i tak wszystko stracone. Aż tu dwa alcyony przeleciały na strzał i — żyłka myśliwska przemogła. Nansen chwycił strzelbę i dubletem oba położył; Johansenowi zdało się, że to strzały z tamtego świata. Dobiwszy do brzegu jednak, Nansen padł prawie bez czucia; Johansen rozebrał go, wsunął do futrzanego worka, przykrył czem mógł i jak chore dziecię ułożył do spania. Silna natura, dobry sen i gorący rosół a następnie pieczyste z ubitych ptaków, dokonały kuracyi. Nansen wstał gotów do dalszego czynu.

Doczekawszy się nowego odpływu, a tymczasem zaopatrzywszy spiżarnię tuzinem ubitych alcyonów i mięsem z młodego morsa (co podobno ma smak baraniny), ruszyli dalej. Zrazu musieli jeszcze płynąć połączywszy kajaki przez wzgląd na mnóstwo morsów, okrążających ich w wodzie; wszakże gdy je minęli, rozdzielili się znowu, łatwiej bowiem było zosobna wio-

słować a wiatr dnia tego wypowiedział im służbę. Jechali tak przez noc całą spokojnie, rozprawiając jak zawsze nad zagadnieniem, gdzie się istotnie znajdują? Nad ranem dopiero ujrzeli wyłaniającego się przed sobą dużego morsa. Johansen jadący przodem, schronił się na wystający pod wodą kant lodu [1]; Nansen zaś choć mu się ta przezorność zbyteczną wydała, zamierzał iść za jego przykładem. Zanim jednak zdążył to uczynić, już mors obok niego z wody wyskoczył, jedną łapą oparł się o brzeg łodzi, drugą sięgnął dalej chcąc Nansena obalić i grożąc uderzeniem w łódź olbrzymimi kłami. Nansen trzymał się jak mógł, bijąc z całych sił wiosłem w łeb morsa; ten raz jeszcze wstrząsnął kajakiem tak, że aż woda na pokład trysnęła, potem wyprostował się, i w chwili gdy Nansen chwytał za strzelbę, zniknął pod wodą. Wszystko to trwało minutę; zaledwie jednak Nansen miał czas powiedzieć towarzyszowi, że „rad, iż się na tem skończyło", gdy uczuł, że mu mokro w nogi. Posłuchał i usłyszał chlupotanie wody, wdzierającej się w spód kajaku. Skierował się tedy na lód; gdy stanął, już łódź tonęła i on wraz z łodzią zanurzał się w głąb.

Ludzie wyszli cało z przygody; kajak za to był przedziurawiony i wymagał naprawy. Trzeba też było całą jego zawartość rozciągnąć dla wysuszenia: nawet aparat fotograficzny i zbiór fotografij skąpały się w morzu. Nazajutrz wieczór szkody były naprawione, ale gromady morsów oblegające brzeg lodu, nie zachęcały do dalszej podróży. Przespali więc drugą noc. We wtorek 23 czerwca Nansen pisał w dzienniku: „Czy śpię? Czy marzę? Czyż prawdą jest to, co się dzieje?... Co się stało — dotąd pojąć nie mogę... Jakże niewyczerpanemi są nagłe zmiany w życiu człowieka! Przed paru dniami na wodzie, walczący z morsami o życie, sam żyjący od roku jak dziki zwierz, przekonany, że mam jeszcze przed sobą długą wędrówkę wśród lodów i śniegu, pełną przygód i rozczarowań — a dziś w pełni cywilizacyi europejskiej, otoczony wszystkimi zbytkami i wygodami,

[1] Taki kant zwany „stopą lodową", tworzy się wskutek stopienia się wierzchniej warstwy lodu; warstwa pozostała w wodzie mniej jest wystawioną na działanie słońca.

jakie ta cywilizacya dać może, w posiadaniu obfitości wody, mydła, ręczników, czystej i miękiej wełnianej odzieży, w posiadaniu książek i wszystkiego, za czem wzdychaliśmy przez cały rok!

„Było to 17 czerwca, wkrótce po południu gdym wstał, aby zgotować śniadanie. Przyniosłem wody z morza, ogień zapaliłem i pokrajane mięso włożyłem do garnka i już jeden but miałem ściągnięty, aby napowrót wsunąć się do worka, gdym zauważył, że mgła zasłaniająca kraj dnia poprzedniego, nieco się podniosła. Pomyślałem, że lepiej przecież rozejrzeć się, niż spać, wciągnąłem tedy napowrót obuwie i wyszedłem na poblizki lodowy wzgórek. Wietrzyk wiejący od lodu, przynosił mi z gór zmięszany dźwięk tysięcy ptasich głosów. Słuchając ich, goniłem wzrokiem po rysującej się linii wybrzeża, po ścianach gór i śnieżnych dolinach krainy, o której byłem pewien, że w niej nigdy ludzka nie postała noga, gdy nagle o uszy moje uderzył głos tak podobny do szczekania psa, że się zatrząsłem od stóp do głów. Trwało to krótko — trzy czy cztery szczeknięcia — ale nie mogło być czem innem. Natężyłem słuch, ale nie dosłyszałem już nic prócz krzyku ptaków. Zapewne mi się zdawało... Lecz nie! Szczekanie powtórzyło się; nasamprzód krótkie, oderwane dźwięki, potem prawdziwe szczekanie; dwa głosy: grubszy i cieńszy — nie było już wątpliwości. Teraz przypomniałem sobie, że dnia poprzedniego słyszałem coś jakby strzały, ale sądziłem, że to trzask pękającego lodu. Krzyknąłem na Johansena, że na lądzie słyszę szczekanie psów. On na to wyskoczył z worka, gdzie spał, i przybiegł ku mnie: ‚Co — psy?‘ Nie chciał wierzyć i czekał, aby się przekonać, podczas gdym ja wracał przyrządzić śniadanie.

„Po chwili i jemu zdało się, iż coś słyszy; że jednak dźwięk utonął w świegocie ptaków, zakonkludował, że to również po prostu był jakowyś głos ptasi. Odpowiedziałem mu, że może wierzyć, co mu się żywnie podoba, ale że ja natychmiast pójdę na zwiady. Połknąłem co prędzej śniadanie; wsypałem do zupy ostatek naszej mąki kukurudzanej, z przekonaniem, że już na wieczerzę będziemy mieli mącznej strawy obfitość. Jedząc, roz-

prawialiśmy nad kwestyą, kogo tu zastaniemy: naszych współziomków czy Anglików. A jeżeli to jest wyprawa angielska do Franz-Josephlandu, którą układano w chwili naszego wyjazdu — to cóż zrobimy?

„O! przecież nie potrzebujemy z nimi się zatrzymać więcej jak dzień lub dwa, a potem musimy dalej iść na Szpicberg — odrzekł Johansen. — Zanadtośmy się spóźnili z powrotem do domu"...

Po śniadaniu, zostawiwszy Johansena na straży kajaków, wybrał się Nansen w drogę z nartami, lunetą i strzelbą. Począł nasłuchiwać — ale daremnie; za to spostrzegł tropy większe od tropów lisich; poszedł za nimi i znalazł ich coraz więcej — szczekanie powtórzyło się znowu. Co się w duszy jego działo — łatwo zrozumieć. Charakterystycznem wszakże jest, że nad wszelkiem wzruszeniem przemagała ciekawość: na jakim się geograficznym punkcie znajduje?... Czy może istotnie gdzieś na południowej stronie Franz-Josephlandu? Toż od kilku dni już podejrzywał, że jakąś nieznaną cieśniną przeszli pomiędzy wyspami Hooker i Northbrook, czego jednak nie mógł dojść na pewno według mapy Payera. Myśląc tak, szedł dalej w stronę lądu. Naraz, krew uderzyła mu do głowy: zdało mu się, że słyszy głos ludzki, pierwszy głos obcy od trzech lat podróży! Za tym nieznanym głosem stała ojczyzna, rodzina, stało życie... Skoczył na wzgórek i zakrzyknął ze wszystkich sił, a potem jął biedz wśród bryl lodu i śniegu tak szybko, jak go narty poniosły. Wkrótce rozległo się znowu wołanie, następnie z poza małej wyniosłości ukazały się ciemne kształty psa a dalej za nim — człowiek!

„Któż to mógł być? Dowódca wyprawy angielskiej, Jackson, któryś z jego towarzyszy, czy też jaki Norwegczyk? Zbliżyliśmy się do siebie z pośpiechem. Począłem wysoko wywijać kapeluszem, co też i on uczynił. Słyszałem, jak mówił coś do psa — posłuchałem: mówił po angielsku; gdy zaś przyszedłem bliżej, zdało mi się rozpoznać twarz Jacksona, którego, o ile pamiętam, raz tylko poprzednio spotkałem.

„Odkryliśmy głowy i podali sobie ręce z serdecznem: *How do you do?* [1]

„Ponad nami leżała mgła, u naszych stóp ruchome kry, w tyle zdaleka majaczył ląd, pokryty lodem, śniegiem i mgłą. Po jednej stronie stał cywilizowany Europejczyk w kraciastem angielskiem ubraniu i wysokich kaloszach, ogolony, ufryzowany, uperfumowany wonnem mydłem; z drugiej dziki, w brudnych łachmanach, z długim, nieuczesanym włosem i czarną od dymu brodą, z twarzą, na której zwykła płeć blondyna znikła pod ciemną warstwą tłuszczu i sadzy, której sześciomiesięczne usiłowania za pomocą gorącej wody, mchu, szmat a w końcu i noża, nie mogły dać rady. Nikt się nie mógł domyślić, kim był ów dziki, ani skąd przybywał. — Jackson:

„Cieszy mnie, że pana widzę.

„I mnie również.

„Ma pan tu okręt.

„Nie; okrętu mego tu niema.

„Wielu was jest?

„Mam tylko jednego towarzysza u brzegu lodów.

„To mówiąc, zaczęliśmy iść ku lądowi. Pewien byłem, że mnie poznał lub przynajmniej domyślał się, kto pod tą dziką powierzchownością się kryje, gdyż nie przypuszczałem, aby zupełnie nieznajomego mógł tak uprzejmie powitać. Ale on nagle stanął, spojrzał mi bystro w twarz i spytał:

„Nie jesteś pan Nansenem?

„Jestem — odparłem.

„*By Jove!* Okrutnie się cieszę! I uchwyciwszy mi rękę, uścisnął ją po raz drugi, a twarz jego zamieniła się w jeden wielki uśmiech powitania“...

Tu Jackson począł wypytywać o podróż, poczem chciał iść na brzeg do Johansena; Nansen wszakże zauważył, że ten nie będzie mógł i tak łodzi na los wiatru i morsów zostawić. Dali mu więc tylko znak kilku strzałami i poszli wprost do osady, skąd kilku z towarzyszy Jacksona natychmiast po Johan-

[1] „Jak się miewasz“ - zwykłe powitanie angielskie.

sena ruszyło. Johansen po angielsku nie umiał; bywają wszakże okoliczności, gdzie ludziom łatwo bez słów się porozumieć. Nansen tymczasem odbierał z rąk Jacksona skarb najcenniejszy — listy z Norwegii, zabrane umyślnie przez wyprawę angielską na wypadek spotkania się z nim, napisane wprawdzie już przed rokiem, na wiosnę[1]. Czem te listy dlań być musiały, zrozumie każdy, kto po długiej nieobecności wraca do domu i z cicha drży w niepewności, kogo tam żywego zastanie?

Drugą wielką, acz mniej duchową radością była kąpiel i wszystkie za nią idące porządki. Ledwie mógł poznać Johansena, gdy zamiast obdartego i obrosłego smolaka, machającego dla rozgrzania rękami i nogami przed schroniskiem zimowem, ujrzał przystojnego młodzieńca, mogącego paradować w salonach Chrystyanii. Osada Jacksona, acz składająca się tylko z chaty drewnianej, zbudowanej na sposób rosyjski, stajni i paru kolistych namiotów, obfitowała we wszystko, czego można potrzebować wpośród lodów, a wszystkiem tem uczestnicy wyprawy radzi byli ugościć przybyszów. Ci nie myśleli już od nich uciekać, Jackson spodziewał się wkrótce okrętu, mającego mu przywieść zapasy, tym więc mogli wygodnie do Norwegii powrócić. Wyprawa Jacksona miała na celu nie już odkrywanie nowych ziem, ale badania naukowe w odkrytych już a nieznanych. Pokazało się, że w marcu doszedł był niedaleko od zimowej chaty Nansena, ale musiał zawrócić wstrzymany przestrzenią wolnej wody, tej samej, której odblask samotnicy wciąż widzieli na niebie. Obecnie zamieszkiwał na przylądku Flora, tj. na południowo-zachodnim krańcu wyspy Northbrook, jednej z większych i najbardziej na zachód ku Szpicbergowi położonej z pośród archipelagu, tworzącego Franz-Josephland.

Nansen brał jeszcze udział w łowach i badaniach Anglików; własna atoli jego podróż była skończona. Wyjechawszy

[1] Nansen (w wydaniu niemieckiem) powiada, że listy były zabrane „tej wiosny". Musi tu jednak zachodzić pomyłka; trudno bowiem wyjazd na wiosnę z Norwegii pogodzić z bytnością w głębi Franz-Josephlandu w marcu, o czem niżej. Listy zapewne były wzięte na wiosnę 1895 r., a Jackson przezimował na przylądku Flora.

z Chrystyanii, opłynął ogromny okrąg najsamprzód na północ i wschód wzdłuż brzegów Syberyi aż ponad ujście Leny, potem zwrócił się był wprost na północ, gdzie wnet chwycony przez lód i pchany przezeń to na zachód, to znów na północ, dotarł wraz z Framem do 83° 20′ szer. półn., a następnie pieszo do 86° 15′ szer., tj. że był o 3° 15′ od samego bieguna. Stąd już skręcił na południe, a potem na zachód; obszedł grupę wysepek Hoitenland, potem przedostał się przez zamarznięty Dickson-sund pomiędzy ziemią Hohenlohe a Karl-Aleksander, poczem znów zawrócił ku południowi wzdłuż wyspy Frederick-Jackson, kędy zimował; następnie przeszedł wzdłuż większych wysp ziemi Zichy i wyspy Hooker, okrążył od strony południowej wyspę Northbrook i tu nareszcie na przylądku Flora znalazł odpocznienie i pomoc.

W nocy 26 lipca oczekiwany statek Windward przebił się przez lody do przylądku Flora, przywożąc żywność, sanie, renifery i wieści z kraju żyjących — między innemi wieść o zamierzonej wyprawie Andrée'go. W kilka dni później Nansen i Johansen pożegnali swych nowych przyjaciół. Dnia 13 sierpnia po spokojnej żegludze dojechali do Vardö, gdzie wylądowawszy późnym wieczorem, poszli od razu zbudzić telegrafistę dla rozesłania swych depesz. Zaspany, przyjął ich opryskliwie; zły humor wszakże zamienił się na widok podpisu Nansena w żywy entuzyazm, który wnet zakomunikował się całemu miastu i dalej jak iskra elektryczna biegł po całej Norwegii. Wielką też była radość prof. Mohna, gdy niespodziany a ukochany gość stanął nagle w jego pracowni.

Jedyną chmurą, pozostałą na sercu Nansena, był niepokój o losy Framu. Zaledwie jednak dopłynął do Hammerfestu, depesza Sverdrupa doniosła mu o jego powrocie. Po długim jeszcze, bo 16-to miesięcznem uwięzieniu wśród lodów udało się w końcu załodze rozsadzić kry prochem i dynamitem, a następnie dziwnie szybko dopłynąć do kraju. Po drodze zatrzymali się na Szpicbergu, aby odwiedzić Andrée'go, który czekał wówczas na korzystną chwilę do wzlotu. Nansen na wieść o ich przybyciu wrócił się na ich spotkanie do Fromsö, skąd odbyli razem dalszą drogę, zakończoną 9 września 1896 r. uroczystym

wjazdem do Chrystyanii. Przyjęto ich z radością i słusznie: wszyscy powrócili wesoło i zdrowo; trzechletnia wyprawa Nansena, choć dotarła najgłębszej północy, ani jednego ludzkiego nie kosztowała życia. Johansen wrócił do matki, Scott-Hansen do narzeczonej, Nansen, Sverdrup i inni do swoich żon i dzieci; nawet jeden z psów, pozostałych na Framie, przyjechał do Europy. Tu jednak, zda się, że klimat dlań nie był korzystnym: na wystawie bowiem 1897 r. w Sztokholmie figurował wypchany obok przedziurawionego kajaku Nansena i równie jak pies wypchanego łba morsa. Oczywiście fama głosiła, że to ów opatrznościowy mors, bez którego napaści podróżni nie byliby ani pomyśleli o wylądowaniu na przylądku Flora... Opatrzność istotnie grała w tem wielką, uderzającą rolę; mors jednak przez nią nasłany zapewne pływa sobie dotąd spokojnie i wylega się na krach północy, a owa wystawiona głowa może iść o lepsze z laską Fryderyka W. i biurkiem Woltera.

Wszystko tedy skończyło się jak w bajce. Norwegia znalazła nowy powód do narodowych demonstracyj, Nansen oprócz bohaterskich laurów u swoich zyskał wszechświatową sławę, a wraz ze sławą i piękną wyprawę dla córki i świeżo urodzonego synka; odczyty bowiem, w których Europie i Ameryce opowiada swą Odysseę polarną, grubą już pono sumę przyniosły. Sverdrup zyskał też poważanie i rozgłos; na zdanie jego powołują się obecnie na równi niemal ze zdaniem Nordenskjölda: nazwiska innych uczestników wyprawy zostaną też w pamięci wielu otoczone sympatycznym urokiem rzadkiej już dziś rycerskości. Pytanie tylko zachodzi: co pozyskała wiedza? A pytanie to nie lada, skoro pod jej sztandarem poniesiono te wszystkie koszta! Zrazu odpowiedź wydaje się smutną, bo przecież Nansen nie doszedł do bieguna; dotarł dalej, niż inni, ale jak inni musiał z wytkniętej drogi zawrócić. A jednak patrząc bliżej, poznaje się, że rezultat wyprawy jest wielki. Nansen, choć nie odkrył bieguna, przecież zbliżył się doń na tyle, iż śmiało twierdzić można, że dalsze wyprawy w tym celu są już właściwie bez racyi: toż nawet Andrée nie byłby wyjechał, gdyby go do

rozpaczliwego wzlotu nie przynagliła przemoc przedsiębiorców prasowych.

Teraz już ludzie wiedzą na pewno, że regularna komunikacya przez morze polarne jest z powodu masy i niestałości lodów rzeczą w praktyce niemożliwą; samo częściowe chybienie hypotezy Nansena o prądzie dążącym przez biegun z Azyi do Grenlandyi jest tego dobitnym dowodem. Nawet gdyby się raz udało przejechać, co być może, iż kiedyś nastąpi, byłoby to wypadkiem sporadycznym, podobnie jak nim była udana wyprawa Nordenskjölda. Prąd bowiem, na którym polegały zrazu nadzieje Nansena, zbyt powolnym jest (1—2 km. dziennie) i zbyt słabym, aby walczyć stale przeciwko wichrom północy. Że jednak ten prąd istnieje, jest rzeczą pewną; a przez to samo również pewnem, że cała przestrzeń, ciągnąca się w zwyż 83° szer., zajętą jest przez morze, mniej lub więcej ruchomym lodem pokryte. Od wysp syberyjskich aż do 86° 15′ szer. półn., ani stąd do Franz-Josephlandu, Nansen nie spotkał ani skrawka ziemi, ani jednej choćby podwodnej skały; że zaś już tylko 418 kilometrów dzieliło go od bieguna, a kry zdały się swobodnie poruszać, przeto wolno już nie przypuszczać, lecz twierdzić, że i na wysokości bieguna szukaćby lądu daremnie. Przeciwnie, począwszy od 79° szer. morze, wbrew dotychczasowym mniemaniom, okazało się dziwnie głębokiem, ta głębia zaś powiększa się jeszcze w miarę postępu na północ, i przeciąga się aż do wód północnego Atlantyku: tu bowiem już Nordenskjöld zmierzył był 4.800 metrów sondy pomiędzy Szpicbergiem a Grenlandyą, ostatnia zaś wyprawa doliczyła 3.600 m. na południowy wschód od ziemi Jan Mayen.

Wynika stąd, że przestrzeń otaczająca biegun północny przedstawia wielką otchłań morzem pokrytą, tj. że kula ziemska nietylko jest na tym punkcie spłaszczoną, jak dotychczas myślano, ale nadto jest wydrążoną na przeciętną głębokość 3.500 m. U bieguna południowego, o ile można wiedzieć, dzieje się przeciwnie: tu, zda się, kończyna ziemi zajętą jest przez stały ląd, najeżony górami o 3.000 i 4.000 metrów wysokości, jak np. szczyty widziane przez James'a Ross na ziemi Victoria. A więc

i nowa powstaje hypoteza: ziemia nasza przestaje mieć kształt pomarańczy, a za to przybiera formę okrągławej cytryny, śpiczastej u jednego końca, a u drugiego ściętej i wydrążonej nieco na kształt „studzienki“. Jeżeli to okaże się prawdą, będziemy mieli potwierdzenie faktu, na który już wielu geografów zwracało uwagę. Skonstatowano mianowicie, że 19 razy na 20, stały ląd na kuli ziemskiej odpowiada na antypodach głębi oceanu, a zatem, że każda większa wypukłość warstw ziemi okupiona jest po tamtej stronie mniej więcej równie głęboką wklęsłością.

Inną jeszcze nowością przez Fram zdobytą, jest różnica ciepłoty pomiędzy warstwami lodowego morza, na którego dnie jak widzieliśmy poprzednio, płynie woda znacznie cieplejsza, niż na dnie Atlantyku pod 30° szer. półn. Rozwiązanie zagadki daje nam jak zawsze Golfstrom, który dobrzeby zrobił, gdyby się zechciał jeszcze nieco do Europy przybliżyć. Byłoby nam cieplej w jego sąsiedztwie. Toż nietylko pod wodą, ale i na podbiegunowych lodach temperatura mniej jest zimną (o cieple tu niema mowy) niż w Alasce lub u północnych krańców Syberyi. W ciągu całej podróży Nansena, mróz nie przekroczył nigdy 52° C., podczas gdy na morzu Karyjskiem dochodzi często 53°, a niżej jeszcze, przy ujściu Leny aż do 70° C.! Wokoło bieguna bowiem dzięki cieplejszemu prądowi, unoszącemu zwolna kry w stronę Grenlandyi i niedozwalającym im dosięgnąć grubości ponad kilka metrów, zimno niema na czem się oprzeć, lody spływają zastąpione przez coraz to nowe kry. Lód starej formacyi jest przeto rzadkim, okrom wszakże u północnych brzegów ziemi Grinnell, gdzie nie mając ujścia na zachód ani na południe, spiętrza się tworząc t. zw. Ocean Paleokrystyczny. U brzegów Syberyi również i na jej bezludnych stepach lód przywiera bezkarnie, a mróz bezlitośnie ściska matkę ziemię; mieszkańcy tych stref mogliby urządzić sobie stacye klimatyczne na krach 85° szer. północnej!

Co się tyczy zdobyczy botanicznych i geologicznych wyprawy Nansena, te, że nie są uderzające, mogą tylko specyalistów zajmować. Wolimy też odesłać ich do dzieła, które Nansen

w tych przedmiotach wydać zamierza; Scott-Hansen również sposobi sprawozdanie ze swych bogatych meteorologicznych spostrzeżeń.

Nie wątpię, że nauka zyska na nich wiele; mniej może jednak, niż żeglarze północnych mórz (niekoniecznie polarnych) zyskają na stworzeniu nowego typu okrętu, zastosowanego do wszystkich ich potrzeb. Fram po swej trzechletniej kampanii, wytrzymawszy tylekroć straszliwe ciśnienie lodów a uwolniony rozsadzeniem ich materyami palnemi, powrócił do Chrystyanii absolutnie zdrów: ani deszczułka się nie poruszyła, ani gwóźdź nie rozluźnił. Ludzie też wyszli cało, dzięki właściwemu sposobowi życia i pożywienia. Co dziwniejsza, Nansen i Johansen, którzy przez całą zimę żyli samem mięsem i tłuszczem bez żadnego roślinnego pokarmu, skonstatowali doszedłszy do osady Jacksona, że obaj przybyli: Nansena o 2 klgr., Johansen o $1^1/_2$ klgr. Codzienne chodzenie wśród zimy w mokrych z rana, zmarzniętych przez dzień a roztajających w nocy odzieniach nie spowodowała im ani febry, ni kaszlu; czyżbyśmy z wszystkiemi naszemi regułami hygieny postępowali na wspak? O tem niech lekarze rozsądzą.

Nansen powrócił nie zniechęcony i nie znużony trudami swej północnej wyprawy. Zapytany niedawno, czy będzie miał jeszcze w życiu odwagę na podobną podróż się puścić — odpowiedział, że „daleko więcej potrzeba odwagi, aby cicho w domu wytrzymać“. Teraz jednak marzy o południowym biegunie...

T. W.

ROKOSZ ZEBRZYDOWSKIEGO I JEZUICI [1].

I.

W chwili, kiedy zapadała zasłona na tragedyę Dymitra w Moskwie, rozgrywała się w łonie Rzeczypospolitej donioślejsza w następstwach tragedya wojny domowej — rokosz Zebrzydowskiego. Wygórowany indywidualizm szlachecki, który „ogołocił króla z władzy, zniwelował duchowieństwo i senat z szlachtą, odtrącił mieszczan, uciskał chłopów“ [2], obrażone ambicye, zawiedzione w rachunkach prywaty i wszystkie anarchiczne żywioły, jakie w ciągu lat 50 nagromadził w umysłach i sercach nieład, wytworzony herezyami, sekciarstwem, namiętnościami i kłótniami religijnemi — wszystko to pobratało się, ujęło za ręce i znalazło się w obozie rokoszan. Magiczne słowa: *absolutum dominium*, praktyki zagraniczne, naprawa Rzeczypospolitej, wolności narodowe zagrożone, ratunek ojczyzny — oto hasła, pod któremi zawiązuje się, rozwija i zrywa do wojny bratniej rokosz. Firmą i poniekąd przewódcą jego Zebrzydowski, ale ojcem jego duchownym, wyznać to trzeba z żalem, wielki kanclerz Zamojski, uosobienie indywidualizmu szlacheckiego. Nie on pierwszy w Polsce rozżalony, że król rad jego nie słucha

[1] Jest to rozdział XIV z pierwszego tomu dzieła: „Jezuici w Polsce“, nad którem autor pracuje.

[2] Szujski III, 168. — Łubieński, *De motu civili 1606—1608*, liber I, p. 46, 58.

i usług jego nie potrzebuje, identyfikuje swoje ja, swój interes i swoją wrzekomą krzywdę z szkodą i krzywdą całej Rzeczypospolitej; ale on pierwszy, najzasłużeńszy bez wątpienia i najbardziej poważany mąż w kraju, przemawiając na radzie senatu, na sejmach i sejmikach, a co najgorsza, na samowolnie zwołanym zjeździe w Jędrzejowie, rozrywa to, co wiecznie spojone być powinno: tron od narodu; dzieli interes i chwałę obojga, przeciwstawia jako dwie wrogie potęgi, wszechwładzę szlachecką powadze królewskiej, i dowodzi, że temu narodowi dzieje się krzywda, tej wszechwładzy ujma od tronu.

On, senator i minister, przyodziawszy się w togę trybuna wolności i stróża praw narodowych, zwołuje na własną rękę zjazdy, wytacza przed szlachtą formalne oskarżenia przeciw królowi, pozywa przed sąd sejmowy, toczy z nim śledztwo, doprowadza do tego, że król jak winowajca musi się tłumaczyć, bronić, dla miłego spokoju do winy przyznawać i składać upokarzające deklaracye: „Bacząc, że z nas samych niemała do tego przyczyna przyszła, istnie tego żałujemy i t. d.“ Takiego sponiewierania powagi królewskiej Polska nie widziała dotąd nigdy.

Przykład Zamojskiego był rozgrzeszeniem sumienia publicznego, obałamuconego i spaczonego teoryą, że wybieralny król polski rządzi, lecz nie króluje, a rządzi na podstawie dobrowolnej ugody, której warunki w paktach Henrykowych i w poszczególnych paktach konwentach zostały zawarte. Gdy król warunków nie dochowa, naród może mu na podstawie artykułu *de non praestanda obedientia* wypowiedzieć posłuszeństwo; nie będzie to bunt, jeno czyn obywatelski. Pojęcia te pokutowały na dnie duszy każdego szlachcica, oprócz jednak pewnej liczby krzykaczy sejmowych, ogół narodu nie zdawał sobie z nich sprawy, nie wyprowadzał konsekwencyj z prawa elekcyi i paktów płynących, cieszył się artykułem *de non praestanda obedientia*, ale zrobić z niego użytku nie miał odwagi — majestat królewski miał jeszcze zanadto wiele czci u niego. Ale gdy Zamojski na sejmie 1605 r. i na poprzednich sejmach „nie przestawał stanowi rycerskiemu oczu otwierać, iż ten coraz ściślejszy z Austryakami związek może królestwo polskie w dziedziczne

przemienić“ [1] i animował do krytykowania nietylko czynów, ale zamiarów królewskich, poił nieufnością do tronu, to „ona bracia“, jak szlachtę nazywał, zrozumiała, że i jej wolno ostro krytykować króla, że i ona prawo ma grozić królowi, i *tentare extrema* [2]. Jakoż hersztowie rokoszu rozgrzeszali w ten sposób sumienia własne, wybijali skrupuły z głowy „onej braci“ i pchali ją najpierw do zakazanych prawem zjazdów pokątnych a potem do rokoszu. Na skutki złego przykładu nie trzeba było długo czekać.

Jeszcze żył Zamojski, a już powinowaty jego Zebrzydowski, pan „pobożny i długiej modlitwy, ale twardej głowy i w zdaniu uparty“, jak go scharakteryzował Wielewicki, przegraża się: „ja z kamienicy, ale król ustąpi z tronu“. Niezdolny do samoistnego myślenia, bo płytkiego rozumu, ale za to tem pohopniejszy do naśladowania, mniemał, że naznaczony egzekutorem testamentu, jest także spadkobiercą „wielkiej myśli Zamojskiego“

[1] „Życie Zamojskiego“ przez Bohomolca, rozdz. XVII.

[2] Podczas rokoszu obiegało z rąk do rąk „Votum IMPana Zamojskiego h. i k. w. k. który ze stołka swego senatorskiego wystąpiwszy uczynił rzecz taką w kole między senatorami 1605 r.“. Wotum to, zdaniem Szujskiego (III, 163), podrobione, nosi istotnie wszystkie cechy falsyfikatu. Wyrzuca królowi Zamojski niezdarne prowadzenie wojny szwedzkiej, obracanie publicznych podatków na prywatne cele królewskie i zły szafunek starostwami, „radę młodą“ i ożenienie się z siostrą pierwszej żony; wylicza potem „urazy“, jakie senat ma do króla: a więc nieoddanie Estonii, niepobudowanie granicznych fortec, dwór cudzoziemski, wysyłanie listów pod pokojową pieczęcią (bez wiedzy kanclerza lub podkanclerza), zaniedbywanie ludzi zasłużonych w wojnie, zwłaszcza Podolan, „praktyki dziwne“ co do elekcyi Władysława syna, za życia ojca; „siła mamy na WKM. w czem nam WKM. niepraw, więc nam ciężko nie będzie *et extrema tentare*“. Wywołuje pompatycznie cienie dawnych senatorów z grobu i mówi: „płakalibyście z nami Korony Polskiej“, i nagle zwracając się do króla, upomina go: „Miłościwy królu, na Boga proszę cię, obacz się, popraw się“. (Arch. miejskie w Toruniu, dział XIII, t. XVII, str. 36). Wotum to już z tej racyi jest falsyfikatem, że Zamojski na radzie senatu 1605 r. wcale nie przemawiał, „bo pierwej ruszono się z miejsc, nim przyszła kolej mówienia“ na niego. Dopiero po skończonej radzie, odprowadziwszy z innymi senatorami króla na pokoje, „tam swe zdanie o tem małżeństwie królowi przedłożył“. („Życie Jana Zamojskiego“, rozdz. XVII). Ale już to samo, że rokoszanie swe własne *gravamina* w usta Zamojskiego włożyli, i jego powagą się zasłaniali, dowodzi aż nadto, że on był duchownym ojcem rokoszu.

i krok w krok szedł w jego ślady. Nie miał przed nim tajemnicy żadnej kanclerz, żółć wszystką na króla przed nim wylewał; pojętny uczeń, zapamiętał sobie to wszystko, i z tą „spuścizną“ Zamojskiego wystąpił na arenę. Nic łatwiejszego jak obałamucić, roznamiętnić gmin, czy tym gminem lud czy szlachta. Więc rewelacye Zebrzydowskiego o „praktykach królewskich“, obietnice rewelacyj nowych, niesłychanie ważnych co do *absolutum dominium* króla, jak iskra elektryczna wstrząsnęła szlachtą, najprzód krakowską, najbardziej krewką, potem lubelską i sandomirską. Szlachta bowiem pruska, mazowiecka i ruska trzymała się zdala od rokoszu, ruska oświadczyła się nawet przeciw niemu.

Rzecz jednak godna uwagi, że Zebrzydowski, podobnie jak i inni rokoszanie, uważał się zawsze za najlepszego obywatela, przekonany był o swej niewinności nawet po upadku rokoszu; że król, senat i sejm nie traktowali go jako buntownika nawet, gdy detronizacyę króla ogłosił i do wojny domowej hufce wyprowadził. Dlaczego? Bo rokosz jego miał upozorowanie prawne w artykule *de non praestanda obedientia*, na którym Zebrzydowski, jak na koniku, ciągle jeździł, bo znajdował oddźwięk w spaczonem sumieniu ogółu narodu, przeświadczonego o swej supremacyi nad królem, o odpowiedzialności króla przed szlachtą. Zebrzydowski, jako senator, najpierw listami upominał króla, wzywał innych senatorów, aby to samo czynili, gdy to nie pomogło, zwrócił się do „cnej braci“ szlachty, zawsze w szczerej intencyi ratowania zagrożonych „praktykami“ króla wolności narodowych, wzywał ją, aby sama o sobie radziła, bo senat źle radzi królowi, a na sejmy niema co liczyć. Jakże takiego człowieka nazwać buntownikiem? Płytkiej, burzliwej szlachcie wydał on się raczej wielkim obywatelem, więc lgnęła do niego. Znalazł się i na Litwie magnat, Janusz Radziwiłł, pan na Birżach i Dubinkach, podczaszy litewski, obrażony na króla, że go pominął w wakansach, że dworzanina jego, insultującego publicznie w Krakowie Najśw. Sakrament, marszałek nadworny uwięzić kazał. Więc w swej osobie widział upośledzone i pokrzywdzone wszystko różnowierstwo i pod hasłem obrony tolerancyi reli-

gijnej, gromadził koło siebie niespokojne i niesforne głowy dyssydenckie z Litwy i Polski całej [1].

Z takich głów płytkich, bałamutnych a burzliwych i z dyssydentów złożony rokosz, nic dziwnego, że wystąpił wrogo przeciw Jezuitom, którzy przykładem swym, słowem i piórem bronili powagi tronu, uczyli poszanowania władzy i posłuchu prawom. Za pretekst tej antyjezuickiej nienawiści służyła okoliczność, że ich uważano za serdecznych przyjaciół austryackiego domu, któremu oni istotnie mieli wiele do zawdzięczenia, i jako dom katolicki szanowali. A właśnie ku austryackiemu domowi, dzięki znów przeważnie mowom Zamojskiego na sejmach 1603 i 1605, nurtowała w narodzie, nawet w obozie katolickim, powszechna niemal nieufność, u rokoszan jawna niechęć i podejrzywanie go o machinacye na złotą wolność, ba! na całość Rzeczypospolitej. Na wzór Zamojskiego popisywał się Zebrzydowski swą antypatyą austryacką przed „cną bracią“ i napoił nią innych katolików rokoszan.

Bądź co bądź jednak, pierwszy to wypadek, że obok różnowierców, także katolicy zarzuty i skargi przeciw Jezuitom podnoszą i wygnania ich z głównych miast domagają się. Dotąd bowiem katolicy, tak duchowni jak świeccy, nietylko sprzyjali zakonowi, ale brali go też w obronę przed każdą napaścią heretycką. Symptom to znaczący; nie zaniedbał go podnieść na sejmie 1607 r. aryanin Gorajski, dowodząc, że *gravamina* na Jezuitów układali pod Sandomierzem nie różnowiercy, ale katolicy sami.

Asumpt do rokoszu wziął Zebrzydowski z powtórnego małżeństwa króla z rodzoną siostrą pierwszej swej żony, Konstancyą Austryacką, któremu był przeciwny, i listem z dnia 19 lipca 1604 r. jako senator zaklinał króla, aby od tego przedsięwzięcia odstąpił. Wiemy, że i ks. Skarga odradzał królowi to małżeństwo, jako w zbyt blizkiem pokrewieństwie, a gdy król trwał przy swojem, prosił o uwolnienie z urzędu kaznodziei królewskiego, pozostał jednak na nim z rozkazu jenerała. Długo, bo

[1] Lubieński str. 58

dwa całe lata namyślał się król, zanim o rękę Konstancyi zdecydował się słać dziewosłębów [1], a w kościele św. Barbary Jezuici z woli króla przez cały rok odprawiali „codzienną wotywę na intencyę Króla J. M.“; zaprzestali dopiero, gdy decyzya króla w tej mierze stała się wiadomą [2]. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że z tej samej racyi, co Skarga, nietylko nie doradzali, ale w duszy przeciwni byli temu małżeństwu; najniesłuszniej więc zarzucali im rokoszanie, że oni przez sympatye dla austryackiego domu, króla do tego kroku popchnęli. Za przykładem Zamojskiego, który królowi zamiast Austryaczki carównę, córkę Iwana Groźnego podsuwał, rokując stąd unię personalną z Moskwą, Zebrzydowski powiększał, a raczej zmyślał niebezpieczeństwa, z tego małżeństwa dla Rzeczypospolitej wyniknąć mogące. Przed i po Zygmuncie III. królowie polscy brali żony z austryackiego domu, z którym pokrewne związki królom chlubę, Polsce spokojne sąsiedztwo przynosiły. Sztucznie a tendencyjnie wywołane przez obydwóch widmo ruiny Polski, jeżeli król z Austryaczką się ożeni, przeraziło do tyla umysły szlachty, że dwa sejmy 1603 i 1605 r. tą kwestyą się głównie zajmowały i prócz poboru na wojnę inflancką nic nie uchwaliły. Król uparł się, zasłaniając się własnoręcznym listem Klemensa VIII., który mu nie kogo innego, tylko siostrę nieboszczki Anny, Konstancyę za żonę brać polecał, i w tem błąd jego niemały, iż wbrew woli nietylko sejmu, ale i całego senatu, który krom jednego prymasa Maciejowskiego, to małżeństwo odradzał, wyprawił 1605 r. poselstwo po pannę [3]. Nie Jezuici go w tym uporze utwierdzili.

W trzy miesiące po sejmie, 3 czerwca 1605 roku, umarł „wielki“ kanclerz, więc „egzekutor jego testamentu a spadko-

[1] Biskupa łuckiego Szyszkowskiego i marszałka w. k. Zygmunta Myszkowskiego.

[2] Wielewicki II, 61. – Łubieński opowiada, że król prosił pierw o rękę Anny, córki Ferdynanda tyrolskiego, i dopiero, gdy Ferdynand zbyt twarde stawił warunki, zwrócił się do Konstancyi, którą mu jeszcze 1599 r. arcyksiężna Marya, matka, w Niepołomicach przeznaczała. *De motu civili*, lib. I, 24, 32.

[3] Łubieński str. 27.

bierca jego myśli", Zebrzydowski, któremu król z domu na zamku, do czasu i z grzeczności użyczonego, wynieść się polecił, bo domu tego dla gości weselnych potrzebował, wrzekomą obrazę swą *bono publico* osłaniając, dalejże burzyć szlachtę, „spisywać wojsko", tworzyć po cichu konfederacyę, do której przystąpili tacy ludzie, jak: zawadyaka, jurgieltnik niedawno cesarski, heretyk Stanisław Dyabeł Stadnicki, awanturnik wygnany z domu kanclerza Szczęsny Herburt, zięć Zebrzydowskiego karyerowicz Smogulecki, oczajdusza ukrainny heretyk Łaszcz Piotr, 30 razy banita, który na urągowisko prawu „banicyami ferezyę sobie podbić kazał", heretyccy krzykacze sejmowi Kazimirski i Pękosławski, herszt aryanów Gorajski, sporo innych różnowierców, jak Sieniawski, Marcin Broniewski, Jędrzej Męciński, wojewoda rawski Zygmunt Grudziński, kasztelan parnawski Piotr Stabrowski, Stanisław Cikowski, Kasper Dębiński, Baltazar Porębski, Hieronim Rozrażewski, Stanisław Morski, Zygmunt Niszycki, zwerbowani przez „głowę kalwinów litewskich", Janusza Radziwiłła, który goniąc za popularnością, a krzyw królowi, przystał także do konfederacyi [1]. Na sejmiku proszowickim wytoczył Zebrzydowski pierwszy raz przeciw królowi swe skargi. „Umarł Zamojski — wołał pompatycznie — obrońca swobód naszych, lecz nie umiera stan rycerski, on sam prerogatyw swoich powinien być stróżem", niechże więc, „nie licząc już na sejmy" zbierze się gdzieś blizko Warszawy, pod bokiem sejmu (zwołanego na 6 marca 1606 r.) i radząc o sobie, niech ustanowi, co ma być uchwalone na sejmie. Jeżeli sejm uchwały zjazdu rycerstwa odrzuci, wtenczas nowy zjazd rycerstwa obmyśli stanowcze środki zabezpieczenia Rzeczypospolitej. W to graj „cnej braci" szlachcie, dyktować królowi i sejmowi, a więc Rzeczypospolitej całej, prawa; więc sejmik uchwalił „zjazd powszechny rycerstwa" do Stężycy na dzień 9 kwietnia, a posłom swym na sejm marcowy spisał 41 postulatów (niektóre niedorzeczne, jak np. ażeby król podatków nie rozpisywał, ale z własnej szkatuły

[1] Wielewicki (II, 117) wyraźnie powiada, że w zimie 1605 r. Zebrzydowski zawiązał po cichu *(primo tacita et sequenti mense aperta)* konfederacyę. — Lubieński, *De motu civili*, lib. I.

bronił Rzeczypospolitej), ale wszystkie dosyć umiarkowane [1]. Uchwały proszowickie przyjął i zatwierdził sejmik małopolski w Korczynie i uniwersałem 26 lutego zawiadomił o tem bracię.

Przeciw Jezuitom na obydwóch tych sejmikach nic nie uchwalono, chociaż być może, że jak 1603 r. na sejmiku proszowickim, powstawano na nich [2]. Rej tam wodził Zebrzydowski, a był przecie ich uczniem w Brunsbergu, domownikiem Hozyusza, przyjacielem Skargi, współfundatorem lubelskiego kolegium, stałym dobrodziejem domu św. Barbary, bywał u nich częstym gościem i gościł u siebie; jeszcze w r. 1605 listem z dnia 7 maja z Krakowa dziękował jenerałowi Akwawiwie za łaskawe przyjęcie w Rzymie i zainteresowanie się jego synem, przyrzekał wdzięcznym być zakonowi całemu [3], a bratanek jego, także Mikołaj, wpraszał się do zakonu, gdy jednak z przyjęciem jego zwlekał prowincyał Striveri, wstąpił do Bernardynów. Bardzo jednak ostrożnie obchodzić się musieli z tym przyjacielem Jezuici; uwag żadnych nie znosił. Obraził się np. kazaniem O. Wielewickiego, mianem w kościele św. Barbary na Wielki Piątek 30 marca 1606 r., w którem kaznodzieja, wskazując na pokorę Chrystusa Pana, umywającego nogi uczniom, ostro gromił pychę i butę krzykaczów i burzycieli sejmowych i sejmikowych. Przymówkę tę Zebrzydowski, na tem kazaniu obecny, wziął do siebie i przez kanonika krak. Taranowskiego, swego i Jezuitów przyjaciela, żalił się u prepozyta domu, O. Grodzickiego, żądając satysfakcyi. Prepozyt jednak odpowiedział, że kaznodzieja mówił o pysze i ludziach pysznych a niespokojnych wogóle, nie wymieniając nikogo [4].

Gdy się już sejm w marcu 1606 r. zebrał, a posłowie z od-

---

[1] Mskr. Bibl. Oss. nr. 91, karta 205—213: *Articuli Conventus particularis Prossoviensis a. 1606.* — Łubieński str. 47.

[2] Zarzucano wtenczas Jezuitom, „że nie umieją znosić się z ludźmi obcymi (nie Jezuitami), że się mięszają zanadto w sprawy publiczne, że zaprzysięgli zanadto na wierność domowi austryackiemu, jak im tego dowiedziono". (Archiw. Wat. *Borghesiana* III, 52 cd. Relacya Rangoniego).

[3] *Archiv. Prov. Pol. Epistolae,* t. I.

[4] Wielewicki II, 119.

powiedzi króla na *gravamina* proszowickie nie byli zadowoleni, próbował król motywami religijnymi odmienić umysł Zebrzydowskiego, znanego z swej pobożności, i za wiedzą senatu wysłał O. Skargę do Lanckorony, gdzie Zebrzydowski, jak drugi król, podówczas rezydował, aby go odwiódł od zwołania zjazdu stężyckiego. Było to poselstwo Skargi błędem wielkim, bo paktowaniem z uzurpatorem królewskiej władzy, której tylko jednej przysługiwało prawo zwoływania publicznych zjazdów i pozwalania na nie; wbito go tylko w pychę i upór większy, którego też nie zdołała przemódz nawet złota wymowa Skargi, z jaką mu nielegalność i niebezpieczeństwa podobnego zjazdu przedstawiał.

Zebrzydowski oświadczył górno Skardze, że nie prywata, ale głos „cnej braci“ szlachty, wystraszonej „potajemnemi naradami komornemi króla“, nagli go do zwołania zjazdu, „który może się stać bardzo pożytecznym, byle król raczył z niego korzystać“, i obrażony na Skargę, że czynom jego śmiał przyganiać, w uniwersale, który dnia 6 kwietnia jak drugi król do narodu wystosował, powtórzywszy wszystkie dotychczas miotane na króla zarzuty, dotknął też osobiście Bobolę, który mu niedawno u króla województwo krakowskie ze starostwem śniatyńskiem wyjednał, i ks. Skargę, zarzucając temuż, że lubo duchowny i zakonnik, wdaje się w sprawy świeckie i razem z Bobolą ślepem jest narzędziem Austryi [1].

Wspominam o tem, bo nieraz mówi się i pisze, jakoby Jezuici ówcześni, „kadząc znakomitościom“, nie mieli odwagi powstać przeciw wadom publicznym w kazaniach swych i prywatnych rozmowach. Owszem nietylko powstawali — oni nawet „dokuczali do żywego“, ale oprócz gniewu na siebie, nic nie wskórali. Widzieliśmy, jaki odwet na ks. Skardze wziął Zebrzydowski, do niedawna wielbiciel jego cnoty i wymowy; weźmie go niebawem i na zakonie całym, dozwalając go proskrybować.

---

[1] Mskr. Bibl. Ossol. nr. 168, str. 625; nr. 91, karta 220—241. — Łubieński str. 58, 59. *Ea legatione factus elatior* (Zebrzydowski).

II.

Ale bo też Skarga i Jezuici wyrządzili rokoszanom, rekrutującym się przeważnie z heretyków, właśnie teraz psotę niemałą. Skarga, każąc przy otwarciu sejmu, 7 marca 1606 r., wobec króla i sejmujących stanów w kolegiacie św. Jana, obrał za tekst słowa I. ks. królewskiej rozdz. 8: „Postaw nam króla, aby nas sądził, jako wszystkie narody mają“ i rozwinąwszy z właściwą sobie gruntownością i erudycyą pojęcia „monarchii i królestwa“ dowodził, że najlepszy jest rząd monarchiczno-konstytucyjny, tj. „monarchia sprawiedliwemi prawy i radą mądrą podparta“. Wskazał potem „boleści, któremi dostojność i władza królewska słabieje“, i naliczył ich trzy: „wolność przebraną i zbytnią, z której idzie nieposłuszeństwo poddanych; rozproszenie dochodów i imion stołu królewskiego; koła poselskiego wykraczanie z porządku zamierzonego“; rozebrał każdą z nich szerzej i nie „bojąc się onej przymówki, jakobyśmy wolnościom szlacheckim życzliwymi nie byli, a *dominium absolutum* i zatem tyranię chwalili“, wołał: „O głupi przepychu, jako się króla nie boisz, którego Pan Bóg bać się rozkazał... Cóż to za bezpieczeństwo albo raczej wszeteczeństwo, za którem to idzie, iż, kto chce, królowi łaje, o nim szemrze, jego się pedagogiem czyni i zelżywie go wspomina? Jeżeli to z prawa jakiego pisanego albo statutu idzie, przeklęte takie prawo i taka wolność piekielna... Ale wiem, iż wzdy prawa tak złego nie macie, chyba onego na tę taką swawolność nakręcacie... Nie na zelżenie władzy królewskiej wolność dana i jeżeli jej źle używacie, słusznie ją Pan Bóg od was odejmie, iż się wam w ciężką niewolę, broń Boże, obróci“. Rozróżnia trzy dobre wolności: „świętą od grzechu, dobrą od obcych i pogańskich królów, złotą od tyrana własnego, a czwarta szatańska synów Beliala, bez jarzma“, która poniewiera królem, prawem i władzą. „O synowie koronni umiejcie czcić króla... i pany wasze... Nie czyńcie sobie malowanego króla, jako w Wenecyi, bo weneckich rozumów nie macie i w jednem mieście nie siedzicie. Nie rozciągajcie wolności swej na zelżenie jego, na zjazdy zakazane, na rozruchy, na sedycye, na obmowy

i szemrania, na nieposłuszeństwa i przepychy, bo to wam samym wielką szkodę uczyni i to samo niewolę na was tyrańską przywiedzie".

Krótko się sprawiwszy z „boleścią" drugą, jaką jest marnowanie dóbr i dochodów Rzeczypospolitej, przechodzi do „wykraczań koła polskiego", które zamiast monarchii umiarkowanej wprowadza „demokracyę, w rządach ludzkich najgorszą i najszkodliwszą i tu w tem królestwie tak szerokiem niepodobną... Taki rząd *popularitatis* musi przecie mieć swoje króliki, bo *populus* na dwóch językach albo na trzech polega, którzy królikowie z sobą się wadząc i jeden drugiemu zajrząc wszystko nogami wzgórę obrócą... którzy jadowitymi językami myśli swe zakryte wykonywując, poburzą prostaki i od nich na sejmach mówią i czynią, co chcą, i składają na bracią: a bracia albo o tem nie myśleli, albo zwiedzeni jako dzieci, pod płaszczem wolności wrzaskiem i krzykiem przyzwolili, nie wiedząc drugdy na co, i szkody a zguby swej nie bacząc... Królikowie ci wszystko wam zepsują i was pogubią" [1].

Każde zdanie, słowo niemal każde tego kazania było napiętnowaniem i potępieniem zgubnej roboty Zebrzydowskiego i jego rokoszan. On go nie słyszał, bo na sejmie nie był, z Lanckorony długą ręką magnata zjazd stężycki urządzał, ale mu je powtórzono; bo słuchali kazania książe Janusz Radziwiłł z swymi heretykami, posłowie małopolscy, którzy w Korczynie zjazd stężycki uchwalili, a na króla 41 grawaminów do sejmu przynieśli — jakżeż oni i wszyscy, którzy na króla paszkwile po całej Polsce rozrzucone z rąk sobie wydzierali i jego małomówność, strój hiszpański lub alchemiczne eksperymenta za ciężką winę i powód do rokoszu poczytywali, a gadkom o praktykach rakuskich jak św. ewangelii wiarę dawali, jakżeż nie mieli żywić głębokiego rankoru przeciw Skardze i Jezuitom?

---

[1] Kazanie szóste sejmowe w pierwszem i drugiem wydaniu kazań Skargi 1597 i 1600 r. To samo kazanie, z pewnemi naturalnie zmianami i dodatkami, mówił Skarga 7 marca 1606 r.; wspomina o tem w kazaniu wiślickiem czyli w swej odpowiedzi: „Na artykuł o Jezuitach zjazdu sandomirskiego: druga wina".

Heretycy zwłaszcza, mieli inny jeszcze powód do gniewu i zemsty na Jezuitów. Przypominamy tu, że od zburzenia zboru ewangelickiego w Krakowie 1591 r. dyssydenci gwałtownie domagać się zaczęli ponownego zatwierdzenia przez sejm konfederacyi warszawskiej 1573 r., zabezpieczającej im tolerancyę religijną; że 1599 r. stanęła we Wilnie konfederacya lutrów, kalwinów i Braci Czeskich z dyzunitami w celu wspólnej obrony przeciw katolikom i zabezpieczenia wolności religijnej tąż konstytucyą warszawską z 1573 r. zagwarantowanej; że na sejmach 1601, 1603, 1605 r. przez kanclerza Zamojskiego zanosili oni swe *gravamina* do króla i stanów, skarżąc się, zwłaszcza deputaci miast pruskich, na pogwałcenie swych przywilejów i konfederacyi 1573 r. Wszystkie te zabiegi aż po czasy rokoszu, udaremniła większość katolicka; *gravamina* dyssydenckie wkładano w reces, albo zostawiano bez odpowiedzi. Teraz jednak na sejmie 1606 r., gdy nietylko małopolscy posłowie, ale część wielkopolskich przez Grudzińskiego i Łaszcza, i litewscy przez Radziwiłła, dla sprawy pozyskani zostali, udało się już prawie przeprowadzić uchwałę, nietylko zapewniającą dyssydentom wolność religijną i zatwierdzającą konfederacyę z 1573 r., ale obowiązującą katolików, aby tejże heretyckiej wolności bronili. Uchwała ta zredagowaną była tak zręcznie, że istotnego jej sensu nawet biskupi się nie domacali i już, już na nią przyzwalali. Królowi jednak, który zanim ją podpisał, czytał raz i drugi uważnie, wydała się ona podejrzana; nie chcąc obciążyć sumienia swego, prawie w ostatniej chwili przesłał ją poufnie Jezuitom nadwornym, Skardze i Bartczowi do zbadania, zapytując, czy jako król katolicki spokojnie zatwierdzić ją może. Oni zbadali i fortel heretycki wykryli, a nazajutrz skoro świt, ks. Skarga obszedł biskupów i po katolicku myślących posłów, przedstawiając im dowodnie niegodziwość podobnej konstytucyi. Więc powstali przeciw niej na sejmie i projekt uchwały tej upadł niepowrotnie[1]. Łatwo pojąć, jaka stąd na Skargę i Jezuitów

[1] Wielewicki II, 116.

powstała złość wśród heretyków i ich politycznych przyjaciół i jaka żądza zemsty.

Mieli oni do niej jeszcze powód nie rzeczywisty, ale wymyślony. Oto w czerwcu 1606 r., podczas zjazdu lubelskiego rokoszan, hetman polny, Żółkiewski, posłany tam od króla, aby Zebrzydowskiego od rokoszu odwieść, miał schadzkę w kaplicy kolegium jezuickiego ze starostą lubelskim i podskarbim Firlejem, i zaraz po niej pchnął O. Kuleszę do Warszawy z ostrzeżeniem do króla, a sam nazajutrz z pocztem swym opuścił Lublin i przeszedł otwarcie na stronę królewską. Rozumieli rokoszanie, że to Jezuitów sprawka, acz tak nie było — stąd gniewy i złośliwe plotki, jakoby w kolegium składy broni i prochów przechowywano, jak to obszerniej w historyi lubelskiego kolegium opowiadam.

Nic więc dziwnego, że złość tłumiona w Proszowicach i Stężycy przeciw Jezuitom, wybuchła pierwszy raz w Lublinie. Po krótkiem zagajeniu przez Zebrzydowskiego zjazdu, którego zadaniem jest „Rzeczpospolitą od *absolutum dominium* ochronić i praktyki cudzoziemskie aby ustały"; po „najzapalczywszych" mowach „dyabła-Stadnickiego" i Sienieńskiego, którzy wołali „a iż król JM. na prawa i wolności nasze się targa, nas z prawy naszemi pospołu sprzedawa cudzoziemcom... tedy nam nie lża, jeno rokosz złożywszy, posłuszeństwo mu wypowiedzieć" [1] — wystąpił Szczęsny Herburt z filipiką na Austryaków i Jezuitów. „Polskie królestwo, prawił, jest tak powabna wędka, która bardzo ich (dom austryacki) wabi, na które czyhają jako na tramontany, a *causae adiuvantes* do złego — nasi księża Jezuici. Wypadli z domu tego (austryackiego) jak kurcze z jaja; to są emissarzy, właśnie szalbierze, którzy nami handlują". Po Herburcie wstąpił na trybunę Gorajski. Ten puściwszy wodze aryańskiemu rankorowi, na księży wołał: „A ci nasi mili Jezuitkowie niech się chlubią pobożnością, jaką chcą, ale oni przedsie *sub praetextu pietatis* i nas i was katolików łupią, jako chcą. Ci, którzy mieli

[1] Jest to perifraza słów Zamojskiemu w usta włożonych: „mamy prawo *extrema tentare* na WKM.".

być jałmużnikami, tylko na kościołach swych poprzestawać, tak wiele wsi mają, miast, zamków (?!) i tak się zmocnili, że już nie jako *pastores ovium*, ale jako *lupi rapaces* na nas, na nasze dobra paszczęki rozdziawiają, i snać, jako słychać, wojska na nas zbierać chcą. A także to przystoi tym ludziom, którzy sobie w sprawach wszelakich pobożność pokazywać mieli, którzy od przodków naszych tak wiele dóbr mają, na zginienie nasze czyhać, w nocy z senatory się zamykać [1] i na zepsowanie Rzeczypospolitej naszej zszeptować się?" Następnie pouczywszy Jezuitów, że powinni patrzeć nabożeństwa, a nie wdawać się w politykę, dodaje: „Ale, rzeką, któż to mówi?... ewanielicy — to tak wołamy: nie słychać o tem katolika. Słychać, mości panowie, i słusznie słychać ma być każdego, który się w cnocie czuje" [2].

Czy kto z katolików w Lublinie przeciw Jezuitom gardłował, nie wiadomo, ale Gorajski mówił prawdę, twierdząc, że nietylko „ewanielicy tak mówią".

Zjazd lubelski po szalonej mowie Stadnickiego, który jak opętany wrzeszczał: „ja Zygmunta za pana mieć nie chcę, bo mnie prawo uczy, abym sobie nie opresyi, nie niewoli, ale wolności życzył", przystąpił na wniosek kasztelana parnawskiego, Stabrowskiego, do ogłoszenia rokoszu i zwołał pospolite ruszenie szlachty na dzień 6 sierpnia do Sandomierza [3], do króla zaś wyprawił jedenastu posłów, uwiadamiając go o tem, co zaszło i zapraszając żuchwale, aby na rokosz sam się wystawił „bez ludu cudzoziemskiego" tj. bez wojska i „dał z dostojeństwa swego satysfakcyę", w razie przeciwnym niech wie Król JM., że „rady i rycerstwo koronne i W. K. L." postarają się „jakoby prawa i wolności Korony polskiej nienaruszone zostawały" [4]. Posłowie wieźli z sobą do Krakowa, dokąd król za przestrogą i radą

---

[1] Przymówka do ks. Skargi.

[2] Mskr. Bibl. Ossol. nr. 314, karta 45—51. Wota roczne na zjeździe lubelskim 4 czerwca 1606 r.

[3] Mskr. Bibl. Ossol. nr. 198, karta 1—4. Uniwersał zjazdu lubelskiego.

[4] Mskr. Bibl. Ossol. nr. 91, karta 224—233. Instrukcya dana posłom ze zjazdu lubelskiego do króla wyprawionym.

Żółkiewskiego przez O. Kuleszę wysłaną, forsownymi marszami z Warszawy podążył, i radę senatu sam zwołał, 34 *gravamina* zjazdu lubelskiego, ale pomimo inwektyw Herburta i Gorajskiego, o Jezuitach niema tam żadnej wzmianki [1].

Dopiero w Pokrzywnicy pod Sandomierzem, gdzie 12 sierpnia ogłosiwszy akt konfederacyi albo kapturu rokoszowego, koło rokoszan przyjmuje na siebie majestat Rzeczypospolitej i oświadcza „te wszystkie skazy, któremi Rzeczpospolita jest bardzo zagęszczona, i tak wielkie urazy prawa pospolitego i swobód naszych leczyć i do naprawy właśnie rzetelnej przywodzić chcemy“ — wyznaczono „komisyę 12 do spisania uraz Rzeczypospolitej“, a następnie deputacyę 24 dla ostatecznego „ułożenia artykułów“. W skład deputacyi wchodzili, oprócz marszałka rokoszu Janusza Radziwiłła, także Łaszcz, Herburt, Stadnicki i Gorajski, i jako sekretarz, zięć Zebrzydowskiego Smogulecki. Z 73 grawaminów spisanych przez komisyę, ułożyła i przyjęła deputacya 24-ch w ciągu trzech dni 67 artykułów. Apologeta rokoszu, Henryk Schmitt, opowiada, że „trzy szczególniej artykuły wywołały nader żywą rozprawę, tj. pierwszy o procesie i karze na złe senatory, drugi dotyczący Jezuitów, a trzeci konfederacyi między rozróżnionymi w wierze“; że „sam Janusz Radziwiłł, lubo gorliwy ewanielik, podał jako najlepszy środek zapobieżenia sporom, aby na artykuły o Jezuitach i o wierze sami katolicy głosowali i większością je głosów uchwalili; przeto 17 katolików deputatów zgodziło się i na artykuł o Jezuitach w tej formie, w jakiej go królowi podano, i na to, że konfederacya między różnowiercami w wierze (warszawska z 1573 r.) ma być

[1] Mskr. Bibl. Ossol. nr. 168, karta 636: „Urazy Rzpltej I. Kr. M. przez pany posły zjazdu lubelskiego w Krakowie d. 30 czerwca 1606“.

Wielewicki (II, 117) opowiada, że Zygmunt na radzie senatu, na której lubelskie *gravamina* omawiano, wykazawszy jasno swą niewinność, oświadczył się gotowym stanąć w jej obronie do pojedynku z Zebrzydowskim, gdyby na to królewska godność pozwalała. Popłakali się z rozrzewnienia niektórzy senatorowie. Ażali nie lepiej było, odebrać Zebrzydowskiemu województwo i starostwa i poddać pod sąd jako burzyciela spokoju publicznego?

przez króla assekurowana“ [1]. Jakoż w liczbie 67 grawaminów rokoszu czytamy p. l. 28 artykuł o Jezuitach tej osnowy:

„Jezuity, którzy, iż w sprawy świeckie tak na dworze króla JM. jako i prywatne wdają się i na kazaniach swych *absolutum dominium* przyśladują, prawa i wolności nasze i postępki w Rzeczypospolitej naganiają i wzruszają, do tumultów i sedycyi ludzie pobudzają, aby Król JM. od dworu swego relegował, a na to miejsce na urząd kaznodziejski i dla spowiedzi św. księży świeckiej, które *ordinariae* jurisdykcyi biskupów koronnych obojga narodu podlegają, aby Król JM. sobie obrał.

„A ktemu cudzoziemce tej religij (zakonu Jezuitów) będące, aby z Korony i W. X. Litewskiego przed wyjściem 12 niedziel wszyscy wyprowadzili się za edyktem Króla JM. Co aby starostowie wszyscy do egzekucyi przywodzili *sub poena 100 marcarum*, ktokolwiek o to pozwie na trybunał, *inter causas officii* załatwić się mającą.

„Do tego, aby z nimi bądź ustnie, bądź przez posły potajemnie w sprawach Rzeczypospolitej potocznych Król JM. nic Jezuitom nie komunikował, ani ich rady sięgał, ani do siebie *per subductas personas* wzywał.

„Reguł i fundacyj, aby Król JM. nie przyczyniał, i starych fundacyj dla ich reguł nie wzruszał, owszem te, które Król JM. albo duchowni fundowali, aby zniósł i kasował, i aby na potem nikt tych fundować nie ważył się, prawem obwarować raczył; te tylko miejsca do nabożeństwa i do mieszkania ich zostawiając, mianowicie: Poznań, Kalisz, Wilno, Lublin, Brunsberg, Pułtusk, Jarosław i Nieśwież. Okrom tych, aby dalej przebywać i sadowić się nie ważyli.

„Majętności, którekolwiek nie tym miejscom mianowanym są przyległe, *intra biennium* aby poprzedali pod utraceniem ich na Rzeczpospolitą albo też na Akademię krakowską, a część na szpital ludzi rycerskich aby obrócono je.

---

[1] „Rokosz Zebrzydowskiego“ str. 311. Teka Batowskiego l. 41. Heretycy deputaci domagali się zupełnego wygnania Jezuitów z kraju, katolicy częściowego, i ci przegłosowali.

„A gdzieby ino tej uchwale cokolwiek przeciwnie czynili, aby *poenae exilii a regno et dominiis annexis* popadli.

„A iż ich *instrumentum* własne i potężne jest w pokoju Króla JM. przedniejszym [1], tedy i tego, aby nietylko z pokoju, ale i od dworu Król JM. odprawić raczył“ [2].

Inspiratorem tego artykułu, jak wspomniałem i jak stwierdza to naoczny świadek, był Stanisław dyabeł-Stadnicki. Ten biorąc asumpt z sejmowego kazania Skargi 1606 r., „w którem okazował, że posłowie nie należą (do rządzenia Rzecząpospolitą) jeno do trybutu“ (uchwalenia podatków), i z drugiego kazania Skargi przy otwarciu zjazdu wiślickiego z początkiem sierpnia, „w którem Skarga pobudzał *ad civile bellum*, uczynił potem inwektywę, ukazując to, że wygnania z królestwa, jako *proditores patriae, contemtores legum* godni byli“. Marszałek rokoszu Janusz Radziwiłł „nie affirmował mowę p. Stadnickiego... puszczał ten cuch panom katolikom, żeby nie rozumieli, że on to czyni z invidyi przeciwko nim. Wzięli ten artykuł przedsie katolicy. O Jezus! jakie urągania... ledwieby ewanielik albo największy jaki heretyk śmiał mówić... Bronił ich i dosyć szeroce, że nie mają im być prawa łamane, pan Stadnicki Jędrzej, pomagał mu pan Malczyński i pan Stanisław Zaręba i innych kilka, na których ustawiczne aklamacye były“. Dyabeł-Stadnicki wrzasnął na Jędrzeja: „żeś ty niecnota, gdy nie chcesz ze mną równo dobrego ojczyzny i nie jest równy mi. Nie mógł na to nic odpowiedzieć pan Jędrzej dla ustawicznej aklamacyi, i tak stanął ten artykuł o Jezuitach... Rozjechali się zmrokiem, ozywając się z tem niektórzy, że ten artytuł o Jezuitach jeszcze się odmieni“ [3].

(C. d. n.)

Ks. St. Załęski.

[1] Podkomorzy Bobola.

[2] Mskr. Bibl. Ossol. nr. 168, str. 672. Teka Batowskiego l. 55.

[3] Mskr. Bibl. Ossol. nr. 168, str. 637.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Pogadanka o nowych książkach dla młodzieży.

Z. Bukowiecka: „Historya o Janku Górniku“. „Rok życia“. „Dzieci Warszawy“. — M. Prażmowska: „Serce“. — Władysław Kruk: „Sabinka“. — Marya Weryho i St. Gębarski: „W zaklętem królestwie“. — Teresa Jadwiga: „Przed świtem“. „Wielki król“. — Zuzanna Morawska: „Jerzy Jaszczur Bażeński“. — Jerzy Laskarys: „Przygody Jana Chryzostoma Paska“. — Marya Świderska: „Opowiadania historyczne“. — T. J. Gałęzowska: „Spełniło się“. „Błysk słońca“. „Po ciernistej drodze“. „Odwet“. — „Podręcznik dla ochron“. — H. Strażyńska: „Królewska wnuka“.

I oto znowu mamy przed sobą świeży zbiór pism dla młodzieży, obfitszy niż w przeszłym roku, a rzec można z radością, że i wartością wyższy. To lub owo przyganić można, ale, dzięki Bogu, tendencya przeważnie dobra, brak żółci społecznej, polszczyzna czysta i styl poprawny, tylko wszystko razem wziąwszy, może nazbyt poważne, nazbyt przesycone nauką, przezierającą wszędzie z pod cienkiej gazy powieści. Może to bardzo pięknie i dobrze, może nie godzi się odzywać z opozycyą, ale — zbytek dobrego ma swoje złe strony. Umysł naszych dzieci i tak już przesycony nauką szkolną, kiedyś przecież odpoczywać musi, inaczej struna zbytnio naciągana, osłabi się lub pęknie. Jeśli więc uczeń w chwili wytchnienia weźmie do ręki książkę o łudzącej okładce i tu, zamiast rozweselenia i ochłody, natrafi co dziesiąte słowo na dalszy ciąg lekcyi, to albo ziewnie i książkę odrzuci, lub omijając naukowe ustępy, przeczyta li tylko fabułę. I tak cel zostanie chybiony, w myśli autora bowiem fabuła miała służyć za cukier

osładzający pigułkę. Być może, iż czują to sami autorowie a głównie autorki, i dlatego piszą niemal wyłącznie dla dziewcząt, którym po większej części oszczędzony jest jeszcze przymus nauk publicznych. Dla tych w sam raz są takie książki na wpół naukowe a na wpół zabawne.

Wśród sporządzonej naszym dzieciom duchowej strawy, przeważną część zajmują powieści historyczne. I tu znów staje znak zapytania, czy ich niema zbyt wiele? Czy przynajmniej odpowiadają koniecznym warunkom? — Przedewszystkiem rozpoczynając powieść historyczną dla młodzieży, należałoby pamiętać, że tu ścisła dokładność faktów i dat jest nieodzowną zaletą; jeśli bowiem romantyczność szczegółów ma na celu utrwalenie w pamięci tego, co umysł z suchego podręcznika wyczerpał, toć trzeba z podręcznikiem w wiernej pozostawać zgodzie, jak to w kilku pierwszych swoich powieściach czynił Kraszewski. Nadto trzeba odtworzyć choć przybliżony koloryt epoki, aby bohaterowie nie wyglądali dziwacznie na obcem sobie tle; trzeba wyrobić sobie sąd o wypadkach i ludziach, słowem, trzeba ciężko pracować, aby módz lekko napisać. Ale dość już uwag ogólnych; przystąpmy raczej do treści, zaczynając od rzeczy współczesnych.

Od paru lat już pojawiło się na polu literatury młodzieńczej nazwisko Z. Bukowieckiej, i od razu zaznaczyło się zaszczytnie. Głównem znamieniem jej pism jest prostota, i to nie owa oficyalna i wymuszona, zniżająca się łaskawie do poziomu dziecka lub chłopa, ale prostota szczera, polegająca na wielkiej jasności stylu, na prawdzie w wyrażeniach, opisach i uczuciach. Zalety tej, zbyt rzadkiej, niepodobna dostatecznie wychwalić. Tyle w ostatnich czasach mówiono o realizmie, tak często pojęcie rzeczywistości mięszano literalnie „z błotem", w mniemaniu, że prawdę dostrzedz można jedynie przez zabrudzoną lunetę! Tu zaś mamy realizm prawdziwy; świat, ludzkość, życie widziane w świetle wielkiej prawdy Bożej a więc i przedstawione szlachetnie. Mamy przed sobą trzy utwory pani Bukowieckiej: dwa wyszłe już w r. 1896 a jeden zupełnie świeży. Gdyby nawet wszystkie tę samą datę nosiły, możnaby przecież poznać w jakim porządku następowały po sobie na pisarskim warsztacie — postęp bowiem ku lepszemu jest znaczny. Najpierw musiała być pisana „Historya o Janku Górniku" [1],

[1] „Historya o Janku Górniku". Opowiadanie dla młodzieży. Z. Bukowiecka. Z 10 rysunkami Wład. Jasieńskiego. Warszawa. Nakładem Gebethnera i Wolffa. 1896. Str. 297.

tj. nauka o kopalniach wogóle, a o kopalniach węgla w Dąbrowie w szczególności, wpleciona w zajmujące, pełne dramatycznych przygód dzieje małego sieroty, który własną pracą przy pomocy wyjątkowo dobrych ludzi, zdobywa sobie byt niezależny i szczęście domowe, a nadto staje się cudownem niemal narzędziem w ręku Opatrzności do usunięcia z nad głowy swych dobroczyńców niesłusznie ciążącej hańby. Sam fakt odkrycia prawdy przez Janka, przeprowadzony jest nieco fantastycznie, ale tego w powieści zawsze ganić nie można, bo czyż w rzeczywistości nie dzieje się po świecie tysiące nieprawdopodobnych faktów? Historya Janka zresztą jest tu rzeczą poboczną: główną osobistością jest węgiel, królujący dumnie nad osobnym rojem ludzkości. Szczodry to pan, żywi swoich poddanych, ale też nie rzadko nad nimi się znęca; wszelkie zaś katastrofy, mogące zachodzić w kopalni, opisane są w historyi Janka. Opisy te jednak, choć dramatyczne, nie mają w sobie nic zgryźliwego, nie czuć w nich strejkowego oddźwięku, jaki np. brzmi u Ady Negri, w wierszu kreślącym ponure nędze fabryczne. Owszem, opowieść toczy się poważnie, to znów wesoło ale zawsze ochoczo, jak pobudka do czynu. Są w niej i legendy miejscowe, bo czegóż w polskiej „książce dla młodzieży“ nie znajdzie. Ale *à propos* tych legend, musimy się z autorką wykłócić. Przy końcu jednej z nich wyczytaliśmy po prostu — herezyę! Proszę osądzić: Okrutny pan, gnębiciel swoich poddanych, nawraca się przez trzydzieści lat, pokutuje w pustelni, zimą i latem bosy, oddany najheroiczniejszym uczynkom miłosiernym. Umierając, oddaje zachowane dotąd pieniądze na budowę kościoła. Lud przebaczył jego pamięci, Pan Bóg też zapewne więcej odeń nie żądał, tak przynajmniej zdawałoby się każdemu. Autorka jednak nie jest jeszcze zadowoloną: „Któż wie — dodaje do legendy — czy pokutne czyny wyprosiły mu miłosierdzie. Krwawą była pokuta, ale łzy ludu krzywdzonego ciężko ważą przed Panem“. P. Bukowiecka zapomniała na chwilę o łotrze ukrzyżowanym, który niejedną krzywdę miał na sumieniu, a któremu Pan Jezus za chwilę żalu obiecał królestwo niebieskie.

Następnym z kolei utworem p. Bukowieckiej musiał być „Rok życia“ [1], dziennik Wandzi i Józi. Dodatek do tytułu zapewniający, że dziennik przepisany jest z prawdziwych notatek, wydaje się zbyteczny.

---

[1] „Rok życia“. Dziennik Wandzi i Józi z prawdziwych notatek przepisany. Z. Bukowiecka. Z rycinami. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1896. Str. 228.

Toż to w oczy bije, iż podobnej prawdy „skoncepować“ nie można! Wandzia i Józia żyją na wsi przy ojcu i nie mają do zaznaczenia żadnych przygód, wychodzących poza miarę powszedniego życia. Dziennik ich jednak jest zajmującym, dzięki doskonale utrzymanej charakterystyce osób obracających się w jego ramach. Opisany tu rok obejmuje najciekawszą psychologicznie epokę w życiu dziewczęcia, czas w którym bezwiednie i nieznacznie staje się z dziecka kobietą. Przeobrażenie to (nie wątpimy, że p. Bukowiecka znacznie poprawiła notatki), uwydatnione wybornie. Niejedna też znajdzie się nauka moralna bez pedagogicznych ustępów — książka ta jest pod tym względem rzadkim wyjątkiem. Jedno tylko, czy nie byłoby lepiej, zwłaszcza w naszej epoce autobiografii, nie zwracać zbytnio uwagi dziewcząt na odbywające się w nich zmiany, na budzące się zarodki pięknej i uczciwej, ale nieco przedwczesnej miłości? Dziennik Wandzi i Józi jest wiernem zwierciadłem dwóch typów duszy dziewczęcej — panienki zaś lubią się nadto w zwierciedle przeglądać... I po drugie: czy nie należało choć słówkiem odpowiedzieć na wyrażoną przez Wandzię myśl buntu i zwątpienia na widok bezsilności najlepszych chęci i wysiłków ludzkich, wobec niezrozumiałych nam wyższych wyroków? — Nie każdy przeczyta trzecią z rzędu powieść p. Bukowieckiej, a kędy znalazłby wymowną na podobne wątpliwości odpowiedź.

Zatytułowaną jest „Dzieci Warszawy“ [1], boć też nie opuszcza prawie warszawskiego bruku. Jest to jedna z książek, rzadkich niestety, które recenzenta w istny wprawiają kłopot. Napróżno przyobleka się w powagę krytycznego sądu, próżno wyostrza miecz sprawiedliwości i nastawia wagę: zaledwie kilka przerzuci stronic już „miecz“ wypada z ręki, sąd krytyczny idzie w kąt, a wezbrane uczucie zalewa szalę wagi i przechyla ją na korzyść autora. Prawdę mówiąc, jest to książka „o odcieniach“, ale nie wyłącznie „dla dzieci“. Każdy dorosły człowiek przeczyta ją z przyjemnością i lepiej może od młodych odczuje wszystkie odcienia, pochwyci w serce piękne, zdrowe a subtelne myśli, zdobiące niby złotym haftem szare tło realizmu. Tu u p. Bukowieckiej spotykamy się z nim — ale daj nam Boże więcej takiego realizmu. Skromna powieść snująca się w pośród ulic Warszawy, dotyka wszystkich nędz, wszystkich potrzeb wielkiego miasta — zwłaszcza nędz i potrzeb maluczkich. Dotyka ich jednak nie laską policyanta

[1] „Dzieci Warszawy“. Opowiadanie dla młodzieży. Z. Bukowiecka. Z 8 rysunkami. Nakładem Gebethnera i Wolffa. 1895. Str. 357.

lub pięścią socyalisty, ale ciepłą dłonią Siostry Miłosierdzia a raczej dotyka nie dłonią, lecz sercem. Jest to obraz nietylko cierpienia, ale i miłości bliźniego, skromnej, cichej, zaradzającej szczupłymi środkami każdej napotkanej biedzie. Rzewne to wszystko a nie sentymentalne. Warszawskie „andrusy“ są prawdziwymi bohaterami powieści, więc i przygody ich charakterystyczne a zabawne. Marcinek, sierota, męczennik, służący za klowna w budzie przedsiębiorcy Niemca, wart jest kilku „Matteo“ ze słynnej powieści *Sans famille* Hektora Malot. Wogóle ton „Dzieci Warszawy“ wyższy jest niż u francuskiego pisarza o całą skalę chrześcijańskiego uczucia. Styl po prostu śliczny, barwny i poprawny, rozmowy uliczników paradne. Jedni ludzie z „inteligencyi“ trochę szablonowi, mówią z książki a nie z własnego konceptu. Szkoda też pięknych ale przydługich opisów i historycznych zapisków, z których możnaby bardzo zajmującą osobną książeczkę zestawić, a które tu wtrącone w tok opowiadania, przerywają je niekiedy w patetycznych chwilach i psują artystyczną całość powieści. Te już z pewnością każdy chłopiec przeskoczy, a szkoda, gdyż jest w nich wiadomości sporo. Nie wiem czy znalazłby dziesięciu ludzi w Polsce, znających tak przeszłość naszej stolicy. Radzilibyśmy książkę tę czytać głośno w kółku rodzinnem. W ten sposób nic się z niej nie uroni, a Bóg da, że komu z słuchających wpadnie do serca niejedna z szlachetnych myśli tak gęsto tutaj rozsianych i przez to samo zacznie obracać się w czyn gorące westchnienie autorki, że:

„Byłoby zaraz zupełnie inaczej na świecie, gdyby każdy z nas uratował chociaż kilka dusz... Choć jedną duszę!“

Trzeba nam choć z żalem porzucić p. Bukowiecką. Idźmy dalej. Szczęściem i tu spotykamy się z czemś ładnem. „Serce“ [1] p. Prażmowskiej jest w swoim rodzaju utworem znacznej wartości moralnej, skreślonym stylem wzorowym, dotykającym nie już wszystkich nędz, ale wszystkich dla młodzieży dostępnych kwestyj społecznych. Wprawdzie wyraz powieść, niezupełnie nadaje się do treści; w powieści bowiem coś dziać się musi, a tu właściwie nic się na zewnątrz nie dzieje. Chcąc dopatrzyć się dokonanego w krótkim czasie przewrotu, należy i tu młodym bohaterom zajrzeć do serca. Jest ich głównych dwoje, Hela i Romek. Wychowani w Warszawie, w domu dostatnim, ale przy chorej i nieudzielającej się matce, przywykli żyć wyłącznie dla

[1] „Serce“. Powieść dla dorastającej młodzieży. Teresa Prażmowska. Nakład księgarni Paprockiego. 1896. Str. 265.

siebie, uważać swoje nauki i swoją przyjemność za jedyny cel życia. Wyjazd matki na kuracyę, zmusza ich do wyemigrowania na czas wakacyj na wieś, do Laskowa, gdzie zastają mało znanego dotąd opiekuna i jego rodzinę. Tu dwór zamożny, dobra rozległe, wszystko piękne i schludne, ale jakoś zupełnie odmienne. Ludzie ci używają sami darów Bożych, ale głównem ich zajęciem i troską jest dobro otaczającej ich ludności. Każde z dzieci ma, obok swych nauk, wyznaczoną część działania w ochronce, w szkole lub sposobieniu leków dla chorych. Najstarsza z sióstr, Helena, skazana na dożywotnie kalectwo lecz przytem „wyanielona“ długiem cierpieniem i zaparciem się siebie, jest punktem zbornym, sercem całej rodziny i umie w drugich to serce rozwijać. Wesoło tam, ciepło i gwarno w tym Laskowie, skąd tyle naokół płynie dobrego; mieszkańcy dworu odbijają wielkopańską prostotą od parweniuszowskiej maniery niektórych eleganckich sąsiadów. Nie dziw też, że w inteligentnej dziewczynie, zamkniętej dotąd w ciasnym zakątku swojego „ja“, wytwarza wielką zmianę samo zetknięcie się z ludźmi, żyjącymi w szerokiem kole obowiązków społecznych, w atmosferze miłości rodzinnej i miłości bliźniego. Być może, iż obraz działalności dobroczynnej w Laskowie jest spotęgowany, że mało kto ma możność czynienia tak wiele, że oddając tak swą pracę na dobro ludu, musiałoby się innych obowiązków względem kraju zaniechać. Czuje to widocznie autorka, skoro obok rozumnej działalności ojca, pokazała nam w starszym synu te same szlachetne uczucia, przeradzające się w chłopomanię, dość przesadną, aby zadowolnić wszystkich brukowych miłośników ludu. Ale cierpliwości! Przy takim ojcu przesada minie a grunt szlachetny zostanie.

Już w „Roku życia“ i „Dzieciach Warszawy“ p. Bukowiecka dotyka zlekka drażliwej kwestyi „feminizmu“. P. Prażmowska zaś przypuszcza doń szturm burzącą artyleryą rozsądku: nauczycielka w Laskowie, panna Żukowska, posiada doktorski dyplom z medycyny, używa swej wiedzy dla ratowania biedaków, ale przytem oparta na własnem doświadczeniu, odradza ogółowi kobiet uniwersyteckie studya. Wykazuje ona swym uczennicom „całą nieużyteczność przysparzania społeczeństwu jednostek wykształconych, wprawdzie zawodowo, lecz nie odznaczających się zdolnościami tak wybitnemi, aby nauka odnieść z nich mogła korzyść prawdziwą“; wpaja w nich, że „jest u nas sporo pól pracy, leżących odłogiem, które uprawiać można nie posiadając nauki uniwersyteckiej“, że szczęście polega nie na wiedzy, ale na

spełnieniu najbliższego obowiązku. bo „nauka, czytanie, tyle tylko mają wartości, ile się nauczymy postępować rozumnie i poczciwie". Widzę stąd, jak się na podobne zdanie krzywi niejedna feministyczna buzia, jeżeli wogóle feministki raczą do tego rodzaju czytania się zniżać. Dla młodych, jeszcze nie wciągniętych w szeregi, może być „Serce" bardzo pożyteczną książką. Jest zapewne zbyt poważna na powieść, ale też dzisiaj tak mało jest młodych, prawdziwie młodych...

Dla takich prawdziwie młodych i to nie dorastających jeszcze dziewcząt, napisana jest przez Władysława Kruka „Sabinka" [1]. Jest to miła dobra i świeża powiastka, zajmie i powinna zająć małe czytelniczki. Styl w niej dobry, język czysty, dyalogi — ów kamień obrazy niejednej większej powieści — naturalne, swobodne i proste a nauka moralna wyborna, wyrażona nie słowem ale przykładem. Sabinka, to trzynastoletnia osóbka, pełna zdolności, energii i dumy, autorka sporej ilości górnolotnych wierszy i rozpoczętej na wielkie rozmiary powieści pod tytułem: „Burza na morzu, czyli czterej rozbójnicy", powieść w dwóch tomach. Żadne usiłowania matki ani nauczycielki nie starczą na pokonanie czupurnego stworzeńka; dopiero przechodząc z doświadczenia w doświadczenie, Sabinka dochodzi wreszcie do rozczarowania nad wartością swojej osoby, do przekonania, że jest niższą i słabszą od pogardzanych dotąd towarzyszek. Miłą bardzo sylwetką jest kuzynka jej Cesia, słodkie dziewczątko, doskonalące się pod wpływem starszej nie wiekiem, ale cnotą przyjaciółki Kasi. Inne panienki dziwią się, skąd ta Kasia jest taka mądra i tyle zrobić potrafi. „Mama powiada, iż dlatego, że jest bardzo pobożna" — odpowiada jedna z nich. I z tego punktu rozwija się na temat pobożności mała dyskusya a z niej wyjaśnienie, na czem prawdziwa świętość polega. Zrozumiała to wyjaśnienie Cesia, to też do pierwszej Komunii przysposabia się szczegółowem zwalczaniem swoich dziecięcych wad. Wszystko zatem kończy się dobrze, tylko „Burzę na morzu" spotyka los tragiczny, gdyż przez nieroztropność służącej, idzie na podpałkę do pieca... Tutaj również, choć na mniejszą oczywiście skalę niż w „Sercu", rozwiniętą jest teza dowodząca, że nauka sama przez się nie starczy na uszlachetnienie człowieka: widocznie prąd nowatorski musiał już daleko dopłynąć, skoro mu tak na wszystkie strony stawiają tamy.

---

[1] „Sabinka", Powiastka dla dzieci z ilustracyami. Władysław Kruk. Warszawa. Nakładem księgarni Paprockiego. 1897. Str. 157.

„W zaklętem królestwie“ [1] znajdą, o dziwo! pożywienie raczej chłopcy, aniżeli dziewczęta. Książeczka mała, a dwoje na nią złożyło się autorów i słusznie. Wszak podwodny świat rybek i owadów, to „zaklęte królestwo“, kędy władnie p. Weryho; świat podsłoneczny zaś, zamieszkały przez naszą szkolną dziatwę, to dziedzina p. Gębarskiego. Że zaś każdy ze swego udzielił po trosze, więc utworzyła się całość zgodna, barwna i pouczająca. Uczeń gimnazyalny, Janek z porady lekarzy wyjechał na wieś i stąd pisuje do warszawskich kolegów małe sprawozdania z wszelakich cudów, które za pomocą wiejskiego chłopca, Wojtusia, czyni codzień w sąsiednich rzeczkach i stawach. Listy zupełnie ładne, nauka w homeopatycznych pigułkach podana wcale dostępnie; tylko cel pedagogiczny nazbyt widoczny: przecież na całej kuli ziemskiej niema chłopca, któryby tego rodzaju listy pisywał! Za to odpowiedzi kolegów, donoszących z Warszawy o wszystkiem, co się dzieje w ich gimnazyalnem kółku, muszą zająć każdego. Jest tam i myśl zdrowa i ciepła, atmosfera serdeczna, obejmująca młodzież wszelkiego stanu w jedno braterskie ogniwo.

A teraz przejść nam trzeba do działu historycznego. Dodawszy jeszcze ze trzy lub cztery tomy, możnaby objąć nim całą historyę polską od Mieszka I. do rewolucyi 1830 r. Zaczniemy od zamierzchłych czasów, w które wprowadza nas autorka, znana ze swych prac dla młodzieży, Teresa Jadwiga. Niewielki tomik, zatytułowany „Przed świtem“ [2], maluje epizod z dziejów pogańskich jeszcze Słowian nadłabskich, zetknięcie się ich z chrześcijaństwem, walki z Niemcami i stosunki z książęciem Polan, Mieczysławem. Jak we wszystkich opisach owej epoki, widzialnej dla nas jedynie przez pryzmat baśni ludowej, tak i tu więcej poezyi, niż czego innego; lasy szumią, skowronki nucą, chłopcy i dziewczęta wiją wianki, zawodząc rzewne piosenki, starcy gładzą brody i przemawiają uroczyście. Nie brak też i natchnionego pieśniarza i poświęcającej się w chramie dziewicy; w ważnej okoliczności zawsze na zawołanie zjawia się pielgrzym i trudność zwycięża. Wszystko to spotykamy w powieści „Przed świtem“, a wszystko splecione w powieść ładną i zajmującą dla młodych. Pięk-

[1] „W zaklętem królestwie“. Opowiadanie dla młodocianego wieku. Przez Maryę Weryho i Stefana Gębarskiego. Petersburg. Nakładem Grendyszyńskiego. 1898. Str. 166.

[2] „Przed świtem“. Powieść dla młodzieży. Przez Teresę Jadwigę. Z 6-ciu ilustracyami M. Kotarbińskiego. Petersburg. Nakładem Grendyszyńskiego. 1898. Str. 169.

nym zwrotem jest tęsknota, jaką dziewica poświęcona w chramie chowa w sercu za raz widzianym wizerunkiem Chrystusa, którego słodkie oblicze porównywa wciąż z potwornym łbem Światowida. Pięknym też obraz Hajuty, żony Geronowego syna, Siegfrieda, prawdziwej chrześcijanki, wstrzymującej modlitwą karę niebios za zbrodnię, w imię krzyża spełniane. Nie dziw, że sam widok tej cnoty nawraca pojmanego na jej dworze słowiańskiego pieśniarza, że prośby jej wymadlają dla srogiego margrafa najcenniejszą z łask — nawrócenie. Dla Słowian również widać już zorzę prawdy na niebie, już wkoło słychać cichy szmer przebudzenia; wschodu słońca jednak nie mamy się co spodziewać — wszak otwierając książkę, widzieliśmy, że się zakończy „Przed świtem".

Gdy „Wielki król" [1] na tron Piastów wstępuje, już od jutrzenki daleko. Słońce coraz bardziej rozwiewa mgłę podań i niepochwytne ich kłęby zastępuje wyraźnymi konturami historyi. Kontury to wprawdzie piękne, kształty szlachetne, a obraz takim blaskiem chwały oblany, że nie wymaga już w opisie dodatkowej poezyi: jest sam przez siebie wielkim poematem rycerskim. Na nieszczęście jednak niektóre pióra umieją sobie lepiej z fikcyą niż z rzeczywistością poradzić. Przykro powiedzieć, ale „Wielki król" podobny jest do Bolesława Chrobrego, jak Herod z szopki do groźnego władcy Judei. W pierwszej części wciąż zaperzony, wciąż huczy, mruczy i sarka; w drugiej teatralny i napuszony, aż doprawdy trudno odgadnąć, za co go tak ludzie kochają? Powieść składa się z kilkunastu obrazów, niby wyrwanych kartek z dziejów Bolesława; trzeba jednak, aby je z sobą powiązać, już dobrze umieć historyę. Ale wtedy znów inna następuje trudność. Czytelnika obeznanego z dziejami i geografią niejedna spotka niespodzianka. Zadziwi się np., widząc św. Wojciecha, stąpającego po tatrzańskiej dolinie i przyglądającego się drewnianym ścianom wawelskiego zamku; z Wawelu wprawdzie zdala widać Tatry, ale chyba z żadnej tatrzańskiej doliny nikt i to tak z blizka Krakowa nie widział... Są i szczegóły nazbyt naiwne. Oto podczas gdy św. Wojciech kroczy przez ową dolinę, nagle roztwierają się gałęzie, z poza których wygląda czatujący nań książe Cydebur (rzekomo najmłodszy brat Bolesława), i na pierwsze spojrzenie poznawszy nieznanych sobie wprzódy pielgrzymów, daje trąbką umówiony znak bratu i jego drużynie. *Notabene* tak Kraków,

[1] Powieści historyczne. „Wielki król". Powieść dla młodzieży. Przez Teresę Jadwigę. Petersburg. Nakład Grendyszyńskiego. 1898.

jak ziemia chrobacka, dopiero w dwa lata potem zostały dla Polski na Czechach zdobyte. Nadto nie wiadomo, dlaczego Bolesław tak się tu cieszy na św. Wojciecha, skoro tenże nazajutrz rano wyrusza już do Prusaków... Albo i przyjazd cesarza Ottona! Dlaczego miał do ostatniej chwili być tajemnicą dla ludu? Dlaczego nie sprzątnięto „śmieci i błota“ i tylko je przykryto czerwonem suknem, po którem obaj monarchowie stąpają boso, trzymając się za rączki, jak grzeczne dzieci, poczem cesarz naciąga buty i wraz z Bolesławem wsiada do kolasy. Oprócz nich wszystkie panie tu jeżdżą w kolasach, o których wiemy przecież, że jeszcze w XIV. wieku były rzadkością, a nawet w XVI. w. kobiety najczęściej podróżowały konno. Toż dla królowej Bony pierwszą drogę kołową między Wiedniem a Wenecyą kowano... Wygnany król czeski, chroniący się na polski dwór, melduje się zatrzymującemu go rycerzowi, mówiąc: „Jam jest Bolesław Rudy“, (widocznie nie był w pretensyach co do swojej urody) — co gorzej, gdy Polacy stają u bram Kijowa, z nad wałów sterczą ku nim rozwarte paszcze dział! Wierzymy, że szanowna autorka myślała tylko o ciskających kamienie kuszach, o których chwilę potem jest mowa, ale w każdym razie nie trzeba było wyrazu działa używać, podobnie jak nie należało kłaść różańców w ręce pielgrzymów w 200 lat przed św. Dominikiem. Następnie najstarszy syn Chrobrego Bezprym i najmłodszy Otton zlewają się (jak to przez 50 laty uczono) w jednego Ottona Bezbraima, którego ojciec umierając czyni władcą jakiejś podkarpackiej dzielnicy; snać zupełne wydziedziczenie Bezpryma, o jakiem piszą dzieje, wydało się zbyt okrutnem. Słowem, mnóstwo usterek, których można było bardzo łatwo uniknąć, nie ujmując nic z dramatyczności opowiadania. Nareszcie przychodzi pytanie, dlaczego powieść zatytułowaną jest „Wielki król“, skoro autorka na wzór Niemców, odmawia mu aż do przedśmiertnej koronacyi używanego przecież u Słowian królewskiego tytułu, zwąc go wytrwale „wielkim kneziem“ tak, że się wciąż mamy ochotę oglądać, czy gdzie za nim w głębi nie ujrzymy kopuł Nowogrodu lub Kremlu. Być może, iż kto inny wypowiedziałby o „Wielkim królu“ zdanie mniej surowe; że zarzuciłby recenzyi, iż ujmując się za historyczną prawdą, pominęła zalety książki, która niewątpliwie niejeden młody umysł zajmie, a nikogo nie zgorszy. Im więcej jednak jest dobrego w jakim utworze, tem bardziej chciałoby się wyrzucić zeń wszystko, co błędne

Po zgonie Chrobrego potrzeba nam myślą zrobić skok olbrzymi, ażeby stanąć w połowie XV. w. pod rządami Kazimierza Jagiellończyka.

czyka. Napotka nas tu ze swą fantastyczną seryą przygód „Jerzy Jaszczur Bażeński“ [1]. W przedmowie, lub raczej w tem, co ma być w miejsce przedmowy, opowiada nam autorka, iż słyszawszy w dziecińśtwie po kilkakroć dziwną historyę z ust starego rezydenta, znalazła potem przypadkiem w Bielsku (osadzie niedalekiej Płocka) manuskrypt z XVII. w., powtarzający i dopełniający toż samo opowiadanie z nadaniem mu kolorytu właściwego epoce wojen szwedzkich. Czyż ów rezydent i ów manuskrypt także do powieści należą? Czy też w istocie p. Morawska odkryła jakąś barwną nić, po której doszła do kłębka — o tem sądzić nie łatwo. Toż Jerzy Jaszczur ma być synem jednego z Bażenów, słynnych w dziejach oswobodzenia Prus z krzyżackiej niewoli, a których autorka Bażeńskimi nazywa; obok niego występują różne historyczne postacie z XV. stulecia, a wszyscy ze swoją mową i obyczajem mogliby się przenieść pod panowanie Jana Kazimierza. Szkoda nam także uświęconego w historyi nazwiska Baizen, które mogło z czasem się zmienić, ale w XV. w., w porze swojej świetności musiało brzmieć tak, jak je zapisały kroniki i jak je sława po ziemi polskiej rozniosła. Powieść rozpoczyna się bardzo żywym i zabawnym opisem zamku bielskiego i jego mieszkańców, tj. poczciwego, gderającego a niezbyt inteligentnego starosty, zatopionej po uszy w dewocyi pani starościnej, syna ich, Krzesza, tęgiego jak dębczak wyrostka, i siostry tegoż, Lubochny, snującej złote marzenia na jawie, a przytem wyrywającej się z niewoli izby niewieściej ku niewymownemu zgorszeniu i przerażeniu matki. Starosta z synem i giermkami zabłądziwszy na łowach wśród śnieżnej zamieci, znajdują zapadłego w śnieg z koniem młodego jeźdźca. Ten na poły już martwy; starania zaś ich przyprowadzają go do życia, ale nie do przytomności. Nazajutrz przywożą go do domu i tu dowiadują się, że do zamku zgłosili się jacyś podróżujący rycerze, szukając zaginionego w drodze wyrostka, a nie znalazłszy, odjechali bardzo strapieni, nie podając nazwiska. Starosta posyła za nimi pogoń, która jednak próżno powraca. Chłopak tedy wciąż nieprzytomny pozostaje w Bielsku nieznany; z szat jeno widać, że to zacnego rodu pacholę; na kaftanie nosi wyszyty dziwny znak — srebrną jaszczurkę. Rycerze ci, to późniejsi wojewodowie Jan i Gabryel Bai-

[1] „Jerzy Jaszczur Bażeński“. Powieść z XV. w. Przez Z. Morawską. Wydanie drugie poprawione, z ryciną. Warszawa. Nakładem Gebethnera i Wolffa. 1898. Str. 301.

zen [1], spieszący do Krakowa na królewskie wesele z najcenniejszym ślubnym podarkiem — poddaniem Prus. Cały ten początek jest bardzo ładny, bardzo humorystyczny też opis choroby Jerzego, z której starosta usiłuje go wyleczyć starem winem, lekarstwem bardzo trafnem, gdyby Lubochna, zostawiona na straży, nie przesadziła miary i upajając chorego wprawiła go w letargiczny sen. Wszyscy mają go za umarłego, mnisi z sąsiedniego klasztoru odprawiają nad nim modły, gdy naraz pseudo-nieboszczyk zrywa się, gorączkowym ruchem zawija się w kołdrę i wśród ogólnego osłupienia ucieka z zamku. Nam domyśleć się łatwo, że miał srogi tyfus, ale w Bielsku o tyfusie nie wiedzą i biorąc asumpt z tajemniczej jaszczurki, (która nie jest w istocie czem innem, jak godłem anty-krzyżackiego Związku Jaszczurczego), uważają wszystko za sprawę szatana. Jedna Lubochna nie wierzyła w śmierć Jaszczura i dotąd wierzyć w nią nie chce. Jerzy tymczasem upadłszy kędyś na śniegu, porwany jest przez zbójców i w nadziei okupu pielęgnowany w ich norze, gdzie też wraca do przytomności i zdrowia. Oczywiście korzysta z pierwszej sposobności, aby się wydostać na wolność i po długiem błądzeniu po lasach, spotyka dążący do Prus oddział zbrojny pod wodzą Jana Tarnowskiego. Z nim już dąży do ojca, walczy w nieszczęsnej bitwie pod Chojnicami i tu ratując życie królowi, dostaje się sam w niewolę. Przez dziesięć lat, tj. przez cały przebieg wojny, przebywa u Krzyżaków, którzy go już mają za swego i chcą gwoli niego wystraszyć odstępstwo ojca od sprawy narodu. Tymczasem staje się przeciwnie; Jerzy sam ich zdradza, bo wymykając się z oblężonego Malborga, otwiera tajemne wejście hufcom królewskim. Tu już właściwie możnaby powieść zakończyć. Autorka jednak dozwala nam jeszcze cieszyć się szczęściem Jaszczura, poślubiającego Lubochnę i Krzesza, żeniącego się z Olfą, córką wojewody. Oba śluby za wolą JKMci odbywają się w Częstochowie, gdzie sam Kazimierz chciał asystować swemu młodemu wybawcy. Dzieje Jaszczura nie są istotną powieścią historyczną; sprawy prywatne grają tu większą rolę od publicznych, a że niema rażących błędów, więc i żądać więcej nie można. Szkoda tylko, powtarzamy, tego wybitnego kolorytu XVII. w., namalowanego bardzo dobrze, ale rzucającego ton fałszywy na całość. Trzeba też zauważyć, że druga część powieści nie dorównywa pierwszej literacką wartością. P. Morawska zda się mieć wybitny talent do rodza-

[1] Jan Baizen dostał potem województwo chełmińskie, Gabryel Baizen gdańskie, a Ścibor Baizen elbląskie. Królewieckie zaś Augustyn Schwewe.

jowych obrazków, do których jej brakło pola wśród wielkich wypadków i wielkich ludzi. Dobrze, że Jaszczur Bażeński doczekał się drugiego wydania; my jednak prosilibyśmy autorki, aby użyła swoich zdolności w zwyż wymienionym kierunku; byłoby to prawdziwem dobrodziejstwem, gdyż tak rzadko nadarza się sposobność uśmiania się serdecznie a poczciwie...

„Przygody Jana Chryzostoma Paska“ [1] według jego pamiętników opowiedział dla młodzieży Jerzy Laskarys — a urządzając je, wyciągnął, co w nich było pouczającem, odrzucił wiele niekoniecznego i niestosownego dla młodych ócz balastu, dodał niejedno objaśnienie i wszystko w całość powiązał. Że na tej puryfikacyi całość ta musiała stracić dużo oryginalności, to pewna: samo opowiadanie w trzeciej osobie zamiast osobistego „ja“ ujmuje nie mało życia. Za to pan Pasek skarżyć się nie może; postać jego bowiem wychodzi z pod pióra p. Laskarysa wyszlachetniona, a pamiętnik dużo poważniejszy niż w rzeczywistości. I nie mogło być inaczej: dziś, po tylu przebytych boleściach, nie stać nas już na chłopięcą wesołość ówczesnych ludzi, okraszających żartami niebezpieczeństwa i znoje, pocieszających się dowcipnem słówkiem wpośród publicznych klęsk. Oni byli na pochyłości, lecz nie wiedzieli, że się stoczą w przepaść, a nam dziś na dnie przepaści niepodobna już pojąć uczuć tych, co stali na brzegu. Mniejsza więc, że spoważniało opowiadanie, skoro i umysł czytelników spoważniał. W każdym razie z „Pamiętników Paska“ takich, jak je ułożył p. Laskarys, powaga nie przerodzi się w gorycz. Wprawdzie sąd jego piętnuje polityczne błędy (jak np. związki wojskowe) tam, gdzie nad nimi zatrzymać się musi; woli jednak przejść obok wielu brudów, nie dotykając ich wcale. Wynikiem zaś jest, że się z książki wynosi raczej podniosłe wrażenie, którego najlepszym wyrazem jest drugie wydanie, w jakiem się „Pamiętniki“ ukazały w tym roku.

Podobnież drugiem wydaniem cieszą się „Opowiadania historyczne“ [2] Maryi Świderskiej, co w każdym razie dobrze świadczy o czytającej młodzieży. Wartość czterech podanych opowiadań jest jednak bardzo nierówna. „Ostatni z Piastów“ i „Z krwawych dni“ trudno

[1] „Przygody Jana Chryzostoma Paska“. Według jego pamiętników ułożył dla młodzieży Jerzy Laskarys. Wydanie drugie.

[2] „Opowiadania historyczne“ Marya Świderska. Z rysunkami C. Jankowskiego. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1898. Wydanie drugie. Zawiera: I. „Ostatni z Piastów na Ślązku“. II. „Poseł polski w Carogrodzie“. III. „Z krwawych dni“. IV. „Braniec tatarski“.

wytrzymują sąsiedztwo z „Posłem w Carogrodzie“ i „Brańcem tatarskim“. Tych ostatnich bez zastrzeżeń powinszować można p. Świderskiej, ciesząc się z różnorodnej wiedzy, nagromadzonej tu w wielkiej ilości i podanej przystępnie i lekko. Wprawdzie autorka nie sili się nigdzie na koloryt współczesny; zbyt jednak wiele widuje się pod tym względem prób nieudanych, aby nie pochwalić jej wstrzemięźliwości.

Ze wstępem wita nas „Ostatni Piast na Ślązku“, dzieje ostatniej walki o niepodległość, zakończonej nie porażką wojenną, ale polubownem poddaniem się przez oddanie w małżeństwo synowicy Bolka Świdnickiego cesarzowi i królowi czeskiemu, Karolowi IV. Dzieje te osnute są na podaniu ludowem, trudno więc wchodzić w spór, czy to istotnie Karol, czy też jeszcze ojciec jego, Jan oblegał Bolkową stolicę. W każdym razie opowieść bardzo barwna, ale snać, mniej wprawną jeszcze ręką od następnych skreślona. Sieć pokrewieństw między ślązkimi Piastami nawet dla dorosłych dosyć niejasna, młodzi jednak na to nie zwrócą uwagi, a natomiast zapamiętają wspaniałomyślność Bolka puszczającego na wolność pojmanych czeskich rycerzy na łzy ich matek i żon, a następnie szlachetność Karola, podającego rękę do zgody na widok pięknego czynu przeciwnika. Nikt z czytelników nie będzie zapewne miał sposobności w życiu obdarzenia jeńców wolnością, ale każdy chyba może się nauczyć, jak szlachetnością uczucia zwyciężać osobistą urazę.

Czwartą w książce, ale chronologicznie po „Ostatni z Piastów“ następującą powieścią jest „Braniec tatarski“. W rzeczywistości ten „Braniec“ jest tylko pozorem dla ugrupowania wokoło losów chłopięcia porwanego w jassyr i wyrastającego w nim, historyi wszystkich Ord, wymienionych w dziejach Rzeczypospolitej, niemniej historyi początków Kozaczyzny, pięknych opisów przeróżnych krain i różnych wiadomości bez liku. Potrzebaby osobnych studyów, aby módz ich zupełną dokładność ocenić, mało zaś kto u nas w dziejach europejskiej tatarszczyzny jest biegły. Przygody „Brańca“, pomimo że mają być tylko pozorem, bardzo są dramatyczne; istotnie piękny epizod, gdzie on i jego braciszek Staś wezwani swawolnie przez syna swego właściciela, aby poszli się modlić do meczetu, odmawiają stanowczo, zaczem mały Tatar każe ich przywiązać obnażonych do pali i strzela do nich z łuku, aż go jedna z kobiet od okrutnej zabawy łakociami odrywa. Dzieci dziwią się czci, z jaką inni jeńcy obmywają ich skrwawione ciałka „jakoby coś świętego“; Staś jednak ugodzony srodze, wkrótce umiera z ran. Zbyt długo byłoby tu choć w skróceniu opowiedzieć dzieje tej młodości,

jakich zapewne wonczas było wiele, ale które nie wszystkie zakończyły się szczęśliwym powrotem, jak w bajce. Rzecz dzieje się za Zygmunta I., więc pomimo ponurości niektórych obrazów, całość opromieniona jest blaskiem XVI. stulecia, a w biednym Jasiu, przykutym na rozbójniczej galerze więcej fantazyi i ochoty do życia, niż w najmniej utrapionym młodzieńcu naszych smutnych czasów.

„Poseł polski w Carogrodzie“ to opis poselstwa Krzysztofa Zbarazkiego do Turków w r. 1622, w formie listów jednego z dworzan książęcych do dziadka, a raczej pod tym pozorem historya stosunków Polski z południowymi sąsiady, Wołoszą, Multanami, Turcyą i Siedmiogrodem. Szkic ten obszerny, gdyż obejmujący 118 stron, równie jest zajmujący, jak poprzedni, ale bardziej poważny, bo już wcale na powieść nie zakrawa. Wiele jest objaśnień i szczegółów, których dzieje opowiedziane w całości obejmować nie mogą; podobne więc prace rozszerzając horyzont umysłowy poza szkolne ramki, nieocenionym są dla wykształcenia dodatkiem. Jedną w nim tylko moglibyśmy zaznaczyć niedokładność i to tak już utartą, że z niej autorce niepodobna czynić zarzutu. Polega ona na potępieniu wołoskiej wyprawy Stefana Potockiego w r. 1612, jako czynu samodzielnego, zgubnego dla Rzeczypospolitej. Istotnie, gdyby wyprawa była samodzielną, byłaby zbrodnią; z korespondencyi Żółkiewskiego [1] jednak widzimy, że Potocki działał z królewskiego rozkazu, że sam hetman ordynansem do obozu pod Oryninem wyznaczył, które chorągwie mają z nim iść do Wołoch. Nadto wyraźnie jest powiedzianem, że całej sprawie (przez wzgląd na Turcyę) należy nadać cechę prywatną. Gdyby nie fatalny koniec wycieczki, byłby się nią rząd zapewne *post factum* pochwalił; tak zaś wolano milczeć, a Potockiemu należy przypisać za zasługę, że tajemnicy nie zdradził, cierpliwie biorąc na swoje barki naganę, która i po śmierci do imienia jego przywarła. Fakt ten jest jednym z licznych dowodów, jak nie trzeba z sądem historycznym się kwapić: być może, iż na tamtym świecie niejedna pod tym względem czeka nas niespodzianka.

Opowiadanie „Z krwawych dni“ najmniej jest udane, a przytem nieco za długie. Zacząwszy się bowiem od rzezi humańskiej, przewleka się (przez 114 stron) o wiele poza smutną epokę dalszym ciągiem karyery pogromcy hajdamaków, Stempkowskiego i opisem przyjęcia, wyprawionego przezeń dla Stanisława Augusta. Sam „Straszny Józef“,

[1] Ob. „Pisma Żółkiewskiego“ wyd. Bielowskiego, str. 411—413.

jak po rzezi przyszłego wojewodę zwano, przedstawiony jest zrazu sympatycznie, jako *Deus ex machina*, zjawiający się w potrzebnych chwilach; wkrótce jednak przeistacza się w istotę wstrętną, w chciwego pasibrzucha, godnego wszelkiej pogardy. Czy sam fakt, że był gorącym stronnikiem królewskim, nie wpłynął na surowość sądu? W chwilach nieszczęścia o miano zdrajcy nie trudno; nie mówiąc już o Stempkowskim, istnieje z tych czasów cała lista ludzi, napiętnowanych jako jurgieltnicy rosyjscy: ze świeżo odkrytych jednak dokumentów okazuje się, że wzięte przez nich sumy były tylko częściowem odszkodowaniem za zabrane przy pierwszym podziale majątki... W samem opowiadaniu p. Świderskiej są — nie tykając historyi — pewne niejasności i braki: chłopczyk zdający się na wstępie mieć najwyżej lat 6 lub 7, nagle myśli, mówi i działa, jakby ich miał 14. Ale na tem koniec; nagderawszy do zbytku na dobrą książkę, należy zakonkludować, że zalet w niej jest stokroć więcej, niż błędów, co nie o każdej powiedzieć można.

Niewesołym jest ten ostatni obraz, a jednak radzibyśmy na nim seryę opowiadań historycznych zakończyć. A tu mamy ich przed sobą jeszcze cztery, osnute na krwawem tle dni upadku, a następnie najważniejszych chwil z porozbiorowych dziejów. Wszystkie cztery jednego pióra, T. J. Gałęzowskiej. W pierwszej pod tytułem: „Spełniło się!“ [1], widzimy dzieje dwóch rodzin szlacheckich w przeciągu czasu między drugim rozbiorem a trzecim. A zatem sejm grodzieński, powstanie Kościuszki, wyzwolenie Warszawy i Racławice, następnie Szczekociny, Maciejowice, rzeź pragska i powtórne zajęcie stolicy — wszystko to widziane trochę z daleka, trochę pobieżnie i nierówno, ale bez osobistej lub kastowej żółci, bez wystawiania kozłów ofiarnych żadnych — prócz króla. Ten jeden podany w bezwzględną nienawiść i pogardę. Z całego tonu znać, że dzieła ks. Kalinki w nie dość szerokie jeszcze rozeszły się koła. Powieść kończy się w chwili wzięcia Warszawy strasznym, ale niestety z rzeczywistości wziętym obrazem dwóch gromadek sierót, płaczących pomiędzy dwoma ojcami: z tych jeden leży umarły z ran, a drugi oszalał z żałości... Takie to wszystko bolesne, że ma się ochotę usunąć książkę z rąk dziecka, mówiąc: „Zostaw! To nie do zabawy!“ Zabawa nie była zaiste celem autorki; uczu-

[1] „Spełniło się!“ Powieść historyczna z czasów powstania Kościuszkowskiego dla młodzieży. T. J. Gałęzowska. Z ilustracyami. Kraków. Nakład księgarni Zwolińskiego i S-ki. 1897. Str. 197.

cia jej są poważne, styl poprawny i prosty; znać trochę czułostkowości w poetyzowaniu ludu — co jednak musiało wówczas być na porządku dziennym.

Drugi z rzędu tomik, zatytułowany „Błysk słońca“ [1], najsympatyczniejszym nam się wydaje w cyklu, który p. Gałęzowska poświęciła dziejom ostatniej doby. Cykl ten jest niejako przerobieniem „Historyi stu lat“ w formie powiastkowej. Sądząc z wielu nazwisk i lokalnych szczegółów, przypuszczamy, że autorka znalazła w rodzinnych tradycyach główny wątek losów swych bohaterów, więc jej tylko pozazdrościć można takich wspomnień i tyle pomiędzy najbliższymi poświęcenia dla wspólnej sprawy. Książka sama dużo na tem zyskała przez tętno życia, naturalność i uczucie, jakiem oplata dzieje poszczególnej rodziny, równie jak i ogół wypadków. Inne pytanie, czy olbrzymia epopea napoleońska dobrze wyszła na wtłoczeniu jej w szczupłe ramki powieści. Choć wypadki szły wówczas przyspieszonym krokiem, to jednak powieść goni je jeszcze prędzej, przenosząc nas z Włoch do Egiptu, z San Domingo do Rosyi, tempem, któremu myśl i uwaga bodaj nie nadąży. Obraz zaś, który w ich pamięci historya legionów zostawi, chyba nie będzie tyle jasny, co barwny. A jednak będzie to może w młodych sercach i głowach „Błysk słońca“.

W dalszym ciągu autorka prowadzi nas „Po ciernistej drodze“ [2] w dzieje powstania r. 1830. Oto książka, która mogła być równie użyteczna, jak ładna. Nie dajmy zamierać pięknym wspomnieniom, które do nas przeszły niemal ustną tradycyą, a dla dzieci naszych oddalają się i nikną; budźmy zapał w pokoleniu, które na wiele ideałów, nawet na ideał ojczyzny zastyga. Na to zgoda. Ale zapał dla ojczyzny niech będzie rozumny, niech go wzbogaci tak drogo okupiony skarb doświadczeń bolesnych, błędów świadomych i nieświadomych. W każdym razie niech książka dla młodzieży, o czasach lat blizkich pouczać ją mająca, unika punktów spornych i polemiki stronniczej. Gdyby autorka była zamknęła opowiadanie swoje w ramach powstania 1830 r., byłaby zagrała w sercach czytelników pobudkę dzielną i szlachetną. Cofnąwszy się w dziesięciolecie, które powstanie poprzedziło i przy-

[1] „Błysk słońca“. Powieść historyczna z czasów napoleońskich. Dla młodzieży. T. J. Gałęzowska. Z rysunkami J. Kruszewskiego. Kraków. Nakład Zwolińskiego i S-ki. 1895. Str. 271.

[2] „Po ciernistej drodze“. Powieść historyczna z dziejów powstania 1830 r. dla młodzieży. T. J. Gałęzowska. Kraków. Nakład księgarni Zwolińskiego i S-ki. Str. 312.

gotowało, musiała dotknąć wiele i rzeczy i osób, o których sąd wydać nie łatwo dla ludzi dojrzałych, cóż dopiero dla młodzieży, która, jak lud, rozumie tylko hasła, a nie odcienia. Wprowadzać czytelników bardzo młodych w atmosferę spisków i tajnych towarzystw, podawać bezwzględnie takowe za pracę patryotyczną i rozumną, to nie jest dzisiaj dobrą taktyką. Opowieść losów polskiej rodziny „jakich wiele", na tle tej krajowej tragedyi mogła zostać tak zajmującą, jak jest, mogła porywać czytelników młodych i przypomnieć im, czem być powinna miłość ojczyzny w chwili, gdy się wszystko kładzie na szalę, aby ją odzyskać: ta miłość choćby się kusiła o niemożliwość, to przecież jedna z najpiękniejszych na świecie rzeczy. Pochwalamy więc myśl i cel autorki, ale żałujemy, że nieco przestarzałym a fałszywym sądem Mochnackiego kieruje się w ocenieniu ludzi i wypadków. I z tego względu uważamy książkę za chybioną.

Nader przykre wrażenie robi czwarta z powiastek, „Odwet" [1], która najczarniejszą chwilę naszych wspomnień w ubiegłym półwieku za tło sobie obrała. Nawet tytuł jej zrozumieć trudno: odwet komu i przez kogo? Czy przez lud przeciw tej szlachcie, która w historyi przeciw niemu zgrzeszyła, jeśli nie mniej, to w każdym razie nie więcej, jak w innych narodach, i głównie grzech opuszczenia ma na swojem sumieniu, która nawet tu, w opowiadaniu nie występuje tak wrogo? Lub czyżby odwetem nazwała autorka szlachetne pragnienie młodego dziedzica Góry, aby dobrem płacić za złe, pracą wśród ludu zatrzeć przodków winy i świeże zabliźnić rany? Ależ my pracy tej widzimy tylko zapowiedź, więc i ona tytułu nie usprawiedliwia. Mniejsza jednak o tytuł; trudniej znowu zrozumieć, że autorka odważyła się podać polskiej młodzieży, jak gdyby na rozrywkę obraz najboleśniejszej, najwstrętniejszej chwili naszych dziejów, obraz, którego nie rozświeca żadne bohaterstwo, gdzie niewczesne i lekkomyślne porywy nie zasługują na miano poświęcenia. I cóż czytelnik młody wyniesie stąd dodatniego? Nic; chyba spis błędów tak jaskrawych, że palec na nie kłaść byłoby zbytecznem, ale których napiętnowania przez autorkę daremnie czekamy. Jaskrawe światła i cienie, tak przesadnie i w tak przykry sposób zestawione, że obraz ogólny powstaje nieprawdziwy, a nad wyraz wstrętny; ani rozrywki, ani nauki książka ta nie przy-

[1] „Odwet". Powieść historyczna, osnuta na tle powstania krakowskiego dla młodzieży. T. J. Gałęzowska. Kraków 1897. Nakład Zwolińskiego i S-ki. Str. 226.

niesie, ani wreszcie tego uczucia bolu i wstydu, które natchnęło „Psalm żalu"... Smutne te a niesławne dzieje, zostawmy poważnemu pióru historyka: jeśli drgać w nim będzie serce i dusza polska, to i tak dość bolu go czeka w tej pracy. Dzieci zaś nasze niech się radują Grunwaldem, Chocimem i „Pieśnią legionów", niech płaczą pod Warną, na Cecorze i nad Żółtemi Wodami, a opowieść o „hajdamackich nożach" zostawmy na chwilę, gdzie dojrzeją do tyla, aby „narodu bolów ból" znieść, przebaczyć lub uleczyć mogły.

Ostatnie dwie pozostające nam książki są tak od poprzednich odrębne, że istotnie powinnoby się ocenę ich umieścić osobno. Że jednak autorowie ich mieli na oku, jeden dobro moralne dzieci, a druga pożytek naukowy starszej młodzieży, przeto i one przychodzi do zbyt obfitego już działu przyłączyć.

„Podręcznik dla ochronek, podług niemieckich i francuskich źródeł, opracowany do użytku wychowawczyń i matek chrześcijańskich" [1]. Rzadko spotkać się można z tak wyborną i pożyteczną pracą. Autor jej — bezimienny — pokrzywdził wiele dzieci i matek, któreby rade imię jego w modlitwie wymienić. Podręcznik zawiera katechizm i Historyę świętą, zastosowaną dla bardzo małych dzieci, prócz tego pogadanki o świecie roślinnym i zwierzęcym, zbiór ładnych wierszyków, powiastki, opowiadania z żywotów świętych a nakoniec pod osobnemi liczbami stronic, szereg kolęd, pieśni i piosenek z muzyką. Wszystko to poprzedzone i przeplatane radami lub wskazówkami dla ochroniarki lub nauczycielki, obejmującemi cały zakres jej obowiązków względem duszy i ciała, powierzonych jej dziatek. Wchodzi w nie i podział czasu i reguły gimnastyki, niektóre przepisy hygieny, zachowanie się dzieci przy jedzeniu i ubieraniu, oraz opisanie różnych gier wspólnych na dworze lub w szkole: za te ostatnie bardzo będą wdzięczne ochroniarki; trudniej bowiem jest dzieci zabawić niż uczyć... Nauka katechizmowa jest wyborna, skierowana raczej do serca niż do umysłu i pamięci dziecka, pytanie tylko czy trochę nie nazbyt dziecinna w porównaniu z następnym działem powiastek, opisów zwierząt, roślin lub kolei żelaznych. Bodaj również czy szanowny autor nie przecenił niewinności naszej wiejskiej dziatwy, przypuszczając, że nie słyszała nigdy

---

[1] „Podręcznik dla ochronek, podług niemieckich i francuskich źródeł, opracowany do użytku wychowawczyń i matek chrześcijańskich". Poznań. Nakładem i drukiem *Kuryera Poznańskiego*. 1897. Str. 214 i 32.

o żadnej zbrodni, i że o złem tak absolutnie nie wie, iż należy milczeniem zbywać niektóre przykazania boskie. Namby się zdawało, że w każdym razie lepiej dawać objaśnienia ogólnikowe, nieobrażające niewinności niczyjej, niż przemilczaniem budzić ciekawość u sprytniejszych dzieci. Zresztą dzieci wiejskie wystawione są od pierwszej chwili na słyszenie lub nawet widzenie wielu rzeczy, od których w mieście łatwiej ustrzedz je można. Jest to jedyny zarzut, (jeżeli zarzutem nazwać go się godzi), który podnieść można przy ocenieniu „Podręcznika dla ochron“. Oby to dobre ziarno na wielkopolskiej glebie zasiane rozniosło się po wszystkich kraju dzielnicach i sute na chwałę Bożą wydało owoce.

„Królewska wnuka“ [1] p. Strażyńskiej nie jest powieścią historyczną lecz szkicem. I naprawdę szkoda, że pod tytułem stoi napisane, że to rzecz dla młodzieży, wprawdzie dla starszej, lecz zawsze dla młodzieży. Z dopiskiem tym bowiem, ręczę, że jej nie weźmie do ręki żaden młodzieniec mający choćby „projekt na wąsy“, zwłaszcza dziś, gdy wtargnięcie kobiet do uniwersytetu czyni tych panów drażliwymi wobec wszelkiego produktu niewieściego pióra. Wprawdzie stracą na tem sami, bo szkic jest piękny, ściśle historyczny, w pierwszej swej połowie obrazowy i barwny, a zwłaszcza przy końcu poważny. Między zeszłoroczną powieścią „Sieciech i Królewicze“, a dzisiejszą rozprawą o losach Elżbiety Pomorskiej, zaślubionej w Krakowie cesarzowi Karolowi IV. jest wielka różnica, wielki krok naprzód co do wartości naukowej utworu. W pierwszym autorka ubrała tylko w kwiaty artyzmu kącik dziejowy każdemu znany po wierzchu a dalej niedostępny dla braku nieoficyalnych źródeł; tu zaś nakreśliła obraz bliższej już nas epoki z całą jej siecią intryg, wypadków i skomplikowanych pobudek. Piękna na tem samem polu praca Szajnochy: „Wojna o cześć kobiety“, nie była dość wyczerpującą. Sprawy to zawikłane, dotyczące interesów nietylko Polski, ale wszystkich jej zachodnich sąsiadów, a zatem Czechy, Węgry, Pomorze, Hanzę, poniekąd Stolicę św., wreszcie cesarstwo, o ile było przedstawione w osobie cesarza. Wszystko to umiała p. Strażyńska w jasną związać całość. Działalność Karola IV. w Czechach słusznie bardzo podniesiona zaszczytnie, Hanza — ów chciwy

[1] „Królewska wnuka“. Opowiadanie historyczne z dziejów polskich dla starszej młodzieży. H. Strażyńska. W Krakowie. W drukarni „Czasu“ Fr. Kluczyckiego pod zarządem Józefa Łakocińskiego. 1898.

upiór północy — przedstawiona ze swych stron korzystnych, nieco jednostronnie może, ale niemylnie, boć przecie podniesione tu zalety istniały; Zygmunt Luksemburski traktowany surowiej od brata swego Wacława, Kazimierz W. wyborny. Za to rządy Elżbiety i Ludwika w Polsce, osądzone zbyt wyłącznie według —.rzec można — paszkwilu Janka z Czarnkowa: po tylu wiekach jeszcze się nieco goryczy z wysączonego przezeń jadu zostało! Zatargi między Wielkopolanami a Elżbietą, przypisuje autorka jedynie staropolskiemu wstrętowi do rządów niewieścich, nie biorąc tego w rachubę, jak wrogimi już były stosunki Wielkopolski z Łokietkiem, jak ciągłymi wysiłki Kazimierza W., aby zdusić zarzewie buntu, które przytłumione, ale nie zgaszone straceniem Borkowicza, wybuchło po śmierci króla morderczym płomieniem. Musimy też stanowczy założyć protest przeciw srogiemu potępieniu małopolskich panów. Z pod pióra p. Strażyńskiej wychodzą oni sponiewierani, kilkakroć napiętnowani mianem „sprzedajnych". Prawda, że pomiędzy nimi byli lepsi i gorsi, ale bądź co bądź, byli to wielcy ludzie, w politycznej szkole Kazimierza W. wyrośli; ludzie, którym kraj zawdzięczał nasamprzód przywrócenie spokoju i ładu, usunięcie kandydatury Zygmunta, przyłączenie Litwy i wielką świetność pierwszych lat Jagiełły. Oleśnicki był tylko ich dalszym ciągiem, genialnym spadkobiercą ich wielkiego systemu. Nie dziw, że i Elżbieta i Ludwik na nich się oparli... Jedyna ich wina, wytargowanie przywilejów koszyckich, nie wydała się wówczas tak wielką jak dzisiaj, co patrząc na historyę z dołu, sądzimy każde ziarnko faktu według drzewa, które zeń pod wpływem obcych mu okoliczności wyrosło. Jedną rzecz jeszcze i to ogólniejszą podnieść musimy. Z samego szkicu o „Królewskiej wnuce" poznać już można, o ile kwestya niewieścia jest obecnie na porządku dziennym. Wśród opowiadania uwaga zbyt często jest zwróconą na podrzędność stanowiska społecznego kobiet w średnich wiekach, a nie dość uwzględnionym postęp, jaki w tej mierze już był dokonał duch chrystyanizmu. Liczne przykłady uczą nas, iż owa podrzędność ulegała przed każdym objawem wyższości moralnej lub umysłowej, wątpię zresztą, aby prababki były mniej szczęśliwe przy krosnach, niż ich prawnuczki w kancelaryi lub prosektoryum. Byłby to punkt do przedyskutowania w ustnej, przyjaznej rozmowie. Teraz zaś pozostaje tylko gorąca prośba do szanownej autorki, aby w przyszłych swych pismach przy zachowaniu swej historycznej ścisłości, zachowała też świetność barw i młodości, stanowiącą jedną z głównych zalet jej pracy.

Oprócz dwóch ostatnich, wszystkie tu wymienione książki opatrzone są ilustracyami; te jednak nie wszystkie wypadły szczęśliwie. Do lepszych liczyć możemy obrazki w „Przed świtem“ i „Dzieci Warszawy“, pomniejsze rysunki w „Zaklętem królestwie“ i drobne muszki, kwiaty i główki rozrzucone artystycznie wśród wierszy „Serca“. Te bez zastrzeżenia pochwalić można, równie jak i misterne gałązki stanowiące nagłówki rozdziałów. Staranność w ilustrowaniu książek dziecinnych nie może być dość zalecona, zwłaszcza w powiastkach historycznych; są bowiem dzieci wrażliwe (i jest ich niemało), które według załączonego do opowieści obrazka, wyrabiają sobie o osobistościach historycznych złą lub dobrą opinię, którą starszy i rozsądny człowiek zapewne wyśmieje, ale która mimo wszelkich nauk i argumentacyj piętno swoje na długie lata w umyśle zostawia. W rysunku zatem równie, jak i w treści, winna być poprawność a z nią prawda, prawda i jeszcze prawda.

T. W.

Praca i płaca. Przyczynek do wyjaśnienia kwestyi socyalnej w świetle etyki katolickiej. Napisał *ks. Antoni Trznadel.* Kraków 1898. (W 8-ce str. 103)

Wyszła książka o kwestyi socyalnej, tytułem i rozmiarami skromna, ale wiele zawierająca pożytecznych rzeczy.

Gdyby ktoś chciał brać tę pracę, jako dzieło ekonomiczne, to mógłby w niej niejedne wytknąć braki, np. że pojęcia zasadnicze Marksa i innych przeciwników nie dość są wyłożone, że w rozdziale „Praca i wartość“ zamiast wyłuszczenia istoty wartości *ex visceribus causae,* czyta się tylko zdania moralistów o niej i t. p. Ale jeżeli bierze się tę książkę, jako studyum etyczne i teologiczne o kwestyi ekonomicznej, tak, jak je autor widocznie pisać zamierzał i jak sam tytuł wskazuje, to się widzi, że ono czyni zupełnie zadość swemu zadaniu i stoi na wysokości dzisiejszej nauki, a nadto ma niemałą dla naszego społeczeństwa praktyczną doniosłość.

Plan jest prosty, jasny, logicznie przeprowadzony. W I. części: praca, jej pojęcie pogańskie i chrześcijańskie, jej stosunek do własności i wartości. Autor zbija dobrze teoryę, (której zresztą i socyaliści, po publikacyi III. tomu „Kapitału“ Marksa, odstępują), że jedynie praca rodzi wartość. Odrzuca on prawo do pracy w tem znaczeniu, jakoby każdy robotnik był uprawniony żądać pracy; uznaje jednak, że państwo ma obowiązek tak ustroić ekonomiczne stosunki, żeby

wszyscy wogóle, którzy są zdolni do pracy, mogli tę pracę znaleźć. Roztrząsa on dalej i usprawiedliwia kontrakt najmu pracy, omawia obowiązki pracodawców i robotników, dotyka konkurencyi i strejków. Część druga o płacy: jej pojęcie, jej zawikłany stosunek do etyki; wreszcie teorye sprawiedliwej płacy. Autor odrzuca tak liberalne, jak socyalistyczne poglądy, a uzasadnia przyjętą przez katolickich socyologów teoryę: w wymiar sprawiedliwej pracy wchodzi z jednej strony wieloraka wartość produktu pracy, z drugiej strony, potrzeba i powinność robotnika, żeby obowiązkom ludzkim zadość uczynił. Dotyka przytem autor kwestyi płacy familijnej, tj. takiej, któraby na utrzymanie żony i dzieci starczyła, i takową odrzuca. Zdanie to jest niezawodnie słuszne z punktu teologa moralnego, który nie może zobowiązać przedsiębiorcy do dawania takiej płacy; pozostaje jednak kwestya socyologiczna: czy społeczeństwo nie ma obowiązku dążyć do takiego ustroju, w którymby każdy pracujący mógł się żenić i rodzinę utrzymać? Znajomość przytem nowszej literatury ekonomiczno-społecznej przejawia się szeroka i założeniu odpowiednia. Jeszcze większa przejawia się znajomość wielkich teologów wieków średnich i najnowszych moralistów dzisiejszych.

Książka ta jest tak ułożona, że jest pożytecznym podręcznikiem nietylko dla teologów i wogóle księży, którzy z temi zagadnieniami muszą się dziś coraz więcej obeznawać, ale także dla ekonomistów, którym bardzo przyda się wiedzieć, co teologowie mówią o tych kwestyach i wreszcie dla szerszej publiczności, która się coraz bardziej i słusznie temi kwestyami zajmuje i która znajdzie w książce ks. prof. Trznadla treściwe o nich pojęcia i katolickie zdania.

Ks. Maryan Morawski.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Autobiografia di un veterano. Ricordi storici e aneddotici del generale *Enrico Della Rocca.* (1807—1859). Bononia 1897.

Wypadki, które jeszcze niedawno temu zapełniały dzienniki i przykuwały uwagę naszą, które starszemu pokoleniu wydają się tak jeszcze blizkie, przeszły już, zwykłą koleją ludzkich zdarzeń, swoją erę zapomnienia, i dziś, z pamiętników i dokumentów wyłaniają się,

jako historya przedostatniej doby. Dzieje drugiego cesarstwa we Francyi, których świetne początki olśniewały nasze młode lata, a smutny koniec zasępił wiek dojrzały, odkrywają coraz więcej swoje tajniki, a bodaj czy która epoka w historyi więcej będzie miała zakulisowych, nie powiem tajemnic, ale sprężyn. Dlatego, choć dziś, stanowcze o niej wyrzec słowo zawcześnie, niektóre wspomnienia i myśli wypowiedzieć wolno, choćby jako przyczynek do owej najwięcej zapoznanej nauki: moralności politycznej.

Niebezpieczne bywają próby charakteryzowania epok historycznych; a jednak historya Francyi w naszym wieku, na takie wybitne odłamy się dzieli, że niechcący, sąd i porównanie ich ciśnie się pod pióro. Jakże bo niepodobne do siebie: era Napoleona i Restauracya, rządy Ludwika Filipa, drugie cesarstwo, rzeczpospolita, — każda epoka oddzielona od poprzedniej aktem gwałtu: obcą napaścią lub rewolucyą. Czy wolno powiedzieć to, co przed ćwierćwiekiem, a i dziś dla wielu wyda się herezyą: że okres restauracyi Burbonów przedstawia nam się jako najświetniejsza dla Francyi chwila XIX. w. Nie dla tego tronu, który może nie miał podstaw żywotnych, ani dla tego rządu, który pod płaszczem konstytucyjnej karty, zatrzymał, i dużo starych nadużyć, i wszystkie dogodne sobie nabytki centralizacyi administracyjnej, wprowadzone przez rzeczpospolitą i cesarstwo, ale dla tego rozrostu i siły młodzieńczej, dla tej pełni życia z jaką wymowa, filozofia, historya, teatr, poezya, budziły się z letargu, dla tego wskrzeszenia wiary i praktyk wiary, dla tego zapału wreszcie, który ogarniał i złych i dobrych, dla tej walki, która wrzała we wszystkich obozach. Że ten czas, te usiłowania nie były jałowe, tego dowodem jest epoka następna. Co było lepszego, co dodało jakiegokolwiek blasku mieszczańskim rządom Ludwika Filipa, to tylko to, co wyrosło za osławionej restauracyi. Praca Guizota, wymowa Montalemberta, konferencya Lacordaira, to tak samo owoc zasiewu z przed 30-go roku, jak romanse Sue'a i teatr Scribego, charakteryzujące tak dosadnie nizki poziom społeczeństwa, były wynikiem pamfletów Couriera, piosnek Berangera, i wszystkiego, co pod szumną nazwą opozycyi liberalnej, podkopało nietylko rząd Karola XI., ale wraz z nim rozbiło zacną i owocodajną pracę stronnictw katolickich. Sama jednak rewolucya i rzeczpospolita 48-go roku dowiodła, że nie cała ta praca poszła na marne, skoro głos Montalemberta potrafił zapalić izbę, wyszłą z rewolucyjnych wyborów, do obrony Stolicy św. Drugie cesarstwo przedstawia nam się, czy słusznie, jako świetna dekoracya, pokrywająca próżnię i coraz

większy brak istoty rzeczy: brak zasad prawdziwych politycznych i moralnych, które są i zostaną po wszystkie czasy jedyną trwałą podstawą rządów, państw, a zwłaszcza społeczeństw. Począwszy od głównego bohatera, wszystko w otoczeniu drugiego Napoleona robi wrażenie figurantów. Pierwszy Napoleon przyodział w akcesorya teatralne wielkość, która po Marengo i Austerlitz, takich zaiste nie potrzebowała. Drugi, spotęgował stronę dekoracyjną i nimbusem nieco tajemniczym otoczył osobistość, która, dzięki temu, wydawała się wielką a była mała. Ten Cezar, pragnący tak gorąco doróść tamtego, był umysłem miernym, przy niezmiernej ambicyi, woli silnej, a raczej upartej, która się jakoby zużyła w samych usiłowaniach dojścia do władzy. Pracowicie nabył wielostronnego wykształcenia, ale brak było w umyśle logiki, w charakterze prawdy i mocy nad sobą, w działaniu ciągłości i równowagi. Czy te braki mogła zastąpić domieszka konspiracyi? Przeciwnie, był to rozczyn, pod wpływem którego działanie jego powierzchownie rosło, osobistość przybierała nienaturalne rozmiary, a wszystko naraz rozpękło się i odsłoniło w rządach nicość, w społeczeństwie zgniliznę, a człowiek, nielitościwą ręką losu ze sztucznych osłon odarty, padł bez wielkości, nie wzbudzając ani podziwu, ani żalu.

Ze źródeł dziś już otwartych do jego dziejów, Pamiętniki hr. Persignego i Oliviera, zużytkował świetnie i umiejętnie autor „Kartek z historyi drugiego cesarstwa“ w *Przeglądzie Polskim*. Nam nastręczyły kilka szczegółów odnoszących się do jednej tylko chwili jego panowania, pamiętniki jenerała Della Rocca, ogłoszone w Bononii w roku przeszłym.

Wspomnienia jenerała Della Rocca, który był przywiązany do osoby Wiktora Emanuela jeszcze jako księcia Sabaudyi, później został jego adjutantem, w wojnie r. 1859 był szefem sztabu armii włoskiej a do końca króla przyjacielem, sięgają roku 1833 i przedwstępnych knowań Mazziniego w Piemoncie i we Włoszech. Dałaby się z nich wysnuć całkowita historya zjednoczenia Włoch, od próby zamachu na życie Karola Alberta, aż do zatknięcia włoskiego sztandaru na Kwirynale. Tom obecnie wydany, doprowadza nas zaledwie przez prolog spisków Mazziniego do końca pierwszego aktu, czyli traktatu w Villafranca, zamykającego wojnę włosko-francusko-austryacką. Po wyjściu tomu drugiego, zaznajomimy może czytelników *Przeglądu* z włoską stroną tego długiego dramatu, dziś dotkniemy tylko kilka epizodów, w których występuje głównie Ludwik Napoleon.

Kiedy zamach Orsiniego w r. 1858 przypomniał cesarzowi, że

sekta pamięta o zobowiązaniach, o których on zapomnieć się zdawał, a proces Orsiniego toczył się jawnie wobec sądów zwyczajnych, zakipiało od razu w całych Włoszech. Wszystkie towarzystwa się ruszyły, wszystkie dzienniki oświadczyły się głośno z sympatyami dla zbrodniarza, Turyn i inne miasta zaroiły się od wygnańców i przestępców politycznych.

Napoleon był już przed dwoma laty odebrał wizytę Wiktora Emanuela w Paryżu i z sympatyą dla sprawy włoskiej się oświadczał: co innego jednak, gdy ostrze spisku wprost w niego godziło i gdy tylko przypadek, albo jak wówczas mówiono, gwiazda napoleońska, sprawiła, że uszedł śmierci: wobec oklasków parteru włoskiego dla Orsiniego, stracił cierpliwość i odezwał się z pogróżkami, a wiadomo jak przez szereg lat, z grożbami jego liczyła się Europa. Cavour był już ministrem sardyńskim, a dla Włoch, człowiekiem przeznaczenia, wyposażonym we wszystkie dary i męża stanu i spiskowca: jeden z niewielu ludzi, co umieli rewolucyi używać za narzędzie, to okiełznać ją i trzymać na wodzy, to puścić jak psa wściekłego tam, gdzie potrzeba mu było, gotów zawsze wyprzeć się głośno sojusznika, z którym się po cichu porozumiewał. Poznał był, a może i przejrzał cesarza Napoleona; wiedział, że Włochy nie obejdą się bez niego, więc trwałego szukał z nim przymierza. Kazawszy nieco przycichnąć prasie, postanowił ugłaskać cesarza wysłaniem umyślnego posła do Paryża. Król przeznaczył na tę misyę przyjaciela swojego jen. Della Rocca, który, acz nie z zawodu, okazał się zręcznym i szczęśliwym dyplomatą. Nietylko w krótkim czasie uspokoił Napoleona, przyrzekając, że rząd piemoncki odmówi wszelkiego poparcia wygnańcom i burzycielom, że wyrok na Orsiniego nie spotka się z żadnym protestem, ale zgłębił także niektóre tajniki przyszłości. Uzyskał mianowicie zapewnienie, że cesarz nigdy sojuszu z Austryą nie zawrze, tem mniej przeciw Włochom, że nawet, gdyby chodziło o wyswobodzenie prowincyj włoskich pod panowaniem Austryi zostających, to pod niektórymi warunkami cesarz nie odmówiłby pomocy. Warunki te wydawały się posłowi W. Emanuela tak ciężkie, że za powrotem nie śmiał bliżej wyjaśnić je królowi, i tylko Cavourowi przyznał, że cesarz pragnie dla ks. Hieronima ręki księżniczki Klotyldy, dla Francyi Nizzy i Sabaudyi.

Napoleon, któremu nie udało się skojarzyć związku z żadnym domem panującym, pragnął, bodaj przez stryjecznego brata, związać dynastyę swoją z jednym z tych starych królewskich domów, które z konieczności rozwarły się przed potęgą jego stryja, a tak rychło

zamknęły nad smutną postacią ks. Reichstadtu. Cavour zacierał już naprzód ręce, bo choć widział, że pan jego kochał bardzo córkę, a niemniej prawie starą kolebkę swego rodu, Sabaudyę, przeczuwał, że ambicya, a może rzetelne pragnienie zjednoczenia Włoch, przemoże w jego sercu i tak się też i stało[1]. Od tej chwili minister piemoncki, to w zręcznych artykułach potępiał w dziennikach zamach Orsiniego, i ogłaszał prawa przeciwko politycznym banitom, to popuszczał cugli *Società nazionale,* stowarzyszeniu rewolucyjnemu, w legalne przyodzianemu formy, które w robotach zjednoczenia znakomite oddało usługi, agitując coraz silniej umysły, nietylko w Lombardyi ale i w Legacyach. Pierwszy list Orsiniego z więzienia do cesarza Napoleona pisany, odczytany był głośno w sądzie przez obrońcę jego Juliusza Favre: oczywiście dziennik piemoncki go powtórzył, ale wkrótce podał i drugi list jego, a ten zakomunikowany był chyba redakcyi przez osobistość blizko sfer dworu francuskiego będącą. Jeśli minister piemoncki rad był rząd cesarza skompromitować wobec Włoch, to trzeba przyznać, że Napoleon chętnie podawał do tego rękę. Coraz też bardziej dwuznacznem i niepokojącem dla Austryi było postępowanie gabinetu Tuleryjskiego. Austrya liczyć się musiała z ewentualnością wojny: we Francyi wszelako chłodno się zapatrywano na możliwą kampanię, interesem nie Francyi lecz Włoch wywołaną, w przyszłości dobitnie miała dowieść, że Nizza i Sabaudya nader skąpą będą kompensatą za rozwielmożnienie południowego sąsiada.

Przyjęcie noworoczne 1 stycznia 1859 r., podało Napoleonowi cenioną przez niego sposobność do orzeczeń, które przez lat kilkanaście stanowiły dla Europy barometr co do szans wojny i pokoju. Chłodne wyrazy wystosowane do posła austryackiego barona Hübnera, uważano zatem jako wyrocznię wojny, — za nimi jak echo poszła prowokacyjna mowa, którą król sardyński otworzył sesyę parlamentu. Skutkiem jej wzmocniono jednym korpusem armię austryacką w Lombardyi, a rząd piemoncki zażądał od izb 50 milionów na uzbrojenie. Sytuacya była już bardzo naprężona, wszelako Anglia ofiarowała się z medyacyą, i potrzeba było tylko nieco flegmy ze strony Austryi, a pokój byłby dał się utrzymać. Ale cesarz Franciszek Józef ufny był w swoją dobrą sprawę, a jak każdy młody monarcha, rad był zapewne losów wojny spróbować. Poseł umyślny jego zawiózł rządowi piemonckiemu wezwa-

[1] Od czasów Ifigenii, nie pierwsze i nie ostatnie zacne serce kobiece padło ofiarą polityki.

nie zaniechania uzbrojeń i odesłanie ochotników: było to *ultimatum*, wskutek którego król Wiktor Emanuel ogłosił manifest o rozpoczęciu kroków nieprzyjacielskich i o spodziewanych potężnych posiłkach francuskich. Posiłki te wszakże nie dostały rozkazu odpłynięcia z Tulonu, aż nadeszła wiadomość o przejściu wojsk austryackich przez Ticino. Chociaż wspomnienia, z których czerpiemy, wyszły z pod pióra Włocha, i to naczelnika sztabu, nie trudno zdać sobie sprawę z przewagi, jaką siła liczebna, pozycya i tradycya wojenna dawały armii austryackiej, nawet wobec podwójnego nieprzyjaciela. Trzeba było nieporadności feldmarszałka Giulaya, albo dziwnego braku informacyi, aby z położenia tego nie skorzystać, dopuścić połączenia wojsk francuskich i włoskich: zamiast przebywszy Po, zajść drogę Francuzom i zbiwszy ich, maszerować wprost na Turyn, zamiast tego Giulay krążył bez celu pomiędzy Casale a Nowarą.

Miał wprawdzie do czynienia z dwoma wojskami, ale tak jedno jak drugie przedstawiało niejedną Achillesową piętę. Włochów było mało, a co do ich sztuki wojennej i odwagi, trudno orzekać, skoro wszędzie, gdzie bili się sami, zostali pobici. Przygotowania wojenne Francuzów nie przynosiły chluby ani naczelnemu wodzowi, ani sztabowi jeneralnemu: dość powiedzieć, że sztab map nie posiadał, tylko stare i niedokładne, i że cesarz tak się zachwycił mapami włoskiego sztabu, że na jego prośbę przysłano mu ich kilka egzemplarzy. Nie dziw, że grube pomyłki topograficzne popełniali Francuzi i że nieraz znaleźli się w pozycyi niekorzystnej i niebezpiecznej.

Intendantura była opłakana: już po pierwszych bitwach wygranych, cesarz musiał kilka dni zatrzymać się w Brescii z powodu braku żywności dla wojska: wykazało się tak wiele i niedbalstwa i nadużyć, że wśród kampanii jednych urzędników odprawić musiano, drudzy sami uciekli. Chociaż jenerał Della Rocca z wielką kurtuazyą przyznaje cesarzowi Napoleonowi wiadomości wojskowe i szybką oryentacyę, trzeba przyznać, że samo opowiadanie jego potwierdza surowe późniejsze sądy, pomiędzy innymi jen. Trochu, i dają pojęcie o lekkomyślności, z jaką przygotowywano wojny za drugiego cesarstwa. Król sardyński sam przyznawał, gdy mu naród pomnik za kampanię 1859 r. wotował że nie jemu, ani Napoleonowi, ale feldmarszałkowi Giulay takowy od wdzięcznych Włochów się należał. Jeśli brak było wiele rzeczy w armii francuskiej, to zbytek i wspaniałość dworu, nietylko cesarza ale i jenerałów, nie pozostawiały nic do życzenia, i odbijały jaskrawo od skromności otoczenia króla sardyńskiego.

Gdy wódz austryacki zmarnował prawie trzy tygodnie czasu, czekając bitwy, do której w warunkach przez niego układanych nie przyszło, Napoleon zmylił jego rachuby, kierując się rzekomo ku Piacenzy, a potem śmiałym ruchem okrążył jego wojsko, i dawszy pierwsze pole popisu włoskiej armii, zbił wraz z nią Giulaya pod Montebello. W dziesięć dni później, żwawa utarczka pod Palestro, wyprzedziła paru dniami walną, acz niespodziewaną bitwę pod Magentą 4 czerwca. Jenerał austryacki spostrzegł się wreszcie, że miał z boku główne siły nieprzyjacielskie, i ruchem szybkim i zręcznym wycofawszy wojska z pod Novary i Vigevano, skoncentrował się w wybornej pozycyi pod Magentą. Ale formalne nieszczęście ścigało armię austryacką w tej kampanii. Feldmarszałek baron Hess przyjechał z Werony z rozkazami cesarza Franciszka Józefa, który o wypadkach ostatnich nie miał jeszcze dokładnych relacyj: te rozkazy z wielu względów na niekorzyść szyki wojsk zmieniły, i tym sposobem zamiast stu tysięcy tylko pięćdziesiąt zostało jenerałowi do dyspozycyi. Spotkanie, niemal bez związku, pomiędzy pojedynczymi korpusami, trwały przez dzień cały z różnem szczęściem, i dopiero pod wieczór brygada Mac-Mahona wraz z korpusem jen. Fanti zaszedłszy tyły Austryakom, zmusiły ich do odwrotu.

Armia austryacka nie miała się jednak wcale za pobitą, i dalej atakować Włochów miała: nazajutrz 5-go, bitwa się już rozpoczęła, gdy feldmarszałek, zapewne wskutek wyższych rozkazów, zakomenderował odwrót ku Weronie. Z opowiadania naszego autora wynika, acz on tego nie mówi, że cesarz Napoleon spotkał nieprzyjaciela w chwili i w miejscu, gdzie się go bynajmniej nie spodziewał, i najmniej dla niego korzystnem: że gdyby nie energia marszałka Mac-Mahona, to dzień ten byłby się skończył dla Francuzów porażką tem straszniejszą, im teren strategiczny, moczarów i pól ryżowych po ich stronie był niebezpieczniejszy, gdy Austryacy mieli odwrót zapewniony. Widocznem też jest, że gdyby jedność komendy austryackiej nie była rozbita przybyciem feldmarszałka Hessa, i wstrzymaniem pochodu wojsk na Magentę, gdyby jen. Clam Gallas był rozwinął więcej zapału, to wynik bitwy mógłby był zmienić losy kampanii na korzyść Austryi. Te uwagi narzuca treść Pamiętnika, a słabą dają opinię o zdolnościach wojskowych drugiego Napoleona. Zapragnął on na tym samym teatrze, co nieśmiertelnej pamięci stryj jego, zbierać laury, ale geniusz nie szedł w parze z zamiarami. Jeszcze i to stanowczo, pomiędzy jednym i drugim Napoleonem zachodzi różnica, że tamten wiedział zawsze

czego chciał, i dzieło zaczęte do końca doprowadzał. Drugiemu, zdawałoby się, że tchu brakowało na dokonanie drogi, którą zamierzył, albo li też uważał, że misyą jego było rzucać hasła, niestety fałszywe, i stawiać pierwsze kroki, a ludziom i faktom, czy losowi pozostawiać ich skutek.

Podczas gdy wojsko austryackie skupiało się pod Weroną, monarchowie sprzymierzeni odprawiali wjazd uroczysty, niemal tryumfalny do Medyolanu: ta chwila była zapewne uroczą dla cesarza Francuzów, ale jeśli ją uważał jako zapowiedź długotrwałej wdzięczności sprzymierzeńców, to się przerachował, — był to jej objaw pierwszy i ostatni. Nie domyślali się rzeczywiście ani Włosi, ani Wiktor Emanuel, jak blizko od Solferino była Villafranca. W przeddzień tej bitwy, cesarz już miał projekt traktatu z Austryą w kieszeni wraz z listem od cesarzowej rejentki, który z pewnym ambarasem zakomunikował królowi sardyńskiemu. Czy i list był pomiędzy cesarską parą ukartowany, czy istotnie Napoleon tak lekkomyślnie zaryzykował wojnę włoską, nie zabezpieczywszy politycznie tyłów swoich od sąsiadów, dość, że cesarzowa donosiła o niebezpiecznych knowaniach wśród państw Rzeszy niemieckiej, o koncentracyi armii pruskiej w Koblencyi i w Kolonii, o niedostatecznych siłach pozostawionych we Francyi i konieczności odesłania części armii włoskiej do kraju. Cesarzowa wskazywała niebezpieczeństwo przegranej nad Renem, i radziła, aby korzystając z zwycięstw odniesionych, cesarz rychło zawarł pokój, i powrotem swoim uspokoił we Francyi umysły wzburzone postawą Prus. Działo się to podczas przejażdżki konnej obu monarchów, którzy wyjechali z Sonato, mieli wyznaczać pozycye przyszłego oblężenia Werony i Peschiery. Opowiadanie jenerała Della Rocca tem jest ciekawsze, że jedynym był świadkiem tej sceny: patrzał na pomieszanie obu monarchów, na osłupienie, z którem król jego przyjął tę wiadomość i widział wymykającą mu się z ręki zdobycz i nadzieję. Istotnie, wobec niebacznych obietnic Napoleona, że wyruszył w pole, aby wyzwolić Włochy od Adryatyku do morza Śródziemnego, było to złamaniem danego słowa. Stoczona nazajutrz krwawa bitwa pod Solferino, była głównie wygraną Francuzów, dopiero pod wieczór, atak na San Martino, przeforsowany przez jen. Della Rocca, naprawił nieco sławę włoskiego oręża.

Następnego dnia, wojsko austryackie cofnęło się za Mincio, a chociaż ze strony włoskiej i francuskiej robiły się przygotowania do oblężenia Peschiery, chociaż nowe oddziały wojsk francuskich i włoskich przybywały, już i W. Emanuel i jego szef sztabu wiedzieli, że

wojna skończona. Jednym z świeżo przybyłych oddziałów francuskich dowodził ks. Napoleon, 6 lipca król sardyński wyjechał naprzeciw zięcia, i tegoż dnia układano plan batalii na dzień następny, ale zamiast bitwy, jenerał Fleury pojechał do kwatery cesarza Fr. Józefa z listem cesarza Napoleona, zawierającym warunki zawieszenia broni. Cesarz austryacki zgodził się na takowe, a 11 lipca obaj cesarze zjechali się w Villafranca. Napoleon rad był z zawartego na chlubnych dla niego warunkach pokoju, który z bark jego zdejmował brzemię trosk niebacznie przyjęte; sprzymierzeniec jego, który czuł się pokrzywdzonym, był innego zdania, ale wściekłym na prawdę był hr. Cavour. Niepamiętny, że król jego był ofiarą a nie sprawcą zawodu, zrobił mu scenę tak gwałtowną, tak włoską, powiedzieć można, że król W. Emanuel, acz dobroduszny z natury, bał się jednak wybuchnąć z kolei w sposób, któryby jemu samemu ubliżył, i, co sam opowiadał jenerałowi Della Rocca, odwróciwszy się od ministra wyszedł z pokoju. Paroksyzm furyi Cavoura nie był jednak przeszedł: poszedł resztę żółci wylać na głowę szefa sztabu, do którego na nieszczęście wszedł w najgorszą chwilę ks. Hieronim. Dyskusya zaostrzyła się gwałtownie. Zarzuty złej wiary z jednej, brak wdzięczności i umiarkowania z drugiej, przeszły zwykłe granice i minister rzucał się na wszystkich. Ostatecznie chciał, by Włochy same dalej wojnę prowadziły, ale tak król, jak naczelnik sztabu znali nadto dobrze swoje siły, aby dać się namówić na taką awanturę. Rozdrażniony Cavour podał się natychmiast do dymisyi i odjechał do Turynu.

Wiktor Emanuel i jen. Della Rocca zdawali sobie lepiej sprawę z możliwości politycznych i wojennych, i choć traktat w Villafranca psuł ich szyki, to przecież czuli, że przyłączenie do Sardynii Lombardyi i księstw Parmy i Modeny, było, jak na raz, dość pięknym nabytkiem. Tutaj nastręcza się uwaga. O tych księstwach traktat w Villafranca nie wspomina bynajmniej: jeśli więc i król sardyński i jego powiernik uważali anneksyę księstw jako niewątpliwą korzyść kampanii, toć oczywiście mieli od Napoleona rękojmie dość pewne, jeszcze przed podpisaniem traktatu, że bez oporu zająć je Włochom będzie wolno.

Nowy w tem był dowód postępowania dwuznacznego i złej wiary Napoleona III. względem Austryi. Bo też, jeśli w innych względach nie dorósł stryjowi, to w obłudzie wierny był tradycyom napoleońskim. Nieśmiałe protesta, gdy przyszło do anneksyi księstw, połowiczne obietnice, czynione ks. rejentce parmeńskiej — oto, na co się zdobyć umiała

owa polityka z dnia na dzień, owa gra hazardowna a nieśmiała, którą Napoleon III. prowadził do końca. Król sardyński, podpisując traktat, wiedział naprzód, że zgwałcić go nikt nie przeszkodzi. Cesarz zezwolił, aby w proklamacyi do ludów Lombardyi, Wiktor Emanuel opuścił lub zmienił wyrażenia, które mu się niepodobały. W odezwie Napoleona do wojsk francuskich czytamy o przyszłej federacyi państw półwyspu pod honorową prezydenturą Ojca św., o powrocie wygnanych książąt i reformach, które zaprowadzić w państwach mają: były to warunki, które cesarz pracowicie ułożył w system mający przyszłość Włoch przedstawiać — na papierze, boć wiedział dobrze, że w życie nie wejdą. W orędziu króla sardyńskiego ani mowy niema o takiem rzeczy porządku, a przyłączenie Lombardyi i księstw dość przeźroczysto wskazane, jako pierwszy krok na drodze do zupełnego wyswobodzenia Italii. Bądź co bądź, przyznać należy wyższość polityce otwartej i celów swoich świadomej, nad owemi rachubami niejasnemi, obietnicami mętnemi, owem cofaniem się po stanowczym kroku, aby odpowiedzialność zeń zrzucić na drugiego: oto może sekret powodzeń zuchwałej i bezwzględnej polityki Włoch, a niepowodzeń Napoleona.

Drugi wjazd sprzymierzonych monarchów do Medyolanu, znacznie mniej okazał zapału wśród ludności dla Francuzów, a przyjazd do Turynu także zrobił *fiasco*, i zniechęcił stanowczo cesarza od dalszych usiłowań pozyskania popularności czy wdzięczności sprzymierzeńców: Włochom pozostał tylko żal za niedotrzymanie obietnic, i uczucie krzywdy, gdy Sabaudya i Nizza odpadły do Francyi. Inaczej jednak Wiktor Emanuel. On rozumiał dokładnie, jak wiele Napoleon dla Włoch zrobił, postawiwszy je w możności radzenia sobie dalej; jeśli on zresztą nie przewidział, jak wiele jeszcze zrobić będzie mu dozwolonem, to sam cesarz postarał się o to, aby dać jakieś zapewnienie hr. Cavourowi, którego kazał przywołać do siebie w Turynie. Po co? Czy potrzebował w tej chwili widzieć i ugłaskać byłego ministra? Czy w jego osobie zaspokoić chciał, co do przyszłych zamiarów swoich sektę, od której może doszły go jakie pogróżki? Może to kiedy jakieś tajne archiwa tajnych towarzystw wyjawią; tymczasem przypuścić wolno, że tylko owa nieszczęśliwa polityka oscyllacyi, owa metoda linoskoka, który z trudnego położenia, w jeszcze trudniejszem szuka równowagi, popchnęła go do nowego na tej krętej drodze kroku. Nie był on pierwszym, ani niestety ostatnim. Czy przeczuwał Napoleon dokąd ta droga go prowadzi, czy już wtedy zdawał sobie jasno sprawę ze wszystkich konsekwencyj pierwotnych swoich czynów, czy wiedział,

że wyzwolenie Włoch, tak jak je rozumieli Cavour i Mazzini, nie może dokonać się bez zamachu na władzę doczesną papieża? Że po Parmie i Modenie przyjdzie kolej na Marchię i Emilię? Że osaczony w coraz ciaśniejszem kole Ojciec św., coraz mniej siły do obrony mieć będzie? Sądzimy że nie: że ten mglisty umysł, który podyktował list do Edgara Neya i broszurę Lagueronièra, przecież i tak nie przypuszczał, że za jego jeszcze życia władza doczesna Stolicy św. ograniczy się dosłownie na Watykan z ogródkiem. Nieszczęśliwy, choć sam podstawy tej władzy krecią robotą podkopał, przecież załogą swoją jej bronił i sądził może, że obroni przeciw coraz silniejszym roszczeniom sekty, ale logiki faktów nie zwyciężył, ani kary nieprzyjaciół Kościoła nie uszedł. Dzień, w którym wypuścił z ręki ostatnią dobrą kartę, cofając załogę swoją z Rzymu, oddanego na pastwę rewolucyi, miał rozpocząć szereg pogromów Francyi i jego upadku. Cóż z tej na oko tak mądrej, tak wtedy sławionej polityki zostało? Kilka haseł fałszywych i błędnych teoryj „o fakcie dokonanym“, „o nie interwencyi“, „o plebiscytach“, które byłyby może pozyskały prawo obywatelstwa w spółczesnem prawie narodów, gdyby ich był nie zmiażdżył Syllabus zwyciężonego Piusa IX. Czy twórca ich w smutnych rozmyślaniach w Chislehurst zrozumiał ich nicość, czy nie, hasła owe, jak tylu już innych przebrzmiały, a Prawda Pańska trwa na wieki.

I. R.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

AKCYA KATOLICKA W IRLANDYI.

Już sama nazwa Irlandyi podobnie jak imię Polski, budzi pamięcią swych dziejów i cierpień w sercu każdego katolika wzniosłe i smętne zarazem uczucia. Jak Polska z orężem w ręku, krwią swych synów zasłaniała zachodnią Europę, i krzyż od dziczy tatarskiej i tureckiej niewoli, tak Irlandya od V. do XII. wieku była dla wszystkich wielkich narodów jaśniejącą gwiazdą świętości, świątynią nauki, „wyspą uczonych i świętych“. Z dalekiego Egiptu, z Włoch i Galii spieszono do tych czystych źródeł mądrości chrześcijańskiej, a Irlandya nawzajem darzyła nietylko sąsiednią Anglię i Szkocyę, ale prawie wszystkie kraje Europy świętymi misyonarzami. Św. Bernard powiada, że misyonarze irlandzcy rozlali potoki światła na narody Europy. Ale głośna chwała Irlandyi powoli ginie w zmroku czasu: żywiej nam stoi przed oczyma chwała jej męczeńska, którą się okryła przez czas niewoli i prześladowania za wiarę św.

Właśnie 100 lat temu, jak Irlandya starała zrzucić z siebie jarzmo angielskie; nie udało się; przez akt unii z r. 1800 została ściśle połączona z Anglią, pozbawiona własnego parlamentu, własnych rządów. Historya nigdy nie zdoła odkryć w całości dziejów strasznych cierpień, przez które ów dzielny naród ka-

tolicki przez ten czas przeszedł. Cały naród bez wyjątku padł ofiarą prześladowania. Wszystkie większe posiadłości przeszły w ręce anglikańskich lordów, prosty lud popadł w zupełną zależność od swych panów, którzy go mogli według woli wypędzać ze swych chat i pól, katolicy anglikańskim pastorom płacić musieli dziesięciny, wszystkie urzędy dzierżyli wyłącznie anglikanie, a choć katolikom nie odebrano prawa wyboru do parlamentu, przecież niewolno było głosować na katolików. Przyszły wprawdzie lepsze czasy dla katolików, kiedy w r. 1829 Anglicy im przyznali część należnych praw i wolności, dzięki energicznej działalności O'Connella, tego męża, o którym można było bez przesady powiedzieć, że wcielił w sobie całą dążność swego narodu. Ludność w tym czasie nawet znacznie się pomnożyła, podniosła się od r. 1826 do 1841 od $6^1/_2$ do $8^1/_2$ milionów. Gdy niestety O'Connell legalnymi środkami nie mógł osiągnąć wolności, należnej Kościołowi i ojczyźnie, i chorobą złamany opuścił arenę polityczną 1843 r., nastały znowu ciężkie czasy dla Irlandyi. Posłowie katoliccy byli bezsilni wobec wrogiej potęgi anglikanizmu. Sprawie ojczystej źle się przysłużyło nieliczne grono młodych ludzi, co skrytemi morderstwami i teroryzmem ścigali i mścili się nad swoimi gnębicielami.

Wzrost ludności, wzmagający się ucisk niesprawiedliwy lordów, a do tego nieurodzaje, spowodowały straszny głód. Ludność zaczęła znacznie upadać i od tego czasu ciągle się zmniejsza; w r. 1851 było już tylko $6^1/_2$ miliona, w r. 1861 5 milionów, w r. 1891 4,700.000. Straciła więc Irlandya w ciągu pół wieku prawie 5 milionów dusz, a 1,250.000 akrów ziemi najurodzajniejszej; głód, nędza, prześladowanie, dziesiątkowały ludność i zmuszały ją do tłumnego wychodźtwa do Ameryki i Australii. W samym roku 1852 wywędrowało 130.332 Irlandczyków. Według danych statystycznych obliczono, że za niedługi czas już Irlandczyków nie będzie; czy w tej rachubie niema myłki? Duch irlandzki z pierwszych wieków nie obumarł jeszcze; świadczy o tem teraźniejsze odnowienie życia w Kościele irlandzkim, a trudno przypuszczać, by lud, co mimo prześladowań tyle usług wyświadczył wierze, marnie miał zginąć. Słusznie powiada

kardynał Moran, arcybiskup w Sydney: „Niech się ludziom podoba lub nie, — wiara synów Irlandyi, jak złoty łańcuch, łączy z Bogiem cały świat, w którym mowa angielska brzmi, mowa, która w dziwny sposób wszędzie się rozszerza, ale która dzięki Irlandczykom nie będzie tylko mową herezyi i błędu religijnego“. Odkrył, zdaje się, kardynał zamiary Opatrzności, dlaczego pozwoliła, by naród ten wpadł w niewolę heretyków; może i dlatego dopuściła, by i język jego prawie zginął [1]. A naród zadanie, włożone mu przez Opatrzność, świetnie, z heroizmem spełnił i jeszcze spełnia. Bo mimo niektórych fanatyków, którzy zaślepieni fałszywą miłością ojczyzny od zasad wiary się oddalili, ogół Irlandczyków został wierny zasadom Kościoła katolickiego, a przez długą, kilkowiekową walkę za wiarę i ojczyznę, „wytworzył się w narodzie patryotyzm religijny, który się stał drugą naturą w sercu każdego prawego Irlandczyka“ [2].

Szczególniejsze zadanie w tej walce przypadło duchowieństwu irlandzkiemu skutkiem wyjątkowych zupełnie i anormalnych stosunków. W Irlandyi ci, co posiadłością ziemską, wykształceniem, bogactwem, stanowiskiem społecznem wybitniejsze zajmują miejsca i zdolniejsiby byli, by pomagać ludowi, są jego nieprzyjaciółmi. Lud więc nie mając do kogo się garnąć, widział w duchowieństwie jedynych przewodników, od niego wyglądał ratunku i pomocy nietylko w sprawach duszy, ale i w nędzy materyalnej. Duchowieństwo zrozumiawszy swe zadanie, stanęło na jego czele w obronie słusznych jego praw. Tak wielki był zapał duchowieństwa do niesienia ulgi uciemiężonemu ludowi, że się dało nawet porywać poza granice tego, co jest zgodne z duchem Chrystusa, wspierając akcyę bojkotowania lordów, posiadających ziemie irlandzkie, i radykalny program związku agrarnego. Po wyraźnem potępieniu tych środków i sposobu postępowania Parnella przez Ojca św. (1888) ducho-

[1] Od kilku lat powstał nowy ruch literacki celem pielęgnowania i wskrzeszenia starego keltyckiego języka, cieszący się niemałem powodzeniem.

[2] Słowa biskupa Healy; *Tablet* 3 July 1897.

wieństwo wycofało się z tej akcyi, a za sobą pociągnęło prawie cały naród.

Jak po ustąpieniu O'Connella utworzyła się partya narodowo-radykalna, nieprzebierająca w środkach, aby tylko dopiąć celu, tak i po usunięciu się duchowieństwa od Parnella część najzapaleńszych nacyonalistów utworzyła osobną partyę, która czując się skrępowaną zasadami katolickiemi, dążyła do oderwania narodu od duchowieństwa. Partya ta nie zrzuciła z siebie imienia chrześcijańskiego, bo już przez to samo zatarasowałaby sobie drogę do popularności, ale stara się wpajać w lud irlandzki przekonanie, że akcya polityczna jest poza sferą moralności. Żądając „zupełnej wolności myśli i czynu w sprawach politycznych", odmawiają nacyonaliści duchowieństwu prawa wdawania się w sprawy polityczne i orzekania o ich zgodności z prawem Chrystusowem. Biskupi irlandzcy, „jako stróżowie od Boga ustanowieni wiary i moralności swych owieczek", czuli się zobowiązani przestrzec lud od podobnych fałszywych nauk i wyłożyli 6 miesięcy temu w krótkim wspólnym okólniku zasady katolickie o interwencyi duchowieństwa w sprawach politycznych [1]. Równocześnie episkopat i kler cały nie przestają w usilnej pracy nad dobrem swej biednej ojczyzny, korzystając z wolności działania, zostawionej teraz duchowieństwu w Irlandyi, „wolności — jak biskup Healy stwierdza — większej niż ta, którą kler się cieszy w tak zwanych katolickich krajach kontynentu".

Główna praca duchowieństwa skierowana jest teraz do tego, by zabezpieczyć Irlandczykom wyższe katolickie wykształcenie [2]. Czterdzieści lat temu można było wątpić o tem, czy wogóle w Irlandyi istnieje dość liczna klasa ludzi, którzyby chcieli i mogli korzystać z wykształcenia uniwersyteckiego, i — jak sam O'Conor Don przyznaje — trudnoby było zupełnie rozwiać tych

---

[1] Zob. *Tablet* 3 July 189?, str. 25. List biskupi czytany był ze wszystkich ambon. Na zgromadzeniu biskupów przemówił w tej sprawie biskup z Clonfert; znakomite były ustępy jego mowy o udziale duchowieństwa przy wyborach do parlamentu i o zasadach praktycznych, do których kler stosować się powinien, by praca jego na polu polityki była po bożemu.

[2] Por. *Przegląd Powszechny,* sierpień 1890, str. 304.

wątpliwości. Od tego czasu inteligencya w Irlandyi znacznie się powiększyła, a Irlandczycy mimo materyalnej nędzy dali dowody swych niepomiernych zdolności na wszystkich polach wyższych nauk. Tymczasowo cała Irlandya posiada tylko dwa uniwersytety: uniwersytet w Dublinie i drugi t. zw. uniwersytet królewski. Ten ostatni jednak nie jest uniwersytetem według naszego pojęcia, ale tylko gronem ludzi nauki, którzy z urzędu wydają wyrok o stopniu wykształcenia młodych ludzi, zgłaszających się do egzaminów, w celu otrzymania stopniów uniwersyteckich. Z uniwersytetu zaś dublińskiego katolicy wprawdzie już nie są wykluczeni, owszem t. zw. Trinity College otworzyło im z gotowością swe sale, ale cóż, kiedy ten zakład jest na wskróś anglikańskim. Uczęszczali i uczęszczają tam i katolicy, ale liczba ich bardzo szczupła (na 7 uczniów anglikańskich ledwie 1 katolik irlandzki). Słusznie Irlandya się boi, by jej młodzież nie utraciła wiary; choć bowiem z anglikańskich uniwersytetów wyszli wybitni katolicy, to nie brak i takich, co wiarę w nich stracili. Dlatego kler nigdy nie chciał przyjmować neutralnych kolegiów przy uniwersytetach anglikańskich, jakie mu rząd już 1845 r. ofiarował, i ciągle podtrzymywał walkę o uniwersytet katolicki.

Anglicy, przeciwni temu ruchowi, chcieli go przedstawić jako wymysł i kaprys samego duchowieństwa, ale cały lud irlandzki kłam zadał fałszywym tym wieściom. Niema prawie w całej Irlandyi większego miasta, w któremby w przeciągu ostatnich miesięcy nie odbył się wiec dla poparcia sprawy katolickiego uniwersytetu. Najwybitniejszym był wiec w Dublinie 11 lutego b. r., na którym się stawili przedstawiciele wszystkich warstw całej Irlandyi. Słusznie wielkie pismo angielskie *Spectator* powiada, że żadną miarą postulatu uniwersyteckiego nie można uważać za księży wymysł, kiedy cały lud za nim się oświadcza, nawet partya skrajnych nacyonalistów, którzy — jak ta sama gazeta pisze — zawsze tylko wtenczas z klerem trzymała, kiedy to jej było wygodnie, a nie wahała się nawet papieskim upomnieniom przedstawić swoje *non possumus*.

Pocieszającym nadzwyczaj objawem w tej walce jest sta-

nowisko wielkiej liczby wybitnych anglikanów wobec uniwersytetu katolickiego. Na adresie, podpisanym przez 72 posłów, spostrzegamy 13 nazwisk posłów anglikańskich, na meetingach stanęli obok katolików i anglikanie z różnych klas. Między innymi wymienić trzeba nazwiska A. Balfoura i mr. W. H. Lecky: minister Balfour (ten sam, co kilka lat temu swojem dziełem „O podstawach wiary“ wstrząsnął umysłami całej Anglii), już od kilku lat publicznie występuje za ziszczeniem sprawiedliwych wymagań ludu irlandzkiego, prof. Lecky z Trinity College z tą samą otwartością, choć jest anglikaninem, w parlamencie sprawy Irlandczyków popiera. Poważne angielskie czasopisma usilnie się domagają, by parlament nareszcie okazał się sprawiedliwym dla Irlandyi, bo inaczej trudno będzie odeprzeć zarzuty, iż parlament w Westminster niezdolny jest do sumiennego zajmowania się sprawami wszystkich trzech części państwa, Anglii, Irlandyi i Szkocyi. Na życzenie Balfoura, biskupi już przeszłego roku wypowiedzieli swoje zdanie o sposobie urządzenia uniwersytetu, a mianowicie oświadczyli, że całkiem nie wymagają, by duchowieństwo miało przewagę w gronie uniwersyteckiem, owszem, że mając wielkie seminaryum w Maynooth, nie żądają funduszów rządowych dla fakultetu teologicznego, lecz gotowi są przyjąć ten ciężar na siebie. Na żywo poruszoną kwestyę o stałości profesorów, episkopat jasno odpowiedział, że wprawdzie dla profesora uniwersytetu katolickiego oprócz naukowej kwalifikacyi, koniecznie wymagać trzeba wiary z przekonania płynącej, na wypadek jednak, że z tej ostatniej przyczyny wypadałoby usunąć profesora, można ułożyć sąd, od wszystkich partyj za bezstronny uznany, do któregoby ostatnie rozstrzygnięcie należało.

Usposobienie rządu dla Irlandyi chwilowo jest nie najgorsze. W mowie tronowej, 8 b. m. królowa wspomniała o nowej ustawie lokalnego rządu dla Irlandyi; rządowe zaś pisma oświadczają się z gotowością ułożenia komisyi, której się domagał O'Conor Don na wiecu dublińskim, celem porozumienia się z wszystkiemi partyami co do planu przyszłego uniwersytetu. Oby to nie było tylko kością rzuconą głodnym Irlandczykom, aby ich chwi-

lowo uspokoić i aby uwolnić parlament od uchwalenia odnośnej ustawy już na przyszłej sesyi. Jeszcze pokutuje w Anglii duch dzikiego fanatyzmu Henryka VIII. i Elżbiety, a zwolennicy tych tradycyj jak zmory się boją katolickiego uniwersytetu, któryby bez wątpienia dla katolickiej Irlandyi był początkiem nowej ery.

RUCH O SZKOŁĘ WYZNANIOWĄ. We wszystkich krajach starego i nowego świata, ruch o szkołę wyznaniową coraz bardziej katolików zbliża do osiągnięcia najgorętszych ich życzeń, a liberałów zatrważa i z piersi im wyrywa bolesne skargi nad cofnięciem się w czasy obskurantyzmu. Śledząc ów ruch, możemy rozróżnić dwie klasy objawów, przez które się na zewnątrz uwydatnia: praca katolików poza parlamentem, by zabezpieczyć młodzieży zdrowe wychowanie, i powtóre, usilne ich starania, by drogą ustawodawczą wyrugować szkoły niechrześcijańskie. Pierwszy zakres objawów należy bardziej do prywatnej inicyatywy jednostek, jest rodzajem samoobrony przeciw narzuconym liberalnym szkołom. Rzadziej się o nich pisze, a jednak są one najwymowniejszem świadectwem o pragnieniach katolików i czynnej ich pracy. Wystarczy przytoczyć kilka faktów, by wykazać powszechność i siłę żywotną tego ruchu.

Niedawno temu zebrali się księża w Nowym Yorku, by z powodu zarządzenia nowej statystyki szkolnej stwierdzić, z jakiem powodzeniem szkoły katolickie się rozwinęły. Choć rząd przy ostatniej statystyce dwa lata temu, mimo próśb katolików, ich szkół nie wymienił, stwierdzono, iż w samym Nowym Yorku szkoły katolickie wychowały 87.821 dzieci w szkołach niższych, 4.422 młodych ludzi i panienek w szkołach średnich i wyższych. Wydatki, włożone na utrzymanie tych szkół, wynosiły prawie sześć milionów dolarów. Prawda, że w Ameryce wogóle publiczność odznacza się względem szkół nieznaną u nas hojnością, ale zawsze powyższe liczby bardzo są wysokie już ze względu na to, że tylko dziesiąta część mieszkańców w Stanach Zjednoczonych jest katolickiego wyznania.

Na starym kontynencie, szkoły prywatne wyznaniowe prze-

dewszystkiem we Włoszech i we Francyi uderzająco się mnożą. Ciekawym przedewszystkiem jest rozwój tych szkół we Francyi. Pierwsza systematyczna organizacya tej akcyi uchwalona została w Lille w r. 1879. Wielki komitet centralny ma swoją siedzibę w Paryżu, a z nim połączone są komitety dyecezyalne, których dotąd istnieje aż 52. W roku 1891 było 13.315 szkół prywatnych katolickich, a w nich 1,271.388 uczniów. Suma pieniędzy dla utrzymania tych szkół i dla założenia nowych, dochodziła prawie do 60 milionów franków. Rząd naturalnie niechętnem bardzo okiem patrzy na wyznaniowe szkoły, zostające bez wyjątku w rękach duchowieństwa, a cieszące się takiem rozwojem, że liczba uczniów, do nich uczęszczających ciągle wzrasta, gdy natomiast zmniejsza się frekwencya do szkół publicznych. Od 1 maja 1896 do 1 maja 1897 r. liczba uczniów publicznych szkół średnich zniżyła się z 85.514 na 84.839, a natomiast w szkołach wyznaniowych podskoczyła z 80.243 na 84.569.

Dziwić się trzeba, iż rząd sam się nie stara zbadać głębiej przyczynę tego zjawiska; przecież nie brak i liberałów, którzy przypatrując się trzeźwo rozwojowi szkół francuskich, dotarli do prawdziwej przyczyny niepowodzenia publicznych zakładów. Tak p. Michel w artykule umieszczonym w liberalnym miesięczniku *l'Economiste français* p. t. „Wychowanie elementarne w krajach cywilizowanych“, zastanawiając się nad ogromnemi sumami, wydawanemi przez rzeczpospolitą francuską na wychowanie publiczne i stosunkowo małymi owocami, stwierdza wielki błąd niektórych polityków, co sądzą, że przez podniesienie budżetu szkolnego już tem samem i oświata się podnosi. Faktami, głębokim zmysłem spostrzegawczym zebranymi, wykazuje, że często wręcz przeciwnie się dzieje. Mierne i niedostateczne skutki wychowania publicznego mimo setek milionów na ten cel wydanych, autor przypisuje fałszywej przewodniej zasadzie, że samo nauczanie jest wystarczające, aby podnieść duszę i umysł młodej generacyi. Jako szczególną zasługę poczytuje wielkiemu filozofowi M. Fouillèe, iż poznał, że

koniecznie dodać trzeba do wykształcenia rozumu nieodzowną przyprawę nauk moralnych i idei religijnych — choć i w tem pojmowaniu nauki jeszcze głęboki tkwi błąd, gdyż religia nie powinna być przedmiotem d o d a n y m, ale duszą całego wychowania.

Nowym dowodem, iż niestety rząd tej prawdy, wiekami stwierdzonej, jeszcze nie poznał, jest właśnie z początkiem tego miesiąca powzięta uchwała komisyi senatorskiej, aby przedłożyć izbie ustawę, wymagającą dyplomu licencyi od wszystkich, co kierują prywatnemi szkołami średniemi. Byłoby to naturalnie utrudnieniem przynajmniej chwilowem, gdyż księżom przy rozmaitych ich zajęciach duszpasterskich nie tak łatwo znaleść czasu na przygotowanie się do tych wyższych egzaminów. A przecież poziom tych szkół prywatnych nie jest tak nizkim, kiedy się nieraz zdarza, że uczniowie uznani za niedojrzałych w szkołach wyznaniowych, dobrze zdawają egzamina publiczne. Katolicy nie zapominają też o wyższym wykształceniu kobiet. Osobny instytut katolicki, którego założeniem już mgr. d'Hulst żywo się zajmował, został przeszłego roku otwarty w Paryżu i pomyślnie się dalej rozwija. Właśnie w naszych czasach, w których się tyle mówi o najwyższej woli ludu, powinno się więcej uważać na podobne objawy — świadczą bowiem o wiele wymowniej o prawdziwej woli i usposobieniu ludu, aniżeli wszystkie wybory, które tak łatwo stoją pod wpływem chwilowych namiętności i intryg.

Tymczasem żądania katolików trafiają ciągle w parlamentach na silny opór, i tylko po ciężkich walkach krok za krokiem zdobywać muszą drogą ustawodawczą należne sobie prawa. W jednym dopiero, o ile nam wiadomo, i to w najmniejszem państwie, w Luxemburgu, uchwalono kilka miesięcy temu ustawę szkolną szczerze katolicką, wymagającą, by nauczyciel współdziałał z nauczaniem religijnem i miał nad sobą radę szkolną miejscową, złożoną z trzech członków, w której skład zawsze wchodzi proboszcz miejscowy. Mały krok naprzód uczyniono także w sejmie dolno-austryackim, który trzeciego lutego przyjął przedłożenie rządowe, że religia ma być obowią-

zującym przedmiotem w wyższych szkołach realnych. Aż dotąd bowiem w Karyntyi i w Dolnej Austryi, gdzie liberali do niedawna niepodzielnie panowali, wyższe szkoły realne żadnej nie miały nauki religii. Nie zatrzymując się dłużej przy odnośnej debacie sejmowej, chcemy tylko podnieść trafną bardzo uwagę liberalnego przeciwnika ustawy, d-ra Philippovicha. Jeżeli — powiada on — nauka religii tak skutecznie wpływa na rozwój władz umysłowych młodzieży, jak poprzedni mowca (kard. Grusza) twierdził, czemużby skończyć się miała w wyższem gimnazyum, kiedy właśnie umysł dojrzał dla głębszego zrozumienia zagadek religijnych. Dlatego mowca przewiduje, że katolicy logicznie niezadowoleni nową zdobyczą, wymagać będą i wyższego wykształcenia religijnego dla młodzieży na uniwersytecie (czego oczywiście gwałtem w naszych czasach potrzeba). Przyznać trzeba, że dr. Philippovich trafniej pojął myśl katolickiego wychowania, aniżeli to sobie może wyobrażał.

A u nas jakże stoi z ruchem szkolnym katolickim? Rodzice z pewnością u nas nie mniej jak w innych krajach gorąco pragną, by dzieci ich wychowano w duchu katolickim. Choć szkół wyznaniowych jeszcze nie mamy, dzięki Bogu rodzice ze spokojnem sumieniem posyłać mogą swe dzieci do szkół naszych, zwłaszcza, gdyby się więcej w nich uwzględniało rozporządzenia Rady szkolnej krajowej, kładącej zawsze szczególny nacisk na wychowanie religijne. Ale mimo tych względnie dobrych szkół, ogromne jeszcze zostaje pole do działalności tak prywatnej jak publicznej. Rodzice wszystkich stanów powinni nietylko uważać sobie za święty obowiązek współpracować z szlachetnemi dążnościami władz naszych krajowych, ale powinni także czuwać nad tem, by nic się w szkole nie działo, czy za wiedzą władzy, czy ze złej woli nauczyciela, coby uchybiało religii. Powinni wiedzieć, co i jak uczą w szkole, bo do tego według prawa natury są obowiązani, to ich prawo starsze jest i wyższe nad wszelką władzę państwową. A jak tylkoby spostrzegli, że szkoła w czemkolwiek ujemnie wpływa na rozwój religijnych uczuć i przekonań dziecka, powinni głos swój podnieść, wspólnie się złączyć

i nie spocząć, dopókiby im zadość nie uczyniono[1]. Gdyby katoliccy rodzice wspólnie taką akcyę w kraju rozwinęli, usunęłoby się niejedno zgorszenie dla setek naszej młodzieży. Przypominam tu tylko dla przykładu, gorszące często zachowanie się nauczycieli ludowych, prowadzących dzieci szkolne na mszę św. Nie wiem, czy się u nas zdarzają wypadki, jak niedawno temu w Austryi, że nauczyciel zaprowadziwszy dzieci do kościoła, sam z cygaretem w ustach przed kościołem się przechadzał. Ale widzieliśmy nieraz nauczycieli ludowych, zachowujących się z takim brakiem uszanowania w kościele podczas mszy św., że się prawie żałować chciało, że dzieci razem z nauczycielem na mszę św. uczęszczają. A i w gimnazyach zdarzają się wypadki tego rodzaju, że profesor Księgi Mojżeszowe do mytów zalicza, a czasem nawet lekceważąco się wyraża o pierwszych zasadach moralności.

Co do pracy katolików na polu publicznem, to i tu pożądanemby u nas było rozwinięcie większej czynności dla osiągnięcia szkół wyznaniowych, albo tymczasowego ich ulepszenia w kierunku religijnego wychowania. Poruszył tę sprawę na sejmie książe biskup krakowski, i jakkolwiek dla względów taktycznych ograniczył się na jednej tylko kwestyi stanowiska księży katechetów w szkołach ludowych, silnie jednak i jasno zaznaczył zasady i postulaty katolickie.

Wykazał to, co każdemu katolikowi od razu trafia do przekonania, że kapłani katoliccy z natury rzeczy nie mogą być li tylko nauczycielami religii (tym sposobem zeszliby na protestanckich predykantów), ale więcej jeszcze niż nauczycielami słowa Bożego, powinni być duszpasterzami. Tego zaś charakteru duszpasterskiego w księżach katechetach ustawy szkolne zgoła nie uwzględniają, i stąd wypływa ta niesłychana anomalia, stanowisko i pracę księży katechetów nadzwyczaj utrudniająca, i prawom Kościoła uwłaczająca, że księży katechetów na urząd ich, bezsprzecznie duchowny, powołuje i wprowadza, nie biskup,

[1] O ważności wychowania rodzinnego i odnośnych obowiązkach rodziców względem dzieci, napisał ks. arcybiskup Stablewski wspaniały list pasterski, któryśmy już po napisaniu tej rzeczy otrzymali.

ale państwowa władza szkolna, i ta też poddaje ich, na równi z nauczycielami jakichkolwiek innych przedmiotów, władzy swojej dyscyplinarnej.

„Jest to — są słowa najdostojniejszego księcia biskupa — błąd zasadniczy i tak wielki, że się przezeń niszczy wiele innego dobrego, co ustawy szkolne tworzą; jest on osią tego błędnego koła, w którem obraca się katecheta i całe nasze stosunki szkolne“... W dalszym ciągu przemówienia swojego ujmował się książe biskup gorąco za księżmi katechetami, których ustawy szkolne przeciążają pracą nad siły, i wyznaczają im remuneracye nietylko stosunkowo, ale i bezwzględnie za nizkie.

Niewątpliwie wdzięczność należy się księciu biskupowi za jego wystąpienie, które wydać musi, i wyda z pewnością obfite owoce, chociaż zarazem pociągnie za sobą niejedno starcie.

Na razie prasa prawie cała zajęła wobec wniosku księcia biskupa stanowisko zupełnie bierne; ograniczyła się na zarejestrowaniu tego przemówienia w sprawozdaniach sejmowych, ale w *meritum* sprawy poruszonej nie weszła. Jakież tego powody?— Niemasz u nas dziennika, któryby raz po raz nie utyskiwał na to, że szkoły nasze tylko uczą, ale nie wychowują. A tu książe biskup krakowski, w sejmie, a więc z miejsca równie jawnego jak poważnego, podnosi tę samą skargę, a zarazem wskazuje sposób, jak złemu zaradzić, a tymczasem w dziennikarstwie głuche milczenie... Znamienny to, ale nie pocieszający objaw! — Bądź co bądź, domaganie się zasadnicze szkoły katolickiej jest u nas wprowadzone na porządek dzienny, a posłowie, którzy prawie wszyscy są katolikami, i którzy we wspaniałym adresie do Ojca św. publicznie swój charakter katolicki zaznaczyli i wielkiemu papieżowi cześć oddali, muszą logicznie zaliczać do swych pierwszorzędnych obowiązków, by w myśl ciągle powtarzanych zachęt Ojca św., razem z episkopatem i duchowieństwem walczyli o religijny charakter szkół naszych.

Z FRANCYI. W senacie i parlamencie francuskim odbyły się w ostatnich czasach sesye charakteryzujące bardzo dobrze stosunki rządu do Kościoła i do partyi radykalnej. Mimo oświad-

czeń p. Méline'a, że się przekonał, iż „kłótnie religijne są zawsze przyczyną osłabienia państwa na wewnątrz i na zewnątrz", rząd francuski nie przestaje zrażać swem postępowaniem uczuć katolickich; przedewszystkiem przeciwko księżom występuje z taką nietolerancyą, iż senator Chanaillard głośną mógł podnieść skargę, że rząd podobnem postępowaniem widocznie dąży do pozbawienia księży wolności prasy i wolności słowa. W ostatnim mianowicie czasie, rząd kilkakrotnie zatrzymał pensye rządowe księżom dla najniesprawiedliwszych przyczyn; tak ukarano ks. Volland'a dlatego, że usunął z drogi nauczyciela, niechcącego ustąpić się wiernym podczas procesyi, proboszczy: Saint-Renan i Plonguernan, dla politycznych mów przy wyborach ks. Gayraud; ks. Poulhazan dlatego, że założył szkołę chrześcijańską, do której większość uczniów szkoły rządowej przeszła, i w końcu ks. Saint-Yves dlatego, że z ambony ostrzegał rodziców przed wysyłaniem dzieci do złych szkół. Podobna niesprawiedliwość — jak słusznie podniósł Chamaillard — bardziej jeszcze razić musi w czasie, kiedy pastorom protestanckim i rabinom, profesorom uniwersytetów i lyceów, wolno bezkarnie szkalować rządy rzeczypospolitej.

A przecież przedewszystkiem po odpowiedzi rządu na powyższą interpelacyę, przyznać musimy, iż teraźniejsza rzeczpospolita widocznie mniej wrogo jest usposobiona względem Kościoła, niż bywała lat temu kilka. Dla oczyszczenia się z zarzutu nietolerancyi, rząd najprzód statystycznemi cyframi wykazał, jak rzadko się zdarza, aby pensya była zatrzymana duchownym: na 44.000 pensyj, tylko 51 jest zatrzymanych, co wedle zdania rządowego mowcy chwalebnie świadczy o klerze francuskim, jak również o umiarkowaniu rządu.

Wybitniej jeszcze zaznaczyły się pokojowe dążności rządu względem Kościoła w mowie, w której sam prezydent ministrów zbijał zarzuty klerykalizmu ciągle powtarzane przez radykałów. Radykalni z p. Bourgeois na czele, przystępują do walki przeciwko rządowi teraźniejszemu z szumnem hasłem, że rząd jest klerykalny. Dowodów na to dostarcza im wielka akcya katolicka wyborcza, o którejśmy dwa miesiące temu wspomnieli, a przede-

wszystkiem to, że papież z okazyi przyszłych wyborów dwom przełożonym zakonnym: OO. Wyart i Picard polecił, by biskupów i duchowieństwo w duchu Stolicy św. wspomagali w tej ważnej dla Kościoła we Francyi sprawie. — Jak wiadomo, rząd już dawno drogą dyplomatyczną rzymską kuryę interpelował co do owej misyi zakonników, a otrzymał od kard. Rampolli zapewnienie, iż mowy niema o jakiejś misyi politycznej, że papież w wewnętrzne świeckie sprawy się nie miesza, że nie jest prawdą, jakoby tego lub owego kandydata popierał, ale tylko chciał zachęcić wszystkich wiernych, by w duchu wiary katolickiej do wyborów się gotowali. Po takiem oświadczeniu rzymskiej kuryi — powiada p. Méline — bezpodstawne są krzyki o „klerykalną interwencyę", tem bardziej, że radykali żadnych innych oprócz krzyków, dowodów na to dać nie mogą. „Ale p. Lecomte — dodaje prezydent ministrów — nie wierzy w szczerość nikogo, ani rządu, ani tem bardziej Głowy Kościoła. Daremną jest rzeczą starać się go przekonać".

We Francyi widocznie maleje partya owych ludzi, których i u nas nie brak, ludzi wojujących nie w imię prawdy, ale tylko błagą, oszczerstwem i podburzaniem namiętności. Uwydatniło się to także przy głosowaniu parlamentu nad wnioskami radykałów o rozłączenie Kościoła od państwa, i o zniesienie konkordatu, które odrzucono: 309 głosami przeciw 192 i 316 przeciw 171.

Wobec tego pocieszającego faktu, że nawet we Francyi radykalizm słabnieje, śmieszną doprawdy jest groźba włoskiej *Opinione,* ministeryalnego organu sąsiedniego rządu, która gniewa się na to, że wspomniany ostatnim razem artykuł *Civiltá Cattolica* o pojednaniu się Włoch z Kościołem, nawet w angielskiej prasie zwrócił na siebie uwagę, i grozi papieżowi odebraniem mu władzy duchownej, tak jak mu już odebrano władzę świecką.

Ale wróćmy jeszcze do Francyi, by wspomnieć o ważnym wypadku w katolickim ruchu wyborczym. Jest nim utworzenie związku katolickiego kupców i przemysłowców republikańskich pod przewodnictwem niezmordowanego pracownika na polu odrodzenia chrześcijańskiego, p. Lefébure. Nowy związek utworzył się skutkiem tego, iż związek nacyonalny przemysłowców w pro-

gramie wyborczym, skierowanym przedewszystkiem przeciw propagandzie socyalistycznej, nie dość kładł nacisku na znaczenie religijnych przekonań. Stąd kupcy katoliccy uważali za stosowne utworzyć nowy związek, któryby walczył zarazem ze związkiem nacyonalnym przeciw socyalistom, ale oprócz tego odznaczał się cechą wybitnie katolicką. Partya kupców katolickich przyłączyła się do wielkiej federacyi wyborców katolickich, uchwalonej na wiecu w Paryżu i przyjętej także przez partye katolickich demokratów chrześcijańskich. Dzieło organizacyi katolików postępuje więc naprzód. Aby wyprosić błogosławieństwo Boże dla dalszych prac, kard. Richard odprawił 24 przeszłego miesiąca uroczyste nabożeństwo w Notre-Dame; cała środkowa nawa zachowana była dla panów, a dużo z nich przystąpiło do świętych Sakramentów.

Ks. Wł. Ledóchowski.

Typy połowicznego katolicyzmu u nas.

Uderzył nas w warszawskiem *Słowie* artykuł p. t.: „W sprawie religii", w którym braki religijności w naszym kraju, a szczególnie polskie typy połowicznego katolicyzmu trafnie są scharakteryzowane. Autor ma przed oczyma zabór rosyjski i o nim pisze, jednak prawie wszystko, co mówi, i do nas się stosuje. A że rzecz taka, raz powiedziana w gazecie codziennej, zwyczajnie ginie bez śladu, uważamy za właściwe podać ją tutaj prawie w całości.

I.

Zetknięcie się bliższe ze społeczeństwami obcemi, pobudzając do porównań, otwiera często oczy człowieka myślącego zarówno na wady, jak i na zalety własnego narodu. Polak bezstronnie sądzący, zmuszony jest przy tem porównaniu stwierdzić, jako jedną z naszych wad głównych: stosunkową słabość, chwiejność i niedojrzałość przekonań, oraz brak konsekwencyi między temiż a życiem. Wada to na gruncie tradycyi wyrosła i z niej swe soki czerpie. Partye gdzieindziej tworzą się koło idei: u nas grupowały się raczej zawsze około osób. Jednostka zaś, gdy życie żąda czynu, wśród innych — częściej opiera się

na swej zasadzie; u nas bardziej stosuje się do chwilowego i lokalnego przeciętnego poziomu, w jaki się suma chwiejnych zdań ciężarem swoim prawie bezwiednie układa.

Wada ta nasza kardynalna do najbardziej może rażących wyników prowadzi na polu religijnem. Rzeczywiście, z samej istoty wiary wypływa, że przekonań z nią niezgodnych wyznawca jej mieć nie może i że jej się należy miejsce pierwsze, jako podstawie i mistrzyni zasad życiowych. Tymczasem — co się dzieje u nas? Społeczeństwo polskie prawie w całości zapisane jest do gminy katolickiej. Liczebną większość stanowi tu lud, chowający wiarę żywą i głęboką, choć najczęściej nieoświeconą, a częstokroć skrzywioną przez zabobon. Słabsza liczbą, lecz znaczeniem o wiele stosunkowo ważniejsza część oświecona, t. zw. inteligencya, w bardzo mało znacznej cząstce otwarcie i głośno zrywa z religią; ogromna zaś większość wyznaje urzędowo katolicyzm i wzywa księdza do chrztu, ślubu i pogrzebu. Przypatrując się bliżej tej większości, można wśród niej rozróżnić dwa nieliczne reprezentowane skrzydła skrajne, możnaby rzec: prawicę i lewicę, oraz ogromny, mało różnic w swym składzie przedstawiający, odłam środkowy.

Prawica — to katolicy przekonani i zdecydowani, którzy jawnie wszędzie zarysowują swoją przynależność do Kościoła. Tu najbardziej daje się zauważyć zaznaczona wyżej różnica między innemi społeczeństwami katolickiemi a naszem: owa prawica stanowi u nas procent daleko mniejszy, niż gdzieindziej.

Lewica, to również nieliczny zastęp tych, którzy nie chcąc zerwać z katolicyzmem otwarcie, porzucili go jednak w przekonaniach, a bardziej w uczuciu. Ci, zachowując zewnętrzne formy przyzwoitych stosunków z Kościołem, najczęściej — „żeby nie razić“, albo — „dla tradycyi narodowej“, w gruncie rzeczy mową i uczynkami podkopują na każdym kroku podwaliny życia religijnego, a wraz z niemi, częstokroć bezwiednie i ową „tradycyę narodową“, o której zachowanie chodzi im z innych pobudek.

Pomiędzy wyraźniej zarysowanemi prawicą i lewicą, rozciąga się bezbarwna, zbita liczbą potężna masa, wśród której, odpowiednio do najczęściej spotykanych typów, rozróżnimy trzy zlewające się na swych granicach, a jednak dostrzegalne odcienie: lękliwych, półkatolików i obojętnych. Powierzchownie różnią się oni mało między sobą, tak w mowie jak i w uczynkach; by znaleźć miedzę rozdziału, trzeba sięgnąć głębiej, do tajników serca i umysłu, gdzie staje się ona wyraźną:

Lękliwy chowa na dnie serca wiarę; częstokroć jest on nawet prawdziwie i głęboko religijnym; półkatolik bez głębszego zastanowienia bierze ze sprzecznych doktryn, co mu dogadza, — obojętny zaś jest... obojętnym.

„Lękliwy“ czuje się przytłoczonym przewagą liczebną większości i zdań jej na uznanych powagach najczęściej opartych wbrew uczuciu swemu, schyla głowy przed jej powagą; powtarza zdania utarte, przyjęte przez ludzi t. zw. „rozsądnych“, godząc je w sposób częstokroć zdumiewający z przekonaniami swemi, pomimo, że się nieraz wzajemnie wyłączają najzupełniej, wierzenia swe zaś istotne ukrywa przed okiem ludzkiem, nie śmiejąc i nie umiejąc ich bronić.

„Półkatolik“, to typ u nas bardzo rodzimy, złożony z samych niekonsekwencyj. Uważa się on za człowieka religijnego; chodzi do kościoła czasami, kiedy to bez żadnej dla siebie niedogodności uczynić może; z dogmatów wiary jednych nie zna lub nie rozumie, z pomiędzy drugich zaś wybiera te, które mu się podobają, inne bez ceremonii odrzuca. Cud jest dla niego dopuszczalny wodległej przeszłości, bliższym nie dowierza, współczesnych nie uznaje wcale. Praktyki religijne, wymagające trochę zastanowienia i trudu, spełnia on z wysiłkiem, jaknajrzadziej, poczem wszakże ma uczucie, że dług swój religii spłacił. Rozmowy o wierze on nie lubi; wogóle religia nie ma u niego związku z życiem; jest jak przedmiot złożony w osobnej szufladce, którą się tylko w rzadkich okolicznościach życiowych wyciąga.

Charakterystycznem jest zachowanie się półkatolika względem przepisów kościelnych, takich jak post naprzykład. Kobieta tego typu zwykle pości, przyczem wszakże nie stosuje się ściśle do wymagań Kościoła, lecz sama wedle swego upodobania, usposobienia lub przyjętego obyczaju granice swemu umartwieniu nakreśla; jednocześnie zaś — powtarzając frazes: „panowie nie poszczą“, jak gdyby istniała jakaś powszechna dyspensa dla mężczyzn — mężowi i gościowi w piątek mięso podaje. Mężczyzna bez skrupułu korzysta z wygodnego tego zwyczajowego prawa, jednakże w pewne dni, mianowicie w Wielki Piątek, za nic nie złamałby postu. Ta sama dowolność rządzi uczęszczaniem na Mszę w niedzielę i święta. Wogóle cały stosunek półkatolika do religii cechuje bezmierny brak krytyki i myśli głębszej.

Jakim jest „obojętny“, to zdaje się nie potrzebować komentarzy; sama nazwa służy za objaśnienie. Nie zawsze wszakże łatwo jest w życiu od innych go odróżnić. Sięgając głębiej, uznamy, że obojętność rodzi się i żyć może tylko tam, gdzie egoizm zwyciężył wszelką

miłość. Wszakże zawładnąwszy sercem ludzkiem, nie chce on zdradzać swego panowania; ztąd obojętny jest zwykle oportunistą i w rozmaite umie się oblekać pozory. Podziela on zwykle to zdanie, które ma najwięcej szansy poparcia, przyczem waży nietylko ilość, ale i jakość popierających. Jeżeli ci wręcz zaprzecza, bądź pewien, że cię zalicza do bezsilnej mniejszości, lub też taksuje cię nizko jako cyfrę społeczną. Zresztą nie lubi on razić i, dla uniknięcia tego, gotów jest zawsze do ustępstw i tranzakcyj; lecz te są czczem słowem; w duszy pozostaje pustka, obok pewnej dla wszelkich gorących uczuć i silnych przekonań niechęci, stokroć trudniejsza do zwalczenia od otwartej nienawiści. Trudno jest, choćby w przybliżeniu, określić stosunek liczby lub znaczenia trzech naszkicowanych, a jak wspomnieliśmy, nieodgraniczonych ściśle kategoryj; ogólnie tylko zauważyć można, że największą ilość kobiet znajdziemy wśród dwóch pierwszych, trzecia zaś przeważnie z pomiędzy mężczyzn się rekrutuje. Małżeństwo, w którem mąż jest obojętny, a żona lękliwą lub półkatoliczką, jest bodaj typem najbardziej u nas rozpowszechnionym.

Niewątpliwie, inne społeczeństwa katolickie mają również, pomiędzy silniej rozwiniętemi zabarwieniami skrajnemi, odcienie pośrednie, wyżej opisanym częstokroć pokrewne, choć mniej rozpowszechnione; wszakże dostrzeżemy tu znowu różnicę dla nas niekorzystną, z chwiejności przekonań wypływającą: jest u nas więcej niż gdzieindziej nieszczerych, którzy dla stosunków, zwyczaju, tradycyi, mody lub opinii chwilowego otoczenia, potakują zasadom przeciwnym swemu wewnętrznemu przekonaniu lub nawet głoszą je sami. Kto żyje wśród naszego społeczeństwa, ten dobrze zna ów stereotypowy uśmiech pobłażliwego lekceważenia, zjawiający się na wszystkich ustach wśród danego towarzystwa, kiedy rozmowa dotyka wymagań Kościoła, poglądów księdza, ba, nawet często i samych dogmatów, uśmiech ów przybierają nawet, jakby z obowiązku, usta osób, które widzieliśmy rano na nabożeństwie, pogrążone w skupieniu, świadczącem o szczerej pobożności. Któż z nas znowu nie widział tej części towarzystwa, co rano w kościele nie była, nazajutrz w salonie państwa X., uchodzącym za „klerykalny?“ Tam wszystkie twarze z konwencyonalnym wyrazem powagi i uszanowania pochylały się przy najlżejszem wspomnieniu tych samych przedmiotów. Ten sposób postępowania tak dalece wszedł u nas w zwyczaj, ci co tak czynią, tak ogólnie są uważani za ludzi „rozsądnych“, że trudno nawet nazwać to energicznem mianem hipokryzyi. Ludzie idąc między ludzi, nakładają nieszczerość wraz

z rękawiczkami, z nawyknienia, prawie z obowiązku. Wzrośli oni wśród tej atmosfery fałszu: w niej wzrastają młode pokolenia nie czując już nawet, że oddychają powietrzem niezdrowem. I nie może być inaczej tam, gdzie większości społeczeństwa brak gruntu moralnego, brak podpory, steru, sztandaru, brak — zasady.

II.

Tak się przedstawia zło. Poznajmy teraz jego źródła, stopień zakorzenienia i siłę.

Osłabienie wiary i życia religijnego u nas, jak i gdzieindziej, wypłynęło z kierunku materyalistyczno-pozytywistycznego, który w wieku naszym na chwilę zapanował w filozofii i w nauce. Przez literaturę, prasę i szkołę przeniknął on z katedr uniwersyteckich do szerokich mas społeczeństwa, t. zw. wykształconego, i tu padł jako siew jednaki wszędzie na glebę, wieloma właściwościami od innych różną — na grunt naszego narodowego charakteru. Do cech znamiennych charakteru tego należą niestety: płytkość przy lotności i zapalności, brak zmysłu krytycznego i zamiłowanie dowolności, rodzące ową rzekomą swobodę myśli, o jakiej to znakomity Pasteur powiedział, że bywa zwykle dla jednych swobodą myślenia źle, a dla drugich — niemyślenia wcale. Przytem, choćbyśmy niewierzyli Bobrzyńskiemu, że u nas uczucie religijne jest w ogóle powierzchownem, to musimy stwierdzić, że brak było i jest zawsze w szerszych kołach gruntownego wykształcenia religijnego. Na tym gruncie przyjęła się łatwo i rozszerzyła szybko naukowa doktryna pozytywistyczna wraz z kroczącym za nią w praktyce mieszczańskim liberalizmem. Nie praca, lecz lenistwo myśli pomogło im do rozrostu. Pozytywizm przyrzekał rozstrzygnąć kiedyś zagadnienia najwyższe, a tymczasem zwalniał od tylu więzów! Liberalizm tak odpowiadał naszemu nałogowemu uwielbieniu źle pojętej wolności! Prócz tego jedno i drugie przychodziło z Zachodu, było modne, a za modą i Zachodem biegliśmy zawsze chętnie, nie bardzo pytając, dokąd nas zawiodą.

Prąd ten wszakże, rozlawszy się szeroko, pokrył tylko powierzchnię, a nie sięgnął do głębi dusz. To, co w dawnych wierzeniach uczepiło się serca, co się zakorzeniło w uczuciu, to się płytkiej fali nowych pojęć zniweczyć nie dało i pozostało pomimo uderzających nieraz sprzeczności. Kto z nas nie zna np. wśród naszego społeczeństwa ludzi, głoszących najskrajniej materyalistyczne zasady, a rządzących się w życiu idealizmem najczystszej wody? I w ten sposób, za-

leżnie od osobistego temperamentu, usposobień, środowiska, stanowiska społecznego, wreszcie wpływów przypadkowych, powstawał u nas: tu niekonsekwentny półkatolik, tam nieśmiały lękliwiec, gdzieindziej obojętny sceptyk, rzadko zaś prądowi chwili dał się wytworzyć otwarty bezwyznaniowiec, rzadko też zapanowywał nad nim i stał niezachwiany wyznawca Chrystusa.

Głęboko myliłby się ten, kto, chcąc walczyć ze złem powyższem, upatrywałby swego głównego wroga w materyalizmie, liberalizmie lub jakiejkolwiek zasadzie teoretycznej czy praktycznej. Patrzymy dziś na to, jak doktryny te na Zachodzie, gdzie daleko głębiej niż u nas wniknęły w duszę społeczeństw, tracą swe panowanie i znikają stopniowo z nauki, z filozofii, z życia. U nas płytki zalew tem łatwiej odpłynie, ale czy przyczynę złego z sobą zabierze? Nie, przyczyna złego tkwi w nas samych, w naszym charakterze narodowym; siła jego w naszej słabości. Uczucie łatwo zapalne jako motor czynów, chwiejność, brak krytyki w myśli, a dosadności i siły w życiu, a nadewszystko owo przez kilka wieków historyi w krew nam zaszczepione fałszywe pojęcie złotej wolności osobistej, prowadzące do wybujania indywidualizmu a zupełnej niemocy w zbiorowości, — oto wady, które, jak w życiu narodowem doprowadziły nas do upadku politycznego, w ekonomicznem poddały nas przewadze żywiołów obcych, tak na polu religijnem, wydały ową anemiczną bezbarwność, która nas tu szczególniej zajmuje. Na tem ostatniem polu zatem, jak i na innych, kto chce zło zwalczać, musi rozpocząć „pracę u podstaw".

W tej pracy kto mu będzie sprzymierzeńcem? Jak w tej mierze działają główne źródła wpływów, urabiających umysły kół szerszych, szkoła, literatura, prasa, wreszcie — ksiądz katolicki w kościele.

Szkoła współczesna, wyłączając elementarną, o którą nam tu obecnie nie chodzi, jest na stałym lądzie Europy miejscem, w którem ogromna większość młodzieży traci słabo zaszczepione przekonania religijne, a właściwie mówiąc, traci wszelką podstawę przekonań. „Nie zdoławszy — powiada doskonale p. Rozanow w *Nowoje Wremia* — przejąć się jedną ideą przewodnią, szkoła łączy w sobie trzy pierwiastki, chrześcijański, pogańsko-heleński i racyonalistyczno-praktyczny... Wiek XIX. jest okresem elektyzmu duchowego i w tem właśnie tkwi podstawa elektyzmu szkoły".

Tak jest w istocie. I pod ten to kierunek dostaje się wrażliwy umysł młody, z natury swej żądny prawdy jedynej, jak pęd rośliny, z natury dążący w górę. Wtedy zaczynają na niego działać sprzeczne

systemy, przyjęte przez szkołę i, w przymierzu z różnorodnością wpływów koleżeńskich, naginają go na wszystkie strony, rozluźniają grunt, w którym wyrósł. I oto myśl młoda jest już zwichnięta w wieku, kiedy się zrywa wicher namiętności. I jakże ma młodzieniec mu się oprzeć? Wówczas zwykle wykrusza się do reszty podstawa moralna, a z nią i zdolność odrodzenia, możność silniejszego oparcia i wyprostowania spaczonej myśli i skrzywionego uczucia.

Literatura nasza mniej od zachodnich uległa zatruwającemu prądowi materyalizmu; to też znajdują się w niej ziarna zdrowe i jędrne, wśród powodzi plew, jak zwykle, ukryte. Ale wśród publiczności naszej mało jest rozwinięty zmysł, który plewę od ziarna odróżnia; sąd jej stosuje się najczęściej do stopnia rozgłosu autorów, rozgłosu, do którego zdobycia w większej często mierze przyczyniają się stosunki, stanowisko, poparcie stronnictwa, zręczność, śmiałość, natręctwo nawet, niż talent prawdziwy i zasługa. Do zamącenia sądu ogółu, dzielnie przykładają się niektórzy z publicystów naszych, pasowanych przez głos tegoż ogółu na „krytyków". Jest rzeczywiście rzeczą zdumiewającą, jak dalece charakterystyczną cechą niektórych tych naszych krytyków jest brak zmysłu krytycznego. Zdawałoby się, że pragną oni, mierząc wszystkie utwory jednym szablonem, sprowadzić je do jednego poziomu znaczenia i doniosłości, że zimnym swym sądem chcą wysuszyć źródło zarówno oburzenia jak i zachwytu; a gdy głos ogółu nie da się stłumić i składa hołd podziwu pisarzowi, obdarzonemu geniuszem, wówczas, nie śmiąc wbrew uczuciom tłumu strącać bożyszcza z ołtarza, śpieszą oni obstawić je posążkami bożków drobniejszych, ażeby przynajmniej nie ukazywało się samo wśród dymu kadzideł. „Podstawową cechą prawdziwego krytyka jest zdolność zachwytu, czyli odczucia piękna" — powiada znakomity pisarz francuski. Zaiste niewielu krytyków naszych nosi tę cechę; inni zastępują ją gorliwością niwelacyjną.

Prasa u nas nie doszła wprawdzie do bezwzględności i brutalności zachodniej; jednakże — pomimo, że liczy dość wiele pism poważnych i uczciwych — trzeba przyznać, że poziom jej moralny wogóle obniżył się znacznie. Poczytność — oto jej criterium w wyborze treści; a więc: plotka, skandal, spór nie dla zasady, ale dla ubawienia widzów, szczegóły z życia milionerów i t. p. Nawet owe poważne i uczciwe, służące swoim ideom pisma, nie są wolne od wpływu ducha czasu i przynajmniej w części swych łamów składają ofiary poczytności.

Nieobliczone jest olbrzymie zło moralne, jakie mniej sumienna

część prasy peryodycznej nieznacznie sączy i po najodleglejszych zakątkach rozprowadza, szczególniej u nas, gdzie wśród szerszych kół czytających, powaga słowa drukowanego jest jeszcze wielka.

Jakkolwiek wszakże pokarm duchowy czytający nasz ogół znajduje we wszelkich rodzajach publikacyi, to niema chyba drugiego ucywilizowanego społeczeństwa katolickiego, któreby posiadało tak ubogie piśmiennictwo religijne. Ubóstwo to tem boleśniejszem się wydaje, gdy je zestawimy z bogactwem literatur i pism peryodycznych katolickich w innych krajach. Fakt ten jest jednym ze skutków osłabienia ducha religijnego, a jednocześnie jedną z jej przyczyn; utrudnia on wielce wzmocnienie, ożywienie tego ducha.

Zaznaczone powyżej osłabienie ducha religijnego w społeczeństwie, zostaje w związku z niedostatkami naszego duchowieństwa. Jest przedewszystkiem tego duchowieństwa za mało... Duchowieństwo parafialne, przeciążone pracą, pozbawione tej pomocy, jaką w innych krajach znajduje w zakonach, nie jest nawet w stanie podołać ogromowi swoich duszpasterskich obowiązków, które ze wzrostem ludności rosną coraz bardziej, kiedy tymczasem liczba księży w kraju bodaj, że maleje. I jakże wobec tego wymagać, aby duchowieństwo oddziaływało skutecznie przeciwko wyżej wymienionym czynnikom, które sprzysięgły się przeciw katolicyzmowi? Przeciążone obowiązkami i wyczerpane pracą, najdzielniejsze nawet wśród duchowieństwa tego siły, nie są w stanie poświęcać się w stopniu dostatecznym pracy umysłowej nad rozwojem nauki i piśmiennictwa religijnego.

A więc, streszczając wszystko powyższe, życie religijne u nas trwa dotąd w upadku, szkoła je podkopuje, książka i gazeta często się z nią sprzymierzają, a nawet piśmiennictwo religijne nie broni go, nie rozbudza jakby powinno.

Czyż wobec tego stanu rzeczy opuścimy ręce?

III.

Nie. Im cięższe zadanie, tem potrzebniejszy jest wysiłek ludzi dobrej woli; im mniej pracowników, tem pilniej powinni się oni w usiłowaniach połączyć.

Chwila potemu jest stosowna. Myśl ludzka znajduje się obecnie w przesileniu. Treścią jej, podstawą jej ducha od lat stu była ośmielona wspaniałemi zdobyczami nauki nadzieja, że człowiek znajdzie własne rozwiązanie zagadki bytu. Było to znowu uwierzenie odwiecznemu słowu kusiciela: *eritis sicut Dei.* Kilka lat minęło, i jaka zmiana w po-

jęciach! Dziś sternicy ruchu umysłowego głoszą: nauka zdobyła wiele, zdobędzie jeszcze więcej; droga przed nią świetna i niezmierzona — lecz niemą na zawsze pozostanie ona wobec wiecznie żywotnych pytań: Skąd przychodzimy? Dokąd dążymy? Jak żyć mamy? Prysnęła nadzieja wytłómaczenia zjawiska duszy i w ogóle życia, samemi prawami fizyki; próby stworzenia moralności „niezależnej", moralności „naturalnej", „ewolucyonistycznej", tak jeszcze niedawne, budzą dziś zdziwienie lub politowanie; człowiek ukorzył się przed otaczającą go zewsząd tajemnicą. Naturalnie, wiele jeszcze trzeba czasu, by to otrzeźwienie przeniknęło do szkół, do książek popularnych, do bezmyślnej prasy, do umysłów ciasnych, zrosłych z wiarą we wszechpotęgę nauki, do głuchych partykularzy, gdzie echa postępu powoli dochodzą, ale ubywa źródło, skąd płynęło obałamucenie.

Chwila, powiadamy, jest do pracy sposobna; lecz choćby taką nie była, czybyśmy się przed zadaniem cofnęli?

Nie — kto ma w duszy wiarę, a w sercu miłość swego narodu, ten nie stanie z założonemi rękoma wobec zła, skoro je sobie żywo uprzytomni. Trudność zadania nie powinna tu wpływać na postanowienie; nie w naszej sile, lecz w dobroci sprawy leży rękojmia zwycięstwa. „Jakiż człowiek zresztą — powiada wspomiany wyżej znakomity pisarz francuski — jakiż człowiek ma prawo wymówić wyraz: niepodobieństwo tam, gdzie Bóg przyrzekł czuwać i dopomódz? Niech więc ci, którzy się nie cofają, łączą się w nadziei żywej, gorącej, czynnej, płodnej. W godzinę bitwy żołnierz nie wymaga, żeby towarzysz jego był doskonałym; nie wyszukuje jego braków; wie, że to towarzysz, że biją się razem, że mają jedną ojczyznę i nic więcej nie wie. Jeśli kiedy zapomnienie drobnych różnic i podziałów jest godnem człowieka i chrześcijanina, to na polu bitwy. Połączyć się, i mieć nadzieję — oto godło zwycięstwa; kroczy on w ślad za tym sztandarem. Przez nadzieję stają się rzeczy możliwemi, tak jak przez wolę przechodzą w rzeczywistość. Wola powstaje w człowieku tylko wtedy, gdy żyje w nim nadzieja. Śmiejmy mieć nadzieję zwycięstwa, a stanie się ono możliwem; śmiejmy go chcieć, a stanie się ono faktem. Ale jest jeden warunek: oto trzeba, żeby wszyscy, którzy śmią mieć nadzieję i śmią chcieć, podali sobie ręce; trzeba także, żeby każdy czuł konieczność własnego współudziału w pracy, a nie składał na innych spłacenia tej części haraczu, która się od niego należy... Śmieć się spodziewać, że nieurzeczywistnione dotąd postępy prawdy i dobra są jednak możliwe,

śmieć mieć wolę urzeczywistnienia ich, śmieć się połączyć, oto obowiązek każdego, kto ma duszę“ [1].

Do tych wymownych słów czyż potrzeba wiele dodać, by nas zrozumiano?

Zwracamy się nietylko do owej prawicy, która je najsilniej odczuć powinna, ale do wszystkich w naszym kraju katolików, którzy nie całkiem dla wiary zobojętnieli. Trochę nadziei i odwagi, i złączywszy usiłowania, sprzągłszy ramiona, bierzmy się do dzieła naprawy!

Chodzi o pognębienie u nas życia religijnego, o wzbudzenie reakcyi przeciw panującej dotąd letniości, anemii, apatyi w rzeczach wiary; chodzi o walkę z narodowemi wadami: o zastąpienie chwiejności zdań stałością, nieśmiałości odważną szczerością, o usunięcie od steru czynów uczucia i fantazyi a postawienie w ich miejsce zasady. Jednem słowem, chodzi o wytworzenie nie stronnictwa katolickiego, ponieważ nie mamy życia parlamentarnego, ale o silnego zastępu rzetelnych katolików.

— Lecz — powie niejeden — nie mając życia reprezentacyjnego i nie mogąc tworzyć stronnictw, nie jesteśmy w stanie urzeczywistnić owego niezbędnego warunku powodzenia: połączenia usiłowań.

Jest to błąd; prawdą zaś jest co następuje:

Stronnictwo w ustroju swojem, jak i wszelka inna organizacya społeczna, jest tylko ramą, jest formą, ułatwiającą działanie; siłę zaś i znaczenie stronnictwa, stowarzyszenia, grupy, stanowi jedynie stopień przejęcia się jego członków duchem, który je do życia powołał, myślą, której ono jest wyrazem.

Czczą i bezpłodną jest organizacya społeczna, gdy duch jest słaby, niepotrzebną, a przynajmniej nie niezbędną jest ona tam, gdzie stopień zharmonizowania myśli i dążeń jest wysoki. Kiedy wśród społeczeństwa myśl pewna ogarnie wiele umysłów, uczucie zapali wiele serc, wtedy wytwarza się prąd, który nie potrzebuje formy zewnętrznej, by promienieć, rosnąć, potężnieć. Z jednego dążenia rodzą się wówczas jedne środki działania i ujednostajnienie usiłowań staje się ich połączeniem.

---

[1] Ernest Hello, *L'homme.*

Monstrancya gotycka z r. 1474 w skarbcu „Ermitażu“ petersburskiego.

O tym cennym zabytku katolickiej sztuki średniowiecznej nad Baltykiem, powzięliśmy w końcu 1897 r. dokładną wiadomość, dzięki profesorowi byłej *Almae matris* dorpackiej, d-rowi Hausmannowi, który w ciągu r. 1896 nietylko go oglądał osobiście, ale także postarał się o jego odfotografowanie, a przedstawiając udatny światłodruk w inflanckiem Tow. historycznem, opisał ten rzadki okaz szczegółowo. Rozprawa, jaką o nim w czerwcu 1897 r. opracował, zajmie kilkadziesiąt stronic druku. Zanim ogłoszoną zostanie w *Mittheilungen aus der livl. Geschichte,* niech nam będzie wolno zwrócić uwagę czytelników *Przegl. Powszechnego* na to arcydzieło złotnictwa krajowego, które dotąd całkowicie uszło baczności badaczy sztuki nadbałtyckiej.

Monstrancya ta wykonana z najdoskonalszego srebra 88 próby, cała suto wyzłacana, a waży aż 8.463 klgr. i wybornie jest zachowaną z wyłączeniem kilku nieco pochylonych wieżyczek i kwiatonów. Wysokość wynosi 112 cm., a sześciokątna podstawa liczy ich 30 w średnicy u samego dołu, gdzie przyjmuje kształt polnej róży. Tamże u dołu dwa masywne uszka, przez które w swoim czasie musiano przeciągać rzemyki dla umocowania olbrzymiej monstrancyi podczas uroczystych obchodów przy procesyach Bożego Ciała. Z wysokości wynoszącej aż 112 cm., przypada ich 38 na podstawę i wyrastający z niej pień, a ten po środku tworzy guz sześciokątny z sześciu pól złożony; z nich każde nosi na sobie jedną z sześciu minuskuł gotyckich, z jakich składa się imię *Ihesus,* u góry zaś przechodzi w podłużny czworobok: na tym ostatnim wznosi się wspaniała trzypiętrowa konstrukcya, trzymana w kształtach ściśle architektonicznych w najbogatszym stylu ostrołukowym z późniejszej epoki. Przedstawia ona wieżycę późno-gotycką, której podstawa wynosi 26, a jej trzy piętra 74 cm.

Z trzech kondygnacyj najniższa najbogaciej ozdobiona, jako stanowiąca właściwy przybytek, w którym się mieści cylinder kryształowy, a w nim, na słupku złotym *lunula,* przeznaczona do ujęcia przenajświętszej Hostyi. Lunulę zdaje się podtrzymywać dwoje pod nią umieszczonych aniołków w postawie adorującej przenajśw. Sakrament.

Na drugiem piąterku wieżycy głównej, w całokształcie ostrołukowej konstrukcyi, dostrzegamy pod środkowym baldaszkiem uroczą postać Matki Boskiej w całej postaci, otoczoną promieniami a przedstawioną ze znamionami królowej niebios, z berłem w ręku, w koronie na głowie.

W trzeciej kondygnacyi, przechodzącej w wielokątny daszek wieżycy gotyckiej, stoi rycerz z głową obnażoną, trzyma w prawym ręku włócznię a w lewym tarczę, jakiej używali wyłącznie rycerze konni. Jest to oczywiście posążek św. Jerzego, lubo brak przy nim tradycyjnego smoka.

Z iglicy wieży głównej środkowej występuje krzyż. Na jednej jego stronie widnieje ukrzyżowany Zbawiciel, a nad nim wstęga z napisem I. N. R. I., na drugiej — najświętsza Panna w postaci stojącej, otoczona aureolą.

Środkową część monstrancyi (przedewszystkiem zaś pierwsze i drugie piętro wspaniałej gotyckiej wieżycy, stanowiące rdzeń tego prawdziwie wzniosłego utworu średniowiecznej sztuki złotniczej), pokrywa najbogatsza ornamentacya. Misternie utworzone przypory, spoczywające na konsolach, wznoszą się wysoko i wytwarzają ostrołukowe nisze w kształcie okien gotyckich o uroczo ozdobionych trójłuczach, dwułuczach *(ogives)* i licznych przyłuczach *(lobes)*, wykonanych z niezrównanym wdziękiem. Na najniższej kondygnacyi przykrywają u góry te nisze misternie rzeźbione baldaszki, pod którymi umieszczono posążki św. Apostołów. Najwyższa zaś kondygnacya tworzy przejrzystą piramidę, wykonaną sposobem filigranowym. Od podstawy, na której wzniesiono opisane powyżej trzy kondygnacye, zwieszają się prześliczne zdobiny gotyckie, przypominające delikatne wyroby najwytworniejszych koronek brabanckich, wszystkie zaś kondygnacye głównej części monstrancyi, zdobi nieskończona liczba małych wieżyczek o delikatnych kreślinach, mnóstwo przydenków czyli wisiorów *(guimberges)*, kwiatonów i innych kształtów ornamentyki gotyckiej, mających właściwą a tak charakterystyczną nomenklaturę w języku średniowiecznych werkmistrzów.

W środkowej części monstrancyi nie brak także ozdób bogatą emalią i drogimi kamieniami pokrytych. Te ostatnie nie mają jeszcze szlifu krystalicznego, gdyż go w wieku XV. nie znano, a oprawa ich nie odznacza się zgoła delikatnością. Braknie też niektórych kamieni, które z tego zabytku całkowicie zaginęły. Wyryte zaś na podstawie napisy, dowodzą w sposób niewątpliwy, że to dzieło sztuki złotniczej wykonał w Rewlu w r. 1474 słynny z prac swoich Hans Ryssenberch.

Przed dwoma laty przeniesiono je do skarbca Ermitażu petersburskiego z tak zwanego Gabinetu sztuki, założonego niegdyś przez Piotra W. pod nazwą *Kunstkamiera* (z niem. *Kunstkammer*), a w którym od drugiej połowy XVIII. stulecia przestano zwracać uwagę na

wspaniałą monstrancyę gotycką i ukryto ją gdzieś w głębi za przedmioty w owym czasie przez publiczność Petersburga bardziej cenione.

Prof. Hausman odszukał drukowane katalogi owej *Kunstkamiery* z lat najrozmaitszych, i śledził za ich zawartością aż do początku XVIII. wieku, w którym to czasie po raz pierwszy wydawać je poczęto. Wszędzie dała się w nich odnaleźć wzmianka o tem, że „gotycką monstrancyę wywiozły z Dorpatu, jako zdobycz wojenną, zwycięskie wojska cara Iwana Groźnego".

Tradycya ta nosi na sobie wszelkie cechy prawdopodobieństwa, zwłaszcza, odkąd prof. Hausmann dostrzegł u spodu monstrancyi wyryty napis kursywą gotycką: *Hans ryssenberch heuet dusse munstrancygge gemaket myt der godes Hulpe amen got gene uns alle dat euyge leuen,* a na samej podstawie wstęgę z napisem w minuskułach gotyckich: *† Int † iar † unses heren † M † CCCC † † LXXIIII †* [1], i dowiódł, że ów złotnik Hans Ryssenberch miał swoją pracownię w sąsiadującym z Dorpatem Rewlu.

W samym Dorpacie żadnego o tym cennym zabytku nie pozostało śladu. Daje się to wytłumaczyć tą mianowicie okolicznością, że wszelkie dorpackie archiwa do końca XVI. stulecia już dawno zaginęły bez śladu. Mimo to jednak nie brak wcale wiadomości historycznych na poparcie przypuszczenia, że petersburska monstrancya pochodzi z dawnego Dorpatu.

Biskupstwo dorpackie i bogato niegdyś uposażone miasto hanzeatyckie Dorpat, tworzyły w wieku XV. potężne ciała polityczne, zajmujące w państwie związkowem inflanckiem niepoślednie stanowisko, gdyż — jak powszechnie wiadomo — Dorpat w związku z Rygą i Rewlem czwartą tworzył kuryę, a posłów swoich na sejmy cesarstwa miał prawo wysyłać. Autonomię Dorpatu zatwierdził uroczyście już w r. 1397 wielki mistrz krzyżacki Konrad Jungingen [2]. Miało zaś biskupstwo dorpackie swe główne ognisko w katedrze, której niezwykłą okazałość i piękność wskazują po dzień dzisiejszy jej wspaniałe ruiny [3].

---

[1] Napisy te w dolno-niemieckiem narzeczu wyryte brzmiałyby w dzisiejszym języku niemieckim: *Hans Ryssenberch hat diese Monstranz gemacht mit der Gottes Hülfe, amen. Gott gönne uns Allen das ewige Leben. Im Jahre unseres Herrn 1474.*

[2] Obacz *Przegląd Powszechny* tom XIX, str. 426 (w odbitce „Listów z nad Bałtyku" str. 163).

[3] Obacz G. Manteuffel, „Cywilizacya, literatura i sztuka nad Bałtykiem". Z 23 ilustracyami. (Str. 22—25). Kraków 1897.

Monstrancye wielkich rozmiarów należały w wiekach średnich do niezbędnych ozdób tumów, czyli kościołów katedralnych, i bywały wykonywane ze złota lub srebra suto złoconego *(en vermeil)*. A właśnie w drugiej połowie XV. stulecia starano się usilnie o rozszerzenie i odnowienie tej słynnej katedry, na co prof. Hausmann złożył niewątpliwe dowody. Data więc wyryta na monstrancyi, tj. rok 1474, byłaby nowym argumentem poważnym na poparcie przypuszczenia, że w owym mianowicie roku dla tumu dorpackiego w sąsiednim Rewlu obstalowaną została.

Przy wprowadzaniu nauki Lutra do Dorpatu w r. 1526, nie brakło wprawdzie obrazobórców, którzy na czele rozbestwionych tłuszcz niszczyli zapamiętale wszystko, co tylko przypominać im mogło katolicyzm i wzniosłe jego obrządki. Znieważali oni i rabowali liczne dorpackie kościoły, to prawda. Ale mamy najniewątpliwsze dowody na to, że gdy tłuszcze te niesforne rzuciły się z kolei na zamek biskupi i katedrę, szczęśliwie odparte zostały. Nastąpiła reakcya. Główny podżegacz obrazobórców, Melchior Hofmann, raz na zawsze z miasta wygnany, kościoły wyznawcom luteranizmu oddane. W jednej tylko katedrze dozwolono odprawiać nabożeństwo katolickie, ale mieszkańcom Dorpatu pod surowemi karami nie dozwolono na nie uczęszczać, którego to zakazu aż do roku 1559 ściśle się trzymano, jak to wyraźnie zaznacza powszechnie znany kronikarz Arndt [1].

Katedra przeto była jeszcze w posiadaniu swego skarbca, gdy w r. 1558 Dorpat wpadł w ręce Moskwy i jej groźnego cara Iwana IV. [2].

Moskwa usiłowała zatrzymać na zawsze tak dla niej ponętne, a tak dawno pożądane biskupstwo dorpackie i dążyła do ustalenia w niem na dobre swojego panowania.

Miasto, a zwłaszcza katedra, podupadły w owym czasie całkowicie. Ta ostatnia miała wprawdzie i nadal pozostawać w posiadaniu nielicznych dorpackich katolików, atoli strzegącej jej skarbów ręki obronnej już nie miała. Na pół zlutrzony biskup Hermann, ku wielkiemu swemu zadziwieniu, z klasztoru w Paddis (w którym zwykł przepędzać lato) wywieziony do Moskwy. Kapituła rozpierzchła się po kraju, w katedrze nabożeństwa całkowicie ustały.

A kiedy Moskwa, pomimo gwałtownego oporu, w r. 1582 zniewoloną została ustąpić Dorpat Polakom, i wojska ich bohaterskiego króla

---

[1] Ob. *Przegląd Powszechny* t. XIX, str. 428 (w odbitce „Listów z nad Baltyku" str. 166).

[2] Ob. G. Manteuffel, „Upadek państwa inflanckiego" (Lwów 1894. Odbitka z *Przewodnika naukowego i literackiego*, III, 23).

wciągnęły do zniszczonego miasta, wspaniała katedra już tylko zewnętrznie zachowała dawną okazałość, wewnątrz zaś wszystko tak dalece było zniszczone, że całkiem zaniechać musiano jej projektowanego odnowienia [1].

Szczegółowe ówczesne sprawozdania nie zostawiają najmniejszej wątpliwości co do tego, że tum dorpacki już był ogołocony ze sprzętów i ozdób wewnętrznych w chwili obejmowania rządów przez Polskę. Rzecz więc oczywista, że drogocenności katedralne usunięte z niej zostały w czasie, gdy w Dorpacie rozkazywał Iwan Groźny i jego oprycznicy. Przedewszystkiem musiano się postarać o uchwycenie kosztownej mostrancyi. To też wydaje się nam nietylko możebnem, ale bardzo prawdopodobnem, że dzisiejsza monstrancya ermitażu petersburskiego pochodzi z tumu dorpackiego i że liczne katalogi Piotrowego gabinetu sztuki z XVIII. w. zupełną mają słuszność, zaznaczając jak najwyraźniej, iż tę monstrancyę jako zdobycz wojenną wywiozły wojska Iwana Groźnego z Dorpatu.

O tem, gdzie ten wspaniały okaz średniowiecznej sztuki złotniczej przechowywał się w ciągu XVII. stulecia, brak po dzień dzisiejszy wiadomości, które obecnie są przedmiotem pilnych poszukiwań niezmordowanego szperacza, d-ra Ryszarda Hausmanna. Jemu też zawdzięczamy wszystkie wiadomości o tym prawdziwie cennym zabytku z dziedziny nadbałtyckiego przemysłu artystycznego, a okaz ten przepiękny na uwagę czytelników *Przeglądu Powszechnego* z wielu względów zdaje się zasługiwać. *Gustaw Manteuffel.*

[1] „La chiesa già cattedrale fu bellissima quanto qualsivoglia altra, ora è tutta fracassata, sebbene i muri e le colonne sono intiere, ma il Moscovito ha fatto gran danno, e credo che avrà bisogno di grande spesa se dovrà essere ristorata". Turgeniew. *Monumenta*, (1841) I, 397.

Heindenstein zaś (u Starczewskiego str. 172) powiada: „Odio in mortuos usus, quorum nimirum ibidem paulo post et cadavera e templo sepulcrisque eiecit". A był przecież Heidenstein naocznym świadkiem, gdyż w roku 1582 równocześnie z hetmanem Janem Zamojskim przybył do Dorpatu. Szukała Moskwa oczywiście skarbów po kościołach dorpackich, jeśli nie wahała się wyłamywać w nich grobów i znieważać pogrzebanych tam trupów! Na to, że tego rodzaju barbarzyństwa dopuszczała się Moskwa przedewszystkiem w katedrze dorpackiej, mamy dowód w powszechnie dziś znanym liście z dnia 25 lutego 1582 r., ks. Piotrowskiego, sekretarza Jana Zamojskiego, kreślonym do Andrzeja Opalińskiego, w pierwszym dniu po przybyciu wojsk polskich do zniszczonego Dorpatu.

Druk ukończono 28 lutego 1898 r.

SPIS RZECZY.

Artykuły o rzeczach współczesnych.

Stronica

Walka rasowo-ekonomiczna w Poznańskiem. (Dok.) Przez *Wielkopolanina* 17 169

Duchowieństwo a kwestya socyalna. Przez *ks. Wł. Ledóchowskiego T. J.* 81

Leon XIII. a dzisiejszy ruch umysłowy. Przez *ks. J. Teodorowicza.* 157

Działalność katolików w kraju na polu socyalnej organizacyi. Przez *d-ra Adama Kopycińskiego* . . 188

Symptomy zwrotu ku jedności na Wschodzie. Przez *ks. K. Czaykowskiego T. J.* 325

Artykuły naukowe i literackie.

Co to są średnie wieki? Przez *prof. Godfryda Kurtha.* 1

Z Nansenem przez lody i noc. (Dok.) Przez *T. W.* . 41 215 372

Słowo o genezie i chronologii kazań sejmowych. Przez *B. Szulca* 70

Strejk wobec etyki. Przez *ks. Wł. Piątkiewicza T. J.* 241

Lud w Podhajeckiem. Przez *ks. Antoniego Rokosza* . . 345

Dzisiejsze stanowisko medycyny. Przez *d-ra J. Zanietowskiego* 357

Rokosz Zebrzydowskiego i Jezuici. Przez *ks. St. Załęskiego T. J.* 406

Stronica

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa krajowego:

Życie Juliusza Słowackiego na tle współczesnej epoki (1809—1849). Biografia psychologiczna. Ferdynand Hösick. (T. I. II. i III). *(Antoni Mazanowski)* 106

Dzieje Ślązka, ozdobione licznymi obrazkami. Napisał dr. Feliks Koneczny. *(Dr. Al. Czuczyński)*. 118

Dzieje wychowania i szkół w Polsce w wiekach średnich. Część I. 966—1363. Napisał dr. Antoni Karbowiak. *(Ks. St. Załęski T. J.)* 266

Pamiętniki ks. Zygmunta Szczęsnego Felińskiego, arcybiskupa warszawskiego. Część I. 1822—1851. Część II. 1851—1883. *(W. Wiecki T. J.)* 274

Srebrne noce. Lunatica. Szczepański Ludwik. Hymny. Tenże. Poezye. Józef Klemensiewicz. Stance o pieśni. Jerzy Żuławski. *(Antoni Mazanowski)*. 279

Pogadanka o nowych książkach dla młodzieży: Z. Bukowiecka: „Historya o Janku Górniku". „Rok życia". „Dzieci Warszawy". — M. Prażmowska: „Serce". — Władysław Kruk: „Sabinka". — Marya Weryho i St. Gębarski: „W zaklętem królestwie". — Teresa Jadwiga: „Przed świtem". „Wielki król". — Zuzanna Morawska: „Jerzy Jaszczur Bażeński". — Jerzy Laskarys: „Przygody Jana Chryzostoma Paska". — Marya Świderska: „Opowiadania historyczne. — T. J. Gałęzowska: „Spełniło się". „Błysk słońca". „Po ciernistej drodze". „Odwet". — „Podręcznik dla ochron". — H. Strażyńska: „Królewska wnuka". *(T. W.)*. 423

Praca i płaca. Przyczynek do wyjaśnienia kwestyi socyalnej w świetle etyki katolickiej. Napisał ks. Antoni Trznadel. *(Ks. Maryan Morawski T. J.)* 444

Z piśmiennictwa zagranicznego:

Les grandes cathédrales du monde catholique par L. Cloquet, secrétaire de la Revue de l'art chrétien. *(Ks. M. Morawski T. J.)* 124

Les Saints. *(M.)*. 126

Stronica

Das kirchliche Bücherverbot. Ein Commentar zur Constitution Leo's XIII.: „Officiorum ac munerum“ vom 24 Jan. 1897. Von Dr. J. Hollweck. *(Ks. Wł. Ledóchowski T. J.)*. . 129

Anatomie du système nerveux de l'homme. Leçons professées à l'Université de Louvain par A. Van Gehuchten. *(J. Nuckowski T. J.)*. 286

Императоръ Александръ Первый, его жизнь и царствованіе. Н. К. Шильдеръ. (Imperator Aleksander Pierwszy, jego życie i panowanie. Napisał N. K. Schilder). *(Al. Szarłowski)*. 291

Autobiografia di un veterano. Ricordi storici e aneddotici del generale Enrico Della Rocca. (1807—1859). *(J. R.)*. . 445

Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

STYCZEŃ.

Sprawy Kościoła: Jubileusz Ojca św. — Katolicy przed wyborami we Francyi. — Agitacya protestantów przeciw encyklice o Kanizym. — Służbistość Kościoła protestanckiego. — Katolicki obchód wiekowy. Przez *ks. Wł. Ledóchowskiego T. J.* 131

Listy ze wsi. I. Przez *Demofila*. 140

Z dziedziny ekonomiczno-socyalnej: Ruch dzisiejszy na polu ekonomiczno-socyalnem. — Najnowsze cyfry zagranicznego handlu światowego. — Zamorskie wychodźtwo europejskie, zwłaszcza austryackie. — Stosunki w piekarniach Austryi i Niemiec. Przez *ks. Wł. Piątkiewicza T. J.* . . 144

LUTY.

Sprawy Kościoła: Fundusz stu milionów. — Rozporządzenia Rudiniego. — Kwestya szkolna w Kanadzie. Przez *ks. Wł. Ledóchowskiego T. J.* 299

Listy z Anglii o ruchu religijnym. I. Przez *Edmunda S. Naganowskiego* 310

Jeszcze o kazaniach sejmowych Skargi. Przez *ks. Józefa Sasa T. J.* 319

Stronica

MARZEC.

Sprawy Kościoła: Akcya katolicka w Irlandyi. — Ruch o szkołę wyznaniową. — Z Francyi. Przez *ks. Wł. Ledóchowskiego T. J.* 456

Typy połowicznego katolicyzmu u nas 470

Monstrancya gotycka z r. 1474 w skarbcu „Ermitażu“ petersburskiego. Przez *br. Gustawa Manteuffla* 480

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. M. Morawski T. J.